

## Rozdział pierwszy

*Singapur, rok 1934*

**D**ziewczynka podniosła ciemne, wyraziste oczy na wznoszącą się nad nią kopułę zieleni i gwizdnęła cicho na małpę, kołyszącą się tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Została ostro skarcona; na jej uniesioną buzię posypał się grad zerwanych ciemnozielonych, niemal czarnych liści połyskujących w promieniach słońca, które z trudem przedzierały się przez zielone sklepienie. Ursula gwizdnęła jeszcze raz i stanęła na palcach, by dosięgnąć gałęzi nad głową. Małpa odskoczyła zgrabnie poza zasięg jej ręki i znowu obrzuciła ją liśćmi.

Dziewczynka odwróciła się z westchnieniem. Każę Yahyah złapać małą małpkę. W żaden sposób nie uda się jej oswoić żadnej z dorosłych małp, pojawiających się tu rozwrzeszczanymi bandami, obdzierających drzewa z liści i niknących w dżungli równie szybko, jak się pojawiały. Siedząc na skraju ogrodu, częściowo ukryta za gęstymi liśćmi, obserwowała krzątanie się służby. Ah Jong pochylała się nad grządkami z ziołami, a dhoby pewnie wywieszała pranie. Yahyah prawdopodobnie doglądał koni. Westchnęła cicho i szarpnęła na sobie fartuszek. Pomiędzy drzewami było gorąco, a ona się nudziła. Trudno było żyć tak daleko od wszystkich; nikt ich nie odwiedzał. Zerknęła na bungalow zastanawiając się, czy Billy już przyjechał. On ją na pewno zabawi. Uśmiechnęła się na tę myśl i wybiegła spomiędzy drzew. On by nie zapomniał. Wiedział, że papa obiecał jej dziś niespodziankę. Nie na siódme urodziny. Urodziny już minęły. Ale papa coś zaplanował, wiedziała to z całą pewnością. Wstała wcześniej, niż zwykle i zajrzała we wszystkie miejsca, które przysły jej do głowy, ale nie znalazła żadnych prezentów. Billy i papa droczą się ze mną pomyślała. Chciała wreszcie zobaczyć swoją niespodziankę, ale mogła poczekać. Pójdzie do Fatimy i przebiecze się. Pora na przejażdżkę z papą.

Rodzina Ursuli - Fraserowie - mieszkała pod miastem, za Bukit Timah - tuż przy zbiorniku MacRitchiego. Było to miejsce nazywane Mount Pleasant - niewielka wyspa cywilizacji otoczona dżunglą. Ich bungalow stał na zbocz, zwrócony w stronę czarno-białych werand siedziby Klubu Polo. Każdego ranka przed śniadaniem, kiedy jeszcze smugi mgły wiły się pomiędzy końskimi nogami, Ursula objeżdżała wraz z papą padang. Rano przez pewien czas utrzymywała się jeszcze nocna świeżość, a lekki wiaterek chłodził rozgrzane pędem policzki. Później robiło się zbyt gorąco, a palące promienie słońca osuszały grube krople rosy na spieczonych, zbrązowiałych źdźbłach trawy. Przejazdka miała charakter swistego rytuału, zaznaczenie przynależnego im miejsca w społeczności, a dla Ursuli stała się najmielszą chwilą spędzoną w towarzystwie ojca.

Harry Fraser był potężnym mężczyzną z imponującymi wąsami, o bladoniebieskich oczach i twarzy spalonej na kolor cegły, jego nawyk przerywania w pół słowa każdemu rozmówcy, doprowadzał do tego, że większość odczuwała wobec niego swoją niższość. Wiele osób uważało go za gbura. Służba odnosiła się do niego z uwielbieniem zmieszonym ze strachem; Ursula traktowała go jak Boga, nikt nie był tak przystojny i niezłomny, jak on. Fraser stał się biczem Bożym na innych Tuan Bezarów. A od siedmiu lat, czyli od narodzin Ursuli, był również wdowcem.

Lilian Fraser umarła na febrę w dwa dni po wydaniu na świat córeczki. Zawsze była wątła, a niezdrowy klimat osłabił ją do tego stopnia, że codziennie spędzała długie godziny leżąc bezwładnie na łóżku, a amah nacierała jej skronie gazą nasączoną zimną perfumowaną wodą. Służba nazywała ją *sakit hidup* - chora bez przyczyny. Bali się, że nawiedziły ją złe duchy, ale prawdziwa przyczyna jej stanu nie wydawała się trudna do określenia: tęsknota, brak świeżego, orzeźwiającego wiatru i chłodnego deszczu, który by nie parował w zetknięciu z ziemią.

Lilian nigdy nie polubiła Dalekiego Wschodu; nie zrobiła najmniejszego wysiłku, by nauczyć się miejscowych zwyczajów czy języka. Po prostu wegetowała nienawidząc każdego dnia ze wschodem słońca dokładnie o szóstej trzydzieści i zachodem o osiemnastej trzydzieści. Nie było tu zmieniających się pór roku; ani wiosny, ani jesieni, a już na pewno żadnej zimy. Tylko pora sucha i deszczowa. A nawet w porze suchej nie było wcale sucho. Wszędzie panowała wilgoć. Zmieniało się tylko jej natężenie: od nieznośnego do potopowego. W porze deszczowej pranie nigdy nie wysychało i we wszystkich kątach pojawiała się pleśń; nawet w starannie zapakowanej koronkowej ślubnej sukni, którą przywiozła ze sobą jako młoda mężatka.

Więc kiedy mąż oznajmił, że pozostaną tu na zawsze, a narodzone dziecko zostało niezwłocznie oddane w oczekujące je ramiona amah, doprawdy nie widziała powodu, by towarzyszyć im dłużej. Poddała się pierwszemu atakowi febry i odeszła na zawsze.

Ursula została wychowana przez swoją amah - Fatimę, która obdarzała ją największą miłością i troską. Ponieważ ojciec był zajęty w biurze na Robinson Road, a w pobliżu nie było żadnej angielskiej memsahib, która mogłaby jej do-

pilnować, Ursula dorastała zdana w dużej mierze na samą siebie. Chodziła tam, gdzie chciała i robiła wszystko, na co miała ochotę. Kiedy skończyła pięć lat, zaczęła przestawać z synem Fatimy, Yahyah. Bawili się ze sobą za padokami Klubu Polo, w miejscu, gdzie przebiegał strumień płynący w stronę chińskiego cmentarza. Znajdował się tam mały kampong zamieszkały przez rodziny stajennych - garstka drewnianych szop na palach, zabezpieczających je przed wezbranymi falami strumienia w porze deszczowej. Dla małego dziecka było to cudowne miejsce, pełne kociąt i kundli, kogutków, kóz, dzieci i gościnnych matek, gotujących przed chatami apetycznie pachnące posiłki. Ursula mówiła językiem malajskim jak swym ojczystym, często nawet w nim myślała. Tylko z ojcem rozmawiała po angielsku, mimo iż nakazywał jej zachowywać się, jak na missysahib przystało. Ursula nie zauważała większej różnicy pomiędzy sobą a Malajami. Po prostu mogła sobie pozwolić na więcej, niż oni.

Kiedy skończyła sześć lat, ojciec przyjął guwernera. Nazywał się pan Billing i był Euroazjatą. Miał ojca Holendra, matkę Tajkę. Ta kombinacja zaowocowała uderzającą harmonią pomiędzy wysokimi kośćmi policzkowymi a delikatnymi rysami oraz wysoką niemal dwumetrową posturą. Kiedy się uśmiechał, jego śnieżnobiałe zęby lśniły w śniadej twarzy. Ursula nazwała go Billym i natychmiast go polubiła.

Miał prawie dwadzieścia lat, kiedy zajął się wykształceniem dziewczynki. Uczeń szkółki misyjnej i wychowywał się w atmosferze subtelnej dyskryminacji rasowej, którą kolonialiści potrafili stosować dyskretnie i bez poważniejszych następstw. Był obowiązkowym i przyjemnym młodzieńcem o otwartym umyśle. Ursula nie mogła jednak liczyć na jego pobłażliwość.

Jej życie stało się bardziej uporządkowane. O szóstej rano Fatima budziła ją, podnosząc żaluzje i otwierając okiennice. Pokój Ursuli znajdował się na pierwszym piętrze, na prawo od głównych schodów, oddalony od salonu. O tej porze było jeszcze ciemno, a w oddali słychać było rechot żab, nawołujących swoje samiczki. Fatima odgarniała moskitierę, sprawnie rolowała ją i podpiwała na górze, podczas gdy Ursula wygrzebywała się w łóżku. Wentylator pod sufitem poruszał się ospale z klekotem, który stał się dla niej równie znajomy, jak bicie jej serca.

Potem Fatima prowadziła ją do łazienki nie zwracając uwagi na to, że dziecko drży z zimna, stąpając po kamiennych płytkach podłogi. Koszula sfruwała z niej przez głowę, strugi wody z prysznicy spadały na nią, a Fatima śpiewała jedną ze swoich piosenek o małych żabkach. Woda zalewała całą podłogę i spływała otaczającymi ją kanalikami. Kiedy Ursula była już tak czysta, jak tylko leżało to w mocy jej amah, wycierano ją do sucha i wciskano w strój do konnej jazdy. Codziennie zmieniano go na świeży - efekt ciężkiej pracy rąk dhoby. Ursula nie zauważała tego. Nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby włożyć coś, co nie zostało świeżo wyprane i wyprasowane. Tak było zawsze, odkąd sięgała pamięcią.

Potem schodziła do kuchni, gdzie jeden z chłopców przynosił jej siodło i uzdę. Ojciec zazwyczaj już na nią czekał, krążąc tam i z powrotem po ganku. Chłopiec niósł jej siodło, a Ibrahim, mąż Fatimy, który pełnił rolę ich stajennego, zajmował się siodłem ojca Ursuli.

Potem szli nie do stajni mieszczącej się przy drodze, lecz w stronę zbrocza u stóp ogrodu, przez wysoką, ostrą trawę i czerwone błoto. Ich długie buty zostały za sobą ubity szlak.

Ursula dosiadała kucyka, na którym jeździła od trzeciego roku życia. Nazywał się Bintang - Gwiazdka - ze względu na biały płomyk na czole. Poza tą jedną plamką, jego sierść była jednolicie kasztanowej maści. Było to łagodne, silne zwierzę. Ursula często przytulała się do niego, chłonąc ciepło jego ciała i duszący, zwierzęcy zapach skóry, siana i nawozu. Świadomość, że Bintang zawsze będzie przy niej, że codziennie rano będzie trącał pyskiem jej wypchaną cukrem kieszeń, działała na nią kojąco. Kiedy zrobił się zbyt gruby, ojciec zabronił jej go dokarmiać, ale wiedziała, że Bintang nie zrozumiałby, dlaczego nagle został pozbawiony przysmaku. Przynosiła więc cukier ukradkiem, a Fatima w wielkiej tajemnicy kradła go dla niej kucharce, Ah Jong.

Po drugiej stronie kanału melioracyjnego Bintang usiłował zwykle stanąć dęba i pogalopować przez padang, ale Ursula potrafiła utrzymać go w ryzach; unosiła się w strzemionach i zmuszała do uspokojenia. Ojciec śmiał się widząc, z jaką łatwością kieruje koniem. Robili parę rund wokół pola. Ojciec opowiadał jej o domu w Anglii albo o matce. Stopniowo Lilian Fraser stała się w jej oczach kimś pomiędzy świętą a księżniczką z bajki, kobietą o klasycznej urodzie, delikatną, mądrą i nie narzekającą w obliczu trudności, ostoją zasad moralnych. Jeśli czasami sprostanie tym ideałom wydawało się Ursuli zbyt trudnym zadaniem, ojciec dawał jej do zrozumienia, że matka patrzy na nią z nieba i jest nią bardzo rozczarowana. Ze wszystkich sił starała się podołać temu, ale kiedy potrzebowała pociechy, na myśl przychodziła jej nie matka, lecz Fatima ze swoim okrągłym brzuchem i śmiejącymi się brązowymi oczami.

Po jakimś czasie opisywana przez Frasera chłodna jasna uroda żony zmieszła się w wyobraźni Ursuli z opowieściami o bohaterach i pięknych księżniczkach. Jej matka stała się królową elfów, panującą pomiędzy chmurami; choć nie mogła ich odwiedzać, dniem i nocą strzegła ich przed złem. W modlitwach nie widziała Matki Boskiej, lecz wyobrażała sobie matkę. A ta pilnowała, by nic się jej złego nie stało. Nie potrzebowała ziemskiej matki, skoro miała Fatimę. Więc wszystko było w najlepszym porządku.

Gdyby Fraser zdawał sobie sprawę z tego, jak błędnie Ursula interpretuje jego opowieści, uczyniłby wszystko, by naprawić błąd, zanim dziecko nie uznałoby ostatecznie, że nikt nie godzien zająć miejsca matki. Jednak z całą naiwnością sądził, że robi to, co najlepsze dla Ursuli. Nikt inny nie liczył się dla niego tak, jak ona. Wobec innych mógł się zachowywać szorstko, dla niej był zawsze dobry i troskliwy. A ona odpłacała mu czułością.

Kiedy konie się lekko zgrzały, przechodzili w trucht; koń ojca powściągał krok tak, by nie wyprzedzać kucyka. W chłodnym porannym powietrzu widać było obłoczki pary unoszące się z ich pysków. Od czasu do czasu wchodzili w połacie mgły tak gęstej, że ginęli sobie z oczu. A potem niespodziewanie wyłaniali się z niej, a wschodzące słońce raziło ich jaskrawym białym blaskiem, od którego musieli odwracać spojrzenia.

Harry Fraser ważył dziewięćdziesiąt osiem kilogramów, ale jego sylwetka była niemal zupełnie pozbawiona tłuszczu, jeśli nie liczyć małego brzuszka - świadectwa nadmiernego zamiłowania do piwa Tiger. Jechał na koniu sztywno wyprostowany, nie patrząc w stronę córki, choć jego blade oczy rzucały jej ukradkowe spojrzenia, oceniające jej postawę. On sam kierował koniem minimalnymi ruchami kolan, na które zwierzę reagowało natychmiast. Był to wyuczony nawyk, wykonywany jakby bez udziału świadomości, bezmyślnie. Może rzeczywiście nie myślał. Pomimo swoich kategoriycznych opinii, naprawdę nie sprawiał wrażenia osoby, która poświęca czemukolwiek zbyt wiele rozmyślań. Był typem człowieka, który zaczynał się niepokoić, kiedy rozmowa na przyjęciu kierowała się na książki lub inne „wymyślne artystyczne bzdury”. W takich przypadkach wraz z połową męskiego towarzystwa rejterował na taras, by dyskutować na temat koni, polityki, krajowców i kobiet - i w każdym przypadku czynić podobne uwagi. Oczywiście nigdy nie miał kłopotów z kobietami. Były dla niego tak samo osiągalne, jak dzikie orchidee, rosnące na gałęziach drzew. Wystarczyło, że pojawił się na przyjęciu w swoim białym smokingu, a wszystkie kobiety nagle zaczynały poruszać się bardziej zalotnie i śmiać nieco głośniej. Naturalnie zdawał sobie z tego sprawę. Tak samo zachowywały się w stosunku do niektórych innych mężczyzn. Ale musieli przyznać, o ile się orientowali, Fraser nie rywalizował z nimi. Czasami wspominano półgłosem o jego stosunku do tubylczych kobiet, które u niego pracowały, ale nikt nie wiedział niczego na pewno.

Po przejażdżce następowało śniadanie. Siadali na werandzie, a ostre promienie wschodzącego słońca padały na czarno-białe rattanowe żaluzje. Papaja i karambola, albo jakiegokolwiek sezonowe owoce, sok limonowy, tost, masło, miód i wonna, czarna herbata. Kucharka był Chinką, przedstawicielką starej, „czarno-białej” szkoły, która doprowadzała je do silnego związku raczej ze służbą, niż z mężczyzną. Ah Jong, staruszka o pomarszczonej twarzy, w oczach Ursuli wydawała się bardzo wiekowa. Nosila czarne obszerne spodnie i białą tunikę oraz płaskie czarne pantofle. Przez cały dzień dreptała cicho wokół bungalowu, trzymając baczne oko na służbę i wyprzedzając każde życzenie Tuana.

Pan Billing nie towarzyszył im przy śniadaniu, ale zawsze czekał na piętrze, kiedy Ursula wracała do pokoju, by przebrać się po przejażdżce. Druga kąpiel była nieodzowna, a pan Billing siedział cierpliwie w salonie z trzcinowymi meblami. Na jego gładkiej twarzy nie zagościło ani jedno drgnienie zdradzające niecierpliwość. Pan Billing był człowiekiem o złotym sercu. Jego spokój i opanowanie wносиły prawdziwą ulgę do domu pozbawionego memsahib. Wystarczyło jego jedno słowo, by poskromić humory służby, a za punkt honoru postawił sobie nauczenie Ursuli, dopóki była w wieku pozwalającym na kształtowanie młodego charakteru opanowania w każdej sytuacji. Dlatego właśnie Harry Fraser wybrał jego. Oczywiście nigdy by tego nie ujął w ten sposób; prędzej powiedziałby, że pan Billing ma „lekką rękę”, ale umie „utrzymać dziewczynę w ryzach”, co w ostatecznym rozrachunku wychodziło na to samo. Wokół młodego nauczyciela unosiła się aura niewzruszonego spokoju i chłodu, który nie sprawiał nikomu przykrości, a nierzadko stawał się bliski serdeczności. Ursula nigdy nie kazała sobie niczego powtarzać, posłusz-

na, gdy zwracał jej uwagę cichym głosem, podczas gdy lamenty i złorzeczenia Faimy przeważnie nie robiły na niej większego wrażenia.

Poranne lekcje zaczynały się o ósmej. Ursula siedziała przy bambusowym stoliku u boku pana Billinga, na krześle podwyższonym dwoma poduszkami, by mogła sięgnąć brodą ponad stół. Rattanowe meble były zarazem błogosławieństwem i koszmarem Wschodu; ich ażurowa konstrukcja pozwalała na swobodny przepływ chłodzącego ciała powietrza, ale po paru długich jak wieczność godzinach pośludki siedzącego zaczynały przypominać blachę falistą. Ursula, która zawsze musiała korzystać z poduszek, jeszcze tego nie doznała. Siedziała więc spokojnie; jej włosy były szesane na mokro z małej owalnej twarzyczki. Jako codzienny strój służyła jej bawełniana tunika, zwisająca luźno w formie fartuszka. Wentylatory pod sufitem, zagarniające leniwie powietrze, dodawały nieco chłodu cienistej werandzie. Pan Billing wydawał się nie odczuwać upału, co nigdy nie dziwiło ani nie zastanawiało Ursuli. Tak po prostu było i już.

Czytanie i pisanie były dla dziewczynki niesłychanie ważne. Miała trzy lata, kiedy wdrapała się ojcu na kolana i pomogła mu czytać gazetę, a on okazał się w tym stopniu cierpliwy i tak ją chwalił, że nie mogła mu pozwolić samemu borykać się z lekturą i uparła się sylabizować długie i trudne słowa. Pierwsze nauki pana Billinga oraz czytanki o Dicku, Dorze i psie Łatku spotkały się zatem z nieukrywaniem szyderstwem dziewczynki. Wkrótce czytali długie historie o niezwykłych zycząjach mieszkańców krajów, w których w porze deszczowej padał śnieg, a w porze suchej często bywała susza. Ursula uznała to absolutne nieprawdopodobieństwo za fascynujące, a pan Billing z najwyższym trudem usiłował ją przekonać, że coś takiego naprawdę istnieje. Ursula, która żywiła niezłomne przekonanie, że wszystko, co mówi jej nauczyciel, jest świętą prawdą, była tym poważnie zmartwiona.

Niespodzianka, na którą czekała cierpliwie od paru dni, nie okazała się przyjemna. Pan Billing oznajmił jej swoim cichym, spokojnym głosem, że będzie mieć nową matkę.

- To niemożliwe. Można mieć tylko jedną mamę. Moja umarła i poszła do nieba.

- Twój papa zamierza się ponownie ożenić. Jego nowa żona zastąpi ci matkę. Ludzie będą nazywać ją twoją macochą. Dzięki niej życie twojego papy i twoje stanie się znacznie łatwiejsze. Służba będzie ją poważać. Będzie naszą memsahib.

Pan Billing zdawał sobie sprawę, dlaczego Fraser zrzucił na jego barki przekazanie dziecku wiadomości, ale to nie ułatwiło mu sprawy. Spojrzał na poważną buzię dziewczynki, starającej się zachować jak dorosła. Nie rozplakała się, choć jej usta zadrzały i parę razy wykrzywiły się w podkówkę. Kiedy zdołała się uspokoić, odezwała się cicho:

- Ale ona nie będzie mi mówiła, co mam robić, prawda? Nie może tego zrobić. To możesz tylko ty i papa. - W jej głosie słychać było skrywany lęk. Pan Billing westchnął ciężko.

- No cóż - będzie. Czasami musimy przyzwyczać się do zmian, jakie niesie ze sobą życie. Twoja macocha niemal z całą pewnością będzie mówiła ci, co masz

zrobić. A twoim obowiązkiem wobec papy będzie posłuszeństwo wobec niej. Będzie musiała się nauczyć być memsahib dla całej rodziny. To będzie dla niej bardzo nowe i niespodziewane doświadczenie. Możesz jej to ułatwić dzięki uprzejmości i wyjaśnianiu, jak powinna postępować. Ale jeśli nie spodoba się jej nasz sposób życia, będziesz musiała zachować spokój i zaakceptować to, co musi się zmienić. Liczę, że zaprezentujesz opanowanie, którego cię nauczyłem. Twoje zachowanie będzie miało wpływ na moje lekcje oraz na twego papę. I pamiętaj, nie wolno ci być niegrzeczną.

Siedziała niemal zupełnie nieruchomo, z głową zwieszoną nad rękami, jakby przyglądała się im uważnie. Nie podniosła wzroku, kiedy skończył wykład. Dotknął jej dłoni, spoconej od ściskania rysika. Delikatnie zatrzymał ją w swojej ręce.

- Czy jest ładna?

- Podobno jest piękna. Twój papa jest bardzo dumny, że zdobył tak uroczą damę. Ty również powinnaś być dumna, że masz tak przystojnego papę, który podbił serce młodej damy. - Pan Billing zauważył zainteresowanie Ursuli i postanowił temat kontynuować. - Twoja nowa matka pochodzi z Australii, z miasta zwanego Perth, na zachodnim wybrzeżu. Tam jest zupełnie inaczej. Nie przywykła do bycia memsahib. Musisz jej pokazać, jak się zachowywać.

- Więc dlaczego... dlaczego się tu znalazła?

- Przyjechała z wizytą do ciotki, pani Hendricks. Znasz panią Hendricks i jej synów, Rodneya i Stephena.

Ursula zmarszczyła nos z niesmakiem.

- Mądrzą się, bo pojedą do szkoły z internatem. Nie odzywają się do mnie, bo jestem dzieckiem, choć znam dwa razy więcej słów, niż oni.

Pan Billing uśmiechnął się.

- Twoja nowa mama nazywa się panna Hendricks. Bardzo chce cię poznać i zostać twoją przyjaciółką.

- A nie matką? Nie chcę, żeby była moją matką. Moja mama umarła i poszła do nieba. Modlę się do niej, a ona nade mną czuwa. Nie potrzebuję nikogo oprócz papy i Fatimy. Och, i ciebie też, Billy. - Uścisnęła jego dłoń w smutnym przeproszającym geście. Pan Billing skinął głową na znak zrozumienia.

- Twój papa życzy sobie, żebyś spotkała się dziś z panną Hendricks. Zejdziemy na werandę i będziecie mogły się poznać. Później wrócisz do domu na obiad, a potem, być może, wybieriecie się razem na przejażdżkę. To będzie miłe, nieprawda?

Na małej buzi pojawił się wyraz wielkiego znużenia. Tak, jakby dziewczynka w ciągu tych kilku chwil zdała sobie sprawę z wielu spraw; dzieciństwo opuściło ją niespodziewanie i błyskawicznie. Wydawało się, że Ursula współczuje mu i stara się ułatwić zadanie. Poczul upokorzenie i gryzącą gorycz.

- Ursulo?

- Tak, Billy. Rozumiem. - Nagle spojrzała na niego z zastanowieniem. - Ale będziesz ze mną? Zejdziemy razem na werandę i nie odejdziesz? - Zdawała sobie sprawę, że nie zostanie zaproszony na obiad, ale jej oczy błęgały go chociaż o tyle. Przez chwilę poczul silną niechęć do tej nieznannej panny Hendricks.

Tak, zejdę z tobą. Nie okazuj lęku. Twój papa będzie niezadowolony. Życzę sobie, żebyście polubiły się nawzajem i uważa, że potrzebujesz kobiecego towarzystwa i porady.

- Ale przecież mam Fatimę i inne... Mogą mnie nauczyć tego, co muszę wiedzieć. Jeśli papa chce poślubić tę panią tylko dlatego, że potrzebuję...

-Nie, Ursulo. Nie tylko dlatego. To tylko jeden z licznych powodów. A Fatima nie jest damą, nie może ci powiedzieć, jak masz się zachowywać, kiedy dorosisz...

- Ale ty byś mógł. Ty zawsze wszystko wiesz, a papa może mi zwracać uwagę...

Ujął jej obie ręce i obrócił ją ku sobie.

- Spójrz na mnie. Nie, podnieś oczy. A teraz słuchaj. Nie mogę ci przekazać wszystkiego, co powinna wiedzieć missysahib. Twój ojciec także nie. To może zrobić tylko memsahib. Ale nawet, gdyby było inaczej, powinnaś zrozumieć, że twój papa musi mieć żonę. Lubi pannę Hendricks, ponieważ jest mu równa i jest dorosła. Nie chodzi o to, że lubi ją bardziej, niż ciebie, albo że nie ma zbyt wielu znajomych pomiędzy Europejczykami, ale o to, że musi mieć towarzyszkę, kiedy ty pójdziesz wieczorem spać, a wszyscy goście wrócą do domów. Łaknie tego rodzaju przyjaźni. Nie powinnaś sobie życzyć, by był ciągle nieszcześliwy i samotny tylko po to, by twoje życie nie uległo żadnej zmianie. Znam cię dobrze. Nie ma w tobie takiego egoizmu.

Przez chwilę w pokoju panowała niczym niezmacona cisza. A potem Ursula westchnęła głęboko, nie z rozpaczą, ale i nie z ulgą. Ten dźwięk raczej przypominał ziewnięcie.

- Dobrze, Billy. Spróbuję.

- Proszę, oto moja grzeczna dziewczynka. A teraz pójdziesz z Fatimą i przebierzesz się w ładną sukienkę, żeby twój papa był dumny ze swojej pięknej córki.

Fatima pojawiła się bezszelestnie w pokoju, jakby czekała pod drzwiami na dźwięk swojego imienia. Wyciągnęła rękę do Ursuli i uśmiechnęła się.

- Chodź, panienko. Wyjmuję dla ciebie żółtą sukienkę. Nowa. Panienka też jak nowa. Zupełnie. Będziesz w niej wyglądać *cantik*, ładnie jak mała księżniczka.

Ursula wstała posłusznie i poszła za swoją amah.

Kiedy pan Billing stanął na chłodnej kamiennej podłodze werandy z dziecięcą łapką mocno zaciśniętą na jego palcach, miał wrażenie, że prowadzi tę dziewczynkę jako ofiarę bogom. Nie było nic strasznego w tym, że mężczyzna chciał się ponownie ożenić, ale czy nie powinien powiedzieć o tym swojemu dziecku osobiście, nie uciekając się do pomocy najemnego pracownika?

Fraser spojrział na zaciśnięte szczęki pana Billinga i natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Przełknął pospiesznie ślinę, odchrząknął parę razy i odważył się zerknąć z niepokojem na buzię swojej dziewczynki. Ale ona zachowywała idealny spokój, opanowanie i obojętność. Znowu przełknął ślinę.

- A, jest moje maleństwo. No, czyż nie wyglądamy jak obrazek? Mała piękność, prawda? Chodź, kochanie, poznaj kogoś wyjątkowego. Chcę, żebyście się zaprzyjaźniły. - Powtarzał niemal słowo w słowo to, co powiedział jej pan Bil-



ling. Uśmiechnęła się sztucznie. Nie podobał się jej ten niespokojny, zbyt radosny ton, który nagle przybrał ojciec. Zwykle nie mówił do niej w ten sposób. Po raz pierwszy w życiu wydał się jej inny i patrzyła na niego jak na obcego. Kogoś, kto nie był jej bogiem. To bolało.

- Papo, czy Billy może z nami zostać? - spytała natychmiast, nie zauważając wyciągniętej ręki ojca, mającej ją objąć i przyciągnąć do tego rudowłosego stworzenia, które siedziało tuż za nim. Coś jej mówiło, że w tej chwili ma władzę nad ojcem, z pewnością chwilową, ale wykorzystała ją bezbłędnie. Chciała mieć Billy'ego u swojego boku i będzie go miała. Ojciec spojrział znowu na zaciśnięte szczęki; niezachwianą determinację córki. Pobiegł spojrzeniem ku kobiecie, szukając u niej przyzwolenia. Ursula poczuła niesmak. Jej ojciec nigdy nie prosił nikogo o radę. Wiedziała wszystko. Kobieta uśmiechnęła się, skinęła głową i spojrzała na gładką twarz pana Billinga. Nie uśmiechnęła się. Zawahała się; wyglądała na wytrąconą z równowagi. Ale Fraser znowu zwrócił wzrok na córkę.

- Oczywiście, że pan Billing może z nami zostać, skoro tego chcesz, kochanie. A teraz podejdź. - Był to rodzaj transakcji, z czego Ursula zdawała sobie sprawę. Ucisnęła lekko dłoń swojego nauczyciela, puściła ją i podeszła do krzesła ojca.

Żółta sukienka, sztywno wykrochmalona, opadała jej za kolana, szeleszcząc warstwami bawełny i angielskimi haftami. Jej stanik był ozdobiony trzema guzikami, obciągniętymi tym samym materiałem, tuż pod białym wykładanym kołnierzem. Bufiaste rękawy były zebrane w białe mankiety z jednym guziczkiem. Sukienka została zamówiona w Londynie u Harrodsa i przywieziono ją zaledwie przed dwoma tygodniami. Ursula włożyła ją w dniu urodzin, rozkoszując się jej dotykiem i świadomością, że wygląda w niej ładnie. Ale dziś kołnierzyk ją uwierał, a rękawy piły pod pachami. Kiedy ojciec otoczył córkę ramionami i przytulił do siebie, poczuła duszący zapach jego wody po goleniu i zapragnęła szarpnąć ubranie i rozerwać je pod szyją. Spojrzała gorzko na kobietę.

- To panna Hendricks, moja przyjaciółka. Sally, to moja mała. - Słowa padły z ust dumnego mężczyzny dumnego i zarazem niepewnego, pokrywającego to uczucie swoim słynnym jowialnym uśmiechem, przy którym wąsy unosiły mu się ku górze, a w oczach migotały wesole ogniki. Ale teraz migotanie było spowodowane nadmierną wilgocią oczu. Przełknął ślinę, zamrugał parę razy i przywdział maskę pukka sahib.

- Chcę, żeby obie moje dziewczynki zaprzyjaźniły się. Słyszycie?

Obie mierzyły się wzrokiem, ignorując jego słowa. Obejrzał się na pana Billinga, szukając u niego wsparcia. Pan Billing patrzył w dal, skupiając nieobecny wzrok na czymś, czego Fraser nie mógł dostrzec.

- Witaj, Ursulo. Twój papa opowiadał mi wiele o tobie. Ależ ty już jesteś małą damą! A masz dopiero siedem lat! Widzę, że nie przesadzał mówiąc o twojej urodzie. Za parę lat będziesz najlepszą partią na wyspie.

Ta kobieta starała się ze wszystkich sił. Nie miała doświadczenia w postępowaniu z dziećmi, zwłaszcza tak opanowanymi, i jej zwykła obojętność teraz mściła się na niej. Nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć tej poważnej istotce, przyglądającej się jej uważnie. A więc uśmiechnęła się do niej.

Papa nigdy o pani nie wspominał. Po raz pierwszy dowiedziałam się o pani dziś rano, od Billy'ego - odezwała się śmiało Ursula, ignorując pochlebstwo. Poczuła, że panna Hendricks sztywnieje. Ojciec poruszył się gwałtownie na krześle. Tylko Billy trwał nieruchomo. Poczuła przypływ siły.

- Dlaczego przyjechała pani do Singapuru? - spytała uprzejmie.

- Cóż, składałam wizytę mojej ciotce. Z pewnością znasz panią Hendricks i jej chłopców...

- Tak, ale z jakiego powodu pani tu przyjechała? - W starannie dobranych słowach brzmiało jednocześnie zaskoczenie i smutna wiedza. Billy podniósł założoną na plecach dłoń ku twarzy. Ursula uchwyciła ten ruch kątem oka.

- Zastanawiałam się, czym zainteresował panią Singapur?

Uśmiechnęła się na widok zakłopotania kobiety.

- No cóż... - Panna Hendricks roześmiała się w sposób właściwy wszystkim dorosłym, kiedy czują się wytrąceni z równowagi pytaniami dziecka, ale nie chcą robić wrażenia rozgniewanych.

- Wydawał mi się taki... egzotyczny. To taka ożywcza zmiana po prowincjonalności Perth. Zresztą nie zastanawiałam się nad tym zanadto. Czy masz coś przeciwko temu?

A więc rękawica została rzucona. Ursula cofnęła się o krok i oparła się o kolano ojca.

- Papo, czy panna Hendricks zostanie moją... czy zostanie z nami? - Przez chwilę miała nadzieję odnaleźć bliskość, która łączyła ją z ojcem, odepchnąć tę kobietę o idealnej figurze i śmietankowej cerze. Ale zaraz potem zrozumiała, że przegrała, kiedy wzięła ją za rękę i powiedział:

- Nie bądź niegrzeczna. Wiesz, jak się zachowywać w towarzystwie gości.

Spuściła wzrok na wzór na kamiennej podłodze. Jej usta nadal wykrzywiały się w upartym grymasie, a spojrzenie zamarło i znieruchomiło. Ah Jong przejrwała niezręczne milczenie, wnosząc tacę z napojami w oszronionych szklankach z grzechoczącymi w nich kostkami lodu. Wnoszenie tacy należało do obowiązków służącego, ale Ah Jong nie rezygnowała bez walki ze swoich uprawnień. Postawiła tacę na stole u boku Tuana, skłoniła głowę w krótkim ukłonie i zniknęła równie bezszelestnie, jak się pojawiła.

- Co wolisz, kochanie? Gin z tonikiem? Czy tylko lemoniadę?

- Zdaje się, że okoliczności pozwalają na odrobinę alkoholu. Nie sądzisz, Harry? - Sally Hendricks potrafiła odzywać się wyjątkowo suchym tonem. Skrzyżowała usta w afektowanym grymasie, który powinien być uśmiechem. Spojrzała na Frasera ponad głową Ursuli. Dziewczynka wyczuła, że pomiędzy dwójgim dorosłych nawiązuje się milczące porozumienie, nie zwiastujące jej niczego dobrego. Oderwała się od ojca i pobiegła w stronę Billy'ego, opartego o kolumnę werandy.

- Czego się napijesz, Billy?

Pan Billing położył spokojne, silne dłonie na jej ramionach i zajrzał w jej tragiczne oczy. Uśmiechnął się, by złagodzić jej cierpienie.

- Przyniesiesz mi wielką szklankę pysznej lemoniady z dwoma łyżeczkami cukru? Wiesz, jak ją lubię.

Jej oczy błagały go, by poszedł razem z nią, ale pokręcił głową i odepchnął ją lekko.

- Papo, pan Billing prosi o lemoniadę z dwoma łyżkami cukru - oznajmiła, stając u boku ojca. Fraser mruknął coś pod nosem, nalewając napój z dzbanka i wysypując do niego cukier długą srebrną łyżką. Wręczył szklanekę wraz z serwetką córce, nie odzywając się ani słowem. Ursula zamrugała kilka razy, broniąc się przed ostrymi promieniami słońca, drażniącymi jej oczy i powlokła się ponuro do pana Billinga. Potem wróciła po własny napój. Usiadła na niskim stołeczku u stóp ojca i pochyliła nisko głowę, tak że na odsłoniętym karku zarysował się wystający krąg. Pan Billing odprowadził ją wzrokiem; nagle zdał sobie sprawę, że mieszka swoją lemoniadę zbyt szybko, za głośno. Przeniósł spokojne, nieprzeniknione oczy na Frasera. Ten rzucił mu chmurne spojrzenie, by po chwili zerknąć na dziecko i towarzyszącą mu kobietę.

- To śmieszne! - wybuchnął. - Czy pan Billing nie wytłumaczył ci tego? Jestem pewien, że tak. Zaprosiłem pannę Hendricks w nadziei, że się polubicie. I wiem, że Sally bardzo się stara. - Ujął smukłą, elegancką dłoń kobiety. - Musisz tylko przestać zachowywać się jak rozpieszczone dziecko i zrobić wysiłek, żeby ją poznać. Nie będę tolerował dąsów i kaprysów, a jeśli tego właśnie chcesz, moja panno, możesz znaleźć się w swoim pokoju z wygarbowaną skórą na resztę dnia. O to ci chodzi? Czy też raczej zdecydujesz się zachowywać jak dorosła i wybierzesz się z nami na przejażdżkę po okolicy, a potem do klubu pływackiego? Decyzja należy do ciebie.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że papa mówi do niej. Sądziła, że zwraca się do jakiegoś służącego, albo do tej drwiącej kobiety, niedbale siedzącej naprzeciw niej. Nie mógł się zwracać do niej tym tonem. Nigdy nie karmił jej w towarzystwie obcych. A potem, czując spadający na nią ogromny ciężar, zrozumiała, że w oczach ojca panna Hendricks nie jest obca. Należy do rodziny. Tak, jak Billy. A to znaczyło, że... Potrząsnęła głową z niepokojem.

- Nie chciałam być niegrzeczna - powiedziała słabo. Ból w piersiach nie pozwalał jej na wydobycie głosu. W płucach zabrakło jej powietrza. - Ja tylko chciałam... Musiałam się dowiedzieć. Od ciebie, papo. Billy mi powiedział, ale chciałam to usłyszeć od ciebie. - Odwróciła się sztywno w prawo. - Przykro mi, jeśli panią obraziłam. - Z kurczowo zaciśniętym gardłem rozejrzała się w poszukiwaniu Billy'ego, który - cud nad cudami - stanął za jej plecami. Położył jej rękę na ramieniu i poprowadził ku mrocznemu wnętrzu domu.

Fraser siedział w milczeniu. Opowiedział się po jednej ze stron w walce, której starał się uniknąć i nie miał sił, by pocieszyć je obie. Ale przecież Ursula jest dzieckiem i wkrótce zapomni o wszystkim. Przynajmniej jeśli Billing nie będzie jej podburzał. Ten typ jest zimny jak ryba. O nie. Pokręcił głową z niesmakiem na samego siebie. Wyładowywał wściekłość na nieskazitelnie przyzwoitym człowieku. Billing nie będzie jej skłaniał do rozpamiętywania tego wszystkiego. On jej wytłumaczy. Wszystko będzie dobrze, bez obaw. Uśmiechnął się niespodziewanie; z jego szerokiej twarzy biła ulga, opromieniająca siedzącą przy nim kobietę opiekuńczym ciepłem. Ona także uśmiechnęła się do niego. Nieco skrzywiona.

- Zdaje się, że to w pewnym stopniu skomplikowało sytuację.

- Co? Ursula? Nie, na Boga! Za bardzo przywykła do folgowania własnym zachciankom. To pewnie moja wina. Poblażałem jej. Chciałem jej jakoś wynagrodzić to, że nie ma matki. Rozpuściłem ją trochę. Ale szybko się uspokoił. Nie ma wątpliwości. Za bardzo lubi swojego starego papę, żeby się nie uspokoić. Trochę cierpliwości, Sally, zobaczysz. Ani się obejrzyysz, a będziejadła ci z ręki.

Kiedy się tak ku niej pochylał z głową przekrzywioną w bok, wyglądał jak wyrośnięty sztubak. Zwodził ją i przez chwilę poczuła kwaśny smak pogardy. Ale w końcu był taki przystojny i hojny. I kochał ją bez pamięci - jak uczeń zafascynowany swoją nauczycielką. Uniosła brwi.

- Obawiam się, Harry, że jesteś beznadziejnym optymistą. Ale wszystko jedno, skoro twierdzisz, że wszystko się ułoży.

- Wiem, że tak będzie. - Pochylił się ku niej, by pocałować ją w policzek. Krzacaste wąsy ukłują ją, a zapach wody po goleniu przywołał przyjemne wspomnienia. Pogładziła lekko jego twarz; jej głęboko osadzone oczy pożerały go spojrzeniem. - Porozmawiasz z nią?

- Oczywiście, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Pozwoliła się pocałować jeszcze raz.

- To dobrze. Więc skończmy pić i chodźmy obejrzeć bungalów i ziemię.

Obzuciła spojrzeniem gładkie płaszczyzny trawników i mieniące się kolorami grządkki z kwiatami, na których bugenwilla oplątywała pnączami ciemnozielone drzewka binjai, a poinsecje, frangipani, oleandry i palmy tworzyły romantyczną scenerię, wznoszącą się ku ogromnym bambusowym drzewom, chwiejącym się i skrzypiącym na wietrze. Ktoś jej powiedział, że bambus dożywa stu lat, a potem jednej nocy umiera i wali się na ziemię. To musi być niezły widok, pomyślała. Otaczało ją mnóstwo roślin, których nie rozpoznawała. Świadomość, iż kraj ten został wydarty dżungli, narzucała się z nieodpartą siłą. Ogród o powierzchni niecałego hektara był ze wszystkich stron otoczony ciemnym, splątaniem gąszczem. Zadrzała mimo upału, zdolnego w ciągu kilku minut usmażyć na chodniku ślimaka. Jej sukienka zwilgotniała na plecach; zmięte płótno odstawało sztywno, kiedy poruszyła się na krześle. Odsunęła je w roztargnieniu. Nadal ogarniała wzrokiem swoje nowe włosy. Harry Fraser przyglądał się jej bacznie; jego oczy śledziły wyraz jej twarzy, usiłowały odgadnąć jej upodobania i kaprysy. Dwie szklanki stały na stole w kałużach wody z roztopionego szronu. Po ich ściankach toczyły się wielkie, połyskliwe krople.

- A więc? - odezwał się wreszcie. - Poradzisz tu sobie? Wiem, że z początku będziesz się czuła obco. Ale masz zadatki na pierwszorzędną memsahib.

Roześmiała się gardłowo, jakby wiedziała, że ten dźwięk go niepokoi.

- To dobrze? Powinam być pierwszorzędną memsahib? - Machnęła długą, szczupłą ręką w geście pełnym pewności siebie. - Muszę przyznać, że tutejszy styl wydaje mi się atrakcyjny. To dokładnie to, czego w szkole kazali mi się wystrzegać. - Przewróciła oczami. - Rozumiesz, miałyśmy robić użytek z rozumu. Szkoła na przerażająco wysokim poziomie. No dobrze, a ilu masz służących?

Harry Fraser milczał przez chwilę w niepewności.

- No cóż, jest Ah Jong i mój służący, Fatima, amah Ursuli i jej służący, Yahyah. No i mój stajenny, i paru ogrodników, i dhoby i może jeszcze jakiś służący. Nie jestem tak zupełnie pewien. Sądzę, że jest ich może dziewięć albo dziesięć. Trochę trudno się połapać, kiedy wszędzie kręcą się jacyś krewni. W końcu człowiek sam nie jest pewien, kto dla niego pracuje, a kto nie. Ty ich policzysz. To obowiązek memsahib.

- Rozumiem. A wszyscy objadają się na twój rachunek, jak sądzą. Najwyraźniej nie masz bladego pojęcia, kto jest kim. Nie wymieniłeś tego wysokiego mężczyzny, który przyszedł z twoją córką. Jak on się nazywa? Billing?

Fraser pominął milczeniem sposób, w jaki wyraziła się o Ursuli i obdarzył ją swoim najczarowniejszym z uśmiechów. Boże, ależ ona była ładna. Jej włosy płonęły ognistym blaskiem niczym najcieńsze miedziane druciki. W słonecznych promieniach otaczały płomienną aureolą jej bladą, pociągłą twarz o delikatnych rysach. Nad jej górną wargą pojawiły się drobne kropelki potu, a do spoconych skroni przylepiły się mokre obrączki loczków. Każdy jej ruch był płynny i wdzięczny. Uwielbiał dotykać jej skóry, by poczuć pod palcami jej śmietankową gładkość. Miała wspaniałą figurę i w pełni zdawała sobie z tego sprawę. Ale to jemu odpowiadało. Piękna kobieta ma prawo być próżna. Może zachowywać się tak, jakby wiedziała, że każdy mężczyzna pożera ją wzrokiem i marzy o niej na jawie. Nie przeszkadzało mu to. Był dumny, że to on ją zdobył, nie oni. Niech się zastanawiają, jak to jest. Tylko on będzie to wiedział.

- Harry? Możesz się oderwać od rozmyślań o moim... o tym, o czym rozmyślasz i wrócić na chwilkę do rzeczywistości? Guwerner? Jak się nazywa?

Wygłądała na bardzo pewną siebie, rozbawioną i pozornie zapraszającą go do uczestnictwa w zabawie, choć w rzeczywistości nigdy tak naprawdę nie dopuściła go do niej. Uniosła tylko brwi w swoim ulubionym, raczej sceptycznym grymasie i nieco skrzywiła usta. Fraser na razie nie zdołał się przekonać, co chciała przez to wyrazić.

- Billing. Clive Billing. Urszula nazywa go Billy. Wyjątkowy człowiek, zwłaszcza jak na Euroazję. Myśli jak biały, zachowuje się jak biały, ale zgodnie z tutejszymi zwyczajami jest niewzruszony jak skała. To jakaś mieszanka tajsko-holenderska, jak mi się zdaje. Całkiem przystojny jak na mieszańca, nie sądzisz?

Nie zauważył lekkiego ściągnięcia jej ust, niemal grymasu. A może czegoś innego.

- Owszem, i to bardzo. Ale dość sztywny, prawda? Nie za bardzo zrozumieliście jak na wychowawcę?

- O, nie. To tylko taki sposób bycia. W sprawach dotyczących Ursuli jest prawdziwym błogosławieństwem. Nie mogłem jej skłonić do słuchania służących. Zbyt wiele wielkopańskich narowów, od których nie potrafiłem jej odzwyczaić. Billing wybił jej to z głowy.

- Wybił? Mam nadzieję, że nie dosłownie?

Jej głos nie stracił niczego ze swojego opanowania, ale oczy rozwarły się szeroko, jakby w zadziwieniu. Fraser nagle spochmurniał, a jego brwi zbiegły się nad nosem w jedną grubą, czarną linię.

- Niech ręka boska broni tego, który tknie moją dziewczynkę, choćby palcem. W tym domu to ja wymierzam kary. A Billing doskonale o tym wie. Nie wątpię, że co do tego nigdy nie będzie najmniejszego nieporozumienia.

Ostrzegaj ją, co natychmiast wyczuła, mimo iż mówił o gubernierze. Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Z pewnością masz rację. A co z tym zwiedzaniem? Muszę poznać moje włości zanim się tu wprowadzę. A, czy już ci mówiłam, że Marjorie chce nas obsypać ryżem?

Następna godzina upłynęła im na zaglądaniu w każdy kąt bungalowu i otaczających go zabudowań. Właściwy dom stanowił dwupiętrowy, prostokątny budynek, obudowany przestronnymi werandami. Wszystkie pokoje miały wyjęte okna i drzwi, by umożliwić choć odrobinę przewiewu, a pod wysokimi sufitami potężne wentylatory męły powietrze. Wewnątrz panował półmrok, chłodny błogosławiony cień, za sprawą żaluzji z bambusowych deszczulek, powstrzymujących tropikalne słońce i deszcz. Pomalowano je w biało-czarne paski, przez co bungalow pozyskał niemalże elżbietański wygląd. Powietrze w sypialni na piętrze było przesycone wilgocią i nieznacznym odorem pleśni, wydobywającym się z głębszych zakamarków, których sprzątnięciem służba nie zwracała sobie głowy. Łazienki przedstawiały sobą niewiarygodną kolekcję starożytności, a wszystko razem domagało się gospodarskiej ręki, ale Sally była zafascynowana rozmiarami posiadłości i wyraźnym nieliczeniem się z pieniędzmi, co zdradzały zwłaszcza meble. Ich styl przypominał minioną epokę, a sposób rozmieszczenia był zanadto geometryczny i sztywny, ale wyczuwała, że wyposażenie domu stanowiło wspaniały potencjał, z którego można będzie to miejsce uczynić jednym z najbardziej efektownych i pięknych bungalowów Singapuru. Nie traciła czasu na przegląd mieszkań służby. Uśmiechnęła się z zadowoleniem do mężczyzny u swojego boku.

- Zdaje się, że należysz do tych mężczyzn, którzy sądzą, że wszystko jest absolutnie doskonale, wygodne i praktyczne takie, jakie jest i nie wymaga żadnych zmian?

- Gdybym tak uważał, ukochana, nie postałoby mi w głowie, by cię zdobyć. Wiem, jak wy, kobiety, lubicie przerabiać wszystko po swojemu. Masz pełną swobodę, najmiłsza; możesz zamawiać u Robinsona, o czym tylko zamarzysz. Po wiem im, żeby zapisali to na mój rachunek. - Uśmiechnął się szeroko, kiedy wzięła jego dłoń, a ich palce splotły się ze sobą w wilgotnym uścisku. Puścił do niej oko, czego nie znosiła z całej duszy. - Chyba nie brałaś mnie za jednego z tych, co to stronią od podpisów?

- Co takiego?

- No, boją się podpisywać rachunki. Tutaj to najgorsza obraza.

- Skaza na honorze dżentelmena i tak dalej? Cóż, zważywszy, że płacisz za wszystko samym podpisem, nie jestem aż tak zaskoczona. Pomyśleć tylko, coź by to było za kłopotliwe zamieszanie, gdyby nie można było ufać, że ludzie wykupią swoje weksle.

- Kłopotliwe zamieszanie! - Fraser wybuchnął śmiechem, a jego wąsy wydawały się śmiać razem z nim, podrygując wesoło w kącikach ust. Kobiety czasami wyrażają się w tak zawiły sposób, sugerował jego ton. - Moja droga, rozpętałoby się piekło. Na Boga, całe życie w koloniach zatrzęsłoby się w podstawach i zwałiło się nam na głowę. Zdajesz sobie sprawę, że będziemy skończeni, jeśli zółtki rzucą nam w twarz nasze weksle i zażyczą sobie żywej gotówki. Jeśli do tego dojdzie, zapewniam cię, że jako pierwszy spakuję walizki i zwieję stąd.

- Zakładając, że będziesz mógł zapłacić za rejs żywą gotówką. - Przechyliła głowę przekornie.

- I, że nie strątują nas w tłumie uchodźców - dodał. Jego ton nie dopuszczał nawet najślabszej możliwości, że to, o czym mówi, mogłoby być prawdą. Sally Hendricks zdrząła na samą myśl o tym.

- No dobrze, a co będziemy teraz robić? - rzuciła z ożywieniem, starając się czym prędzej zmienić temat. - Wiesz, kochanie, jeszcze nie widziałam starej dzielnicy Singapuru. Może wynajęlibyśmy jedną z tych waszych rikszy i pojechali razem na zakupy? Chcę zobaczyć, och, wszystkie świątynie i bożki, i buddyjskich mnichów, no i, jeśli czas pozwoli, wieszca przepowiadającego przyszłość. - Wyczęła jego wahanie i znowu targnęła nią fala irytacji. Pokryła ją wymuszonym uśmiechem. Być może Fraser nie może się równać z młodym lordem, dla którego przyjechała do Singapuru w nadziei, że odpowiednio zachęcony oświadczy się jej, ale w końcu był Tuan Bezarem, a jego nazwisko bardzo się tu liczyło. A zatem nie będzie wielce szanowaną panią Faulkes-Law; zamiast tego zostanie memsahib, bogatszą ponad najśmielsze oczekiwania. Bycie żoną lorda nie jest aż tak zabawne, kiedy nie ma się komu rozkazywać.

Bardzo rozsądnie opanowała rozdrażnienie i uczyniła wysiłek, by podążyć za rozumowaniem Frasera. Było to zdecydowanie proste zadanie, ponieważ Harry Fraser z pewnością mógł wymyślić ciekawsze rozrywki, niż wciśnięcie się do kruchej rikszy ze szczupłą kobietą u boku. Będzie potwornie gorąco i parno, odór Bras Basah nawet jego czasami doprowadzał do mdłości, a rikszarz o tej porze musi już konać z wyczerpania. Dlatego zastanawiał się, czy wyjaśnić to narzeczonej. Nie, nie ma potrzeby psuć zabawy tej dużej dziewczynce. Jakoś zniesie te parę godzin w upale i zaduchu. A ona już nigdy więcej nie ośmieli się go o to poprosić. Zrobił przenikliwy, szacujący grymas, o którym sądził z ufnością, że jest jego zwykłym wyrazem twarzy i powiedział:

- Co tylko sobie zyczysz, najdroższa. Ten dzień należy do ciebie, ja jestem na twoje usługi, a obiad już nas oczekuje. Zjemy tutaj, czy od razu wyruszymy na wyprawę? Wszystko zależy od ciebie.

Rozpierało go poczucie wspaniałomyślności i poświęcenia wobec słabej płci. Sally uśmiechnęła się.

- A może zjemy w Raffles, a potem pojedziemy stamtąd rikszą? Uwielbiam Palm Court. To tam się poznaliśmy, pamiętasz?

Fraser błysnął białymi zębami pod wąsem. Niech Bóg błogosławi tę małą kobietkę, ależ z niej romantyczka. Ucałował jej miękkie wargi, różowe jak płatki

kwiatu z szacunkiem mającym oznaczać, że trzyma zmysły na wodzy jedynie dzięki potężnej sile woli.

- Powiem Ah Jong, że zjemy poza domem.

- Dziękuję, kochanie. - Sally przytuliła się do niego i pocałowała go w policzek. - Doprawdy, jesteś dla mnie za dobry. Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłam.

- A ja nie wiem, czym sobie zasłużyłem na ciebie - odparł, już teraz zastanawiając się, jak zorganizować wszystko tak, by zabawić ją jak najlepiej. Lubił dowodzić; to dawało mu poczucie władzy, z którym ta potulna odpowiedź nie miała nic wspólnego. A Sally miała tego ponurą świadomość. Nie wspomniała o ciemnowłosym dziecku, które wyzwalało ją do walki o tego mężczyznę i przegrało. Ale jej usta drgnęły w zadowolonym uśmiechu. Wszystko będzie dobrze, tak jak obiecał jej Fraser.

Ursula słyszała ich przyciszzone, śmiejące się głosy, kiedy przeszli obok jej pokoju; stawały się coraz głośniejsze w miarę, jak się zbliżali. Po narodzie zapadło milczenie, zmącone jedynie cichym oddalającym się stąpieniem na palcach. Potem głosy odezwały się znowu, już w pewnym oddaleniu, poważniejsze, aż wreszcie grzmiący wybuch śmiechu papy zabrzmiał tak głośno, że zacisnęła mocno powieki. Zgniotła wilgotną chusteczkę w dłoń, ściskając ją tak, jakby chciała wycisnąć z niej życie. W pokoju panował chłodny mrok; wentylator pod sufitem zataczał kojące kręgi, a ona leżała w bieliźnie na łóżku i ocierała policzek o szorstkie, wykrochmalone prześcieradła. Dhoby zawsze dawała za dużo krochmalu i farbki. Ale pachniały świeżością, czystością i chłodem. Fatima zdjęła jej żółtą sukienkę i schowała starannie do wyłożonej kamforą skrzyni pod ścianą. A potem wróciła do niej, na łóżko, i zaczęła szcztokować jej włosy długimi, delikatnymi ruchami, które przynosiły ukojenie. Ale teraz i ona odeszła w głąb domu, plaskając bosymi stopami o deski podłogi i zostawiła Ursulę własnym myślom.

Kiedy szli po schodach, Billy trzymał mocno jej rękę. Tuliła się do jego boku i pochylała nisko głowę; gnębił ją wstyd - nie za siebie, ale z powodu tego, jak potraktował ją papa. Wstydziła się, że Billy był tego świadkiem i chyba trochę się bała, że nikt już nie będzie się z nią liczyć. Stała się kimś gorszym od służącej: nie znaczyła nic, stanowiła drażniącą przeszkodę. Zamek, w którym panowała jako mała księżniczka, pewna miłości i szacunku swojego otoczenie, nagle zawalił się i teraz zastanawiała się, czy Billy będzie mniej ją lubił? Och, czemuż poprosiła go, żeby został? Dlaczego musiał zobaczyć jej upokorzenie, jej wstyd? Jak papa mógł się stać tak zimny? Taki słaby? Łzy napłynęły jej do oczu i zawisły ciężko na rzęsach tak, że pokój nagle rozpląnął się przed nią.

Billy zaprowadził ją do jej pokoju, zgodnie z poleceniem papy, i powiedział, że przez jakiś czas będzie musiała tu pozostać. Głos miał taki sam, jak zawsze, poważny z cichutką nutką rozbawienia. Wziął ją pod pachy, posadził na łóżku i rozpiął jej dwa górne guziki na plecach, te najbardziej cisnące. A potem pogłaskał ją po policzku, uśmiechnął się i powiedział, że jest z niej dumny. Nie rozu-



miała, dlaczego, skoro nie posłuchała go i zachowała się impertynencko, ale jego głos uspokajał ją; położyła mu głowę na ramieniu, kiedy ukląkł przed nią i objęła go mocno, a łzy potoczyły się ją gęsto po policzkach. Płakała bezgłośnie, a Billy trzymał ją, krztuszącą się smutkiem, który rozrywał jej pierś ostrym bólem. Nie odzywał się, nie starał się jej pocieszać nic nie znaczącymi frazesami, aż wreszcie podniosła na niego oczy, pociągnęła nosem i zdobyła się na to, by zachować się jak dorosła.

- Sądzę, że panna Hendricks jest bardzo piękna - powiedziała niemal spokojnym głosem. Billy uśmiechnął się; na wysokich kościach policzkowych jego skóra była gładka i napięta.

- O, nadzwyczaj. Masz wielkie szczęście, Ursulo. Nie byłoby dobrze, gdyby twoja macocha była brzydka. Ludzie powiedzieliby, że pewnie jest niemiła i traktuje cię jak Kopciuszka. - Roześmiał się, kiedy spojrzała na niego zaskoczona i niepewna, jak zareagować. - Nieważne. Teraz zaśnij. Przyjdę później, kiedy będziesz wypoczęta i poczytamy sobie razem.

- Billy? Ale ty nie odejdziesz na zawsze, prawda? Nawet, jeśli czasami będę niedobra, nie odejdziesz ode mnie, prawda? - Co mogłoby go zatrzymać teraz, kiedy stracił do niej szacunek?

- Nie, Ursulo. Zawsze tu będę, tylko dla ciebie. A teraz śpij. Fatima pomoże ci się rozebrać.

Odwrócił się i odszedł, zanim zdołała porządnie otrzeć oczy i sprawdzić, jaki właściwie wyraz miała jego twarz. Więc westchnęła, bardzo głęboko i zaczęła, aż nadejdzie Fatima.

Zrobiło się późno. Usłyszała samochód, odjeżdżający z papą i panną Hendricks. Nie zostali na obiedzie, a ona schowała twarz w poduszce i udała, że śpi, kiedy Fatima przyszła, żeby ją zawołać. Teraz jej żołądek burczał głośno, domagając się jedzenia. Usiadła i założyła włosy za uszy. Głowa jej ciążyła i bolała jak przy gorączce, ale wiedziała, że to z powodu długiego leżenia.

Wstała, poczuła chłód desek pod rozgrzanymi stopami, i poszła do łazienki. Stał tam wielki zbiornik z wodą i warząchew, którą Fatima polewała ją wodą, kiedy było jej za gorąco. Z prysznicą mogła korzystać tylko raz dziennie. Rozebrała się, pochyliła nad kadzią i zaczęła ochlapywać się wodą. Była zimna i z początku wzdrygała się, i brakowało jej tchu. Ale potem chłodne strumyczki, spływające jej po pośladkach i nogach na podłogę otoczoną kanalikami, zaczęły sprawiać jej przyjemność. Chłonęła ze skupieniem ulgę płynącą z poczucia czystości i chłodu, smakowała łaskoczący dotyk strug wody, obmywających jej ciało, chwilowe ustąpienie upału, zanim znowu się pojawi. Podniosła wyżej warząchew i zaczęła polewać sobie głowę; mokre włosy przykleiły się jej do czaszki, a do ust wdzierał się istny potop. Roześmiała się na głos.

Kiedy znowu otworzyła oczy, zobaczyła Billy'ego, uśmiechającego się do niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Pstryknął palcami i wskazał na zegarek; i tak by go nie usłyszała po ostatniej nawałnicy, która zalała jej uszy. Po

chwili odwrócił się i zostawił ją samą. Wszystko było do zniesienia, dopóki przy niej był, łagodząc uśmiechem ból, o każdej porze gotów, by ją obronić. Może papie już się znudziła, ale nie jemu. On będzie jej matką i ojcem. Miała ochotę go zawołać do siebie, ale wiedziała, że jej nie odpowie. Był zadowolony, kiedy wychodziła z łazienki cała różowa i wyszorowana szczotką przez Fatimę tak, że aż błyszczała, ponieważ czystość odgrywała tu wielką rolę. Ale czasami uważał, że spędza w łazience zbyt wiele czasu. Dlatego nie odpowiadał jej, dopóki nie pojawiała się w pokoju.

Powiesiła warząchew w niemal pustej kadzi i owinęła się dużym białym ręcznikiem, którym wycierała ją Fatima. Billy siedział na łóżku z głową opartą na rękach. Wyglądał na zmęczonego, ale przecież nie odbyli jeszcze lekcji, więc wiedziała, że nie miał się jeszcze czym zmęczyć. Podeszła do niego i położyła mu na dłoni małą chłodną rączkę.

- Jesteś chory, Billy?

Usłyszała jego stłumiony śmiech, a kiedy podniósł głowę, ujrzała, że się śmieje. Poczowała taką ulgę, że w oczach stanęły jej łzy.

- Myślałam, że gniewasz się na mnie, bo siedziałam za długo w łazience i zużyłam całą wodę. Ale nie zużyłam całej. Jeszcze trochę zostało. I wykąpałam się zupełnie sama, bez Fatimy. Już mnie nie musi kąpać.

- Tak? Cóż, jesteś już dużą dziewczynką. Więc skąd znowu te łzy? Myślałem, że już się wyplakałaś? Duża dziewczynka, która kąpie się sama, nie może bez przerwy chlipać.

- Sądziłam, że jesteś chory, bo opierałeś głowę na rękach. Ale już wiem, że nie, bo się roześmiałeś. Ja już nie płaczę z jej powodu. - Ucieszyła się, kiedy przyciągnął ją ku sobie i przytulił policzek do jej twarzy. Był chłodny i gładki, nie tak jak papy z jego ostrymi wąsami i pachnący wodą kolońską. Przytuliła się mocniej, słuchając uważnie tego, co mówił. Może jednak był chory, bo normalnie nigdy nie odzywał się tak cicho i niewyraźnie. Przynajmniej nie do niej. Zaczęła mu się przysłuchiwać z natężeniem. Było coś o tym, że nie zawsze będzie obok niej i że musi się nauczyć być silna. Ale na razie jest zbyt mała, i za bardzo samotna, żeby ją zostawić. Zostawić! Ale przecież całkiem niedawno obiecał, że nigdy jej nie opuści. Poczowała przeszywający skurcz paniki i przywarła kurczowo do jego ręki, zdecydowana nie pozwolić mu odejść. Pocałował jej włosy i powoli wyswobodził się z jej uścisku.

- Nie bój się, *cahayamata*. Jesteś moim dzieckiem, moją duszą. Nigdy cię nie opuszczę, dopóki nie będziesz gotowa. I nawet wtedy będę zawsze z tobą, tutaj. - Dotknął piersi ponad sercem. Potem odsunął ją od siebie, uszczypnął leciutko w nos i powiedział, żeby się ubrała, skoro jest taką dużą dziewczynką. Oznajmił, że zaczeka na werandzie, a potem sobie poczytają. I wyszedł, zostawiając ją owiniętą w wielki ręcznik, głowiącą się, gdzie też Fatima schowała jej sukienkę w paseczki.

## Rozdział drugi

Znalazła Billy'ego na dole, siedzącego na niskim murku werandy. Opierał się o kolumnę, zginając jedno kolano. W przypadku każdego innego człowieka wyglądałoby to na sztuczną pozę, ale Billy przybrał ją w sposób tak naturalny, wypatrując odległym spojrzeniem czegoś na horyzoncie... Znała ten nieobecny wyraz, który czasami pojawiał się w jego oczach. Oznaczał on, że Billy wspomina. Co, tego nie była pewna. Może rodziców, przyjaciela albo coś ważnego, co niegdyś się mu przydarzyło. W takich przypadkach niemal nie słyszał jej pytań, nie czuł dotyku ani szarpania za rękaw. Kiedyś przeczytał jej sanskryckie przysłowie, wymawiając słowa w swój spokojny sposób tak, że miała wrażenie, iż w gruncie rzeczy mówi do siebie. Zapamiętała szczególnie następujący fragment: „... ponieważ wczoraj snem jest jedynie, a jutro tylko marzeniem”. Wyjaśnił jej, że chodzi o to, iż powinna żyć powoli, robiąc krok po kroku, smakując życie, ponieważ dzień dzisiejszy jest tym, co staje się wspomnieniem i jednocześnie zapowiedzią przyszłości. Tę kwestię wyjaśniał jej często z upodobaniem.

Miał na sobie jasnokremowy lniany garnitur, obszerny i luźny, ale w jakiś sposób bardzo elegancki. Czasami, kiedy jej ojca nie było w pobliżu, a na dworze panował wyjątkowy upał, zdejmował marynarkę, podwijał rękawy białej koszuli, rozpiął guzik pod szyją i rozluźniał krawat na tyle, by móc swobodnie odetchnąć. Ursula bardzo lubiła te chwile; wyglądał wtedy tak niedbale, lecz atrakcyjnie ze skórą koloru złota, ciemniejącą w miejscu, gdzie rękawy były podwinęte i z długą gładką linią ramion. Tego ranka była wytrącona z równowagi, i nie zauważyła, jak ładnie dziś wyglądał. Pewnie specjalnie się ubrał na spotkanie z tą kobietą. Nie mogła myśleć o niej inaczej, niż „ta kobieta” i prawdopodobnie już zawsze będzie ją tak nazywać. To zresztą nie miało już żadnego znaczenia. Ta kobieta

w oczywisty sposób zamierzała z nimi zostać, sądząc po sposobie, w jaki uwiesiła się ramienia papy. Ale nie mogła się liczyć, dopóki Ursula miała przy sobie Billy'ego.

Zauważyła krawat, którego jeszcze u niego nie widziała. Przypominał barwy regimentu, ale nie przypuszczała, żeby Billy nałożył coś, do czego nie miał prawa. Potem zwróciła uwagę, że jego węzeł był ozdobiony spinką w kształcie małej złotej beleczyki z końską podkową. Tę spinkę także widziała po raz pierwszy. Może dostał ją od swego ojca. Czasami zastanawiała się, czy ojciec Billy'ego jest taki, jak jej papa. Wiedziała, na czym polegają mieszane małżeństwa; papa wyjaśnił jej to niegdyś dodając, że tak nie należy robić. Ale rodzice Billy'ego zrobili to i Billy wyglądał dobrze. Nie rozumiała, dlaczego papa powiedział, że z takich związków rodzi się ni to, ni owo, co tylko utrudnia życie. Ale Billy nie utrudniał jej życia.

Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na nią, siedzącą cichutko na schodku werandy i przypatrującą się mu z uwagą. Miał rozmarzone spojrzenie i ciemne podkwy pod oczami; takie ślady tworzą się na dojrzałych owocach, kiedy ktoś sprawdzając je pozostawia odcisk kciuka na ich jedwabistej skórze. Poczwszy na sobie jej spojrzenie, odwrócił się od zbrocza biegnącego w dół ku budynkowi klubu i padangu. I tak nie można było zbyt długo przyglądać się czemuś z takiej odległości. W ostrym świetle wszystko wydawało się wibrować, a rozgrzane drgające powietrze pokrywało ziemię przejrzystymi falami. Czuł, że oczy zaczynają go piec i palić, a kiedy zamrugał powiekami, napływające łzy wydały się mu gryzące niczym kwas. Odwrócił się ku tonącej w mroku werandzie. Nie widział niczego, ale widział, że Ursula tam czeka. Po kilku sekundach, kiedy jego wzrok wreszcie przyzwyczał się do ciemności, dostrzegł jej zgarbioną postać, przykucniętą u progu drzwi. Lubiła siadywać, obejmując dłońmi kolana i opierając na nich brodę. Jej spojrzenie było skierowane dokładnie na niego.

- Cóż, **ker**, siedziałas bardzo cicho. Czy jesteś gotowa, by znowu cierpliwie przyjmować to, co przyniesie życie?

Lubił nazywać ją imionami zwierząt, jak małpka, częściowo ze względu na przesady. Bogowie nie będą wówczas zazdrośni i nie zechcą się mścić na za bardzo kochanym dziecku. Oczywiście nie wierzył w takie zabobony, chciał jedynie, żeby poczuła się niepewnie. Była dla niego zaledwie doskonała, zbyt mała i krucha, za bardzo uduchowiona i kochająca. Jak Fraser mógł ją tak potraktować? On prędzej odciąłby sobie rękę, niż wyrzekł się własnego dziecka i wybrał obcą kobietę. Ale Brytyjczycy potrafią tak się zachowywać; zimni i odpychający dla krwi z własnej krwi, lecz absurdalnie sentymentalni wobec zwierząt i ludzi, których nawet dobrze nie znają. Ale w przypadku Frasera nawet to było dziwne. Zawsze wydawał się oddany swojemu dziecku. A teraz wybrał oddanie innego rodzaju, pomyślał Billy z pogardą, której nie potrafił całkiem ukryć. Nigdy nie miał żadnych uczuć dla kobiet w rodzaju Sally Hendricks, a teraz zorientował się, że nie ma również cierpliwości dla mężczyzn takich, jak Fraser. „Nie zaślepiiony, lecz łagodnie oczarowany kobiecym wdziękiem”. Zdanie nagle pojawiło się w jego głowie. Czy Fraser był zaślepiiony? A może doskonale zdawał sobie sprawę, co

kryje się za uśmiechami i dąsami panny Hendricks? Tak czy owak, teraz to wydawało się nieistotne. Wszystkie wskazywało na to, że będzie musiał zająć miejsce Fräsera w sercu Ursuli i ustrzec to dziecko przed goryczą. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją opuścić albo że mógłby nie mieć prawa, by zająć miejsce jej ojca. Wiedział tylko, że są granice, których nie może przekroczyć nawet nowa memsahib. Inne dzieci wyjeżdżały do szkół z internatem, ale Fräser oznajmił raz na zawsze, że jego córka nie znajdzie się pomiędzy obcymi, którzy by nią pomiatali. Chyba, że go sprowokuje. Billy uważał, że nawet wtedy Fräser nie zmieniliby tak łatwo zdania.

- Chodź, Ursulo. Ah Jong nakryła do herbaty. Pewnie już zgłodniałaś. Prześpałaś obiad. Zjedz posiłek, a potem spokojnie sobie poczytamy.

Wzięła ją za rękę i podniósł. Odetchnęła głęboko.

- Masz ładny krawat i spinkę. Są nowe? - Zaczęła mówić o czymkolwiek, żeby przełamać zakłopotanie. Nadal nie mogła zapomnieć, że Billy był świadkiem jej upokorzenia ze strony tego, który do tej pory jedynie ją chwalił.

Zawahał się.

- Krawat jest nowy. Spinka należała do mojego ojca.

- Ale czy to nie kolory regimentu, czy coś w tym rodzaju?

Wyczuła, że nie ma ochoty jej odpowiedzieć. Ucisnęła mu rękę i odsunęła się trochę tak, by móc spojrzeć mu w twarz.

- Owszem. Są takie organizacje, które nie należą do regularnej armii. To rodzaj... cywilnej obrony, na wypadek ewentualnych kłopotów. Należę to takiej organizacji.

- Naprawdę? I przeciw komu będziecie walczyć? - Poczuli się zaskoczona. Wydawało się jej, że Singapur jest bardzo spokojny. Ale przecież Billy nie należał do mężczyzn lubiących bawić się w wojnę.

- To bez znaczenia. Ludzie nie wykorzystują silnych, tylko słabych. No, od czego chcesz zacząć? - Skinął na nią, by podeszła do stołu i leżącej na niej sterty podniszczonych książek. Przejrzała je i wzruszyła ramionami. - Od „drapiących i malowanych ptaków i fasolek”. Dlaczego te ptaki są malowane? Nie można zmusić ptaka, żeby stał spokojnie tak długo, żeby można go było pomalować.

- Nie prawdziwego, nie. To drewniane ptaki, zabawki, zrobione tak, żeby wyglądały jak dzikie ptaki Dalekiego Wschodu. Takich ptaków nie można trzymać w zimnym klimacie. Umarłyby.

- Chyba nie chciałabym żyć w takim miejscu. Może też bym umarła i pomalowałyby mnie, żebym wyglądała, jakbym nadal żyła?

Billy uśmiechnął się do niej.

- Więc musisz pamiętać, że Daleki Wschód jest miejscem, do którego należysz i trzymać się z dala od chłodu. A jak brzmi cały wiersz?

*Bransolety i gongi, paciorki i dzwonki,  
Szumiących muszli zwoje, bożki, święte dzwonki,  
Podczas gdy na przyziemnych salonu rejonach  
Króluje dobra Szkocja, prosta i znajoma.*

***Wystarczy wejść na krzesło, by oto przed nami  
Bajeczny Wschód rozbrłysnął ze swymi skarbami.***

Wdrapała się na krzesło i osłoniła oczy dłonią, jakby wypatrywała czegoś w oddali. Powoli opuściła rękę i spojrzała na niego, niemal prosto w oczy.

- To bajeczne, prawda? Myślisz, że ona też powie, że to bajeczne? - Jakoś nie mogła porzucić tego tematu, powściągnąć dręczącej ją ciekawości. Billy wzruszył ramionami.

- Być może. Choć może z innych powodów. Dla każdego liczą się inne rzeczy, dzięki którym coś wydaje się im wyjątkowe. Nie sądzę, żeby panna Hendricks była tu tak nieszczęśliwa, by musiała wyjechać. Przynajmniej jeśli ty tego nie spowodujesz. A wtedy możliwe, że to nie ona mogłaby opuścić dom. Widzisz, jesteś już dość duża, by pójść do szkoły.

Widok jej nagle nieprzeniknionego wyrazu twarzy, po raz pierwszy w życiu kryjącego przed nim uczucia, sprawił mu ból. Panna Hendricks zaczęła ją nieświadomie uczyć, jak być memsahib i zrobiła to zbyt dobrze - i za wcześnie. Ale Ursula musiała umieć się bronić i powinna wiedzieć, jaka jest rzeczywistość. Lepiej być ostrzeżonym i przygotowanym na cios, by nie załamać się, kiedy spadnie.

Zeszła z krzesła i usiadła w milczeniu.

- A więc powinienam spełniać moją powinność, czy nie?

***Dziecko powinno mówić tylko samą prawdę  
i odpowiadać na każde pytanie.  
Zachowywać się grzecznie przy stole:  
o tyle, o ile jest w stanie.***

W jej głosie brzmiała gorycz, nowa i dziwnie dorosła. Ten ton nie podobał się Billy'emu, ale musiał z podziwem zauważyć, jak zgrabnie nadała ich rymowanej zabawie zupełnie inne znaczenie. Była inteligentnym dzieckiem, czasami zbyt inteligentnym i świadomym. Dziecko, które od urodzenia było wychowywane na osobę dorosłą. Westchnął głęboko.

- To prawda. „O tyle, o ile jest w stanie”.

- Prawdę mówiąc, mogę nie być tak posłuszna, jak życzyłby sobie papa. Billy, co mam robić? Uśmiechać się i kłamać? - Jej brwi, proste i mocne, zbiegły się u nasady nosa, nadając jej twarzy wyraz niezłomnego uporu. Mina jej ojca. Billy udał, że tego nie zauważa.

- Spójrz w oczy faktom. Twój ojciec ponownie poślubi kobietę, za twoim przyzwoleniem lub bez niego. Jeśli będziesz się uparcie sprzeciwiać, tylko pogorszysz swoją sytuację. Wiesz, że twój papa kocha pannę Hendricks. Nie zmuszaj go do zdecydowania się na wybór. A jeśli to zrobisz, przygotuj się na przegraną - mówił tym swoim wyważonym tonem, który powodował, że wszystko brzmiało tak straszliwie logicznie i słusznie, że czasami miała ochotę krzyczeć. Teraz po prostu odwróciła się i wzięła tom poezji. Otworzyła go w miejscu,

gdzie przerwali poprzednim razem. Nie spojrzała na tacę z jedzeniem. Głód gdzieś zniknął, zastąpiony przez gorycz, a jej żołądek pulsował bólem nieznannej emocji.

- Dobrze, Billy. Zacznijmy już - rzuciła niecierpliwie, wyginając na kolanie grzbiet książki. Przez następną godzinę Billy przyglądał się jej głowie pochylonej nad wierszami Roberta Louisa Stevensona. Jego twarz była tak samo zamknięta i ściągnięta, jak jej. Niegdyś, dawno temu, poznał gorycz odrzucenia; on i jego matka. A wkrótce potem także on sam. Ale Ursula nie będzie w ten sposób opuszczona, pomyślał z zaciętością. Nie ona!

Aż do tego dnia Robert Louis Stevenson był ulubionym poetą Ursuli, tak jak żółta sukienka była jej ulubionym strojem. Ale od tego czasu za każdym razem ich wspomnienie napawało ją wstrętem.

Ślub odbył się w ogrodzie pod **ogromnym namiotem**. Sally życzyła sobie, żeby zawrzeć małżeńskie więzy w katedrze Świętego Andrzeja obok klubu krykietowego, ale Harry przeciwstawił się jej z nieprzejednanym uporem. Powiedział, że wypróbował już ten sposób i teraz chce się trzymać z dala od niego. Sally uwróciła go i błagała, płakała i gniewała się, ale bez żadnych rezultatów. Harry zwrócił na nią swoje blade oczy i spytał, na ile naprawdę go kocha, a ile z tego stanowią jej sztuczki. Wtedy się poddała. Tak czy tak, ślub był piękny. Namiot został wykonany z bladej żółtej jedwabiu, podtrzymujące go słupy były oplecione ciemnozieloną winoroślą. Stoły ugiwały się pod ciężarem kamelii, oleandrów, orchidei i kwiatów frangipani, przesycających powietrze wonnym aromatem, oraz świec, których płomyki drgały pod podmuchem nocnego wietrzyku. Sally wystąpiła cała w bieli, a Harry z zadowolonym uśmiechem kojarzącym się z zawarciem korzystnej transakcji wsunął jej obrączkę na smukły palec. Oboje wiemy, o co nam chodzi, pomyślał. Nie tak jak Lilian. Wzruszeniem ramion odepchnął od siebie tę myśl i poprowadził swoją małżonkę na parkiet, by rozpocząć pierwszego walca.

Ursula nie pojawiła się na przyjęciu. Wystąpiła jako dziewczynka rzucająca kwiaty przed panną młodą, nie odrywając napiętego spojrzenia od tego, co się przed nią rozgrywało. Chłopcy Hendricksów stali tuż obok niej i Rodney celował w jej nogi kawałkami winnych pędów i cierniami. Kopnęła go wreszcie, narażając się na surowe spojrzenie pani Hendricks i paru innych gości. Rodney uśmiechnął się i spojrzał niewinnie przed siebie. Nabożeństwo ciągnęło się w nieskończoność. Ursula widziała bardzo niewiele, jedynie szerokie plecy papy, opierające się o pannę młodą. Ale kiedy papa pocałował pannę Hendricks, wstrząśnięta zdała sobie sprawę, że to już się stało. Nie będzie odwrotu. Jakby na potwierdzenie jej rozmyślań, nowa memsahib objęła Harry'ego Frasera i spojrzała na Ursulę z nieruchomym uśmiechem, w którym było znacznie więcej triumfu, niż ciepła. Ursula odwróciła się, wmieszała w tłum gości spieszących z powinnowaniami i zniknęła w mroczniejącym ogrodzie. Rodney spojrzął za nią tęsknie i zaczął rzucać zielskiem w brata. Nie poczuł się zaskoczony, kiedy Ste-

phen wybuchnął płaczem, przeraźliwym zawodzeniem domagającym się współczucia od kogokolwiek stojącego na tyle blisko, by pospieszyć mu z pomocą. Rodney westchnął i wyraził w myślach gorące życzenie, by Ursula wróciła, zanim przyjęcie stanie się nudne nie do zniesienia. Przynajmniej miała na tyle charakteru, by mu oddać.

Ursula ruszyła na poszukiwanie Billy'ego, jak zawsze, kiedy chciała odzyskać równowagę i potrzebowała pociechy. Siedział na tyłach domu; zaproszono go na przyjęcie, ale wolał nie skorzystać. Przyszedł jedynie ze względu na Ursulę. Usiadła za nim na stopniach prowadzących do kanału melioracyjnego. Było tu cicho i przyjemnie, a Billy objął ramieniem jej drobną figurkę i przyciągnął ją ku sobie w krzepiącym uścisku. Położyła mu rękę na kolanach i wymruczała pod nosem coś o intruzach, źle wychowanych chłopcach i braku lojalności jako takim. Billy nie odpowiedział. Wreszcie, nieco zdziwiona jego milczeniem, pociągnęła go za marynarkę i spojrzała mu w twarz. Tonęła w cieniu rzucanym przez zadaszenie werandy; nawet światła sączące się z domu nie zdradzały jego wyrazu.

- Co się stało? Nie chcesz ze mną rozmawiać?

Poruszył się na jej słowa, pogładził jej dłoń, powolnymi, znękanymi ruchami rozmasowując skórę na jej kostkach.

- Nie teraz, Ursulo. Muszę pomyśleć. Posiedź tylko przy mnie, ale cichutko.

I westchnął głośno i przeciągle. Takie zachowanie bardzo nie pasowało do Billy'ego. Może miał jakieś rodzinne problemy? Ale nie, przecież wychował się w sierocińcu. I nie miał niemal żadnych kłopotów z pieniędzmi, tego była pewna. Żył zbyt skromnie, a papa płacił mu dobrze. Zamilkła, zaskoczona, ale objęła go mocno. Sally mogła sobie zabrać papę, a ona miała Billy'ego. Bez wątplenia to ona na tym wygrała. Trzymał ją w mocnym uścisku, aż wreszcie usnęła mu na kolanach, zmęczona napięciem i własnym nieszczęściem. Jej głowa opadła bezwładnie niczym główka lalki; Billy ocknął się wreszcie z zamyślenia. Zapadły już zupełne ciemności, nocne odgłosy niesły się w ciepłym powietrzu, chrobot cykad walczący z wiatrem świszczącym w pustym wnętrzu bambusa. Dziecko siedzące obok niego wydawało się zbyt małe na taką porcję emocji. Wziął jej śpiące ciało w ramiona, powoli wstał i zaniósł je do domu. Zaspana Fatima przejęła od niego dziewczynkę, kiedy pojawił się z nią w sypialni. Na jej spokojnej twarzy nie było zaskoczenia.

- Miała długi dzień na głowie, i smutny Niech malutka śpi. - Zerknęła na Billy'ego. - Nie trap się tak. Wszystko będzie tu dobrze.

Billy rzucił jeszcze jedno spojrzenie na śpiące dziecko i wyszedł bez słowa. Za jego plecami Fatima przebierała Ursulę na łóżku, mrużąc do siebie o strachu, który paraliżuje przed uderzeniem węża. A na zewnątrz w ogrodzie było bardzo wesoło.



Minęły niemal trzy miesiące, zanim Ursula znowu spotkała się z Sally. Państwo młodzi spędzili miesiąc miodowy w Europie; Ursula pamiętała, jak następnego dnia po ślubie papa pochylił się bardzo wczesnym rankiem nad jej łóżkiem i pocałował ją na do widzenia, kłując ją przy tym wąsami. Ledwie przyjęła jego obecność do wiadomości. Odwróciła się w udawanym uśpieniu i zakryła twarz dłońmi. Harry Fraser wyszedł, nie domyśliwszy się niczego. A teraz chwilowe odroczenie wyroku zostało cofnięte i oto Sally wkroczyła na schody prowadzące do domu, zagłuszając ostrym śmiechem delikatne popołudniowe szemranie cykad, a jej gorejące włosy wdarły się niespodziewanie w spokój wygodnej egzystencji Ursuli. Dziewczynka wstała i zaczęła w milczeniu, aż ktoś się do niej odezwie. Sally rzuciła okiem w jej kierunku, ale posłała jej jedynie najbledszy cień uśmiechu. Ursula zrobiła wysiłek naśladownictwa, ale na jej twarzy pojawił się grymas. Sally już była od niej odwrócona i witała się z panem Billingsiem, zdejmując jednocześnie rękawiczki z białych, szczupłych rąk.

- A, pan Billing. Tuan zatrzymał się w biurze. Mój Boże, można by się spodziewać, że przynajmniej zechce odwiedzić mnie do domu, ale przypuszczam, że wy, mężczyźni, tacy już jesteście. Choć pana to chyba nie dotyczy, nieprawda? Pan zjawił się, żeby mnie przywitać. - Roześmiała się i przelotnie poprawiła aureolę rudych włosów. - Och! Czy to nie głupie, że zwracam się do pana tak oficjalnie, kiedy z pewnością wołałby pan, żebym używała raczej pańskiego imienia. Jak panu właściwie na imię, hm? Proszę się mnie nie wstydzić, nie ugryzę!

Podeszła bliżej i na wpół odwróciła się od niego, rzucając mu ukośne spojrzenie ciemnych rozbawionych oczu i olśniewając bladą urodą wygiętej szyi. Wypełniła sobą pokój, rozświetliła go włosami, cerą i wirującymi spódnicami, wdarła się w niego śmiechem, zagłuszyła dziecko zapomniane w mrocznych kątach domu. Co mogła mieć ta ciemnowłosa dziewczynka, czego nie miała ona? Przez chwilę Ursula myślała, że Billy odpowie. Żołądek ścisnął się jej w bolesny węzeł. Ale pan Billing pozostał nieporuszony, z nieprzenikniętym wyrazem twarzy i oczami zasnutymi prywatnymi rozmyślaniami. Pochylił głowę z uszanowaniem.

- To byłoby niestosowne, proszę pani. Nie sądzę, żeby pan Fraser to zaaprobował. Czy mam wezwać Ah Jong? Z pewnością jest pani zmęczona i chce się pokrzepić po podróży.

Odwrócił się i zniknął, zanim Sally zdążyła wykrztusić z siebie coś więcej, niż okrzyk rozdrażnienia. Światło, jakim jaśniała, zgasło w ułamku chwili, kiedy spojrzała na dziecko w rogu pokoju. Ursula uśmiechnęła się; był to tylko nieznaczny uśmieszek, ale Sally zrozumiała, co oznaczał. To ciemnookie dziecko nauczyło się walczyć o swoje.

- Nie powinnaś odrabiać lekcji czy czegoś takiego? - W jej głosie zabrzmiały ostre tony. Ursula skinęła głową.

- Uznaliśmy, że zrobimy przerwę, żeby powitać papę i... ciebie. Ale Billy zgodzi się, żebyśmy zaczęli już teraz. I tak nie lubi marnować czasu.

I spokojnie poszła na górę z nieznacznym uśmiechem, wyzywającym tę kobietę, by spróbowała jej odebrać Billy'ego tak, jak zabrała jej papę.

Następne tygodnie minęły w pełnym napięcia spokoju, który niemal nie zdradzał cichej walki pomiędzy dwiema paniami domu. Czasami wybuchy gniewu uderzały w Harry Frasera, ale on ignorował je niezmiennie; jego jasne oczy wydawały się nie dostrzegać niczego, co nie mogło sprawić mu przyjemności. Służba stała się cicha i nieruchawa, a częste bury, jakie dawała im Sally, wprawiały ich w stan tępego osłupienia. Ursula nie odstępowała Billy'ego ani na krok wyjąwszy pory posiłków, a jej zwykły śmiech i beztraska ustępowały miejsca ostrym ruchom i nerwowym szeptom, które znikaly jedynie wtedy, gdy Sally udawała się do miasta, gdzie wydawała coraz większe sumy z konta Harry'ego Frasera. Potem przy śniadaniu wybuchały wściekle i zduszone awantury, kiedy Fraser otwierał pocztę. Nie minął miesiąc, a Sally nabrała zwyczaju jadaenia samotnych późnych śniadań na werandzie, dobre parę godzin po tym, jak Harry wyszedł do gabinetu, a Ursula zaczęła lekcje. Ursula została zwolniona z obowiązku towarzyszenia Sally, więc nowa pani Fraser przydziła się śmiertelnie; właśnie wtedy nabrała nawyku, który wydawał się Ursuli bardzo dziwny. Niespodziewanie pojawiała się w sali lekcyjnej, oparta kuszaco o framugę drzwi starając się uśmiechami i naburmuszonymi minkami skłonić pana Billinga, by towarzyszył jej na spacerze po ogrodzie. Ursula patrzyła na tę kobietę z cichą furią, a Billy z coraz większym trudem znajdował nowe wymówki; stawał się wrogi i nieporuszony, kryjąc się za tarczą obojętności, która nigdy do końca nie wydawała się pogardą, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej irytowała Sally. Zlodowaciała ze strachu oliwkowa skóra Ursuli rozgrzewała się powoli, a usta wyginały się w uśmiechu ulgi.

Takie napięcie nie może się wreszcie nie rozładować, myślała Ursula w ciichości ducha i obmyślała sposoby pozbycia się Sally. Nie mogła jednak przedsięwziąć niczego, co nie wymagałoby osobistego udziału jej lub Billy'ego, a na myśl o uwikłanie się w awanturę pomiędzy nią, Sally i papą wzdygała się ze zgrozą. Gdybyż istniał jakiś sposób na pozbycie się Sally, życie znowu stałoby się znośne. Wzdychała, dawała za wygraną i obserwowała Sally, niczym starszka podglądająca świat zza firanki. A Sally wreszcie nagrodziła jej wysiłki.

Atmosfera oczyściła się dzięki pierwszemu dużemu przyjęciu u Fraserów. Tego samego dnia ustawiono nowe meble, a Sally spędziła całe popołudnie w mękach przerażenia, że ostatnia kryta perkalem sofa nie przybędzie na czas.

Ale do czwartej po południu wszystko stało na swoim miejscu, cały dom wypełniły kwiaty, wypolerowane srebra lśniły, nowe firanki powiewały lekko na delikatnym popołudniowym wietrzyku, a Sally oddaliła się wreszcie, by wziąć dobrze zasłużoną kąpiel i przebrać się. Papa powiedział Ursuli, że może powitać gości razem z Sally i zostać przez chwilę, zanim pójdzie spać. Pana Billinga poproszono, żeby został i doglądał Ursuli. Sally dopilnowała tego. Tak, jak wszystkiego. Typowe dla niej, że zdecydowała się wystąpić w kolorach, na które inne

rudowłose kobiety nie ośmieliłyby się sobie pozwolić. Tego wieczoru pojawiła się w obcistej złotej koktajlowej sukni bez ramion, która lśniła oślepiającym blaskiem w świetle lamp i przyćmiewała inne kobiety tak, jak słońce zaćmiewa gwiazdy. Mężczyźni tłoczyli się wokół niej, kobiety bladły z zazdrości. Harry Fraser promieniał, a Ursula trzymała się z daleka. Sukces był już prawie pewny. I wtedy pojawiła się Carolyn Sunderland.

- Carrie, kochanie! Nie widziałam cię od wieków! Co, na Boga, zrobiłaś z tym swoim boskim mężem?

Harry Fraser usłyszał uwagę żony i odwrócił się gwałtownie z mocno zacziernionymi ustami. Będę musiał zamienić parę słów z kochaną żoneczką, pomyślał. Whisky w kieliszku zachybotła się od siły jego chwytu. Miał tego powyżej uszu w Europie. Kochanie to, kochanie tamto, pocałunki w policzek i może nie tylko w policzek, kiedy od czasu do czasu znikała w jakimś przeklętym długim korytarzu. Za wiele przeklętych korytarzy jak na taką przeklętą żoneczkę. Zachowuj się, upomniał się surowo. Pociągnął mały łyk z kryształowego kieliszka z twarzą zastygłą w grymasie i rzucił Sally twarde spojrzenie. Za wiele korytarzy, za wiele nowych kieliszków, za wiele wydatków i nie dość tego, czego się spodziewał. Ich spojrzenia spotkały się; jej usta zadrgały w tym enigmatycznym uśmiešku, który oczarował go zaledwie parę miesięcy temu. Potem odwróciła się, by powitać przybyłą kobietę. Cmoknęła powietrze pomiędzy nią i tamtą, śniadą i opaloną. Sally zaś była blada i jasna. Stanowiły dla siebie doskonałe tło, kiedy stały ramię w ramię i pozwalały się podziwiać. Carrie wzruszyła ramionami.

- Jest tu gdzieś w okolicy. Zawsze w okolicy, nigdy tam, gdzie trzeba. Prześięgam, że lada dzień wsadzę mu w nos złote kółko na łańcuchu. Może go upilnuję. - Wybuchnęła śmiechem, a Sally zawtórowała jej. - A skoro mowa o boskich mężczyznach, gdzie jest ten twój nauczyciel? Mam nadzieję, że nie kryje się w sali wykładowej?

Przez twarz Sally przemknął grymas niezadowolenia. Carrie uniosła brwi.

- Och, stoi tam, w kącie i nie spuszcza oka z tej... z Ursuli. - Sally wydeła usta. Wcale na mnie nie zwraca uwagi, niestety. Jest zdania, że zbyt często przerywam mu lekcje. Ale Harry świata nie widzi poza nim i Ursulą! Dobry Boże, ta mała uważa, że jej „Billy” został stworzony specjalnie dla niej. Przeszywa mnie wzrokiem, kiedy tylko uśmiechnę się do tego biedaka. Mała jęcza! - Roześmiała się, by zatuszować jad, brzmiały w jej głosie. Carrie zagryzła policzek od wewnątrz i zwróciła zielone lśniące oczy w stronę odległego kąta sali. Zamruczała cicho pod nosem jakąś melodyjkę.

- Mogę spróbować?

- Co?... A! No, nie sądzę... Wiesz, to Euroazjata. Ale jeśli cię to nie odstrasza, to proszę bardzo, czuj się zaproszona. Chętnie zobaczę, jak spada z tych swoich świętoszkowatych wyżyn. Tak! Weź się za niego! Zobaczymy, co potrafisz.

Pomysł wydał się Sally wyśmienity i w ułamku chwili wprawił ją w doskonały humor. To, co z początku zapowiadało się na nudny kolonialny romansik, jeden z wielu, nagle okazało się całkiem zabawne. Dzięki Bogu nie wszyscy

byli tu takimi prowincjonalnymi nudziarzami. Na chwilę wróciła myślami do Europy i podbojów, których dokonywała tam z taką łatwością, i jej dobry humor nieco przygasł. Tamci mężczyźni jej pragnęli, a jakiś przekłety Euroazjata zrobił jej taki afront i zachowywał się, jakby swoją obecnością znieważała ziemię, po której stapał. Zmrużyła z nienawiścią oczy, ale po chwili uspokoiła się. Co tam, do cholery! Jeśli Carrie zdoła przełamać tę barierę, kto wie, co może się zdarzyć?

Carrie posłała jej całusa i zanurzyła się w tłumie; jej sylwetka gięła się wdzięcznie, bez wysiłku lawirując pomiędzy ludźmi. Carolyn Sunderland należała do kobiet, które nie będąc obdarzone prawdziwą urodą, narzucają ludziom przekonanie, że należą do największych piękności. Smukłe jak trzcina ciało, opalone dzięki tenisowi i pływaniu, ciemne, elegancko przystryżone włosy i stroje skrojone tak, by tuszować niedostatki figury... Trzydziestoparoletnia i przykuta do męża, który nie widział powodu, dla którego miałby odmawiać sobie małych romansów, stała się jedną ze znudzonych mężatek na obczyźnie, bez ustanku wypatrujących odmiany w rodzaju przygody z młodym nauczycielem. Carrie spodziewała się, że pan Billing okaże się bardzo stymulującą przygodą. Właściwie nie wiedziała, dlaczego tak ją pociągał. Może ma to coś wspólnego z jego wewnętrznym opanowaniem, pomyślała obserwując go z odległości paru kroków. Jest przystojny, oczywiście, ale w tym musi być coś więcej. Jest taki... dała za wygraną, nie mogąc określić tego czegoś. A potem, kiedy odwrócił głowę i spojrzął jej w oczy, nagle zrozumiała, co to takiego. Spokojna i niezachwiana pewność własnej męskości. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się; jej oczy zabłyśły tym wyjątkowym blaskiem, którego jeszcze żaden mężczyzna nie odczytał błędnie. I skoro o tym mowa, jeszcze żaden się nie oparł.

Pan Billing skłonił głowę i spojrzął w inną stronę. Stojąca obok niego Ursula, popijająca sok i pilnie przyglądająca się tłumowi, nie zauważyła zjawienia się Carrie. Podniosła wzrok dopiero, kiedy tuż przed nią zaszeleściły fałdy sukni, przyćmiewającej światło w sali. A potem spiorunowała wściekłym wzrokiem stojącą przed nią ciemnowłosą kobietę. Co za suknia! I dlaczego ta kobieta tak się przygląda Billy'emu? Stoi sobie o krok od niego i tylko wytrzeszcza na niego oczy. Ursula odchrząknęła i pociągnęła Billy'ego za rękę.

- Wyjdźmy na zewnątrz, chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem - odezwała się znacząco i Billy spojrzął na nią z uśmiechem.

Obserwująca ich Carrie poczuła nieprzyjemne ukłucie zdziwienia. On naprawdę lubi to dziecko, pomyślała. Przepada za nią. No! Na chwilę coś ją od niego odepchnęło. Ale tylko na chwilę.

- Ursulo, kochanie, Sally chce z tobą zamienić słówko. Stoi tam, przy drzwiach. Idź do niej, ja zabawię pana Billinga, dopóki nie wrócisz. Pospiesz się! Sally będzie się gniewać, jeśli zaraz nie pójdziesz. - Popchnęła dziewczynkę w sposób daleki od delikatności i nie zwróciła uwagi na zeszytynienie rysów nauczyciela i jego gwałtowne cofnięcie się o krok. Dziewczynka spojrzała na nią oczami zbyt dorosłymi w dziecinnej twarzy; za dorosłe i świadome wielu spraw, pomyślała. Nie da się nikomu oszukać, mimo wieku - ile ona ma właściwie lat, na

litość? Siedem? Zrobiła groźną minę i jeszcze raz popchnęła Ursulę. - No, bądź grzeczną dziewczynką!

Spojrzała za niechętnie oddalającym się dzieckiem i odwróciła się do swojej ofiary. Ale pan Billing już zniknął w tłumie. Wychodził na zewnątrz, do ogrodu, gdzie chciała pójść dziewczynka. Świetnie, pomyślała. Tak będzie łatwiej. Wzięła dwa kieliszki z krążącej za jej plecami tacy z napojami i poszła w jego ślady.

- Wołałaś mnie, Sally? - spytała Ursula i natychmiast dostrzegła wyraz zaskoczenia na twarzy macochy. - Pani Sunderland powiedziała, że mnie wzywasz. Czy to prawda? - powtórzyła z naciskiem. Sally błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą. Spojrzała na nią z ustami wygiętymi w tajemniczym uśmiechu. W tej chwili Ursula nienawidziła jej z całego serca.

- A tak, oczywiście. Rzeczywiście poprosiłam Carrie, żeby cię zawołała. O co też mi mogło chodzić? - Smukły paluszek wsparł się o ułożony policzek. Sally zadumała się głęboko. - A, właśnie! Bądź aniołem i poproś tę, no, Ah Jong, o więcej... - palce zabębniły niecierpliwie - ... lodu, tak, lodu. Bo już się skończył. - To zawsze się przyda, pomyślała. Zerknęła w kąt sali, w którym stał pan Billing. Ani po nim, ani po Carrie nie było śladu. No, no! Ursula podchwyciła jej spojrzenie i usiłowała sprawdzić, o co chodzi, ale była zbyt niska, by dojrzeć coś ponad głowami gości. Odwróciła się raptownie i pobiegła do kuchni.

- Ah Jong, więcej lodu, tak? Memsahib chce szybko, szybko la! - rzuciła w biegu, przemijając przez wyłożone kamiennymi płytkami zaplecze i wypadając do ogrodu. Billy szepnął jej, że zaczeka w ogrodzie. Wiedziała, w którym miejscu. Zawsze wiedziała, gdzie go znaleźć. Ale kiedy wyłoniła się zza rogu, przekonała się, że Billy nie jest sam. Jakiś cień napierał na niego, zasłaniając go przed jej wzrokiem. Długie ramiona oplótły jego ciało, obie postacie zwały się ze sobą. Ursula cofnęła się z przerażeniem.

Potem sylwetki rozłączyły się i do jej uszu dobiegł cichy pomruk głosów i śmiech, w którym dźwięczało mniej rozbawienia, a więcej irytacji. Wyższa postać cofnęła się o krok. W mroku rozległ się głos Billy'ego.

- Czy o to pani chodziło?

Mówił spokojnym, nawet obojętnym tonem.

- Dajże spokój, ty także tego chciałeś. Wiem, o co chodzi, nie musisz przede mną udawać. Nikomu nie powiem! - Głos Carrie brzmiał niepewnie nawet w jej własnych uszach. Dodała z nieco większym zdecydowaniem. - Na litość, można by pomyśleć, że robisz mi wielką łaskę. Tuzin mężczyzn dałoby sobie wyrwać przednie zęby, żeby być na twoim miejscu. Więc bądź greczny i... - Znowu wtuliła się w niego, ale tym razem Billy odsunął ją zdecydowanie.

- Lepiej nie. Życzę dobrej nocy.

I zniknął w mroku nocy. Przez pełną osłupienia chwilę panowało absolutne milczenie. Wszystko skończyło się, zanim Carrie zrozumiała, co się stało. Potem Ursula usłyszała jej cichy wściekły okrzyk. Kobieta w czerni stała na środku podwórza i wbijała wysoki obcas małego pantofelka w twardą ziemię.

- Jak śmiesz! Wracaj tu, ty przeklęty czarnuchu! Dopilnuję, żebyś wyleciał na bruk szybciej, niż się spodziewasz, ty zarozumiały cholerny sukcin... - Zauważyła Ursulę, która wyłoniła się zza baryłki na imbir. - Czego tu? - warknęła, obracając się ku niej gwałtownie. W chwilach zdenerwowania jej pochodzenie dało o sobie znać, ale Ursula stawiała jej czoło.

- Pani mąż szuka pani. Chyba jest dość zdenerwowany. Powiedział, że jeśli znajdzie panią z kolejnym mężczyzną, odeśle panią do domu pierwszym statkiem. - Było to wierne przytoczenie plotki, którą zasłyszała na poprzednim przyjęciu. Zdawała sobie sprawę, że to najprawdopodobniej zbije tę kobietę z tropu. Naciśkała więc dalej. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Czy mam mu powiedzieć, gdzie panią znajdzie?

Groźba, choć zawoalowana, dawała się bezbłędnie odczytać. Ursula nie okazała strachu na widok wyrazu, który przelotnie pojawił się na twarzy Carrie. To dla dobra Billy'ego, powiedziała sobie. Teraz pani Sunderland nie będzie się już starała mu zaszkodzić. Ale kiedy kobieta minęła ją z wściekłym szelestem czarnej sukni, poczuła, że cała dygocze. Przelknęła ślinę i podniosła dumnie głowę. No! Teraz pani Sunderland dobrze się zastanowi, zanim coś zrobi. A potem, jakby z dorosłej osoby, którą naprawdę była, stała się na powrót dzieckiem, spuściła głowę i załkała żałośnie, przyciskając obie dłonie do ust, by zdławić płacz.

I tak zastał ją Billy; wziął ją w ramiona, a ona oplótła go mocno drugimi nogami.

- *Ćśś, cahayamata, ćśś...* Nie trzeba płakać. Billy jest przy tobie.

Pocałował jej włosy; poczuła wlokący się za nim zapach tamtej kobiety. Zakrzuszyła się nim. Billy bez słowa odsunął ją nieco od siebie i przeszedł z nią przez ciemniejący trawnik na skraj drzew. Tam nocny zapach dżungli zagłuszał wszystkie inne wonie. Billy znowu pocałował jej mokry policzek.

- Już lepiej? Czy już się wyplakałaś, moja dziewczynko?

Pociągnęła nosem i przytaknęła.

- A jestem?

- Czym? - Uśmiechnął się w ciemnościach.

- Twoją dziewczynką? Nie podobała ci się, prawda? - poczuła, że jego uścisk zacieśnia się.

- *Ćśś, kera.* Nie mów o takich kobietach. Jest dla mnie niczym i nigdy nie wolno ci się porównywać z takimi, jak ona. Jesteś dzieckiem mojego serca i zawsze będziesz dla mnie na pierwszym miejscu. Nie, pani Sunderland nie podoba mi się. To... - zamilkł na chwilę; Ursula wyczuła, że szuka odpowiednich słów. Czasami jest ci ciągle trudno zrozumieć. Są jak... jak rodzaj trucizny. Opium. Nie potrafisz ci tego wszystkiego wyjaśnić. Jestem mężczyzną, tak, i czasami nie mogę być tak rozsądny, jak powinienem, ale nie! Ona mnie nie interesuje. Nie jako osoba i z pewnością nigdy jako kobieta. Czy rozumiesz, moja dziewczynko? - Nie miała najsłabszego pojęcia, o czym usiłuje jej powiedzieć, ale skinęła głową i z głębokim westchnieniem oparła mu głowę na ramieniu. Jej łzy zmoczyły mu marynarkę, ale nie robił jej z tego powodu wyrzutów. Jeszcze przez parę minut

kołysał Ursulę w ramionach, czekając aż noc ją ukoi, a potem zaniósł do domu, mijając w drzwiach zaskoczoną Sally.

Kiedy w niespełna pół godziny wrócił, żeby się pożegnać, zauważył że Sally zachowuje wobec niego chłodny dystans; trzymała wysoko uniesioną głowę, niczym obrażona memsahib, która nie zamierza znieść ani jednego afrontu ze strony służby. Sunderlandowie zniknęli z pola widzenia. Pożegnalny uśmiech Billy'ego był zabarwiony ironią.

## Rozdział trzeci

**R**ozmyślania Ursuli w poranek Bożego Narodzenia 1941 roku przerwał warokot samochodu, który gwałtownie zatrzymał się przed gankiem. Ursula zastanawiała się, czy Carrie pozostanie u nich na obiedzie; jej ostry wzrok zawsze ją śledził, by przesłać jej skryte spojrzenie pełne jadu. Ursula miała nadzieję, że Carrie nie znalazła się w tym roku na liście gości. Plotki głosiły, że została pominięta przez większość gospodarzy. O jednego mężczyznę za dużo, 0 ile można było wierzyć pogłoskom.

Drzwi samochodu trzasnęły i rozległ się tupot stóp, a potem podniesione głosy i kobiecy płacz. Znajdująca się na piętrze Ursula usłyszała zbliżające się do niej głosy, ojca władczy i łagodzący, Sally wznoszący się i opadający w paroksyzmach furii i, być może, nawet strachu. Chodzi o Japończyków, domyśliła się Ursula. Jej początkowe zadowolenie już dawno ustąpiło miejsca dręczącemu lękowi, o którym nie śmiała wspomnieć ojcu. W zeszłym miesiącu skończyła czternaście lat i papa traktował ją już jak dorosłą. Wyśmiewał jej lęki i mówił równie często, jak powtarzał to Sally, że Singapur jest fortecą wzniesioną po to, by mogła dać odpór takiej inwazji, że na obronę przeznaczono sześćdziesiąt milionów funtów, że te małe żółte ludziki nie są w stanie dorównać potędze Europejczyków. Lista wymienianych argumentów uspokajających ciągnęła się w nieskończoność, ale nie powstrzymało to Japończyków przed wylądowaniem w Kota Bahru, przemaszerowaniem przez niemożliwą do pokonania barierę gór na zachodnim wybrzeżu Malajów i przejścia połowy półwyspu. A to nie uśmierzało jej lęków. Zdarzało się, że Ursula niemal współczuła Sally. Ojciec zachowywał się niemożliwie; traktował je jakby były ze szkła, które pod wpływem wstrząsu może rozprysnąć się po całym pomieszczeniu. A co gorsza, Ursula nie była pewna, czy ojciec przypad-



kiem nie wierzy w propagandę szerzoną przez rząd. Być może naprawdę sądził, że nie istnieje żadne zagrożenie i że w pojedynkę może bez trudu stawić czoło hordzie „skośnookich Pigmejów”. Jego pewnością siebie była przerażająca, więc Ursula doskonale rozumiała złość i desperację Sally, starającej się skłonić go do przyznania, że Singapur jednak może stać się nieco niespokojny i ona wraz z dziećmi powinna się znaleźć na pierwszym wolnym statku do Perth.

Zastanawiała się, jakie nowe wieści wytrąciły Sally z równowagi. Po śniadaniu z dziećmi i otworzeniu prezentów, wybrali się na poczęstunek do Fergusonów; za niespełną godzinę mieli również wyprawić świąteczny obiad, na który zaproszono tuzin gości. Ciekawe, czy przyjęcia już odwołano? Po chwili okazało się, że nie, ponieważ Sally wbiegła po schodach, wołając, żeby Nancy, jej osobista pokojówka, przygotowała zieloną jedwabną sukienkę. Zaciśnięte usta Sally zdradzały, jak bardzo jest zła i zawiedziona. Skręciła na widok pasierbicy; wyglądała na jeszcze bardziej poirytowaną, niż zazwyczaj. Ursula nie miała jej tego za złe. Dlaczego Sally miałaby się obarczać obcym dzieckiem, skoro miała dwoje własnych do troszczenia się i zachwycania? Była dla nich dobrą matką, kiedy nie wychodziła z domu i kiedy sobie o tym przypominała.

Sally wpadła do swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ursula wróciła do salonu i otarła spocone dłonie o sukienkę. Trudno było czekać na wiadomości, które tylko dorośli mieli prawo znać. Nikt nie spodziewał się po niej, że będzie się martwić tym, iż lada chwila cała wyspa zaroї się od złowrogich maszyn i żołnierzy mordujących dzieci, a kobietom robiących coś jeszcze gorszego. Nie wiedziała, co może być gorszego, niż śmierć, ponieważ tylko czasami udawało się jej podsłuchać szepczące służące albo Sally i jej przyjaciółki. Kiedy ją dostrzegały, natychmiast milkły i nakazywały jej odejść, ponieważ była za mała, żeby zrozumieć. A przecież miała już czternaście lat i mimo to nie potrafiła się domyślić, co może być tak straszne, że nie wolno jej o tym usłyszeć. Wyobrażnia podsuwała jej brakujące informacje i dziewczynka żyła w paraliżującym strachu, że Japończycy napadną ich i wtedy dowie się o tym najgorszym.

Nikt nie wydawał się dostrzegać jej bladej twarzy i nerwowych ruchów. Nawet Billy. Stał się zbyt zajęty własnymi sprawami oraz uczeniem Emmy czytania. Miała już pięć lat i ciągle nie potrafiła sobie poradzić z alfabetem. Czasami trudno było nie uważać tego dziecka za ociężałe umysłowo. No, ale z drugiej strony Sally bez ustanku odrywała Emmę od lekcji, zabierając ją, żeby pochwalić się koleżankom, a potem pozwalała jej godzinami siedzieć w ich towarzystwie. Billy często gniewał się na takie postępowanie, ale milczał. To dziwiło Ursulę, która spodziewała się po nim szczerzej krytyki. W jej przypadku zawsze tak robił. Tylko, że od czasów tamtego przyjęcia Billy niemal przestał się odzywać do Sally, wyjąwszy zwroty: „Tak, proszę pani”, „Nie, proszę pani” i „Jak pani sobie życzy”, a ona rzucała mu ostre, nienawistne spojrzenia. Próbowwała skłonić papę, by oddalił go z idiotycznych przyczyn, nikczemnych sprawek, z powodu których Ursula miała ochotę rzucić się na nią z pazurami. Ale teraz była już starsza i rozumiała o wiele więcej. Sally pragnęła pozyskać Billy'ego. Gdyby pani Sunderland osiągnęła to, czego chciała... na samą myśl o tym Ursula czuła mdłości. Nigdy nie powiedziała tego Billy'emu i nie za-

mierzała tego robić; nadal był jej opoką i w dalszym ciągu to ją kochał najbardziej. Nie musiał wiedzieć, że ciągle o tym pamięta.

Czasami zdarzało się, że nie widywała Billy'ego przez kilka dni. Przychodził, żeby dawać lekcje Emmie, kiedy ona była już w szkole i wychodził przed jej powrotem. To, co ich łączyło, nie uległo zmianie, ale teraz bardzo często czuła się samotna, kiedy odsyłało ją na górę, a papa i Sally przyjmowali przyjaciół. A teraz na dodatek byli jeszcze ci Japończycy.

Nie, jedyną jej pociechą, oprócz przemiennej obecności Billy'ego, był mały Tom. Miał już niemal dwa i pół roku i, dość duży jak na swój wiek, obchodził bungalow uczepony dłoni Ursuli z pewnością siebie, która nieodmiennie śmieszyła ludzi. Nie było na tym świecie niczego, co by go przerażało; nie było niko- go, kto by go nie kochał. Przypominał jej siebie samą sprzed zamieszkania tu Sally. Ale jemu nikt nie odbierze jej miłości, tak jak jej odebrano miłość papy. Zawsze będzie przy małym Tomie, a on miał tego świadomość. Tylko, że teraz on i Emma jedli na dole posiłek w towarzystwie Fatimy i Ursula nie miała pojęcia, co miałyby z sobą zrobić. Na myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze.

Rzuciła się na fotel papy i zaczęła się wachlować „Punchem”. Za oknami fale ulewnego deszczu ześlizgiwały się po pochyłości dachu i chłostały ziemię. W grządkach kwiatowych wokół domu porobiły się głębokie wykroty, a szum był tak głośny, że nie słyszało się słów rozmówcy. Nie znosiła pory deszczowej; wszystko zaczynało cuchnąć pleśnią i wydawało się wilgotne w dotyku; ciągnęło się to tygodniami, a boisko do polo stawało się dla niej niedostępne, ponieważ ziemia tak rozmiękła, że końskie kopyta zapadały się w nią i niszczyły nawierzchnię. W tym roku prezesem klubu był papa, który rygorystycznie przestrzegał przepisów. Westchnęła z rozdrażnieniem. Teraz Bintang należał do Emmy, ale zestarzał się i obrósł tłuszczem, a Emma i tak nie lubiła na nim jeździć. Bała się biednego staruszka, chyba że ktoś szedł obok niej i prowadził go za uzdę. A zanim Tom dorośnie, Bintang zestarzeje się już zupełnie. Papa wysłał go wkrótce na emeryturę. Ursula miała ładną kasztankę, której nadała imię Jambang ze względu na włosy, sterczące jej dziko z nozdrzy. Obie były nieśmiałe i płochliwe i Billy powiedział, że według niego bardzo dobrze do siebie pasują. Ale teraz nie będzie żadnych przejażdżek, dopóki deszcz nie przestanie padać. Chyba, że miałyby ochotę kręcić się w kółko na krytym padoku.

Warkot kolejnego samochodu przerwał jej ponure rozmyślenia. Podbiegła pospiesznie do schodów i wyjrzała pomiędzy kolumnienkami, by sprawdzić, kto przyjechał. Rozpoznała głosy dopiero, kiedy w jej polu widzenia pojawiły się dolne połowy postaci Wrightów. Spodobało się jej, że spódnica pani Wright wrowała wokół niej, zupełnie inaczej niż sztywne i eleganckie suknie Sally. Pani Wright była miła. Nie zawracała sobie głowy modą i popularnością w towarzystwie; była otyła i macierzyńska i zachwycała się mężem w sposób, który Sally uważała za idiotyczny. A jednak najwyraźniej byli ze sobą bardzo szczęśliwi, choć plotkowano o nadmiernej słabości pana Wrighta do alkoholu i cudzych żon. A przynajmniej tak powiedziała Sally, kiedy papa zauważył, jak ożywcym widokiem jest małżeństwo, które po piętnastu latach nadal darzy się miłością.

- Harry, kochany, czyżbyśmy byli pierwsi? Zachowaliśmy się strasznie. Przykro mi, ale nasz stajenny zawsze stara się dowieźć nas na miejsce w rekordowym czasie. Podejrzewam, że zamierza zrobić karierę jako kierowca wyścigowy. Sally jest na górze? Może pójść do niej i sprawdzić, czy nie mogę w czymś pomóc?

- Nonsens. Nie usprawiedliwiaj się, Joan. Usychałem z tęsknoty, czekając aż ktoś przyjedzie i dostarczy mi pretekstu do przygotowania drinków. Sally za chwilę zjedzie. Na co macie ochotę? Bob, Joan?

- Niech będzie stengah. Pozostanę wierny tej samej truciznie, dopóki nie pojawi się reszta. Kochanie, chcesz whisky z sokiem czy powstrzymasz się jak zwykle, moja ty roztropna dziewczynko? - Bob Wright był wysokim chudym mężczyzną, zawsze lekko przygarbionym, jakby pochylał się z Olimpu, by wysłuchać ludzkich myśli. Nosił okulary i słychać go było jako zaciekle gracza w polo, choć patrząc na niego trudno było w to uwierzyć. Spojrzył na żonę pobłaźliwie, kiedy prychnęła z pogardą i potrząsnęła zbyt skręconymi sprężynkami loków, tak okalających jej pulchną twarz.

- Ha! Daj mi drinka, Harry, i to mocnego. Po tym, co słyszałam u Fergusonów, potrzebuję pokrzepienia. O Boże, trudno w to uwierzyć. W ciągu, zaraz... dwóch tygodni Japonce zbombardowali nas, wysłali żołnierzy na półwysep, przejęli lotnisko w Kota Bahru, zatopili nasze dwa najlepsze okręty...

- Tak, to był spory szok, stracić „Księcia Walii” i „Repulse”. Kiedy usłyszałem o tym przez krótkofalówkę...

- A teraz jadą czołgami przez góry i zachodnie wybrzeże. Kto by pomyślał, że czołgi potrafią pokonać taki teren!

Ursula poczuła fałę mdłości. To było gorsze, niż się spodziewała. Słyszała lekceważące pomruki ojca, ale liczyła, że ktoś wreszcie zdoła go przekonać. Skoro Wrightowie byli zaniepokojeni, może ich wysłucha. Należeli do rozsądnych, zrównoważonych osób. Papa zawsze twierdził, że pan Wright dobrze przemawia na spotkaniach w klubie. Więc dlaczego tak się upierał? Zbliżyła się o parę kroków do schodów, by wszystko słyszeć lepiej; wiedziała, że przeszli do gabinetu ojca. Trzymał w nim alkohole i bez względu na to, jak pięknie Sally umeblowała salon, goście i tak w końcu lądowali w zaciszu gabinetu.

Usłyszała, że pani Wright zwraca się do papy w swój zwykły obcesowy sposób.

- ... jak struś, Harry. Naprawdę, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Lada chwila mogą nas znowu zbombardować, a ty mieszkasz raczej na odludziu. Co gorsze, masz w pobliżu zbiornik w MacRitchie i radiostację. Charbier się wynosi, wiesz? Przeczeka z rodziną we Francji, aż to wszystko się skończy. A mieszka na początku drogi. Bóg jeden wie, co może spotkać Sally i dzieci, jeśli Japonce naprawdę dotrą do Singapuru, a ty akurat będziesz w swoim wspaniałym magazynie.

- Papa śmiał się i żartował z pani Wright tak, jak to robili wszyscy mężczyźni. Żaden żółty pokurcz nie przeciwstawi się potędze brytyjskiego oręża. Nie wspomniał, że cała obrona wyspy była skierowana na morze i nic nie jest w stanie ochronić ich w razie ataku od tyłu, ze strony półwyspu. Być może na-

wet nie przyszło mu to do głowy. Ursula tyle razy słyszała te frazesy, że musiała siłą powstrzymać się od zaprotestowania. Dlaczego nie mogli wyjechać, choćby na krótko?

- Cóż, znasz Francuzów. A Charbier zawsze lubił panikować. Takie defetyzyczne gadanie to prawdziwa zmore, Joan. Bob, nie pozwalaj kobiecie tak szaleć. Ktoś mógłby pomyśleć, że sam zaczynasz plotkować. Dobry Boże, pomyśl tylko, jaki to by wywarło wpływ na morale krajowców, gdyby zobaczyli, że się boimy. Musimy wysoko trzymać nasz sztandar i pokazać im, z jakiego kruszcu jesteśmy zrobieni.

- Daję słowo, Harry, nie podoba mi się ta uwaga o plotkowaniu. Nic nie poradzę na to, że nasze panie nie są zachwycone obrotem spraw. To nie ja powiedziałem im, że połowa kopalni cyny i jedna szósta plantacji kauczuku w kraju znalazła się w rękach wroga. Niebiosa! Mam już dość słuchania o tym. Wiesz, że podobno Kuantan się poddał?

Za plecami Ursuli rozległ się zduszony krzyk; to Sally wyszła cicho ze swojego pokoju, żeby posłuchać. Minęła Ursulę i jak burza zbiegła po schodach.

- Kuantan! Ależ to zaledwie niecałe dwieście kilometrów stąd! załkała, zatrzymując się przed zaskoczoną trójką, stojącą z kieliszkami w dłoniach.

- Cóż, owszem, ale... uspokój się, Sally, staruszko. To tylko plotka, a poza tym według moich książek to raczej coś około trzystu kilometrów. Nie ma się czym przejmować. Nigdy się im nie uda przedrzeć przez szeregi brytyjskich i australijskich wojsk, a nawet gdyby tak się stało, to nigdy w życiu nie przejdą przez Johore ani kanały. Niepotrzebnie się tak ekscytujesz, moja droga.

- Ach, mężczyźni! Mam was dość! Dlaczego nie trafia wam do tych zakamieniałych imperialistycznych mózdków, że jest ich coraz więcej! Zbliżają się, bez względu na to, czy się wam wydaje, że RAF albo ta wasza wspaniała armia potrafi się z nimi rozprawić, czy nie! To nie jakieś złote ludziki, które się wybrały na piknik! To armia najeźdźców! Potrafią atakować czołgami, bombowcami i nic... nic! Nic ich nie powstrzyma, a już na pewno nie grupka starych stetryczalnych głupców, którzy nie potrafią nawet zorganizować samoobrony. Charbier ma rację. Powinniśmy się stąd zbierać.

W pełnej zgrozie ciszy słyhać było tylko jej ciężki oddech. Nie zamierzała robić takiej sceny, ale kiedy spojrzała w głupią, przemądrzałą twarz Boba Wrighta coś w niej pękło. Teraz wygląda jak obrażony baran, pomyślała. Fraser poczerwieniał apoplektycznie i patrzył na żonę z taką odrazą, jakby rozebrała się do naga i zaczęła tańczyć na stole. Z pewnością wolałby to, niż ten wybuch przy gościach, ludziach dla których zachowywanie twarzy i trzymanie głowy wysoko było wartością nadrzędną. Japończycy mogą nadejść. Ale oni nigdy, przenigdy nie spuszcza z tonu. Odchrząknął głośno.

- Brooke-Popham ani sir Miles nie pochwaliliby takich poglądów, moja droga. Czego się napijesz? - Uśmiechnął się blade i z wysiłkiem; wyraz jego twarzy wydawał się mówić, że jeśli nie weźmie się w garść, będzie potrafił powściągnąć jej histerie. Sally odwróciła się na pięcie i opuściła gabinet, mijając zakłopotanych Wrightów. Weszła po schodach, nie patrząc na Ursulę, która wbiła niewi-

dzący wzrok w ciemne deski podłogi, po czym zniknęła w swoim pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Ursula usłyszała, jak ojciec usprawiedliwia zachowanie żony. To pewnie te trudne dni w miesiącu, rozumiecie. Bywa czasami wybuchowa, niestety. Nie wychowała się w Anglii. Australijczycy to porządny naród, ale nie zawsze uczą swoje kobiety zachowania w czasach próby. Nie bierzcie sobie tego do serca.

Ursula oparła głowę o balustradę i mocno zacisnęła powieki.

Wkrótce potem pojawili się pozostali goście. Rodney i Stephen Hendricksonie wrócili ze szkoły i przyjechali razem z rodzicami. Mieli teraz odpowiednio siedemnaście i piętnaście lat, byli bardzo dumni ze swojego statusu absolwentów szóstej i piątej klasy postanawiając dać to odczuć Ursuli. Niecierpliwie przyjęła życzenia. Myślami była teraz zupełnie gdzie indziej. Może uda się jej porozmawiać przez chwilę z papą sam na sam; może jej wysłucha? Nigdy nie rozmawiała z nim na prywatne tematy. Co mogło dla niego znaczyć, że umiała już rozwiązywać logarytmy albo że wiedziała, kim był Henryk V? Uśmiechnąłby się do niej z roztargnieniem znad kolejnego piwa. Naprawdę, kochanie? To cudownie. Jestem z Ciebie dumny. Ale nic więcej. Nie był już dumny z jej osiągnięć. Stała się jedną z pomniejszych niedogodności w jego życiu, z którą się już pogodził, lecz... nie tak, jak w czasach przed pojawieniem się Sally. Cała bliskość między nimi umarła wtedy, na werandzie, podczas pierwszego spotkania z przyszłą macochą. Ale pewnie wysłucha jej, jeśli spróbuje...

Jej rozmyślania zostały przerwane przez Rodneya, który przyniósł jej kieliszek szampana z sokiem pomarańczowym.

- Trzymaj. - Pochylił się nad nią i niezgrabnie pocałował ją w policzek. Jego zawsze pewna siebie mina gdzieś zniknęła. Odkasznął. - To z okazji Gwiazdki. Nikomu nie mów. - Mrugnął znacząco; Ursula zmarszczyła podejrzliwie nos i upiła maleńki łycalek. A potem następny, już większy. Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Dobre! Papa nie pozwolił mi pić aż do moich siedemnastych urodzin. Mówi, że i tak mi nie będzie smakować, dopóki nie dorosnę. Jeśli w ogóle tego doczekamy. - Westchnęła i pociągnęła solidny łyk. - Nie posłucha Wrightów, ani Sally. Myśli, że nie nam nie grozi.

- Bo nie grozi! Nie bądź niemądra. Jesteś dzieckiem, więc nie rozumiesz, ale ja miałem zajęcia z taktyki militarnej i mówię ci... nie, naprawdę, nie patrz tak na mnie. Ten zamęt, który wszyscy robią, jest po prostu śmieszny. Japonce nawet się do nas nie zbliżą. No i czemu się tak spinasz? Siedzisz tu jak stara baba i martwisz się tak, że omal ci główka nie pęknie. To naprawdę niemądre... - Uśmiechnął się do niej kpiąco, w ten sam sposób który niegdyś doprowadził ją do takiej pasji, że ugryzła go mocno w rękę, pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Blizna została mu do dzisiaj. - Nieważne, i tak byś nie rozumiała. Ale obiecuję ci...

- Zamknij się! Nie chcę tego słuchać. Milcz i nic do mnie nie mów. Mam dość już tych bredni, wystarczy mi to, co słyszę od papy. Co ty możesz o tym wiedzieć?

- O wiele więcej, niż ty, panno mądralińska. I nie tracimy Singapuru. Konic, kropka. To moje miasto, tak jak i twoje. Myślałem, że to dla ciebie coś znaczy. Niby co chcesz zrobić? Uciec i oddać go im? A co z Fatimą i jej rodziną? Albo z Ah Jong? Albo z panem Billingiem? - Zamilkł na widok jej wstrząśniętej twarzy. - Przykro mi, ale ja to widzę w ten sposób. Ja stąd nie wyjadę. - Wzruszył ramionami i odszedł, by porozmawiać z kimś innym. Ursula wychyliła jednym łykiem resztę szampana i odetchnęła głęboko. Może Rodney ma rację? Co się stanie z Billym i resztą?

Uśmiechnęła się machinalnie, kiedy Joan Wright podeszła do niej i rozmawiała na bardziej przyziemne tematy: kto zamieszka w domu Carlyle'a teraz, kiedy stary Jonathan nie żyje; co robi Valerie, której mąż po raz trzeci stracił pracę, „i właściwie nawet trudno jej współczuć pamiętając, jak zawsze dawała innym odczuć jego doskonałość. Teraz powinna trochę spuścić z tonu...”, a także, dokąd wyjeżdżają ludzie na urlop. Ten ostatni temat przez całe lata nieodmiennie funkcjonował w środowisku, jako że co roku można było wyjechać do domu. Domem była oczywiście Anglia. To rozumeli nawet Francuzi i Holendrzy, słynący z braku zrozumienia dla najprostszych spraw. Kiedy ktoś z emigrantów mówił dom, miał na myśli królewską wyspę, czerwone piętrowe autobusy, lody u Lyonsa, krykiet i króla. Do tradycji należało chóralne śpiewanie. „Nie zginie nigdy Anglia”, a kiedy zbliżał się ostatni refren, oczy wszystkich wilgotniały.

*Nie zginie nigdy Anglia,  
I wolną musi być,  
Jeśli dla ciebie znaczy to,  
co znaczy w sercu mym.*

Ursula zastanawiała się, czy kiedyś będą razem śpiewać: „Nie zginie nigdy Singapur”. Może nigdy. Ale gdzie się wszyscy podzieją? Tu był ich dom, który być może niedługo stracą. Może Rodney, arogancki, irytujący Rodney, miał rację. Lepiej zostać i walczyć o coś, co tak wiele dla nich znaczyło - nawet, jeśli będą musieli poświęcić życie - niż po prostu uciec. Zresztą dokąd? Powiodła wzrokiem po salonie, znajomych fotografiach, zdobieniach, meblach. To był jej dom. A jeśli ucieknie, może stanie się podobna do tych malowanych ptaków, z których kiedyś żartowała z Billym. Z drewna.

Po chwili pojawiła się Sally i przetrwała z kurczowym uśmiechem kolejne pieśni i hymny, dopilnowała przygotowań do obiadu i wdzięcznie odpowiedziała na każde skierowane do niej pytanie. Ani razu nie wspomniała o Japończykach, a kiedy jej mąż próbował poruszyć znowu ten temat, symulowała głuchotę. Fraser wolał taki obrót spraw i po chwili on również porzucił te rozważania.

Mijały kolejne dni, ciągnąc się w nieskończoność. A Ursula czuła nieustanny lęk; jej twarz codziennie bladła z braku konkretnych wieści.

Ten rok był nieznośnie upalny, duszny i wyciskający siły z najbardziej doświadczonych Europejczyków. Może dlatego tak trudno było spojrzeć prawdzie w oczy i podjąć jakąś decyzję. Skoro przywódcy ministerstwa obrony nie byli

w stanie tego zrobić, czy można było winić Harry'ego Frasera, nigdy nie przepadającego za rozmyślaniami o nieprzyjemnych sprawach? Codziennie chodził do swojego biura w centrum Singapuru, zjadał obiad w klubie krykietowym lub w Raffles, a potem wracał do domu, gdzie czekały na niego leniwe chwile w drinkim na werandzie, kolacja, czasami partyjka kart lub bilard, a potem łózko. Uważał, że żona dąsa się, ponieważ zachowała się niemądrze i teraz inne kobiety plotkują na jej temat. Tutaj jeden uśmiech, ruch ręki, skinięcie głową potrafiły zniszczyć czyjąś reputację równie bezlitośnie, jak opublikowany paszkwil. Większość kobiet zgłosiła się do ochotniczej służby pielęgniarskiej i wołały, żeby Sally poszła za ich przykładem. Może zwijanie bandaży zajęłoby ją i udowodniło, że jest równie dzielna, jak wszyscy. Ale tu właśnie istniał pewien problem. Sally nie pojmowała, jak ważne było dawanie tubylcom i innym Europejczykom dobrego przykładu w tych trudnych czasach. Tak naprawdę wcale nie miała cech właściwych dla memsahib, a teraz właśnie nadeszła pora, by te cechy zaprezentować. A więc dąsała się ciągle, a Harry nabrał zwyczaju jądania samotnie w swoim gabinecie. Jednak zrozumiał, że musi coś przyznać swojej najstarszej córce. Nigdy nie odezwała się ani słowem na temat tej żółtej zarazy. Ona wiedziała, jak się zachować. Nie wolno okazywać lęku; to zgubne dla morale.

To właśnie go dręczyło. Fakt, że akurat jego żona zachowywała się w taki sposób. Inne kobiety nawet nie myślały o opuszczeniu wyspy, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jaką hańbą byłoby dla białych opuszczenie krajowców i Euroazjatów tylko ze względu na zagrażającą im inwazję. Chińskie i malajskie sanitariuszki, które zgłosiły się na ochotnika, spodziewały się, że wszystkie memsahib zostaną i utwierdzą je w tym, że wszystko będzie dobrze. A jego żona chciała znaleźć się na pierwszym dostępnym statku! Co za despekt. Fraser był powszechnie znany z ogromnego uroku osobistego; wyglądał jak wcielenie szorstkiego, jowialnego Brytyjczyka o złotym sercu - model, który Anglia z ogromnym powodzeniem eksportowała przez wiele lat. Ale był również słaby i jak wszyscy słabi ludzie, zdradzał tendencję do ślepego uporu; podjąwszy raz decyzję, bez dalszego zastanowienia zabraniał żonie opuszczenia posterunku. Nawet wobec faktów rzucających się w oczy, wiedząc, że niektóre kobiety naprawdę zaczynają wyjeżdżać z dziećmi, domagał się kategorycznie obecności Sally u swojego boku. A jeśli Sally miała zostać, to zostawały również dzieci. \*

Przez cały styczeń japońskie bomby padały jak grad na Singapur. Kwestia ewakuacji stała się przedmiotem wojny nerwów między małżonkami. Pierwszego stycznia Japończycy przekroczyli Slim River; jedenastego zdobyli Kuala Lumpur. Połowa miesiąca zastała wroga na granicach Johore po zachodniej stronie półwyspu oraz na linii Mersing na wschodzie. Do końca stycznia wzięli Kota Tinggi i stanęli przed Johore Bahru tuż za szosą. Wróg był już dosłownie u ich drzwi; pierwszego lutego obywatela Singapuru obudzili się pod ostrzałem.

Fraser nadal twierdził z zapalem - jak znakomita większość Tuanów - że wyspa jest już bezpieczna, szosa została wysadzona w powietrze i że otacza ich solidna fosa. W wielkich spichrzach utworzonych z kin „Capital” i „Pavilion” znajdował się półroczny zapas żywności, a tuż za Adam Road można zobaczyć

potężną mleczną trzodę, pożywiająca się z zadowoleniem na pastwisku, które niegdyś było polem golfowym. Nie zabraknie ani mleka, ani wody. Cóż w końcu, trzy zbiorniki na wyspie mogły dostarczać im osiemdziesięciu litrów wody dziennie na głowę! To o wiele więcej, niż im potrzeba. Nie ma co, są niezłe zabezpieczeni.

Jakby na potwierdzenie tej iluzji, pogoda raptownie zmieniła się na lepsze, chmury deszczowe odpełzły z nieba, ostatni monsun z północnego wschodu zniknął, zaś wilgotność zmniejszyła się do niemal przyjemnego stopnia. Ogólny nastrój poprawił się mimo nowej groźby bombardowania z głębi ładu. Wszyscy nagle poczuli się z sobą bardziej związani i gratulowali sobie, że na razie nie spuścili z tonu. Przede wszystkim nie należy panikować. Biały człowiek miał jeszcze coś do powiedzenia Azjatom! A jeśli nie liczyć bombardowania, za miastem było bardzo spokojnie. Pomiędzy Thomson i Adam Road, po zewnętrznej stronie Bukit Timah, znajdowała się Mount Pleasant. Miejsce było raczej odosobnione, ale Fraser cenił sobie przestrzeń. Pierwszy tydzień lutego nie wniósł niemal żadnej zmiany do ich stylu życia. Oczywiście Fraser zgłosił się do ochotniczej brygady straży pożarnej i często wzywano go do pożarów w lasach i okolicach Bukit Timah, ale w bezpośrednim pobliżu Mount Pleasant nic się nie działo. Wyjawszy to, że okna bywały zaciemnione, a wokół stołu w jadalni pojawiła się sterta materacy, tak na wszelki wypadek.

Przez cały ten czas Sally ani razu nie pojechała do miasta. Była zbyt przeżazona wizją bombardowania lub ostrzelania przez nisko lecące samoloty, którymi Japończycy krążyli nad Orchard Road niczym na polowaniu. Miała przeciw człowieka, który dokonywał za nią zakupów. Już dawno zaopatrzyła się w lekarstwa, bandaże i wszystko inne, co tylko podsuwała jej udręczona wyobraźnia. Kiedy zaopatrzeniowiec odmówił przyjmowania jakiegokolwiek formy zapłaty poza gotówką, wróciła myślą do jednej z pierwszych rozmów, jakie odbyła z przyszłym mężem na temat brania towarów na kredyt. Ale Harry Fraser w dalszym ciągu był nieugięty. Teraz Sally siedziała w milczeniu na werandzie ze szklanką lemoniady w ręce z kwaśną miną na twarzy. Nie potrafiła nic na to poradzić. Strach przed tym, co mogą zrobić jej Japończycy, niemal ją paraliżował. Przestała się nawet malować i układać włosy, które zwisały smętnie wokół bezbarwnej twarzy; siedziała obojętna wobec potępiających spojrzeń Fräsera i dzieci starających się zwrócić na siebie jej uwagę. Ursuli w ogóle nie zauważała.

W nocy ósmego lutego zbudził ich grzmot ostrzału artyleryjskiego, dobiegający z północnego zachodu. W uszach Sally zabrzmiało to jakby całe piekło zerwało się z uwięzi; schowała się pod koldrę, drżąc na dźwięk nagłego, zajadłego jazgotu artylerii przeciwlotniczej. To wyczerpało jej wytrzymałość. Nie można wymagać od żadnej kobiety, żeby tyle zniosła, zwłaszcza jeśli jest matką dzieciom. Jutro, bez względu na wszystko, zarezerwuje sobie miejsce na jakimkolwiek statku. Nie dba o to, co powie Harry. Wcale nie będzie pytać go o zdanie. To go nauczy! Teraz chciała już tylko zobaczyć Rottneest Island i port we Fremantle. I już nigdy, przynigdy dla nikogo nie opuści Perth. Jeśli dożyje tego, żeby się tam



znaleźć, dodała w myślach przekonana, że lada chwila Japończycy zaczną walić bagnetami w ich drzwi.

Ursula także nie spała tej nocy, drząc i mocno tuląc do siebie Toma. Fatima wzięła Emmę, a ona jego. Zwinął się w kłębuszek; jego ciało doskonale pasowało do wygniecionego zagłębienia w łóżku, a na gładkie policzki wystąpił zdrowy rumieniec. Liczyła paluszki leżącej bezwładnie rączki, podnosiła je do ust i dmuchała na nie. Nie poruszył się. Jego głowa przetaczała się ciężko w głębokim śnie, kiedy mierzwiła mu miękkie jak jedwab włosy. Nie rozumiała, jak to możliwe, że śpi w takim hałasie. A jednak rzęsy mu nawet nie drgnęły. Nie sądziła, żeby Sally chciała go mieć przy sobie. Zdawała sobie sprawę, jak przerażona jest jej macocha. Bała się bez ustanku; prawie przestała się odzywać, a jeśli otwierała usta, to przeważnie po to, żeby skrzyczeć dzieci, które nie chciały zostawić jej w spokoju. Ursula nie potrafiła pojąć, jak mogła stać się tak pochłonięta sobą, że dzieci przestały się dla niej liczyć. Nie wiedziała, że Sally bała się w równej mierze o dzieci, jak i o siebie. Była za nie odpowiedzialna, a teraz groziło im potworne niebezpieczeństwo. Jej gniew był nie tyle skierowany przeciwko nim, co raczej wobec samej siebie - i Fraserów. Ale w oczach Ursuli wszystko to wyglądało tak, jakby Sally odtrącała swoje dzieci. I dlatego musiała zająć jej miejsce. W przypadku Toma nie było to trudne. Już i tak uważała ją za swojamatkę; to do niej biegł z zadrapaniami, które trzeba było pocałować i noskiem, bez ustanku wymagającym wydmuchania. W ostatnich dniach złapał zaziębienie, z którego nic nie było w stanie go wyleczyć. Dotknęła delikatnie jego czoła. Wydawało się ciepłe. Ale był silnym dzieckiem i Ursula nie martwiła się o niego. Przynajmniej nie o to.

Natomiast martwiła się, gdzie zapodział się Billy. W bungalowie nie widziano go od trzech dni, a kiedy dzwoniła pod numer domowy, który podał Sally, nikt nie podnosił słuchawki. Co się z nim stało? Chyba ich nie opuści - chyba nie pozostawi jej - kiedy nadejdą Japończycy? A nadejdą, bez względu na to, co twierdził papa. Dobry Boże, już teraz niemal ich słyszała. Papa musiał oszaleć, jeśli wydawało mu się, że coś ich powstrzyma, że nie zjawią się tutaj i nie zamordują ich na miejscu. Ursula była tego pewna. Nawet Fatima tak powiedziała. Kilka osób ze służby już odeszło, rozplynęli się w mroku w drodze do kampongu, gdzie mieli nadzieję być bardziej bezpieczni, niż w domu Tuana. Ursula przyznawała im rację i miała ogromną ochotę zabrać małego Toma i podążyć za służącymi do ich mieszkań. Ale tego właśnie nie mogła zrobić, więc musiała udawać, że nic się nie dzieje i że jest przekonana, iż wszystko skończy się dobrze. Pochodziła z Fraserów i była missysahib. W przeciwieństwie do Sally wiedziała, jak się zachować.

Kiedy następnego ranka spotkali się przy stole, zauważyła, że Fatima, Ibrahim i jej dawny towarzysz zabaw, Yahyah, są jedynymi, którzy przy nich zostali. Nawet Ah Jong zniknęła. Śniadanie minęło przy dyskretnym wtórze zgrzytów srebra o porcelanę i szelestu odwracanych stron gazety, jeśli nie liczyć faktu, że Sally wybuchnęła nerwowym płaczem, rzuciła serwetkę i zerwała się od stołu, po czym popędziła na górę do swojego pokoju. Fraser nie zwrócił na to uwagi i dalej monotonnie podnosił do ust kawałki schłodzonej i pocukrzonej papai. Ciągłe przeglądał gazetę,

usiłując dowiedzieć się z niej, co stało się minionej nocy, jeśli w ogóle się stało. Ale natrafiał na zwykłe dziarskie zapewnienia i starannie sformułowane wojskowe komunikaty: „Przedsięwzięto środki obrony, mające na celu odparcie wroga”. Kiepska pociecha, pomyślał markotnie. Może powinien uruchomić swoje znajomości i dowiedzieć się, jak naprawdę przedstawia się sytuacja? Na przykład zadzwonić do Boba? On powinien wiedzieć. W armii był ważną osobą.

Ursula przyjrzała się zmarszczonemu czołu ojca i zatroskanym zmarszczkom, rysującym się głęboko po obu stronach ust. Nawet jego wąsy opadły smętnie. To przeraziło ją jeszcze bardziej. Jeśli papa jest taki ponury, to znaczy, że nie mają najmniejszej szansy. Wszyscy zginą. Tak się zdarza na wojnie. Ale przecież ona ma tylko czternaście lat, jeszcze nawet nie zaczęła żyć. A Tom i Emma? Czy Japończycy naprawdę zabijają małe dzieci? Przerazenie i rozpacz szarpnęły jej żołądkiem; zerwała się gwałtownie i wybiegła na zewnątrz. Ojciec znalazł ją kłęzącą w piachu przed grządką z kwiatami i wymiotującą wśród konwulsyjnych skurczy. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo schudła i zbladła. Położył jej dłoń na ramieniu, ale nie spojrzała na niego, nie mogła. Nadal wymiotowała i dygotała.

- Nic ci nie będzie? - spytał ojciec po chwili milczenia. Co za ironia, pomyślała, że to właśnie on mnie o to pyta. Skinęła głową i znowu pochyliła się nad grządką. Fraser zostawił ją i udał się na poszukiwanie Fatimy, by zajęła się dzieckiem. On i tak nie mógł jej pomóc.

Teraz dopiero objawiła się mu powaga sytuacji, jakby wyszedł z mroku na pełne słońce. I z tego samego powodu, który u Ursuli wywołał mdłości, poczuł cichy, wściekły gniew. Gniew na Japończyków, którzy tak utrudniali im życie i na rząd, który nie powiedział im prawdy i nie dał czasu na ucieczkę. Nie przyszło mu do głowy, że to jego można obarczyć winą że do niego należało zorientowanie się w sytuacji i dopilnowanie, by żona i dzieci znalazły się w bezpiecznym miejscu, zanim sytuacja się pogorszy. Nie, wszystkim winny był nieprzyjaciel i biurokracja. Wszystko przez nich. Ale, na Boga, jeszcze tego pożałują!

## Rozdział czwarty

**K**iedy Ursula znalazła w sobie tyle siły, by podnieść głowę, nikogo przy niej nie było. Od strony domu słychać było ryk ojca, wzywającego Fatimę, ale na razie nie miała ochotę oglądać swojej amah. Nie chciała widzieć nikogo, może z wyjątkiem Billy'ego. Zachwiała się na czworakach i wstała, przytrzymując się kolumny werandy. Kręciło się jej w głowie, a w ustach czuła żółć, napływającą gorącą gryzącą falą. Pod jej dotknięciem język zwinął się w rurkę. Musiała splunąć. To na nic. Fatima zaraz tu nadejdzie, zacznie gruchać łagodnymi malajskimi słowami i przytuli ją do swojego miękkiego, rozlanego ciała. Na samą myśl o tym zabrakło jej oddechu. Wyprostowała się, zamrugła parę razy, by wyostrzyć obraz przed oczami i z determinacją zaczęła się wlec w stronę przeciwnego krańca bungalowu, gdzie dżungla była najgęstsza. Tam czeka ją chłód i mrok, tam usiądzie na swoim ulubionym miejscu i oprze głowę o pień drzewa.

Przemierzyła cały podjazd; jak wszyscy ludzie chorzy spostrzegą wystrzonym wzrokiem każde pęknięcie na betonie i każde źdźbło trawy. Miała wrażenie, że głowa jej spuchła jak balon; przy każdym kroku ciążyła tak, jakby kark miał lada chwila złamać się pod jej ciężarem. Do nozdrzy napłynął odór pełnych po ostatnim deszczu kanałów, i podrażniony żołądek zadrżał niespokojnie. Ale po chwili minęła szereg cemen,,wych kanałów melioracyjnych i nieco pewniej ruszyła przez niedawno utwardzony trawnik. Słońce raziło ją w oczy, ale wkrótce znalazła się w cieniu bambusów i wśliznęła się do swojej kryjówki. To tutaj przychodziła, żeby pomyśleć, uciec od ostrego głosu Sally i łagodnego gderania Fatimy. Nie zdradziła istnienia tego miejsca nikomu, oprócz Toma. Ale on szybko się nudził i zaczynał niepokoić; ciągnęło go -a słońce, do zabawy na trawie, więc i jego nie przyprowadzała tu zbyt często. Zdawać: sobie sprawę, że Billy podej-

rzewał, gdzie zwykle znikąca, ale nigdy o tym nie wspominał, a ona zawsze czuła w sobie jakiś opór przed wyjawieniem mu tej tajemnicy. To była jej kryjówka, miejsce ucieczki przed całym światem, w którym mogła być nikim i niczego nie robić. Tu gdzie najbardziej lubiła siadywać, poszycie było mocno udeptane, a masywny pień drzewa, o który się opierała, stanowił dostateczną osłonę przed dżunglą. Między jego korzeniami znajdowało się ptasie gniazdo i dzikie orchidee, a z przodu rosły łodygi bambusa. Ursula czuła się tu jak w zielonej grocie, przeżytej złotymi promieniami słońca.

Wiedziała, że papa złościłby się na nią, gdyby wiedział, że chodzi do dżungli. W dżungli spotykało się węże i jadowite owady, nie wspominając już o szczurach i małpach. Ale to nie była prawdziwa dżungla, raczej jej peryferie. A ona już do nich przywykła. Umiała o siebie zadbać. Tylko, że teraz, kiedy nadeszli Japończycy, wszystko się zmieniło. Mogłaby wziąć Toma i ukryć się z nim w samym środku dżungli. Podobno Japończycy widzą w ciemnościach jak koty. Czy mogliby ją wypatrzyć? Zadrżała na tę myśl; potem rozboleła ją głowa i znowu poczuła nudności.

- Przeklęty papa! Przeklęty, przeklęty, przeklęty! - syknęła z furią w paprocie, na poły zdziwiona, że nic się jej nie stało po takim bluźnierstwie, na wpół przerażona, że na papę naprawdę spadnie przekleństwo. Takie właśnie jest życie. Nigdy nie ma się pewności, jak jest naprawdę. Połowa z tego, co ci mówią, jest zwyczajnym kłamstwem, a druga połowa jest całkiem inna. Może Boga wcale nie ma i wszystko dzieje się przypadkiem. I dlaczego nikt nie pomyślał, że i ona ma swoje prawa, dlaczego nikt nie pozwolił jej zdecydować, gdzie chce się znaleźć i nie spytał, co o tym wszystkim sądzi - wszystko to doprowadziło ją do takiego stanu, że wreszcie zrozumiała, dlaczego mówi się o ślepej furii. Przed oczami jej pociemniało i poczuła wzbierające szaleństwo, w każdej chwili grożące wybuchem... i strach, zawsze ten strach.

Oparła policzek o korę, chłodną i twardą w dotyku. Jedną ręką uniosła włosy, zwinęła je i odgarnęła z karku. Tak było przewiewniej, choć nadal nie pojawił się najslabszy wietrzyk. Po łodydze bambusa obok niej maszerowała czerwona mrówka, a ona zaśpiewała cichutko piosenkę, stopniowo przypominając sobie słowa:

*Kerengga di-dalam buloh  
Serahi berisi ayer mawar  
Sampai hasrat di-dalam tuboh  
Tuan sa-orangjadi penawar.*

Wiedziała, jak boli ukąszenie czerwonej mrówki; bez końca powtarzała refren, aż wreszcie melodia znikła i pozostało jedynie ochryple zakłęcie, które wymawiała z oczami pełnymi łez:

*Czerwone mrówki w bambusie! Namiętność,  
która dręczy moje ciało jest podobna tobie;*

*lecz czarze różanej wody podobne  
jest lekarstwo, które daje mi mój ukochany płomień.*

- Mój ukochany płomień... O, Billy, gdzie jesteś? Nie wiesz, jak się tu wszyscy boimy? Dlaczego nie przychodzisz? - Płakała już otwarcie; słyszała nawoływanie ojca i Fatimy, ale zdecydowała nie odpowiadać. Zamknęła oczy i objęła kolana, przyciągając je do piersi. Billy jej nie opuści. Nie zrobiłby tego! Kochał ją. Wiedziała o tym doskonale. Nie, na pewno jest bardzo zajęty, na przykład działaniem w ochotniczych oddziałach. Pojawi się, kiedy sytuacja stanie się poważna. Jej myśli stopniowo się uspokajały; przestała płakać. Na razie wszystko jest dobrze. Billy przyjedzie i zabierze ją i Toma daleko stąd, jak najdalej, tam gdzie będą bezpieczni. Papa i tak by nie pojechał, a poza tym musi zająć się Sally i Emmą. Fatima po prostu wróci z rodziną do kampongu. Nic się im nie stanie. Tak, pojedzie z Billym i zostanie jego żoną, a Tom będzie ich dzieckiem. Jeszcze wszystko da się załatwić. Oparła się o pień i uniosła twarz ku snopom słonecznego światła, przefiltrowanego przez bambusowe zarośla. Na jej ustach pojawił się rozmarzony uśmiech.

Harry Fraser przemierzał ogrody z furją; słońce boleśnie prażyło jego ramiona i plecy przez cienką jedwabną koszulę. Miał już dość użerania się z kobietami. Najpierw Sally wpada w histerię, potem Ursula zwraca śniadanie i przepada Bóg wie gdzie! Cholerne baby! No, nie będzie już na nią czekać. Był pewien, że go słyszy, tylko nie chce wyjść. Pokazuje humory. A on wystaje na palącym słońcu, zamiast zająć się dwoma magazynami pełnymi kauczuku, który nie powinien dostać się w łapy Japońców. Święty by się już wściekł! Przez głowę przelotnie przemknęła mu myśl, że powinien zrobić coś, żeby jego rodzina nie wpadła w ręce nieprzyjaciela, ale znalezienie dla nich środka transportu i drogi ucieczki wydały się mu zbyt skomplikowane, by na razie o tym myśleć. Po południu zadzwonił do Sally i każe się jej pakować. Być może.

A'e kiedy dotarł do biura i usłyszał koszmarne opowieści o ludziach bijących się o bilety na ostatnie statki, zmienił zdanie. Jego rodzina będzie bezpieczniejsza na wyspie, niż podczas panicznej ucieczki. I w końcu nie zadzwonił do Sally.

Ale Sally nie zamierzała tak łatwo zrezygnować. Znała mnóstwo osób, zwłaszcza tych zorientowanych w przebiegu wydarzeń, i postanowiła, że nadeszła pora, by upomnieć się o wyświadczenie przysługi w rewanżu. I kiedy Fraser ciężko pracował w biurze, ona była niemal równie zapracowana w domu przy telefonie. Była nieco zdziwiona, że pomimo bombardowania i powszechnej paniki, linia telefoniczna nie została jeszcze zerwana. Ale tak właśnie było, więc zrobiła z niej użytek. Późnym popołudniem miała już przyobiecane trzy miejsca na „Vyner Brooke”, odbijającym za trzy dni. Nie było to tym, czego się spodziewała, ale P&O było nękanie tysiącami telefonów i powiedziano jej, że jeśli nie jest zadowolona, może stanąć w kolejce z pozostałymi kobietami. A ponieważ kobiety te były regularnie ostrzeliwane przez samoloty wroga, kiedy potulnie czekały w kolejce,

Sally natychmiast zakończyła rozmowę i zaczęła intensywnie zastanawiać się, czy nie zna jeszcze kogoś.

Od razu pomyślała o Ivanie i chociaż odnalezienie go nie było łatwe, a jeszcze trudniej przyszło jej przekonać go, że ma wobec niej dług wdzięczności, w końcu dopięła swego. Ivan Tarbuck należał do tego typu mężczyzn, którzy zawsze kręcili się wokół najbardziej atrakcyjnych mężatek w okolicy. Niedługo flirtowała z nim niewinnie, choć odrzucała jego zbyt natrętne zaproszenia na herbatkę czy przejażdżkę na nartach wodnych. Dawno temu reputacja znaczyła dla niej znacznie więcej, niż przelotny dreszczyk, jaki w niej budził. Owszem, zdarzały się jej romanse, ale jedynie z dyskretnymi żonatymi mężczyznami. Ivan nie wydawał się dyskretny. Obserwowało go zbyt wiele kobiet, uważnych i pełnych nadziei. A teraz ton jego głosu sugerował, że oczekuje pełnej zapłaty. Wahała się przez chwilę; tylko przez chwilę. Jakie to miało teraz znaczenie? Ivan był młody i atrakcyjny, a ponadto mógł uratować jej życie. Namiętym szeptem zgodziła się przyjechać i odebrać od niego bilety w jego mieszkaniu w Tanglin.

Odłożyła słuchawkę i zdała sobie sprawę, że ani Emma, ani Tom nie mają paszportów. Dzięki kolejnemu gorączkowemu telefonowi do ambasady odnalazła attache, który obiecał wpisać dzieci do jej paszportu, jeśli zjawi się u niego tego samego popołudnia. Myśl o tym przeraziła ją, ale Japończycy budzili w niej jeszcze gorsze przerażenie, więc zawołała Ibrahima i ruszyła w drogę.

Troskliwie ściskając w dłoni dokumenty dzieci, kazała Ibrahimowi zawieźć się do Nassim Hill. Wsiadła przed budynkiem; stajenny z nieprzeniknioną twarzą otworzył przed nią drzwi. Było jej obojętne, co o niej myśli. Chciała zdobyć te bilety i tyle. Ochryplym głosem, zdradzającym zdenerwowanie, kazała mu wrócić za godzinę i zaczekać na nią. Potem powoli przeszła przez ogród i stanęła przed drzwiami Ivana. Miała lekko przyspieszony oddech i czuła się tak, jakby miała zemdleć. Zatrzymała się i obciągnęła sukienkę na biodrach, czując pod palcami twarde, jędrne ciało. To dodało jej odwagi. Cokolwiek się stanie, Ivan nie będzie rozczarowany jej wyglądem. Uniosła obleczoną w rękawiczkę dłoń i zapukała dwa razy, bardzo mocno.

Ivan pewnie stał pod drzwiami, bo natychmiast otworzył. Jego twarz nie wyrażała niczego, ale rozświetla ją od wewnątrz blask triumfu, a w jego oczach widać było niemalże wyraz poczucia władzy. Sally przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

- Witaj. Minęło sporo czasu. Dobrze wyglądasz. - Jej głos wibrował gardłowo, nadając jej słowom głębokie brzmienie. Uśmiechnął się; garnitur białych zębów błysnął pod ciemnym, przystrzyżonym wąsikiem. Wszystko będzie dobrze. Nikt się nie dowie.

- Sally, kochanie. A już myślałem, że nie przyjdiesz. Coś cię zatrzymało?

- Paszporty dla dzieci. - Wzruszyła lekko ramionami. - Przepraszam, wszystko to trwa dłużej, niż sądziłam. Mam nadzieję, że się nie niecierpliwiłeś?

- Gorączkowałeś, to chyba bardziej odpowiednie słowo - oznajmił tak gładko, że jego słowa zabrzmiały niemal ironicznie. Pochylił się i ucałował jej dłoń. A potem wprowadził ją do środka i zamknął drzwi.

Jeszcze nigdy u niego nie była, więc z zaciekawieniem przyjrzała się umeblowaniu. Mieszkanie nie wyglądało egzotycznie; przypominało raczej ogród rozkoszy pełen zielonych roślin, poduszek rozrzuconych po podłodze, z niską otomaną, kasetką na opium z czerwonymi i złotymi ozdobami oraz nakrytym stolikiem obok łóżka. Spojrzała na Ivana i uniosła śliczny łuk brwi.

- Dla mnie?

Roześmiał się i objął ją w pól; jego dłoń prześliznęła się w górę, ku jej pierścionom, tak lekko, że właściwie niedostrzegalnie. Sally zadrzała i zwróciła na niego oczy. Wymienili przeciągłe spojrzenia; dwoje ludzi, doskonale świadomych tego, co robią. Ivan uśmiechnął się, jego ciemne oczy zaśniły. Nie odezwał się ani słowem, ale pocałował ją w usta. Ugryzł delikatnie jej dolną wargę i **poty** trzymał ją między zębami, póki nie poczuł, że zaczyna obrzmiewać. Ma takie doświadczone ręce, pomyślała, na wpół oizołomiona doznaniem, o których zdążyła już zapomnieć. Dlaczego opierała się mu tak długo? Dla Harry'ego? Dla reputacji? Roześmiała się słodko i wstrzymała oddech, kiedy jego dłonie przesunęły się po jej brzuchu i objęły pośladki, przyciskając ją mocno do niego.

Ursula odprowadziła zdziwionym spojrzeniem samochód znikający na długim podejździe. Dokąd wybierała się Sally? Z całą pewnością była zanadto przeważona, żeby myśleć o zakupach. Więc skąd nagle ten wyjazd? Pomyślała, że może zapytać o to Fatimę, ale raptownie zmieniła zdanie. Nie obchodziło jej, dokąd poniosło tę kobietę, dopóki trzymała się z dala od niej. A Fatima zburczyła ją za to, że nie pojawiła się na obiedzie. Nie, nie warto. Wkradnie się do domu od tyłu i znajdzie sobie coś na ząb. Potem wróci do swojej kryjówki. Tu było cicho i spokojnie, nikt nie szlochał ani nie krzychał; tu nie musiała się obawiać długich chwil milczenia pomiędzy Sally i papą; nie trzeba było znosić natręctwa Emmy, której wydawało się, że jest czarująca. Chciałyby, żeby był przy niej mały Tom, którego mogłyby do siebie przytulić dla otuchy, ale właśnie kładli go na popołudniową drzemkę. Nie, jeśli Billy po nią nie przyjdzie, nie ma sensu wychodzić.

Tego samego wieczoru była świadkiem kolejnej kłótni. Wysłano ją wcześniej do łóżka, co byłoby dla niej obrazą, gdyby napięcie wiszące w powietrzu nie było aż tak ponure i nieznośne. Rozkaz odejścia do swojego pokoju przyjęła więc z ulgą; wiedziała, że jeśli przejdzie na paluszkach przez salon, omijając trzeszczące deski podłogi, będzie słyszała każde wypowiedziane słowo przez kanały wentylacyjne. Była to jej stara sztuczka, wynaleziona w czasach, kiedy chciała wiedzieć, co Sally knuje przeciwko niej. Ale kiedy poszła za radą Billy'ego i przestała zdradzać dalsze tendencje do popełnienia niezręczności, Sally gwałtownie straciła nią zainteresowanie. A teraz znowu usiadła w dawnym miejscu i zaczęła się z drzeniem przysłuchiwać jadowitemu głosowi Sally i gniewnemu ojca. Rozmawiali o wojnie - po raz pierwszy od tamtej koszarnej Gwiazdki.

- Nie mów mi, że to niemożliwe! Sama potrafię znaleźć nam miejsce, skoro ty tego nie umiesz! - To Sally.

- Jak cholera! - Głos Harry'ego Frasera był ochryply, niemal zmieniający się w bełkot pod wpływem wściekłości i być może alkoholu. Ursula przełknęła ślinę, by usunąć ból, który czuła głęboko w gardle. Z niedowierzaniem słuchała jego dalszych słów. - Moja żona nie będzie decydować o losach rodziny! Tak się składa, że dziś rozmawiałem z wielkimi fizkami w armii i powiadam ci, że jesteśmy bezpieczni! - Niemal widziała jego uniesiony palec, mierzący w Sally w znany jej irytujący sposób. - Percival ma plan utrzymania Singapuru, lotniska w Kalang, zbiorników w Pierce i MacRitchie oraz punktów dowodzenia całym regionem Bukit Timah. Dzięki temu jesteśmy bronieni ze wszystkich stron, jeśli mnie nie zrozumiałaś.

- I tu masz rację, nie zrozumie cię nigdy. Jak możesz wierzyć w choćby jedno słowo z tego, co mówią, skoro od samego początku karmią nas tylko kłamstwami i obietnicami bez pokrycia. „Percival ma plan"! Ma, i wszyscy wiemy, jak się nam przysłużyły jego plany! Czasami ręce mi przy tobie opadają. A teraz mnie posłuchaj. Mamy tu małe dzieci. Jeśli zostaniemy internowani, jak mają przeżyć choroby, brak lekarstw... i z tego, co mi wiadomo, brak jedzenia? Nie narażę ich na to. Musimy się stąd wydostać, póki jeszcze jest czas. Na miłosierdzie pańskie, nie jesteś wojskowym, nie pełnisz jakiejś ważnej misji! Gdybyś zechciał, mógłbyś wyjechać stąd choćby jutro.

- Nonsens. Wygadujesz same idiotyzmy, kobieto. Jestem tu potrzebny i to wszystko. Na Boga, nie masz pojęcia, jakie sceny rozgrywały się dziś w dokach. Chcesz, żeby rozdeptali cię razem z dziećmi? Nie, tutaj jesteś znacznie bezpieczniejsza.

Kiedy Sally odezwała się po długiej chwili, w jej głosie pobrzmiwał śmiertelnie poważny ton.

- Czy to twoje ostatnie słowo?

- Owszem. I nie chcę już o tym słyszeć. Zrozumiałaś?

- Widzisz, Harry, problem polega na tym, że rozumiem cię aż za dobrze. - Ursula drgnęła z zaskoczeniem, słysząc śmiech Sally. - Nie uda ci się mnie oszukać, niech cię diabli! Cóż, mój panie i władco, nigdy więcej już o tym nie wspomnę. Ale nie podchodź do mnie ani nie odzywaj się, bo zwymiotuję. Możesz spać na dole albo w pokojach służby, wszystko mi jedno. Bóg świadkiem, że robiłeś to nadto często! Zostaw mnie w spokoju!

Ursula zaledwie miała czas schować się za rattanowąsofą, zanim Sally wbiegła na schody. Jest zaskakująco spokojna, pomyślała. Żadnych płaczów ani krzyków - czysta zimna furia. Drzwi trzasnęły i w domu zapadła cisza, przerywana jedynie pobrzękiwaniem szklanki na dole. Co miała znaczyć uwaga Sally o pokojach służby? Chyba nie...? Ursula zadrżała i nakazała sobie spokój. Wszystko się wyprostuje, kiedy wróci Billy. Poczekaj na niego. Wróciła do łóżka, przykryła się i przez następne godziny leżała absolutnie nieruchomo, jakby poddawała się karze za to, co zrobiła i przez co Billy wyjechał. To na pewno jej wina, ale wynagrodzi mu to, kiedy wróci. Z mocno zaciśniętymi oczami błagała Boga, by sprawdził Billy'ego już następnego ranka. To była jedna z tych wyjątkowych sytuacji, kiedy potrzebowała boskiej pomocy, a On wiedział, że nie zwracałaby się do nie-



go z niczym nieważnym. Jeszcze nigdy jej nie zawiódł, kiedy naprawdę go o coś prosiła. Billy jutro tu będzie. Wiedziała to z całą pewnością. Jej myśli zaczęły dryfować w stronę snu, ale zdążyła jeszcze postanowić, że jutro spyta papę, do kąd wyjechała dziś Sally. Wreszcie zasnęła.

Kiedy następnego dnia Fatima rozsunęła moskitierę i zarzuciła ją na obręcz nad łóżkiem, Ursula obudziła się zupełnie wypoczęta. Położenie słońca zaglądnącego przez żaluzję zdradziło, że jest później, niż zwykle.

- Zaspałaś? - spytała nieco zaskoczona. Ale amah mruknęła tylko, żeby Ursula wstawała i szła do łazienki, że ona, Fatima, ma na głowie za wiele zajęć, a Allah jeden wie, że ma tylko jedną parę rąk i za wiele dzieci, *lal* Ursula nie odzywała się, ponieważ wyczuła, że gniew amah był skierowany nie przeciwko niej, lecz raczej przeciw życiu jako takiemu. Pospieszenie zabrała parę owoców i biszkoptów, wypchała nimi kieszenie i pomaszzerowała w stronę swojej kryjówki. Zabrała ze sobą Toma. Fatima nie będzie go szukać, domyśli się, że jest z Ursulą. A zostało im tak / niewiele czasu. Może to już ostatni raz wolno jej trzymać go w ramionach, bawić się z nim, łaskotać w brzuszek, uczyć go liczyć paluszki u małej stopki. Och, tak trudno było czekać! Dzień ciągnął się w nieskończoność, bardziej niż zwykle, a kiedy Tom podreptał na obiad, nie miała już co robić. Patrzyła, jak Fatima wychodzi z domu i bierze małego na ręce. Zawołała niecierpliwie na Ursulę, odczekała chwilę i zniknęła we wnętrzu domu. Ursula odetchnęła z ulgą. Kiedy wróci do domu, będzie musiała pamiętać, żeby zabrać kilka książek. Była zmartwiona, że Billy nie pojawił się pomimo ugody, jaką zawarła z Bogiem. Ale może była zbyt drobiazgową, domagając się by przyszedł akurat tego poranka? Może bardziej istotne było to, żeby Billy pojawił się, kiedy będzie jej potrzebny? Wydawało się rozsądne, by usiąść spokojnie i zdobyć się na cierpliwość.

Opuściła bambusowe zarośla, kiedy słońce zaczęło się obniżać za wierzchołki drzew, rzucających długie cienie na trawnik. Ostrożnie przeszła obok pokoi służby, przecięła podjazd i zeszła po wyciętych w zboczu schodach, prowadzących na tereny Klubu Polo. Pora odwiedzić Jambang. Zawsze starała się zajrzeć do swojej klaczki przynajmniej raz dziennie, nawet jeśli nie mogła na niej jeździć. Padang był już bardziej suchy i pewnie można by już przegonić przez niego Jambang, ale jakoś nie potrafiła się na to zdobyć. Czowała się na nim taka bezbronna, tak obnażona, jakby stała nago przed nieprzyjacielskim wojskiem. Jeśli wróg nadejdzie, kiedy ona będzie tutaj, nie zdoła się ukryć na czas. Nie, musi poprosić Yahyah, żeby zrobił z klaczką parę rundek na tylnym padoku, albo biedactwo wkrótce oszaleje. Pamiętała, jak papa niegdyś nie jeździł na jednym ze swoich koni przez dwa dni, a kiedy przejechali przez betonowy most na kanale melioracyjnym, wierzchowiec nagle dostał szału i zrzucił papę z siodła, po czym pogalopował drogą do Mount Pleasant w stronę Thomson Road - wprost na tory, pod pociąg. Jeszcze teraz na samo wspomnienie robiło się jej niedobrze.

Popołudnie było cudowne, powietrze wibrowało od uderzeń owadzych skrzydełek, cichutkich szeleszczących papierowo dźwięków, tonących w świdrującym cykaniu cykad i ostrych ostrzegawczych ptasich nawoływaniach. Samo powietrze o fakturze jakby jedwabiu muskało skórę Ursuli, kiedy szła w kierunku stajni.

Było tak, jakby wszystkie jej zmysły nabrały dodatkowej wrażliwości; coś podpowiadało jej, żeby zapamiętała tę chwilę, ponieważ nigdy więcej się nie powtórzy. Ze spadzistego dachu ujeżdżalni zwiślał dzwonek, dźwięczący cicho przy każdym najbliższym tchnieniu wiatru, niczym bijące serce. Zawahała się, wyczuwając obecność czegoś, kogoś, kryjącego się w cieniu. Przesunęła językiem po wyschniętych wargach i zrobiła parę kroków naprzód; z bokсів dobiegało tupanie kopyt koni oganiających się przed muchami i poruszających się nieprzerwanie. Pachniało tu ciepło i znajomo, nawozem, słomą, kurzem i trocinami, z którymi mieszała się słodka odór rozkładu. Ursula zajrzała do pierwszego boksu i ze zdziwieniem odkryła, że jest pusty. Zwykle stał w nim wielki wałach pana Wrighta. Następna przegroda również świeciła pustkami. Ursula ruszyła dalej; obute w sandały stopy stąpały bezszelestnie po betonie. Oprócz jej dwóch wierzchowców oraz dwóch innych koni, wszystkie pozostałe zniknęły.

To był najbardziej dotkliwy z dotychczasowych ciosów. Przyglądała się, potwierdzając swój lęk - puste ściany i nietknięte siano. Nie wiedziała, gdzie podziały się pozostałe konie. I nie to było teraz ważne. Ważne było to, że zniknęły. Że inni przedsięwzięli środki ostrożności, zdążyli w porę uciec. A oni odkładali to zbyt długo. Poczula, że coś się w niej łamie; oparła się o słup obok boksu Jambang.

- Boże, to już koniec. Już za późno, a my ciągle zastanawiamy się, co robić. Przekłęty papa! - Tym razem już się nie bała słusznej kary. To nie miało znaczenia. I tak wszyscy byli przeklęci. Klacz zastrzygła uszami na dźwięk jej głosu i delikatnie prychnęła. Włosy porastające jej chrapy zafalowały. Ursula pogładziła aksamitny bok, musnęła chrapy, powiodła palcami po brodzie, z której również sterczały sztywne włosy. Klaczka stała nieruchomo. Pewnie wyczuwała zły nastrój Ursuli.

- Mogliśmy uciec, wiesz? Wszyscy, i ty też. A teraz albo nas zamordują, albo zamkną w więzieniu, a ciebie dosiądzie jakiś żółty człowieczek, który będzie cię bił i kłuł bagnetem, jeśli nie zechcesz biec dość szybko. Przepraszam cię, to wszystko przez papę. Tym razem nawet Sally chciała go przekonać, ale on jest zwyczajnie za tępy. - Otoczyła ramionami szyję klaczy i wtuliła twarz w jej sierść, po raz ostatni wdychając ten jej wyjątkowy zapach.

- Panienska jeździ dziś? - Głos, który dobiegł jakby spod jej stóp, spłoszył je obie. Odskoczyły w przeciwnie strony. - Panienska jeździ już? Mogę zrobić, *lal*

Śniada twarz Yahyaha promieniowała zadowoleniem. Zajmował się polewaniem koni wodą, a jednocześnie również i siebie. Otrząsnął się, a krople wody zamigotały w powietrzu niczym garść rzuconych w górę szklanych paciorków. Ursula odetchnęła z ulgą.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że to jeden z tych żółtych potworów. Wiesz, nawet Jambang się trzęsie. - Roześmiała się nerwowo. Yahyah odpowiedział jej uśmiechem - miodowooki, wyprostowany i najwyraźniej niewzruszony w obliczu rychłego pojawienia się wroga.

- Jambang *seperiti rusa masuk kampung*, boi się jak jeleń w wiosce, jak panienska teraz - powiedział cicho. Wyciągnął dłoń i pogładził łagodnie klacz, uspo-

kajając ją cichym cmokaniem. Przyjęła jego dotyk spokojnie i stanęła nieruchomo. Ursula westchnęła.

- Możesz ją zabrać? Zabrać ją i Bintanga i ukryć przed Japończykami? Nie chcę, żeby je skrzywdzili.

- **Can**, panienko. Mogę zabrać już, **lal**

- Tak. Teraz. Chyba nie zostało nam już wiele czasu.

- Mogę ukryć panienkę też?

Patrzył na nią spokojnie, oczekując konkretnej odpowiedzi. Był jej towarzyszem dziecinnych zabaw i nadal ją lubił, mimo iż minione lata pchnęły ich na różne drogi. Łzy napłynęły jej do oczu. Yahyah zgodził się zaryzykować życiem swoim i wszystkich mieszkańców kampongu, gdyby Japończycy ją znaleźli. Poza tym był jeszcze Tom - a Billy wkrótce po nią przyjedzie. Dotknęła ramienia Yahyah wiedząc, że potraktuje to jako komplement i nie poczuje się urażony. Większość Malajów nie lubiła, żeby ich dotykać, zwłaszcza w głowę. Ale oni od dawna byli rodzeństwem. Nie obrazi się. Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, nic mi nie będzie. Tylko konie, jeśli możesz. Dziękuję. - Jeszcze raz pogłaskała Jambang, a potem Bintanga. Skinęła chłopcu głową i wyszła. Nie odwróciła się już za siebie. Ruszyła szybkim krokiem w stronę domu. Papa lada chwila wróci z pracy i chciała z nim porozmawiać.

Strzelanina trwała z przerwami przez cały dzień, ale teraz na chwilę zapadła zupełna cisza. Bungalow stał wyniosły jak zawsze, otoczony zielonymi trawnikami i barwnymi kwiatowymi grządkami. Ursula przez moment zastanowiła się, czy nie wyobraziła sobie tego wszystkiego; może to był jakiś senny koszmar, nawiedzający ludzi zmożonych ciężką jak ołów popołudniową drzemką. Nawet zwierzęta padają pod jej naporem, jak od uderzenia topora, i tylko europejski Tuan utrudnia sobie życie dalszą pracą. Pewnie zapadła w sen w swojej bambusowej grocie, a za chwilę Ah Jong przydrepcze na werandę z napojami, a ona opowie Billy'emu o wszystkim i będą się z tego śmiać. Spojrzała na werandę, żeby upewnić się ostatecznie. Była pusta.

Tego wieczoru ojciec nie wrócił do domu. Pracował przy gaszeniu pożaru. Na nocnym niebie widzieli wyraźnie łunę nad Thomson Village, ale to wszystko. Strzelanina znowu wybuchła, coraz bliżej, coraz bardziej intensywna. Sally bez końca chodziła od ściany do ściany, tam i z powrotem, tam i z powrotem, ze splecionymi mocno dłońmi, które bezlitośnie wykręcała. Co chwila zatrzymywała się i nasłuchiwała. Potem znowu zaczynała chodzić. Patrzenie na nią zmęczyło Ursulę, która zaczęła z furią życzyć sobie, żeby ta kobieta usiadła wreszcie spokojnie i dalej nasłuchiwać odgłosów nocy. Dla kogoś urodzonego na Dalekim Wschodzie nie było nic przerażającego w odgłosach dżungli, wrzasku wyjców, chrząkaniu świń, dziwnym chrobocie owadów. Słuchała ich obojętnie, zwracając uwagę tylko na niezwykle dźwięki, kroki, które nie powinny się rozlegać, samochód, który nie powinien tędy jechać nocą, strzelaninę rozlegającą się coraz bliżej. Gdybyż tylko Sally mogła się uspokoić i usiąść...

Koło północy powieki zaczęły jej ciążyć. Sally nie pomyślała, żeby posłać ją do łóżka, a Fatima była zanadto zajęta własnymi problemami, żeby się wtrącać. Niebo przybrało kolor głębokiego fioleto, obrębianego czarnym szlakiem powiewających koron palm. Uginały się przy każdym podmuchu wiatru. Zwinięta w fotelu papy, Ursula zamknęła oczy; doczekała końca dnia, który był dla niej ostatnim dniem pokoju.

Kiedy znowu uniosła powieki, zobaczyła Billy'ego. Roześmiała się.

- Chyba Bóg pomylił dzień - odezwała się sennie; usiadł obok niej i uśmiechnął się.

- Jaki dzień?

- Dzień, w którym miałeś wrócić. Prosiłam o ciebie wczoraj, ale Bóg chyba coś pomieszał. Zdaje się, że jest obecnie dość zajęty. - Podniosła się ociężale i odgarnęła włosy z twarzy. Billy spostrzegł, że bardzo wychudła.

- Owszem, zgadzam się z tobą. Gdzie pani Fraser? - Ciągłe się uśmiechał, ale jakoś dziwnie trzymał głowę i kark. Wyglądał na spiętego i jakby starał się to ukryć. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie mając na dole... albo w ogrodzie? A może jeszcze nie wstała. Czekaliśmy, aż papa wróci do domu i chyba sen mnie zmorzył. Zresztą Sally i tak nie wstaje zbyt wcześnie. - Nie podobało się jej niespokojne spojrzenie Billy'ego. Miał się zjawić, żeby zająć się sytuacją, a nie jeszcze ją pogorszyć! W jej głosie pojawiły się ostre tony lęku.

- Sprawdziłeś wszędzie?

- Wszędzie. Emma i Tom także zniknęli. Naprawdę nic ci nie mówiła?

- Nie, oczywiście, że nie! A Fatima? Czy samochód stoi? Czy Ibrahim jest w pobliżu? - Zerwała się i podbiegła do okna, wychodzącego na podjazd. Dach ganku nie pozwalał stwierdzić, czy samochód nadal tam jest.

- Samochodu także nie ma, *cahayamata*. - Billy nie ruszył się z miejsca. Ursula odruchowo uśmiechnęła się na dźwięk tego czulego słowa. Światło jego oczu. Twarda kula w piersi nieco zelżała.

- Czy mogli pojechać do miasta? Beze mnie? - spytała z trudem. Jego oczy patrzyły łagodnie i czule. Jak zawsze.

- Tak. Sądzę, że twoja macocha wyjechała. Prawdopodobnie uważa, że za twój los odpowiedzialny jest twój ojciec, nie ona. Wołałam Fatimę i Ibrahima, ale nie zjawili się. Myślę, że oni także odeszli.

- Zostawili mnie? Nie ma Toma? To niemożliwe. Nie pożegnaliśmy się, a Fatima przecież by mnie nie zostawiła! To moja amah. - Już sama myśl o czymś takim była obraźliwa.

- Więc gdzie się podziała? Kiedy tu przyjechałem, nie znalazłem nikogo oprócz ciebie i nie budziłem cię, dopóki bardzo starannie nie przeszukałem domu. Czy twój papa jest w biurze? Czy przy pożarze?

- Nie wiem... - zawahała się. - O ile mi wiadomo, nie zjawił się w domu tej nocy. Gdzie byłeś, Billy? Nie widzieliśmy się całe wieki, a musiałeś wie-

dzieć, że się martwiłam. Mogłeś zadzwonić, wpaść na chwilę, albo wysłać list, albo cokolwiek! Odchodziłam od zmysłów! - Czuła się okropnie, a jednak nie potrafiła powstrzymać potoku oskarżeń. Strach zamienił się w gniew, wymierzony przeciwko niemu. - Już cię nie obchodzimy, tak? Czym się zajmowałaś? Miałaś pełne ręce roboty ze znalezieniem kryjówki? A ja na ciebie czekałam i czekałam. Myślałam, że ty wszystko naprawisz. Że zabierzesz mnie i Toma w jakieś bezpieczne miejsce. Ale Toma już nie ma. Zniknął razem ze wszystkimi, a ty niczego nie naprawiłeś. Wszystko psuje się coraz bardziej, a ty nie wiesz, co robić! Dlaczego? - Płakała, nie zdając sobie z tego sprawy, a Billy patrzył na nią z takim bólem, że wbrew samej sobie zarzuciła mu ręce na szyję i pozwoliła się mocno przytulić. Nie mógł nic na to poradzić. To nie jego wina. To przez Japończyków - i papę, i Sally, która wymknęła się razem z dziećmi, nie obudziwszy jej ani nie spytawszy, czy chce z nimi jechać. Cała Sally. Samolubna do szpiku kości. Ursula przywarła mocno do Billy'ego i przeprosiła go, kilka razy, na wypadek, gdyby jej nie usłyszał albo nie zrozumiał. Pocałował jej włosy i wypuścił ją z objęć tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi. Starą się nie poczuć urazy. Ale...

- Możesz zadzwonić do biura papieża? Pewnie tam jest - odezwała się po krótkiej chwili. Billy stał przy oknie, głęboko zamyślony. Spojrzał na nią, lecz nie odezwał się. Ale powiódł po niej uważnym spojrzeniem, od stóp do głów. Szczupła i drobnokoścista, więc nie powinno być problemu. I, dzięki Bogu, ma ciemne włosy i oczy. Trochę opalenizny i może jakiś roślinny barwnik - tak, to nawet możliwe.

- Billy, nie usłyszałeś? Powiedziałam...

Dzwonek telefonu, przeraźliwie głośny w ciszy gabinetu, przerwał jej w pół słowa. Rzuciła się biegiem po schodach. Kiedy do niego dopadła, z trudem łapała powietrze.

- Halo? Tak, papo, to ja. Sally wyjechała, i Tom też, i Em... - Gniewny głos ojca kazał jej zamilknąć. Billy w ślad za Ursulą zszedł na dół. Słyszał głos Frasera brzęczący donośnie w słuchawce, którą dziewczynka trzymała nieco dalej od ucha, niż zawsze. - Tak, papo. Ale Billy tu jest. Nie sądzę, żeby... - Znowu rozległo się głośnie brzęczenie i Ursula przekazała słuchawkę Billy'emu. Wyglądała na zdenerwowaną. - Chce z tobą porozmawiać.

Nie została w pokoju, by przysłuchiwać się rozmowie. Ruszyła błędnym krokiem w stronę werandy i przysiadła na progu. Po chwili usłyszała krótki dzwonek; słuchawka została odłożona. Billy przysiadł obok niej z niezgrabnym wdziękiem właściciela zbyt długich kończyn, które przy siadaniu sprawiają trochę kłopotu. Westchnął; wokół ust pojawiły się dwie zupełnie nowe zmarszczki. Nie może mieć więcej, niż dwadzieścia parę lat, pomyślała Ursula, ale dziś wygląda o wiele starszej.

- Papa chce, żebym poszła do Hendricksów - odezwała się, kiedy zrozumiała, że Billy się nie odezwie. - Nie chcę. Czy nie mogłabym poczekać tu z tobą?

- Twój papa zmienił zamiar, kiedy dowiedział się, że tu jestem. Powiedział, żebyś poczekała tu na niego. Chyba zamierza odnaleźć panią Fraser i dzieci, za-

nim wyjadą. Jakaś przyjaciółka pani Fraser zadzwoniła do niego i opowiedziała mu o jej zamiarach.

- Założę się, że to Carrie. W oczy słodka jak miód, za plecami jadowita jak stara ropucha. Nie mam pojęcia, co Sally jej mogła zrobić.

To niezupełnie prawda, pomyślała. Wiem, co zrobiła Sally z mężem Carrie. Ale tego chyba nie powinnam mówić, prawda?

- A więc... może poszukamy Fatimy? Chciałbym z nią porozmawiać. Może poszła do kampongu. Front jest już chyba blisko.

Ale Fatima nie ukryła się w kampongu. Znaleźli ją w domu, gdzie upychała srebra w wielkiej skrzyni, którą przywlokła ze składziku. Drgnęła przerażona, kiedy podeszli do niej. Potem podparła się pod boki i zmarszczyła brwi.

- Panienka nie odeszła! Memsahib odeszła, mała panienka, mały Tuan odeszli, czemu nie panienka? Musoh nadchodzi, bardzo szybko, *lal*

- Z tego, co wiem, wróg może być tuż przy bramie, ale memsahib wyjechała beze mnie. Billy i ja czekamy na Tuana - wyjaśniła Ursula, jakby nie zauważając tego, czym zajmowała się jej amah. Twarz starej kobiety pofałdowała się niczym twarz małpy.

- Nie ma czasu, panienko. Trzeba iść już. Zakopywa srebra. Ibrahim wróci do kampongu, jak memsahib zabiera samochód. Memsahib mówiła, niepotrzebni już - wszyscy odchodzą. Zostawi nas tutaj. Niedobrze. - Rozmowa z Fatimą po angielsku stawała się zadaniem ponad siły. Ursula przeszła na malajski. Dziwiło ją, że Billy nie włącza się do rozmowy, ale w ogóle wydawał się dziś jakiś dziwny. Jakby myślni był gdzie indziej. Spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Gdzie byłaś dziś rano? Kiedy Billy przyjechał, nie zastał nikogo, tylko ja spałam na górze. Dlaczego mnie zostawiliście?

- Memsahib powiedziała, że wszyscy odeszli. Zabraliśmy Yahyah i nasze rzeczy do kampongu. Wróciłam, żeby schować srebra. Myślałam, że ty też odeszłaś, panienko.

To brzmi już bardziej sensownie, pomyślała Ursula. Sally po prostu zapomniała o mnie na śmierć. Pewnie nawet nie widziała mnie w tym wielkim fotelu papy. Papa zabronił jej wyjeżdżać, ale ona go nie posłuchała i zabrała ze sobą dzieci. Najwyraźniej nie mogła zabrać pasierbicy bez zezwolenia ojca, a w ostatecznej panice zapomniała powiedzieć Fatimie, że zostałam. Ursula pokiwała głową i wrzuciła ramionami, trochę zażenowana, że wszyscy o niej zapomnieli. Ale Fatima zrozumiała ją bez słów i porwała w objęcia; tuliła ją do siebie, gładząc ciemną lśniącą głowę i dotykając policzkiem policzka dziewczynki. Ursula słyszała burczenie jej żołądka i czuła ostry zapach jej oddechu. Poczwała, że zalewa ją fala miłości do tej kobiety. Nie była przecież jej matką, ale dbała o nią bardziej, niż wszyscy inni. Dobrze jest mieć kogoś, kto o nas dba. Ale to nasunęło jej wspomnienie Toma i musiała szybko przełknąć ślinę. Billy poruszył się niespokojnie, więc Ursula oderwała się od swojej amah.

- Co się stało?

- Poszukaj czegoś do jedzenia. I może trochę soku, jeśli możesz. Nie jadłem już dość długo. Fatimo, skończ już z tym.

Najwyraźniej namyślił się już i podjął jakąś decyzję. Ursula bez słowa pe maszerowała w kierunku pomieszczeń kuchennych.

Znalazła papaję i parę owoców mango, trochę chleba, masło, mleko i dżem pomarańczowy, położyła to na wielkiej tacy i dodała trzy noże i trzy łyżki. Nie miała pojęcia, gdzie Fatima trzyma serwetki, więc po prostu wzięła ściereczkę do wycierania talerzy na wypadek, gdyby ktoś ubrudził się przyjeździe. To i tak nie miało w tej chwili większego znaczenia. Nikt nie będzie po nich sprzątać. No, może Japończycy. W lodówce stał wielki dzban soku z limony, który także wzięła i trzy szklanki. Wszystko to zajęło jej sporo czasu, ponieważ musiała zaglądać do różnych szafek i szuflad. Zazwyczaj pomieszczenia kuchenne były terenem zakazanym. Oczywiście wiedziała, gdzie szukać owoców i biszkoptów, ale znalezienie wszystkiego innego okazało się trudnym orzechem do zgryzienia. Załadowana taca stała się zbyt ciężka do uniesienia. A więc zostawiła ją i poszła poszukać Billy'ego. On zaniesie ją na werandę.

Billy stał na podjeździe i rozmawiał z dwoma mężczyznami w mundurach khaki. Ten wyższy zdjął czapkę i otarł czoło ze znużeniem. Wyglądali na zdenerwowanych, ale Billy rozmawiał z nimi w zwykły dla siebie, spokojny sposób. Fatima stała obok; wyglądała jak wcielenie uporu. Mężczyźni raptownie porzucili rozmowę, kiedy Ursula zeszła po schodkach werandy i podeszła do nich. Patrzyli na nią, jakby odebrało im mowę.

- To ta dziewczynka? - spytał wreszcie jeden z nich, zwracając się do Billy'ego. Dość grubiański, pomyślała. Billy skinął głową. Drugi mężczyzna podszedł do niej i kucnął, jakby myślał, że rozmawia z dzieckiem. Ursula była wysoka jak na swój wiek, więc patrzyła z góry na przybysza. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę z własnej pomyłki i wyprostował się, pokrywając uśmiechem zażenowanie. Najwyraźniej nie chciał jej urazić. Drugi odezwał się głośno:

- Nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa nikomu, kto mieszka tak daleko, a już zwłaszcza dziecku. - Miał zły, gniewny głos. Billy nie odezwał się, a ten uśmiechnięty położył rękę na ramieniu Ursuli.

- Twój ojciec miał mały wypadek. Grzmotnął się solidnie w głowę. - Roześmiał się, jakby myślał, że w ten sposób odegna strach, który pojawił się w oczach dziecka. - Założę się, że jutro będzie miał potworną migrenę. I pewnie wścieknie się jak stary niedźwiedź, kiedy zobaczy, co się stało z jego ślicznym nowym samochodem. - Zamilkł, z namysłem, ważąc słowa. - Będziemy musieli przewieźć cię do Singapuru. Umieścimy cię u jakichś miłych ludzi, dopóki twój tata nie przyjdzie do siebie na tyle, żeby po ciebie przyjechać. Cieszysz się, prawda? Nie chcesz tu zostać zupełnie sama, kiedy Japończycy są tak blisko, prawda?

- Nie będę sama. Billy i Fatima są ze mną. Poza tym, w jaki sposób papa miałby mnie znaleźć? Kim są ci ludzie, u których chcą mnie panowie umieścić? - Oficer wydawał się zaskoczony tym, jak bardzo wydawała się dorosła. I odważna. Nie wiedział, że wewnątrz cała dygocze, że każde włókienko mięśnia napięło się w niej, aż do fizycznego bólu. Widział jedynie bardzo pewną siebie młodą dziedziczkę, domagającą się informacji przed podjęciem decyzji. Zrobiła na nim raczej odpychające wrażenie.

- No tak, no tak. Nie możesz tu zostać tylko ze służącymi. To porządne ludziska, ale... - zniżył głos - ... to krajowcy, niezbyt godni zaufania, pojmujesz. Mogliby cię zostawić, kiedy nadejdą Japończycy.

- Sądziłam, że panowie powstrzymają nieprzyjacielskie wojska. Czy to przypadkiem nie defetyzm? - syknęła Ursula z furją, dotknięta do żywego tym, co ten chudy mężczyzna o bladej spoconej twarzy śmiał powiedzieć o Billym i Fatimie. Czowała coś więcej, niż furję; była chora z wściekłości.

- No, jeśli tak stawiasz...

- Na miłość boską, Simpson, przestań jej to tak usilnie klarować. Ta dziewczyna doskonale rozumie swoją sytuację, śmiem przypuszczać. I nie ma tu nic do gadania. Jedźcie z nami, już teraz. Połącz się z nimi i powiedz, żeby przysłali transport. Najwyraźniej nie ma co liczyć na samochód. A co do ciebie... - pierwszy oficer zwrócił się do Billy'ego. - Trzeba powiedzieć tej kobiecie, żeby wracała do kampongu ile sił w nogach. Na twoim miejscu wiałbym stąd gdzie pieprz rośnie. Jesteś Euroazjatą, co? - Niemal nie czekał na odpowiedź. - No, to chyba już słyszałeś o tych przyjemnościach, które mogą ci zafundować Japonce, jeśli cię złapią. Lepiej zbieraj się już teraz. Jesteśmy ostatnią jednostką pomiędzy wami i nieprzyjacielem, a nie wydaje mi się, żebyśmy wytrzymali jeszcze przez dłuższy czas.

- Kto jest waszym dowódcą?

- Dowódca brygady Massy - Beresford. Dopóki zdołamy, będziemy się starać utrzymać zbiornik i stację nadawczą. Wyglądasz na roztropnego gościa, więc może przemówisz dziewczynie do rozumu. Dobrze?

Zamilkł dla nabrania oddechu; wysoki oficer wrócił z dżipa.

- Przyślą niezwłocznie jakiś transport dla dziewczynki. Pewnie będą za jakieś pięć minut. Porters chce, żebyśmy niezwłocznie zjawili się na polu golfowym. Są odcięci na końcu drogi Sime.

- Dobrze. No, to ruszamy. Wy tu zaczekacie. - Odwrócił się do Ursuli. - Przyjadą tu za minutkę. Na razie.

I z tymi słowami wsiedli do dżipa, zawrócili na trawniku, zostawiając za sobą głębokie koleiny, których widok zламаłby serce ogrodnika, po czym ruszyli z rykiem silnika. Ursula mogła ich poinformować o skręcie prowadzącym przez Adam Road, ale pozwoliła im odjechać bez słowa.

Nikt nie odezwał się, dopóki samochód nie zniknął im z oczu. Potem Billy wyciągnął rękę i Ursula rzuciła się ku niemu pędem. Schowała głowę w zgięciu jego ramienia, tak jak zwykła to robić w dzieciństwie. Tego było już dla niej zbyt wiele. Nikt nie mógł się spodziewać, że potrafi znieść jeszcze i to.

- Nie chcę z nimi jechać! Oddadzą mnie obcym, a potem, jeśli wyspa zupełnie się podda, będę internowana z kobietami. Albo mnie zabiją. Czy nie moglibyśmy gdzieś się ukryć... razem? - Szepnęła to najcichszym szeptem i poczuła, że Billy sztywnieje. Jego złocista skóra, którą tak kochała, była mocno napięta na kościach policzkowych, a w oczach malował się bezbrzeżny smutek i czułość.

- Nie, *cahayamata*. Nie razem. Muszę iść tam, gdzie nie będziesz bezpieczna. Sądzę... tak, sądzą, że będziesz bezpieczniejsza z Fatimą. Ucharakte-



ryzujemy cię tak, żebyś wyglądała jak Malajka. Ukryjesz się, kiedy nadejdą Japończycy.

- A papa? Nie będzie wiedział, gdzie jestem, a może być ciężko ranny.

- Odnajdę twojego papę. Powiem mu, gdzie jesteś, że jesteś bezpieczna i nic ci nie grozi. A potem pójdę tam, gdzie mnie potrzebują.

- Ja też cię potrzebuję! - załkała rozpaczliwie. Nie mogła go stracić, nie jego! - Nie wiem, jak się czuje papa... nawet nie będę wiedziała, czy go znajdziesz. Nie wiem, w którym leży szpitalu!

Billy pogłaskał japo włosach i otarł kciukiem jej łzy; w jego geście było tyle czułości, że rozplakała się jeszcze gwałtowniej.

- Jest w wojskowym szpitalu Alexandra. Jego samochód został ostrzelany przez samoloty na drodze Stevensa, tak powiedział ten oficer. To dlatego tak szybko po ciebie przyjechali. Twój papa kazał im cię odnaleźć. Teraz widzisz, ile dla niego znaczysz. Nie martw się, znajdę go. Potem spróbuję tu wrócić, żeby ci o wszystkim powiedzieć. A teraz przestań płakać i idź z Fatimą. No, szybko, zanim pojawią się żołnierze. Spotkamy się dziś wieczorem.

Przytulił ją pospiesznie i popchnął w stronę Fatimy, która wyciągnęła ku niej rękę. Ursula niemal nic nie widziała poprzez łzy; mogła jedynie pójść posłusznie za kobietą. Miała wrażenie, że nieprzyjaciel następuje im na pięty, a jednocześnie chciała wrócić i powiedzieć Billy'emu, że nic jej nie będzie, żeby do niej nie przychodził. To niebezpieczne. Ale Fatima poganiała ją i wkrótce dom i Billy zniknęli jej z oczu.

## Rozdział piąty

**R**oślinny barwnik sprawdził się nadspodziewanie dobrze. Fatima utłukła w moździerz jakiś dziwny korzeń, a potem palcami rozsmarowała papkę po twarzy Ursuli. Teraz dziewczynka była bardziej smagła, niż zazwyczaj, ale uznała, że nawet jej z tym ładnie. Włosy i oczy wyglądały naturalnie w ciemnej twarzy, a kiedy Fatima zdjęła jej sukienkę i omotała ją sarongiem, na który narzuciła małą kurteczkę, trudno było ją odróżnić od małej Malajki. Była szczupła, początkowo poruszała się jeszcze niezręcznie w obawie, że sarong nagle opadnie jej z bioder, wkrótce jednak nabrała jednak śmiałości i zaczęła chodzić zupełnie swobodnie. Procesowi farbowania chciała przyglądać się cała wioska, ale Fatima zaczęła pomstować i przegoniła wszystkich mężczyzn i chłopców. Tu nie przedstawienie! Ursula omal nie umarła ze wstydu, kiedy Fatima zdjęła z niej sukienkę, żeby ufarbować również resztę jej ciała, ale przyglądające się jej kobiety nie wydawały się poruszone. Patrzyły na nią, jakby była jedną z wioskowych kózek albo chudym kurczakiem. Była dla nich ciągle dzieckiem, a dzieci nie muszą się wstydzić matek. Poza tym musiała przyznać, że w sarongu było jej o wiele chłodniej, niż w sukience. I miło było chodzić boso po ciepłym piasku. Czasami raniła sobie stopę o kamyk czy cierń. Wtedy kuśtykała do najbliższego słupa, by obejrzeć stopę. Były ciągle miękkie i wrażliwe. Minie sporo czasu, zanim staną się twarde niczym rzemień, tak jak stopy Fatimy.

Uporawszy się z Ursulą Fatima skierowała ją do opiekania się dziećmi. To umiała robić i nic lepiej nie odciągnęłoby jej myśli od ojca i Billego. Dzieci uwielbiały ją wieszaly się u jej rąk i sarongu i walczyły między sobą o najlepsze miejsce u jej boku. Rozmawiała z nimi tylko po raalajsku i wkrótce stała się nie do odróżnienia pomiędzy innymi dziećmi w wiosce. Mieszkańcy kampongu byli

ubodzy; większość z nich zarabiała jako stajenni w Klubie Polo, a kobiety uprawiały ziemię, hodowały kozy i kury oraz plotły maty z włókien palmowych. Teraz, gdy zabrakło Tuanów, mężczyźni musieli znaleźć inną pracę. Ich naczelnik, lembaga, zwołał tego dnia naradę, żeby przedyskutować problem, ale był stary i nie miał ochoty komplikować sobie życia szukaniem pracy swoim ludziom. Chciał zrzec się stanowiska i oddać swoją godność jakiemuś młodszemu mężczyźnie. Potrzebowali kogoś, kto mógłby porozmawiać z Japończykami i przekonać ich, żeby zostawili kampong w spokoju.

Ursula siedziała w pewnym oddaleniu od grupki mężczyzn i chłopców i zastanawiała się, o co tu chodzi. Dzieci usiadły wokół niej na piasku i zaczęły pleść dla niej bransolety z liści i trawy. Skakały z podnieconym sykiem, usiłując złapać ważki i motyle, które przelatywały zbyt blisko nich i szczebiotały do niej tak głośno, że nie słyszała ani słowa z tego, co mówili mężczyźni. Widziała, że lembaga co chwila unosi ręce i dziko nimi wymachuje. Potem starszy wioski, Buapa, wtrącał parę słów i znowu rozpętywała się awantura. Następnie naczelnik uspokajał zgromadzenie i wszystko zaczynało się od nowa. Zbita z tropu Ursula zastanawiała się z lękiem, płynącym częściowo z poczucia winy, a częściowo z wrażliwości, czy klótnia została wywołana jej obecnością w kampongu. Nie miała wątpliwości, że gdyby ją znalezione, wszystkim groziłoby wielkie niebezpieczeństwo. Ale co mogła na to poradzić? Siedziała i przyglądała się im niespokojnie, a godziny niepostrzeżenie mijały jedna za drugą. Powoli słońce zaczęło chować się za krawędzią dżungli. A Billy nie nadchodził.

Przez cały dzień trwała strzelanina, czasami w pobliżu wybuchała jakaś bomba, ale mieszkańcy wioski zachowywali obojętność. To nie była ich wojna; może Japończycy będą lepsi, niż Europejczycy, może nie. I tak nie mogli niczego zrobić. Pozostało im tylko usiąść spokojnie i czekać. Tak czy tak, musieli mieć co jeść i w co się ubrać. Życie toczy się dalej. O zmroku lembaga zwołał całą wioskę na polankę przed jego chatą. Był siwiuteńki jak gołąbek i chudy jak patyk, ale czerstwy i wyprostowany. Jednak jego twarz zdradzała podeszły wiek, a oczy były żółtkłe i zamglone. Podniósł rękę, nakazując ciszę; luźne fałdy skóry zafalowały w miejscu, gdzie niegdyś znajdowały się mięśnie. Starzec przemówił drżącym głosem.

- Doliny stały się zbyt głębokie, bym w nie wszedł, wzgórza za strome, bym je pokonał, a wędrówki zanadto męczą moje stopy; ciężary za ciężkie, bym je dźwigał, a każda praca zbyt uciążliwa dla moich pałców.

Była to rytualna formuła rezygnacji. Mieszkańcy wioski westchnęli głęboko, a Ursula skuliła się za Fatimą, ledwie zauważając, jak dumnie wyprostowani stoją Ibrahim i Yahyah u boku starego naczelnika. Czuli, że dzieje się coś wyjątkowego, ale była zbyt pochłonięta własnymi sprawami, żeby poświęcić temu odpowiednio dużo uwagi. Działo się tu coś przekraczającego jej możliwości pojmowania, więc mogła się temu jedynie przyglądać; potem przemawiali następni mężczyźni, tłum wdychał i potakiwał, aż wreszcie Ibrahim powoli wystąpił naprzód. Skłonił godnie głowę, powiedział coś o rozrzucaniu ziarna i rzeczywiście, wziął garść ziarna i rozrzucił je po ziemi. Ursula nie rozumiała, co się

dzieje; dochodziły do niej strzępy wypowiedzianych przez Ibrahima zdań o „kogutach, które nie składają jaj, kurach, które gdaczą i pisklętach, które piszczą”. Nic z tego nie pojmowała, więc uznała, że to jakieś zawracanie głowy. Wszyscy od dawna wiedzą, że koguty nie składają jaj. Dlaczego Ibrahim opowiadał im o takich oczywistościach? Była zmęczona i miała straszną ochotę przerwać to wszystko i kazać Ibrahimowi pójść do domu i sprawdzić, czy Billy już wrócił.

Ibrahim dobrnął właśnie do ustępu sławiącego jedność plemienną i wszyscy zamarli w absolutnym milczeniu, wpatrzeni w niego. A on wyprostował się dumnie i wyrecytował:

*Razem obedrzemy ze skóry wątrobę słonia  
Razem wyjmiemy wątrobę wszy;  
Co razem tracimy,  
to razem zyskujemy.*

Tym razem zamiast westchnięć zerwały się radosne okrzyki. Wszyscy zaczęli ze sobą rozmawiać, a kobiety pobiegły do swoich chat i powróciły z darami, które kładły przed Ibrahimem. Ceremonia ciągnęła się w nieskończoność i małe dzieci zaczynały kapryścić. Ursula nie była zainteresowana tym, co miał do powiedzenia Ibrahim. Martwiła się, że Billy ciągle nie wraca, a strzały słychać bardzo blisko. Nie potrafiła się domyślić, dlaczego mieszkańcy wioski wybrali akurat ten moment, żeby wyprawić ucztę - a widziała wyraźnie, że na to się zanosilo. Wszystko to było dla niej zbyt trudne, a w dodatku Ibrahim jakoś się zmienił. Chyba w ogóle nie poszedłby do domu nawet, gdyby tego zażądała. Przez głowę przebiegła jej przelotna myśl, którą natychmiast gniewnie odsunęła: może tamten oficer miał jednak rację? Powinna trzymać się swojej rasy. A potem, pełna obrzydzenia do samej siebie, opuściła tłum i z wahaniem poszła w stronę domu. Nikt nie zauważył jej zniknięcia.

Bungalow stał cichy i mroczny. Nikt nie zapalił światła ani nie zapuścił żaluzji. Z gabinetu papy nie było słychać muzyki. Powietrze wydawało się nieruchome, jakby martwe. Wśliznęła się do kuchni i niemal się przewróciła o kufer ze srebrami, który zostawiła tu Fatima. Pewnie zapomniała przysłać tu kogoś, żeby go zakopał. A teraz wszystko wpadnie w ręce Japończyków. Ursula poczuła wzbierający gniew. To nie należało do nich, nie mieli prawa tego zabierać! Ale zrobią to, jeśli ona czegoś nie wymyśli. Och, dlaczego nie ma przy niej Billy'ego! Myśl pojawiła się machinalnie, jak zawsze, kiedy czegoś potrzebowała. Koniec, powiedziała do siebie ostro, przestań jęczeć i zacznij myśleć. Sally usiłowała zaciemnić okna w jadalni wielkimi brokatowymi szalami. Ursula wdrapała się na krzesło i dopóty ciągnęła i szarpała za materiał, aż wreszcie osunął się na podłogę. To się nada, pomyślała. Zaniosiła szal do kuchni i rozłożyła go na podłodze. Potem, powoli i ostrożnie, pociągnęła skrzynię. Była przeraźliwie ciężka, a szal związał się przed nią bezładnie, kiedy usiłowała ją pchać do przodu.

Chciało się jej płakać ze złości. W każdej chwili w domu mogli pojawić się japońscy żołnierze i zakłuć ją bagnetami - albo zrobić jej tę straszną, tajemniczą rzecz, tę, co to jest gorsza od śmierci. Zatrzymała się i zaczęła z napięciem nasłuchiwać dźwięków, które mogłyby zdradzić nadejście wroga. O Boże, dlaczego to spotkało właśnie ją? Nie, dość! Panikowanie nic tu nie pomoże. Pozostawiono ją samą i musi dać z siebie wszystko. Surowa reprimenda dodała jej sił, by usiąść i zastanowić się nad tym problemem. Może powinna najpierw wyjąć parę sztuk sreber, a później lżejszy kufer łatwiej przesunie się po szalu. Wieko nie było jeszcze zamknięte, więc bez trudu wydobyla kilka srebrnych przedmiotów. Odrzuciła je niedbale na bok i zamarła, bo potoczyły się po podłodze ze głośnym szcękaniem. Po paru chwilach milczącej paniki wyjęła jeszcze parę sreber i położyła je ostrożnie na stole. Wkrótce wszędzie wałały się świeczniki, ramki do fotografii, talerze, kielichy, dzbanki, noże i widelce. Ursula nie poświęciła im większej uwagi; skupiła się na przeniesieniu skrzyni na szal. Musiała wyżyć wszystkie siły, ale wreszcie dopięła celu. Stała, ciężko zadyszana.

Na razie nie najgorzej. A teraz - gdzie to ukryć? Dżungla wydawała się najbardziej logicznym miejscem, ale jak zatrzeć głębokie koleiny po ciągniętym kufrze? Zdecydowała się jednak zaryzykować. Skrzynia była ciężka, ale szal nada jej lepszy poślizg, a kiedy już dotarła do trawnika, poszło jej o wiele lepiej. Trawa nadal była sucha, a ziemia twarda. Jeśli szczęście jej dopisze, na trawniku nie zostaną ślady.

Zawleczenie skrzyni do dżungli zajęło jej godzinę, a ponowne napełnienie, zamknięcie i ukrycie pod liśćmi palm - następną. Nie miała pewności, czy ktoś i tak jej nie znajdzie, ale przynajmniej nie zostawiła jej na środku kuchni, żeby ktoś się o nią potknął! Potem wróciła do kuchni i załadowała kosz pełen jedzenia, wzięła dzbanek soku z tacy, parę książek i poduszkę. Zniosła to wszystko do swojej kryjówki w bambusach, wepchnęła do środka i wśliznęła się w ślad za koszem.

Billy stał sztywno wyprostowany za Harrym Fraserem na trawniku przed wojskowym szpitalem Alexandra. Wiatr przynosił powiewy dymu z głównego budynku. Na białych bandażach spowijających głowę Frasaera wystąpiły brązowiejące plamy krwi. Nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Oczy wszystkich przywarły do stojących przed nimi mężczyzn dzierżących bagnety i szacujących zimnym spojrzeniem pacjentów leżących wprost na twardej trawie czy betonowych alejkach. Ci zostali odciągnięci. Pozostali wyprężali plecy, usztywniali kolana uginających się nóg, zagryzali wargi aż do krwi. Ci, którzy upadli, już nie żyli. Od strony szpitala nadal dobiegały krzyki, na dźwięk których więźniowie wzdrygali się.

Wszystko wydarzyło się tak nagle. W jednej chwili lekarze i pielęgniarki krążyli cicho pomiędzy rannymi, w następnej - groza, piekło, krzyk! O Boże, myślał Fraser, ten krzyk! Jak to się mogło stać? Widział pacjentów zakłuwanych bagnetami na śmierć, wyciągających ręce, by powstrzymać spadające ostrze, słyszał błagania przerażające się w krzyk grozy. Ten biedak na stole operacyjnym, który wszystko to widział i wiedział, że jest już za późno. Cios, metal wbijający

się w gardło, ohydny świszczący dźwięk. Piekło na ziemi! Fraser potrząsnął głową. Nie myślał o Billym ani o sobie. Tylko o tym krzyku.

Flaga Czerwonego Krzyża trzepotała na maszcie - biel spływająca czerwienią jak krwią. Główny budynek stał już w ogniu, a spomiędzy płomieni słychać było kaszel, płacz, błaganie o litość. Obok nich stał chwiejąc się młody Rodney Hendricks z nogą w gipsie i wysoko uniesioną głową. Wyglądał jak dziecko, pogrążone w szaleństwie, które nie uwzględniało niczego - że był zbyt młody, bardzo słaby i chory. Zza dymu i płomieni ciągle dobiegały ich krzyki. Fraser schylił głowę z oczami pełnymi łez, nie wiadomo - od dymu, czy ze wstydu.

- Co oni nam zrobią? Zamordują nas wszystkich? - Mały człowieczek, który powinien stać za ladą trafiki albo pracować w biurze, na jakimś niezbyt ważnym stanowisku, zagryzał nerwowo wargę. Billy wzruszył ramionami.

- Być może wyślą nas do jakiegoś obozu.

Może Europejczyków, dodał w myślach; nie mnie. Mnie nigdzie nie będą wysyłać. Eurozjaci byli rasą wyklętą i /nienawidzoną. Odwrócił się, żeby spojrzeć na człowieka, dla którego pracował - wysokiego, surowego Tuana o ostrym spojrzeniu jasnych oczu i równie ostrym języku. W jego oczach malowało się przerażenie i zgroza; w tej samej chwili zrozumiał, że dla kogoś takiego oddał życie. Czy Fraser chociaż zdawał sobie z tego sprawę? Czy to go obchodziło? Ale Fraser myślał tylko o jednym.

- Co się stanie z Ursulą, na Boga! - Zadrzał i wsparł się ciężko na ramieniu Billy'ego. Była za mała na to wszystko. A jednocześnie zupełnie dorosła. Strach wyżyłbił w jego policzkach głębokie bruzdy; podgardle zwiślało mu w luźnych fałdach. Twarz Billy'ego wydawała się dziwnie spokojna. Może to właśnie na ten dzień zbierał tyle opanowania? Może tu kończy się jego droga?

- Ursula jest bezpieczna. Oddałem ją pod opiekę Fatimie. Przebiorą ją za malajską dziewczynkę. Nic jej nie będzie. - Nic jej nie będzie. Zamknął oczy. Nic jej nie będzie. Jak modlitwa, litania skierowana do Boga albo bogów.

- Jezu, jak mogą to robić? To szpital, na miłosierdzie pańskie. Bombardują Czerwony Krzyż! - Wąsy Frasera opadły ze zmęczeniem, usta drżały. Billy nie odpowiedział. A krzyki nadal torturowały ich uszy.

O zmroku ci, którzy ocaleli, zostali spędzeni do samotnej szopy na obrzeżu terenu. Była niemal schowana w dżungli; zaduch rozkładu zagęszczał powietrze w pomieszczeniu, w którym więźniowie stali tak ściśnięci, że nie mogli się położyć ani zaczerpnąć głębiej powietrza. Lekarze i pielęgniarki podtrzymywali rannych, chorzy umierali na stojąco i nawet po śmierci stali między żywymi.

- Nic panu nie jest? Może pan oddychać? - szepnął Billy. Fraser skinął głową, wkliniwany ściśle pomiędzy inne głowy, inne ramiona. Nie panikować. Nie myśleć. Spokojnie. Przełknął ból czający się w gardle, twardy węzeł strachu. Gorąco i smród w chacie stawały się nie do zniesienia, a przecież była noc. Co będzie rano? Nie mają wody, urządzeń sanitarnych, powietrza! Niscy kłęli i wspinali się na palce, żeby zaczerpnąć powietrza, wysocy krztusili się w stojącym, martwym zaduchu. Powietrza!

Billy zapadł w odrętwienie podobne do snu, z którego wyrwał go huk eksplozji. Nie wiedział, co się stało. Znowu krzyki, hałas, ból, chaos, smród spaliny. Nie ma przeciwległej ściany chaty, zauważył w otępieniu, w które wtrącił się dobrowolnie, by zachować zdrowe zmysły. Nie ma. Ściany. Za plecami czuł ruch ciała, popychanie, przesuwanie, gorączkowe szarpanie się z jakimiś leżącymi kształtami, czymś, co przetaczało się pod nogami, obrzydliwie miękkie. Zaczął niezdarnie brnąć naprzód, desperacko zaciskając palce na ramieniu Frasera. Nie pozwolić mu upaść. Obu nas stratają, jeśli upadnie. Myśl objęła się w oszołomionym umyśle; po chwili dołączył do niej następny obraz, dodający scenie innego wydźwięku. Nie pozwolić mu upaść, bo nigdy się stąd nie wydostaniemy, a musimy się wydostać, musimy, dla Ursuli. Nie pozwolić mu upaść. A, jest i Rodney, chłopięce usta skrzywione bólem, rozwarłe szeroko oczy pełne rozpacz, kiedy usiłował podnieść się z ziemi, spod tratujących stóp, oszalałych ze strachu, śmiertelnie niebezpiecznych stóp. Noga w gipsie krępowała jego ruchy.

- Rodney! Podaj mi rękę, chłopczko! Wstawaj, na miłość boską, podnieś się!

I tak Fraser nie mógł zostawić Roneya, a Billy nie mógł zostawić Frasera. Znowu ogarnął go ten cichy, spokojny smutek. To oni go zabili. Pochylił się, zmylił krok, napierające ciała popchnęły go do przodu, z drogi. Upadł. Ciężar innych ciał, ludzi wgniatających go w ziemię, był gorszy, niż sobie wyobrażał, o niebo bardziej przerażający. Wpił się kurczowo w ramię Frasera i krok po kroku zaczął wlec ich do przodu, ku ziejącej dziurze, prowadzącej wprost w dżunglę. Nie puszczaj, nie puszczaj, bo umrzemy, a wtedy umrze także Ursula. Do przodu, pchaj, mocniej!

Z czasem opór zniknął, podobnie jak tratujące stopy, a ból zmniejszył się do znośnych rozmiarów. Billy potrząsnął ramieniem, które ścisnął, trząsnął nim i trząsnął, ale ani drgnęło. Przyniósł się ku twarzy Frasera i wzdrygnął się ze zdławionym krzykiem. Miał przed sobą nie twarz, lecz krwawą miazgę. Odwrócił wzrok. Rodney leżał nieopodal, a noga, która ściągnęła na niego śmierć wyglądała dziwnie dziewczęco w białym gipsie. Nie widział jego twarzy, tylko głowę rozplaszczoną i wbitą w błoto. Odsunął się ze zgrozą.

Z początku! wydawało mu się, że nie zdoła wstać; napięte do niemożliwości mięśnie drżały w takich drgawkach, że najpierw musiał stanąć na czworakach. Trząsnął się w bólu, przy którym śmierć wydawała się pożądaną alternatywą. A potem wstał; zakrwawiony kremowy garnitur świecił w ciemności niczym panczyk fosforyzującego owada. Powłókł się w stronę dżungli. Udało mu się, przeżył. A skoro żyje, dotrze do Ursuli. A wtedy ona przeżyje.

I tak, jak owad, nagle i nieoczekiwanie poczuł cios spadający na niego od tyłu. Poczuł, że wali się bezwładnie twarzą w błoto.

Poranna rosa, zimna i rześista, obudziła Ursulę. Zadrżała w swoim cienkim bawełnianym ubraniu i otworzyła oczy. Słońce nie wzeszło jeszcze całkowicie, lecz wisało nad ścianą mgły, kryjącej Klub Polo i padang. Wyśliznęła się ze swojej kryjówki i rozejrzała się. Nigdzie ani śladu żywej duszy. Nawet dżungla jakby przycichła. To się jej nie spodobało. Jest zbyt spokojnie. Z początku nie poruszyła się, tylko siedziała

przyczajona za zaroślami bambusa, lustrując okolicę uważnym wzrokiem. Wreszcie, uznawszy, że nic się nie dzieje, wstała i pobiegła przez trawnik do domu. Ciągłe był pusty. Billy nie wrócił. Niepocieszona ruszyła w obchód domu, zastanawiając się, co robić. Sama nie poradzi sobie zbyt długo. Umrze z głodu. A Fatima i Ibrahim stawali się kimś innym, kiedy byli w kampongu. Nie wiedziała, czy chce z nimi zostać. Jej rozterka rosła z każdą chwilą. Znowu słyszała strzelaninę, dochodzącą zza chińskiego cmentarza. To tam znajdowała się rozgłośnia. Ale na razie nikt się nie pojawiał. Wreszcie, po rozmyślaniach tak długich, że nogi zaczęły jej drętwieć, opuściła dom.

Szła przez ogród w stronę klubu, kiedy dostrzegła jakąś postać. To mężczyzna, leżący w kanale melioracyjnym, który przebiegał obok domu i głównej drogi. Leżał na plecach, zupełnie nieruchomo, nawet kiedy Ursula podpełza bliżej, żeby się mu przyjrzeć. Wydawał się znajomy, choć nie widziała jego twarzy. Miał na sobie kremowy garnitur, poplamiony ziemią, krwią i wodą. Luźny, elegancki garnitur, tak dobrze jej znany. To Billy! Rzuciła się przed siebie, krzycząc cienkim, wysokim głosem, który w jej uszach brzmiał tak, jakby dochodził z oddali. Billyuniósł głowę z wysiłkiem i usiłował na nią spojrzeć, kiedy padła przy nim na kolana.

- Billy! Co oni z tobą zrobili?

Ciągle krzyczała; jej głos nie przybierał na sile, lecz załamywał się histerycznie, z potwornego strachu. Billy leżał sztywno, na wpeł opaity o brzeg kanału, z nogami w wodzie, która płynęła cienką strużką po dnie. Na piersi miał czerwoną plamę, wilgotną czerwoną plamę, w której dopiero po chwili rozpoznała krew. Rozchylił usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk z wyjątkiem ochryplego oddechu. Ursula dotknęła jego mokrej koszuli.

- Billy? - Teraz już szeptała. Chyba na nią patrzył, ale nie wiedziała, czy przytomnie. Poruszał oczami, otwierał i zamykał usta, ale nie działo się nic więcej. Na twarzy i dłoniach miał straszliwe znaki, siniaki, krwawiące rany, na widok których coś podchodziło jej do gardła. To wszystko jej wina. Chciała, żeby do niej wrócił; chciała dowiedzieć się czegoś o papie. A teraz Billy był ciężko ranny, być może umierał. Po policzkach płynęły jej strumienie łez, z nosa kapalo, ale nie potrafiła przestać patrzeć w jego oczy. Wydawało się jej, że uśmiechają się do niej, starają się ją pocieszyć. Zaczepnęła w dłoń nieco wody z dna kanału i starała się wlać ją mu do ust. W większości popłynęła mu po brodzie, ale parę kropeł trafiło pomiędzy wargi. Przełknął, zamknął oczy i znowu je otworzył.

- Jeszcze - tchnął raczej niż powiedział, ale zrozumiała go. Schyliła się, zmoczyła róg sarongu, uniosła go nad ustami Billy'ego i wyżyła go. Woda pociekła wątlým strumyczkiem, a po paru minutach Billy odezwał się głosem, który przypominał jego dawny głos, choć dużo słabszy:

- Japończycy zaatakowali szpital. Zabili lekarzy, pacjentów... - Zamilkł na chwilę, a potem ciągnął, już spokojniej. - Wielu z nas zamknęli w szopie na noc. Było bardzo ciasno. Tak ciasno, że niektórzy nie mogli oddychać. Ale potem uderzyła bomba i zburzyła jedną ścianę... Razem z innymi wybiegłem w stronę dzungli. Byłem już niemal między drzewami, kiedy do mnie strzelono. Twój ojciec wrócił... po przyjaciela, który upadł. To było prawdziwe bohaterstwo. Ale on... tak mi przykro... on nie żyje. Twój ojciec nie żyje.



Nie mógł powiedzieć jej prawdy, to by było nie do zniesienia. Potem musiał zamilknąć dla zaczerpnięcia oddechu. Ursula znowu zmoczyła sarong i wycisnęła mu do ust parę kropel wody. Prawie nie rozumiała tego, co do niej mówił. Nie chciała zrozumieć. Później sobie z tym poradzi, ale nie teraz. Teraz Billy był ranny i to z jej winy. Uklękła obok niego, odrętwiała.

- Billy, możesz wstać? Zdołasz wstać i pójść do bungalowu? Pomogę ci.

Wzięła jego rękę, z przerażeniem czując jej lodowaty dotyk.

- Billy? Spróbuj się podnieść. - Wzięła go pod ramię i wzdrygnęła się na widok skurczu bólu na jego twarzy. - Przepraszam cię, Billy, tak strasznie cię przepraszam.

- Ćśśś. Pomóż mi wstać. Nie mogę tu zostać.

Zacisnął zęby i zatoczył się ciężko; jej ramię podtrzymywało go, kiedy się zachwiał. Z kanałów prowadziły schodki i Ursula przeszła z nim w ich kierunku. Był okropnie ciężki, czuła ból napiętych mięśni, ale z całych sił wspierała go i popychała, wlokąc go ze sobą po schodkach, przez podwórze, aż do kuchni. Ostatni odcinek drogi, po schodach do sypialni papy, był najgorszy. Musiała się zatrzymywać i kilka razy odpoczywać. Ból malował się wyraźnie na jego twarzy, ale ani razu nie jęknął głośno; miał zaciśnięte usta, jakby gniewał się na nią. Pomogła mu położyć się na łóżku. Pod śniadą cerą czaiła się woskowa szarość, skóra lśniła od potu i krwi. Podłożyła mu poduszki pod głowę i podniosła stopy, żeby jego długie nogi nie zwisały z łóżka. Jeszcze nigdy nie widziała go w tak potwornym stanie; łapał powietrze krótkimi, chrapliwymi oddechami, a z gardła wydobywało się okropne rżenie. Zamknął oczy, ale otworzył je, kiedy otarła mu twarz mokrym sarongiem.

- Dobra dziewczynka. Teraz przynieś mi wody i trochę jedzenia. Muszę jeść, żeby się wzmocnić. Nie martw się tak. Uda mi się. Musi się udać. - Jego usta wygięły się w bladym uśmiechu. - Jestem taki słaby tylko z powodu utraty krwi. No i tych siniaków. Od Mount Alexandria jest kawał drogi.

Skinęła głowę i pobiegła do kuchni. Ciągłe mieli bieżącą wodę, ponieważ korzystali ze zbiornika w MacRitchie, a tylko on jeszcze nie znalazł się w rękach Japończyków. Napełniła wodą szklanke i miednicę, wzięła ściereczkę, żeby go umyć. Kiedy do niego wróciła, miał zamknięte oczy. Wyglądał tak, jakby zbierał w sobie siły i walczył z bólem. Ale przeżyje. Nie umiera się od postrzału w ramię. Nic mu nie będzie. Nic mu nie będzie!

- Proszę, wypij. Tylko troszkę.

Pomogła mu się podnieść; ciężar jego ciała budził w niej lodowaty dreszcz strachu. Zawsze to on ją podtrzymywał. Nie powinno być tak, jak teraz. Zdołał przełknąć dwa solidne łyki i życie wróciło do niego; spojrzał na nią tymi swoimi ciemnymi, podbitymi oczami. Zobaczyła, że uśmiecha się do niej i odwzajemniła jego uśmiech; strach nieco zelżał, kiedy na jego twarz wróciła odrobina kolorów. Podała mu ryż, który został z posiłku. Wydawało się, że minęły wieki od czasów, kiedy siadywali razem przy stole, a Ah Jong serwowowała im swoje smakołyki. Nabrała trochę ryżu i utoczyła z niego kulkę. Billy przyglądał się jej, a w jego migdałowych oczach migotało rozbawienie, ale bez protestu otworzył usta, kiedy wyciągnęła kulkę ku jego wargom.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęła do siebie. - Nie może być aż tak źle, skoro może jeść.

Powoli przeżuł pokarm i przez chwilę oddychał głęboko ze zmęczeniem. Odczekała chwilę, po czym podała mu kolejną porcję.

- Czujesz się już lepiej? Chcesz jeszcze czegoś? - spytała, kiedy zjadł parę kęsów. Przełknął z trudem ślinę przez wyschnięte gardło.

- Może soku z limony? Chętnie wypiję ostatnią szklanekę specjalności Fati-my. - Nie podobał się jej akcent, jaki położył na słowo ostatnią. Ale już wyglądał lepiej. Wiedziała, że zostało bardzo niewiele soku, lecz posłusznie wróciła do kuchni. Jeśli tego sobie życzył Billy, znajdzie to dla niego. Została jeszcze resztką soku, który wczoraj postawiła na tacy, resztką sfermentowana pod wpływem ciepła. W jedzeniu roiły się jakieś małe zuczki, a w oknach zbierały się muchy. Odwróciła się ze wstrętem. Zajrzała do lodówki; okazało się, że nie było już prądu i całe jedzenie się zepsuło. Gdyby nie zaniosiła butelki z sokiem do swojej kryjówki... Wróciła do sypialni z pustymi rękami, gorąco życząc sobie, żeby wszystko było tak, jak kiedyś. Nie mogła myśleć o papie. To niemożliwe. Billy musiał się pomylić. Przy drzwiach usłyszała zdławiony krzyk.

Billy siedział na łóżku i starał się wstać. Chwiał się niczym bambusowy liść, który lada chwila ma opaść na ziemię. Jego ciemna skóra znowu spopieliała, jakby odpłynęło z niej cała krew, a twarz ściągnęła się gniewnie z bólu.

- Co robisz? Połóż się, proszę! - Dopóty ciągnęła go za marynarkę, aż jego wysokie ciało znów opadło bezwładnie. Usiadł ciężko na łóżku; sprężyny jęknęły pod nim z protestem. Billy nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Ursula zmusiła go, aby znowu oparł się o poduszki.

- Jeszcze nie wydobrzałeś. Dlaczego to robisz? Proszę cię, leż spokojnie. Przyniosę soku, jeśli nie będziesz się ruszać. Proszę.

Przemawiała do niego jak do dziecka, aż wreszcie niechętnie położył głowę na poduszkach.

- Nie trzeba soku. Nie ma czasu. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Idź i sprowadź Ibrahima. - Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uciszył ją niecierpliwie. - Bądź grzeczną dziewczynką, *cahayamata*. Zrób to dla mnie. Idź do kampongu. Powiedz Ibrahimowi. Powiedz mu, że jestem ranny i muszę stąd uciec, zanim nadejdą Japończycy. Idź i powiedz mu o tym. - Zrobił pauzę dla zacerpnięcia oddechu. - Ale nie wracaj tu. Nie wracaj do mnie. - Zobaczył jej wstrząśnięty wyrazem twarzy. Niemal wzdrygnęła się na tę myśl. - Proszę cię. Japończycy są już blisko. Proszę.

Błagał ją, ale nie słuchała go; położyła mu palce na wargach.

- Nie, Billy, nie zostawię cię. Nie mogę. Jesteś dla mnie wszystkim - wszystkim, co mi zostało. Nie odejdę. Ibrahim ci nie pomoże. To dla nich zbyt niebezpieczne. Nawet nie chce, żebym ja u nich mieszkała, a ja... ja cię tu nie zostawię, żebyś umarł. - Po jej policzkach spływały strugi łez. Billy pogłaskała ją po włosach, kiedy uklękła przy nim, kryjąc twarz w zgięciu jego ramienia. Zamilkł i zniechęconym; trwali przytuleni mocno do siebie.

Na zewnątrz słońce wspięło się wysoko na niebo, a powietrze zaczęło wibrować upałem.

## Rozdział szósty

**T**am znalazł ich Yahyah; Ursula nadal ścisnęła dłoń Billy'ego. Na sarongu i dłoniach miała krew, na policzku - czerwoną smugę. Siedziała na łóżku, mocno obejmując rękę Billy'ego, wpatrzona w okno wychodzące na padang. Yahyah stanął niezdecydowany. Nikt nie zauważył jej nieobecności aż do nocy, i choć przeszukał bungalow i tereny Klubu Polo, nie potrafił jej znaleźć. Ojciec i Fatima byli wściekli na niego za to, że jej nie upilnował i na Ursulę za to, że uciekła. Jeśli Japończycy znajdą ją i zorientują się, że jest Europejką wszyscy będą mieli kłopoty za to, że pomogli się jej przebrać za tubylczą dziewczynę.

Szukał jej od świtu, ale wszędzie było pusto: na chińskim cmentarzu, w sąsiednim kampongu, w dżungli. Aż do tej chwili nie przyszło mu na myśl, żeby jeszcze raz sprawdzić dom. A ona była właśnie tu, przy panu Billingu, leżącym na łóżku. Wydawało mu się to dość osobliwe. Ale potem zobaczył posiniaczoną i poranioną twarz i krew na koszuli pana Billinga. Rdzawa, brudna czerwień. Zauważył też, że Ursula oddarła kawałek sarongu i obwiązała nim ranę nauczyciela. Za zniszczenie sarongu matka będzie się gniewać.

Wśliznął się do pokoju i podszedł do nich. Potem przykucnął i czekał cierpliwie, aż go zauważyła. Nie chciał się jej narzucać czy zmuszać ją, żeby od razu z nim wyszła, choć właśnie to powinien zrobić. Pan Billing śpi, pomyślał. I jest ranny. Nie powinna z nim siedzieć, to niebezpieczne. Co będzie, jeśli przyjdą Japończycy? Nie mogli dla niego uczynić nic więcej - tylko pozostać z nim aż wszyscy zostaną złapani. Ojciec nie pozwoli ukryć pana Billinga w kampongu. To zbyt niebezpieczne dla wioski. Dziś rano Yahyah widział Japończyków, tuż obok kampongu. Nie zauważyli go, skulonego w krzakach, i przeszli obok niego w stronę Mount Pleasant, ale wkrótce mogą pojawić się inni. Nie powinni tu sie-

dzieć, zwłaszcza z rannym. Ciekawe, co się stało panu Billingowi. Może należał do tych oddziałów ruchu oporu, który zamierzał walczyć nawet po zwycięstwie Japończyków? Ludzie strasznie plotkowali na temat tych oddziałów, choć nikt nie miał pojęcia, kto właściwie do nich należy. A przynajmniej nikt się nie przyznawał. Ale pan Billing jest mądry: mówi po angielsku, holendersku, malajsku i syjamsku. Byłby bardzo przydatny dla ruchu oporu. Yahyah przyjrzał się mu z zastanowieniem.

Ursula zauważyła, jak Yahyah wślizguje się do pokoju i podchodzi do nich. Nie spojrzała na niego, ale widziała go kątem oka. A kiedy nie odezwał się, przestała zwracać na niego uwagę. Może zdudzi się albo przestraszy i zostawi ich w spokoju. Tak będzie najlepiej. Nie chciała, żeby ktoś ucierpiał z jej powodu. A jeśli zostanie z nią zbyt długo, Japończycy zaskoczą ich tutaj. Poza tym nie chciało się jej mówić. Mówienie było niewiarygodnie męczące. Spróbowała przemówić - raz - ale wysiłek wydobywania z siebie głosu, który uwiązał w niej gdzieś głęboko, okazał się zbyt wielki. Siedziała więc nieruchomo, wpatrywała się przez szybę w przezroczyste niebo, a myśli dryfowały bez celu za jej niewidzącymi oczami. Może wkrótce się zmęczy i ich zostawi. Billy i ona należeli do siebie.

Jej zachowanie zdziwiło Yahyah. Poczul, że powinien przejąć dowodzenie; w końcu był synem nowego lembagi. Powinien umieć decydować, powiedzieć jej, co powinna robić. Był mężczyzną, a ona była kobietą. Ale była też missysahib i bał się, że ją obrazi. Zerknął na nią ukradkiem, a potem jeszcze raz, ale chyba go nie widziała. Podobała mu się w tym stroju, z brązową karnacją i rozpuszczonymi włosami; tak mogła wyglądać jego siostra ... albo ukochana. Szybko odsunął od siebie tę śmiałą myśl. Odwrócił się i spojrzął z zakłopotaniem na swoje dłonie. Przecież to Europejka, a on jest Malajem. Nigdy więcej nie wolno mu o tym myśleć. A jednak niemal natychmiast znowu o tym pomyślał i tym razem nie wydawało mu się to takie straszne. Dopóki nie skończy się wojna, dziewczyna nie wróci do swoich; może nigdy nie będzie mogła wrócić. Musi z nimi zostać, stać się kobietą - a kobieta musi wyjść za mąż. Podniósł na nią nieśmiały wzrok, spuszczając starannie ciemne rzęsy, żeby nie dostrzegła, o czym myśli.

Jaki to dzisiaj dzień, czwartek? Piątek? Ursula potrząsnęła głową, żeby uporządkować rozbiegane myśli. Chyba piątek. Wczoraj, w czwartek, Sally wzięła Emmę i Toma... nie wolno jej myśleć o Tomie. To wczoraj papa został ostrzelany przez japoński samolot i zabrali go do szpitala. I z jakiegoś powodu to wczoraj Japończycy zamordowali wszystkich, którzy znajdowali się w tym szpitalu, w tym również papę. Nie do wiary, że wojsko może wejść na teren szpitala Czerwonego Krzyża i urządzić w nim jatkę. Może źle zrozumiała Billy'ego? W końcu wszyscy czekali na przybycie wroga, który do tej pory jakoś się nie pojawił. Może to żart - brzydki żart. Prawie zwątpiła w ich istnienie. Może wszyscy wpadli w histerię bez powodu. Ale zimna dłoń, którą ścisnęła, przypominała jej o rzeczywistości.

Wiedziała tylko tyle, że Billy widział śmierć papy i że leży obok niej, straszliwie cierpiąc. Skoro na chwilę zapadł w sen i nie czuje bólu, nie będzie go budzić. Poza tym, dokąd mieliby pójść?

- Panienko, zajmę się panem Billिंगiem? Ty do kampongu, tam bezpiecznie. Ja zaczekam z panem Billिंगiem. Już niedługo. Japończycy bardzo wkrótce tu - odezwał się Yahyah, zniecierpliwiony milczeniem. Ursula poderwała się gniewnie.

- Nie! Odejdź, nie zostawię Billy'ego. Odejdź. Nie potrzebujemy cię. Billy wkrótce poczuje się lepiej, a wtedy odejdziemy razem. Nie czekaj na nas.

Bała się o Billy'ego tak, że nagle poczuła przyływ sił. Billy poruszył się; jego usta drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć. Znowu zwilżyła mu wargi.

- Odejdź z nim. Rób, co mówi. On pomoże mi stąd uciec. Ty jesteś za słaba. Odejdź!

Jego twarz budziła w niej tyle uczuć, że przytuliła do niej policzek i zaczęła uciszać go jak dziecko. Na jej rzęsach zawisły drżące krople łez.

- To się nie uda. Jesteś zbyt słaby, a Yahyah nigdzie cię nie zabierze. Ale ja cię nie zostawię.

Poczuła, że znowu się napina, zbiera w sobie siły. Usiadł i odsunął ją od siebie.

- Muszę z nim porozmawiać. Przynies mi tego soku. No już. Idź po niego.

- Ale mam go w dżungli. W mojej kryjówce. Yahyah, ty go przynieś... O Boże, dlaczego prosiłam cię, żebyś poszukał papy? Wybacz mi, Billy!

- Nie, to nie ma nic wspólnego z tobą... I tak bym poszedł. Nie rozumiesz tego, *cahayamatal* Muszę się czegoś napić. Twoja kryjówka nie jest daleko stąd, ale Yahyah jej nie zna. Idź, kochanie, przynieś mi coś do picia.

Yahyah cofnął się pod jej gniewnym spojrzeniem. Niechętnie wstała i uściśnęła dłoń Billy'ego.

- Dobrze. Zaraz wracam. Yahyah, pomóż Billy'emu, jeśli będzie mu czegoś trzeba. Będę za chwilę. Nie odejdziesz nigdzie, prawda?

Billy pokręcił głową i popchnął ją ku drzwiom.

Ruszyła truchtem przez trawniki, coraz szybciej, jak spłoszona sarenka. Nagle zdała sobie sprawę, że dziś jest piątek, czarny piątek, piątek trzynastego. Jakoś wydało się jej to odpowiednią datą na dzień, w którym jej świat rozpadł się w gruzy. Nie docierało do niej, że ojciec nie żyje; nie była świadkiem jego śmierci. To była tylko sucha informacja; nie miała w sobie tej zadry, jaką niósł ze sobą widok poranionego ciała Billy'ego, widok, dzięki któremu zrozumiała, czym jest wojna. Z wyjątkiem matki, której nie знаła, to była pierwsza śmierć, która dotknęła ją osobiście. Nie wiedziała, jak strasznie wycieńczające jest napięcie emocjonalne; miała wrażenie, że... niczego nie czuje. Była tym nieco zaniepokojona. Może czegoś jej brakuje, może nie potrafi odczuwać smutku. Roześmiała się; urywany dźwięk, który wyrwał się jej z gardła, przestraszył w równym stopniu ją i ptaka, dziobiącego coś w krzakach o parę kroków od niej. Potem znowu umilkła i z błędnym wzrokiem ruszyła w stronę bambusów. Szemrały w stojącym, upalnym powietrzu.

Yahyah zmarszczył brwi i przekrzywił usta z lewa na prawo i z prawa na lewo, jakby przeżuwał problem. Pan Billing usiadł na łóżku; jego poraniona, posiniaczona twarz uspokoiła się nagle, jakby podjął jakąś decyzję. Yahyah spojrzął na niego

łękliwie. Czego pan Billing od niego chciał? Nie miał ochoty narażać życia dla nikogo - no, może z wyjątkiem Ursuli. Pan Billing stanął, nasłuchując czegoś, czego nikt nie słyszał oprócz niego. A potem dźwięk dotarł również do uszu Yahyaha. Warkot ciężarówek sunących przez Thomson Road.

- Szybko, idź do panienki. Nie pozwól jej tu wrócić. Idź, idź.

Yahyah zawahał się; z całego serca pragnął stąd uciec, ale powstrzymywało go coś, czego nie potrafił określić. Spojrzał w twarz pana Billinga, ściągniętą i zdecydowaną, a potem krzyknął ze strachu. Pierwsza ciężarówka wjechała na podjazd prowadzący do bungalowu. Pan Billing popchnął go mocno ku drzwiom; Yahyah poczuł, że niezdecydowanie opuszcza go w mgnieniu oka. Podbiegł do schodów, zgięty w pół, i puścił się po nich na złamanie karku, klapiąc bosymi stopami o drewniane stopnie. Słyszał, że pan Billing idzie za nim.

U stóp schodów zatrzymał się znowu i spojrzał na nauczyciela. Nie miał czasu się pożegnać. Na lewo zauważył jakiś ruch; ciężarówka zatrzymała się przed domem. Wysypywali się z niej japońscy żołnierze. Rzucił się biegiem przed siebie, przemknął przez kuchnię i ogród, w stronę dżungli. Billy odprowadził go wzrokiem pełnym bólu. A więc w końcu go zabili - swoimi potrzebami, strachem i, wreszcie, miłością. Teraz już nie ucieknie. Ale musi przez to przejść. Dla Ursuli. Uśmiechnął się smutno. Zszedł z ostatniego schodka, kiedy pierwsi żołnierze wbiegli do domu.

Rozproszyli się w szyku, pochyleni nad karabinami, z nastawionymi bagnietami. W domu panował mrok i ich wzrok wolno się do niego przyzwyczajał. Billy stał cierpliwie i czekał. Potem podniósł ręce do góry i zrobił parę kroków naprzód.

Yahyah złapał Ursulę, kiedy wychodziła ze swojej kryjówki. Wiedział, gdzie się znajdowała; przez tyle lat obserwował ją, kiedy sądziła, że jest sama. Bawiło go, że zna jej tajemnicę. Chwylił ją mocno i nie puścił, mimo że starała się mu wyrwać. Zaskoczyło go, ile siły ma w sobie to chude, kościste ciało.

- Gdzie Billy? Czemu go zostawiłeś? Puść mnie, do cholery, puszczaj! - jej głos przeszedł w histeryczny wrzask, więc zasłonił jej usta dłonią.

- Japończycy przychodzą. Pan Billing mówi odejść. Zatrzymać cię. Nie trzeba wracać, panienko. Za późno. Musoh tutaj. Za późno, *lal*

Starał się ją przekonać, ale ona tylko szarpała się z nim, a w końcu ugryzła go w dłoń, którą zakrywał jej usta. Yahyah jęknął i cofnął rękę. Wyrwała się mu i pobiegła ku bungalowowi, do Billy'ego. Była mu potrzebna. Strach dodał jej sił i zdołała przebiec spory odcinek drogi, zanim Yahyah złapał ją ponownie. Szarpnął nią i bez chwili namysłu uderzył najmocniej, jak potrafił. Zwiśta bezwładnie w jego ramionach, a on przerzucił ją sobie przez ramię i pobiegł w stronę dżungli. Od strony domu dobiegał hałas; Japończycy znaleźli pana Billinga. Yahyah westchnął i wpełznął wiotkie ciało Ursuli w otwór pomiędzy bambusami. Wcisnął się w kryjówkę obok niej. Nie rozumiał, dlaczego Ursula zachowuje się tak, jakby życie nie liczyło się dla niej. Pewnie bardzo lubi pana Billinga, pomyślał zakłopotany. Może się na mnie obrazi. Na razie leżała bezwładnie, z rozrzuconymi rękami i nogami. Potrząsnął jej ramieniem, ale nie reagowała.

Żołnierze wydawali się zaskoczeni widokiem Billy'ego. Stał wokół niego, mierząc w niego bagnietami. Potem gestem kazali wyjść na werandę. Stał sżywno, oparty plecami o kolumnę; dowódca oddziału zbliżył się do niego.

- Mieszkasz tu? - spytał po japońsku, szczupły człowieczek o gniewnych oczach. Billy skinął głową. - I mówisz po japońsku. Jak to możliwe? Nie jesteś Europejczykiem. - Oficer przyglądał się z zainteresowaniem temu wysokiemu człowiekowi. Billy wzruszył ramionami.

- Byłem tu gubernierem. Uczylem wielu języków - wyjaśnił poprawnie, lecz niezbyt biegle. Oficer uśmiechnął się; małe, niemal kobiece ząbki błysnęły w słońcu.

- A! Nauczyciel? - Odwrócił się i objął wzrokiem połacie zielonych trawników i starannie utrzymanych żywopłotów. Potem znowu spojrzął na niego z powątpiewaniem, unosząc jedną brew. - Nie wydaje mi się. Postąpiłeś bardzo nierozważnie, zostając tutaj. Gdzie zostałeś raniony? W klasie? - Roześmiał się; kilku podwładnych dołączyło do niego niepewnie. Kiedy jego śmiech ucichł, wszyscy inni zamilkli. - Zdaje się, że jesteś kimś innym, panie nauczycielu. Może kimś, kto organizuje ruch oporu pomiędzy tubylcami? Tak właśnie mi się zdaje. Gdzie są Europejczycy, którzy tu mieszkali? - nagle zmiana tematu miała go zaskoczyć i zmusić do wyznania całej prawdy. Prymityw. Billy przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy, a w jego oczach błysnęła ślad pogardy, który tak często trapił Sally.

- Odeszli. Dawno temu. Teraz nie ma tu nikogo oprócz mnie.

- Myli się pan, panie nauczycielu. My tu jesteśmy. I odnajdziemy twoją europejską rodzinę. Niech ci się nie zdaje, że ich obronisz.

Oficer spojrzął na niego z rozbawieniem, odwrócił się gwałtownie na pięcie i zniknął w bungalowie.

Bambusowa kryjówka była niemal jak gniazdko; poduszki oparte o drzewo, którego pień tworzył czwartą ścianę, koszyk z jedzeniem i kilka książek stanowiły całe umeblowanie. Yahyah uśmiechnął się; to bardzo użyteczne miejsce - bezpieczne, ukryte i wygodne. Był zadowolony, że je znalazł. Ursula by mu go nie pokazała. Gdyby jej nie uderzył, wróciłaby do pana Billinga. Szkoda, że to zrobił, ale to był jedyny sposób. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla pana Billinga. Usiadł obok niej i mocno trzymał ją za rękę na wypadek, gdyby się nagle obudziła. Miejsca było dość dla obojga.

Na trawniku stawały kolejne ciężarówki. Japońscy żołnierze otaczali dom. Yahyah przesunął się nieco bliżej, żeby spojrzeć na pana Billinga, opartego o kolumnę werandy. Dobrowolny więzień. Odwrócił od nich uwagę, poświęcił się. Yahyah był pełen podziwu. Potarł twarz stwardniałą dłonią, by rozmasować to dziwne stężenie policzków. Nie mógł nic zrobić dla pana Billinga. Obaj o tym wiedzieli. A jednak nie mógł oderwać wzroku od tego, co działo się na ganku domu. Wreszcie wpłynął do kryjówki. Biała jak kreda twarz Ursuli majaczyła na tle ciemnych liści. Zmierzył ją niespokojnym wzrokiem. Czyżby uderzył ją zbyt mocno?

- Już po wszystkim. Pan Billing więzień. Już nic nie zrobisz, panienko, za późno - szepnął do jej bezwładnego ciała. Potem usadowił się wygodnie, żeby zaczekać do zmroku.

Mijały kolejne godziny i wreszcie Ursula poruszyła się i usiadła, trzymając się za głowę. Na policzkach czuła zaschnięte ślady łez; spojrzała tępo na otaczające ich łodygi bambusa. Nie próbowała już uciekać, kiedy Yahyah ostrzegł ją, że zatrzymają w ten sam sposób. Oparła się tylko o poduszkę i po policzkach potoczyły się nowe łzy. Po jakimś czasie Yahyah uznał, że musi odciągnąć jej myśli od tego, co się działo.

- Anglicy przyjdą szukać panienki. Będzie dobrze.

Przez chwilę w kryjówce panowała martwa cisza. Potem Ursula odezwała się ze znużeniem.

- Nie ma już panienki. Mam na imię Ursula.

Dobrze zrozumiała spojrzenie, którym ją obrzucił. Była w nim duma i strach, a także odrobina smutku.

- Oosalah - wymówił miękko. Wzruszyła ramionami. To wystarczy.

- Can?

- *Can.*

A więc uzgodnili to; nie była już panienką. Znowu oparła się o drzewo i oblizwała wargi opuchniętym językiem. Yahyah podał jej butelkę z sokiem z limony, ale zamknęła tylko oczy, a spod rzęs wymknęło się jej parę łez.

Z kryjówki widzieli tyły domu, ale w tym celu musieli przekrzywić głowę i obracać nią szybko tak jak wtedy, gdy patrzy się przez płot podczas jazdy samochodem. Był to męczący manewr; Ursula czuła przeszywający ból głowy przy każdym ruchu, a strach, że ktoś ich zauważy, jeszcze bardziej ich rozdrażniał. Wyglądali więc tylko wtedy, kiedy nie mogli znieść nieświadomości ani przez chwilę dłużej. Nic nie wskazywało na to, co działo się w domu.

Ursula, która po raz pierwszy zobaczyła Japończyków, była zaskoczona tym, że okazali się wyżsi, niż sądziła. I nie mieli żółtej skóry. Sporą ulgę poczuła przekonawszy się, że nie mieli kłów, choć od początku wiedziała, że to głupie gadanie. Ale lepiej było zobaczyć to na własne oczy. Właściwie nie różnili się od Chińczyków. Może byli mocniej zbudowani, ale z tej odległości wyglądali bardzo podobnie. Wiedziała, że ich oczy opadają ku dołowi, podczas gdy oczy Chińczyków są skierowane ku górze, ale to chyba nie stanowi wielkiej różnicy? Może jednak nie skrzywdzą Billy'ego? Może te morderstwa w szpitalu wydarzyły się przez pomyłkę? A kiedy wszystko się skończy, odejdzie razem z Billym, tak jak planowała.

- Co zrobicie, jeśli Japończycy wejdą do kampongu? - spytała po chwili. Rozmawiali szeptem, choć żaden żołnierz nie zapuścił się na skraj dżungli. Yahyah zawahał się z odpowiedzią; czuł, że od niej zależą ich dobre stosunki.

- Mój ojciec, lembaga, powiada: „Kiedy kłaniasz się radzy, trzymaj pod pachą własne interesy”. Sądzę, że Japończycy dadzą nam życie. Nie interesujemy ich.

- Ale będziecie im posłuszni?

- A co robią Anglicy, kiedy są więźniami? Kto się przeciwstawia wrogowi, który trzyma mu łufę przy głowie? - Yahyah siedział oparty o drzewo, żując jakąś



łodyżkę. Był pragmatykiem. Nie ma sensu się buntować, jeśli oznacza to pewną śmierć. Nie chciał umierać; nie chciał patrzeć na śmierć swojej rodziny czy wioski. Lepiej milczeć i mieć nadzieję, że Japończycy zapomną o ich istnieniu. Przyknał oczy przed rażącymi promieniami słońca, migoczącymi przez bambusowe zarośla; przebijały się nawet przez zamknięte powieki, pod którymi widział morze czerwieni i czarne kręgi. Było ciepło; powoli ogarnęła go podstępna senność i odrętwienie. Jego usta zamarły w półuśmiechu, a potem rozchyliły się; głowa mu opadła na piersi. Ursula przyglądała się mu, zazdroszcząc, że nie może pójść w jego ślady, zapomnieć że Billy już nie żyje albo umiera i że Japończycy mogą ich usłyszeć, jeśli odezwą się głośniejsze. Zastanowiła się, czy nie spróbować odnaleźć Billy'ego, ale wiedziała, że jest już za późno. Nie mogła już nic zrobić.

Zostali na miejscu przez cały dzień, żywiąc się biskoptami i owocami. Ursula z trudem przelykała sok; stawał jej w gardle jak trucizna. Pocili się z gorąca, więc Yahyah zaplótł jej włosy w długi warkocz, żeby było chłodniej. Nie mogli wyjść, dopóki Japończycy byli w pobliżu. Natychmiast zostaliby zauważeni, a Yahyah nie był na tyle pewien Ursuli, żeby to zaryzykować. Więc siedzieli tak spokojnie, jak tylko mogli i starali się nie myśleć o ciasnocie.

Ursulę ogarnęło przygnębienie. Siedziała, nie odzywając się ani słowem i wpatrywała się przed siebie martwym wzrokiem. Yahyah usiłował oderwać ją od ponurych myśli. Opowiedział jej, gdzie umieścił konie i że wkrótce będzie musiał je napoić. Muszą dużo pić, dodał, ale nie zareagowała. Potem wspominał o matce i o tym, jak będzie się martwić, kiedy nie wróci. Ursula wzruszyła obojętnie ramionami. Yahyah skrzywił się z irytacją. Powinna się chyba zainteresować swoją amah i jej lękiem o nich oboje. Spojrzał na jej napiętą twarz, dostrzegł jej ból i nie znalazł sposobu, żeby go złagodzić. Wyczuł, że Ursula nie będzie w stanie myśleć o nikim, dopóki nie wypali się w niej rozpacz i nie pozwoli panu Billingowi spocząć w pokoju. Więc zostawił ją własnym myślom, zwinął się w kłębek i znowu zasnął.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy Yahyah obudził się, słysząc hałas dobiegający z bungalowu. Poderwał się gwałtownie i spojrzał na Ursulę, ale zobaczył już tylko jej nogi wystające z tunelu, który prowadził na trawnik. Złapał ją za nie i pociągnął ku sobie.

- Co robisz? Zostaw! Nic nie zobaczę, jeśli będziesz mnie tak trzymał! - syknęła z furją.

- Oosalah nie pójdzie - oznajmił z uporem, nie zwalniając chwytu. Zaczęła się z nim szarpać.

- Nigdzie nie idę, ty idioto, chcę się tylko zorientować, co się dzieje. Mają tam jakichś białych. Więc zechcesz mnie... - urwała, bo uścisk zniknął. Yahyah miał głupią minę. - Dziękuję!

- Yahyah myśli odejdziesz. Myśli wrócisz do pana Billinga - wyjaśnił, ale już go nie słuchała. Znowu wśliznęła się do tunelu. Yahyah westchnął i zaczął się smętnie zastanawiać, czy pilnowanie Oosalah zawsze będzie nastęrczać tyle kłopotów.

Ursula przycisnęła twarz do prętów bambusa; z tego miejsca mogła obserwować trawnik i ganek domu. Japończycy mieli trzech jeńców, Europejczyków -

ale nie żołnierzy - oraz Billy'ego. Wszyscy mieli ręce związane na plecach i stali w rzędzie na polu, prowadzącym na tereny Klubu Polo. Stali zupełnie nieruchomo i obserwowali grupkę Malajów, kopiających rów. Malajowie pochodzą pewnie z pobliskiego kampongu, pomyślała, ale po co kopią? Czyżby Japonce sądzili, że srebra są zakopane właśnie tam? Usiłowała podpełznąć bliżej, ale Yahyah mocno trzymał ją za kostkę i nie pozwalał się jej wyrwać. Zakłęła pod nosem.

Stał tam dowódca z wielkim mieczem, prawie za wielkim dla niego. Nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego mógłby mu służyć. Więźniowie wyglądali dość nieszczęśliwie. Ale chyba nie... chyba nie chciał...? Nie Billy'ego. Na samą myśl poczuła zółć napływającą jej do ust gorącą i gryzącą falą. Odwróciła się i zawołała gorączkowo w głąb tunelu:

- Yahyah, chodź tutaj.

Odpowiedź była stłumiona.

- Nie ma miejsca.

- Owszem, jest! Wciśnij się obok mnie. Jest trochę wąsko, ale musisz to zobaczyć.

Wiedziała, że nie lubi, kiedy ich ciała stykają się ze sobą, ale w tej chwili ją to nie obchodziło. Po chwili wgramolił się na miejsce obok niej i wystawił głowę obok jej głowy. Obrzucił baczny spojrzeniem scenę na trawniku, po czym odwrócił się do niej.

- Lepiej nie patrz. Bardzo źle dla nich. Bardzo źle dla pana Billinga. Nie patrz.

- Dobry Boże! Czy nie możemy niczego zrobić? Nie wierzę, że tak po prostu utną im głowy! Musimy coś zrobić! Mój Boże, to cywile i nie zrobili nic złego! Tam jest Billy! Nie pozwolę im! - Zdała sobie sprawę, że papa także nie zrobił nic złego. Zadrzała i zapagnęła zwymiotować, ale nie mogła oderwać oczu od spektaklu na trawniku. Szarpnęła się w chwycie Yahyah.

- Niedobrze, Oosalah. Nie może pomóc. - Pociągnął ją za ramię w stronę kryjówek. Uparcie tkwiła na miejscu. Westchnął jej prosto w ucho, ale zignorowała go.

- Puść mnie! Muszę pomóc Billy'emu! Proszę! O nie, nie...

Oficer gestem oddalił kopaczy. Najwyraźniej uznał, że rowy są już wystarczająco głębokie. Mój Boże, pomyślała, Billy patrzy, jak kopią mu grób. Kat zamachnął się mieczem. Billy stał wyprostowany i błądy; świeża krew wykwitowała mu na klapie marynarki jak kwiat hibiskusa.

Ursula zadrzała; oficer nakazał, żeby pierwszy z mężczyzn wystąpił naprzód. Pierwszym mężczyzną był Billy. Stał prosto pomimo rany, przewyższał wzrostem swoich strażników. Wyglądał tak młodo, zbyt młodo, żeby umrzeć. Poły jego luźnej marynarki łopotały na wietrze. Cykady śpiewały głośno, przenikliwie, a Ursula bez końca powtarzała jego imię, zdrętwiała, niezdolna do ruchu. Zawahał się przez ułamek sekundy, a potem podszedł do grobu i ukląkł nad nim. Jego ciało zeszywniało tak, jakby chciał odeprzeć cios samą mocą mięśni. Oficer podniósł miecz. Ursula otworzyła usta do krzyku, lecz Yahyah czujnie nakrył je dłonią i mocno przytulił ją do siebie, odwracając jej głowę.

Oficer krzyczał coś do Billy'ego, powtarzał jakieś pytanie, ale on patrzył w swój grób z nieprzeniknioną twarzą. Oficer krzyknął coś do niego. Billy nie zareagował. A potem, całkiem niespodziewanie, padł cios. Przez chwilę Yahyah sądził, że oficer chybił. Billy nadal klęczał, chwiejąc się nieco pod powiewem wiatru. Trwał tak tyle czasu, ile zajęłoby doliczenie do pięciu. Potem powoli pochylił się do przodu, zgiął się w pół i upadł w płytki grób. Yahyah zacisnął powieki i przytulił Ursulę jeszcze mocniej. Drżała w jego ramionach.

Potem pojawił się inny oficer i podszedł do grupy na trawniku. Jest chyba starszy rangą od tego z mieczem, uznał Yahyah, ponieważ krzyczał głośno na niego, a tamten słuchał go ze schyloną pokornie głową. Pokrzyczał jeszcze przez pewien czas, a potem trzej pozostali zostali zapędzeni do ciężarówki na podjeździe. Jakiś ciemnowłosy mężczyzna potknął się po drodze.

Ursula bez protestu wśliznęła się z powrotem do kryjówki i przesunęła pod ścianę, robiąc miejsce dla Yahyah. Nie odezwał się do niej, tylko przyjrzał się jej troskliwie i usadowił się obok niej. Ona sama odrętwiała pogrążyła się w osłupiałym milczeniu. Przerazenie objawiło się jej w najgorszej z możliwych postaci. Nie spojrzawszy nawet na chłopca, który uratował jej życie, przytuliła policzek do szorstkiej kory drzewa, dysząc ciężko niczym zagonione zwierzę. Yahyah przyglądał się jej przez pewien czas, a potem skłonił głowę na ramię i zamknął oczy. Był zmęczony. Nie spał przez całą noc. Było mu żal Ursuli, ale nie potrafił złagodzić jej bólu. Pan Billing nie żyje. Musiała się z tym pogodzić.

Ursula czuła dziwne dreszcze, jakby w gardle pełzały jej małe dżdżownice, w górę i w dół, w górę i w dół. Ukłękła w krzakach i zaczęła wymiotować. Potem objęła się mocno ramionami i pozwoliła, by do jej umysłu napłynął mrok. Tak było lepiej, spokojniej. Yahyah od czasu do czasu otwierał oczy i przyglądał się jej, ale ciągle siedziała w tej samej pozycji, skulona u stóp drzewa. Dobrze, myślał wtedy, może uspokoiła się i czeka, aż Japończycy odejdą. A może, może... nie, potrząsnął głową. To musi potrwąć. Potrafi być cierpliwy, ale to musi potrwąć. Uśmiechnął się łagodnie i znowu zasnął.

## Rozdział siódmy

\*

**W**sumie Ursula czekała trzy lata na odejście Japończyków. Tymczasem kiedy zapadła ciemność, wysliznęli się z kryjówki za bambusami i przebiegli na skróty przez dzunglę aż do strumienia. Przebrnęli nim pod prąd, obeszlili cmentarz i dotarli do kampongu. Kiedy znaleźli się w chacie Ibrahima, było już bardzo późno, ale nikt jeszcze nie spał. Przez kilka następnych godzin Fatima na zmianę płakała, pomstowała i śmiała się, a Ibrahim cicho rozmawiał w kącie z najstarszym synem. Był surowym, oschłym mężczyzną który zawsze budził w Ursuli pewien lęk; wraz z godnością lembagi zyskał większą niż dotąd powagę i władczość. Miała go szanować tak, jak robiły to jego dzieci. Ale w tej chwili nie liczyło się nic poza tym, że Billy i papa nie żyli. Nie miała dokąd iść. Napiła się płynu z kubka, który jej podali, pogrążona w swoim bólu. Fatima powiedziała coś do niej, ale ona niezmiennie wpatrywała się w ciemność, aż wreszcie kobieta wzięła ją w ramiona i wstrząsaną suchym bezgłośnym łkaniem zaczęła łagodnie kołysać. Później położyła się obok Fatimy i zapadła w sen.

W ciągu następnych tygodni zdarzało się jej myśleć o odejściu. Życie w wiosce było ciężkie, cięższe niż kiedykolwiek, a na nią czekały nie kończące się prace, którym jej niewprawne palce nie potrafiły podołać. Czuła się ciężarem, mimo przyjaźni i uprzejmości, które kobiety stale okazywały Ursuli, tłumacząc niestrudzenie, jak powinna wykonywać powierzone jej zadania. Ibrahim pozwolił dziewczynce nie brać udziału w obowiązkowych modlitwach, które odmawiano pięć razy dziennie; wszyscy mieszkańcy wioski klękali wówczas na głównym placu

wioski i powtarzali: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”. Ale ta uprzejmość tylko pogłębiła jej poczucie wyobcowania. Wszyscy bardzo się starali, by poczuła się jedną z nich, ale wszystko, co robiła, okazywało się złe, **haram**, zakazane. Pozwalała, żeby bezpańskie psy lizały jej ręce; wskazywała palcem to, czego chciała; jadła obiema rękami, a nie tylko prawą; zapominała, żeby obmyć stopy wodą z dzbanka przed wejściem do chaty. Na każdym kroku popełniała niezręczności i gafy. Oczywiście znała malajskie zwyczaje, ale nie przestrzegąca ich wtedy, gdy według niej były bez sensu. Usiłowała się uczyć, ale przy najlepszych chęciach szło jej to opornie. W nocy związała się w kłębek na macie i starała się nie myśleć o insektach i twardej podłodze. Ale powtarzała sobie, że nic się jej nie stanie. Przywyknie.

Z wolna rzeczywiście zaczęła się uczyć; nie wiadomo kiedy nabrała nawyku siadania po turecku na macie i nie tęskniła za krzesłem. Mięśnie rozciągnęły się jej i wygimnastykowały, więc wkrótce potrafiła ugotować cały obiad przykucnięta na ziemi i nie musiała co chwila wstawać, by rozprostować obolałe nogi. Fatima nauczyła ją właściwego, skromnego sposobu mycia się w sarongu owiniętym ciasno wokół ciała od piersi po kolana. Polewała się wodą z wiadra, nie zdejmując go ani na chwilę. Włosy zaczęły się jej mokry materiał, kiedy starała się zmienić sarong na suchy. Taka metoda kąpieli irytowała ją, ale nie ośmieliła się postąpić wbrew zwyczajom. Skromność była najważniejsza w każdej sytuacji, w której mógł zobaczyć ją mężczyzna, nawet jeśli nie wolno mu było się przyglądać. Czasami przyłapywała Yahyaha, kiedy przechodził obok studni akurat podczas jej kąpieli, choć wiedziała, że nie miał tu nic do roboty. Obrzucał ją przeciągłymi spojrzzeniami, śledząc bieg strumieni wody, pod którymi bawelna przywieriała do ciała i stawała się niemal przezroczysta. To zaczynało ją martwić. Wiedziała, że się nią interesował, ale ona ciągle widziała w nim jedynie dawnego towarzysza zabaw. Nie odwzajemniała jego spojrzeń.

Yahyah nie czuł się zniechęcony. Jego widoki na przyszłość były znakomite. Ojciec pełnił funkcję lembagi, jego rodzina była dobrze sytuowana, a Japończycy ograniczyli się do krótkiego przemarszu przez wioskę, śmiertelnie przerażając kobiety i dzieci, które krzyżąc uciekły do chat. Ale nikogo nie skrzywdzili, a jego ojciec rozmawiał z dowódcą. Nie mieli żadnych kłopotów, nie zniszczono ich zbiorów i wszyscy mieli dość jedzenia. Ursula musi nauczyć się go lubić. A z czasem znacznie widzieć w nim kogoś więcej, niż starszego brata. Z czasem stanie się jej kochankiem, mężem, ojcem jej dzieci. Kiedyś. Spojrzał na nią, gotującą wczereź. Taka smukła, wdzięczna. Poczul jakieś poruszenie, którego nie potrafił stłumić.

Fatima zlecała jej mnóstwo zajęć w ogrodzie, przy dzieciach, w kuchni i domu oraz przy pleceniu mat. Dzięki temu miała się czym zająć w czasach, kiedy miała najwięcej tematów do rozważań.

Wreszcie zajęcia te przestały od niej wymagać ścisłej koncentracji, ale okazało się, że nadal nie może myśleć o papie czy Billym bez bólu. Tamtego straszego dnia, kiedy zginęła jej rodzina, coś się w niej złamało. Krzyk, który uwięził jej wtedy w gardle, nie pozwolił na wydobycie z siebie głosu.

Fatima z początku próbowała łagodnie pomóc jej przemówić, ale kiedy czas mijał, a nic się nie zmieniało, kampong zaakceptował to. Życie nauczyło ich akceptacji wielu rzeczy. Czarownik - pawang - często starał się wyjaśnić, co się stało z jej głosem. Zjawisko dziwiło go w równym stopniu, co mieszkańców wioski. Był to starzec o szczerbatym uśmiechu, z białą czapką na głowie - hadżim; odbył wiele pielgrzymek do Mekki. Mieszkańcy wioski darzyli go ślepym szacunkiem, a Ursula mogła słuchać go bez końca. Jego łagodna twarz nie zmieniała się, kiedy stale nie uzyskiwał od niej odpowiedzi. A mówił do niej bardzo często, kiedy była zajęta pracą. Objaśniał jej życie z prostą mądrością, która zmuszała do zastanowienia, jeśli już nie do uwierzenia. Siedział obok niej po turecku, kiedy przędła, z każdym miesiącem coraz bieglej. Wioska była dla niej teraz znajomym miejscem z jej zapachami i łagodnym gwarem; z dziećmi bawiącymi się lub starającymi się wdrapać na kolana każdego, kto przysiadł choćby na chwilę i uśmiechami dorosłych, kiedy nagradzali swoje pociechy.

Pawang powiedział, że każda istota, żywa czy martwa, ma pierwiastek duszy, *semangat*, który musi być pielęgnowany. To zadanie należało do niego - utrzymać tę iskrę życia dzięki zaklęciom i amuletom, wróżbom z liści i płomieni świec. Ursula słuchała go z dziecięcą fascynacją, chłonąc opowieści o stworzeniu z małym ogonem i ostrymi kleszczami zamiast rąk, mieszkającym w dżungli i łapiącym niegrzeczne dzieci; dowiedziała się, że przyplawy i odpływy powoduje Wielki Krab, wchodzący i wychodzący ze swojej pieczary w bajkowej górze Maha Meru, wznoszącej się w pępku świata. Jej milczenie również ma swoją przyczynę, wyjaśnił jej. Jej *semangat* został zniszczony. Trzeba czasu - przy jego pomocy - żeby się odnowił. Musi być cierpliwa. A potem zaczynał palić liście, przesuwając je nad płomieniem świecy, aż wreszcie Ursula zmęczyła się i straciła nadzieję. Nic jej nie pomagało.

Z czasem pawang zaczął opowiadać jej o wierze muzułmańskiej; wyjaśnił, że to nie Bóg określił z góry, kto ma być muzułmaninem, a kto nie, ale wynika to z jego Istoty. Ursula słuchała tego zaskoczona; nie miała pojęcia, co by to mogło znaczyć, ale kiwała głową i uśmiechała się, jakby wszystko rozumiała. Tego samego wieczoru Yahyah starał się jej to wytłumaczyć w prostszy sposób. Ujął nieśmiało jej stwardniałą dłoń; jego twarz straciła już chłopięce rysy i stała się twarzą mężczyzny.

- Był absolutny jest identyczny z duchową esencją człowieka. Bóg przypomina morze, spokojne i wygładzone, na którym w każdej chwili mogą pojawić się fale. Tymi falami jest ciało człowieka, a życie jest jak prąd na nieskończonym boskim morzu, jego nieskończonej Istocie. Rozumiesz? - Cały promieniał ze szczęścia, że może ją nauczać.

Pokręciła głową, jeszcze bardziej zgnębiona. Dlaczego wszystko to brzmiało jak zagadka? Dlaczego nie można powiedzieć niczego wprost? Yahyah spróbował jeszcze raz:

- Koran mówi, że „gdziekolwiek się nie odwrócisz, wszędzie stajesz w obliczu Boga”. Musisz zrozumieć, że człowiek jest częścią bożego wszechświata, jego krzyż jest kolumną bożego tronu, jego żółć - ogniem, śluz wodą, brzuch

oceanem, dusza ptakiem. Dla nas nie mogą istnieć granice i dlatego , jeśli Allah i Mahomet ścierpią krzywdę, i ja mogę ją ścierpieć!". Jesteśmy bezpieczni w jego...

Uniosła rękę i pokręciła głową, jak zwykle. Podobało się jej to o duszy, która jest ptakiem. Może jej dusza zmieniała się w drewno, kiedy wszyscy, których kochała, umarli. Była ciekawa, czy Allah wierzył w malowane ptaki, tak jak Billy. Ale nie mogła o to spytać, a reszta w ogóle jej nie obchodziła. Uśmiechnęła się do niego w sposób oznaczający „zostawmy to na dziś i spróbujmy kiedy indziej, dobrze?". Z trudem ukryła ziewnięcie. Z twarzy Yahyaha zniknęło nieco blasku, a jego uśmiech przygasł. Ursula zrozumiała, że poczuł się upokorzony. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego, a potem wskazała na siebie i przyłożyła obie dłonie do skroni, dając mu do zrozumienia, że jest zmęczona. Uśmiechnęła się nieśmiało, z nową wiarą w siebie.

- Bardzo ciężko pracujesz dla mojej rodziny. Chcemy tylko, żebyś zrozumiała naszą wiarę, to wszystko. Być może pewnego dnia ona do ciebie przyjdzie. Być może pewnego dnia wejdiesz do naszej rodziny. - Skłonił przed nią głowę, wstał zgrabnie i wyszedł z chaty. Fatima westchnęła ze swojego kąta.

- Mój syn bardzo się stara, żeby cię nauczyć. Zadaje sobie wiele trudu, rozmawia z pawangiem i swoim ojcem, żeby dobrze ci wszystko wyjaśnić. Byłabym szczęśliwa, gdybyś się tego nauczyła. Jesteś dla mnie jak córka. Ciężko mi będzie rozstać się z tobą.

Ursula pochyliła się nad swoją amah i dotknęła jej dłoni. Wskazała na siebie i zatoczyła ręką łuk na zewnątrz. Oznaczało to pytanie: „czy muszę odejść?".

Fatima rozpromieniła się i dotknęła policzkiem jej twarzy, lekko pociągając nosem. Był to „*chium*", sposób, w jaki całowali starzy Malaje.

- Kiedyś od nas odejdziesz. Jest powiedziane, że wróble będą z wróblami, a kruki z krukami. Nigdy nie będziesz tutaj pasować. Mój syn na razie nie przyjmuje tego do wiadomości, ale z czasem to zauważy. Musi.

Fatima spojrzała z niepokojem na tę delikatną dziewczynkę, której tak niewiele czasu pozostało do tego, żeby stać się kobietą. Niech wojna szybko się skończy, modliła się, i niech Oosalah wróci do swoich. Zanim mój syn zostanie skrzywdzony. Zanim mój mąż odkryje prawdę: że Yahyah pragnie jej za żonę. Westchnęła i wróciła do wyplatania maty.

Ursula także westchnęła. Ptaki z jednego gniazda, z jednej krwi; to o tym usiłowała powiedzieć jej Fatima. Będzie musiała odejść, nie wiadomo dokąd i rozpoczając nowe życie z ludźmi takimi, jak ona. Ale gdzie są tacyhidzie? Gorąco pragnęła, żeby wojna dobiegła końca. Ciężko było żyć z dnia na dzień, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość. Lubiła zaplanowane, poukładane życie, nie uzależnione od cudzych humorów. Na razie mieli szczęście, Japończycy zostawili ich w spokoju. Ale w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Kiedyś, mówiła sobie, ta wojna się skończy i wrócę do domu. Dom. Dziwne słowo. Nie wiedziała, co właściwie przez nie rozumie. Może tak naprawdę chciała cofnąć się w czasie do tamtych dni, gdy jeszcze wszyscy żyli. Kiedy nie było wojny. Ale te czasy już minęły i nikt ich nie przywróci. Nic nie

przywróci Billy'emu życia. Na razie była bezpieczna; cała reszta musiała czekać.

Ale Yahyah nie chciał już czekać. Ursula była z nimi prawie rok i ciągle nie okazywała mu żadnych względów. Nie przeszkadzało mu to, że dziewczyna nie może mówić. Taka była wola Allaha. Ale mogła darzyć go większym zainteresowaniem i szacunkiem. Cisnął do strumienia kamień, który obracał w ręce. Był całkiem przystojny i wiedział o tym. Wszystkie panny na wydaniu w kampongu były nim zainteresowane. Zdarzały się nawet dziewczyny z sąsiedniej wioski. Więc dlaczego nie Ursula? Wkrótce skończy piętnaście lat. Wiele dziewcząt w jej wieku wychodziło za mąż. Wiele miało dzieci. Zauważył, że jej ciało zaczęło się zmieniać: widział drobne pączkujące piersi, zaokrąglone biodra. Nigdy nie będzie miała prawdziwie kobiecej figury, ale i tak mu się podobała. Poruszenie, które czuł na jej widok, stawało się coraz większe i trudniejsze do opanowania. Wciągnął głęboko powietrze. Co miał robić? Nie wolno jej zmuszać. Ale nie potrafił już dłużej hamować żądy. Niechętnie wszedł do wody, która opłynęła jego ciało chłodnym strumieniem. Często się kąpał, choć nie chodziło mu o utrzymanie czystości. Musiał oczyścić głowę i ciało, wygonić z nich nieprzyzwoite myśli. Ochlapał się gniewnie wodą.

Tej nocy położył się blisko Ursuli. Rodzice spali po jednej stronie chaty, za zasłoną, a dzieci wokół nich. Wszyscy spali głęboko. Ursula leżała na boku, podłożywszy sobie pod głowę wyciągnięte ramię. Jej sarong opływał ciało luźnymi fałdami i rozchyłał się z tyłu, ukazując gładki brąz skóry. Yahyah delikatnie dotknął jej pleców i przesunął palcem po linii kręgosłupa do miejsca, w którym sarong dotykał jej ciała. Ursula zadrżała we śnie i odwróciła się do niego twarzą. Materiał obsunął się, kiedy przekreśliła się na szorstkiej macie i obnażył jej pierś. Yahyah wstrzymał oddech. Widział jeden bladoróżowy sutek, miękki i delikatny w kontraście z opaloną skórą. Znowu zaczerpnął powietrza. Ursula nie poruszyła się.

Znowu wyciągnął palec i pogładził ciało nad piersią, a potem przesunął nim niżej. Ursula westchnęła przez sen; kąciki jej ust wygięły się w lekkim uśmiechu. Yahyah także się uśmiechnął. Tym razem dotknął jej sutka, ujął go dwoma palcami i zaczął delikatnie masować go kciukiem. Sutek uniósł się niczym kwiat, który zamyka się na noc, stał się jak twardy guziczek. Yahyah przysunął się bliżej. Jej skóra była obsypana pudrem tanaka, którego zapach unosił się w powietrzu wokół niej. Powoli zbliżył usta do jej piersi. Oddychała spokojnie w bezruchu głębokiego snu. W chacie panował absolutny spokój. Pocałował ją, a ciepło i zapach jej skóry rozpałiło jego zmysły. Ursula jęknęła cicho. Sięgnął drugą ręką niżej, przesunął nią po jej biodrze i wsunął ją w zagłębienie pomiędzy jej nogami. Przewróciła się; przywarł do niej ciasno i zaczął całować jej ramiona i kark, rozkoszując się jej zapachem. Poczul, że jego męskość twardnieje; przysunął Ursulę ku sobie. Jej pośladki pasowały do jego bioder jak ulane.

Przez jakiś czas leżał tak, nie ośmielając się działać dalej i zbyt podniecony, by się cofnąć. Znowu zapadła w głęboki sen; powoli uniósł fałdy jej sarongu i ob-



nażył jej uda. Przesunął ciepłą dłonią pod materiałem po jej biodrze. Sięgnął dalej, poprzez płaski brzuch do tego delikatnego futerka, rysującego się ciemnym trójkątem pomiędzy jej nogami. Jego ciało zadrgało boleśnie, kiedy go dotknął. Odsunął własne okrycie na bok, przytulił się do jej ciepłego ciała i wsunął jej rękę pomiędzy nogi. Szarpnęła głową, aż włosy opadły jej na jego twarz. Zamarł. Ale nie obudziła się, więc trwał ściśle do niej przytulony. Nie wezmę jej teraz, pomyślał. Ale już wkrótce. Bardzo niedługo. Może jutro. Już mniej ostrożnie przesunął dłonią po jej piersiach, brzuchu, aż do miejsca, które najbardziej pragnął odkryć. Niechętnie odsunął się, odwrócił się od niej i zwinął w kłębek. Ursula spała niezmąconym snem.

Następnego popołudnia Ursula wybrała się samotnie na chiński cmentarz. Koni już tu nie było, Japończycy znaleźli je niemal natychmiast. Westchnęła zastanawiając się, co stało się z Bintangiem i Jambang. To bolało. Ale nadal lubiła wędrować po wzgórzach, zaciągając się zapachem kadzidła i węgla palonego w piecykach na grobach, mieszaniną słodkiego i gryzącego dymu. Często przychodziła tu sama, choć Fatima martwiła się, czy nie zaskoczy jej tam jakiś japoński żołnierz. Ursula nie bała się. Umiała szybko biegać i dobrze знаła te tereny. I czasami potrzebowała samotności.

W pewnym miejscu potok stawał się szeroki i płytki; zmieniał się w wesoły strumień rwący po żwirze i kamykach. Ursula nabrała ostatnio zwyczaju, by się w nim kąpać. Czuła, że budzą się w niej jakieś dziwne doznania, ale nieśmiałość nie pozwalała jej opowiedzieć o nich Fatimie i poprosić o wyjaśnienie. A jednak były na tyle intensywne, że potrafiły tamować jej oddech i spowodować zawroty głowy. Spojrzenia, jakie rzuciła jej Yahyah i kilku innych młodych mężczyzn, dały jej pewność siebie. Musiała przyznać, że to dość przyjemne. I coraz częściej sięjej to zdarzało. Ale tej nocy miała sen. Zarumieniła się i zaczęła myśleć o czymś innym.

Kucnęła na brzegu strumienia i zsunęła sarong, aż do bioder. Podkasała go i zawiązała. Potem uklękła i zaczęła ochlapywać twarz i piersi, wodą tak zimną, że zapierała jej dech. Zbliżała się pora deszczowa i woda zdecydowanie się ochłodziła. Przesunęła dłonią po piersiach i potarła sutki, z początku lekko, potem mocniej. Poczula dziwny brak tchu i pustkę w żołądku, jakby była bardzo głodna. Głowa i nogi zaczęły jej ciężyc, a wszystko dokoła jakby zbladło i zamgliło się. Gdzieś z oddali pokrzykiwał kotlarz.

Kiedy podniosła oczy, zobaczyła Yahyaha.

Odwróciła się i zaczęła omotywać się sarongiem. Yahyah kucnął obok niej. Dotknął jej włosów i rozpuścił je. Chciała wydobyć z siebie prośbę „Przestań! Nie wolno ci tu być. Tak nie wolno”. Ale słowa uwięzły jej w gardle, a przed oczami stanął sen; spojrzała na niego spod spuszczonej powiek, niepewna.

- Nie zrobię ci krzywdy. Polubisz mnie. Nie bój się. - Yahyah zbliżył się do niej, uprzedzając jej próbę ucieczki. Złapał ją bez trudu i przyparł do brzegu rzeki. Sarong osunął się, obnażając jej piersi. Ursula nie starała się mu wyrwać. Leżała pod nim, zaskoczona zarówno nim, jak i sobą. Przez jej ciało przebiegł dreszcz dziwnego uczucia. Jakby czekała na coś z zapartym tchem. To nie powinno się

stać; co pomyślałby Billy? Myśl pojawiła się niespodziewanie i otrząsnęła się. Znany ból otrzeźwił ją.

- To dozwolone, jeśli dwoje ludzi lubi się i zamierzają się pocałować. Wolno mi cię wziąć - powiedział Yahyah; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kłamie, ale pragnął jej tak, że nie liczył się nic poza nią. Leżała pod nim nieruchomo, przygnieciona do ziemi. Drżała pod dotykiem jego rąk, przesuujących się po tych samych miejscach, co poprzedniej nocy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy włożył rękę między jej nogi. Uczucie było dziwne, lecz przyjemne. Ale dlaczego to jest dozwolone? Nie rozumiała. Wstydziła się i nie mogła spojrzeć mu w twarz, ale kiedy nagle rozsunął jej nogi i wparł się w nią, zwróciła na niego spojrzenie pełne zaskoczenia. Czy tak właśnie miało być?

Szarpnęła się, przerażona. Yahyah przytrzymał ją mocno, starając się ukoić jej narastający strach. Odwróciła twarz, kiedy chciał ją pocałować, wtuliła ją w paprocie pod głową. Z ust zaczęło się jej wydobywać ostre dyszenie, choć uwięziony krzyk nadal nie chciał wyrwać się na zewnątrz. Ale krzyk rozległ się; dochodził znad ich głów i zaskoczył ich oboje. Rubaszny rehotjapońskiego żołnierza, przeciągły i głośny. Yahyah podniósł Ursulę szarpnięciem i pobiegli razem, kuląc się w oczekiwaniu na spodziewane strzały. Ursula po drodze omotywała sarong wokół bioder. Ale nikt ich nie gonił, nikt nie zamierzał ich zmasakrować. Tak, jakby żołnierz ich nie zobaczył. Dobiegli na skraj dżungli, dysząc ciężko.

Ursula natychmiast doprowadziła strój do porządku. Jaskrawe plamy pomarańcza i fioletu rozbłysły na tle głębokiej zieleni dżungli. Yahyah wyjrzał ostrożnie, starając się nie wychodzić na linię strzału. Nie było nikogo; popołudniowe powietrze stało nieruchomo, wypełnione dymem ognisk. Światło migotało w miedzianych kociołkach z kadzidłem, odbijało się od kawałków chromu z porzucenych zderzaków, zapalało ostre iskry w szklanych słoikach i dzwoneczkach. Ale nie w metalu karabinu czy ozdobach munduru. Żołnierz odszedł. A kiedy Yahyah odwrócił się, okazało się, że Ursula również zniknęła. Wycofała się cicho w cień, przemknęła pod drzewami i uciekła do kampongu. Zaklął cicho i otarł górną wargę o ramię.

Fatima rozumiała, że stało się coś złego, czego jeszcze nie potrafiła odgadnąć, lecz widziała wyraźnie w sposobie, w jaki Ursula przycupnęła na ganku i otoczyła się ramionami. Widziała, że dziewczyna jest nieszczęśliwa, ale nie rozumiała, dlaczego. Przesiedziała tak dwa dni, nie zwracając uwagi na dzieci, które ciągnęły ją za ręce do zabawy. Wstawiała tylko wtedy, kiedy musiała wykonać jakąś pracę, ale nawet wtedy ruszała się niepewnie i rzucała nieufne spojrzenia. Trzymała się blisko Fatimy i innych kobiet. Z początku Fatima sądziła, że zgwałcił ją jakiś żołnierz. Ale na jej ciele nie było widać siniaków i zadrapań. I nie odniosła prawdziwych obrażeń. Była tylko rozpaczliwie nieszczęśliwa, choć Fatima zaczęła już mieć nadzieję, że zapomni o wszystkim. Ostatnio wyglądała o wiele lepiej; niemal można było się spodziewać, że zacznie mówić. A teraz... Fatima westchnęła z irytacją.

- Gdzie jest mój syn? Widziałaś go? Spóźni się na wieczerzę.

Bardzo dziwne, pomyślała. Dziewczyna wzdygnęła się na wspomnienie Yahyaha i odwróciła się od niej, swojej amah, jakby nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Fatima poczuła, że na sercu kładzie się jej jakiś zimny ciężar. Niech Allah w swojej mądrości zapobiegnie temu, pomyślała żarliwie. Może to nie to. Pochyliła się nad Ursulą i odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Powiedz mi, dziecko. Powiedz, co się stało.

Ale Ursula nie miała słów, którymi mogłaby przemówić, ani żadnych myśli, którymi chciałyby się podzielić. Yahyah powiedział: „To dozwolone”. Pozwolili mu zrobić z nią te rzeczy. Zadrzała pod tym dziwnym poczuciem wstydu i gniewu. Szarpnęła głową tak, że jej włosy wysliznęły się z dłoni Fatimy. Nie mogła jej pomóc. To jej syn. Powiedział, że to dozwolone. Jego ojciec był lembaga. Co znaczy jej słowo przeciwko ich?

Ale okazało się, że to właśnie Ibrahim przyszedł jej z pomocą. Gniewny i zawstydzony Ibrahim, który tego wieczoru stanął przed nią i poprosił o wybaczenie za zachowanie syna. A Yahyah stał za jego plecami, błądy i spięty, z oczami pełnymi łez, których starał się nie okazywać. Ursula nie podniosła głowy.

- Musisz zrozumieć. Mój syn miał dobre zamiary. Chciał cię pojąć za żonę. Wstydzę się za jego postępek, ale nie przynosi ci on ujmy. On cię szczerze kocha - mówił Ibrahim z trudem, a każde jego słowo było pełne goryczy. Ursula skinęła głową, ale ciągle nie podnosiła oczu.

- Mój syn chce z tobą pomówić. Chce cię prosić o przebaczenie. Czy pozwolisz mu na to? - Ibrahim patrzył na belkę nad jej głową. Skinęła głową z ociąganiem. Ibrahim cofnął się, a Yahyah stanął przed dziewczyną, którą utracił.

- Oosalah? Wybacz. Jestem zawstydzony, zhańbiony. Nic nie poradzę, że to czułem, ale... - przełknął ślinę. - Nie mogłem patrzeć na twoją rozpacz. Przyznałem się mojemu ojcu, lembadze. Wybacz mi! Proszę! Nie chciałem cię zranić! Chciałem tylko, żebyś mnie pokochała, tak jak ja cię kochałem.

Niepewnie podniosła głowę i zmarszczyła brwi. Kochałem? Czy już jej nie kocha? Czy znowu mogą stać się rodzeństwem, jak niegdyś? Odczytał to pytanie w jej oczach.

- Nie mogę cię poślubić. Mój ojciec zabronił mi tego. Nie mogę cię kochać. To także jest zakazane. - Wciągnął gwałtownie powietrze, jakby walczył z bólem, ale mówił dalej. - Jesteś panienką, a ja Malajem. To nie jest dozwolone. Skłamałem. Wybacz mi, Oosalah! Przepraszam.

Nie powiedział jej wszystkiego, czego dowiedział się od ojca. Nie, nie od ojca. Od mężczyzny, który wychował go jak syna. Jego ojciec umarł. Ten sam mężczyzna, którego Oosalah nazywała papą. Przełknął ślinę przez boleśnie wyschnięte gardło. Oto jego grzech. Oby Allah mu wybaczył, oby Allah wybaczył im wszystkim. Spod mocno zaciśniętych powiek wymknęły się mu łzy i popłynęły po twarzy, choć starał się odzyskać panowanie nad sobą. Odetchnął głęboko. Zdławił szloch.

Ursula wzięła go za rękę i mocno ucisnęła. „Ćśś... nie płacz”. Chciała to powiedzieć. „Nie płacz, wszystko będzie dobrze. Jestem z tobą i wszystko będzie

dobrze". Tak powiedziałby Billy. Jej Billy. Uśmiechnęła się smutno do Yahyaha, nie wypuszczając jego dłoni. Wszystko poszło w niepamięć. Był jej starszym bratem, towarzyszem jej dziecięcych zabaw. Czy mogła mu nie wybaczyć? Delikatnie przysunęła się do niego i pocałowała w mokry od łez policzek. Yahyah drgnął i cofnął się. Ale potem skinął głową i również się uśmiechnął, choć ból wykrzywił mu usta. Teraz zawsze musi pozostawać w oddaleniu. Musi się nauczyć traktować ją jak siostrę. Ona traktowała go jak brata. Przecież byli rodzeństwem. Spróbuje. Postara się. Westchnął przeciągle, drżąc i znowu się uśmiechnął. Wszystko będzie dobrze.

Gdzieś w początkach września 1945 roku do kampongu weszli żołnierze, położyli plecaki na ziemi i uśmiechając się, wskazali na studnię. Byli zmęczeni i spragnieni. Ursula siedziała pod palmą i bawiła się z dziećmi. Od słońca jej skóra była już równie brązowa, jak ich. Przybycie żołnierzy wstrząsnęło nią, a jeszcze bardziej zaskoczył ją fakt, iż nie byli to Japończycy. Pochodzili z Australii. Ibrahim wyłonił się z chaty, kiedy dzieci podniosły wrzask, a kobiety przestały pleść maty, zainteresowane tymi dziwnymi ludźmi. Od trzech lat nie widzieli tu Europejczyków. Nikt się ich tu nie spodziewał.

- Serwus. Możemy se chlapnąć? - spytał jeden z nich. Dziwny akcent przywiódł Ursuli na myśl odległe wspomnienia; mimo woli uśmiechnęła się. Żołnierz trzymał obie ręce w górze, żeby podkreślić, że nie żywi złych zamiarów. Zachichotała, kiedy przeszedł na angielski, którym posługiwali się tubylcy: - *Can drinkee, lah*

Ibrahim skinął głową.

- *Can*. Skąd pochodzą?

Wyglądało na to, że żołnierzom ulżyło, kiedy tubylcy okazali się nastawieni " zyczliwie, a w dodatku rozumieli po angielsku. Otoczyli Ibrahima, śmiejąc się rubasznie i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Ich przywódca uniósł rękę, nakazując im zamilknąć.

- Wiecie, ludziska, że wojna się skończyła? Parę dni temu przejęliśmy wyspę. Wymiatamy resztę tych cholernych Japońców. Dobrze wiedzieć, że nie wszyscy odwaliliście kitę. Niedawno żeśmy przejęli Changi. Jak bum cyk, dziękujcie Boży, że nie jesteście biali! - Wszyscy roześmieli się przyjaźnie, a jeden wysoki, chudy żołnierz zakaszłał. Wyglądał tak, jakby samo wspomnienie Changi wytrąciło go z równowagi.

Ursula wstała i podeszła do nich.

- Ja jestem - powiedziała odważnie.

Ibrahim i mieszkańcy wioski spojrzeli na nią, tak samo zdumieni jak żołnierze. Ich śmiech zamarł jak ucięty nożem. Patrzyli na nią niepewnie, z powątpiewaniem przyglądali się chudej śniadej dziewczynie omotanej sarongiem. Ibrahim westchnął i skinął głową na potwierdzenie jej słów. Przywódca gwizdnął przeciągle.

-O w mordę, biała! Przepraszam, panienko, nie chciałem panienki obrazić. Po prostu, po prostu... nie spodziewaliśmy się spotkać... Wygląda panienka jak miejscowa, jeśli to panienki nie obraża.

Jego spojrzenie powędrowało do przystojnego chłopca, stojącego opiekuńczo u jej boku. Mogliby być rodzeństwem. Ursula roześmiała się; jej bystre oczy odczytały jego myśli. Zerknęła spod oka na Yahyaha i roześmiała się znowu. Długo nie używane mięśnie gardła zaczęły ją boleć. Potem znowu spojrzała na żołnierza i pomyślała, że głupio wygląda w tym opiętym ubraniu i z zaczerwienioną z upału twarzą. Spojrzała na Fatimę i uśmiechnęła się z łagodnym smutkiem.

- Nie, wcale mnie to nie obraża.

## Rozdział ósmy

**S**tatek przybił do portu w Southampton w styczniu 1946 roku. Był to linowiec P&O, a Ursula dla oszczędności podróżowała trzecią klasą. Jeszcze nigdy nie mieszkała w tak podłych warunkach; dzieliła kabinę z trzema innymi kobietami, które wracały do Anglii. Do domu. Opowiadały o kraju z taką tęsknotą i upodobaniem, rozwodząc się nad chłodnymi szarościami i deszczowym niebem, tak innym od piekła Changi. Ursula słuchała ich z dziwnym poczuciem wyobcowania. Nadal tęskniła za Singapurem i upałem, jaskrawymi kolorami i zieloną dżunglą górującą nad wszystkim. Nie czuła przywiązania do chłodnych wiatrów, burzliwego morza i ołowianej szarości nieba, które powitały ją kiedy za wybrzeżem Afryki skręcili na północ, do Europy. Były dziwne i obce. Jechała do kraju, którego nie знаła, do nieznanych ludzi, a wszyscy uważali, że powinna być zadowolona. Owszem, cieszyła się, że ma się gdzie podziać, ale... och, tak trudno było zostawić Singapur. Był jej domem, którego miała już nigdy nie zobaczyć. Na samą myśl o tym gardło zaczynało ją boleć, choć starała się jak mogła udawać radość. Kobiety z początku traktowały ją ze współczuciem. Ale w miarę, jak zbliżały się do domu, zapomniały o wszystkim poza sobą.

Jedna z nich - nazywały ją panią Pearson - mieszkała na Dalekim Wschodzie przez większość czasu trwania jej małżeństwa. Jej mąż był przed wojną pomniejszym urzędnikiem w Kuala Lumpur. Zginął na torach, ale ona przeżyła internowanie i cieszyła się, że już nigdy nie zobaczy Dalekiego Wschodu.

- Już przed wojną było dostatecznie źle, bez odpowiedniego domu i towarzysztwa, ale kiedy zamknęli nas w obozie! Nie rozumiem, moja droga, jak zdołałaś się porozumieć w tymi krajowcami. To nie jest odpowiednie wychowanie dla panienki w twoim wieku. Powinnaś się sama zgłosić i znaleźć się w obozie razem

z nami. Przynajmniej byłabyś między swoimi. Europejczykami. A nie, powiedzmy to sobie, z dzikusami!

Mogła tak gadać godzinami i Ursula nauczyła się jej nie słuchać. Jak można mieszkać w kraju, do którego czuje się tyle nienawiści, myślała. I po co to robić? Nie zdawała sobie jeszcze sprawy, co to brak pieniędzy lub zachcianki męża. Na razie przyglądała się tym kobietom z rosnącym zdziwieniem. Mieszkały na Dalekim Wschodzie, a mimo to nie miały najbledszego pojęcia, jak tam jest naprawdę! Jak mogła się spodziewać, że ktoś w Anglii, kto nie zna życia na Dalekim Wschodzie, zdoła ją zrozumieć? Czy jej krewni, ciotka i wuj, będą tak o niej myśleć? Na pewno nie. Zrozumieją. Przecież to rodzina.

Dziwne było także to, że kobiety opowiadały o Dalekim Wschodzie sprzed wojny bądź z jej początków. Nie rozmawiały o wojennych doświadczeniach, chyba że na ucho, i to nie o swoich przeżyciach. Dwie pozostałe były młodsze; jedna z nich oniemiała z bólu po stracie męża i dzieci, druga za to gadająca za dwie wesołą londyńską gwarą i wspominająca o rzeczach, które dla Ursuli nic nie znaczyły. Razem stanowiły osobliwą kompanię i mimo iż przez nie kończące się tygodnie tkwiły na przestrzeni o wielkości dużej szafy, nie zdołały się zaprzyjaźnić. Kobiety osądziły Ursulę z góry, potępiły ją za to, że „stała się Malajką” i nie próbowały dowiedzieć się niczego więcej. Dlatego Ursula najczęściej zaciągała firanki swojej koi i kryła się za nimi, kiedy nie mogła wyjść na pokład. Przynajmniej nie musiała na nie patrzeć, choć nadal słyszała ich głosy. Im dalej kierowali się na północ, tym mocniej czuła, że zrywają się jej ostatnie więzy z domem.

Wujostwo mieli wyjść po nią po przybyciu statku: siostra ojca, której nigdy nie lubił i o której wyrażał się jedynie tonem pogardy, oraz jej mąż, przyczyna owej pogardy. Ursula była ciekawa, co było w nim tak karygodnego, że papa nigdy nie wybaczył swojej siostrze, że za niego wyszła. Stała niespokojnie w kolejce przed biurem migracyjnym i powtarzała w myślach: „Mam nadzieję, że mnie polubią!”. Miała nowy paszport, wydany w Singapurze przez Ambasadę Brytyjską, a za jej bilet zapłacił niejaki pan Johnson, który twierdził, że był znajomym papy. Znali się z pracy. Ursula przypominała go sobie mętnie z przyjęć wyprawianych przez papę. Wydawało się, że uznał za punkt honoru zaopiekować się nią. Ursula nie zamierzała się sprzeciwić - zwłaszcza że był skłonny zapłacić za podróż i nowe ubrania. Nikt inny by się tym nie zajął, a nie miała żadnych pieniędzy. Nic nie zostało. Tak powiedział pan Johnson.

Kiedy przywieziono ją do ambasady, ludzie witali ją z niejaką dezaprobatą. Opowiadali sobie o kampongu, unosząc przy tym wysoko brwi, konspiracyjnym szeptem, a traktowali ją z nadmierną życzliwością, która miała zamaskować niesmak. Ursula gorzko żałowała, że w ogóle odezwała się do tamtego żołnierza. To był początek końca. Potem zaczęły się nie kończące się pytania angielskiego oficera, któremu bez końca powtarzała te same odpowiedzi. Wreszcie powiedzieli, że musi odejść z nimi, więc ucisnęła Fatimę, dzieci i udała, że nie widzi cierpienia Yahyaha i smutku Ibrahima. Wszystko było takie bezduszne, typowa biurokracja w kolonialnym stylu.

Pan Johnson spotkał się z nią i dał jej pieniądze. Sposób, w jaki mówił do niej - jakby bał się tego, co naprawdę mógł powiedzieć - przekonała ją, że wśród własnych rodaków będzie traktowana jak wyrzutek. A potem ludzie na statku, ci, którzy przeżyli wojnę - oni byli najgorsi. Zachowywali się chłodno i wyniośle, wyraźnie dali jej do zrozumienia, że mieszkając z tubylcami dopuściła się czegoś, czego nie zrobiłby żaden biały. Czuli też, że zastanawiają się, czy pod nowymi europejskimi ubraniami nie jest odrobinę bardziej śniada, niż powinna. Ursula odmówiła udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Fatima i jej rodzina była wszystkim, co jej zostało i kochała ją bardziej, niż któregośkolwiek z tych białych Europejczyków, którzy ją krytykowali i obmawiali za plecami. Jej krewni nie będą zwracać uwagi na to, że żyła w kampongu. Będą się cieszyć, że w ogóle przeżyła. Tak będzie, na pewno. Przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy, starając się stłumić niepokój myśli. Pierwszą rozmowę na statku wspominała z zimnym dreszczem. To uprzedzenie i wścibstwo.

- Napijesz się herbaty? - Pani Pearson była bladą, kręłą kobietą o prymitywnych rysach twarzy i takich samych manierach.

- Tak, dziękuję. Przykro mi, że stałam się intruzem. To bardzo uprzejme, że zgodziły się panie udzielić mi gościny.

Tak bardzo się starała - bez skutku. Plotki ją wyprzedziły.

- Wszyscy musimy nauczyć się dzielić tym, co nam zostało. Wojna zaskoczyła tak wiele osób i tak niewiele zdołało przeżyć. Zaskakujące, czego przy tym dokonali. Weźmy jako przykład ciebie. Wiele młodych kobiet wolałoby umrzeć, niż tak żyć. Naprawdę ci to nie przeszkadzało?

Wytrzeszczone, indagujące oczy, głodne informacji, czegoś innego, niż zwykle ploteczki przy kawie. Co naprawdę zrobiła? Mówiło się o jakimś młodym tubylcu. Może któreś z tych małych brązowych Malajatek, które tak bardzo czepiały się jej, kiedy wyjeżdżała, nie było tak zupełnie Malajem? Może... Kobieta uśmiechnęła się do Ursuli znad filiżanki z herbatą.

- Fatima była moją amah. Wychowała mnie po śmierci mamy. Nie odczułam żadnej różnicy, kiedy mieszkalam z nią w kampongu w stosunku do mojego życia w domu. - Ursula poważnie spojrzała na swoją rozmówczynię. - Uważam ich za moją rodzinę.

- Czyżby? - Co za interesujące wyznanie. - Załawione, mętne oczy za grubymi szklami okularów. Czyżby? - powiedziały. I już była potępiona. Stała się tubylczą dziewczyną, może bardziej, niż się wydaje. Odrzucić tę kreaturę. Bóg wie, jakim przykładem mogłaby się stać dla naszych dziewcząt. No cóż, to smutne, ale pewnych rzeczy po prostu się nie robi. Ursula wyczytała to wszystko z twarzy kobiety. Upiła łyk herbaty. No, tak.

I to wszystko, czego dowiedziała się na statku. Wzięła torbę i zrobiła parę kroków naprzód w kolejce.

Czekali na nią w holu, z wielkim transparentem z jej nazwiskiem. Przez chwilę obserwowała ich z oddali. Miała wrażenie, że nabiera oddechu przed skokiem do



zimnej wody. Nie znali jej; mogła wykorzystać te parę chwil na zastanowienie się, w jaki sposób wobec nich postępować. Zwolniła kroku, a wtedy jakaś gruba kobieta następująca jej na pięty, potknęła się o nią i wybuchnęła potokiem wyrzutów, zakończonych sugestią, żeby uważała, jak chodzi. Poruszenie przyciągnęło uwagę mężczyzny, który zaczął ciągnąć żonę za rękaw i wskazywać dziewczynę. Czy nie wygląda jak Lilian? Czy to może być ona?

Ursula poczuła, że ogarnia ją coś bliskiego panice, kiedy kobieta skierowała na nią spojrzenie ciemnych oczu. Została zlokalizowana; wiedzieli, kim była. Teraz nie zdąży już przyrzeć się im spokojnie. Nie zdoła opracować powitania. Kobieta wpatrywała się w nią intensywnie, rzucając półgębkiem jakieś uwagi do męża. A więc to jest ciocia Mary, równie zwyczajna, jak jej imię, nieco przypominająca ptaka, z ciemnymi, kręconymi włosami spiętymi po jednej stronie klamerką. Miała na sobie kwiecistą sukienkę i ciemny wełniany płaszcz oraz śmieszny kapelusik a la Robin Hood. Nie uśmiechnęła się ani razu. Mężczyzna był nieco bardziej sympatyczny; przywołał na usta coś w rodzaju uśmiechu i kiwał głową. Był ubrany w prochowiec, zmięty po podróży i chodzeniu po deszczu, oraz zbyt ciasny brązowy garnitur. Ursula wyszła z głównego nurtu, sunącego przez salę, i powoli podeszła do swoich jedynek krewnych. Nie wiedziała, jak ma się zachować, a jej powitalny uśmiech nie wypadł najlepiej. Zadawała sobie pytanie, czy cieszą się na jej widok, czy też woleliby jej nie oglądać - ciężaru dla ludzi, którzy nawet jej nie znają.

- Ciocia Mary? Wujek George? - zatrzymała się niepewnie przed nimi. Czy to naprawdę Martinowie? Czy to naprawdę siostra papy, taka blada i drobna, taka skwaszona? Natychmiast wyczuli jej wahanie i powitali ją z całą skąpą serdecznością, na jaką było ich stać. Było to trudne zadanie wobec kogoś zupełnie obcego, kto wymaga od nich czegoś, czego nie mogą odmówić. Ciotka Mary skinęła szeptowo głową.

- Ty musisz być Ursulą, córką Henry'ego.

Nie próbowała nawet jej pocałować. Wyciągnęła do niej obleczone w rękawiczkę dłoń i potrzęsła jej palcami. Ursula mimo woli pomyślała, że chyba nikt nie mówił do papy per „Henry”. Uśmiechnęła się do ciotki - mięśnie jej twarzy były nieco zeszywniałe wskutek rzadkich okazji okazywania uczuć - i odstaąpiła 0 krok. Wszędzie rozgrywały się sceny radosnych powitań, zarzucanie rąk na szyje 1 pełne też gorączkowe opowieści.

Przepraszam, że tak długo zajęło mi zejście ze statku, ale musieliśmy przejść przez komorę celną, punkt imigracyjny i tak dalej. Wszystko to trwało wieki. - Wyczuła, że czekają na przeprosiny za to, że przeżyła wojnę, ale to już nie była jej wina. Jej winą było to, że odezwała się do tamtego żołnierza. Odwróciła gwałtownie głowę i nie zauważyła nieśmiałego uśmiechu, który skierował do niej mężczyzna, mający być jej wujkiem. Uśmiech zwiął i zniknął.

- Czy to wszystko, co masz? - wskazał małą walizkę u jej stóp.

Skinęła głową.

- Ale reszta nadjedzie później? Ciężarówkami? - To ciotka Mary głosem ostrym z niepokoju.

- Nie, to już wszystko. Japończycy zajęli nasz bungalow, a magazyny spłonęły podczas pierwszego bombardowania. Przynajmniej tak mi powiedziano. Ostatniego dnia - zanim wkroczyli - starałam się uratować chociaż srebra, ale oni, Japończycy, i tak je znaleźli. Znaleźli też konie. Nie zostało nic oprócz mnie.

Zapadło martwe milczenie. Wujostwo przetrawali to, co usłyszeli.

- Rozumiem. A więc jesteś zupełnie pozbawiona funduszy? W Ministerstwie Spraw Zagranicznych mówiono nam... hm, że mieszkałaś z tubylcami. - Ciotka Mary roześmiała się, jakby w ogóle nie wierzyła, że coś takiego jest możliwe. - Ale to z pewnością nieporozumienie? Chyba nie mogłaś mieszkać z tymi dzikusami?

Pytanie zawisło w powietrzu. Jeszcze nigdy Ursula nie czuła się tak niechętnie widziana. Przypomniała sobie życzliwość Fatimy i Ibrahima i w gardle utkwiała jej wielka, bolesna kula. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko pokręciła głową. Nie, nie ma żadnych pieniędzy ani mebli, rzeczy osobistych, czy ubrań - oprócz tych, które kupił jej ten człowiek - a nie zostało nic i nikt oprócz niej. Papa i Billy. Obaj nie żyją. A Sally, Emma i Tom zaginęli bez śladu. Jeszcze ciągle ich szukano. Opuściła głowę, by ukryć łzy toczące się jej po policzkach. Wszyscy nie żyją.

- No, no, po co te łzy? Jesteśmy tutaj, żeby się tobą zająć. Trochę nas zaskoczyło, że nie masz... nie masz pieniędzy. Nie jesteśmy bogaci, rozumiesz. A obecne czasy są ciężkie. Ludzie tracą pracę, wszystko kosztuje bająnskie sumy. Ale przetrwamy, ośmielę się zauważyć. Więc przestań płakać i bądź grzeczną dziewczynką. - Wuj George najwyraźniej starał się być miły na swój szorstki sposób. Ursula pociągnęła nosem i zaczęła gmerać w rękawie w poszukiwaniu chusteczki. Miała na sobie swój najcieplejszy strój, sukienkę z grubej bawełny i długie białe podkolanówki, a także wełniany sweterek. W Singapurze trudno było dostać ubranie, a rzeczy zimowe były w ogóle niedostępne. Sarong zabrano jej niemal natychmiast po przybyciu do ambasady. Przecież nie mogła w nim chodzić, prawda? W zimnym, wilgotnym powietrzu drżała bez przerwy i zastanawiała się, czy w Anglii jest zawsze tak zimno.

Wuj i ciotka spoglądali na siebie w milczącym porozumieniu, przesyłając sobie nieme sygnały ponad jej schyloną głową. Co mieli z nią zrobić? Była bardzo szczupła i wysoka, a jej ciemna karnacja z braku słońca i ciepła stała się sina. Włosy zwisały jej smętnie na plecach, matowe i brązowe, co nie przydawało jej urody, uznała ciotka Mary. Jak Lilian, akurat! George ma chyba źle w głowie. Tej dziewczyny nie uda się wypchnąć za mąż, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości, dopóki wygląda jak piętnastolatka i jest kompletnie pozbawiona figury.

- A co się dzieje z twoją macochą i jej dziećmi? Czy też są w Singapurze?

- Zaginęli bez śladu. Ciągle jeszcze próbują ich odnaleźć - wykrztusiła Ursula po chwili milczenia. Ciotka Mary mocniej zasznurowała usta. Westchnęła ciężko.

- No cóż. W takim razie chodźmy. Wujek George weźmie twoją walizkę. Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na następny pociąg.

Spóźnili się na niego o parę minut i musieli przez najbliższe pół godziny czekać na peronie. Ziąb bijący od betonowej podłogi przenikał na wyłot lekkie buciki Ursuli; jej palce zdrętwiały z zimna, a stopy niemal przymarzły do ziemi. Wszędzie dokoła ludzie kulili się w ciepłych paltach, a ich oddech zmieniał się w kłęby pary. Powietrze pachniało dziwnie, w sposób trudny do określenia, ale najwyraźniej stanowiący istotę Anglii: popiół na mokrej ziemi, dym, mokre rośliny, coś ostrego i świeżego jak mięta. Inni pasażerowie zdawali się być przyzwyczajeni do tego wszystkiego: czekania, zimna, zadymionego powietrza. Nie przeszkadzało im to, nawet tego nie zauważali. Nie znali upału, ani słońca, które przenika przez ubranie na plecach. Nie widzieli jaskrawych fioletów i czerwieni, barbarzyńskiej zieleni dżungli czy oślepiającej bieli słońca odbijającego się od bielonych ścian. Tutaj wojna wyglądała inaczej; jak, tego nie potrafiła sobie wyobrazić. Drząc zaczęła się modlić, żeby pociąg już przyjechał.

Do domu wracali trzy i pół godziny. Pociąg był źle ogrzany, grzejniki pod siedzeniami parzyły nogi, ale nie potrafiły podnieść temperatury powietrza. Co chwilę zatrzymywali się na małych stacyjkach, ludzie wsiadali i wysiadali, a przez otwarte drzwi do przedziału wpadały podmuchy zimnego powietrza, szczypiącego ich twarze i dłonie. Potem wlekli się do następnej stacji, a pociąg w ogóle nie przyspieszał w drodze. Podróżowali drugą klasą i Ursula zastanawiała się - resztki wspomnień luksusowego dzieciństwa powoli zacierały się w jej pamięci - czy tak wygląda prawdziwy świat. Druga i trzecia klasa. Niemal nie wierzyła w życie, iakie prowadziła przed wojną. Było odległe jak historia sprzed wieku. Albo z innego świata. I nie była pewna, czy uda się jej dostosować do życia w tym świecie. Chyba nie, skoro wyglądało na to, że wuj i ciotka tak naprawdę jej nie chcieli. Dlaczego, dlaczego przeżyła, skoro wszyscy umarli? To pytanie dręczyło ją bez przerwy.

Od czasu do czasu otwierała oczy i wyglądała przez okno. Papa i Billy roztańczyli przed nią wizję Anglii podobnej do zielonego gobelinu, z kamiennymi domkami, z drzwiami, koło których pną się róże, z liliową mgłą wrzosów i ze strumieniami wijącymi się pomiędzy aksamitnymi brzegami. Zamiast tego wszystkiego zobaczyła nagie drzewa przy torach, rzędy domków z brzydkiej czerwonej cegły i ciemniejące niebo. Drzewa wyglądały, jakby były martwe; ich mokre gałęzie sięgały niemal nisko płynących chmur. Nigdy nie widziała drzew, które zrzucają liście. Widok obnażonych, odartych konarów, przypominających raczej polana na rozpałkę, wypełnił ją poczuciem obcości i opuszczenia.

Zamknęła oczy i mocno zacisnęła powieki. Odnalazła wspomnienie kampongu i bungalowu, starała się poczuć ciepło i zapach kwiatów, usłyszeć wrzaski dzikich małp klócących się o coś w drzewach i krzyki ptaków, cieszących się samą radością życia. Starła się nie myśleć o niczym z wyjątkiem wejścia do miłego, ciepłego domu i wzięcia gorącej kąpieli.

Martinowie mieszkali w wiktoriańskim domku na przedmieściu Londynu, zwanego Pimlico. Nie wyglądał on elegancko, ale był wygodny i zasobny, a poza tym był ich własnością, co w tej okolicy należało do rzadkości. Kiedy znaleźli się na miejscu, zapadł już zmrok i przez mrożone szkło w drzwiach sączyło się świa-

tło. Wyglądało to przyjemnie i zachęcająco, więc Ursula odczuła zadowolenie, kiedy ciotka Mary powiedziała:

- No, to tu. Jesteśmy w domu.

Jakiś młody człowiek otworzył im drzwi, zanim jeszcze wuj George wyłowił z kieszeni klucz.

- Witajcie! Spodziewaliśmy się was wcześniej. Pewnie przemarzliście na wylot. Mam powiedzieć Christopherowi, żeby nastawił czajnik? - Jego głos zdradzał, że młodzieniec jest młodszy, niż na to wygląda i że z wielką niecierpliwością wypatrywał ich powrotu. Cofnął się, żeby zrobić im przejście i otworzył szeroko drzwi. Ursula rzuciła mu zaciekawione spojrzenie. Czy to jej kuzyn? Miał różową, zakłopotaną twarz i zerkał na nią ciemnymi oczami spod grubych brwi. Uśmiechnęła się, a on natychmiast zniknął w korytarzu.

Dom pachniał jedzeniem, ciężką dławiącą wonią, od której gardło Ursuli zacisnęło się kurczowo. Pozostali wydawali się tego nie zauważać. Poszła za nimi po schodach, starając się oddychać bardzo powoli i ostrożnie. Po paru chwilach atak mdłości minął. To tylko zmęczenie. Jutro będzie lepiej. Zaprowadzili ją do małego salonu z wygodnymi meblami w pokrowcach i płonącym kominkiem.

- Usiądź przy ogniu. Za chwilę się rozgrzejesz. Rodney, poznaj kuzynkę z Singapuru.

Wuj George nie zauważył jej drgnięcia. Rodney. Porównała tego chłopca z Rodneyem Hendricksem, kuzynem, który był gotowy oddać życie za swój dom. Z nieżyjącym kuzynem.

- Jesteście prawie rówieśnikami, więc będzie miło, jeśli się zaprzyjaźnicie - oznajmił wuj George i oboje wycofali się w swoje skorupy, jak ślimaki, kiedy uklękuje siebie patykiem. Zerknęli na siebie nerwowo i odwrócili wzrok.

- No, dajcież spokój. Rodney, podaj rękę kuzynce. A gdzie Christopher? - Młody człowiek podszedł z ociąganiem do Ursuli i wyciągnął do niej dużą dłoń. Uściśnęła ją i natychmiast wypuściła. Wuj George roześmiał się. - Tak, chyba to dla was trochę za szybko. Ale wkrótce się do siebie przyzwyczaiacie. Co powiesz na parę kropel herbaty, chłopcze? Zmarzłem na kość.

Rodney skinął głową i z ulgą salwował się ucieczką. Echo jego ciężkich kroków niosło się jeszcze dłużej. Ursula odetchnęła i opadła na krzesło.

- Będziemy musieli umieścić chłopców w jednej sypialni, skoro Ursula z nami zostaje - zauważyła ciotka Mary z sofy, na której zajęła pozycję. Wydawała się nie zauważać miny Ursuli pełnej poczucia winy, czyjej nieśmiały protestów. Jak sądzisz, George? Rodney przeniesie się do Christophera i odda pokój Ursuli? - Kiedy siedziała, jej szyja wydawała się jeszcze dłuższa, a uniesienie podbródka sygnalizowało zdecydowanie, któremu George najwyraźniej nigdy się nie przeciwstawiał. Uśmiechnął się i skinął głową.

- Będzie tak, jak zechcesz, moja droga.

Ciotka Mary schyliła głowę i skubnęła robótkę, nad którą się męczyła.

- Dobrze. Powiem im to, kiedy przyjdą. - Zerknęła z ukosa na Ursulę. - Jak widzisz, nie mamy tu zbyt wiele miejsca. Nie spodziewaliśmy się gości. To, co

spotkało biednego Henry'ego jest, dla nas sporym szokiem. A teraz opowiedz nam o jego żonie i dzieciach. Oczywiście nie wiemy na pewno, czy rzeczywiście nie żyją, ale z pewnością na to wygląda. Jeśli jest inaczej, spodziewam się, że zamieszkaż z nimi w Australii. Oni tam są bardziej przyzwyczajeni do Dalekiego Wschodu, więc podejrzewam, że będziesz do nich lepiej pasować. Oczywiście, zważywszy... - mówiła, jednocześnie zaczynając wyszywać. Ursula poczuła, że oczy zachodzą jej mgłą, a na policzek występuje czerwona plama. Czym oni byli dla tej kobiety? Co o nich wiedziała? Odwróciła się gwałtownie i spojrzała w ogień z mocno zacziśniętymi ustami.

Szczęk filiżanek na tacy przywrócił ją rzeczywistości i ostrzegł, że kuzyni wracają. Szybko pociągnęła nosem i zamrugała powiekami, żeby odpędzić łyzy. Pierwszy wszedł Rodney z tacą. Postawił ją na stoliku przed matką; zastawa zadrdzała nerwowo. Kolejna taca pojawiła się w asyście drugiego młodego człowieka, wyglądającego nieco doroślej, niż jego brat. To pewnie Christopher, pomyślała z zaskoczeniem Ursula. Właściwie nie wyglądał na kogoś z tej rodziny. Był ciemny i szczupły i miał przyjemny pewny siebie uśmiech, który spowodował jej natychmiastową reakcję. Chłopak postawił tacę na innym stole i natychmiast podszedł do niej z wyciągniętą ręką. Jego usta drżały lekko.

- Witaj, jestem twoim kuzynem Christopherem. Witaj w domu.

Uśmiechnęła się nieśmiało i wyciągnęła rękę, którą ujął mocno i uściśnął, a potem pochylił się ku niej i pocałował ją w policzek. Był to pierwszy prawdziwy sygnał życzliwości, który kompletnie rozkleił zmęczoną i nieszczęśliwą dziewczynę. Tęczała, że łyzy stają jej w oczach i, zanim zdążyła je powstrzymać, już łkała głośno i zawodząco. Cała rodzina zamarła ze zgrozy. Wuj George odkaslnął parę razy i powtórzył „o jejku”, szeleszcząc poranną gazetą, a Rodney spurpurowiał i zaczął napychać sobie usta kanapką. Ciotka Mary nadal zajmowała się robótką. Trzymała brodę wyżej, niż zwykle i znęcała się nad płótnem, przebijając je niemiłosiernymi pchnięciami igły. Tylko Christopher wydawał się ją rozumieć. Głaskał ją po rękę i powtarzał kojąco „no już, już”. Po paru minutach Ursula zdołała się opanować i głośno wydmuchała nos w chusteczkę.

- Przepraszam, jestem bardzo zmęczona - wyjaśniła. Christopher dał jej jeszcze jedną chusteczkę do wytarcia twarzy, a ciotka Mary odezwała się kwaśno:

- Owszem, również tak sądzę. Więc może najlepiej będzie, jeśli już teraz pójdziesz spać? Pewnie i tak jesteś przyzwyczajona do chodzenia spać z kurami. W tej twojej wiosce nie mieliście elektryczności. Nie mieliście za wiele do roboty po zmroku. - Urwała, nagle zmieszana. - W każdym razie, hm, Rodney przeniesie się do Christophera. Może pokażecie Ursuli jej pokój i powiecie, gdzie trzymamy świeżą pościel? Rzeczywiście musi być zbyt zmęczona, żeby z nami siedzieć. - W głosie ciotki nie było ani odrobiny ciepła. Ursula wstała niezgrabnie. Nie była pewna, co powinna zrobić. Christopher wskazał jej jakieś drzwi.

- Chodź, pokażę ci, gdzie jest wszystko, co trzeba i pomogę ci się zadomowić. Potem przyniosę ci herbatę i ciasto. Pewnie jeszcze nie czujesz głodu, ale to tylko kwestia minut.

Mówił do niej tym samym kojącym tonem, opowiadając o drobnostkach, kiedy prowadził ją po schodach, słał łóżko, prznosił rzeczy Rodneya i pokazywał jej łazienkę. Napuścił jej wody do wanny, kiedy rozpakowywała te parę drobiazgów, które miała, a potem zostawił ją samą.

Na drugim piętrze było znacznie chłodniej, a w żadnej sypialni nie było kominika. Ursula rozebrała się i dygocząc przeszła na paluszkach po lodowatych kafelkach łazienki. Na szczęście woda była naprawdę gorąca. Weszła do wanny z westchnieniem ulgi. Woda opłynęła jej zziębnięte kończyny. Zanurzyła się w niej po szyję. Przyjrzała się swojemu ciału; wydawało się takie białe i różowe. Jeszcze parę miesięcy temu było śniade i w znakomitej formie. Teraz wyglądała jak wyblakła szmaciana lalka. Westchnęła i powiedziała, że nic jej nie przyjdzie z rozpamiętywania rzeczy, które minęły. Wspominania ludzi, których już nie było. Ona była. I za to mogła być wdzięczna.

Poruszyła dłońmi w wodzie, poczuła jej łaskotanie między palcami i pomyślała, jaki to luksus po warunkach na statku. Tak dobrze było znowu poczuć się czystą.

Moczyła się w wodzie, dopóki nie ostygła. Wtedy wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Roztarta ciało; może dzięki temu utrzyma w nim ciepło. Jej nocna koszula była uszyta z cienkiej bawełny. Nie miała szlafroka ani kapci, więc otworzyła drzwi i puściła się biegiem do łóżka. Christopher musiał w jakiś sposób kontrolować sytuację, bo w chwilę później pojawił się z obiecaną herbatą i ciastem, które postawił na szafce obok łóżka. Uśmiechnął się do niej i otulił ją kołdrą, jakby była dzieckiem.

- Już dobrze? Jest ci ciepło?

- Och, tak. Bardzo - skłamała, ze wszystkich sił starając się uspokoić dygoczące ciało. Christopher pokręcił głową i poszedł do swojej sypialni. Po chwili pojawił się z puchową kołdrą, którą na nią zarzucił.

- Jeśli chcesz, żeby ci było u nas wygodnie, musisz mówić, że ci jest zimno. Jeszcze się nie zaaklimatyzowałaś, a i tak mamy dość paskudną zimę. Nie musisz siedzieć i drzeć, skoro można coś z tym zrobić. Tylko nam powiedz - pouczył ją łagodnie, potrząsając za ramię i uśmiechając się w taki sposób, że musiała odzajemnić uśmiech.

- Przepraszam. Po prostu mam wrażenie, że i tak nadużywam waszej uprzejmości. Chyba nie jestem najbardziej pożądanym gościem.

- Nie przejmuj się rodzicami. Tacy już są. A Rodney jest w porządku, tylko trochę nieśmiały. Polubisz go, jeśli dasz mu szansę. No, wypij herbatę i idź spać. Rano wszystko wygląda lepiej.

Ursula posłusznie poszła za jego radą. W głowie kręciło się jej ze zmęczenia. Wmusiła w siebie kęs ciasta i zakopała się w ciepłym łóżku.

- Czy... czy jestem dla was ciężarem? Widzisz, nie zapytali mnie, w jaki sposób umarł papa ani... ani o nic. I nie chcieli wiedzieć, jak przeżyłam. Czy czegoś nie wiem?

Jej twarz, różowa po kąpieli, i mokre włosy sprawiały, że nie wyglądała na swoje osiemnaście lat. Christopher zastanawiał się przez chwilę, a potem wrzucił ramionami.

- Po prostu ich to nie interesuje. To wszystko zdarzyło się gdzieś daleko i spotkało ludzi, których nie znali albo nie widzieli od lat. Rodzice nie potrafią sobie wyobrazić, co przeżyłaś; chcą tylko, żebyś dostosowała się do ich życia. Potrafią patrzeć na sprawy tylko ze swojego punktu widzenia. Więc nie przejmuj się, jeśli nie wydają się zainteresowani. Trudno im przejść do porządku nad tym, że straciłaś rodzinę i nie masz pieniędzy na utrzymanie. Pewnie trochę niepokoją się o finanse. Ale nie martw się o nic. Wkrótce się uspokoją, a według mnie bardzo miło jest mieć nową i ładną kuzynkę. - Pochylił się i znowu ją pocałował. - A teraz prześpij się, a rano spotkamy się na śniadaniu.

Wyszedł z pokoju na palcach i zgasił światło. Ursula zwinęła się w kłębuszek i zmęczona wkrótce usnęła.

## Rozdział dziewiąty

Pierwsza zima upłynęła Ursuli w ciągłej tęsknocie za domem. Ciotka Mary nie miała dla niej zbyt wiele współczucia. Nie rozumiała, dlaczego Ursula nie okazuje jej nieustającej wdzięczności za uratowanie z rąk barbarzyńców, zamieszkujących Singapur - miejsce, w którym zamordowano jej ojca! I dlaczego ta dziewczyna z takim upodobaniem opowiadała o nim, jakby uważała je za swój dom? To doprawdy wyglądało na prowokację! Wobec tego ciotka Mary postanowiła ignorować Ursulę, kiedy tylko mogła. A jeśli nie mogła, to dlatego, że musiała ją ganić za rozmaite niedociągnięcia - dla jej własnego dobra. W przeciwnym razie, kto zechciałby ją poślubić? Temat ten powracał nieodmiennie przy każdej okazji, a Ursula słuchała nieuważnie i ze znudzeniem, tak jakby jednocześnie słyszała coś, czego nikt poza nią nie potrafił uchwycić. To jeszcze bardziej irytowało ciotkę.

Kolejnym problemem było dostosowanie jej do życia w społeczeństwie. Musieli dostać dla niej przydziały żywności na kartki, co łączyło się z długimi godzinami stania w kolejkach w brudnych salach oświetlonych jarzeniówkami, w których to salach było ciasno od wszelkiego rodzaju mebli z wyjątkiem krzesel. Urzędnicy przekazywali je sobie z rąk do rąk, niczym paczkę na pocztę, a cały ten proces zadziwiał ciotkę Mary w takim samym stopniu, co Ursulę. Czyżby naprawdę istniało coś takiego, jak ministerstwo żywności? Ciotka zaciskała usta z furii, a Ursula stała cicho u jej boku, starając się nie oddychać.

Po czym pojawił się problem szkoły. Ursula miała osiemnaście lat. Była już za duża na naukę, pominąwszy wszystko inne. Martinowie podzielali jej zdanie. Pozostawało jednak pytanie: jakie miała kwalifikacje? Co potrafiła robić? Pisać na maszynie lub stenografować? Czy mówiła po francusku, niemiecku czy włosku? Kie-



dy wyznała, że nie mówi i że niczego nie potrafiła robić bardzo dobrze, a niektóre z tych spraw w ogóle były jej nieznane, rodzina rozłożyła ręce z dużą dozą niesmaku. No więc, co właściwie potrafi? Ursula odpowiedziała nieśmiało, że umie mówić po malajsku i trochę po chińsku, potrafi jeździć konno oraz zna się na doglądaniu koni, może pleść maty z włókna kokosowego, hodować warzywa oraz gotować. Rodzina smętnie uznała, że gotowanie może się przydać, a kiedy zaproponowała, że tego dnia przygotowuje obiad, wyrażono zgodę. Ale Ursula potrafiła gotować na sposób malajski i Martinowie nie byli tym specjalnie zachwyceni. Najpierw bez entuzjazmu grzebali w jedzeniu widelcami, a potem poszli do kuchni i przynieśli sobie duże pajdy chleba z masłem. Stało na tym, że ciotka Mary nadal zajmowała się gotowaniem, a Ursula zobowiązała się sprzątać dom.

Oczywiście Martinowie nie chcieli być specjalnie nieuprzejmi. We własnym mniemaniu okazywali niezwykłą dozę tolerancji. Ursula była dla nich obciążeniem budżetu, a nie mogli liczyć na żadne zadośćuczynienie za swoją szlachetność. W dodatku ich stosunki stały się napięte, kiedy Ursula wspominała coś o swojej przeszłości. Skoro oni starali się zapomnieć o jej pobycie w kampongu, mogłaby przynajmniej pójść w ich ślady.

Wszyscy trwali w niezłomnym przekonaniu, że wojna przydarzyła się tylko im, mieszkańcom Europy. To, co miało miejsce tysiące mil stąd, na jakiejś małej wyspce w nieucywilizowanym zakątku świata, nie mogło mieć żadnego znaczenia. Jakieś mało ważne awantury pomiędzy tubylcami - według Martinów Japończycy również zaliczali się do tubylców - i paroma Europejczykami, którzy nie pomyśleli, że ich miejsce jest tutaj. I tyle. Im prędzej Ursula to zrozumie i przestanie zawracać im głowę rzeczami, które tutaj w ogóle się nie liczyły, tym szybciej będą mogli rozpocząć normalne życie. Czasami Ursula urywała w połowie zdania, speszona pełnymi niesmaku spojrzeniami ciotki i wuja. W końcu w ogóle przestała się odzywać. Nie miała nic do powiedzenia, skoro okazało się, że jej dotychczasowe życie było nieważne, a nawet gorzej, że wydawało się niestosowne. Ograniczyła się do udzielania zwięzłych odpowiedzi i ze wszystkich sił starała się nie irytować ciotki bardziej, niż to było konieczne z samego faktu jej istnienia.

Dopóki Christopher był w domu, życie wydawało się jej dużo łatwiejsze, ale po dwóch tygodniach od jej przyjazdu musiał wrócić na uniwersytet i zostawił ją pod opieką rodziców. Studiował w Cambridge, z czego rodzice byli niesłychanie dumni, ponieważ jako pierwszy z rodziny przekroczył owe „szacowne progi”, jak zwykł mawiać wuj George. Ursula była przerażona, kiedy okazało się, że Christopher ją opuszcza. Tylko on naprawdę ją rozumiał i nie miał nic przeciwko jej obecności. Był wesoły i życzliwy, a jego szczupła twarz promieniała zawsze rozbijającym uśmiechem, kiedy coś go rozbawiło. A bawiło go wiele rzeczy. Ursula uważała, że tak powinno być. Życie nie jest przewlekłą męczarnią czy brzemieniem, tylko radością. Christopher lubił żyć i lubił swoją małą kuzynkę. Ursula znowu poczuła się kochana. Aż tu raptem Christopher wyjeżdża i zostawia ją ze swoimi rodzicami i Rodneyem. To zaczynało się stawać regułą. Wszystko, co dobre, szybko się kończy, więc dlaczego Christopher miałby z nią zostać. Na-

uczyla się gorzko śmiać z życia, co ciotce Mary wydało się jeszcze jednym dowodem jej dziwactwa i odmienności.

Rodney chodził do szkoły i ostro wkuwał do egzaminów; Ursula niemal go nie widywała, jeśli nie liczyć wspólnych obiadów. Odzywał się do niej tylko w razie bezpośredniej potrzeby, a jeśli na niego spojrzała, na twarz występowały mu purpurowe plamy. A ponieważ siedziała przy stole naprzeciw niego, obiady stały się dla obojga przykrą koniecznością.

Pan Martin pracował w banku w centrum Londynu. Ursula nie wiedziała, czym się dokładnie zajmował, ale cokolwiek robił, wymagało to wstawania o szóstej, ubierania się w ciemny garnitur, zjadania solidnego śniadania i wychodzenia w meloniku, ze sfatygowaną teczką, którą nazywał aktówką i z czarnym parasolem pod pachą. Ciotka Mary uważała za swoją powinność, by wstać razem z nim i osobiście przyrządzić mu śniadanie, kiedy on chlapał wodą w łazience i pozostawiał na lustrze rozprysnięte drobinki pasty do zębów. To ostatnie szczególnie irytowało Ursulę, do której obowiązków należało sprzątanie. Rodney zwykł z kolei zostawiać swoje buty do futbolu razem z trawą, błotem i drobinami żwiru pod umywalką. Oblewał się falą krwawego rumieńca, kiedy Ursula upominała go, że buty przeznaczone są do chodzenia po dworze, a kolce nie zastępują szczotki ryżowej do szorowania łazienki. Ciotka Mary uznała, że Ursula jest nadmiernie drażliwa i poradziła Rodneyowi, żeby nie przejmował się gadaniem kuzynki.

Kiedy dom lśnił już czystością, a ciotka Mary wyruszyła na podbój sklepów, kurczowo ściskając w jednej dłoni koszyk, a w drugiej parasolkę - Martinowie nie uznawali wychodzenia bez parasola - Ursula mogła wyjść na poszukiwanie pracy. Problem polegał na tym, że po powrocie mężczyzn z wojny było zbyt mało wolnych posad. A już szczególnie mało zajęcia dla osiemnastolatek bez żadnych kwalifikacji. Ponieważ pobierała nauki w domu, nie przyswoiła sobie żadnych pożytecznych umiejętności, a nie miała tak pięknej figury, by podbić serce jakiegoś kawalera. Ursula miała wrażenie, że urodziła się za późno; w minionym stuleciu jej zdolności wystarczyłyby w zupełności, ale ten „nowy, wspaniały świat”, o którym wszyscy opowiadali, nie wydawał się dla niej stosownym miejscem. Chodziła od agencji do agencji, od gazety do gazety i w kółko słyszała te same odpowiedzi, formułowane na rozmaite sposoby. Można było popaść w depresję.

Tego szczególnego dnia czuła wyraźnie, że w miarę upływu czasu siły zaczynają ją opuszczać. W kolicach wpół do piątej zatrzymała się w kawiarni Lyons'a na herbatę z biszkoptem. Herbata była według niej okropna, z mlekiem i cukrem. W domu piło się herbatę czarną, czasami z plasterkiem cytryny. W ogóle była to inna herbata: wonna i złocista w kolorze, podawana w filiżankach z niemal przezroczystej porcelany - tak cienkiej, że można było podnieść ją pod światło i zobaczyć ciemny płyn prześwitujący przez delikatny wzorek. Ah Jong podawała do tego kawałki kokosa i ciasto migdałowe. Herbatę piło się na werandzie, by rozkoszować się pierwszymi powiewami popołudniowego wietrzyka. Zamknęła oczy i pogrążyła się na jawie we śnie, w którym wszyscy żyli i czekali na nią, niespokojnie krążąc po werandzie i spoglądając w kierunku wzgórza, z którego miała zejść. Uśmiechnęła się do siebie.

Dopiero po chwili usłyszała, o czym rozmawiały dwie kobiety, siedzące razem z nią przy małym stoliku. Opowiadały sobie o koleżance, która zamierzała zrezygnować z pracy niani i pomocy do wszystkiego. Ursula zaczęła przyglądać się im dyskretnie zza filizanki. Kobieta po lewej, ta w zielonym płaszczu, twierdziła, że Pattersonowie będą musieli poszukać kogoś do opieki nad dwojgiem dzieci, ponieważ jej przyjaciółka Emmy będzie musiała wkrótce zrezygnować z pracy. Jest już wielka jak szafa. Ta po prawej, w błękitnym płaszczu, zauważyła, że Emmy nie jest chyba aż tak długo po ślubie. Pani w zielonym zgodziła się z nią. Obie zachichotały. Ursula zaczęła zastanawiać się, czy nie powinna ich spytać, kim jest Emmy i dla kogo pracowała. Prawdopodobnie będą urażone, że podsłuchiwała ich rozmowę. No, ale czego się spodziewają, skoro mówią głośno przy takim małym stoliku? Poza tym, czy miała coś do stracenia? Odchrząknęła.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że nie pogniewają się panie na mnie, ale usłyszałam, że rozmawiają panie o posadzie. O posadzie niani - czy ta panie będzie rezygnować? To znaczy, czyjej pracodawcy będą szukać kogoś w jej zastępstwie? Wiem, nie powinnam słuchać, ale tak się jakoś stało. Rozumiej panie, szukam pracy, a... a nikt nie chce mi...

- A nie jesteś przypadkiem za młoda? - przerwała jej panie w błękitnym płaszczu. Ursula pokręciła głową.

- O, nie, jestem znacznie starsza, niż wyglądam. Mam osiemnaście lat. I mam doświadczenie w opiekowaniu się dziećmi. Naprawdę.

Żadna z nich się nie uśmiechnęła. Ursula poczuła, że nadzieja opuszcza ją całkowicie.

- No, czyja wiem. Panie Patterson jest okropnie grymasna, a wiem, że Emmy nie pozwoli byle komu zajmować się dziećmi. Mogę wziąć twoje nazwisko i numer telefonu i przekazać im. Decyzja będzie należeć do nich.

- Mogłaby panie to zrobić? Och, proszę! To dla mnie tak wiele znaczy...

- Nie gwarantuję ci niczego. Tylko przekażę im twoje nazwisko. To wszystko. - Kobieta w zielonym płaszczu nie lubiła obietnic bez pokrycia. Była osobą odpowiedzialną. Ursula zagryzła wargę i uśmiechnęła się.

- Rozumiem. To bardzo uprzejmie z panie strony. - Wyjęła z torebki mały notes, wyrwała z niego karteczkę. I zapisała na niej swoje dane i podała kobiecie, która ją z wahaniem przyjęła.

- Cóż, zrobię co w mojej mocy. Nie wiem, czy jesteś osobą, której szukają. Nie wyglądasz jak pomoc domowa, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Spojrzała z dezaprobatą na Ursulę, która nagle poczuła ogromne zmęczenie. Potrzebowała pracy tak samo, jak każdy człowiek, ale jakoś nikt nie chciał jej w to wierzyć.

- Moja rodzina straciła wszystko podczas wojny - powiedziała, starając się zachować spokój. - Muszę pracować na swoje utrzymanie. Mam dobrą rękę do dzieci i już się nimi opiekowałam.

- Cóż, moja droga, wszyscy ucierpieliśmy podczas wojny. Jak powiedziałam, nie mogę ci niczego obiecać, ale na pewno dam im twoje dane. Nic więcej nie jestem w stanie zrobić.

Ursula skinęła głową i wstała.

- Dziękują. Jest pani bardzo uprzejma. To dla mnie naprawdę bardzo ważne. Hm... muszę już iść. Do widzenia.

Odeszła mroczniejącą ulicą czując, że gdzieś głęboko w sercu ożywa jej słabutkie światełko nadziei.

Kiedy doszła do domu, zrobiło się już zupełnie ciemno. Powiewy lodowatego wiatru, niosącego drobiny śniegu, boleśnie kasały jej twarz i szyję; dłonie zdrętwiała jej z zimna i straciły czucie. Przez kilka minut nie mogła poradzić sobie z otworzeniem drzwi. Pogoda była wyjątkowo paskudna. Ursula omal nie płakała ze zmęczenia, okrutnego, bolesnego i przejmującego do szpiku kości zmęczenia znanego ludziom, którzy wyeksploatowali swoje wewnętrzne zasoby. Drzwi otworzyły się wreszcie; weszła do środka, potykając się i zataczając. Zamknęła je za sobą i łapczywie zaczerpnęła ciepłego powietrza.

- Ursulo, czy to ty? - rozległ się głos ciotki Mary. Ursula oparła się o drzwi, czekając aż miną ostatnie dreszcze zziębniętego ciała. Zmartwiałymi palcami rozpięła płaszcz i odwiesiła go. Był to stary płaszcz ciotki, za krótki na nią.

- Tak, to ja.

Poszła do kuchni na tyłach domu i wzięła czajnik. Napełniła go wodą. Czula zapach ryby. Czyżby znowu zapiekanka, czy też wspomnienie wczorajszego obiadu? W kuchni znajdowała się gazowa kuchenka; za każdym razem, kiedy przytykała do niej zapałkę, wybuchała niebieskim płomieniem, który śmiertelnie ją przerażał. Postawiła czajnik na gazie i ze zmęczeniem usiadła przy stole. Po paru chwilach usłyszała kroki schodzącej po schodach ciotki.

- Wcześniej wróciłaś. Szczęście nie dopisało?

Ursula pokręciła głową z zaciśniętymi zębami. Ciągle czuła przenikliwe zimno.

- Muszę powiedzieć, że spodziewałam się zobaczyć cię dopiero koło wpół do szóstej. Pogoda jest brzydka?

Pogoda zawsze była brzydka, o czym ciotka doskonale wiedziała. Jednak uważała, że Ursula może do niej przywyknąć, jeśli tylko się postara, a jak ma to zrobić, skoro przez cały dzień siedzi w ciepłym domu? Tak, jakby George nie miał dość problemów ze zdobyciem pieniędzy na utrzymanie tej małej gówniary.

- Próbowałam wszędzie. Chyba w całym Londynie nie ma ani jednej osoby, która chciałaby mnie zatrudnić.

- O, na pewno nie jest, aż tak źle. Pewnie nie szukasz tam, gdzie trzeba. A może jesteś zbyt wybredna?

Ursula spojrzała na swoje dłonie, kredowobiałe, w czerwone cętki. Miała sine paznokcie. Zastanawiała się, czy ciotka zdaje sobie sprawę, jaka jest podła. Zastanawiała się także, czy w Londynie można nabawić się odmrożeń.

- Staram się, ciociu. Naprawdę.

- Dobrze, dobrze. Nie musisz być taka obraźliwa. Nikt nie powiedział, że się nie starasz. Chciałam tylko powiedzieć, że mogłabyś się postarać trochę bardziej. Ale nic już nie powiem. Z pewnością dałabyś z siebie więcej, gdybyś wiedziała, jak trudno jest nam cię utrzymać. - Ciotka Mary pociągnęła nosem, wzięła czajnik i wylała z niego połowę wody. - Nie ma sensu gotować więcej wody, niż potrzebujesz. To marnotrawstwo gazu, a przecież musimy płacić rachunki.

Ursula zamknęła oczy.

Trzy dni później Ursula została wezwana do telefonu. Miało to miejsce po kolacji; to wujek George podniósł słuchawkę. Miał bardzo zdziwioną minę, kiedy wszedł do salonu i spojrzął na żonę.

- Do Ursuli - powiedział. - Mam ją poprosić?

Wyraźnie czekał na decyzję żony. Ursula wyprostowała się czujnie i spoglądała to na jedno, to na drugie.

- Kto dzwoni, George?

- Nie wiem, moja droga. Jakaś Patterson. Chce rozmawiać z Ursulą.

Ursula wstała natychmiast i bez słowa minęła wuja i ciotkę. Jak śmieli? Jak mogli decydować w jej obecności, czy powinna podejść do telefonu? Podniosła słuchawkę, kipiąc cichą wściekłością.

- Halo? Tak, tu Ursula Fraser. Bardzo przepraszam, że kazałam pani czekać, ale mój wuj ma problemy ze słuchem. - Cichy okrzyk za plecami pozwalał się domyśleć, że będzie miała kłopoty. - Owszem, z tym nie będzie problemu. Osiemnaście, tak. - Kobieta po drugiej stronie rozpoczęła długi monolog. - Ach, rozumiem. Tak, naturalnie. A więc o drugiej. Doskonale, dziękuję pani. Do widzenia.

Odwiesiła słuchawkę; serce omal nie pękło jej z dumy i nadziei. Odwróciła się i spojrzała na wuja i ciotkę.

- Chodziło o ewentualną pracę. Jutro będę wiedzieć na pewno.

Zostawiła ich, pełnych potępienia i poszła na górę.

Rodney uczył się w swoim pokoju. Drzwi były uchylone. Ursula miała ochotę wejść i zagadnąć go; potrzebowała chwili rozmowy. Ale wiedziała, że na jej widok znieruchomieje z zażenowania. Mimo woli czuła do niego litość. To wina jego rodziców, pomyślała. Nie lubili rozrywek, nie zapoznali go z nikim. Jak miał nabrać ogłady, skoro nigdy nie widywał kobiet? Zastanowiła się, czy Christopher także był taki. Ale to wydawało się jej nieprawdopodobne. Żałowała, że nie ma go przy niej. Chciała mu powiedzieć o tym wspaniałym wydarzeniu. Ta kobieta wydawała się taka miła i normalna! Och, proszę, niech to się powiedzie, niech mnie polubi, wyszeptwała. Pozwól mi stąd odejść.

Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami. Wszystko byłoby znośniejsze, gdyby Christopher mógł częściej przyjeżdżać. Uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniego dnia przed jego wyjazdem. Obijała się po domu, przygnębiona myślą o rychłym rozstaniu, kiedy nagle wpadł do pokoju i pociągnął ją za sobą. Razem popędzili po schodach, na ulicę.

- O co chodzi? Dokąd idziemy? - roześmiała się, kiedy prawie biegiem przemierzali zatłoczone ulice. Ale on tylko puścił do niej oko i oznajmił, że ma dla niej niespodziankę. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i bez sprzeciwu pozwoliła się prowadzić. Wreszcie wszystkie uliczki, zaułki i skwery zupełnie się jej pomyliły i właśnie wtedy zatrzymali się przed jakimś placem, pełnym ludzi, straganów, hałasu, ruchu, radości! Był to świąteczny jarmark. Ursula roześmiała się głośno ze szczęścia. Christopher stał tuż obok niej i mocno obejmował ją ramieniem, by ochronić ją przed popychaniem i potracaniem. Wokół nich przewalały się tłumy ludzi. Odwróciła się do niego z uśmiechem i zobaczyła w jego ciemnych oczach

coś takiego, od czego serce zaczęło mocno bić w jej piersi, a na twarzy pojawiły się rumieńce. Bardzo szybko odwróciła wzrok.

- Chcesz wejść? - spytał. Skinęła głową, nie patrząc na niego. - No, to wchodzimy. Chyba mogę ci poświęcić parę godzin, w drodze wyjątku. Może jesteś tego warta.

Droczyl się z nią; uśmiechnęła się i nagle pocałowała go w policzek, niezgrabnie i gwałtownie.

- Jesteś kochany. Nie wiem, jak sobie poradzę bez ciebie. Nie zapomnisz mnie, prawda? - W jej głosie słychać było autentyczny niepokój. Christopher mocnej ścisnął ją w talii.

- Zapomnieć o mojej ulubionej kuzynce? Nigdy!

- Jestem twoją jedyną kuzynką - wytknęła mu niepewna jego reakcji. Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawił się wyraz czułości, który zawsze u niego obserwowała, kiedy trzeba ją było rozweselić. Ostatnio dość często się to zdarzało.

- Nie zapomnę i będę pisać do ciebie co tydzień. A kiedy wrócę na Wielkanoc. .. - urwał i zaczął szukać w myślach czegoś miłego, co mógłby jej obiecać. - ... zabiorę cię na wycieczkę. Na przykład do Windsoru, żeby zobaczyć zamek, albo... nie wiem. Gdzie zechcesz. Sama wybierzesz.

- Naprawdę? Poważnie? Wszystko jedno, dokąd. Wspaniale! - Jej twarz rozpromieniła się z radości. Nagle poczuł się wobec niej winny za to, że zostawia ją z rodzicami. To nie będzie dla niej zbyt łatwe.

- Wielkanoc już za pasem. A wkrótce potem będę miał długie wakacje. Oczywiście będę musiał znaleźć jakąś pracę, ale będę tu mieszkać i razem możemy sobie robić mnóstwo wycieczek. Zobaczysz. Nie będzie tak źle, a czas szybko płynie, jeśli ma się pracę.

Właściwie wydawał się równie niespokojny, jak ona. A potem pocałował ją w policzek. Tylko trochę nie trafił, bo jednocześnie pocałował ją w kącik ust. Pocałunek trwał dość długo; jego woda po goleniu pachniała przyjemną świeżością. Kiedy odsunął się, policzki jej płonęły, a on również wydawał się zakłopotany. Pokręcił głową i wymruczał coś o tym, że musi pamiętać, iż są kuzynami w pierwszej linii. A potem poszli na jarmark.

Jej uśmiech zbladł; potarła policzek i usta. Kuzynami. Tak powiedział. A więc to o to chodzi. Mocno zacisnęła powieki. Boże, pozwól mi dostać tę pracę. Proszę!

## Rozdział dziesiąty

Pani Patterson mieszkała w wysokim stylowym budynku przy prowadzącej ze Smith Square ulicy nazywanej Lord North Street. Ursula uznała, że jeszcze nigdy nie widziała tak pięknego miejsca. Wokół każdego okna kwitły rośliny, o tej porze roku był to głównie bluszcz, a po obu stronach ulicy stały drogie samochody o połyskującej w słońcu karoserii. A dzień był naprawdę słoneczny, zupełnie jakby brzydka pogoda była zarezerwowana dla najbrzydszych dzielnic Londynu, a tutaj obowiązywały wyłącznie barwy złociste i odcienie kremowe. Nawet promienie słońca przesiewające się przez listowie sprawiały wrażenie błyskotek na choinkę. Ursula stała na rogu ulicy i głęboko wdychała świeże powietrze. Czowała, że serce w niej rośnie. W takie dni, kiedy puchate chmurki ze złocistą otoczką sunęły po błękitnym niebie, naprawdę wierzyła w Boga. Billyemu by się to spodobało; nawet w naj marniej szych rzeczach potrafił się dopatrzeć piękna. Uśmiechnęła się do przechodzącej obok kobiety, która odwzajemniła się jej tym samym. To było miłe; takie zwyczajne i prawdziwe po tym wszystkim, co ją ostatnio spotkało. O Boże, proszę, pozwól mi dostać tę pracę!

Zjawiała się na miejscu za wcześnie o godzinę, ale na słońcu było tak ciepło, że cofnęła się na plac i znalazła sobie ławeczkę. Drewno było wygładzone przez częste, długotrwałe wiatry i deszcze; przybrało odcień popiołu, ale w dotyku było przyjemnie gładkie i ciepłe. Usiadła i zaczęła podziwiać rzędy budynków i zadbane żywopłoty, piękne ogrody i schludne ścieżki. Wszystko to w żaden sposób nie przypominało Singapuru, ale nasunęło jej myśl, że mieszkali tu podobni ludzie, tacy, dla których jej życie nie było nieistotne, a Daleki Wschód nie był pogańskim miejscem, do którego żaden dobry chrześcijanin nie powinien się zapuszczać. Kruki z krukami, wróble z wróblami, jak powiedziała Fatima. Westchnęła

i wystawiła twarz do słońca. Zanim papa wyjechał do Azji, pewnie mieszkał w takim miejscu. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że papa i ciotka Mary byli rodzeństwem. Tak wiele ich dzieliło. Papa cenił piękno, zarówno w otoczeniu, jak i - znacznie częściej - w otaczających go kobietach. To dlatego tak pogardzał ciotką Mary. Jej ciasną, zaśnieżoną duszyczką. Ciotka nie znała się na pięknych rzeczach czy miejscach. Nigdy by nie zrozumiała, dlaczego Sally przekładała bieliznę kulkami cytrynowej werbeny, ani dlaczego nosiła różne odcienie bieli i kości słoniowej razem z koronkami. Uważałyby, że to się razem gryzie. A te małe wazoniki z kwiatami, czasami nawet z jedną gałązką, które Sally stawiała przy każdym miejscu na stole; to uznałyby za marnotrawstwo. Wuj George nigdy nie pojąłby potrzeby dwukrotnego, a czasem trzykrotnego przebierania się w tym samym dniu, albo noszenia luźnych rzeczy, które nie ocierają ciała i nie sprawiają, że twarz czerwienieje, a oczy wychodzą z orbit. Wuj potrafił obsypać się popiołem, a następnego dnia nałożyć tę samą kamizelkę. Należeli do innego gatunku i nie rozumieli, jakie życie wiodła przed wojną. Pozostawanie z nimi pogarszało tylko ich sytuację. Poza tym życie w ciągłym niedostatku również i ją wytrącało z równowagi. Jadła najmniej, jak mogła i kąpała się w wodzie do kostek. Znowu westchnęła.

Po przeciwnej stronie Lord North Street widziała wieże Opactwa Westminsterkiego, a zza niektórych domów wylał się sam pałac. Na słońcu było bardzo przyjemnie; poczuła się senna i spokojna. Od czasu do czasu owiewał ją wiatr, dokładnie w chwili, gdy zaczynało jej być zbyt ciepło. Zabawne; kiedyś umarłaby z gorąca od samego spojrzenia na materiał ubrania, które na sobie miała. A teraz nie wydawał się jej specjalnie ciepły - ot, tylko tyle, że w nim nie dygotała z zimna. Specjalnie na dzisiejsze spotkanie kupiła sobie używany kostium i jeszcze teraz odczuwała z tego powodu wyrzuty sumienia. Oczywiście nie dlatego, żeby Martinowie poczuli się urażeni z powodu tych paru szylingów - które zresztą pożyczył jej Christopher - ale dlatego, że ciotka Mary mogłaby odnaleźć swoje stroje, niedbale wepchnięte do dolnej szuflady. Ursula przesunęła palcami po grubej wełnie i westchnęła. Tęskniła za tym słonecznym blaskiem na ciele, kiedy pot wysychał, zostawiając na jej ramionach białe, słone zacieki. Tęskniła nawet za ocieraniem się bawełny o spieczoną skórę. Och, znowu poczuć ten upał, prawdziwy upał, kiedy pot cieknie po plecach, a na policzku czuje się ciepły oddech wiatru. Siedziała z na wół przymkniętymi oczami i widziała przed sobą zielony gąszcz rozświetlony plamami czerwieni, błękitu i żółceni, rozwibrowanych, barbarzyńskich kolorów, gorących, namiętych i tętniących życiem.

Frontowe drzwi były czarne i masywne, obramowane metalowymi ćwiekami. Otworzyły się, zanim jeszcze Ursula przestała stukać. Pokójówka wyglądała na równie młodą, jak Ursula. Miała włosy gładko zaczesane pod czepek z falbankami, a na sukience nosiła białą fartuszek. Ursula odchrząknęła nerwowo.

- Chciałabym zobaczyć się z panią Patterson. Jestem umówiona.



Była punkt druga. Big Ben wybił godzinę, jakby podkreślając jej punktualność. Pokojówka skinęła głową i odstąpiła na bok.

- Proszę chwilę zaczekać, zawiadomię panią. Eee... kogo mam zapowiedzieć? - Robiła wrażenie równie zdenerwowanej i niedoświadczonej, jak Ursula. Obie uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

- Jestem Ursula Fraser. Przyszłam w sprawie posady niani.

- Ach, rozumiem. Wracam mig... za chwilę.

Odwrociła się i wbiegła po schodach, sploniona ze wstydu. Potem Ursula dowiedziała się, że był to jej drugi dzień w pracy i nie potrafiła zapamiętać wszystkich instrukcji, którymi zarzuciła ją pani. Wróciła niemal natychmiast i powiedziała, żeby Ursula poszła za nią, że pani przyjmie ją w salonie. Ursula przez krótką chwilę zastanawiała się, czy Fatima także czuła się tak, jak ona, kiedy szła na spotkanie z memsahib. Potem weszła do salonu i zatrzymała się gwałtownie. Pani Patterson była przepiękna i bardzo młoda; nie mogła mieć więcej, niż dwadzieścia pięć lat. Jej włosy były tak jasne, że niemal białe i układały się na skroniach w prześliczne fale. Rysy pani Patterson były drobne i doskonale piękne, a kiedy uśmiechała się, jej usta rozchylały się dokładnie na tyle, by ukazać lśnienię perłowych ząbków. Ursula wpatrywała się w nią tak długo, aż wreszcie zdała sobie sprawę, że zachowuje się niegrzecznie. Uśmiech pani Patterson stał się odrobinę szerszy, a jej spojrzenie było jednocześnie poważne i roześmiane. Ursula była nią absolutnie zauroczona.

- A więc to ty jesteś Ursula. Przyznaję, że spodziewałam się, iż będziesz wyglądać trochę doroślej. Ale wejdz - dotknęła sofy, na której siedziała - wejdz, usiądź i porozmawiajmy. Ruth, przynieś nam, proszę, herbaty. Wiem, że nie pora na podwieczorek, ale jestem pewna, że nie odmówisz małego co nieco, a nie ośmielę się zaproponować ci alkoholu. A może wolisz raczej lemoniadę?

- O nie, zdecydowanie wolę herbatę. Jest za zimno na lemoniadę.

Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała, ale pani Patterson uznała to za bardzo zabawne i wybuchnęła cichym, drżącym jak trzcina śmiechem, równie pięknym, jak ona sama. Ursula poczuła się nagle bardzo brzydka.

- Masz absolutną rację. Jest zdecydowanie za zimno na lemoniadę. Od lat powtarzam mojemu mężowi, że Anglia nie nadaje się do mieszkania w zimie, ale on się upiera, żeby zostać. Ach, ta jego praca.

Ursula nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to możliwe, że ta niebiańska istota jest żoną kogoś, kto zajmuje się tak przyziemną rzeczą, jak praca. Powinna być poślubiona przez lorda, który odziedziczył majątek i tabuny służących; nie przez kogoś, kto pracował jak, nie przymierzając, wuj George. W końcu przeczytała parę setek romansów; dobrze wiedziała, jak to powinno wyglądać. Pani Patterson uśmiechała się do niej i gestykulowała smukłymi, delikatnymi dłońmi. Ursula uznała, że **jest** skończoną pięknoscią. O wiele większej urodzie niż Sally, a nawet, być może, równie doskonale piękna jak jej matka. Uśmiechnęła się do niej, zapominając o zdenerwowaniu.

- Prawdę mówiąc, jest mi zimno, odkąd tu przyjechałam. I tak ciężko jest nosić te wszystkie ubrania!

- Przyjechałaś tu? A gdzie spędziłaś wojnę? W Ameryce?

Pani Patterson była naprawdę zainteresowana; całą uwagę skupiła na dziewczynie. Ursula westchnęła. Czuła, że ta kobieta już teraz rozumie ją lepiej, niż kiedykolwiek zrozumiałaby ją ciotka Mary.

- Nie, w Singapurze. Urodziłam się tam i przyjechałam do Anglii po raz pierwszy w tym roku. Papa nigdy nie wracał tu na urlop. Chyba nie lubił Anglii.

- A co o niej sądzi teraz?

- Nic. To znaczy... zginął podczas ataku Japończyków. Podobnie, jak mój nauczyciel. Amoja macocha z dziećmi... Emmą i Tomem... zaginęła. Prawdopodobnie zatonięła na którymś ze statków, które zostały ostrzelane, kiedy usiłowały uciec. To dlatego wróciłam tu i zamieszkałam u ciotki. Jest moją jedyną krewną. - Nie spodziewała się, że tak trudno jest zachować spokojny i rzeczowy ton w obliczu rzeczywistego współczucia. Szarobłękitne oczy pani Patterson przyglądały się jej badawczo, a twarz nie zmieniała wyrazu, ale Ursula czuła niezwykłą nutę troski o nią. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się po pokoju.

- Moje biedactwo! Tak mi przykro. Musiałaś przeżyć piekło. Ale jak zdołałaś... to znaczy, nie chcę być natrętna, ale...

- Jak zdołałam przeżyć, skoro wszyscy zostali zabici? - Ursula czuła, że napięcie ją opuszcza. Takie pytanie zadałby ktoś z rodziny. A ona musiała opowiedzieć komuś o tym. Dlaczego nie tej kobiecie, która najwyraźniej przejmowała się jej losem? Złożyła dłonie na spódnicy i skłoniła głowę, kiedy Ruth wniosła tacę z herbatą, którą naalała do dwóch filiżanek. Przecież to wszystko nie powinno obchodzić tej kobiety, a jednak zachowywała się z taką życzliwością. Ursula zaczęła mocno mrugać powiekami i wbiła wzrok w filiżankę. Potem zaczęła mówić. Przez następne pół godziny opowiedziała o wszystkim: o przerażeniu, bólu, dobrych czasach w kampongu i powrocie do domu. Zamilkła, kiedy dotarła do czasów spędzonych z wujostwem. Jak mogła wyznać tej kobiecie, tak współczującej, jak okropna jest jej rodzina? Jak dręczyli ją o pieniądze i wymawiali jej przeszłość, lata spędzone w kampongu. Zamilkła i pociągnęła łyk herbaty. Wonnej herbaty w filiżance z pięknej porcelany, z migdałowymi ciasteczkami i z goździkami na plasterkach cytryny.

- Wuj i ciotka wyszli po ciebie w Southampton? A gdzie mieszkają w Londynie?

Kobieta miała dobre zamiary; wyczuwała, że dziewczyna chce powiedzieć coś jeszcze. Ale tego właśnie Ursula nie mogła jej wyjawić. Skinęła tylko głową i powiedziała krótko:

- Niedaleko.

Niedaleko, a jednak na drugim końcu świata. Pani Patterson nie nalegała.

- A więc masz niesłychaną praktykę w opiekowaniu się dziećmi. Ja mam dwójkę: Benjie, albo Benjamin, ma trzy lata, a Lucy pięć. W tej chwili śpią, ale koło wpół do czwartej niania obudzi ich i wtedy będziesz mogła się z nimi przywitać. Zwykle wynajmuję nianie z agencji, ale kiedy niania powiedziała, że ma kogoś zainteresowanego posadą, kogoś, kto wygląda jak „dama”, musiałam to sprawdzić. Cóż to będzie za ulga móc z kimś porozmawiać czy wypić herbatkę,

nie trapiąc się o zachowanie dystansu - jeżeli go nie zachowam, mój autorytet się zachwieje. Ale jestem pewna, że wiesz, jak to jest. Sama miałaś sporą grupkę służących.

Ursula popijała herbatę i zastanawiała się, czy powinna wyjaśnić, że nigdy nie musiała zachowywać żadnego dystansu; służący byli dla niej jak przyjaciele czy rodzina.

Na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych pani Patterson drgnęła ze zdziwieniem. Zerknęła ze zmarszczonymi brwiami na zegarek. Potem znowu rozjaśniła się w uśmiechu.

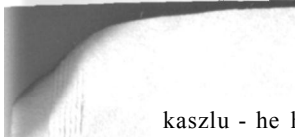
- To na pewno Simon.

Ursula wracała do domu w oszołomieniu; ze skrawków prawdziwych informacji budowała baśń o nowym, wspaniałym życiu, jakie będzie wiodła. Ona i pani Patterson zostaną najlepszymi przyjaciółkami; nauczy się ubierać, wyglądać i śmiać się jak ona. A kiedyś zaproszą ją na przyjęcie - tylko po to, by liczba gości przy stole była parzysta - na którym pozna przystojnego młodzieńca, a ten młodzieniec zakocha się w niej bez pamięci. Wszystko będzie dobrze, już teraz to czuła. Może to nawet będzie Simon. Simon o płowych włosach, falujących i rozczochranych i jasnych oczach, które przyglądały się wszystkiemu, a zwłaszcza jej, z dużym zainteresowaniem. Pani Patterson powiedziała, że będzie potrzebować jej za dwa tygodnie, kiedy odejdzie niania. Czy to znaczyło, że na nią również będzie się mówić „niania”? Ale nie, pani Patterson mówiła jej po imieniu przez całe popołudnie, a dzieci były absolutnie zachwycające. Wszyscy będą ją nazywać Ursulą, a ona będzie z nimi mieszkać, aż... hm, aż do chwili, kiedy ów młodzieniec się jej oświadczy. Dlaczego Simon patrzył na nią tak ciepło? Pani Patterson nie zauważyła tego i przedstawiła go niedbale jako syna swojego męża. To zaskoczyło Ursulę, która dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że oczywiście pani Patterson musi być drugą żoną, tak jak Sally. Czy Simon lubił swoją macochę, czy miał z nią takie kłopoty, jak ona? Chyba nie, wydawali się dość zaprzyjaźnieni. Simon spojrzął na Ursulę i roześmiał się, kiedy pani Patterson spytała go, co robi w domu o tej porze. Jego odpowiedź brzmiała bardzo zabawnie:

- To całkiem proste, Julio, moja najmilsza. Mój dziadek był jednym z najlepszych polityków tego kraju, mój ojciec jest spadkobiercą tradycji, więc nie widzę powodu, dla którego także miałbym pracować. - Wyszczrzył zęby i włożył do ust migdałowe ciasteczko. Julia zrobiła naburmuszoną minę.

- Jakie to dowcipne. Tylko że już to słyszałam od kogoś innego. Następnym razem spróbuj być oryginalny. - Roześmiała się, żeby ująć nieco jadu swoim słowom; Simon strzepnęła okruchy ze zgrabnie przyciętych wąsów, wcale się nie pesząc.

- Nigdy nie dajesz mi się wyłgać, kochanie. Jak mam zachować reputację dowcipnisią, skoro ty bez przerwy demaskujesz moją naturę plagiatora? To wprost niemożliwe - i to wtedy, kiedy mi się wydaje, że wszystko jest po prostu sakramencko świetne! - wybuchnął zdławionym, urywanym i podobnym do



kaszlu - he he he - śmiechem. Ursula przyglądała mu się ciekawie; spłoszyła się, kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, najpierw upewniwszy się, że macocha jest zajęta dolewaniem herbaty. To dziwne, ale mogłaby przysiąc, że jego oczy zmieniły kolor z bladobłękitnego na prawie białe. Zarumieniła się i spuściła wzrok na dłonie.

Towarzyszył im do końca herbatki, śmiejąc się i przekomarzając z macochą z poufałością, która Ursuli wydała się urocza. Potem odszedł na spotkanie z przyjaciółmi, a pani Patterson zaprowadziła ją na piętro, żeby zobaczyła dzieci. Takie słodkie aniołki z jasnymi włosami i różowymi policzkami! Czy ma się zwracać do pani Patterson tak, jak reszta służby, mówić jej po imieniu jak Simon, czy też tytułować ją „pani Patterson”, dopóki nie poznają się lepiej. Dopóki Simon nie powie jej, że ją kocha i dopóki nie dostaną błogosławieństwa. A potem, kiedy już za niego wyjdzie, staną się najlepszymi przyjaciółmi i będą się razem bawić i wycieczkać na wycieczki. Och, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Dotarła do przejścia na Ebury Street z wyrazem absolutnej błogości na twarzy. Ludzie uśmiechali się do niej, ale ich nie widziała, ponieważ jej oczy widziały już inną drogę i innych ludzi. Potem skręciła w swoją ulicę i otworzyła wejściowe drzwi.

Ciotka Mary usłyszała jej wejście i znalazła się przy niej, zanim zdążyła zdjąć płaszcz czy wbiec na górę, żeby się przebrać. Na jej zazwyczaj bladej twarzy malowały się dwie czerwone plamy, a oczy były ciemniejsze niż zwykle. Ursula zrozumiała, że ciotka siedziała w kuchni nad kolejnymi filiżankami herbaty, gotując się z wściekłości. Nie zwróciła na nią uwagi; spokojnie rozpięła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Nie miała ochoty się z nią kłócić. Chciała jedynie przetrzymać następne dwa tygodnie. Ostatnie dwa tygodnie.

- Nie spytam cię, gdzie byłaś przez cały dzień, choć powinnaś mi pomagać. Być może wymagamy od ciebie zbyt wiele, skoro zapewniamy ci byt, ale nie wyobrażam sobie, żebyś doszła do wniosku, że coś nam zawdzięczasz. Ale chcę wiedzieć, skąd wzięłaś pieniądze na ten drogi kostium i jak możesz być tak niewdzięczna, że zmięłaś sukienkę, którą ci podarowałam - zdarta z własnego grzbietu - i wepchnęłaś ją do szuflady. Odpowiedz mi na pytanie, jeśli łaska. - Ciotka Mary wyprostowała się na całą wysokość i stała niewzruszenie, zagradzając Ursuli drogę. Mówiła ze zboląłą godnością i wyczuwało się, że przygotowywała sobie tę przemowę co najmniej przez godzinę. Spotkanie to po spędzeniu cudownego popołudnia psuło piękne wspomnienia, zanim miały czas dojrzeć. Ursula przełknęła ślinę i udzieliła ciotce grzecznej odpowiedzi:

- Przepraszam, ciociu, ale byłam na spotkaniu z panią Patterson w sprawie pracy - pamięta ciocia?

- I oczywiście nie słyszałaś, jak wołam za tobą na ulicy?

- Nie. Na ulicy był chyba zbyt wielki hałas, albo myślałam o czymś.

- Zawsze o czymś myślisz. Szkoda, że raz nie pomyślisz o tym, co zawdzięczasz wujowi i mnie za to! Ale nie chciałabym, żebyś miała wyrzuty sumienia... I dokąd się wybierałaś o tej porze? Myślałam, że byłaś umówiona na drugą? I jeszcze nie usłyszałam wyjaśnienia, skąd masz ten kostium. Może ci się wydawać, że zapomniałam, albo że można mnie zagadać, ale chcę wiedzieć, skąd dziewczyna,

która nie ma grosza przy duszy, a przynajmniej tak utrzymuje, bierze pieniądze na takie stroje? Odpowiedz, jeśli potrafisz, moja panno! - Ciotka Mary wyprostowała się sztywno i wysoko podniosła głowę. Jeszcze nigdy nie była tak rozświeczona z powodu pieniędzy.

- Kupiłam go w sklepie z używaną odzieżą za parę szylingów, które dostałam od Christophera. Nie mam żadnych własnych pieniędzy, a gdybym je miała, oddałabym tobie, ciociu. Poza tym Christopher dał mi je na wszelki wypadek. A gdybym nie miała tego kostiumu, nie dostałabym pracy. To tak na marginesie. Wiem, jak ważne jest dla ciebie, żebym zdobyła pracę i przestała być dla was ciężarem. Więc z pewnością ucieszy cię wiadomość, że będę z wami tylko przez dwa tygodnie, a potem możemy się pożegnać. Chyba nie będziesz miała nic przeciwko zajęciu się sprzątaniem, skoro będziesz wiedziała, że znalazłam sobie dobre miejsce. - Ursula uśmiechnęła się kwaśno i minęła ciotkę. Powoli powlokła się po schodach. Euforia ulotniła się z niej jak bąbelki z oranżady. Tylko dwa tygodnie. Za jej plecami ciotka krzyczała, że nie zniesie kolejnego afrontu. Ursula weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Kilka następnych dni upłynęło w przykłej atmosferze. Wuj George nie chciał być wmieszany w domowe niesnaski, a co sądził Rodney i tak nie było wiadomo. Rodney nie interesował się niczym poza lekcjami, piłką nożną i uzalaniem się nad sobą. Ursula uznała, że to chyba najlepsze wyjście; im rzadziej kontaktował się z rodzicami, tym więcej miał szans na powrót do normalności.

Pierwszego wieczoru wuj George zapukał do drzwi jej pokoju. Wysłała go ciotka Mary, a że on sam nie żywił żadnych pretensji do siostrzenicy, nie wiedział, co właściwie ma jej powiedzieć. Ursula uznała go za człowieka bez charakteru, ale nie zamierzała utrudniać mu życia. Zrobiła wysiłek, żeby wyglądać na skruszoną grzesznicę.

Wuj rozpoczął wizytę od głębokiego westchnienia.

- Ostatnio nie ułatwiasz nam życia. Twoja ciocia bardzo się gniewa o... o to, że tak nieostrożnie obeszłaś się z sukienką, której ci użyczyła. Jest dość wrażliwa na punkcie swoich rzeczy, jeśli mnie rozumiesz. Więc bądź grzeczna i powiedz jej, że przepraszasz i nigdy więcej tego nie zrobisz. Dobrze? - Palcem muskał wąsy, dotykający twardego zarostu. Ursula otworzyła szeroko oczy. On naprawdę sądził, że to już cały problem. Dwie kobiety pokłóciły się o jakieś szmatki. Czyżby wychowano go w tak niskim pojęciu o kobietach, że nie do przyjęcia wydawało, żeby się domyślił, że doszło tu raczej do starcia dwóch silnych charakterów, niż domowych niesnasek. Zorientowała się, że wuj czerwieni się pod jej spojrzeniem; na czoło i podbródek wystąpiły mu drobniutkie kropelki potu. Czują bijącą od niego zwietrzałą woń papierosów. Nie był w stanie spojrzeć na tę sytuację z szerszej perspektywy, ani dostrzec szczegółów - jak choćby tego, że ciotka Mary kazała jej czyścić srebra, doskonale zdając sobie sprawę, że Ursula tego nie potrafi i dopiero trzeba ją nauczyć; były to drobiazgi, zaledwie ukłucia, których ciotka jej nie szczędziła, jak na przykład to, że zwracała się do niej dziewczyno, albo młoda damo. Wuj George nigdy tego nie słyszał, nie był tego świadkiem. I myślał, że chodziło o ubrania. Pokręciła głową.

- Przez najbliższe dwa tygodnie będę się starała schodzić ciotce z drogi. Potem odejdę i chyba nie będziecie tym specjalnie zmartwieni, ale wujek powinien wiedzieć, że bardzo się starałam. I przeprosiłam ciotkę za te sukienki. Przykro mi, że nie jesteśmy dla siebie prawdziwą rodziną. Przez całą drogę z Singapuru marzyłam o tym, że staniemy się sobie bliscy. Myślałam, że mnie polubicie i pozwolicie mi z sobą zamieszkać. Naprawdę robiłam wszystko, co w mojej mocy i to nie moja wina, że tak się nie stało. - Mówiła spokojnie, tonem bez wyrazu, starając się nie okazywać uczuć, ale słyszalne w jej głosie wewnętrzne drżenie ostrzegło wuja George'a, że nie powinien przeciągać struny. Zresztą to i tak go nie obchodziło; miał tylko porozmawiać z Ursulą. Żona będzie zadowolona, powiedział sobie w duchu i pokiwał głową. Miał własne problemy; w jego wydziale rozpoczęły się zwolnienia. Zmarszczył czoło z niepokojem i zupełnie zapomniał o Ursuli.

Przez najbliższe dni Ursula zajęła się swoimi sprawami. Jak zwykle sprzątała dom i przygotowywała sobie przekąski, dzięki którym mogła uniknąć wspólnych posiłków. Ciotka Mary stała się jeszcze bardziej obojętna wobec niej, ale za to nabrała zwyczaju wchodzenia do pokoju, w którym siedziała Ursula i wychodzenia z niego ostentacyjnie. Początkowo ten manewr sprawiał Ursuli przykrość; nie rozumiała, dlaczego ma się czuć intruzem. Życie bywa jednak czasami smutne. Ale to tylko przez ludzi, ludzi podobnych do ciotki Mary, która wszystko widziała jedynie z własnej perspektywy i nie miała najmniejszych wątpliwości, że słuszność jest po jej stronie. Ursula starała się wychodzić z domu przy każdej okazji, aż wreszcie nadeszła pora, by opuścić go na dobre.

Była tu niemal dwa miesiące. Wydawało się jej, że dwa lata. Nie miała niczego, co chciałaby ze sobą zabrać. Nie wzięła pachnących lawendą sukienek, które wisiały równym rzędkiem w jej szafie, a ostatnie pieniądze wydała na nowe pończochy. Sukienka, w której przyjechała z Singapuru zmieściła się w torbie, niemal zupełnie pustej. Włożyła kostium obiecując sobie, że z pierwszej tygodniowej wypłaty kupi coś nowego. Potem, zostawiwszy wujowi George'owi liścik z podziękowaniem za przygarnięcie jej oraz kartkę z jej nowym adresem w kopercie zaadresowanej do Christophera, którą położyła na komodzie Rodneya, po raz ostatni zeszła po schodach. Czowała odór wczoraj gotowanej kapusty, unoszący się ciężko w powietrzu. Przystąpiła przez buty Rodneya, które zaczął zostawiać w korytarzu, a nie w łazience. Niemał ich nie zauważyła. Widziała jedynie swój cel: drzwi wyjściowe. Wyszła z domu bez pożegnania z ciotką Mary.

## Rozdział jedenasty

Pan Patterson okazał się spokojnym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, miłym lecz pochłoniętym głównie tym, co starał się osiągnąć w parlamencie w czasie tych niewielu lat, jakie mu zostały. Ursula nie wiedziała, dlaczego uważał, że ma tak mało czasu przed sobą, ale podejrzewała, że może być chory. Wyglądał na wycieńczonego i niedożywionego; rzędzące siwe włosy, zaczesane na lśniącą łysinę, nie ukrywały placków nagiej skóry, a jego twarz była dziwnie zwiędła i wyblakła. Wyglądał tak, jakby po zbyt długim moczeniu się w wodzie został pozbawiony kolorów. Ale miał uroczy uśmiech i był dowcipny, dzięki czemu stał się jednym z najbardziej popularnych polityków. Ursula uważała, że to wielka szkoda, iż Julia - teraz myślała o niej tylko w ten sposób - musiała poślubić mężczyznę o tyle starszego od siebie. Zwłaszcza mężczyznę o słabym zdrowiu. Ale to właśnie cała Julia: zawsze stawiająca się na drugim planie i zdolna do aktów najwyższego poświęcenia. Chociażby to: zaledwie przedwczoraj nalegała, żeby Ursula towarzyszyła panu Pattersonowi na codziennej wieczornej przechadzce tylko dlatego, że była piękna pogoda, a ona przez cały dzień nie wychodziła z domu. Pan Patterson naprawdę był bardzo interesujący i uprzejmy, a uśmiech rzeczywiście miał wyjątkowo uroczy. A kiedy wrócili, Simon był już w domu, bardzo wesoły. Nie, właściwie Julia tak bardzo się nie poświęcała. Miło jest być żoną kogoś, kto nie widzi poza nami świata.

Ursula już dawno nie była tak szczęśliwa; być może nie czuła się tak od czasów sprzed wojny, a może nawet przed zamieszkaniem u nich Sally. Dom na Lord North Street był strzeżony przez kordony spokoju, ciepła i miłości, a ona znajdowała się w samym jego środku, otoczona życzliwością Julii, uwielbieniem dzieci i dobrocią pana Pattersona. Simon także dbał o nią. Kiedy myślała o nim,

0 ukradkowych spojrzaniach i uśmiechach, które między sobą wymieniali, wypełniała ją dziwnie omdlewające uczucie. Nigdy nie wiedziała, kiedy się go spodziewać. Pojawiał się w domu o najdziwniejszych porach. Wystarczyło tylko, że odwróciła się znad dziecinnych łóżeczek, a on patrzył na nią, oparty o framugę drzwi. W jego uśmiechu było coś takiego, że żołądek zaczynał się ścisnąć. Za każdym razem, kiedy do niej podchodził, jego oczy zmieniały kolor. Nie wiedziała, czy ma się czuć pochlebiona, czy przerażona. Popołudniami Julia często wychodziła, a Ursula nie miała się czym zająć podczas drzemki dzieci, więc wiele czasu spędzała z Simonem - z początku nieśmiała i niepewna do tego stopnia, że odzywała się tylko szeptem i bardzo szybko, niemal tak, jakby chciała, żeby jej nie zrozumiał. Ale kiedy przekonała się, że Simon uważa ją za interesującą i zabawną, zdobyła się na tyle odwagi, żeby śmiać się albo przekomarzać z nim tak, jak on przekomarzał się z nią.

Simon miał dwadzieścia cztery lata i znał się na wielu sprawach. Wobec jego dowcipu i wyrafinowania czuła się jak kura domowa, która nigdy nie zrobiła niczego godnego uwagi. Starał się jej to wytłumaczyć. Twierdził, że nie jest niewinna - miał już dość dziewcząt, które udawały, że nie znają życia, albo, jeszcze gorzej, wcale nie udawały - ale jest czysta. Dla Ursuli brzmiało to jak jedno i to samo, ale Simon nie zgadzał się i przywiązywał do tego wielką wagę, tak wielką, że Ursula poczuła się trochę zaniepokojoana. Czasami Julia wracała wcześniej i przylapywała ich na wspólnej rozmowie. Oboje spoglądali na nią z poczuciem winy. Ale Julia pytała tylko, jak zachowywały się dzieci i napominała Simona, że Ursula jest za młoda, żeby stracić dla niego głowę. W końcu stało się to sakramentalnym powiedzonkiem i wszyscy śmiali się z niego, choć Ursula czuła przy tym ukłucie bólu.

Wiadomości o Sally i dzieciach nadeszły na krótko po podjęciu pracy przez Ursulę. Wuj George przyszedł w odwiedziny z urzędową kopertą. Ursula od wielu dni przygotowywała się na tę chwilę. W gruncie rzeczy wiedziała, że nie ma nadziei. Obecnie była już gotowa. Wiedziała to. Teraz nie była już sama; znowu widziała przed sobą perspektywy. Wszystko będzie dobrze. Do zniesienia. A jednak ujęła kopertę drżącymi palcami, niemal niezdolna, by ją rozerwać i wyjąć pismo. Odczytała bez drgnienia urzędowe wyrazy współczucia. Zatonęli. Statek został zbombardowany na Morzu Chińskim. To właśnie w głębi duszy wiedziała od samego początku. Wszyscy nie żyli. Przez chwilę przed oczami stanął jej mały Tom, taki jakim go widziała po raz ostatni, kiedy leżał obok niej z policzkami różowymi jak jabłuszka i mięciutkimi włoskami. I nagle poczuła, że jednak tego nie zniesie, bez względu na to, gdzie teraz mieszka. Gwałtownie i pospiesznie podziękowała wujowi i pospieszyła do pokoju, by oplakać stratę. Nie mogła zrobić nic innego.

Simon zjawił się u niej z herbatą i delikatnymi pocieszeniami. Pattersonowie zaoferowali jej zrozumienie i współczucie. Powoli ból złagodniał; ostrożnie odsunęła od siebie żal, który mu towarzyszył, tak jakby odkładała na półkę cenny materiał, owinięty w bibułkę, by czekał na lepsze czasy.

Po upływie pięciu tygodni od chwili, w której pojawiła się w domu przy ulicy Lord North, pewnego dnia odwiedził ją Christopher. Przyjechał na święta i kiedy



dowiedział się, że odeszła, natychmiast przyszedł się z nią zobaczyć. Ursula była rozradowana; interesowali się nią dwaj przystojni młodzieńcy. Gdy Ruth pojawiła się w pokoju dziecięcym i powiadomiła ją, że kuzyn chciałby się z nią zobaczyć, oblała się rumieńcem. Kiedy zeszła, rozpromieniona, do salonu, Julia zabrała Christophera rozmową. Chłopak wstał na jej widok i pocałował ją w policzek. W jego oczach malowało się zmartwienie.

- Jak się masz, Ursulo. Rodney przekazał mi wiadomość od ciebie.

- Christopher! Nie spodziewałam się ciebie przed wakacjami. Ciotka Mary powiedziała, że nie przyjedziesz. Och, jak się cieszę! - Przytuliła go mocno. Wydawał się taki życzliwy i przystojny. Jak to dobrze, że Julia poznała jedynego przyzwoitego członka jej rodziny.

- Christopher powiedział, że studiuje na Cambridge geografię i historię. Czemu mi nie powiedziałaś, że masz tam kuzyna? Simon był w Trinity, wiesz? A ty jesteś w Gonville and Caius, prawda? Może nawet się znacie - Julia wydawała się niezwykle przejęta. Ursula uśmiechnęła się z ulgą. Skoro znają jej rodzinę, nie powinni wzdragać się z udzieleniem im błogosławieństwa. Gdybyż tylko Simon zechciał się jej oświadczyć! Guzdrał się z tym doprawdy w nieskończoność. Odwróciła się do Christophera i drgnęła, uderzona jego chmurnym wyrazem twarzy. A z tym, co się znowu dzieje? Czyżby był zazdrosny? Ale przecież sam powiedział, że są kuzynami w pierwszej linii i mówił to w taki odpychający sposób! Spojrzała na niego niepewnie.

- Znasz Simona? - ponagliła go, kiedy zrozumiała, że nie zamierza odpowiedzieć.

- Simona Pattersona? Nie znam go osobiście. Ale słyszałem o nim.

Jego ton nie wyrażał niczego. Ursula zniecierpliwiła się.

- I? Chyba nie chcesz nam powiedzieć, że słyszałeś o nim coś złego? - Chciała go rozbawić, żeby stał się dawnym roześmianym Christopherem. Julia odstawiła kieliszek na stolik i wstała.

- Muszę już uciekać. Umówiłam się z przyjaciółmi o wpół do trzeciej, a jest już niemal druga. Zostańcie tu spokojnie i porozmawiajcie. Miło było cię poznać, Christopherze. Mam nadzieję, że jeszcze wpadniesz

Jej głos nagle stał się dziwnie chłodny; Ursula czuła, że Julia wcale nie ma na myśli tego, co powiedziała. Czemu ten Christopher zachowuje się tak dziwnie? Oboje poczekali grzecznie, aż Julia wyjdzie z pokoju. Potem spojrzeli na siebie.

- Co się stało? O co chodzi? Czemu się ciskasz jak stary zły niedźwiedź? Nie lubisz Julii? Albo Simona? - Nie mogła nic na to poradzić. Patrzyła na niego z bólem, a w jej głosie słychać było nutę dezaprobaty. Christopher nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie, nie lubię. Obojga. Dlaczego podjęłaś tu pracę, skoro u nas niczego ci nie brakowało? I czemu wybrałaś akurat ten dom, skoro nie mogłaś już ani przez chwilę znieść naszego? No, powiedzieli mi, jak się ostatnio zachowywałaś.

- Jak się zachowywałam! Anie powiedzieli ci, jak zachowywała się twoja matka? I to nie ostatnio, a przez całe dwa miesiące? Bez przerwy starałam się ją zadowolić, ale nie potrafiłam tego dokonać. Więc nie wmawiaj mi, że sprawiałam

kłopoty i nikt nie mógł ze mną dojść do ładu, albo że zostawiłam kochających mnie ludzi, żeby stać się służącą w obcym domu. Moi gospodarze są dla mnie zyczliwsi, niż twoja rodzina. Więc proszę, nie karm mnie tymi bzdurami.

- Nie rozumiem, co tu robisz. Akurat tutaj! - Odwrócił się od niej i usiadł w fotelu przy kominku. Ursula widziała, że był wyjątkowo wytrącony z równowagi. Ale o co mogło chodzić? I dlaczego tak się zmienił?

Uklękła obok fotela i wzięła Christophera za rękę. Była zimna jak lód; potarła jego palce z roztargnieniem.

- Wiem, że jest ci pewnie przykro, że się poróżniłyśmy, ale to nie moja wina. Naprawdę. Jesteśmy jak ogień i woda, żadna z nas nie potrafi zadowolić drugiej. Poza tym twój ojciec naprawdę nie może mnie dłużej utrzymywać. Czułam, że jestem dla was ciężarem. Dłużej już nie mogłam tego znosić. A oni nie traktują mnie jak służącej. Polubiłbyś Julię, gdybyś znalazł ją lepiej...

- A ty ją znasz tak dobrze? Daję głowę, że nie masz pojęcia, co się tu dzieje. - Spojrzał na nią tak twardym spojrzeniem, że aż się go trochę przestraszyła. Może zbyt intensywnie się uczył? Uśmiechnęła się do niego niepewnie i pogłaskała jego dłoń.

- Wszystko jest dobrze. Nigdy nie byłam szczęśliwsza. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Wiesz, co się mówiło o nim w Cambridge?

- O kim? O Simonie? Nie wierzę, że słuchasz plotek o kimś, kogo nawet nie widziałeś. I to ci wystarcza, żeby wydać o nim sąd! Wiesz, co ludzie mówili o mnie w Singapurze? Te bzdury o kampongu! Tak właśnie mają się plotki do prawdy. - Rozzłościła się nie na żarty; była rozdrażniona i urażona. Jak mógł się tak zachowywać? Chciała cofnąć rękę, ale przytrzymał ją mocno.

- Skoro jesteś go tak pewna po pięciu tygodniach znajomości, chyba ci nie zaszkodzi, jeśli wysłuchasz paru plotek. W końcu nie mogą zmienić twojej opinii o nim.

A więc jednak. Jest zazdrosny. Ursula roześmiała się.

- Rzeczywiście, nie mogą. Ale skoro musisz...

- Owszem, muszę. Był tam przede mną, ma się rozumieć, mniej więcej cztery lata temu, ale nigdy nie skończył studiów. Został wyrzucony. Wiesz, za co?

Potrząsnęła głową. Nie miała ochoty się dowiedzieć.

- Został wyrzucony za romans z mężatką. Podobno zaszła z nim w ciążę. Władze uniwersytetu dowiedziały się i został poproszony o odejście. A wiesz, kim była ta pani? - Chciała wyszarpnąć rękę, ale mocno ją przytrzymał. - No, chcesz wiedzieć?

- Chyba nie chcę. I chyba powinieneś ją już puścić; narobisz jej siniaków. - W drzwiach stał błądy jak papier Simon. Christopher drgnął, zaskoczony. - Tak lepiej. A teraz, Ursulo, chcesz wysłuchać do końca tej smętnej opowieści, czy też poprosimy twojego kuzynka o odejście? Z pewnością nie jest tu mile widziany. Ale - uśmiechnęła się na widok zmieszania dziewczyny - może wierzysz mu bardziej, niż mnie? Chcesz wysłuchać do końca tych oskarżeń?

- Nie! Nie wierzę w to. To tylko plotki. Wiem, że chciałeś dobrze i starałeś się mnie tylko chronić, aleja nie potrzebuję pomocy. Bardzo się cieszę, że mnie

odwiedziłeś, naprawdę, ale teraz chyba lepiej już sobie idź. - Prawie nie patrzyła mu w oczy. Zdawała sobie sprawę z tego, że go rani. Ale czy nie rozumiał, że musiała wybrać Simona? Po raz ostatni ujął jej rękę.

- Posłuchaj mnie! Nie znasz tego człowieka, a ja należę do twojej rodziny. Nie mógłbym cię okłamać. Niby po co? Nic bym na tym nie zyskał. Nie widzisz, że ten człowiek chce...

- Proszę, proszę, przestań. Nie zniosę tego. Przepraszam cię, ale nie znasz Simona tak, jak ja. Nie byłby zdolny do czegoś takiego. A to jest dom jego ojca. Nie sądzę, żebyś miał prawo oskarżać go pod jego własnym dachem. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. - Prawie szeptała. Dotknęła jego ramienia, by go ułagodzić. Ale on strząsnął jej dłoń i minął ją. Zatrzymał się przed Simonem.

- Niech się panu nie wydaje, że Ursula jest bezbronna. Jest ktoś, kto się za nią ujmie, mój panie. Znajdę się tu, jeśli tylko spadnie jej włos z głowy. Rozumie mnie pan?

- Nie wiem, czy na coś takiego może pomóc nawet cała rodzina, ale rozumiem cię doskonale. A teraz, jeśli mogę cię poprosić, zechciej usunąć się z mojego domu.

Simon nie tracił opanowania, ale wyglądał na niebezpiecznie rozgniewanego. Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, a Ursula przyglądała się im niespokojnie. Nie potrafiła pojąć, dlaczego kobiety lubią, kiedy mężczyźni o nie walczą. To zbyt okropne, zanadto krępujące. Mięsień, drgający na szyi jej kuzyna, zdradzał wysiłek, jaki musiał włożyć w opanowanie się.

- To nie pański dom tak trudno mi zostawić, tylko moją kuzynkę - powiedział Christopher cicho, a potem bez jednego spojrzenia w jej kierunku wyszedł z pokoju. Ursula poczuła, jakby opuścił ją ostatni przyjaciel. Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Czy już za późno? Może za nim pobiec? Ale co potem? Miała wrócić razem z nim i błagać ciotkę Mary, żeby ją przyjęła? A potem on spakuje się i wyjedzie do Cambridge? Poza tym nigdy się z nią nie ożeni, byli ze sobą zbyt blisko spokrewnieni. Pozostaną jedynie przyjaciółmi. Boże! Dlaczego wszystko bez przerwy się komplikowało? Dlaczego nie mogli się polubić albo przynajmniej zaakceptować? Siedziała ze spuszczoną głową - lzy piekły ją pod powiekami - i czekała, aż Simon ją pocieszy, opowie jej jak było naprawdę. Ale kiedy ciągle się nie zbliżał, podniosła głowę. Pokój był pusty.

Poderwała się, zdjeta nagłym przerażeniem. Może wyszedł? Może myślał, że uwierzyła w tę okrutną bzdurę? Zbiegła po schodach do holu. Jego płaszcz wisiał na wieszaku. Odetchnęła z ulgą. No dobrze, a zatem jest na górze. Być może jest zbyt zdenerwowany, by spojrzeć jej w oczy. Może sądzi, że jest na niego zła? Znowu wbiegła po schodach; po drodze zajrzała do pokoju dziecinnego, by sprawdzić, czy dzieci śpią spokojnie. Ruth siedziała przy nich. Nie podniosła głowy znad gazety. Ursula wycofała się z pokoju i ruszyła dalej po schodach. Wiedziała, gdzie jest pokój Simona, choć rzadko można było go w nim znaleźć. Miał małe kawalerskie mieszkanko gdzieś w Chelsea i tam właśnie spędzał większość czasu. Ale drzwi jego dawnej sypialni były zamknięte; wyczuła, że tam jest. Podeszła do nich; z jakiegoś powodu nie mogła zaczerpnąć odpowiednio głębo-

kiego oddechu. Przez jakiś czas spazmatycznie łąpała powietrze. Wreszcie uspokoiła się w tym stopniu, że mogła cicho zapukać do drzwi.

- Simonie? Jesteś tam? Proszę cię, pozwól mi wejść. - W pokoju panowała martwa cisza. Zawahała się z ręką na klamce. - Jesteś tam?

Drzwi otworzyły się gwałtownie; klamka wyskoczyła z jej ręki. Cofnęła się o krok, zawstydzona, że nie zachowała stosownej odległości. Simon wyglądał dziwnie nieporządnie; trzymał rękę uniesioną przy głowie, jakby właśnie przeczesał nią włosy, a jego krawat był rozwiązany. Miał przekrwione oczy, błyszczące w sposób, który wskazywał bliskie załamanie. Serce ścisnęło się jej okropnym, ostrym bólem; niemal nie zorientowała się, co się dzieje, kiedy porwał ją w ramiona i ukrył twarz na jej ramieniu. Tyle razy powtarzał, że ją przeprasza, że nagle poczuła gwałtowne pragnienie, by się nim zaopiekować. Gładziła jego włosy i szeptała do ucha słowa pocieszenia. Nikt więcej go już nie skrzywdzi; wszystko będzie dobrze.

W końcu tak długi uścisk zaczął się stawać krępujący; po pierwszym impulsie Ursula poczuła się trochę wytrącona z równowagi i skrępowana. Simon zauważył to niemal natychmiast, bo puścił ją i zawrócił w głąb pokoju. Rzucił się na łóżko.

- Widzisz, to wszystko prawda. Tak, wdałem się w romans ze starszą ode mnie kobietą. Ona... bardzo ją kochałem. To nie było tak, jak mówią, nie fruwałem z kwiatka na kwiatek. Przeklęte świętoszki! Jakby nigdy nie popełnili błędu. Poza tym... była mężatką i nie mogła zostawić męża, a ja nie mogłem zostawić jej. Dowiedzieli się i wyrzucili mnie. Ale nie zrobiłem jej, no, nie było żadnego dziecka czy coś. To kłamstwo. Chyba spodziewałem się, że wszyscy już o tym zapomnieli, ale teraz widzę, że nic z tego. Nigdy nie pozwolą mi o tym zapomnieć. - Roześmiał się ochryple - chcesz usłyszeć najlepsze? Nikt nie wiedział, kim onajest, moja... nikt nie wiedział, więc musieli wymyśleć coś, żeby obrazek był gotowy. I wiesz, co wymyślili? Boże - znowu przeczesał włosy palcami. - Tysiące razy przeklinałem się za to, że do tego dopuściłem, ale nie wiem, co miałbym zrobić. A ona okazała się aniołem - nigdy nie powiedziała przeciwko mnie ani słowa, ani razu nie wytknęła mi mojej głupoty. Julia, mówią, że to ona. Możesz w to uwierzyć? Żona mojego rodzzonego ojca! A Lucy ma być moją córką, nie jego. Czy sądzisz, że ojciec wpuściłby mnie za próg tego domu, gdyby w tym wszystkim było choćby słowo prawdy? Tak sądzisz? - Spojrzał na nią udręczonym wzrokiem; wyciągnął rękę. Ursula ujęła ją i usiadła na łóżku obok niego. Gładziła jego twarz i płakała na widok jego łez.

- Nie, nie wierzę w ani jedno słowo. Ludzie potrafią być ohydni; chcą tylko ściągnąć cię do swojego poziomu. Nie płacz, Simonie. Wierzę ci, kochanie. Nie płacz.

Simon objął ją w talii i odwrócił twarz, ale czuła, że całe jego ciało dygocze.

- Mnie też to spotkało. Kiedy opuściłam kampong, zaczęły się plotki. Ludzie obgadywali mnie i wytykali palcami. Mówili, że... no, wiesz. Nie było w tym ani słowa prawdy, ale oni byli pewni, że musiało się coś zdarzyć, ponieważ nauczyłam się żyć jak Malajka. Ludzie są straszni. Wiem, przez co przechodzisz.

Uścisnęła jej rękę z wdzięcznością.

- Moje biedactwo. Dlaczego to zawsze spotyka niewinnych? Julia jest najlepszą, najukochańszą macochą, jaką można sobie wymarzyć. To, że jest młoda i piękna nie znaczy jeszcze, że nie kocha mego ojca. I nie znaczy to, że byłbym zdolny do czegoś takiego. Była dla mnie zawsze dobra, ale wiem, że ją to przygnębia. Nie wiem, co mam zrobić, żeby raz wreszcie skrócić kark tym plotkom. Jak to możliwe? Nawet twój kuzyn w to uwierzył, a przecież nawet mnie nie zna. - Trzymał ją mocno w objęciach i wciskał twarz w jej chłodną, gładką szyję. Zadrżała.

- Może gdybyś... gdybyś poślubił... kogoś... I gdyby ta kobieta i Julia były przyjaciółkami... to by chyba pomogło, nie sądzisz? Czy ciągle spotykasz się z tą osobą?

Simon odsunął się od niej; jego twarz mimo łez i smutku była nadal uderzająco przystojna. Kiedy ona płakała, występowały jej na twarzy w czerwone plamy, a jego policzki były niezmiennie blade i gładkie. Zbyt blade. Simon skrzywił się z goryczą.

- Nie. Zerwałem z nią, kiedy opuściłem Cambridge. Byłem młody, głupi i zauroczony. I tyle. Od tego czasu z żadną kobietą nie łączyła mnie prawdziwa przyjaźń. Oczywiście mnóstwo flirtów, ale nic poważnego. Aż dotąd sądziłem, że już nigdy nie poczuję się w ten sposób.

Spojrzał na nią łagodnie. Ursula poczuła, że wargi zaczynają jej drżeć, więc zagryzła je. Myślała niej! Wiedziała, że ją kocha, ale z jakiegoś powodu nie chce jej tego powiedzieć. A teraz już wiedziała, z jakiego. O, jakież był szlachetny, a jaki przystojny...

- Ja... ja chyba... - uśmiechnęła się i spłonęła różowym rumieńcem. Czekala na to wyznanie. Dlaczego zwlekał? Ciągle na nią patrzył, a potem puścił ją raptownie i odwrócił się.

- Nieważne. Zostaw mnie, proszę. Muszę się spokojnie zastanowić. I nie mów Julii ani mojemu ojcu, co się zdarzyło. Zrobisz to dla mnie? I tak przeszli już przez piekło, Bóg mi świadkiem. Może powinienem wstąpić do Legii Cudzoziemskiej? - dodał z nerwowym uśmieszkiem. - To by ukróciło te plotki. Nie ma sensu gadać o kimś, kogo nie ma.

- Nie możesz sam się z tym borykać. Jestem tu, żeby ci pomóc, nie odpychać mnie. - Jak miała sobie z tym poradzić? To przerastało jej ograniczoną znajomość życia. Ale musiała go w jakiś sposób przekonać, że nie skrzywdzi jej i nie ściągnie w błoto. Czy nie wiedział, co do niego czuła? Może, gdyby mu powiedziała?... nie, to niemożliwe. Powinien to wiedzieć.

- Jesteś taka słodka, słodka i czysta. Nie chcesz się w to wplątać. Ty też już dość przeżyłaś. A mnie nic nie będzie, naprawdę. - Uśmiechnął się do niej. - To mi się już zdarzało przez te cztery lata. Tylko, tylko... jestem już tym zmęczony. Gdybyż to się mogło skończyć, gdybyż ludzie zechcieli wreszcie o tym zapomnieć! - Odgarnął jej włosy z twarzy, a ona uśmiechnęła się smutno do niego. Simon przytulił ją do siebie.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Simonie. Mogłabym dać ci szczęście - nie zdawała sobie sprawy, co powiedziała, dopóki nie ścisnęła ją mocniej.

- Kocham cię, najmilsza. Nie wiedziałaś? Ale nie mogę... - Pocałował ją delikatnie i z dużą wprawą. Ursula przywarła do niego, dygocząc z podniecenia. Ale on ją odsunął. - Jesteś dokładnie taką dziewczyną, jaką chciałbym poślubić, ale zmarnowałem moje szanse. Twoja rodzina nigdy się na to nie zgodzi, a poza tym nie mogę ci zrobić czegoś takiego.

- Owszem, możesz. Kocham cię. Położymy kres tym plotkom, a moja rodzina... ich to i tak nie obchodzi. Będą zadowoleni, że się mnie pozbyli. I że plotki o mnie także ustały.

- Ale twój kuzyn z pewnością nie jest obojętny. Gdybym nie wierzył ci tak bezgranicznie, pomyślałbym, że coś was łączy. - Uścisnął ją tak, że prawie ją to zabolowało.

- Nie, Christopher chciał mnie tylko bronić. Ale przyzwyczai się. A nawet, jeśli nie, to ciotka i wuj nie będą się sprzeciwiać. Wystarczy im, że ktoś się mną zajmie. - Bała się, że mógłby się nie zgodzić, zachować zbyt szlachetnie. Ale po długiej dyskusji zdecydowali, że poproszą swoje rodziny o błogosławieństwo. Ursula od czasu do czasu szczypała się w ramię, tak na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie sen. Będzie panią Patterson. O, gdybyż Billy mógł widzieć, jaka jest szczęśliwa. Polubiłby Simona i uwierzyłby w niego. Billy nigdy nie wierzył plotkom. Ta myśl pozwoliła jej się uspokoić. Oto jej kamień probierczy: co by o tym pomyślał Billy? Uśmiechnęła się i delikatnie pocałowała Simona w policzek. A potem wróciła do dzieci.

Ruth nadal przy nich czuwała.

- No, jesteś! Myślałam, że uciekłaś z kuzynem. Mam inne rzeczy do roboty, droga pani, niż siedzieć za ciebie przy dzieciach.

- Wiem, bardzo cię przepraszam, ale wydarzyło się coś niesłychanie ważnego. - Szczęście rozsadzało ją; koniecznie musiała się nim z kimś podzielić. W obliczu rychłego odkrycia tej jakiejś wspaniałej tajemnicy, Ruth rozpogodziła się. - Nie mów nikomu, bo jeszcze nie dostaliśmy błogosławieństwa, ale Simon poprosił mnie właśnie o rękę!

Ruth otworzyła usta w bezgłośnym o i zamarła w bezruchu, wpatrzona w rozgorączkowaną dziewczynę.

- No i co, nie złożysz mi gratulacji? - zdziwiła się Ursula z uśmiechem.

- O... oczywiście, panienko, z pewnością. Moje gratulacje. Muszę powiedzieć, że poszło to pióru... bardzo szybko. Panienska i panicz Simon. Hm.

Ruth nie okazała spodziewanego entuzjazmu. Ursula poczuła ukłucie niepewności.

- Idź już, napij się herbaty. Ja dopilnuję dzieci. I nie mów nikomu, pamiętasz?

- Tak, panienko. Mam dobrą pamięć. Nie pisnę ani słówka.

Wyszła; jej człapanie powoli cichło w korytarzu. Ursula pochyliła się nad śpiącymi dziećmi. Wyglądały jak małe aniołki - delikatne buzie, jasne włoski. Jej dzieci także będą tak wyglądać. I nic dziwnego, że Lucy jest podobna do Simona. Są przecież przyrodnim rodzeństwem. Czego to ludzie nie wymyślą! Biedna Julia! Całkiem zrozumiałe, że tak się poderwała, kiedy Christopher powiedział, że wie wszystko o Simonie. Ursula przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Jak

straszne musiało to być dla Julii, te szeptu za plecami, wytykanie palcami... A jednak wytrwała w lojalności wobec Simona. Jak można go znać, ale tak naprawdę, i nie kochać? Tak, jakby reszta studentów miała żywcem pójść do nieba! Niecierpliwie mlasnęła językiem. Ludzie!

Tego wieczoru Pattersonowie wyprawiali przyjęcie dla paru politycznych przyjaciół pana Pattersona. Ursula wymogła na Simonie, żeby ogłosił nowinę trochę później, może po zakończeniu obiadu, kiedy wszyscy będą w dobrym nastroju. Zgodził się z pewnym oporem, widząc jej zdenerwowanie. Powiedział, że zajmie się wszystkim, co przyjęła z radością. Pokój dziecienny był oazą spokoju; nie musiała go opuszczać, więc usiadła z książką w ulubionym fotelu i zapatrzyła się w ogień w kominku. Wyobrażenia podsuwała jej obrazy tonące w różowej mgiełce. Wszystko, o czym marzyła, zaczynało się urzeczywistniać. Wierność została nagrodzona. Uśmiechnęła się do siebie, słuchając roześmianych głosów, szmeru rozmowy, szczęknięcia sreber i szkła. Wkrótce znowu będzie miała do tego prawo. Usłyszała, że Simon opowiada jakiś dowcip; jej uwrażliwione ucho wychwytywało jego głos z największej odległości. Wydawał się szczęśliwy i rozradowany. Podeszła do drzwi i uchyliła je, by lepiej go słyszeć.

- ... jak Bóg na niebie! Nie, poważnie, nie dalej jak wczoraj spytałem mojego krawca, dlaczego nie przysłała mi rachunków. A on powiedział, że nigdy nie prosi dżentelmena o pieniądze. Więc go pytam, co by zrobił, gdyby ktoś mu nie zapłacił - rozumiecie, tak hipotetycznie. Zastanowił się i powiada: „Po upływie określonego czasu uznałbym, że nie jest dżentelmenem i poprosiłbym go o zapłacenie”. He he he he!

Wszyscy roześmieli się wraz z nim, a Ursula rozpromieniła się z dumy. Jaki on dowcipny; zawsze dusza towarzystwa. Co on w niej zobaczył, za co ją kocha? Nie miała pojęcia, ale była mu za to gorąco wdzięczna. Cicho zamknęła drzwi. Nie musiała już słyszeć nic więcej, wystarczyło jej wiedzieć, że Simon jest szczęśliwy. Tylko tego pragnęła. Wróciła na swoje miejsce przed kominkiem i zaczęła cierpliwie czekać na wyjście gości.

Było już dość późno, kiedy Simon zapukał do drzwi. W tym czasie zdążyła zapaść w drzemkę i kiedy wszedł, wybita ze snu spojrzała na niego nieprzytomnie, nie rozumiejąc, czego od niej chce. A potem przypomniała sobie wszystko naraz i poderwała się.

- Powiedziałeś im?

- Tak. Są bardzo szczęśliwi, kochanie. Nie martw się. Wiesz, jak bardzo są ci życzliwi. Wyjaśniłem im wszystko i kazali mi cię przyprowadzić, jeśli jeszcze nie śpisz. Chcesz przyjść? A może odłożymy to do jutra?

- Nie, nie. Ale daj mi parę chwil. Muszę się dobrać. Przepraszam, nie chciałam zasnąć.

- Jest późno, kochanie. Nie mogłaś nic na to poradzić. - Kucnął obok niej i pocałował ją. - Możesz się doprowadzić do porządku? Zejdę i powiem im, że już idziesz.

- A nie poczekaasz na mnie? Chciałabym wejść razem z tobą.

Simon roześmiał się serdecznie.

- Nie bądź głuptasem. Przecież znasz już Julię i ojca. I chyba muszę im powiedzieć, czego się mają spodziewać. Na pewno się zastanawiają.

- Tak, oczywiście. Tylko się przyczeszę i trochę odświeżę. Zaraz przyjdę.

- Grzeczne dziecko - pocałował ją w czoło. - To na razie.

Szybko wyszedł i zbiegł po schodach. Ursula stanęła na środku pokoju, nie spodziewanie ogarnięta dziwnym osłabieniem i bliska łez. Wolałaby, żeby Simon na nią poczekał. No, ale pewnie miał rację. Ojciec i Julia się zastanawiają. Poprawiła spódniczkę i bluzkę, a potem przemknęła do łazienki. Gładko zaczesła włosy za uszy i znowu zwinęła je w kok; szybko ochlapała twarz wodą. Zimny prysznic przywołał kolory na jej twarz. Teraz wyglądała już lepiej. Odetchnęła głęboko i wyszła z łazienki; pomaszerowała po schodach do salonu. Usłyszała, że Julia szepcze coś, ale nie potrafiła rozróżnić słów, tylko syczący szept. Zawahała się; w tej samej chwili Simon roześmiał się. A więc nic się nie stało. To tylko jej obawy. Julia zapewne szepcze, żeby nie obudzić dzieci. Jest bardzo późno. Powoli wynurzyła się z cienia.

- Ach, jesteś, kochanie. Myślałem, że będę musiał pójść po ciebie. - Simon podniósł się z miejsca i podszedł do niej. Wziął ją za rękę i pociągnął w głąb pokoju. - Ursula ciągle sądzi, że nie będziecie zadowoleni. A ja jej ciągle powtarzam, że jest gąską. Wszystko jest po prostu sakramencko świetnie! - Uśmiechnął się jej prosto w twarz; niepewnie odwzajemniła uśmiech. Potem odważyła się spojrzeć na Julię i pana Pattersona. Julia była dziwnie rozbawiona, niemal tak, jakby śmiała się z jakiegoś szczególnie zabawnego dowcipu, znanego wszystkim, prócz Ursuli. Nie odezwała się, tylko pociągnęła spory łyk z kieliszka, niedbale kołysanego w dłoni. Pan Patterson wstał i uśmiechnął się do Ursuli. Ujął jej rękę i pogładził ją we właściwy dla siebie serdeczny sposób. Wydawał się bardzo uszczęśliwiony. Albo tak, jakby mu ulżyło.

- Jesteśmy zachwyceni. Simon nie mógłby znaleźć miłszej albo bardziej pożądanej oblubienicy, nawet gdyby szukał pomiędzy księżniczkami. Nie obawiaj się, porozmawiamy z twoim wujostwem i załatwimy wszystko. Simonie, co z tym szampanem? Zdaje się, że sytuacja jest wymarzona.

Ursula westchnęła i wymamrotała podziękowanie. Wszystko będzie dobrze. Simon poradzi sobie ze wszystkim, jak zawsze. Uśmiechnęła się nieśmiało do Julii, która uniosła swój kieliszek.

- Za pannę młodą, całą w bieli. - Wybuchnęła śmiechem i spojrzała na Simona, unosząc brew. - Tak chyba będzie dobrze, nieprawda, kochany?

Simon obrzucił ją niechętnym wzrokiem i ujął Ursulę za rękę. Szepnął jej do ucha:

- Julia miała ciężki wieczór. Nie zwracaj na nią uwagi.

- Co tam sobie szepczecie, zakochani? No, podzielicie się swoją radością z nami, biednym starym stadłem - zawołała Julia odrobinę niewyraźnie. Pan Patterson spuścił głowę z zakłopotaniem.

- Już późno, nieprawda? Może odłożymy toasty do jutra? Co sądzisz, Simonie?



- Nie ma mowy. Trzeba „kuć toasty, póki gorące”. Nie, to chyba niezupełnie tak, ale rozumiecie, co mam na myśli. Chyba napijesz się z nami, kochanie? - zwrócił się do Ursuli, która niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Skoro pan Patterson chciał już iść do pokoju...

Ale to Julia odpowiedziała na pytanie; tak, jakby Simon skierował je do niej.

- Ależ oczywiście, że napijemy się szampana. Teraz, zaraz i natychmiast. Mamy co świętować, czyż nie, ukochani? - Spojrzała na męża i Simona. Potem ostrożnie postawiła kieliszek na brzegu stołu. - A teraz zacznę bić w bębny, nieprawda? Obudzimy cały dom i każemy im cieszyć się razem z nami. - Przytrzymała się poręczy sofy, odzyskała równowagę i wyszła, doskonale wyprostowana, najzupełniej pewnym krokiem. Simon spojrzał na ojca i znowu pogłaskał dłoń Ursuli.

- Wracam za chwilę, kochanie. Tylko sprawdzę, co z Julią. Coś się nam rozochociła, a przecież nie chcemy, żeby akurat dziś spadła ze schodów! - Uśmiechnął się i pospieszył za Julią. Ursula spojrzała z uśmiechem na pana Pattersona. Rozpaczliwie szukała czegoś, co mogłaby powiedzieć.

- Czy... czy przyjęcie się udało?

Pan Patterson uśmiechnął się w dość kwaśny sposób.

- Owszem, było całkiem udane. Julia chyba dość się niepokoiła o to, jak się skończy i w końcu wypłała znacznie więcej, niż zwykle. Nie ma szczególnie mocnej głowy.

- Chyba rzeczywiście. To znaczy, na pewno. Czy mogę o coś zapytać? Czy zgadzacie się oboje na nasze małżeństwo? Simon wyjaśnił mi, że... to znaczy... rozmawialiśmy o różnych sprawach. O tych plotkach. I myślę, że nasze małżeństwo położy im kres, prawda? Nie sądzi pan?

Mężczyzna drgnął, jakby jej słowa uderzyły go boleśnie. Nagle zrozumiała, dlaczego przez cały czas wygląda tak, jakby coś go bolało. Nie tylko Julia i Simon cierpieli w wyniku tej sytuacji. Poczula, że jest jej go rozpaczliwie żal. Taki miły człowiek!

Pan Patterson odchrząknął i przemówił, kierując słowa do dywanu na podłodze:

- Tak. Ale nie jesteśmy szczęśliwi tylko z tego powodu, choć moja żona przeżyła piekło. Naprawdę cię lubimy i jesteśmy zachwyceni, że Simon zakochał się w odpowiedniej i uroczej dziewczynie. - Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. - Będziesz dla niego wybawieniem. Przy tobie się usatkuje. Przystanie szaleć. I chyba bardzo przypadłaś mu do serca. To miło.

Ursula poczuła, że się rumieni.

- Bardzo się cieszę, że tak pan uważa. Oboje wiele dla siebie znaczymy i sądzę, że tak jest najlepiej dla wszystkich. Naprawdę. Mam tylko nadzieję, że ciotka i wuj podzielają moje zdanie. Są moimi prawnymi opiekunami. Nie mogę wyjść za mąż bez ich zezwolenia.

- Tak, wiem o tym. Nie zaprzataj sobie tym główki. Porozmawiam z nimi. Wszystko będzie dobrze.

Z dołu dobiegł ich wybuch śmiechu i mamrotanie Simona. Ursula uśmiechnęła się do pana Pattersona, który odwzajemnił się jej tym samym. Potem rozle-

gły się zbliżające się kroki i do pokoju wszedł Simon z dwoma kieliszkami, butelką szampana i Julią, która zarzuciła mu rękę na szyję, a w wolnej dłoni trzymała kolejne dwa kieliszki. Chichotała nieprzerwanie; Simon spojrzał na Ursulę i uniósł brwi w udanym przerażeniu.

- No, to jesteśmy na miejscu. A teraz niech wszyscy wezmą kieliszki. Szybko, zanim je upuszczę, albo zanim Simon upuści butelkę. Ale to chyba i tak się już stało, nieprawda, kochanie? - Julia najwyraźniej nie zamierzała wytrzeźwieć. Simon zaprowadził ją do sofy, na którą upadła bezwładnie. Ursula wyjąłaj z ręki kieliszki i podała jeden panu Pattersonowi. Drugi zatrzymała dla siebie. Simon uśmiechnął się i pocałował ją w policzek, jednocześnie nalewając jej szampana. Kieliszki były szerokie i płytkie; bąbelki poślaskotały w nos Ursulę, która roześmiała się ze szczęścia. Nie piła szampana od czasów, kiedy kuzyn Rodney dał jej ukradkiem kieliszek podczas ostatniej Gwiazdki w Singapurze. Wspomnienie stanęło jej przed oczami i szybko zbladło. Następny napełniony kieliszek należał do pana Pattersona. Simon nalał szampana do dwóch ostatnich i wręczył jeden z nich Julii. Uniosła go ku niemu z uśmiechem i mrugnęła porozumiewawczo.

- Za najszczęśliwszą parę w Anglii. Niech zawsze będą razem!

- Uwaga, uwaga! - zakrzyknął pan Patterson i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Za wiele czasu spędzasz w parlamencie, kochanie. Zapewne zażadasz tajnego głosowania na ślubie! - Julia była w niezaprzeczalnie znakomitym humorze. Wszyscy zaczęli składać gratulacje wszystkim. Ursula nagle poczuła, że i jej kręci się troszeczkę w głowie i musiała oprzeć się o Simona, który nie miał nic przeciwko temu. Potem, kiedy butelka już opustoszała, całe towarzystwo udało się do łóżek.

Było już bardzo późno, kiedy Ursula usłyszała jakieś głosy. Początkowo dochodziły zza jej drzwi, a potem stopniowo cichły, aż wreszcie zupełnie zamilkły. Cicho stuknęły jakieś zamykane drzwi. Ursula opadła na poduszki i zaczęła się zastanawiać, jak ma to rozumieć. Jeden z tych głosów należał do Simona. Drugi do Julii.

## Rozdział dwunasty

Prómień słońca wlewały się strumieniem do pokoju. Kładły się na kołdrze, której kolory stawały się pod ich wpływem intensywne i nasycone. W ukosnych snopach światła widać było wirujące pyłki kurzu. W małym pokoiku ledwie można było pomieścić łóżko, komodę i wieszak w narożniku. Ursula wieszała na nim swoje nieliczne sukienki i spódnice. Nie potrzebowała niczego więcej. Przynajmniej nie tutaj, na wsi, gdzie można nazwać się szczęściarzem, jeśli spotka się jedną osobę dziennie. Czasami nawet i to się nie zdarzyło. Łóżko było stare i zapadnięte na środku, tak że za każdym razem, kiedy Simon przewracał się na bok, staczała się w coś, co wydawało się przepaścią. Potem musiała wygrzebywać się z tego z trudem, przytrzymując się materaca, by przycupnąć niepewnie na skraju łóżka. Było to coś zupełnie innego, niż łóżko w Savoy'u, w którym spędzili noc poślubną. Tamto było sprężyste i wygodne, ze sztywno wykrochmalonymi prześcieradłami i miękkimi kocami. Mogłaby się nim rozkoszować, gdyby nie była tak przerażona. I gdyby to tak nie bolało. To ją zaskoczyło. Myślała, że znowu poczuje to dziwne drżenie w żołądku, tak jak wtedy z Yahyah. Oczywiście nigdy nie pisnęła o tym nikomu, ale spodziewała się czegoś podobnego. No, ale może gdyby Yahyah zaczął się z nią kochać, przestałoby być miło i też by ją bolało. Simon powiedział, że za pierwszym razem zawsze boli, a gdyby nie bolało, poznaliby, że nie była grzeczną dziewczynką i że nie powinien się z nią żenić. Ciekawe, czy Sally była grzeczną dziewczynką, kiedy papa się z nią ożenił?

Simon był z początku delikatny, a Ursula zesztyniała z zażenowania, ponieważ upierał się, żeby nie gasić światła, a potem chodził po pokoju nagi. Wymachiwał butelką szampana i śmiał się! Trudno było do tego przywyknąć. Oczywiście

z początku, bo jeszcze nigdy nie widziała nagiego mężczyzny. Teraz już się do tego przyzwyczaiła... no, prawie. A on twierdził, że to dlatego, że jest niedoświadczona, że wkrótce będzie go pragnąć tak samo, jak on pragnie jej. Miała taką nadzieję. Ponieważ Simon nie zawsze miał dość cierpliwości, by ją podniecić, zanim w nią wejdzie. Powiedział, że jest wąska. I że musi sięz nią kochać. Podniecała go tak, że nie potrafił się opanować i nie mógł na nią czekać za każdym razem. Wcześniej czy później do tego przywyknie. Kiedy przestanie się krępować. Musi się rosurać. Ursula zaczęła podejrzewać, że go okropnie zawiodła.

Miała takie wrażenie nie tylko odnośnie, fizycznej strony ich małżeństwa. Simon zaczął ją krytykować niemal we wszystkim. Pierwszego dnia, kiedy przybyli do chaty i zobaczyli zaniedbaną drogę, dziurawe poszycie dachu, oraz ogólny obraz nędzy, na twarzy Ursuli musiał odbić się wyraz przerażenia, bo Simon nagle strasznie się rozłościł. Otworzył gwałtownie drzwi, kiedy wreszcie uporał się z zamkiem, i rzucił gazetę na stolik w korytarzu. Ursula weszła potulnie w ślad za nim.

- Czy coś się stało?

Drzwi były tak niskie, że prawie zaważała głową o framugę. Simon zniknął w mrocznym korytarzu. Przekroczyła próg; w środku pachniało zastarzałą pleśnią, kurzem, chłodem. Rozejrzała się. Po prawej znajdował się jakiś pokój, na lewo były schody. Korytarz ciągnął się w głąb domu, ku następnym drzwiom. Były otwarte, więc uznała, że Simon zniknął za nimi.

- Simonie! Simonie!

Nie odpowiedział; poczuła ukłucie rozdrażnienia. Na pewno ją słyszał. Dom był tak mały, że nie było miejsca, z którego nie byłoby jej słychać. A więc ją ignorował. A, do diabła z nim! Otworzyła drzwi po prawej. Jej oczom ukazało się małe pomieszczenie, mroczne i pełne mebli w pokrowcach. Bez namysłu podszła do zasłoniętych żaluzjami okien i podniosła je. Otworzyła okna. Do środka wdarły się strumienie słonecznego światła i pokój od razu zaczął wyglądać lepiej. Zdjęła kolejno pokrowce z mebli, przytrzymując je pod pachą. Właściwie było tu całkiem przyjemnie. Ktoś włożył kiedyś masę serca i uwagi w urządzenie tego miejsca, pomyślała z aprobatą. Sofy i krzesła były obite wytartym, ale ładnym bladożółtym i brzoskwiniowym perkalem, a w oknach wisiały zasłony z tego samego materiału. Wypolerowane deski podłogi, teraz spłowiałe i porysowane, nadal zdradzały dawną urodę. Wytarty niemal do osnowy orientalny dywan leżał na środku pokoju, pod oknem stało orzechowe biurko z krzesłem obitym tym samym perkalem. Dwa małe stoliki i komoda dopełniały umeblowania, a nad rzeźbionym dębowym kominkiem wisiało lustro. Pokój wydał się jej urzekający. I należał do niej! Jej własny dom. To ją podniosło na duchu. Pobiegnęła na poszukiwanie Simona.

Zastała go w kuchni.

- Simonie! Jak tu pięknie! Ten mały salonik jest po prostu uroczy, a kiedy go posprzątam i porozstawiam wszędzie kwiaty, pokochasz go... - słowa zamarzy jej na ustach. Simon patrzył na ogród takim wzrokiem, jakby widział go po raz pierwszy. A ogród był paskudny. Przerośnięty, zaniedbany, okropny.

- A więc dom ci odpowiada? Jesteś zadowolona? - Głos Simona brzmiał dziwnie; tak, jakby zachowanie obojętności kosztowało go dużo wysiłku. Jego lśniące brązowe buty były pokryte kurzem i zdarte od kopnięcia w drzwi. Ursula przelknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Tak! Oczywiście. Zrobimy z niego najpiękniejszy domek w okolicy. Trzeba tylko poświęcić trochę pracy, a do tego jestem przyzwyczajona. - Roześmiała się niepewnie, błagalnie. - Szkoda, że nie widziałeś, jak wyglądały warunki w kampu. Ale było nam wspaniale, naprawdę, i wszyscy pomagali sobie nawzajem. Nikt nie chodził głodny. Zobaczysz. Zrobimy tu porządek, a jaka to będzie zabawa!

Podeszła do niego i objęła go w pasie. Nawet nie drgnął.

- Czasami będę stąd wyjeżdżał. Do Londynu, w interesach. Nie mogę tu siedzieć i przez cały czas trzymać cię za rękę. Musisz się trochę usamodzielnić. Stań na własnych nogach. Nie wieszaj się tak na mnie. Jesteś już mężatką, nie dzieckiem!

Gwałtownie odsunął się od niej i wyszedł do tonącego w promieniach słońca ogrodu. Światło lśniło na jego włosach; wydawał się taki wysoki i barczysty w białej koszuli i spłowiełej marynarce. Jaki on przystojny, pomyślała z ukłuciem bólu w piersiach. Zdołam go uszczęśliwić. Postaram się, stanę na własnych nogach, nie będę się na nim wieszać i nauczę się z nim kochać, nawet jeśli to czasami boli. Mogę to zrobić, wiem o tym.

- Pójdę do sklepu. Kupię jakieś jedzenie i coś do czyszczenia. Tymczasem rozejrzyj się tutaj. Zajmij się wszystkim. Zaraz wracam. - rzucił jej niemal nie patrząc na nią. Przelknęła ślinę przez ściśnięte boleśnie gardło, zdławiła cisnące się jej do oczu łupie, dziecinne łzy, których tak nie znosił i zakrzętnęła się wokół domowych spraw.

Simon wrócił po trzech godzinach. Wpadł do domu z wielką torbą zakupów, tryskając dobrym humorem. Jego oddech pachniał piwem. Zatrzymał się w pubie na jednego ze swoim starym znajomym, którego niespodziewanie tu spotkał. Chyba się nie gniewa? Ursula zapewniła go z uśmiechem, że nie. Cóż on sobie wyobraża, że poślubił zrzędę? Roześmiał się i chwycił ją w ramiona. Pocałował ją, łaskocząc mokrymi wąsami.

- Boże, jak ja cię kocham - powiedział i uścisnął ją tak, że omal jej nie udusił. Ona również go objęła i pocałowała, z rozkoszą czując wędrówkę jego języka w ustach. A więc ją kochał! Była tego pewna. Nie zauważył, że podłoga lśni, ani że cały dom jest pięknie odkurzony i pozamiatany. Nie zauważył bukietów pełnych kwiatów w wazonach. Jedyne, co zauważył, to posłane łóżko. I to, że jego młoda żona wygląda uroczo z rozpuszczonymi włosami i zaróżowionymi policzkami. Więc poszedł z nią do łóżka i z zadowoleniem zauważył, że bardzo się stara. Trochę praktyki, powiedział. Może jeszcze w tym zasmakuje. A potem odwrócił się tyłem i zasnął, a Ursula zwinęła się w kłębuszek obok niego. Wszystko będzie dobrze.

Później wzięli wspólną kąpiel, płacząc ze śmiechu, kiedy mydło wysliznęło się im z rąk albo woda wychłupnęła się na podłogę. Simon kupił wino, które po-

pijali w wannie przy świetle świec. Wino i gorąca woda wydały się jej wstępem do krainy czarów. Oparła się o jego pierś i szeptała, jak bardzo go kocha, a on namydlał ją i zapewniał, że i on ją kocha. Wrócili do łóżka i tym razem było jej prawie przyjemnie. Przeciągnęła się jak kot na to wspomnienie.

Ale przeważnie Simona nie było przy niej i miała łóżko na swoją wyłączną własność. Ostatnio było to dla niej prawdziwą ulgą. Czowała się chora, a on nie mógł, albo nie chciał, zrozumieć, że nie chce, żeby ją dotykał. Coś ją dławilo, kiedy się na nią kładł i musiała go odpychać, a on natychmiast się wściekał i wypadał z sypialni jakby go goniło całe piekło. Wrzeszczał, że jest jej mężem, do pioruna, i mogłaby zachowywać się jak na żonę przystało! Wtedy tonęła we łzach, a on wracał i tulił ją do siebie i przeproszał tłumacząc, że przestał nad sobą panować, kiedy go tak odepchnęła. Czy nie może być bardziej zachęcająca? Nie kocha go?

Był zupełnie inny, dopóki nie pojechał do Londynu. Przedtem był o wiele łagodniejszy, nie chciał jej przerazić - wyjąwszy te chwile, kiedy był z nią w łóżku. Te pierwsze tygodnie były miłe. Widziała, że naprawdę jej pożąda i to napędzało ją dumą. Zaczęła podejrzewać, że w porównaniu z innymi kobietami jest pewnie źle rozwinięta. Właściwie on też tak twierdził. A jednak potrafiła go podniecić. Gdyby tylko się tak nie spieszył, gdyby był bardziej czuły, bardziej... jaki? Nie potrafiła tego określić. Ale po pierwszej wyprawie do Londynu Simon zmienił się i często przyłapywała go, jak przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Grymas zniknął, kiedy spostrzegł jej spojrzenie, ale natychmiast pojawiał się, kiedy odwracała wzrok. Wyglądał, jakby... miał nieczyste sumienie. I jakby nie był szczęśliwy. Jego oczy często zasnuwały się mgłą, która budziła w niej dreszcz strachu. Wtedy podwajała starania, by go uszczęśliwić, ale ciągle była jeszcze niedoświadczona, a jemu zdruzgotało się już czekać, aż odezwie się w niej ta sama namiętność, którą on najwyraźniej do niej odczuwał. Całowanie było przyjemne, tak jak tulenie się do siebie. A czasami sprawiał, że zaczynało się jej kręcić w głowie i miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Ale potem podniecał się i przestawał zwracać na nią uwagę. Szczypał i ugniatał ją jak ciasto, a potem wchodził w nią brutalnie. Starła się powstrzymać mdłości, ale przybierały na sile i ostatnio trwały przez całe rano. Wiedziała, co to oznacza. Nie była głupia.

Ta myśl budziła w niej przerażenie. Najbliższe domostwo było oddalone prawie o kilometr. Była to farma zamieszkała przez gromadę wrzaskliwych dzieciaków, milczącego ponuro mężczyznę i jego żonę o ostrym jak brzytwa języku, która w powrocie mogłaby zastępować rozgłośnie. Nie było takiej rzeczy, która mogłaby ująć oczom pani Clow. Za każdym razem, kiedy Simon wyjeżdżał bez niej do Londynu, Ursula czuła się osamotniona i opuszczona. Oczywiście pani Clow wiedziała o tym i co najmniej raz na tydzień wpadała, żeby dać jej to do zrozumienia. Ale skoro dziecko było w drodze, nawet pani Clow mogła się przydać. Ursula gryzła się w język i przytakiwała uwagom w rodzaju:

- Widzę, że mężusia znowu nie ma w domu. Co z wami, nowożeńcy? Nie wyobrażam sobie, czym on się może zajmować w tym Londynie. A ty?

Mięsiste policzki pani Clow nabierały pąsowego odcienia, a bujne ciało, podtrzymywane przez nogi pozbawione kostek i stopy w solidnych, pancernych bu-

tach, kołysało się i trzęsło jakby z rozbawienia. W takich przypadkach Ursula odpowiadała mężnie:

- Musi zarobić na życie. To dlatego znika z domu. Jego ojciec nie może go utrzymywać w nieskończoność, więc oboje zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej.

A pani Clow wybuchała śmiechem. Jej oczka ginęły w fałdach tłuszczu, a jednak dostrzegały wszystko. Uwielbiała te swoje objazdy sąsiedzkich domów, lubiła poganiać swojego kucyka i wołać do niego: „Dawaj do przodu, Jack, dawaj!”, by lawirując wprawnie po zrytych korzeniach gościńcach, wieźć innym swój dobry humor. I oczywiście ma rację, pomyślała Ursula. Może Simon nie powinien tak często znikać z domu? Ziarno wątpliwości zostało zasiane i choć starała się je wykorzenić, wkrótce rozrosło się i zagościło w niej na stałe. Wreszcie zaczęła udawać, że nie ma jej w domu, kiedy słyszała turkot zaprzęgniętego w kucyka powoziku.

Zycie wśród pól Essexu nie wydawało się jej przykre, o nie. Okolica pełna łagodnie falujących pól pod szerokim nieboskłonem podbiła jej serce. Ale było tu pusto i bardzo zimno. Była pełnia lata - sierpień - ale wiatr nie ustawał nawet na chwilę, a powietrze było tak kąśliwie zimne, że zamykała w nocy okna i rozpałała w kominku. Simon uważał, że to śmieszne i często ją napominał, twierdząc że nie może sobie pozwolić na ogrzewanie domu w środku lata. Poza tym w ten sposób nigdy się nie zaaklimatyzuje. A ona tylko uśmiechała się i wychodziła, żeby poszukać drewna na opał. Przynajmniej tego było tu pod dostatkiem.

Chata należała do babki Simona od strony matki; przez ostatnie lata służyła mu jako domek myśliwski. Były w nim dwie sypialnie, nędzna łazieneczka, kuchnia i salon. Obejście składało się z kilku szop, małej stodoły i szklarni, w której kilka szyb było wybitych, a w środku wszystkie rośliny wyginęły do tego czasu. Simon spróbował ją naprawić w czasach, kiedy jeszcze pałał entuzjazmem do życia na prowincji. Ale nowa szyba wypadła niemal natychmiast, a on zdołał wbić sobie ostry odłamek szkła pod paznokcieć kciuka i kłął przez resztę dnia. Ogród, zaledwie dwieście metrów kwadratowych, zdziczał zupełnie, a droga prowadząca do domu była pełna kolein i wykrotów. Simon stwierdził, że według niego jest uroczo rustykalna. A potem wyjechał do Londynu - w interesach. A Ursula zaczęła doprowadzać wszystko do porządku.

Przez długą chwilę nie przychodziło jej do głowy, że nie jest to jednorazowe zjawisko. W końcu była w nim zakochana i rozpaczliwie starała się stworzyć im szczęśliwe życie. Może jednak mieszkając w Londynie była zbyt dobrej myśli. Simon powiedział, że mieszkanie w mieście jest bardzo kosztowne. Ale z czasem nauczyłyby się uszczęśliwiać go tak, jak inne żony uszczęśliwiały swoich mężów. Gdyby tylko częściej z nią zostawał... Przecież chodziło tylko o to, że nie miała doświadczenia. Nikt nigdy nie pocałował jej tak naprawdę. Pewnie byłoby lepiej, gdyby nauczyła się nie bać, a on nie był taki niecierpliwy. Może nawet by to polubiła. Podobno niektórym kobietom się to udało. Westchnęła i zamknęła oczy.

Ślub był skromny i cichy - tylko najbliższa rodzina. Nabożeństwo odbyło się w środku tygodnia u Świętej Małgorzaty. Christopher nie pojawił się. Napisała do niego i poprosiła o przyjęcie, ale nie odpowiedział. Rodney powiedział, że bardzo intensywnie się uczy. Ciotka i wuj wydawali się zaskoczeni i zadowoleni, że udało się jej złapać dobrego męża w krótkim czasie. Zwłaszcza, jak wyszeptła ciotka do wuja, z taką marną figurą! I szczególnie, odszepnął wuj, kiedy kolejna gęba do wykarmienia byłaby dla nich ciężarem nie do zniesienia. To duża ulga, że tak się to wszystko dobrze skończyło akurat wtedy, kiedy stracił pracę. Dobrze wiedzieć, że dziewczyna ma dobrą opiekę. Ciotka Mary prychnęła w odpowiedzi.

Simon wyglądał zabójczo przystojnie, a Ursula bardzo elegancko, a nawet... pięknie. To jeszcze bardziej zaskoczyło ciotkę. Miłość opromieniła dziewczynę łagodnym blaskiem i podkreśliła jej egzotyczną urodę, odbiegającą od popularnych kanonów piękna, ale doprawdy uderzającą, co musiała przyznać wbrew sobie. A razem wyglądali na bardzo szczęśliwych.

Julia także wydawała się nieprzyjemnie zaskoczona tym, że Ursula rozkwitła i stała się tak wdzięczną młodą kobietą. Te szerokie, wydęte usta i złocista skóra, te wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, których urokowi doprawdy niewielu mogło się oprzeć. A już z pewnością nie Simon. Zmierzyła oboje wzrokiem, który nie uszedł uwagi nawet wuja George'a, mimo iż Julia wydawała się mu o wiele bardziej atrakcyjna. A ciotka Mary także na to nie zgodziła się odpowiedzieć.

Miesiąc miodowy spędzili w chatce. Simon czule dopytywał się, czy nie zrobi jej to różnicy. Mieli tak niewiele pieniędzy. A ona oczywiście się zgodziła. Chatka wyglądała tak, jak te, o których opowiadali jej papa i Billy: kamienna, ze strzechą i różami pnącymi się wokół drzwi, a skrajem ogrodu płynął szumiący strumyk. Oczywiście trzeba było włożyć w to trochę pracy, ale na tym polegała cała zabawa. Razem w mgnieniu oka doprowadzą dom do wspaniałego wyglądu. Tak właśnie wtedy myślała.

Po trzech tygodniach od przyjazdu Simon musiał pojechać do Londynu. Pilny interes, a mieli tak niewiele pieniędzy. Czy nie ma nic przeciwko temu? Miała, ale starannie ukryła to przed nim, oskarżając się w duchu o niewdzięczność. Poza tym chciała stanąć na własnych nogach. Wrócił po czterech dniach z przeprosinami i tuzinem czerwonych róż. Zastanawiała się, jak mógł sobie na nie pozwolić, skoro mieli tak niewiele pieniędzy, ale powiedział jej, że jest tego warta. Więc objęła go i zaczęła namiętnie całować, żeby przekonał się, jak bardzo go kocha. Ze wszystkich sił starała się dać mu to, czego najwyraźniej tak potrzebował. I czuła, że zaczyna jej iść coraz lepiej, że jest przy nim coraz bardziej spokojna. Może, gdyby tym razem został dłużej... Po dwóch dniach wyjechał znowu.

- Gdzie jest pan Patterson? Chyba nie wrócił znowu do miasta? - To był człowiek, który sprawdzał stan licznika. Ursula nawet go nie знаła. Łypnęła na niego spod oka.

- Mój mąż musi pracować. Tak, jak pan. Ja się nie dziwię, że nie siedzi pan z żoną całymi dniami.

- No, ma pani rację. Tylko wieczorami. Ale moja żona pewnie z radością zamieniłaby się z panią miejscami, żeby raz wreszcie zszedł jej z oczu. - Od-



szedł, pogwizdując z zadowoleniem, nie podejrzewając nawet, jaką jej sprawił przykrość. A ona udawała, że wcale nie jest jej przykro. Simon ją kocha. Mówił jej to za każdym razem, kiedy szli do łóżka. Trzymał ją w ramionach i mówił: „kocham cię”. Nie można się było pomylić. Pociągnęła nosem i w ostatniej chwili powstrzymała się przed wytarciem go w ścierkę do talerzy.

- Witaj, sąsiadko, tu Jane Clow. Gdzie się podziewa ten skurczybyk, twój mąż? - ryknęło coś od strony kuchennego okna. - Musi mi zapłacić. Nie zostawił ci pieniędzy, co? Nie jest tego wiele, Bóg mi świadkiem, ale muszę je dostać, bo nie będę mogła dostarczać ci mleka i jajek.

- Och! Strasznie cię przepraszam, Jane! Simon musiał zapomnieć o tym na śmierć. Dałam mu rachunek. Każę mu iść do ciebie, jak tylko wróci.

- Czyli kiedy? Nie, nieważne. Jesteś chyba tak samo zorientowana, jak ja. To cały Simon. Znam go od urodzenia i wiem, że nigdy nie dorośnie. Ale chyba nie powinnam ci o tym mówić, co? W końcu to wasz miesiąc miodowy.

- No, niezupełnie. Wzięliśmy ślub dwa miesiące temu, więc pewnie ten miodowy okres mamy za sobą. To dlatego Simon wrócił do pracy, żeby zarobić na życie. Mamy tak niewiele pieniędzy, a on zapracowuje się, żeby niczego nam nie brakowało. Bardzo cię przepraszam, Jane. To się już nie zdarzy.

- Nie, aż do następnego razu - roześmiała się Jane. Problem rachunków zbladł w jej oczach wobec nowej ploteczki. - Więc pozdrów go ode mnie i powiedz mu, że jako mąż jest do niczego. Tak, jak zawsze był do niczego jako syn. On będzie wiedział, o czym mówię. No, muszę lecieć, pa.

I Jane powędrowała w swoją stronę, wesoło pokrzykując na swojego kuczka. Tym razem Ursula jednak skorzystała ze ścierki. I tak mijały jej kolejne dni.

Odgaśnięcie prawdy przyszło jej z trudem. Kiedy jednak przez pierwsze trzy miesiące małżeństwa sytuacja powtarzała się, a wizyty Simona w domu za każdym razem stawały się krótsze, a po kolejnych dyskusjach jeszcze rzadsze, zaczęło do niej docierać to, czego do tej pory nie chciała zrozumieć. Była dla niego zasłoną dymną; czekającą na uboczu żoną, która odciągała uwagę od jego miłostek. Może przez jakiś czas naprawdę się dla niego liczyła, tak jak mógłby przełotnie zasmakować w nowej potrawie czy wódzie po goleniu, ale teraz jej urok spowszedniał. Stała się jego żoną. Ciężarną żoną.

Co zabawne, ich jedyna kłótnia nie miała nic wspólnego z jego wyjazdami. Chodziło o pogwałcenie prawa Ursuli do prywatności. Przynajmniej tak uważała ona. Simon stwierdził, że zachowuje się jak idiotka. Dlaczegoż to niby nie miałby otwierać jej listów, skoro jest jej mężem? List został wysłany przez firmę prawniczą w Perth w Australii. Niejaki pan Waters powiadał, że odziedziczyła majątek Sally w Gidgeeganup, i że znalazł zarządcę, który poprowadzi jej sprawy. Nie należy spodziewać się dochodów, ponieważ majątek z trudem zarabia na siebie. Simon był bardzo niezadowolony. Sądził, że po potwierdzeniu zgonu Sally Ursula otrzyma jakiś spadek. Każdy grosz się liczy, zaznaczył obrzucając ją spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że nie dotrzymała zobowiązań.

Ursula zaprotestowała gniewnie, kiedy zobaczyła, że Simon czyta jej list. Nie był zaadresowany do niego. To nie jego sprawy. W odpowiedzi rzucił jej list

w twarz i wypadł z domu, trzaskając drzwiami. Pomyślała, jeszcze trzęsąc się z gniewu, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, zawsze będzie mogła zamieszkać w Australii. Oczywiście były to tylko mrzonki, ale czuła się pewniej wiedząc, że ma dokąd pójść.

Przewróciła się z boku na bok na łóżku czując, że źle się dzieje z jej żołądkiem; usiłowała powstrzymać jego szalone harce. Nie pomogło. Pospieszenie odrzuciła kołdrę i dygocząc przebiegła boso po zimnej podłodze do łazienki, gdzie zaczęła wymiotować. Trzeci raz tego ranka. Powoli osunęła się na podłogę, oparła plecami o wannę i pochyliła głowę nad muszlą klozetową, w każdej chwili oczekując następnego ataku mdłości. Zimny pot lał się jej po twarzy strumieniami, nocna koszula przylepiła się jej do pleców, a ona na zmianę trzęsła się z zimna i dławila. Zawsze miała słaby żołądek, ale jeśli tak wygląda ciąża, nie pozwoli, żeby Simon ją choćby dotknął. Nawet nie pragnęła tego dziecka. Skoro jego ojciec się nim nie przejmował... Z początku była zadowolona. Myślała, że to zbliży ich do siebie. I że cudownie będzie mieć dziecko, takie jak mały Tom. Wiedziała, że będzie dobrą matką. Ale nie samotną matką! Poza tym była jeszcze taka młoda. Nie ukończyła nawet osiemnastu lat. Jak miała sama jedna poradzić sobie z wychowywaniem dziecka i prowadzeniem domu z ogrodem? Simon nie dawał tyle pieniędzy, ile trzeba. Zawsze wydawało się, że to wystarczy, kiedy wręczał jej jakąś sumę twierdząc, że nie będzie go dwa, no - najwyżej trzy dni. Ale trzy dni rozrastały się w tydzień, dziesięć dni i pieniądze się kończyły. Simon najwyraźniej jej nie rozumiał. Mówił, że nie sypia na pieniądzach. A potem pojawiał się K z bukietem kwiatów wielkim jak wiązka słomy, albo z pudłem jakichś eleganckich czekoladek, a Ursula mimo woli myślała, że pewnie kosztowały więcej, niż ona wydała przez tydzień na życie.

Wanna była blaszana, z jednej strony wyższa; w zasadzie białego koloru, ale przez lata na emalii pojawiły się zadrapania, więc wymagała ciągłego szorowania, żeby wyglądała przyzwoicie. Ale przynajmniej miała odpływ. Pani Clow powiedziała, że takie luksusy tylko psują charakter. Ursula nie sądziła, żeby można to było nazwać luksusem. Podłogę wykonano z woskowanych desek, na których od byle chlapięcia powstawały plamy. Ursula kąpała się bardzo ostrożnie, ale Simon beztrząsco chlustał na wszystkie strony wodą z mydlinami, tak że na podłodze tworzyły się kałuże, a oklejone tapetą ściany były do połowy mokre. Nie namiętnała go. Za żadne skarby nie chciała stać się zrzędą, a przecież ciotka Mary tak ją nazwała w rozmowie z Rodneyem. Westchnęła i pochyliła się znowu nad zimnym metalem, gorąco modląc się, by odzyskać dawne siły. Tak wiele miała do zrobienia! Nad wanną wisiał, oprawiony w ramki, ładny ołówkowy szkic. Była to kąpiąca się kobieta i Ursula bardzo lubiła na nią patrzeć. Ale utonęła w bryzgach wody podczas jednej z simonowych kąpiei i została skazana na powieszenie w korytarzu, trochę piegowata i żółkła na brzegach. Ursula westchnęła.

f Kiedy doszła do wniosku, że jej żołądek na chwilę dał za wygraną, powoli podniosła się i powlokła do sypialni. Padła bezwładnie w poprzek łóżka. Wiedziała, że jest już po dziesiątej, ale nie miała ani krzty siły, więc wpełzła pod kołdrę i owinęła się nią szczelnie. A niech! Niech sąsiedzi ją obgadują! Wszyscy

powinni zostać skazani na poranne nudności na co najmniej rok! Przynajmniej jej ciało jeszcze się nie zmieniło. Poza piersiami. Były większe niż zwykle i bardzo wrażliwe na dotyk. Simon lubił je dotykać, choć mówiła mu, że jąbolą. Ale za to jej brzuch pozostał równie płaski, jak zawsze. Wydawało się, że dziecko właściwie nie istnieje. Czasami podejrzewała, że je sobie wyobraziła. Ale poranne nudności nie były wytworem jej wyobraźni. A o ile się orientowała, to już trzeci miesiąc. Podobno w trzecim miesiącu mdłości ustępują. Słyszała, że to dobrze, kiedy sieje ma; to znaczy, że dziecko leży tak, jak powinno. Przynajmniej tak mawiała Fatima i inne kobiety w kampongu. Och! Ileż by dała, żeby mieć przy sobie ciepłe ciało Fatimy, żeby trzymała ją w objęciach, kołysała i słodkim głosem śpiewała kołysanki, tak jak to robiła, kiedy Ursula była dzieckiem. Albo żeby mały Tom znowu zwinął się w kłębuszek obok niej i przytulił policzek do jej twarzy. Albo żeby Billy uśmiechnął się do niej i znowu powiedział: *cahayamata*. Zamknęła oczy; łyzy zaczęły palić ją pod powiekami i pociekły przez zaporę rzęs, na policzki. Billy! O, Billy! Wszyscy, którzy ją kochali umarli, albo znajdowali się na drugim końcu świata. Z wyjątkiem Christophera. Ale on nie odpowiedział na żaden jej list. Poza tym, co niby miałyby zrobić? Była mężatką i spodziewała się dziecka. Nie mógł jej pomóc. Schowała twarz w ciepło poduszki.

Tym razem Simon wrócił po pięciu dniach. Twierdził, że nie będzie go trzy dni, ale nie uwierzyła mu nawet wtedy, kiedy uśmiechnął się i połaskotał ją pod brodą. Jego spojrzenie uciekło w bok. Podejrzał, że Ursula jest w ciąży, ale nie spytał jej, a ona była zbyt nieśmiała, żeby go poinformować. Ale tym razem postanowiła, że to zrobi. Postawi wszystko na ostrzu noża - albo Simon znacznie częściej bywać w domu i pomagać jej do czasu narodzin dziecka, albo wróci do rodziny. Oczywiście był to blef. Po tym, jak wuj stracił pracę, nie mogła mieć na to najslabszej nadziei. Ale przy odrobinie szczęścia Simon się nie zorientuje. Nie byłoby tak źle, gdyby wiedziała, czego się ma spodziewać. Była przerażona i osamotniona i bardzo potrzebowała czyjejś obecności. Choćby męża. Musiał z nią zostać do porodu. Potem może sobie siedzieć w Londynie, ile mu się podoba. Poczula ostry żal, ale stawiała mu czoło. Niech sobie siedzi w tym Londynie z kobietami, którym podobało się to, co chciał z nimi robić, które uważały, że szczypanie i ugniatanie jest pociągające. Ona do tego czasu wydobrzeje na tyle, by zająć się pracą w ogrodzie. Umie przecież hodować warzywa i pleść maty. Życie w kampongu nie dało jej wiele, ale nauczyło wykorzystywać bogactwa ziemi. Tylko musi się wzmocnić. To dziecko będzie jej pierwszym i ostatnim. Już ona tego dopilnuje.

Leżała na wznak i wyglądała przez okno na błękitne niebo. Kołdra była znowu ciepła i miękka, a ona czuła się już lepiej. Mdłości już się dzisiaj nie pojawiają. Zrobiła sobie listę spraw do załatwienia. Po pierwsze musi się dowiedzieć, jakie warzywa powinna posadzić, i kiedy. Następnie należy opracować sobie plan na cały rok z zaznaczeniem zbioru każdej odmiany oraz z porą sadzenia, nawożenia i przesadzania. To będzie nawet przyjemne. Lubiła pracę fizyczną, sprawiała jej przyjemność przyglądanie się wzrostowi roślin. Simon odczuje ulgę w finansach, choć powinien być życzliwszy po narodzeniu dziecka. Przecież nie pozwoli mu

umrzeć z głodu czy zimna. Tak, i chciała mieć również ogród z ziołami. I parę kurcząt, a może nawet krowę. O, może uda się im zdobyć nawet konia! Wspaniale będzie móc znowu jeździć. Nie miała wątpliwości, że o jednego konia zdoła zadbać nawet sama. A Simon może na nim jeździć, kiedy zjawi się tu na polowanie. Kupiłby sobie jakiegoś konia, gdyby chciał na nim jeździć. Teraz zaczynało do niej docierać, że na zachcianki nigdy nie brakowało mu pieniędzy. To prawdopodobnie pieniądze ojca. Był skąpy tylko wobec niej i tylko wtedy, kiedy był nią znudzony. Ostatnio był nią znudzony przez cały czas. Może jeśli dowie się o ciąży, wszystko się zmieni? Jedna łza spłynęła jej po policzku i skapnęła w ucho, łaskocząc je nieprzyjemnie. Niecierpliwie wytarła ją.

Gdyby miała konia, mogłaby jeździć na targ i kupować brakującą żywność. Imoże... przypuścimy... mogłaby założyć własne przedsiębiorstwo. Taką małą wytwórnię, produkującą materiały i kompozycje z suchych kwiatów? I może jeszcze mogłaby piec ciasta lub suszyć zioła, albo wytwarzać ocet i konfitury? Pokaże Simonowi, że sobie poradzi bez niego. A kiedy nabierze do niej szacunku, być może zechce częściej z nią przebywać. To możliwe. Tylko musi być zdrowa i silna. Położyła dłoń na żołądku i poruszyła się niecierpliwie. Jeszcze sześć miesięcy! Co za niedogodność! Czy nie mogłoby się to zdarzyć, kiedy domek będzie już pomalowany, a ogród doprowadzony do porządku? Te dzieci i ciążę, co za głupi wynalazek!

Westchnęła głęboko i wygrzebała się z łóżka. Dostyc tego dobrego. Zrobiło się późno, a ona ma się czym zająć. Jeszcze nigdy nie była w pobliskim miasteczku. Simon wyjechał, ale przedtem wszystko zorganizował. Mleko i jajka dostawała od Jane Clow, a sklepikarz składał jej regularne wizyty z produktami spożywczymi. Ale poczuła, że nadeszła pora, by rozejrzeć się na własną rękę.

W południowym gwarze i ruchu sklepikarze krzatali się wokół swoich spraw, urzędnicy spieszyli na obiad; Elsing wydało się jej duże i dostatnie. Ursula szła główną ulicą z bardzo zadowoloną miną. Mieli tu aptekę, sklep warzywny oraz mały stylowy domek z mosiężną tabliczką: „Dr R. B. Cullens”. To bardzo dobrze. Lekarz zaledwie o trzy kilometry od domu. Weszła i zamówiła sobie wizytę na przyszły tydzień.

Nieco dalej znajdował się sklep z używanymi rzeczami. Kiedy weszła do środka, nad jej głową zadźwięczał dzwoneczek. Wewnątrz panował cuchnący pleśnią mrok, z którego wylaniały się stoły, krzesła, skrzynie, dzbanki, rakiety tenisowe, walizki i sprzęty kuchenne, ułożone jeden na drugim w chwiejną piramidę. Ursula rzuciła okiem na ceny i ze zdumieniem odkryła, że wszystko jest bardzo tanie. Skoro tak, skończy meblować swój dom w mgnieniu oka. W tej chwili nie miała pieniędzy, ale czy kto kiedy słyszał, żeby taka sterta naczyń kuchennych kosztowała trzy pensy? To odkrycie podniosło ją na duchu; zaczęła rozglądać się z uwagą. To krzesło będzie idealne do łazienki; będzie mogła na nim kłaść ubrania i ręczniki podczas kąpieli. A ten stółek bardzo się przyda w kuchni. Na razie miała w niej tylko dębową szafkę i stół bez ani jednego krzesła. Ale może lepsza

będzie ława? Tamta pod ścianą wyglądała ładnie i była tylko trochę porysowana. Trzeba ją tylko przetrzeć olejem lnianym i gotowe. Żeby się jej przyjrzeć, musiała ominąć dwa kufry. Tak, naprawdę ława była w bardzo dobrym stanie i kosztowała zaledwie szylinga i sześć pensów. Ciekawe, czy mogłaby zamówić ją sobie i wrócić po nią później, z Simonem.

Nigdzie nie widać było śladów obecności właściciela, jeśli nie liczyć dzwonka, który miał go chyba ostrzegać, że jakiś klient buszuje w jego skarbach. Ursula wycofała się na korytarz i poszła w głąb sklepu. Korytarz okazał się dłuższy, niż się spodziewała; niespodziewanie znalazła się w maleńkim pomieszczeniu, pękającym w szwach od dziesiątek książek. Tabliczka informowała, że jest to biblioteka miejska. Ursula uśmiechnęła się. Jak ktokolwiek mógł ją znaleźć, skoro była ukryta za sklepem ze starzyzną? Zastała tu parę osób: kobietę z koszykiem zakupów i twarzą niemal zupełnie ukrytą za dziką strzechą włosów oraz starszego pana w tweedowej marynarce z łatami na łokciach. Oboje uśmiechnęli się grzecznie.

- Czym mogę służyć? - odezwał się mężczyzna. Ursula drgnęła z zaskoczeniem. Nie spodziewała się, że to właśnie bibliotekarz. Wyglądał raczej na... ogrodnika.

- Oglądałam meble i spodobała mi się ława. Ta za dwoma kuframi. Ale nie spodziewałam się, że znajdę tu też bibliotekę. Jak mogę się zapisać? - Nie podnosiła głosu, żeby nie przeszkadzać kobiecie, ale bibliotekarz zdawał się nie pochwałać takich subtelnosci. Odpowiedział pełnym głosem.

- Dwa szylingi sześć pensów wpisowego i musi pani wypełnić ten formularz. Można brać sześć książek naraz i trzymać dwa tygodnie. W razie przekroczenia terminu, płaci pani tygodniowo pół pensa za jedną książkę. Jeśli ma pani jakieś książki, może je pani przynieść i dostać za nie inne, odpowiadające im ceną i poziomem. Jakież wątpliwości? - Poczula na sobie spojrzenie kobiety, więc skinęła jej głową z uśmiechem. Biblioteka była mała i rządziła się dziwnymi prawami, ale Ursula była przyzwyczajona do takiej procedury. Przypominała jej bibliotekę klubu Tanglin, oczywiście na mniejszą skalę. No, ale zawsze to coś na początek.

- Tak. Czy mogę zapisać się od razu i czy mogę wpłacić zadatek na ławę, a resztę sumy uiścić potem, kiedy mój mąż wróci z Londynu? Spodziewam się go za parę dni. Rozumie pan, pomoże mi przewieźć ławę w samochodzie.

- Naturalnie.

Wypełniła kartę biblioteczną i rozejrzała się po pomieszczeniu. Było ciasne i pełne książek. Nie wiedziała tylko, czy książki te zostały ułożone według jakiegoś klucza. Zaczęła przeglądać je od niechcienia, rozkoszując się dreszczem podniecenia na widok tak wielu nieznanym jej dzieł. Kobieta z zakupami zatrzymała się tuż obok niej.

- Dzień dobry. Pani musi być panią Patterson. Jane Clow poinformowała mnie, że wprowadziła się pani do Cottersów. Zamierzałam nawet wpaść i przedstawić się. Jestem Lettice Dunham.

Ursula uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę. Lettice Dunham? Czy to ta, która mieszkała na starej plebanii, czy też ta z Elsing House? Pani Clow

uraczyła ją tyloma historyjkami na temat wielu osób, że wszystko się jej poplątało.

- Bardzo mi miło. Jak się pani domyśliła, że to ja? Czy pani Clow mnie opisała?

- Z ogromną trafnością. - Lettice roześmiała się chrapliwie, jakby miała chore gardło. - Pewnie już się pani zorientowała, że nie ma w tej okolicy niczego, o czym nie wiedziałaby Jane. Wszyscy na niej polegamy. W przeciwnym razie, skąd mielibyśmy znać najnowsze ploteczki? - Znowu wybuchnęła śmiechem; Ursula zawtórowała jej. Co za ulga; tak dawno się nie śmiała, że mięśnie gardła niemal jej zeszytywniały.

- Proszę mówić mi po imieniu. Jeszcze nie przywykłam do nazwiska.

- Dobrze, ja jestem Lettice. Domyśliłabym się, że jesteś młodą mężatką nawet, gdybym nie usłyszała tego od Jane. Wyglądasz na okropnie młodą i niedoświadczoną jak na mężatkę. Mam nadzieję, że się na mnie nie obrazisz. Jestem dość otwarta, ale przynajmniej ludzie wiedzą, co o nich myślę. Żadnego kręcenia! A właśnie, jak brzmi twoje panięskie nazwisko? Znałam parę osób z Singapuru.

- Fraser. Mój ojciec nazywał się Harry Fraser z firmy „Gooch i Fraser” w Singapurze. Ale tak naprawdę nie było żadnego pana Goocha.

- Naprawdę? A nie znałaś może Howardów? - Ursula pokręciła głową. Lettice wzruszyła ramionami. - Zawsze warto spróbować. Ale - jakież to ekscytujące! Dorastać w takim egzotycznym miejscu! Musisz opowiedzieć mi o Dalekim Wschodzie. Umieram z niecierpliwości. Może wstąpisz do mnie? Napijemy się herbaty, porozmawiamy i poznamy się lepiej, a ja powiem ci, które sklepy są najlepsze. - Cała dygotała z podniecenia; długi nos i pyzate różowe policzki pod kędzierzawymi jasnymi włosami nadawały jej wygląd owcy. Bardzo sympatycznej owcy, poprawiła się Ursula z odrobiną poczucia winy.

- To bardzo miłe. Chętnie! Ale gdzie mieszkasz?

Lettice znowu wybuchnęła śmiechem. Chyba należała do pogodnych ludzi.

- W takim małym domku z widokiem na drogę publiczną i staw. Nazywa się Elsing House. Na pewno go zauważysz, a jeśli zabłądzisz, spytaj kogokolwiek. Każdy go zna.

Jakie to miłe. Być znanym przez wszystkich. Prawie tak, jak w starym dobrym Singapurze. Ursula uśmiechnęła się do Lettice, która dźwignęła swój kosz i ruszyła do drzwi. No proszę, już teraz wszystko wygląda lepiej. Znalazła lekarza i koleżankę. Teraz powinna już tylko męża!

Ostatnia myśl przypomniała jej, że musi się dowiedzieć czegoś o uprawie roślin w Anglii. Na pewno wszystko wygląda inaczej, niż w Singapurze. Inny klimat, gleba, teren - wszystko! Musi się tego nauczyć. Znalazienie czegokolwiek w bibliotece było zajęciem czasochłonnym. Wreszcie trafiła na książkę zatytułowaną „Wojenne ogrody”. Była stara, zaczytana i poznaczona śladami ubrudzonych ziemią palców. Ale to akurat wskazywało na to, że ludzie czytali tę książkę i mieli rezultaty. Przynajmniej można było mieć taką nadzieję. Wzięła jeszcze dwie książki, które nie wyglądały na równie dobre, ale miały interesujące ilustracje. Natchnienie może zastąpić solidną wiedzę, pomyślała. „Do-

bra Gospodyni" też wydawała się dobrze rokować. Wzięła ją z półki. I, niemal wbrew sobie, pożyczyła też książkę o niemowlętach. Dlaczego nie? Musiała się czegoś nauczyć.

Elsing House był dokładnie taki jakim być powinien. Stał nieco oddalony od drogi, oddzielony niskim murkiem. Wzniesiony z czerwonej cegły, miał trzy piętra oraz facjatkę. Ursula spojrzała łakomie na wypielęgnowany ogród i piękny żwirowany podjazd, prowadzący łagodnym łukiem w stronę białych drzwi. Właśnie czegoś takiego spodziewała się, kiedy Simon powiedział, że ma mały domek na wsi. Przypuszczała, że takie właśnie będzie jej życie - z ogrodnikiem, pokojówką i kucharzem, tak jak przed wojną. Była głupia, ale... tak miło byłoby stać się znowu bogatą. Przełknęła ślinę przez boleśnie zaciśnięte gardło i ruszyła w stronę domu. Jej uwadze nie uszły rododendrony pod bukiem i barwne plamy kwiatów. Było ciepło i słonecznie, mur odgradzał ją od podmuchów wiatru, a znad grządek dobiegało brzęczenie pszczół. Przed domem rosły bladioróżowe róże o płatkach obrębionych złotym brzeżkiem. Pięły się po murze i oplatały okna. Do framugi drzwi było przytwierdzone gniazdko ulepione z błota. Ursula zawahała się, nie wiedząc, czy pukanie nie przestraszy ptaków.

- Ursulo, chodź tutaj! - Lettice wołała do niej zza rogu domu. Na jej ramieniu przycupnął wielki, ospały kot. Lettice zniknęła z jej pola widzenia, więc Ursula poszła w tamtą stronę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zabłądziła do tajemniczego ogrodu. Lada chwila pokaże się Dickon i powie, że „dziwna z niej dziouszka”. Potrząsnęła głową i roześmiała się cicho. Wszystko było po prostu zbyt doskonałe.

Lettice ustawiła zastawę do herbaty na starym marmurowym stoliku w ogrodzie, przy którym stały dwa wygodne wiklinowe fotele z przyjemnie wypchanymi poduszkami. Kot podniósł na jej widok dużą głowę, ukazując szramy po odniesionych w boju ranach, mrugnął leniwie żółtymi oczami, po czym znowu oparł podbródek o ramię Lettice. Lettice trzymała go w zgięciu ramienia. Drugą ręką skinęła na Ursulę.

- Na razie nie korzystamy z drzwi wejściowych - wyjaśniła - ponieważ pierwsze gniazdo zanadto wyschło i odpadło, kiedy Hugh za mocno trzasnął drzwiami. To ich drugie pisklaki i mamy nadzieję, że zdążą dorosnąć przed zimą. Te jaskółki to takie głupie ptaki. Zawsze budują gniazdo w tym samym miejscu, nawet jeśli za pierwszym razem coś im nie wychodzi. Więc teraz drzwi są nie do użytku do czasu, aż te małe cholery odlecą.

- Jakie to piękne. Większość ludzi by tego nie zrobiła. Po prostu zrzuciliby I to drugie gniazdo. No, bo ptaki chyba dość brudzą, prawda?

- Obesrały wszystko naokoło, że już nie wspomnę o piórkach, skorupkach i gałązkach. Małe diabły!

Ursula otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Polubiła Lettice i jej okropne słownictwo. Stolik przykryty był białą szydełkowaną serwetą, na której stały talerze i filiżanki. Lettice podała biszkopt posypyany cukrem pudrem i przekładany

dżemem oraz piętrową paterę z ciasteczkami z otrąb na górze, maleńkimi kanapeczkami na tacy środkowej oraz ciastkami z płatkami migdałów na dole. Ursula uśmiechnęła się; jej serce zalała fala błogości. Umościła się na poduszkach, z których jedną podłożyła sobie pod krzyż, i głęboko odetchnęła. Wokół unosił się zapach trawy, róż, lawendy i hortensji, zmieszany z suchą wonią wiklinowych foteli. Lettice usiadła niezgrabnie i przeniosła kota na kolana, na których zwinął się w kłębek i nakrył nos ogonem.

- Jak mu na imię?

- Toby. Stary podrywacz z niego, ale robi się zbyt wiekowy na takie rozrywki. Na razie zachęcam go, żeby został na noc w domu. Stary głupek. Nigdy mnie nie słucha. Za parę dni znowu pryśnie. - Całkiem jak Simon, pomyślała Ursula gorzko. Tylko, że Simon jest młody i przystojny. Lettice spojrzała na nią tak, jakby czytała w jej myślach.

- A gdzie się szwenda ten przystojny skurczybyk, twój mąż? Rozbija się po Londynie? - Nie zwróciła uwagi na rumieniec, rozlewający się po policzkach Ursuli. Wzięła dzbanek i nalała herbatę do filiżanek. - Mleka?

- Nie, dziękuję. Wolę czystą. Bez niczego.

- Aha. Więc doleję trochę wody. Gdybym wiedziała, co lubisz, zaparzyłabym dwa imbryki. **Cytryny?**

^v o, nie, tak jest dobrze. Nie trzeba drugiego imbryka.

- Dobrze. Skoro Toby zasnął, wolałabym przez chwilę nie wstawać. No, więc gdzie ten twój Simon? Nie wpadł, żeby mnie odwiedzić. Pewnie boi się, że mu coś powiem. Kochasz go? - Lettice miała koszmarny zwyczaj zadawania bardzo osobistych pytań tuż po wypowiedzeniu szeregu ogólników. To wytrącało z równowagi.

- Tak! Oczywiście! Czemu... czemu pytasz? Przecież nie wyszłabym za niego, gdyby było inaczej?

Roześmiała się nerwowo. Lettice wzruszyła ramionami.

- No, nie wiem. Mogłabyś mieć swoje powody. Wydaje się dobrą partią, Bóg wie dlaczego, a poza tym czasami musi się wyjść za mąż. Nie mówię, że tak było w twoim przypadku, po prostu pytam. Kochasz go?

- Tak, i tylko dlatego za niego wyszłam! - warknęła Ursula i odstawiła z trzaskiem filiżankę. Ręce trzęsły się jej, a twarz spurpurowiała pod ciekawym spojrzeniem Lettice. - Simon jest... hm, nie jesteśmy bogaci. I dlatego musi pracować w Londynie. Tutaj nie ma nic do roboty. Rozmawialiśmy o tym i zgodziliśmy się, że przez pewien czas tak musi pozostać. - Jak śmiała spytać ją o coś takiego, jakby myślała, że pieniądze albo pozycja mogły mieć coś wspólnego z jej sytuacją. No, może tylko wówczas, gdy małżeństwo z kimś, kto mógłby się nią zaopiekować... I kochała Simona, ciągle go kochała, bez względu na wszystko. Jego twarz stanęła jej przed oczami, pełne wargi pod tym trochę wojskowym wąsem, jasne, pełne światła oczy. Znowu poczuła znajome ukłucie tęsknoty i osamotnienia. Musiała natychmiast pomyśleć o czymś innym. Wystarczy spojrzeć na tę twarz i nie trzeba zaprzętać sobie głowy niczym poza nią. Wystarczy spojrzeć na te wąsy. Nigdy nie przepadała za wąsami. Zwłaszcza tymi obciętymi na wojskową modłę.



Przycisnęła palce do skroni, mocno, mocno, żeby odzyskać tę pewność, która odezwała się w niej po pytaniu Lettice. Czy go kochała? Czy kiedykolwiek go kochała? Właściwie nawet go nie znała. Może był właśnie tym, czego szukała i pomyślała, że może na nim polegać? Teraz była już mądrzejsza. Spojrzała na Lettice bezradnie.

- Nie wiem. Myślałam, że wiem. Myślałam, że mogę mu zaufać i że stworzy mi cudowne życie, takie jak przed wojną. Teraz już nie wiem. Ale nadal za nim tęsknię. Od jak dawna go znasz?

Lettice nie zmieniła wyrazu twarzy. Spokojnie popijała herbatę i drapała Toby'ego za uchem. Kot mruczał głośno i prężył ogon.

- Od jego narodzin. Nawet wcześniej. Stara Hilda, jego babka, mieszkała wtedy w waszej chacie i Simon przyjeżdżał do niej razem z matką. Czasami zostawał u niej na wakacjach. Chyba znałam go przez całe życie. Jego matka i ja byłyśmy przyjaciółkami jeszcze przed jej zamążpójściem. Razem chodziłyśmy do szkoły i spędzałyśmy wiele czasu, aż wreszcie poznała Humphrey'a. Miły człowiek! A potem urodził się Simon i spotkałam się z nim dopiero po wypadku samochodowym matki, na mokrej drodze. Poniosła śmierć na miejscu. Potem Simon przyjechał do Hildy i został u niej na dość długo. Humphrey chyba nie mógł znieść jego widoku, nie potrafił ścierpieć tego, że Simon biega i bawi się beztrzęsk, mimo iż Clare nie żyje. Chyba obaj to ciężko przeżyli. A potem, jakieś siedem lat temu, Humphrey poznał Julię i ożenił się z nią. Widziałam się z nią tylko raz, w Londynie. Na samym ślubie. Chyba nie lubi wsi, a poza tym taka z niej zachwycająca osóbką, że pewnie wyglądałaby tu jak wyrwana z kontekstu. Londyn to jej środowisko naturalne. Humphrey pełnił jakąś ważną funkcję podczas wojny; chyba w wywiadzie wojskowym. Jest cholernie inteligentny, no wiesz, zimna krew i wielki umysł. Nie wiem, dlaczego nie okazał tego umysłu w kwestii Julii, no ale przeszło, minęło. Nie chcę nikogo wytykać palcami.

- Właśnie to zrobiłaś - zauważyła Ursula sucho. - Myślałam, że jesteś taka otwarta, że wszyscy wiedzą, co o nich myślisz. Żadnego kręcenia. Proszę, nie obawiaj się o moje uczucia. Nic mnie już chyba nie zrani. I tak usłyszałam już najważniejsze. - Odchyliła się w fotelu, który zatrzeszczał przeraźliwie pod jej ciężarem. Trudno było nie patrzeć na Lettice; ta kobieta zdawała się przyciągać spojrzenie. Ich oczy spotkały się.

- Dobrze. Wiesz, że Simon był pilotem podczas wojny? I to całkiem niezłym. Dali mu medal i w ogóle. Wstąpił do wojska po tym, jak wyrzucili go z Cambridge, ale pozwolę sobie zauważyć, że i tak by do tego doszło. Zdaje się, że należy do tych chłopców, co to się lubią bawić w wojenkę. Wiesz, przygoda i ten cały urok. No i naprawdę potrafi być całkiem dzielny - w odpowiednich warunkach. Pod tym względem możesz być z niego dumna. Ale nie potrafi przyzwyczaić się do życia na wolnych obrotach. Jego właściwy rytm to, kiedy był dzielnym, szaleńczo odważnym pilotem. A teraz jest jednym z wielu. To mu sienie podoba. Więc nie spodziewaj się, że się ustatkuje, bo tego nie robi.

- Jesteś pewna?

- Tak samo, jak tego, że ma romans z Julią.

Ursula spodziewała się, że poczuje się zdruzgotana. Albo że wybuchnie żarliwym protestem. Owszem, przez chwilę czuła ostry, przesywający ból, ale trwał tylko moment, a potem ogarnęło ją odrętwienie. Lucy była dzieckiem Simona; może Benjie też. Kto poznałby różnicę? Zamrugła powiekami i spojrzała na swoje ręce, białe i szczupłe w słonecznych promieniach. Wyglądały jak zbyt cienko rozwałkowany gips. W dzieciństwie lubiła bawić się własnymi palcami; robiła to całymi godzinami, wyobrażając sobie, że są żywe i każdy jest obdarzony własnym charakterem, upodobaniami i zwyczajami. Miała dziesięciu aktorów na swój prywatny użytek. Ale teraz leżeli bezwładnie i nie chcieli dać znaku życia.

- Jak się dowiedziałas? Tak na pewno?

- Sam mi powiedział. Często mi się zwierzał; traktował mnie niemal jak matkę. Podejrzewam, że po prostu musiał to komuś powiedzieć. Humphrey przymyka na to oczy. Jest beznadziejnie zakochany w Julii i chyba uważa, że dopóki nie ma pewności, nie musi nic robić. Pod żadnym pozorem nie chciałby, żeby ktoś wyznał mu prawdę. Wtedy straciłby Julię na dobre. Wszystko zaczęło się pierwszego roku małżeństwa. Nie wiem, czy którekolwiek z nich wie, czyje naprawdę są te dzieci. - Lettice roześmiała się z autentycznym rozbawieniem, które wstrząsnęło Ursulą. Jak może być tak cyniczna? Przecież to straszne! Biedny pan Patterson! Nie pomyślała - biedna ja! - ponieważ to wszystko nie dotyczyło jej bezpośrednio. Miała wrażenie, że słyszy o ponurych tajemnicach jakiejś obcej rodziny. - Simon miał zwyczaj odwiedzać mnie podczas urlopu, kiedy chciał odechnąć świeżym powietrzem - mówiła dalej Lettice. - Ma poczucie winy, ale nie aż takie, żeby cokolwiek zmienić. Nie miałam o tobie pojęcia aż do chwili, kiedy Jane powiedziała, że Simon przywiózł żonę do chaty Cottersów i zostawił ją, a sam poleciał z zadartym ogonem do Londynu. No, ale Simon nie odwiedzał mnie już od dawna. Od chwili, kiedy powiedziałam mu, że doprowadzi ojca do grobu. Nie jest specjalnie dobry w odpieraniu zarzutów. Woli współczucie. To dlatego spytałam cię, czy go kochasz. Byłoby szkoda, gdybyś nie kochała. Jane mówi, że jesteś w ciąży?

No nie, znowu to zrobiła! Zagadała ją i zniemacka zaatakowała, zanim Ursula zorientowała się, co się święci.

- Dlaczego tak powiedziała?

- Oj, dajże spokój. Jane mówi, że masz co rano mdłości, a moja sprzątaczką twierdzi, że byłaś u doktora Cullensa. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. Który to miesiąc?

Nagle uderzenie wiatru rozwiało włosy Lettice i Ursula przypomniała sobie, że kobieta przypomina jej sympatyczną owcę. Roześmiała się cicho.

- Trzeci, tydzień w tę lub w tamtą. W przyszłym tygodniu mam umówioną wizytę. Chyba powinnam wszystko ogłosić, bo widzę, że tu nie da się zachować tajemnicy. Albo poproszę Jane Clow, żeby mnie wyręczyła - powiedziała kwaśno.

- Niech ci się nie wydaje, że wszyscy obgadują cię za plecami. Wszyscy bardzo ci współczują. Uważają, że Simon traktuje cię okropnie, zwłaszcza że jesteś taka młoda. Ile ty właściwie masz lat?

- Osiemnaście. W listopadzie skończę dziewiętnaście. I nie chcę stać się obiektem współczucia całej okolicy! - Jej filizanka była już pusta. Lettice pochylała się i sięgnęła po dzbanek. Wyglądało na to, że się zastanawia.

- A co zamierzasz zrobić? Zostać tu do porodu, a potem wrócić z dzieckiem do domu?

Przez jedną, pełną szczęścia chwilę zapragnęła zrobić właśnie coś takiego. Rozpaczliwie. A potem sobie przypomniała.

- Do domu? Czyli dokąd? Do Singapuru? Moja matka umarła, rodząc mnie. Ojciec został zabity przez Japończyków. Parę tygodni temu dowiedziałam się, że moja macocha, Emma i Tom zostali... - na chwilę głos ugrzązł jej w gardle - ...utonęli, kiedy ich statek zatonął. Starali się uciec, zanim Japończycy zdobyli Singapur. Pewnie mogłabym wrócić do kampongu i żyć tam do końca życia, ale to chyba nie jest rozwiązanie. Ciotka i wuj nie wydawali się szczęśliwi z mojej obecności, więc nie ma szans, żeby ucieszyli się na mój widok teraz, kiedy wuj stracił pracę, a ja będę miała dziecko. Odziedziczyłam bezwartościowy kawałek ziemi w Australii. Prawnicy powiedzieli, że nikt go nie zechce kupić. Więc jaki mam wybór? Tu jest teraz mój dom i zamierzam go urządzić. Simon niech robi, co mu się podoba.

- Brawo! Więc jednak jesteś osobą z charakterem. Z początku trochę się martwiłam.

- Skoro przeżyłam japońską okupację, mogę przeżyć również dziecko i walczyć się chałupę. - Nagle roześmiała się z nieco zaskoczonym wyrazem twarzy. - Wiesz, co jest naprawdę dziwne? Oprócz tego, że zwierzam się kompletnie obcej osobie? Simon nigdy nie powiedział mi, że był pilotem, dostał medal czy cokolwiek. Dlaczego, jak ci się wydaje? Myślałam, że właśnie coś takiego mówi się dziewczynie, kiedy chce się ją oczarować.

- Nie zawsze. Simon potrafi być dziwny. Na ogół wybiera najłatwiejszą drogę, ale czasami właśnie staje okoniem. W czasie wojny stracił swoich najlepszych kolegów. Nigdy nie słyszałam, żeby o tym mówił. Opowiadał o Julii, ostatnich sztukach czy plotkach, no, w ogóle o wszystkim, ale nie o wojnie. Nie rozumiem, dlaczego. Jest bardziej skomplikowany, niż na to wygląda.

- Hmm... Kobiety, które przeżyły Changi, zachowywały się podobnie. Opowiadały o wszystkim, z wyjątkiem tego. A zatem Simon ma uczucia. Tylko tak głęboko ukryte, że nie potrafię się do nich dokopać. Latał na myśliwcach czy bombowcach?

- Chyba na bombowcach. Wszyscy oni byli tak idiotycznie młodzi, za młodzi, żeby powierzać im zadanie niszczenia na tak wielką skalę. A Simon był jednym z najlepszych. Nadlatywał nad cel, zrzucił bomby i wracał bezpiecznie do domu. I tak w kółko. To dlatego wydaje mu się, że jest wyjątkowy i nie musi przestrzegać żadnych zasad, ponieważ złamał je wszystkie podczas wojny i wszyscy go za to kochali. A teraz jeszcze nie dotarło do niego, że wojna się skończyła i musi znaleźć sobie inne zajęcie. I że teraz zasady się liczą i jeśli je złamie, jest skończony. Nie może utrzymać pracy. Żadnej. Nudzi się po tygodniu i nikt go nie podziwia. Nie sposób go nie żałować. Poza tym Humphrey dręczy go z powodu funduszu powierniczego, który odziedziczył po matce. Jak tak dalej pójdzie, to się żałamie.

Ursula wzruszyła ramionami.

- No cóż. Za wieczną pomyślność Elsing.

Wzniósła filiżankę; Lettice poszła za jej przykładem. Delikatna porcelana brzęknęła dźwięcznie. Toby podniósł głowę, obrzucił swoją panią obojętnym spojrzeniem i zeskoczył niezgrabnie na ziemię. Powłókł się ścieżką, nieco utykając.

- Ojejku. No i znowu się zaczyna. Ta rana na nodze martwi mnie tak, że szkoda mówić, a czy jemu co przeszkadza? Skąd. Zabiera się i zasuwają do jakiejś następnej ukochanej i kolejnej bijatyki. - Otrzeptała spódnicę z kociej sierści. - Skąd bierzesz pieniądze? Simon daje ci wystarczająco dużo?

- Nie, niestety. Cały czas muszę go prosić, a jemu się wydaje, że histeryzuję. Nie znoszę być od niego zależna. Pomyślałam, że zacznę hodować warzywa. Wypożyczyłam książki. - Wskazała stertę podręczników na trawie obok krzesła. Lettice westchnęła.

- Dobrze i to na początek. Uprawiałaś już ogród?

- Tylko w Singapurze. Ale jestem silna i przyzwyczajona do ciężkiej pracy. Kiedy mieszkałam w kampongu, często przez cały dzień pieliałam grządki i plotłam maty. Mogę to robić, jeśli się odpowiednio nastawię.

- No, dobrze. Ale potrzeba ci dobrej rady na początek. Może przyślę ci staro Billa, żeby pracował u ciebie po parę godzin tygodniowo. Tylko na początek. U mnie i tak nie ma nic do roboty, a chyba lubi grzebać się w ziemi.

- Twój ogrodnik? Och, to strasznie miłe, ale nie mogę mu zapłacić, ani kupić nasion i nawozu.

- Nie bądź niemądra. Bill pracuje dla mnie, tylko i wyłącznie. No i prawie wcale nie ma zajęcia, więc z radością przyślę go do ciebie, na dobry początek. Pieniądze nie grają roli. I nie chcę już słyszeć ani słowa. Pomysł jest dobry, więc umowa stoi. Przyślę ci go jutro, pewnie koło trzeciej. Ma rower, więc ruch dobrze mu zrobi. Straci trochę z tego antałka, który przed sobą dźwiga. - Zanim Ursula zdołała się zorientować, została zaciągnięta na tyły domu w poszukiwaniu starych narzędzi, co do których Lettice przysięgła z ręką na sercu, że już ich nie potrzebuje. Lettice sporządziła również listę sklepów, które miały jej zapewnić towary najwyższej jakości za najniższą cenę. Ursula obserwowała z zapytym tchem, jak Lettice organizuje jej życie. Wreszcie znalazła się przy furtce z książkami w ręce i przygotowanymi narzędziami, które stary Bill miał przywieźć następnego dnia.

- Wstyd mi, że tak cię naciągam. Przecież nie mogę ci tego zabierać. To nie w porządku.

- Matka Simona była moją najlepszą przyjaciółką. Prawie siostrą. Często wydawało mi się, że Simon jest moim synem, ponieważ sama nie mam dzieci. Więc ty jesteś moją synową. I wcale mnie nie naciągasz. Jesteś dzielna i rozsądna. Lubię dziewczęta z charakterem. A teraz leć do domu, zanim się nie rozpada. Może wpadnę do ciebie jutro. A już na pewno pojutrze. Co prawda nie urodziłam dziecka, ale znam się na tym, bez obaw. No, zmiataj.

Pocałowała ją w policzek i lekko popchnęła. Ursula uśmiechnęła się i posłusznie odeszła. Jaką ulgę odczuła na myśl, że ma kogoś, do kogo może się zwrócić. Nagle przyszłość przestała wyglądać aż tak przerażająco.

## Rozdział trzynasty

Stary Bill okazał się zgarbionym, małowównym osobnikiem w nieokreślonym wieku. Jego wysmagana wiatrami i deszczami twarz miała zadowolony wyraz, charakterystyczny dla kogoś, kto większość życia spędził na dworze. Ursula zobaczyła go przez kuchenne okno, jak zbliżał się do jej domu na rowerze i otworzyła drzwi, żeby go powitać. Narzędzia - łopatę, grabie, motykę i parę pomniejszych - przywiązał do bagażnika, więc zajmował tyle samo miejsca, co samochód. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi i beztrzesko pedałowal po usianej wyrwami drodze. Miał spodnie na szelkach i połataną marynarkę. Zatrzymał się przed drzwiami i dotknął ręką czapki.

- Pochwalony. Jestem stary Bill.

Ursula uśmiechnęła się serdecznie.

- A ja jestem panią Patterson. To miło, że pani Dunham wypożyczyła mi was i bardzo dziękuję, że zgodziliście się przyjechać. Mam nadzieję, że narzędzia nie przeszkadzały?

Bill zsiadł z roweru i zaczął odwiązywać swój bagaż. Jego jedyną odpowiedzią był nieokreślony pomruk. Uśmiech Ursuli nieco zbladł. Spojrzała w niebo; przez cały dzień zbierały się na nim groźne chmury. Teraz z góry dobiegł stłumiony grzmot.

- Chyba zanosi się na burzę. Zmokniecie, wracając do domu.

- Gdzie tam, pani, to tylko dujawica z Essex - wymamrotał stary Bill, nie podnosząc głowy znad narzędzi.

- Dujawica? Czy to burza?

- Prawie. Wszystko prócz dyscu. Ni mo dyscu. Pamiętam, jak raz nie łało bez pięć років. Gdziesik tak kole początku wieku. Oj, dojadło nam, dojadło.

Byliście ogrodnikiem przez całe życie?

- Cosik tak na mnie trafiło. Ale teraz już tu sami starzy. Młodzi do miast pochodzili. Mój syn, młody Bill. Też poszedł. - Przyjrzał się krytycznie chacie i skrzywił się. - Niczego sobie chałupa. Już takich ni mo. Powaliły się.

Ursula podreptała niespokojnie w ślad za nim, starając się nie słuchać jego cmokania i mlaskania.

- Czy ogród wyda dobre zbiory, jak myślicie? Dość, żeby nas wykarmić i może jeszcze sprzedać?

- No... - Zamyślił się i zsunął czapkę na tył głowy, by poskrobać się w ciemię. Jego małe, żywe oczka niemal ginęły w fałdach pobrużdżonej skóry. - Ziemia tu dobra, a trudno, żeby kiedy nie było zbiorów.

Ruszył na obchód ogrodu, przez trawę i chwasty. Ursula pospieszyła za nim, zastanawiając się, czy zdoła z niego wydusić coś konkretnego. Jaka ilość warzyw jest dla niego zbiorem?

Przez następne dwa miesiące dowiedziała się, że stary Bill znał się na swoim zajęciu jak mało kto. Siadywał z nią w kuchni i razem opracowywali plan ogrodu, uprzednio wymierzywszy go krokami. Powiedział jej, że ziemia jest dobra, żyzna i trzyma wilgoć. Trochę gliniasta, ale poradził jej, żeby nasyciła ją wapnem, dzięki czemu wykonają operację nazywaną wapnowaniem. Ursula nie miała pojęcia, co oznaczał ten termin, ale wkrótce zorientowała się, że dzięki temu ziemia stanie się bardziej porowata i zacznie łatwiej przepuszczać powietrze i wodę. Bill powiedział, żeby wyrzucała do ogrodu popiół z paleniska. Odniosła wrażenie, że to będzie podobnie działało, jak wapno. Działka powinna mieć wymiary trzydzieści na siedem i pół metra; pomiędzy grządkami powinny leżeć deski do chodzenia, a teren ma być otwarty na południe i ogrodzony od północnych i wschodnich wiatrów. Za późno już na sadzenie większości roślin, ponieważ ziemia jest jeszcze nie wypielona. Ale za to w listopadzie można siać kapustę, którą następnie w marcu lub kwietniu przesadza się na zewnątrz. Tak samo kalafiory. A rzodkiewki i szpinak można sadzić do września. Reszta musi poczekać gdzieś do kwietnia, niektóre nawet do lipca. Rocznie ma się cztery zbiory, najpierw trawa i ziemniaki, potem kapustne i strączkowe - fasola i groszek, wyjaśnił cierpliwie - buraki i znowu trawa. Ursula słuchała i notowała pilnie.

Przepis na uniwersalny środek grzybobójczy starego Billa wymagał stu piętnastu gramów wapna, tyle samo siarczanu miedziowego i około czterzystu litrów wody. Ursula zapisała to sobie wraz z instrukcją sporządzenia mieszaniny. Nie miała najbledszego pojęcia, czym są te tajemnicze produkty, ale postanowiła, że się dowie. Najlepszym nawozem był podobno nawóz koński i Billy polecił jej stajnię przy drodze do Barwenton. Uśmiechnęła się blade. Nawóz. Jak ma go donieść do domu? Ale zaraz potem usłyszała, że za niewielką opłatą dostarczali ten artykuł na miejsce. Gdybyż tak mogła mieć własnego konia. Postanowiła zapytać Simona, czy nie mogliby go kupić. Kury miały mieć kojce na tyłach domu, ale powinny swobodnie chodzić po grządkach, żeby wydziobywać z ziemi larwy. A gąski mogła kupić od Jane Clow. Gęś jest równie dobrym obrońcą domu, jak pies, znosi jaja i nie potrzebuje wielkich zabiegów. Ursula kiwała głową i gorącz-

kowo zapisywała kolejne stronicie. Krowa może być. Tylko musi mieć duże pastwisko. Poza tym, dodał ponuro, być może nie będzie się jej chciało, dwa razy dziennie ją doić, piątek czy świątek. Nie wspomniał, że Simon mógłby jej pomóc. Zamiast tego nadmienił, że Jane Clow może nadal dostarczać jej mleko. Westchnęła. Nie chciała być zależna od tej kobiety. Stary Bill zlekceważył ją i dalej zarzucał ją kolejnymi informacjami, całkiem jakby był autorem podręcznika funkcjonowania na wsi. Ursula nie uroniła ani jednego słowa.

Kiedy Simon wrócił do domu, tryskając radością i roztaczając wokół siebie taki urok, że musiała się mu poddać, sprawy uprawy roli stanęły w martwym punkcie. Ursula zadzwoniła do Lettice i powiedziała, żeby nie przysyłała starego Billa. Wiedziała, że Simon byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że przyjęła od kogoś pomoc. Uważałby, że to zepsułoby jego wizerunek. Więc niech to będzie ich sekret, jej i Lettice. I choć Simon zapytał, dlaczego robi w ogrodzie wykopki, widziała, że tak naprawdę go to nie interesowało. Napomknęła o warzywniku, ale prawie jej nie słuchał. Poza tym mieli do obgadania znacznie ważniejsze sprawy. Jak na przykład dziecko.

Simon zareagował autentyczną radością, co ją zaskoczyło. Uważał, że to bardzo romantyczne, przytulił ją do siebie i zaczął ze skupieniem przyglądać się jej brzuchowi. Był zachwycony, że zostanie ojcem. Ursula taktownie powstrzymała się, by nie spytać go o resztę hipotetycznego potomstwa. Przez to długie, cudowne popołudnie wydawało jej się, że dziecko dokona tego, czego ona nie potrafiła osiągnąć: na dobre przywiąże Simona do domu. Usiadł z nią na słońcu, pili razem szampana, którego wyciągnął z piwnicy, a on całował jej ręce, włosy, policzki, wreszcie usta. Jest tak szaleńczo przystojny, pomyślała. Uwielbiała jego włosy, falujące przy czole i lekko śniady odcień skóry, którego ostatnio nabył. Potarł nosem jej kark, a ona roześmiała się, ponieważ poczuła przy tym przyjemny dreszcz.

- Nie mogłoby być lepiej, prawda? - spytał. Gorliwie przyświadczyła, że nie, na pewno nie może być lepiej, niż teraz. Nie pomyślała o jego długiej nieobecności i braku pieniędzy. Chciała tylko, żeby zawsze patrzył na nią tymi oczami pełnymi dumy i miłości.

- Kocham cię, Simonie. Bardzo się kocham - szepnęła. Porwał ją w ramiona i zaniósł do łóżka, poznaczonego pasiastym cieniem żaluzji. Położył się obok niej i zajął się liczeniem jej palców, pieszczaniem brzucha i nastłuchiowaniem, co się w nim dzieje. A ona gładziła jego włosy i czuła, że kocha go rozpaczliwie, z całych sił.

Następnego dnia posunął się nawet do przygotowania śniadania. Kręcił się pomiędzy kuchenką i stołem w szlafroku, spod którego wyzierały długie, szczupłe nogi i śpiewał na całe gardło operowe arie. Zaprosił ją do stołu i usadził pieczołowicie, z serwetką do naczyń przewieszoną przez ramię. Na talerzu leżał boczek i jajka. Ursula dostała mdłości. I to zepsuło cały ten radosny dzień. Simon zaczął zachowywać się z roztargnieniem, jakby jednocześnie chciał być z nią i gdzie indziej. W jego oczach znowu pojawił się wyraz poczucia winy. To uroczo, że będziemy mieli dzieci, ale nie będziesz mnie prosić o zbyt wiele, prawda? Zauważyła to pytanie, ale zlekceważyła je. Powiedziała mu, że będzie potrzebo-

wała pomocy w domu, zanim nie urodzi się dziecko, a także później, że musi mieć pieniądze na dziecięce ubranka, pościel, łóżeczko, farbę do pomalowania dzieciennego pokoju, który zrobią z sąsiedniej sypialni, ciężowe ubrania dla siebie. I konia jako środek transportu. Simon zgodził się na wszystko z wdziękiem. Cokolwiek sobie zażyczy. Dał jej trochę pieniędzy, zamówił dekarzy do naprawy dachu, malarzy i ludzi, którzy mieli odnowić stolarkę i wewnątrz domu. Powiedział też, że daje więcej, ale w tej chwili z pieniędzmi jest dość krucho. A potem znowu wyjechał do Londynu. Ursula popłakała w samotności, obrzucając go wszystkimi znanymi sobie wyzwiskami, a także niektórymi z tych, których nauczyła się od Lettice. A potem zabrała się do roboty.

Lettice okazała się darem niebios. Regularnie składała jej wizyty, by służyć radą i pomocą, raczyć ploteczkami, udzielać pociechy i dawać nowe dziecięce ubranka. Nauczyła ją robić na drutach i w zimne, deszczowe popołudnia razem dziergały buciki i sweterki. Czasami zapraszała ją do siebie; wtedy Hugh przywoził ją samochodem i przez całą drogę opowiadał dzieje tych okolic. Wiedział, kiedy trafiał się mu wdzięczny słuchacz i umiał to wykorzystać. Ursula dawno nie spotkała kogoś tak dobrodusznego. Był niskim mężczyzną o kręconych siwiejących włosach i czerwonych policzkach. Zawsze trzymał w zębach fajkę i nosił stare, wygodne ubrania. Ponadto miał tendencje do opowiadania tego samego po kilka razy. Był życzliwy i cierpliwy, zwłaszcza kiedy Ursula zrobiła się tak gruba, że z trudem wydobywała się z samochodu, a już wbiec się w fotel stało się dla niej zadaniem ponad siły. Zastanawiała się, czy Simon nie mógłby być mniej przy stojny, a bardziej obecny.

Jane Clow zaczęła coraz częściej składać jej wizyty. Jej jadłowite uwagi jakby złagodniały i rozplynęły się w licznych dobrych i pożytecznych radach. Obiecała jej na wiosnę kurczęta i gąsiątka. Jeżeli wiosna w ogóle nadejdzie. Było straszliwie zimno, porywisty wiatr hulał po polach, trzaskał oknami i drzwiami, wciskając się w każdą szczelinę i oziębając drewniane podłogi i kamienne ściany. Większość dnia Ursula spędzała w łóżku z butelką gorącej wody przy rozdętym brzuchu i w udzierganych przez Lettice skarpetkach. W kuchni stał solidny piec, który ogrzewał cały parter i zapewniał ciepłą wodę. Pomocnik Tima Clowa przychodził do niej regularnie i rozpałał pod nim. Natomiast piętro w ogóle nie miało ogrzewania, jeśli nie liczyć kominków, przy których nie mogła już klęknąć, żeby je oczyścić czy w nich rozpalić. I nie była w stanie nosić drewna po schodach. Lettice pożyczyła jej przenośny grzejnik na butan. Kiedy nadszedł grudzień i stało się jasne, jak może wyglądać pogoda w Essex, Ursula zaczęła się zastanawiać, czy zdoła przetrzymać jeszcze coś więcej. Na kostkach palców i piętach miała odmrożenia, a plecy bolały ją od dźwigania ciężkiego brzucha.

Simon prawie się nie pokazywał. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, odzywały się w nim tak silne wyrzuty sumienia, że nie potrafił im sprostać. Dopóki pozostawał poza domem, nie musiał myśleć o tym, jak samotna i nieszczęśliwa jest jego żona, pozostawiona w odludnej okolicy. A Julia zawsze potrafiła go uspokoić, złagodzić poczucie winy, wytłumaczyć mu, żeby się nie martwił, ja się wszystkim zajmę, kochanie, ja usunę wszystkie troski z twojego życia. Tylko nie od-



chodź ode mnie. Więc nie odchodził. I tak nie był potrzebny Ursuli. Był raczej utrudnieniem, niż pomocą. Ciągle się spodziewał, że będzie mu gotowała obiady, podczas gdy on będzie siedział przed kominkiem i czytał gazetę. I nadal uważał, że wydaje zbyt wiele pieniędzy. Ursula patrzyła wtedy wymownie na jego kaszmirowy sweter. Nie dostrzegał tego.

Boże Narodzenie miało nadejść za dwa dni, kiedy zadzwonił Christopher. Ursula podniosła słuchawkę, spodziewając się usłyszeć chrypliwy głos Lettice albo Simona, zapowiadającego, że na parę dni zabiera ją do Londynu. Ale w słuchawce rozległ się niepewny, zdenerwowany głos Christophera, pytającego czy mógłby ją odwiedzić. Czy ją zastanie? I czy Simon nie będzie miał nic przeciwko temu? Musiał jej powiedzieć coś strasznie ważnego, no, właściwie to nawet jej to pokazać. Ursula roześmiała się mimo woli, gorączkowo się zastanawiając. Wydawał się tak bliski, że niemal mogłaby go dotknąć. Stał jej przed oczami, taki, jakim go ostatnio widziała i nagle zachciało się jej płakać. Tak bardzo chciała mu uwierzyć. Pamiętała tę poważną twarz i śmiertelnie nieszczęśliwe oczy. A ona myślała wyłącznie o Simonie i o tym, jak on się czuje. Tylko Christopher się nią interesował. I należał do jej rodziny. Powiedziała, żeby przyjeżdżał natychmiast, że Simon nie będzie miał nic przeciwko temu. Tłumaczenie mu wszystkiego od początku byłoby zbyt trudne. Ale kiedy przyjedzie, będą musieli odbyć długą rozmowę. Może nie będzie musiała już siedzieć w tej zimnej, opuszczonej chacie? Poczuli drgnienie nadziei; nagle obudziła się w niej niecierpliwosć i poczucie, że nie znieśie tej sytuacji ani chwili dłużej. Kiedy tylko urodzi się dziecko i nadejdzie lato, wszystko się zmieni. Cały ten świat, który sobie mozolnie zbudowała, kruszył się w palcach przy pierwszym dotknięciu. Niepokojnie zaczęła krążyć po pokoju. Jak długo zajmie mu podróż z Cambridge? O, jak dobrze będzie go znowu zobaczyć!

Kiedy na ciemnym podjeździe ukazały się wreszcie reflektory samochodu, było już po piątej. Ursula siedziała na krześle w kuchni, ze stopami opartymi o piec i owinięta kocem. Wstała z wysiłkiem i, podtrzymując koc, podeszła ociężale do drzwi. Christopher już stał na progu, promieniejąc mroczną urodą elfa; uśmiech rzeźbił w jego policzkach głębokie zmarszczki. Kiedy Ursula otworzyła drzwi, roześmiał się głośnie i wszedł do środka. Ktoś mu towarzyszył: jakaś dziewczyna. Ursula niemal jej nie zauważyła. Christopher wyciągnął do niej ramiona i objął ją. Natychmiast okazało się, że to nie koc zniekształca jej figurę; Christopher cofnął się z zażenowanym zaskoczeniem. Dziewczyna zamknęła drzwi, by nie wpuszczać do środka wiatru. Wszyscy spojrzeli na siebie w milczeniu. Pierwszy odezwał się Christopher.

- Nie wiedziałem... nikt mi nie powiedział. Gratulacje! Kiedy poród? - Wyglądało na to, że zabrakło mu tchu.

Ursula spojrzała na dziewczynę i uśmiechnęła się z przymusem. Czy to jest ta jego niespodzianka? \*

- W lutym. Cudownie jest cię znowu zobaczyć. Czy twoja koleżanka też jest z Cambridge? - Nie spojrziała już na niego. Nie odrywała wzroku od dziewczyny. Christopher jakby się zawahał.

- Tak, to Tiffany. Mówiłem ci, że chcą ci przedstawić kogoś wyjątkowego. Tiff, to moja kuzynka Ursula. A gdzie Simon? - Był spięty; spodziewał się, że jej mąż pojawi się lada chwila. Ursula skrzywiła się.

- Wejźcie do salonu. Napaliłam w kominku i jest znacznie cieplej, niż tutaj. Simon wyjechał do Londynu w interesach, ale spodziewam się go lada chwila. Tiffany? Tak się nazywasz, prawda? Masz ochotę na coś gorącego? Herbatę, czekoladę? - Tiffany! Kto słyszał o takim imieniu. Ursula zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem. Cała w jasnych kędziorkach, pulchna twarzyczka, bez szyi, przysadzista figura. Zerknęła na Christophera, a potem jeszcze raz na dziewczynę. Podobała mu się z twarzy czy z charakteru? Do tej pory Tiffany nie odezwała się ani słowem, ale teraz uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach i oznajmiła, że jeśli o nią chodzi, to wołałaby brandy, jeśli jest. Była; prywatny zapasik Simona na czarną godzinę. Ursula powiedziała jej ze złośliwym rozbawieniem, żeby sobie nie żałowała i nałala również kieliszek dla Christophera.

Jest z Londynu, pomyślała. I wygląda... no, jakby z niejednego pieca chleba jadła. Była rówieśnicą Christophera, może odrobinę starsza. Znowu spojrzała na kuzyna. Miał długi szalik i ciężki płaszcz z postawionym kołnierzem. Jego twarz okazała się szczuplejsza i subtelniej rzeźbiona, niż to zapamiętała. A usta nie były zbyt mocno zarysowane. W oczach nadal paliły się ciemne iskierki, ale w tej chwili malowała się w nich tylko ulga, że Simona nie ma w domu. Unikał patrzenia na Ursulę. A raczej na jej brzucha Poczuli przykry smak w ustach. O co mu chodziło? Nie mógł przeżyć tego, że była w ciąży? A może coś innego wydawało mu się krępujące? Poprosiła, żeby usiedli, nagle sama bardzo zmęczona.

Zdjął płaszcz i położył go na sofie. Wszystkie meble były stare, zniszczone i wysiedziane przez dziesiątki zbyt ciężkich ciał. Pokrowce zawsze się ześlizgiwały i trudno było je założyć na miejsce. A Simon nigdy nie brał się za żadne zajęcie, które uważał za kobiece. Christopher usadowił się w fotelu Simona i uśmiechnął się dumnie, kiedy Tiffany przysiadła obok niego na oparciu. Ursula powoli opadła na drugi fotel i wepchnęła sobie poduszkę pod krzyż. Christopher śledził wzrokiem wzory na dywanie.

- Zostaniecie na noc? Jest ohydna pogoda. Mogę wam posłać, jeżeli Tiffany nie ma nic przeciwko spędzeniu nocy ze mną - odezwała się Ursula w martwej ciszy pokoju. Starła się zachowywać, jakby nic się nie stało, ale Christopher jej to utrudniał. Dlaczego nie mógł się uspokoić? Dlaczego mężczyźni są tacy podli?

- Nie chcemy nadużywać twojej gościnności. Chciałem ci tylko przedstawić Tiffany i chyba sprawdzić, jak ci się żyje. Przepraszam, że wtedy nawaliłem. - Skrzywił się i przeniósł spojrzenie z dywanu na ogień w kominku. Ursula czekała, aż skieruje je na nią. - Chciałem się odegrać. Nie miałem prawa. I przepraszam, że nie byłem na ślubie. To było dziecinne i... no, chyba tak naprawdę nie chciałem, żeby do niego doszło. Nie z nim. Jak powiedziałem, nie miałem prawa.

- Miałeś. Ale teraz to nie ma znaczenia. To już minęło. Jak się mają ciocia, wujek i Rodney? Czy Rodney pozdawał egzaminy?

- Wszyscy zdrowi. Tak, Rodney dał sobie jakoś radę. Orłem to on nie jest. Twierdzi, że mu się w życiu nie powiedzie. Ojciec stara się o pracę dla niego. To

pewnie najlepsze, co można zrobić. Nigdy nie przepadał za książkami. Nie, nie mają kłopotów. Ojciec lubi nową pracę; płacą mu grosze, ale przynajmniej jest na zasiłku. Jedynym problemem jesteście wy. - Christopher wyglądał na przybitego. Zawsze był wszystkiego taki pewien, a teraz... Spojrzała na Tiffany, a potem znowu na niego. Czekali, aż coś powie.

- Czy będę niedyskretna, jeśli zapytam, jak się mają sprawy między wami? Wygląda na to, że nie jesteście tylko przyjaciółmi. - Pozałowała swoich słów w tej samej chwili, w której padły z jej ust. Nie tylko potwierdzały ich sytuację, ale wręcz przyspieszały jej rozwój. Ale jakiś irytujący impuls kazał jej skończyć z tym, powiedzieć najgorsze, żeby mieć to za sobą. Poza tym spodziewali się tego po niej, niemal prowokowali ją. Uśmiechnęła się promiennie i przeklęła zbyt demaskującą ją koc.

Tiffany zarumieniała się uroczo; Ursula odniosła nieodparte wrażenie, że dziewczyna potrafi to robić siłą woli. Nie była niewinna, mimo młodzieńczego, naiwnego wyglądu. Christopher pociągnął łyk alkoholu i skrzywił się.

- Chcieliśmy, żebyś dowiedziała się jako pierwsza. Tiffany i ja chcemy się pobrać. Pewnie będziemy potrzebować twojej pomocy, ponieważ nie sądzę, żeby moi rodzice byli zachwyceni, a wiemy już, że rodzice Tiff są nam przeciwni. Myślałam, że jestem jakimś nowoczesnym uwodzicielem, który zamierza jedynie skrzywdzić ich córkę. Staniesz po naszej stronie? - Nagle wydał się jej zaskakująco młody i bezbronny. Czy to ten sam mądry, dobry i starszy od niej kuzyn, od którego spodziewała się pomocy? To on chciał jej wsparcia. Coś tu było nie tak. Sądziła, że przybywa, żeby uratować ją przed Simonem, zinnem i wszystkim innym. A przynajmniej, że będzie przy niej przez następne dwa miesiące. Poród przejmował ją przerażeniem. I nikomu to nie przyszło na myśl. Obaj czegoś od niej chcieli - Simon i Christopher, dwaj mężczyźni jej życia. Zamknęła oczy; poczuła przeraźliwy ból, przejmujący do szpiku kości. Była młodsza, niż Tiffany i Christopher, a jednak to oni szukali jej porady. Czy obrączka automatycznie dodawała lat i doświadczenia? A może ciąży? Uniosła powieki i zobaczyła zmartwioną twarz Christophera.

- Ależ oczywiście. Co sobie myślałeś? Wiem, co znaczy ślub w obliczu dezaprobaty rodziny. - Uśmiechnął się do niej krzywo. Wiedział, że tylko on nie akceptował jej zamążpójścia. Potem skinął głową.

- Tak. To mi się należało.

- Nie. Chciałam ci podziękować, że zależało ci na mnie na tyle, żeby się sprzeciwiać. To wymagało odwagi i troski. Wracając do rzeczy, jak się poznaliście? Ty też jesteś studentką? - Zdławiła ziewnięcie. Cięża jest niewygodna. Przez cały czas czuje się zmęczenie i rozdrażnienie. Teraz miała ochotę iść do łóżka i położyć się na parę minut.

Tiffany zachichotała.

- Oj, nie. Wcale nie jestem taka mądra. Jestem sekretarką u Knighta i Fallowsa. Poznaliśmy się przez przypadek, prawda, kotku?

Przypadek, akurat, pomyślała Ursula mściwie. Ta dziewczyna nie wyglądała jej na kogoś, kto zostawia bieg rzeczy przypadkowi. Nie, to niesprawiedliwe. To

dlatego, że spodziewała się jego pomocy, a on przyprowadził ze sobą tę małą ladacznicę... Nie, może nie ladacznicę, ale na pewno nie uczciwą dziewczynę! Gdzie on ma rozum? No, ale ona także nie popisała się, więc jakie miała prawo, żeby go krytykować? Christopher po prostu stracił dla niej głowę. Uniosła brwi i uśmiechnęła się z zainteresowaniem.

- Przez przypadek?

- Tak. Wpadłam na niego, kiedy jechał na rowerze. Mogłam się głupio uszkodzić! A Chris zaprowadził mnie do siebie i opatrzył mi kostkę. I tyle. Od tej pory jesteśmy razem. Może to przeznaczenie. - Wydawała się rozbawiona tą myślą. Ursula znalazła na to inne określenie, ale powstrzymała się z wyjawieniem go Tiffany. No, proszę. Christopher uśmiecha się jak kot, który połknął kanarka. Naprawdę, mężczyźni to głupcy. Albo gorzej. Znowu zamknęła oczy. Tego już za wiele! Czy los nie mógłby się przestać nad nią znęcać? Tak dla odmiany?

- Proszę, proszę. To rzeczywiście przypadek. Podejrzewam, że jesteście dla siebie stworzeni, co? - Nie chciała odezwać się tak sarkastycznym tonem. Nie do niej należało prawo decyzji, nie chciała krzywdzić Christophera. Nie został jej nikt inny, o kim mogłaby myśleć. Spostrzegła, że zamarł i skurczył się w sobie. Mocno objął dłońmi kieliszek z brandy. Tiffany spojrzała na nią.

- Tak - przyświadczyła mocnym głosem. - Właśnie tak. Chris powiedział, że pani się zgodzi. Zgadza się pani? - No proszę. Więc mały gluptasek ma jednak swój rozum. I bardzo świeże dobre maniery. Ursula dźwignęła brzuch, by oprzeć się wygodniej o poduszki.

- Właściwie nie jestem pewna. Nawet cię nie znam. Ale to nie moje małżeństwo. Róbcie, co się wam podoba. Jak mi się zdaje, oboje jesteście już dorośli. - Poczowała się zmęczona tym tematem. Zmęczona wszystkim. Co im przyjdzie z rozmowy? Christopher nie stanie się jej wybawicielem i nie zabierze jej stąd. Jedynie, co ją spotka w najbliższej przyszłości, to dziecko, czy się jej to podoba, czy nie. Christopher jej w tym nie pomoże. Po tym, co powiedziała, nie będzie jej specjalnie życzliwy. Ale już za późno. Marzyła, żeby sobie poszli.

- Ma pani rację. To nie pani sprawa. Ale Christopher chciał, żeby ktoś z rodziny stanął po jego stronie. I myślał, że pani zrobi to dla niego. - Tiffany ujęła dłoń Christophera, jeszcze piękniejsza w aureoli niewinności. Ursula zaczęła rozumieć, co miał na myśli Simon, kiedy mówił, że jest czysta. Ta dziewczyna potrafiła włączać i wyłączać niewinność jak światło w pokoju. Ciekawe, co myśli o tym Christopher.

- Przepraszam. Chyba nie do mnie należy wydawanie sądów. Powiem ci szczerze, Tiffany, że miałabym do ciebie znacznie mniej zastrzeżeń, gdybyś przestała udawać małą dziewczynkę. Chyba tego nie potrzebujesz i nie wychodzi ci to zbyt dobrze. Jeśli się kochacie, bardzo dobrze. Powiedz to otwarcie i bez sztuczek. Nie jestem matką Christophera, wiesz? Mogłabym być twoją przyjaciółką, gdybyś zachowywała się uczciwiej.

Miała w nosie, co sobie o niej pomyślał. Bolały ją plecy, a dziecko kopało ją tak mocno, że miała ochotę jęknąć i złapać się za brzuch. Ale Christopher był na

to zbyt pruderyjny. Pewnie by się zgorszył. Oparła się o poduszki. Usłyszała, że poruszył się z irytacją na swoim miejscu.

- Nie sądzisz, że jesteś dla nas za ostra? Zwłaszcza dla Tiff. Wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy, a co zrobiłaś we własnej sprawie, mimo mojego protestu? Gdzie jest teraz twój mąż? Słyszałem, że siedzi w Londynie niemal bez przerwy przez trzy miesiące. Nie wydaje ci się to dziwne? - W gniewie stracił wszelki umiar. Nie zdawał sobie sprawy, jak okrutnie brzmiały jego słowa. Ursula odetchnęła głęboko. To za chwilę przestanie boleć.

- Nigdy, przenigdy nie poruszaj tego tematu, albo nie odezwę się do ciebie do końca życia. O co ci chodzi? Uważasz, że miałeś święte prawo wtargnąć pomiędzy mnie i Simona - oczywiście tylko przez życzliwość - ale kiedy to ja mówię coś, co ci się nie podoba, rzucasz się na mnie jak... jak... - nagle nie mogła skończyć. To bez sensu. Wszystko już nie ma sensu. Nie ma sensu, ponieważ Simon jej nie kocha. A Christopher chciał tylko czyjejś pomocy. O, bądź przekłety, Simonie!

Tiffany pociągnęła Christophera za rękaw, żeby się opanował. Wyglądała na mniej obrażoną, niż on.

- Daj spokój, kochanie. Nie szkodzi. Ursula ma prawo mówić to, co myśli. Poza tym ma rację. Chciałam być taką dziewczyną, jaka według mnie spodobała by się twojej rodzinie. Młodą, nieskałaną i głupiotką. Ale Ursula mnie przejrzała. I cieszę się. Nie mogłabym udawać długo, a nie chciałabym, żeby myślała, że udawałam przez cały czas. Więc dajmy spokój, dobrze?

Lekko potrząsnęła jego ręką; westchnął.

- Dobrze. Może zaczniemy od nowa? Bardzo cię przeproszam. Chyba nie byłem zbyt sprawiedliwy. Chciałbym cofnąć to, co powiedziałem. - Odstawił kieliszek i dotknął kolana Ursuli. Jego oczy, niegdyś pełne łobuzerskiego blasku, teraz nosiły tylko jego odległe wspomnienie. Ursula uśmiechnęła się ze znużeniem: skrzywienie jej ust miało więcej wspólnego z płaczącym grymasem, niż z prawdziwym uśmiechem. Czy to ważne, że wszyscy wiedzieli o zdradach Simona? Czy cokolwiek jeszcze się liczy? Myśl o spędzeniu całego życia w tej opuszczonej przez wszystkich chacie, bez pieniędzy, za które mogłaby wyjechać - gdyby miała dokąd pojechać - oszołomiła ją i zostawiła w jej umyśle ziejącą czarną dziurę. Było jej wszystko jedno. To wszystko bez sensu. Nie przydarzy się jej już nic dobrego. Billy nie mógł jej pomóc. Pamiętała, że spodziewała się, że zdoła tego dokonać, podobnie jak Simon. Można skonać ze śmiechu. Dopiero po chwili zorientowała się, że śmieje się na głos. Christopher przyglądał się jej dziwnym wzrokiem.

- Nieważne. - Znowu wybuchnęła śmiechem. - To jest moje osobiste motto. Nieważne. - Podniosła się z wysiłkiem; Christopher zerwał się ze swojego miejsca i pomógł jej. Pruderia już mu chyba przeszła. - Jestem zmęczona. Muszę się zdrzemnąć. Wkrótce sami przeżyjecie to na własnej skórze. Nie myślcie, że jestem przeciwna waszemu małżeństwu, bo tak nie jest. Pewnie będziecie ze sobą szczęśliwi. I przynajmniej się znacie. To ułatwia sprawę. - Odsunęła się od niego i uśmiechnęła do obojga. - Czujcie się zaproszeni, jeśli chcecie spędzić tu noc.

W skrzyni pod oknem są koce. Dobranoc. - Odwróciła się i zaczęła wspinać się po schodach, ciężko wspierając się na balustradzie. Nie spodziewała się, że zstaną.

Kiedy obudziła się, rano było zimno i cicho. Leżała na wznak, rozmyślając o swoich gościach. Właściwie cieszyła się, że zobaczyła Christophera takim, jakim się stał. W przeciwnym razie snułaby o nim marzenia, w których widziałaby go jako kogoś silnego i odpowiedzialnego. No, może i był odpowiedzialny. Ale osobą silną będzie w tym małżeństwie Tiffany. Ursula poczuła, że nie mogłaby znieść kolejnego mężczyzny bez charakteru. Gdzie się podziewają wszyscy prawdziwi mężczyźni? Ci, co to mieli być opoką, którzy w nocy trzymają cię w ramionach i są przy tobie następnego dnia? Ci, którzy nie pytają cię przez cały czas, co według ciebie należy zrobić i nie czekają, aż ty coś poradzisz. Gdzie są mężczyźni tacy, jak Billy? Czy był aż tak wyjątkowy? Nie chciała kogoś takiego, jak jej własny ojciec, który nie życzył sobie, żeby kobieta w ogóle posługiwała się rozumem, ale dlaczego zawsze trafiają się jej słabeusze? Zresztą teraz sądziła, że i jej ojciec był słaby - na swój sposób. To przygnębiło ją jeszcze bardziej. Gwałtownie odwróciła głowę, by przegonić nieprzyjemne myśli.

Rano było cicho i słoneczne; bładobłękitne niebo zaglądało przez prostokątne okna. W dziennym świetle wszystko wydawało się łatwiejsze. Przecież to wczoraj zastanawiała się, czy wytrzyma jeszcze dwadzieścia cztery godziny, nie podcinając sobie żył. Teraz te myśli wydały się jej melodramatyczne, a poza tym, nie chciała umierać. Co by jej z tego przyszło? Ułatwiłaby tylko życie Simonowi. A tego nie zamierzała robić! Dziecko zachowywało się wyjątkowo spokojnie i nie kopało jej tak mocno, jak zwykle. Zaczynała go zdecydowanie nie lubić. Wydawało się, że nie narodzone dziecko lubi sprawiać jej ból i że bez przerwy jest w złym humorze. Miała nadzieję, że się pospieszy i wreszcie pojawi się na świecie. Przydałby się chłopiec; za parę lat przyda się do roboty w ogrodzie. Miała nadzieję, że to chłopiec. Może nawet podobny do Toma. Jeśli urodzi się chłopiec, nada mu imię Tom.

Miło było leżeć sobie spokojnie i nic nie robić. Było za zimno na pracę w ogrodzie, a zresztą była już za gruba, żeby coś robić. Chata była sprzątnięta, a ona nie spodziewała się gości aż do wieczora. Lettice obiecała, że wpadnie. Mogła sobie leżeć i drzemać na słońcu, sączącym się przez okna. Było jej dobrze.

Ciche skrobanie do drzwi ostrzegło ją, że nie jest sama. Na progu stanęła Tiffany z tacą; trzymała ją jedną ręką, z zaskakującą zrećznością. Ursula zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna nie była raczej kelnerką.

- Myślałam, że wyjechaliście. Czy w sypialni było wam ciepło? - spytała Ursula spokojnie. Rano było zbyt piękny, by go psuć humorami.

- Tak. Poza tym Christopher mnie rozgrzewał. - Uśmiechnęła się szerokim uśmiechem dojrzałej kobiety, na widok którego Ursula omal nie wybuchnęła śmiechem. Był tak różny od wczorajszego wdzięczenia się. Przyszło jej do głowy, że właściwie mogłaby polubić tę dziewczynę.

- Jesteś głodna? - spytała Tiffany.

- Niezbyt. Podobno powinnam jeść za dwoje, ale nie mam pojęcia, jak można mieć apetyt, kiedy jest się tak rozdętym. Czuję się jak wieloryb. Po prostu nie mam miejsca na jedzenie. - Zmarszczyła nos, kiedy Tiffany wybuchnęła śmiechem. - Poczekaj no! Przyjdzie kolej i na ciebie.

- Może. Ale nie teraz. Uważamy... chcemy trochę poczekać z założeniem rodziny. Proszę, wypij przynajmniej sok pomarańczowy. - Postawiła tacę obok łóżka i podała Ursuli szklankę, kompletnie nieświadoma zamętu, jaki wywołała. Jak to, poczekać? Czy to się po prostu nie wydarza, kiedy dwoje ludzi kocha się ze sobą? Czy czegoś jej nie wiadomo? Ursula wzięła posłusznie szklankę, choć na razie nie mogła przełknąć soku. Za kwaśny. Spojrzała na Tiffany, bijąc się z myślami. Czy odważy się ją spytać? Właściwie dlaczego nie? Obie były dziewczętami i wkrótce miały stać się rodziną. Kogoś musiała spytać.

- Wła... właściwie jak to? Chcecie czekać? - Policzki płonęły jej z zażenowania. Była zła na siebie. Pytanie jest zupełnie rozsądne, a ona nie powinna się trząść jak jakieś dziecko. Tiffany otworzyła szeroko oczy i przyjrzała się jej z niekłamany rozbawieniem.

- Ile masz lat?

- W zeszłym miesiącu skończyłam dziewiętnaście. Bo co?

Tiffany wzruszyła ramionami.

- To chyba tłumaczy wszystko. Nigdy nie słyszałaś o gumkach?

Stała się jakby odrobinę pewniejsza siebie. Ursula zerknęła na nią, zbita z tropu.

- Takich do ołówka?

Tiffany ryknęła gromkim śmiechem; śmiała się tak, że spadła z łóżka. Taca zachybotała się, a herbata chlupnęła na kołdrę. Dziewczyna natychmiast uspokoiła się i zaczęła przeproszać. Ursula nawet nie zauważyła mokrej plamy.

- Nie, powiedz, co cię tak śmieszy? Jeśli to nie takie gumki, to jakie? Na miłość boską, muszę wiedzieć takie rzeczy. Jestem mężatką.

- W dodatku bardzo brzemienną! Owszem, powinnas to wiedzieć. Podejrzewam, że twój mąż nawet ci się nie przyznał, że tego używa. No więc, to jest jak palec od gumowej rękawiczki i trzeba to nałożyć, no wiesz... na to, jeśli mnie rozumiesz. - Wykonała objaśniający gest i Ursula poczerwieniała jeszcze bardziej.

- A, hm... tak, rozumiem. Ale... nie, nieważne.

- Nie, pytaj. Co jeszcze chcesz wiedzieć? - Teraz, kiedy najgorsze miały już za sobą, Tiffany była bardzo rzeczowa. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Więc, czy to jest coś, co musi zrobić mąż? A nie ma nic, co mogłaby zrobić żona, no wiesz, bez wiedzy męża? - No, wypowiedziała to. Co sobie pomyśli Tiffany? Ale wyglądało na to, że Tiffany nie pomyślała sobie niczego złego. Zaczęła poważnie zastanawiać się nad zagadnieniem.

- Na pewno nie gumka. To nie. To zależy tylko od męża. Właściwie nie przychodzi mi nic do głowy, z wyjątkiem tych okropnych ołowiowych pigułek. I na pewno nie zechcesz ich brać!

- Ołowiowe pigułki? Ale jak działają?

- Kobiety używały ich w ubiegłym wieku i przez część tego. Miały zapobiegać zająsci w ciąży, ale przeważnie doprowadzały do zatrucia ołowiem. Na pewno nie chcesz tego zrobić, zaufaj mi.

- Nie. To nie wydaje się skuteczne. No, ale chyba coś wymyślę. - Westchnęła tak ciężko, że Tiffany poczuła ukłucie w sercu. Co za bydlak zostawia osiemnastoletnią ciężarną żonę, zdaną na własne siły przez pierwsze siedem miesięcy małżeństwa? Prawdziwa kanalia. Ścisnęła Ursulę za ramię.

- Powiedz mu, że doktor powiedział, że nie możesz mieć już dzieci. To zbyt niebezpieczne. Masz wąskie biodra?

- Eee... tak, chyba tak. Wiem, że moja amah mawiała, że będę mieć trudne porody.

- No widzisz! Powiedz mu, że jesteś za wąska, żeby bezpiecznie rodzić dzieci. A jeśli potem zmienisz zdanie, jak to już będzie podchowane, zawsze możesz powiedzieć, że postanowiłaś zaryzykować. Nic prostszego! - Obie się roześmiały. To cię załatwi, najdroższy, pomyślała Ursula z satysfakcją. Potem zaniepokoiła się. Czy miała zbyt wąskie biodra? Lekarz nic jej o tym nie wspominał. Spojrzała strapiona na swój brzuch. Teraz już za późno.

Tiffany uznała, że Ursula potrzebuje jej rady i postanowiła jej takowej udzielić. Zamiana ról była gwałtowna, i Ursula zaczęła się zastanawiać, jak mogła się wczoraj zachować tak niegrzecznie. Czują się zmęczona. Cięża wszystko utrudnia. Tiffany rozsiadła się wygodnie w nogach jej łóżka i wypila sok, który Ursula jej oddała. Była bardzo zadowolona z siebie.

- Podejrzewam, że w moim rozumowaniu jest jedna luka - przyznała. - Pewnie chcesz uprawiać seks z mężem. Chcesz?

- Nie bardzo. - Ursula była wstrząśnięta, że w ogóle porusza ten temat. A już zwłaszcza, że zdradza swoje uczucia: obojętność i niesmak. Seks bez miłości nie wydawał się jej atrakcyjny. Simon może kiedyś ją kochał, ale to już minęło. Tiffany znowu wzruszyła ramionami.

- Więc problem nie istnieje. A jeśli chcesz z kimś kręcić, musisz się upewnić, że ma gumki.

Ursula otworzyła usta. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby kochać się z kimś innym. A tu, proszę: pojawia się Tiffany i opowiada, jak się z kimś kręci. Roześmiała się.

- Nie, to niemożliwe. To nie należy do moich ulubionych rozrywek.

- Widocznie nie robiłaś tego z właściwym mężczyzną. Natomiast Chris, mmm! - Tiffany niemal nieświadomie skubnęła grzankę. Nie zauważyła skrepowania Ursuli.

- Nie chciałaś czekać do ślubu?

- Nie. Kochamy się, a wiem, że skłonię go do ślubu, jeśli zechcę. Jest cudowny i szaleje za mną. Poza tym, skąd mielibyśmy wiedzieć, czy do siebie pasujemy? W łóżku oczywiście.

Ursula poczuła się wytrącona z równowagi myślą, iż małżeństwo może opierać się na tym, że para pasuje do siebie w łóżku. Do tej pory nie zastanawiała się



nad tym. Ale nie wydawało się to takie głupie. W końcu Simon chciał tego przez cały czas, zanim nie zrobiła się za gruba. A Tiffany wyglądała tak świeżo i ślicznie, że trzeba było się zastanowić, czy to Ursuli czegoś nie brakuje.

- A czy... Czy tobie kochanie sprawia przyjemność? Wiem, że mężczyźni chyba tak, ale nie rozumiem, jak to możliwe w przypadku kobiety.

Tiffany zamarła z kawałkiem grzanki w ustach i spojrzała na Ursulę z prawdziwą litością.

- Kiedyś spotkasz kogoś, kto sprawi, że to pokochasz. Nie ten bydlak, twój mąż. On zasługuje na dobrą nauczkę. - Zignorowała przerażony okrzyk Ursuli i trzepot jej rąk, mający oznaczać, że na pewno nie zasługuje. Tiffany знаła się na tym lepiej. - Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy. Przekonasz się, jeśli nie zakopiesz się tu do końca życia. Odwiedź nas w Londynie, jak tylko się urządzimy. Poznam cię z paroma fajnymi chłopakami.

Fajne chłopaki, pomyślała Ursula. Nie, chyba nie. Ale miło, że o niej pomyślała. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Kochanie, mogę wejść? - rozległ się głos Christophera. Obie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie konspiracyjnie.

- Oczywiście, już się obudziłam - przyzwoliła łaskawie Ursula. Jej kuzyn wszedł i spojrzał na nie niepewnie.

- Wszystko w porządku?

- Ucięłyśmy sobie bardzo przyjemną pogawędkę. Postanowiłyśmy, że jednak zostaniemy przyjaciółkami, więc możesz się już nie martwić. - Wyciągnęła rękę, którą uściśnięła.

- No, dzięki Bogu! Siedziałem w kuchni i bałem się, że rozerwałyście się na strzępy. Mówię wam, to mi ułatwiło życie. - Uśmiechnęli się do siebie radośnie. Christopher usiadł obok nich i pomógł Tiffany dokończyć śniadanie, którego nie mogła zjeść Ursula. Zdziwiająco, jak inaczej wszystko wygląda za dnia. Zaczęli rozmawiać o weselu, a Ursula obiecała, że stanie po ich stronie, jeśli rodzice Tiffany nie dadzą się przebłagać. Christopher znowu zaczął się zastanawiać i po chwili zaryzykował nieśmiało pytanie:

- Dasz sobie tu sama radę, czy chcesz mieć kogoś przy sobie? - Chciał zabrać Tiffany do Londynu i załatwić wszystko z rodzicami. Ursula rozumiała go w lot.

- Niczego mi nie brakuje. Moja znajoma zajrzy tu po południu, a jeśli Simon nie zadzwoni albo nie przyjedzie, spędzę Boże Narodzenie razem z nią. Jest cudowna. Przy następnej okazji przedstawię was sobie. No, nie martw się. Wiem, że nie możesz się doczekać, kiedy powiadomisz o wszystkim rodziców. Przekaż im moje... pozdrowienia i wiesz co? Nie mów im, że nie zastaliście Simona. Nie zniosłabym, gdyby twoja matka pomyślała o nim, no wiesz, coś złego.

Christopher skinął głową.

- Dobrze. Nie pisnę ani słowa. No, ale musimy już pędzić, kochanie. Dochodzi dziesiąta, a to przecież Wigilia. Na drogach będą potworne korki. Jutro zadzwonię do ciebie i sprawdzę, jak się miewasz - przytulił ją i pocałował w czoło, tak jak za pierwszym razem, kiedy pojawiła się w ich domu. Od tego czasu minął

rok. Wydawało się jej, że postarzała się o dziesięć lat... Tiffany przytuliła ją i oboje wyszli z pokoju. Po chwili trzasnęły drzwi wyjściowe i rozległ się warkot samochodu. Ursula przewróciła się na bok i zasnęła.

- Planujesz obudzić się na Boże Narodzenie? - spytał Simon. Ursula porużyła się przez sen i wychyliła spod kołdry, by spojrzeć w zawieszoną nad nią twarz. Zamrugowała nieprzytomnie.

- Jak się masz. Myślałam, że się jednak nie pojawisz. Która godzina?

- Późna. Prawie trzecia. Jeśli mamy pojechać do miasta, musimy się zbierać. Zakładam, że chcesz spędzić święta ze wszystkimi? Z rodziną?

- Twoja rodzina. Dziękuję za ostrzeżenie. Nie wiedziałam, czego właściwie się spodziewać. Nie odzywałeś się... zaraz... Dziesięć dni. Teraz będzie jedenaście. Jaka jestem niemądra. Powinnam wiedzieć, że sumienie jednak cię ukąsi.

Simon westchnął.

- Nie zaczynaj znowu, na litość. Jechałem tu trzy godziny, a słyszę same wyrzuty. Myślałem, że się ucieszysz.

- Och, oczywiście! Oczywiście, że się cieszę. Dostanę buziaka?

Postanowiła się na niego gniewać, ale wystarczyło jedno spojrzenie na tę twarz, śmiejące się oczy i uśmiech i już była zgubiona. Może z czasem to minie: to, co do niego czuła. Może zacznie wreszcie wyglądać na bydlaka, jak nazwała go Tiffany. Przypadek Doriana Greya. Simon pocałował ją i natychmiast poczuła dobrze jej znane pragnienie, by wziął ją w ramiona, tak mocno jak niegdyś, i powiedział, że ją kocha. O Boże, jak się cieszyła na jego widok. Połaskotał jej ucho.

- No to chodź, ospaluszku. Wstajemy, wstajemy. Napuszczę ci wody do wanny, jeśli chcesz się wykapać. Ale musimy się spieszyć. Nie wyobrazasz sobie, co się dzieje na drogach.

- To samo mówił Christopher - rzuciła od niechcenia. Wiedziała, że to wywoła reakcję.

- Jaki Christopher?

Omam nie roześmiała się mu w nos. Czasami potrafiła przejrzeć go na wylot.

- Mój kuzyn Christopher, oto kto. Przyjechał wczoraj i spędził tu noc. Szkoła, że się rozminęliście. Wyjechał stąd ledwie przed paroma godzinami.

- I co go tu sprowadziło?

- Najwyraźniej ja. Czy to takie niezwykle?

- Szczerze mówiąc, tak. Nie pokazał się od tamtego razu, a na wesele również się nie pofatygował. Już myślałam, że postanowił odciąć się od ciebie do końca życia za to, że za mnie wyszłaś. A może dlatego, że w ogóle za kogoś wyszłaś?

Simon zawsze był zazdrośnikiem. Ursula uśmiechnęła się do siebie pod osłoną kołdry. Niech się pomęczą przez parę minut. Dobrze mu to zrobi.

- Owszem, masz chyba rację. Nawet mówił coś takiego. Ale postanowił się ze mną pogodzić. Nie z tobą, tylko ze mną.

- Miło z jego strony. To dlatego przyjechał? Gnany potrzebą pogodzenia się? Pewnie się zdziwił, kiedy okazało się, że nie tak łatwo cię teraz objąć? -

Simon śmiał się z rozbawieniem, ale jego oczy nadal miały ten znany jej wyraz. Ursula wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie wiem. Chce, żebym przyjechała do Londynu i została z nim do porodu. I trochę się rozerwała. Chyba nie stać nas na nianię, prawda?

- Nie, nie ma mowy. Poza tym, masz już przeszkolenie w tym kierunku, prawda? - Już się nie uśmiechał. Naburmuszył się jak zawsze, kiedy czuł się zraniony. Ursula uznała, że żarty dobiegły końca.

- Może Lettice posiedzi z dzieckiem, jeśli zechcę wyjechać. Wieś bywa czasami naprawdę nudna. Poza tym Tiffany powiedziała, że mogę przywieźć także dziecko. - Uśmiechnęła się do niego łobuzersko. - Tiffany i Christopher biorą ślub. Chcą, żebym stanęła po ich stronie. Obiecałam im to.

Dobrze było przekonać się znowu, że myśl o innym zainteresowanym nią mężczyźnie obudzi w Simonie przynajmniej instynkt bronienia swojego terytorium. Wydawał się rozdarty pomiędzy kobietami, jak bażant z najpiękniejszym, najbardziej kolorowym ogonem, który wreszcie skończy jako łup myśliwego.

- Naprawdę? - niedbale machnął ręką. - Dlaczego? Jest zupełnie nie do przyjęcia?

Zegarek na nocnej szafce tykał nieprzerwanie, pospiesznie. Ursula wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Ale w końcu nasza rodzina ma skłonność do zawierania związków, które są raczej nie do przyjęcia. - Odrzuciła koldrę. - No i co z tą kąpielą?

Podróż do Londynu upłynęła w zupełnej ciszy. Simon nie spytał, jak Ursula zdobyła prezenty, którymi załadowali samochód, a ona nie spieszyła się z wyjaśnieniami. Prawda wyglądała tak, że od dwóch miesięcy wraz z Lettice przeszukiwały wszystkie sklepy ze starzyzną w okolicy. Nie chciała, żeby Simon się o tym dowiedział. To by mu dało przewagę nad nią. Zawsze potrafił wyczuć w ludziach słabość i wykorzystać ją z wyjątkową bezwzględnością. Poza tym, nie chciała, żeby Julia się z niej naigrywała, gdyby dowiedziała się o pochodzeniu prezentów.

Zboczyli trochę z drogi, żeby wpaść do Lettice i Hugh'a i wręczyć im prezenty. Simon gderał, że zmarnują jeszcze więcej czasu, ale został zignorowany. Ursula uparła się i tyle. Lettice nie prowokowała go żadnymi uszczypliwymi uwagami czy kazaniem, budzącymi skruchę w grzeszniku. Nie patrzyła mu w oczy i nie wygłaszała tych mądrości, których się tak obawiał. Właściwie dlaczego wszyscy się tak zachycają i otwartością? To rani ludzi. To rani jego. Ale nikt się tym nie przejmował. Byle tylko bronić słabych. Czasami wydawało mu się, iż słabi są tak dobrze bronieni, że znajdują się w lepszej sytuacji, niż silni. Lettice w oczywisty sposób stanęła po stronie Ursuli. A to stawiało go w niezręcznej sytuacji. Musi oczarować Lettice, bo napisze do jego ojca. A więc uśmiechnął się i pocałował ją w policzek, zauważył, że Toby wygląda świetnie, uściśnął dłoń Hugh'a i spytał o zdrowie rodziny jaskółek. Lettice nie robiła mu problemów. Pogawędzili sobie nad szklaneczką sherry jak dobrze wychowani ludzie.

- O której będziemy na miejscu? - spytała Ursula po godzinnym wpatrywaniu się w ciemność za szybami, z której od czasu do czasu światła reflektorów wylaniały fragmenty żywoplotów. Zimno wdzierało się pod koc, otulający jej nogi. Simon jakby nie odczuwał chłodu. Zazdrościła mu z całej duszy.

- Jeszcze długo, długo nie. Spóźnimy się na kolację, a obiecałem, że przyjeździemy punktualnie. Ojciec będzie się martwił tym, co dzieje się na drogach, a Julia będzie się martwić, że nas nie ma. Szkoda, że się tak grzebałaś.

- Szkoda, że nie uprzedziłeś mnie, że przyjeżdżasz. Wtedy byłabym gotowa na twoje przybycie. Ale pewnie było ci za ciężko podnieść słuchawkę - wycedziła zimno. Simon pogrążył się w urażonym milczeniu. Nie odezwał się, dopóki nie dotarli do Londynu.

- Posłuchaj - zaczął i urwał. Ursula niespodziewanie poczuła, że wie, co się teraz stanie. Pokonywali właśnie ostry zakręt za Szkołą Wojskową na drodze prowadzącej na nabrzeże. Na twarzy Simona malowała się niepewność. Czuło się ją w sposobie, w jaki prowadził wóz. - Chciałbym, żeby te Świąta wszystkim, a zwłaszcza ojcu, upłynęły w miłej atmosferze. Ojciec bardzo się na nie cieszył. Więc chciałbym, żebyś... - zamilkł. Najwyraźniej nie wiedział, jak ma to ująć.

- Żebym zachowywała się przyzwoicie? Nie przypominała wszystkim, że mieszkam w nie ogrzewanej, rozpadającej się chałupie? Nie denerwować tymi małostkowymi pretensjami kobiety w siódmym miesiącu ciąży, pozostawionej bez pomocy i pieniędzy? O to ci chodzi? Czy jednak o coś bardziej osobistego?

Spojrzała na niego i niemal poczuła dla niego litość. Wydawał się spocony ze zdenerwowania.

- Na miłość boską, mówiłem ci, że zacznę przysyłać więcej pieniędzy na twoje konto i zrobię to. I tak nie potrzebujesz pieniędzy dopóki dziecko się nie urodziło, może nie? Przykro mi, że nie ma mnie przy tobie, ale skoro chcesz pieniędzy - a to chyba jedyne, na czym ci zależy... - Szarpnął nerwowo wąsy. Ursula zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak tłumaczyła mu to Julia. Jakoś nie wyglądało to na jego przemyślenia. Może Julia wmawiała mu, że: „Ursula nie kocha cię, najdroższy, chce tylko spokoju, dostatku, pozycji w towarzystwie. Dałeś jej to, więc dlaczego czujesz się winny?”. Tak, tak to chyba wyglądało. Simon dał się przekonać. To oczywiste.

- Nie, nie tylko na tym mi zależy. - Wolałabym, żebyśmy żyli razem z tego, co dałaby nam ziemia. Wystarczyłoby mi, żebyśmy ledwie wzięli koniec z końcem, ale razem. Nadal jesteś dla mnie najważniejszy. Nie mam pojęcia dlaczego, ale tak jest. Chciała to powiedzieć, ale nie zrobiła tego. Wzruszyła tylko ramionami i oznajmiła:

- Nie martw się. Ja także nie chcę denerwować twojego ojca. Jest zbyt miły, żeby mu to robić. Ale nie prowokuj mnie, bo zapomnę o tych dobrych intencjach. W porządku?

Nie odpowiedział.

Julia wyglądała tak samo, jak zawsze. Idealnie grała swoją rolę; lekko rozważona, pewna siebie i wdzięczna. Ursula nienawidziła jej za to. Wszyscy wybie-

gli trumnie przed drzwi, by ich powitać i zagonić do ciepłego salonu. Ursula dostała wielki fotel przy kominku i kieliszek grzanego wina. Lucy usiadła u jej stóp i paplała coś o szkółce, Benjie biegał tam i z powrotem z nową zabawką, Simon pytał ją troskliwie, czy nie jest jej zimno. A Ursula miała ochotę zacząć krzyczeć w obliczu takiej hipokryzji. Ale potem spojrzała na Humphrey'a Pattersona i jej gniew wygasł. Jak mogła narażać go na coś takiego? Był taki rozradowany, tak żałośnie szczęśliwy. Obejmował żonę, gładził Benjiego po główce. Wszystko wyglądało tak, jak sobie wymarzył. Jak mogła mu uświadomić, że to wszystko farsa?

Choinka stała w niszy pod oknem. Prezenty nie mieściły się pod nią, piętrzyły się na pobliskich stołach, były wszędzie. Do ciemnych, kłujących gałązek przywiązano jedwabne czerwone wstążeczki, szklane kule odbijające płomień świec, kremowe bukietki suchych kwiatów, blaszane ozdoby, małe włóczkowe zabawki, drewniane żołnierzyki. Było pięknie. Ursula nie mogła oderwać wzroku od tego bajkowego drzewka.

- Co powiesz na kolację? Czekaliśmy, aż wrócicie do domu. Dzieci już zjadły, ale pomyśleliśmy, że pozwolimy im na was zaczekać - odezwał się Humphrey, przerywając jej rozmyślenia. Uśmiechnęła się do niego. Dom. Jemu naprawdę się wydawało, że to ich dom. Jaki on kochany. A Lettice twierdziła, że to jeden z najwspanialszych umysłów kraju. To zresztą wydawało się nieuniknione. Ludzie inteligentni są oszukiwani i wykorzystywani, ludzie uczciwi są stawiani w sytuacjach uwłaczających ich honorowi. Biada Humphrey'om tego świata. Odgarnęła włosy z buzi Lucy i pocałowała ją.

- Dobranoc, kochanie.

- Pa, pa, Ursie. Przyjdiesz pocałować mnie na dobranoc? - Lucy objęła ją za szyję i przez długi czas nie dawała się oderwać.

- Nie dziś, kochanie. Ursula jest zmęczona i musi coś zjeść - odezwał się Simon. - Ale później przyjdziemy do was. I pamiętaj, im szybciej zaśnieś, tym szybciej przyjdzie do ciebie święty Mikołaj. Chodź, Benjie, ty też.

Odszedł, niosąc chłopczyka na ramieniu, a Lucy pod pachą. Szli po schodach, śpiewając chórem. Ursula odwróciła się gwałtownie. Nie mogła znieść uśmiechniętego spojrzenia Julii.

- Cięża ci służy. Wyglądasz kwitnąco. A może to zasługa wiejskiego powietrza? Tak ci zazdroszczę tej małej chatki, życia bez obowiązków, służby, której trzeba nieustannie doglądać, przyjąć, które trzeba wydawać. Taka bez troska! To musi być istne błogosławieństwo. - Julia spojrzała prosto w jej oczy. Badawcze, uśmiechnięte spojrzenie.

- O, tak. Jestem bardziej przyzwyczajona do życia na wsi, niż w mieście. A chatka jest taka przytulna. Simon jest dla mnie darem niebios: tak wspaniale zorganizował robotników, którzy doprowadzili nasz dom do porządku. Lettice i Hugh też mi pomagają. Są cudowni, bez przerwy mam ich pod ręką. Poza tym mój kuzyn - pamiętasz Christophera, prawda? Jestem pewna, że tak. Otóż wczoraj zjawił się z wizytą i został na noc. To zupełna odmiana w stosunku do Londynu. Zabawne, Simon jest zupełnie odmieniony, kiedy jesteśmy sami. Jest taki spo-

kojny i odprężony. Pewnie byś go nie poznała. - Uśmiechnęła się i pociągnęła łyżeczek wina. Julia zacisnęła usta.

- Czyżby? Muszę go o to zapytać. Rzeczywiście, nie mogę sobie tego wyobrazić. Poza tym tak rzadko tam bywa.

Niemal natychmiast zdała sobie sprawę z popełnionego błędu. Humphrey wyprostował się i zmierzwił ją uważnym wzrokiem.

- A to, co znowu? Rzadko tam bywa? Z pewnością nie. U nas go prawie nigdy nie ma. Nieprawda?

Spojrzał na nie; ich miny powiedziały mu wszystko.

- Doprawdy! - Julia roześmiała się i poczerwieniała. - Być może rzeczywiście tak to wygląda. Pewnie masz rację. Tak się do niego przyzwyczaiłam, że chyba nie zauważam jego obecności. A Simon ma takie dobre podejście do dzieci. Pewnie się cieszysz, że twój mąż jest doświadczony w pielęgnacji niemowląt.

- Owszem. Simon cieszy się, że wreszcie będzie miał dziedzica nazwiska. Nawet jeśli to będzie dziewczynka. Napomknął kiedyś, i mam nadzieję, że przypomni sobie, kiedy przyjdzie na to odpowiedni moment, że zamierza poprosić lorda i lady Deming na rodziców chrzestnych. I wiesz? Simon nie może się doczekać tego dziecka. - Ursula uśmiechnęła się nieśmiało. - Naszego dziecka.

Humphrey i Julia uśmiechnęli się promiennie. Schodzący po schodach Simon też się rozpromienił. Każde z innego powodu. Ursula miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Albo płaczem.

- Może przejdziemy do jadalni? Kucharka zacznie się martwić, jeśli w końcu się nie zjawimy. Pewnie jesteś już solidnie głodna. Musisz jeść za dwoje, i tak dalej.

Ursula ujęła Simona pod ramię i poczuła, że zesztyniał pod jej dotykiem.

- Skądże, wcale nie jestem głodna. Kiedy nie byłam w ciąży, miałam ogromny apetyt, a jednak w żaden sposób nie mogłam przytyć - zaszczębiotała Ursula wesoło. - Pamiętasz, jak zawsze mi zazdrościłaś, że nie muszę się martwić o linię? No, ale skoro zbliżasz się do trzydziestki i masz dzieci, nie musisz się już chyba niepokoić. Możesz już sobie pozwolić na te parę kilo więcej. - Simon parsknął za nią z rozbawieniem. - A ja zupełnie straciłam apetyt. Kiedy dziecko się urodzi, chyba zupełnie zniknę. Ręce mam już jak patyki, prawda, Simonie?

- Prawda. - Simon poruszył się niespokojnie pod nieruchomym spojrzeniem Julii. - Może wina, ojcze? Zajmij się Ursulą, a ja zamienię parę słów z Johnem. Wiem, że zostało jeszcze parę butelek Nuit St Georges. To chyba będzie właściwe, prawda?

Simon zniknął, zanim Humphrey zdołał pozbierać myśli. Wymruczał coś o tym, że John doskonale da sobie radę i dlatego właściwie Simon miesza się do gospodarstwa? Ale Julia i Ursula zrozumiały doskonale. Nie należy wywierać na Simona nacisku, bo ucieknie. Obie kobiety uśmiechnęły się kwaśno do siebie.

## Rozdział czternasty

**D**ziecko urodziło się dziewiętnastego lutego podczas zamieci, która unieruchomiła całą wschodnią Anglię. Dziecko, które tak długo nie chciało się urodzić, stawiało opór do ostatka. Ważąca trzy i pół kilograma dziewczynka przyszła na świat po osiemnastu godzinach porodu i wyczerpana Ursula rozplakała się cicho z ulgi.

Przez ostatni tydzień mieszkała z Lettice i Hughem. Hugh uważał, że nie powinna znajdować się sama w chacie tak blisko terminu porodu. Ursula nie stawiała oporu. W duchu czuła ulgę, że pojawił się ktoś, kto zadecyduje za nią. Nie chciała przechodzić przez to samotnie. Simon nie pamiętał, kiedy miała rodzić i nie wrócił z Londynu na czas. A może nie był w stanie stawić czoła odpowiedzialności. Zastanawiała się, czy pojawił się przy Lucy i Benjim. Pewnie nie.

Lettice i Ursula oglądały razem wiadomości telewizyjne, kiedy Ursula nagle jęknęła. Lettice przywołała Hugh'a, który siedział w gabinecie i niemal zanieśli Ursulę do samochodu. Hugh jechał jak szalenciec przez klęby wirującego śniegu. Żadne z nich nie przeżyło dotąd porodu. Wszystko wyglądało dość strasznie.

Ursula miała wrażenie, że dziecko z niej nie wyjdzie, lecz rozerwie ją na kawałki. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takiego bólu. Ale te prawdziwe tortury natychmiast poszły w zapomnienie i teraz ledwie mogła sobie przypomnieć o przeżeniu i rozpacz. Przeżycia zatoneły w słodkim uczuciu uwolnienia i ulgi, które zagłuszyło wszystko inne. Dziecko widziała zaledwie przez parę chwil. Zaraz je zabrali, a ją przewieźli do separatki. Później pielęgniarka przyniosła jej dziecko do karmienia. Małe, czerwone, pomarszczone... brzydkie stworzenie, na widok którego Ursula cofnęła się z zaskoczeniem. Wzięła je i zaczęła się mu przyglądać. Dzieci w kampongu tak nie wyglądały. A może? I na pewno nie krzyczały

przez cały czas. Ursula zawinęła córeczkę w kocyk i zaczęła kołysać. Krzyk nie cichł. Zaczęła się zastanawiać, co pomyśli o tym Simon.

Simon pojawił się dopiero na trzeci dzień. Śnieżyca szczęśliwie utrudniła przejazd na wszystkich drogach. Pielęgniarka karcąco cmokała, kiedy Ursula pytała, czy mąż już przyjechał. Czy nie wie, co się dzieje na dworze? Nie może zdobyć się na cierpliwość? Taką samą dezaprobatę budziły narzekania Ursuli na to, że dziecko zbyt mocno szarpie jej piersi podczas karmienia. Przez te trzy dni niemowlę zbladło i przestało wyglądać jak pomarszczony staruszek. Okazało się, że ma jasne włosy i bladobłękitne oczy. Nie było wątpliwości, że to dziecko Simona. Charakterek też wzięło po nim. Dziewczynka już teraz wydawała się tak samo pochłonięta sobą, jak on. Karmienie piersią miało być podobno przyjemnym doświadczeniem, a stało się męczarnią. Jej piersi spuchły i obrzmiały w bezwzględny uścisk niemowlęcia. Pielęgniarka powiedziała jej, żeby przestała wszystko utrudniać, a w towarzystwie innych siostr obgadała grymasy pani Patterson. Ursula błagała Lettice, żeby zabrała ją stamtąd najszybciej, jak można.

Kiedy Simon wreszcie przyjechał, przede wszystkim poszedł zobaczyć swoją córeczkę. Pielęgniarka uznała, że jest niewiarygodnie uroczy i przystojny. Zamknął drzwi, zostawiając za sobą szalejącą zamieć, i pobiegł do dziecka; oczy mu błyszczały, a twarz płonęła ze szczęścia. Pozwolono mu wziąć córkę w ramiona i przez parę minut wpatrywał się z podziwem w jej buzię. Dokładnie policzył jej paluszki u rączek i nóżek, a potem oznajmił, że będzie się nazywała Rhea Clare Louise Patterson. Dopiero wtedy oddał ją pielęgniarce. Dziecko nie zapłakało ani razu i przyglądało się ojcu z wielkim upodobaniem. Pielęgniarka patrzyła na to wszystko zadowolona i myślała, że Simon będzie świetnym rodzicem. W przeciwieństwie do matki.

Potem Simon zdecydował się odwiedzić Ursulę. Dzieliła salę z trzema innymi kobietami, które zdołał oczarować w jednej chwili, kiedy zajął do środka z uszczęśliwionym uśmiechem i wielkim bukietem róż. Wszystkie podniosły się i odruchowo poprawiły włosy. Ursula omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Miło cię zobaczyć. Cieszę się, że wpadłeś. Twoja córka po latach doceni to poświęcenie. Bo wiesz, że masz córkę, prawda?

- Trzy i pół kilo wdzięku i urody. - Pochylił się, by pocałować ją w usta. Pachniał ciężką, drogą wodą toaletową. Ursula uchyliła się i nadstawiła policzek. Niedługo rozpaczliwie tęskniła za takim pocałunkiem, za jakąkolwiek oznaką miłości. Teraz niemal nienawidziła tego zapachu, łaskotania wąsów... Gdyby tylko... zaraz, zaraz. Nie ma żadnego gdyby. Chyba że dziecko go zmieniło. Ale bardzo w to wątpiła.

W czasie porodu potrzebowała go najbardziej. A wtedy właśnie go nie było. Zawałał się i podsunął jej pod nos bukiet.

- Proszę. Zimowe kwiaty dla zimowego dziecka. Rhea jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Zauważyłaś, że ma już prawie czuprynkę? Jasne włoski i niebieskie oczki! Nie ma wątpliwości, kto jest tatusiem, co?

- Rhea? Chcesz, żeby nasze dziecko nosiło imię Rhea?



- Oczywiście. Rhea Clare Louise Patterson. Nieźle brzmi, nieprawda? Moja babka ze strony ojca miała na imię Rhea i zawsze mawiałem, że moja pierwsza córeczka będzie miała imię właśnie po niej...

- A Lucy? - przerwała mu brutalnie. Twarz Simona pobieliała.

- Co? Nie rozumiem... Myślałem, że zgodziliśmy się, iż to okrutna plotka. Nie mogę uwierzyć, że zaczynasz akurat teraz!

- Tak? A kiedy będzie bardziej odpowiednia pora? Może na chrzcie? Wtedy przybędzie również Julia i twój ojciec. Tak, masz zupełną rację. Wtedy będzie lepiej zabrać się za porządkowanie naszych spraw. Zaniedbałam to w czasie świąt, ponieważ jakoś nie wydawało mi się to stosowne, ale rzeczywiście, chrzciny nadadzą się o wiele lepiej. - Zdawała sobie sprawę, że jest wyjątkowo zjadliwa, ale czuła, że Simon na to zasłużył. Nie zrozumiał, że to tylko blef. Jego blade oczy zrobiły się niemal białe z gniewu i powściąganej chęci skrzywdzenia jej. Wiedziała, że gdyby zostali sami, uderzyłby ją. Ale jakoś po torturach porodu i samotności ostatnich trzech dni nie wydawało się jej to przerażające. Cieszyła się tylko, że uderzyła go w czułe miejsce. I że cios będzie bolał jeszcze długo. Tym razem Simon dowie się, jak to wygląda z drugiej strony.

- Podejrzewam, że powinnam mieć coś do powiedzenia przy nadaniu imienia własnemu dziecku. A może nie liczy się, że to ja nosiłam ją przez dziewięć miesięcy, a potem rodziłam przez osiemnaście godzin? - Przyjrzała się z uśmiechem jego wysiłkom odzyskania kontroli nad sobą.

- Ty... dziwko! - syknął niemal niedosłyszalnie. Potem uspokoił się, zdławił gniew i usiadł przy jej łóżku. Przeczesał jasne włosy palcami; na widok tego gestu jeszcze rok temu obudziłyby się w niej współczucie dla niego. Teraz nic w niej nie drgnęło. - Możesz nadać imię następnemu dziecku. Będziemy się zmieniać. Ale chcę, żeby to miało na imię Rhea. Rozumiesz? - Znowu był sobą, pewnym siebie i opanowanym. Nie mogła uwierzyć, że po tym, co między nimi zaszło spodziewa się, iż będzie mógł jej dotknąć. A jednak. Niesłychane. Poczowała, że twardy, bolesny gruzel w piersi nagle rozpuszcza się i znika. Nie warto się nim denerwować. To nawet nie jego wina. Taki się urodził. Po prostu czegoś mu brakuje. Uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Dobrze, niech będzie Rhea. Ale mam nadzieję, że wyjaśnisz to jej, kiedy pójdzie do szkoły i dzieci będą się z niej śmiały. - Odetchnął z ulgą. Nie mogła się powstrzymać; nie mogła nie podziwiać jego niezwyklej fizycznej urody. Co za marnotrawstwo, że wewnątrz niczego nie ma! Wspomnienie o szkole najwyraźniej nasunęło mu coś na myśl, bo wyjął notatnik i nagryzmołił w nim coś.

- Gimnazjum Marii Panny. Tam chodziła moja matka. Zapiszę do niego Rheeę zaraz w poniedziałek.

- Rhea ma trzy dni! Nie sądzisz, że to trochę za wcześnie? - Ale Simon wcale tak nie uważał, a Ursula nie przejmowała się i uważała, że nie ma się o co z nim kłócić. Zastanawiała się, czy to zubożenie wynika ze zmęczenia, czy też z czegoś innego. Czy kochała swoje dziecko? Oczywiście, że tak. Tylko trochę rozczarowała się widząc, jak podobna do ojca była ich córka - zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Ale musiała się z tym pogodzić. To nie wina jej dziecka, że

jej ojciec jest taki, jaki jest. Nie może obciążać ją za to odpowiedzialnością. Gdyby tylko nie przypominała jej Simona za każdym razem, kiedy patrzyła na nią tymi bladymi, niemal białymi oczami i przechylała główkę pokrytą srebrnymi kosmykami. Ursula otrząsnęła się i uśmiechnęła do Simona.

- Kiedy odbędzie się chrzest?

Zesztywniał, obawiając się kolejnego ataku, ale uspokoił się, kiedy dostrzegł jej rozbawienie.

- Czasami mnie przerażasz. Obiecuj, że nie zrobisz mi awantury!

Skinęła głową, coraz bardziej rozbawiona. Ach, więc taki jesteś. Czują swoją siłę, ale nie zamierzała jej okazywać. Być może będzie musiała zrobić to później, kiedy wypłynie temat pieniędzy.

- Myślałem, żeby zorganizować go w kwietniu, tutaj, u Świętego Łukasza - oznajmił po chwili zastanowienia. - Czy to ci odpowiada?

A więc nie będzie triumfalnego wjazdu do Londynu i świętowania jego ojcostwa. Ursula wzruszyła ramionami.

- Bardzo dobrze. A więc Lettice i Hugh mogą być rodzicami chrzestnymi. Chyba, że myślałaś o kimś innym?

- A lord Deming i lady Mary? Wspominałem już o nich, prawda? Za moim ostatnim pobycem u nich nawet o tym rozmawialiśmy i lady Mary zapewniła mnie, że będzie zachwycona. Dziecko potrzebuje solidnego oparcia, nie sądzisz? - To go naprawdę interesowało! Ursula otworzyła szeroko oczy, przyjemnie zaskoczona. Czy to znaczy, że teraz jego stosunek do nich ulegnie zmianie? Delikatnie ucisnęła jego dłoń.

- Sądzę, że to wspaniałe. Naprawdę to załatwisz? Nie znam ich i czułabym się skrępowana, gdybym miała się do nich zwrócić z prośbą. Mogę zamówić mszę, jeśli uzgodnimy datę. Cieszyłabym się, gdyby to mogło być siedemnastego kwietnia. - W tym dniu przypadały urodziny Billy'ego. Ile lat by skończył, zastanowiła się. Gdyby przeżył. Dwadzieścia dziewięć? Trzydzieści? Na chwilę w jej piersi znowu otworzyła się bolesna pustka i musiała gwałtownie zaczerpnąć powietrza. Simon coś mówił.

- ... załatwić. Porozumiem się z Julią. Powinna o tym wiedzieć. - Wzmianka o Julii nie wywołała w niej żadnej reakcji. Nie wierzyła, żeby Simon mógł się zmienić, a teraz wiedziała już, że przestała go kochać, jeśli w ogóle można było mówić o jakiegokolwiek miłości. Może raczej należałoby nazwać to potrzebą bycia kochaną, otoczoną opieką, bezpieczną? Podziwiała Simona, jego uroda i elegancja wywarły na niej wielkie wrażenie. To tak. Ale czy go kochała? Prawdopodobnie nie. Taka miłość to coś zupełnie innego. Nie wydawało się jej, żeby mogła kogoś pokochać. To było smutne.

Uśmiechnęła się tak, jak wypadało i nastawiła usta do pocałunku, kiedy Simon wstał i zaczął się żegnać. Jego odejście przyjęła z ulgą. Kwestia pieniędzy została uzgodniona, chrzciny dziecka postanowione. Z początku stawiał opór i nie chciał dać jej sumy, jakiej żądała - sto funtów miesięcznie bezpośrednio do banku w Elsing - ale kiedy taktownie dała mu do zrozumienia, że zwróci się z tym do jego ojca, skoro on nie może utrzymać rodziny, Simon nagle stał się bardziej

skłonny do ustępstw. Uśmiechnęła się sennie i pożegnała się bez najmniejszego żalu.

Tiffany i Christopher pobrali się w samym środku lata. Ursula zostawiła Rheę z Lettice i pojechała do Cambridge pociągiem. Ślub odbył się bez wielkiego rozgłosu. Rodzice obojga państwa młodych odmówili pojawienia się, a panna młoda miała na sobie kremową suknię z niewielkim koronkowym welonem. Christopher odchodził od zmysłów ze szczęścia; Ursula przypomniała sobie z goryczą, jak wyglądał Simon podczas ich ślubu. Cieszył się, że w ten sposób zapewnia sobie idealny kamuflaż dla swojego romansu z Julią. A Julia wyglądała, jakby walczyły w niej dwa różne uczucia: zadowolenie i zazdrość. Ursula przypomniała sobie to zupełnie niespodziewanie i zaskoczenie, jakie wtedy odczuła. Ale Julia i tak wygrała. Miała Simona, śliczny dom w Londynie, dowcipnych znajomych i uratowaną reputację. Boże, jakże musiała być wtedy szczęśliwa! Ursula potrząsnęła głową z irytacją. Jakie to ma znaczenie? Nie potrzebuje już mężczyzny, którego nie kocha, więc mniejsza o to. Spojrzała na pannę młodą u boku wybranka i uśmiechnęła się. Tiffany miała tak nieskomplikowany charakter: silna, zaradna i dobroduszna. Wiedziała, że będą ze sobą szczęśliwi.

Potem nastąpił moment rzucania ryżu i pożegnań, a nowożeńcy ledwie mogli ustać w miejscu z niepokojem, że spóźnią się na pociąg o czwartej, mający zawieźć ich do Londynu, a stamtąd do Paryża. Roześmiana Tiffany zarzuciła Ursuli ręce na szyję i obiecała, że zadzwoni, jak tylko wrócą. Mieli zamieszkać w Londynie. Christopher dostał pracę w banku handlowym w City. Jak tylko się urządzią, powtórzyła Tiffany z naciskiem, Ursula ma do nich przyjechać i trochę się rozerwać. Ursula wybuchnęła śmiechem. Dobrze wiedziała, o czym była mowa. Potem pocałowała Christophera i młoda para wskoczyła w biegu do pociągu. Ursula machała im ręką, dopóki nie zniknęli jej z oczu.

Dotarła do domu o wpół do siódmej. Lettice miała przenocować Rheę, w razie gdyby Ursula zdecydowała się zostać dłużej w Cambridge. Tak wiele osób zachęcało ją, żeby się rozerwała. Ale co niby miała zrobić? Przespać się z paroma mężczyznami? To z pewnością jej nie zadowalało. Kilka razy była z Dunhamami na tańcach. Poznała sporo okolicznych rodzin i - ponieważ chodzenie na zabawy bez męża było dość krępujące - często wydawała herbatki dla pań. Czego jeszcze miała dokonać, żeby się rozerwać? Czego od niej chcieli? Gdyby padł na nią choćby cień skandalu, byłaby potępiona przez wszystkich. No, prawie przez wszystkich. A Rhea dostarczała jej wystarczająco wiele rozrywek, nie wspominając już o ogrodzie i domu. Nic miała czasu na nic innego. I, szczerze mówiąc, nie miała też na to ochoty. Czy coś było z nią nie tak? Czy była oziębła? Simon nazwał ją tak, kiedy go odepchnęła. Może miał rację? Przynajmniej od porodu nie starał się z nią spać. Nawet nie musiała zasłaniać się wymówką o zbyt wąskich biodrach. Po prostu nie interesował się nią i tyle.

Weszła do sypialni, zdjęła sukienkę i przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze. Była wysoka i nadal bardzo szczupła, choć piersi powiększyły się nieco

po dziecku. Miała długie i gęste włosy, owalną twarz, ciemne oczy nadal w oprawie długich, czarnych rzęs i skórę, której długie godziny pracy w ogrodzie nadały ciepły, złocisty odcień. Uważała, że ma ładne brwi - proste i lekko unoszące się ku skroniom. Może nie była klasyczną piękną ale czuła, że może się podobać. Ciało nadal miała mocne i świeże. Czego jeszcze chciał ten Simon? Przed oczami przesunęła się wizja Julii. Oto, czego chciał. I co miał. Odwróciła się gwałtownie od lustra i włożyła podomkę. Może pora wreszcie stawić czoło faktom. Życie na Dalekim Wschodzie należy do przeszłości, a rzeczywistość w Anglii nie ulegnie zmianie. Będzie musiała wcielić się w doskonałą żonę, idealną mamusię, biedny malowany ptaszek. Uderzyła pięścią w parapet. Nie! Do diabła! Nie da się!

## Rozdział piętnasty

*Essex, rok 1956*

**M**amo? Ma - mo! - głos Rhei odbił się echem od kamiennych ścian domu; Ursula podniosła głowę znad układania bielizny pościelowej. Chyba nie ma jeszcze drugiej? Zerknęła na zegarek. Było wpół do pierwszej. Szybko podniosła się z kłęczek i pospieszyła na pięterko.

- Kochanie, czy to ty? - Zaczęła schodzić po schodach w tej samej chwili, w której Rhea zaczęła po nich wchodzić. - Wróciłaś tak wcześnie! Spodziewałam się ciebie o drugiej, chciałam wyjść na dworzec! Jak się tu znalazłaś, na miłość boską? - Przytuliła do siebie córkę. Jakie wysokie i długonogie robiło się to dziecko! W lutym skończyła dziewięć lat, a teraz był już lipiec, więc wróciła do domu na wakacje. Ursula odgarnęła jej z oczu kosmyk włosów i roześmiała się ze szczęścia. Jak dobrze będzie mieć znowu towarzystwo.

- Spotkałam na stacji Hugh'a. Powiedział, że mnie podrzuci. Właśnie wylądowuje mój kufer.

- Dobry Boże! Sam? Dostanie przepukliny! Szybko, nie płacz mi się pod nogami. Muszę mu pomóc. Jak mogłaś go zostawić? - Odsunęła córkę i zbiegła po schodach. Cała Rhea! I dlaczego przyjechała wcześniejszym pociągiem? Na zewnątrz zatrzymała się gwałtownie. Człowiek, którego nie widziała nigdy w życiu, wylądowywał kufer Rhei z samochodu Hugh'a. Hugh instruował go z bezpiecznej odległości.

- Dobrze, Tim, dobrze. Teraz postaw to tutaj. Musimy spytać Ursulę, gdzie mamy to zanieść. A, jesteś, kochana. Przywieźliśmy ci Rھے. - Hugh promieniał z zadowolenia. Jego twarz pod wpływem upału lekko poróżowiała. Dzień był gorący i bezwietrzny. Hugh otarł chusteczką czoło, kark i wskazał na nieznanego.

- Znasz Tima?

Ursula spojrzała niepewnie na młodego człowieka. Był średniego wzrostu, krępy, z włosami ciemnoblond i wyraźną, kwadratową szczęką. Miał stale zmrużone oczy, jakby przyzwyczał się patrzeć w słońce; wyglądał na jakieś dwadzieścia parę lat. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie, chyba nie. - Wyciągnęła do niego rękę, a przybysz uściśnił ją mocno i krótko. - Jestem Ursula Patterson. Zamierza pan tu zamieszkać?

- Tim Nowlton. Przyjechałem w odwiedziny do babki, więc nie wiem, jak długo tu zabawię. Hugh przyjechał po mnie na stację i spotkaliśmy pani córkę. - On także się uśmiechnął, a wtedy zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. Ursula znieruchomiała; jej twarz pobladła pod opalenizną. Pochodził z Australii, jego akcent był niemal niedosłyszalny, lecz niemożliwy do ukrycia. Nie słyszała takiego akcentu od czasów Singapuru. Przyglądał się jej z bliska i nagle podtrzymał ją za łokcie.

- Dobrze się pani czuje? Trochę pani kiepsko wygląda. Może się pani przezięczyła? - Trzymał ją mocno w objęciach i prowadził do domu, a ona nie mogła uwolnić się od obrazów, stających jej przed oczami w oslepiających błyskach. Hugh człapał za nią niepewnie, a Rhea, jak zwykle przytomna, popędziła po schodach po mokrą flanelę. Ursula usiadła z pomocą Tima na sofie. Jej twarz poszarzała jak popiół. O Boże, biedna Sally, i Tom, mój Tom, i Emma! Jaka straszna śmierć, a papa... o jego śmierci nie potrafiła myśleć, a Billy... Billy! W głowie zakręciło się jej, jakby miała zemdleć. Nie, nie zemdleje. To tylko wstrząs, nagły powrót przeszłości, wywołany głosem tego obcego. Tim posadził ją troskliwie na poduszkach.

- Już dobrze, nic pani nie będzie. To chyba z upału. - Usłyszała, że pyta Hugh'a o jej skłonność do omdleń podczas upału, więc potrząsnęła głowę i uśmiechnęła się słabo. Zaczęła coś mówić, ale obaj zignorowali jej starania,

- Na Boga, nie! Jeszcze nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Nawet w dniu, w którym urodziła się Rhea. Może powinniśmy wezwać doktora? - Coś zimnego i mokrego dotknęło jej przegubów, a potem obcy, Tim, powiedział, że nic jej nie będzie. Hugh mruczał coś do siebie z niepokojem, ale Ursula już poczuła się lepiej. Wstrząs powoli ustępował. Oparła się z uśmiechem o sofę.

- Naprawdę nic mi nie jest. Przepraszam, jeśli trochę zbłądłam, ale przyrzekam, że nie zamierzam zemdleć czy zrobić coś równie niemądrego. Nigdy nie mdleję. - Z trudem przełknęła ślinę. W ustach czuła suchość i gorycz.

- Rhea, przynieś mamie wody. I uważaj, nie nachlap na podłogę!

To znowu Tim. Ursula odprężyła się i odetchnęła głęboko, by uspokoić drżenie, które ciągle czuła w piersi.

- Bardzo dobrze, już wracają pani kolory. Daję słowo, przez chwilę źle to wyglądało. Podniosła oczy i spojrzała w pochyloną nad nią twarz. - Już lepiej?

- O, tak, zupełnie dobrze. Bardzo przepraszam. Przez chwilę... - zawahała się, nie wiedząc, jak to wytłumaczyć, żeby nie zabrzmiało melodramatycznie. Zza pleców Tima wyłoniła się Rhea ze szklanką w ręku. Ursula z wdzięcznością pociągnęła łyk zimnej wody.

Dziewczynka była wstrząśnięta, jakby nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że matce może się coś stać. Ursula uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

- Już dobrze, kochanie. Nie trzeba się martwić. Trochę się przemęczyłam i nie spodziewałam się ciebie tak wczesnie. Już mi nic nie jest, naprawdę.

Wyciągnęła rękę; Rhea uklękła przy sofie, mocno ściskając dłoń matki.

Ursula spojrzała na obu mężczyzn.

- Strasznie was przepraszam. Nie zachowałam się zbyt gościnnie, co? Hugh, mój kochany, nie przejmuj się. Jestem już w pełni sił, zapewniam cię.

- Co chciałaś powiedzieć? Co: przez chwilę? - Zaróżowione policzki Hugh powoli zaczęły blednąć. Przyniósł sobie taboret i usiadł na nim. Tim przycupnął na brzeжку sofy. Przyglądał się jej z zainteresowaniem.

- Nie, to głupie. - Roześmiała się niepewnie, ale kiedy żaden z nich nawet się nie uśmiechnął, wzruszyła ramionami. - To przez akcent Tima. Od Singapuru nie spotkałam żadnego Australijczyka. To przywołało złe wspomnienia. Bardzo przepraszam. Zwykle nie zachowuję się tak głupio.

- Straciłaś tam kogoś? Podczas wojny? - spytał Tim. Hugh pokręcił ostrzegawczo głową, ale Ursula uśmiechnęła się spokojnie.

- Nie, w porządku. Tak, straciłam wszystkich podczas japońskiej inwazji. Tylko ja przeżyłam i przyjechałam tutaj. Nie myślałam o tym od lat. Ale moja macocha była Australijką, tak jak ty. Twój głos wyzwolił mnóstwo wspomnień.

- Rany, bardzo przepraszam. Gdybym wiedział, trzymałbym usta zamknięte. Naprawdę nic pani nie jest? - Tim nadal marszczył brwi. Miło było dla odmiany poczuć czyjąś troskę. Skinęła głową.

- To przecież nie twoja wina. Tak się zdarza. No, a kim jest twoja babka? To chyba nie pani Chadwick?

- Owszem. To matka mojej mamy. Nie odwiedzałam jej od piętnastu lat i pomyślałam, że jeśli się w końcu nie zbiorę, nie zdążę jej zobaczyć. - Rzucił jej przelotne spojrzenie z ukosa. Odpowiedziała uśmiechem.

- Chodź do mnie, kochanie, pomóż mi wstać - zwróciła się do Rhei i podniosła się z wysiłkiem. Tim wziął ją pod ramię i pomógł jej się wyprostować. - O, dziękuję. Ale chyba nie spędzisz tej wizyty na zabawie w pielęgniarkę. Mam nadzieję, że ta mała scena pozostanie między nami? Nie przepadam za rolę obiektu wioskowych plotek. - Czują się bardziej pewna siebie stojąc i patrząc im obu w oczy. Obaj obiecali, że nie pisną nikomu ani słowa.

- Świetnie. Więc co powiecie na herbatkę?

Ale Hugh oznajmił, że się spieszy, a Tim uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Chyba nie ma pani w tej chwili ochoty na zabawianie nas. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie wnieść kufer Rhei i już nas nie ma. Ja także nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć Nan. - Spojrzała na dziewczynkę. - Chodź, tygrysku, pokaż mi, gdzie jest twój pokój. - Rhea poderwała się natychmiast; poruszała się ze świadomą kokieterią. Ursula powściągnęła uśmiech. W końcu dlaczego nie? Tim jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, choć Rhea oczywiście jest dla niego za młoda. Ale nie zaszkodzi jej, jeśli nauczy się flirtować.

- Dziękuję ci. I... na imię mi Ursula. - Raczej nie spodobał się jej wzrok, jakim ją zmierzył. Kiwnął głową i poszedł w ślad za Rhea.

- Tak jest. Ursula - rzucił przez ramię.

Ursula odwróciła się do Hugh'a, który z zajęciem przyglądał się zaciągnięciu materiału na spodniach.

- Miły facet, nie sądzisz? - rzucił od niechcienia. Roześmiała się. Potrafiła w nim czytać jak w otwartej książce.

- Bardzo miły. Może wkrótce moglibyśmy się spotkać na kolacji. Myślisz, że pani Chadwick by przyszła?

- Raczej nie. Ma osiemdziesiąt sześć lat i chodzenie sprawia jej już trudność. Podróż pewnie by ją zdenerwowała. Ale Tim na pewno przyjdzie. Czyli będzie nas czworo. Mam go poprosić? - W oku migotała mu iskierka, na widok której Ursula wbrew sobie się zaczerwieniła. Co on sobie wyobraża!

- Nie, dziękuję. Potrafię poprosić sama, jeśli uznam to za właściwe. Zdaje się, że Tim już wraca. Spotkamy się w kościele. I... - Uniosła rękę, ucinając wszelkie pytania o jej samopoczucie. - Czuję się doskonale. Sakramencko świetnie, jakby powiedział Simon. Więc nie przejmuj się. - Pocałowała go serdecznie w policzek i odprowadziła na dwór. Tim stał przy samochodzie i rozmawiał z Rhea, ale spojrzał w jej kierunku, kiedy pojawiła się w drzwiach.

- Gotowe. Jeśli zechcesz, żeby wynieść gdzieś kufer, kiedy go wypakujesz, zadzwoń do mnie, a przyjadę i zajmę się wszystkim.

Ursula poczuła, że oblewa się rumieńcem. Czy usłyszał, jak mówiła o Simonie?

- Dziękuję ci, ale mój mąż się tym zajmie. Pozdrów ode mnie panią Chadwick. - Uśmiechnęła się beztrudnie i machała im, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem. Rhea biegła za nim, wykrzykując pożegnania. Potem powoli wróciła do domu.

- Mamo? Ile lat może mieć Tim? - Ursulę bawiło to, że jej córka po pójściu do szkoły zaczęła zwracać się do niej mamą. Powściągnęła uśmiech i postarała się z rozważą odpowiedzieć Rhei.

- Przypuszczam, że ma jakieś dwadzieścia siedem lub osiem lat. Może więcej. Ma taką chłopięcą urodę, że nie można z całą pewnością określić jego wieku.

- Nie wygląda jak chłopiec! Według mnie jest bardzo męski.

- Tak, masz rację. Jest bardzo męski. Chciałem powiedzieć coś innego. Chodziło mi o to, że ma regularne rysy, a jego skóra jest mocno naciągnięta na kościach twarzy, więc równie dobrze może mieć dwadzieścia pięć, jak i trzydzieści pięć lat. W przypadku niektórych ludzi trudno to określić. A co? Podoba ci się?

Uśmiechnęła się, ale Rhea odwróciła się od niej gwałtownie. Ojej, obraziła się. Ursula pospieszyła z przeprosinami.

- Wczoraj dzwonił twój ojciec. Powiedział, że postara się przyjechać do ciebie za parę dni. No, nie cieszysz się?

Rhea natychmiast odzyskała dobry humor. Kilka razy podskoczyła w miejscu.

-Przywiezie mi prezent? Prosiłam go o perfumy i powiedział, że mi je kupi. Spytałeś go, czy ma dla mnie prezent?



- Nie... Nie spytałam, kochanie. Chyba nie powinnaś ciągle prosić ojca o prezenty. To niezbyt miłe. Jeśli zechce ci coś przywieźć, zrobi to z własnej woli. Poza tym jesteś za młoda na perfumy.

Wystarczyło spędzić parę chwil w towarzystwie Rhei, by przypomnieć sobie ojej egocentryzmie. Była taka sama, jak jej ojciec. Rhea naburmuszyła **sie** kopnęła jakiś kamień.

- Tatusiowi to nie przeszkadza. Mówi, że jestem jego księżniczką i mogę mieć to, czego pragnę. To tylko ty się sprzeciwiasz! Tylko dlatego tatuś nic ci nie przywozi.

- Wystarczy, moja panno. Nie jest grzecznie prosić ojca za każdym razem o prezent. To interesowność. Rozumiesz, co to znaczy?

- Tak. To dlaczego kłócisz się z nim o pieniądze? To nie jest interesowność?

- Nie, to walka o przeżycie. Jeśli chcesz mieć te śliczne sukienki, konia i dobrą szkołę, muszę zdobyć na nie pieniądze. W przeciwnym razie ojciec zapomni.

- Nieprawda! Tatuś zawsze o mnie pamięta. Ale on wypruwa z siebie żyły, a ty ciągle tylko gderasz, gderasz, gderasz. To przez ciebie tu nie przyjeżdża, nie przeze mnie! - Tupnęła nogą schrypnięta z złości, a potem nagle uciekła za dom.

Ursula westchnęła i założyła kosmyk włosów za ucho. Gdybyż tylko potrafiła znaleźć wspólny język z córką; żeby Simon nie przekupywał Rhei prezentami i nie opowiadał jej, że to matka jest przyczyną wszelkiego zła w ich małżeństwie. Ursula weszła do chłodnego salonu i znowu usiadła na sofie. Wgniecenie w miejscu, w którym Tim przysiadł na poręczu, nadal było widoczne. Taki wesoły, rozsądny i atrakcyjny. Szkoda, że nie został dłużej.

## Rozdział szesnasty

**T**ego wieczoru, już pod tym, jak Rhea poszła spać, w drzwiach pojawił się Simon. Miał niewielką skórzaną walizeczkę, jak zwykle, oraz paczuszkę JL pasiąstą niczym cukierek i przewiazaną różową wstążeczką. Ursula nie spytała, co w niej jest. Perfumy. Pocałował ją w policzek, podniósł Shebę ze schodów, na których leżała mrużąc do siebie pomiędzy kolumienkami, i usiadł na swoim fotelu tak naturalnie, jakby wyszedł z domu rano, a nie przed trzema miesiącami. W domu było ciepło; słoneczne promienie ostatnich dni wniknęły w kamienne mury i rozgrzały je niczym piec. Wszystkie okna były otwarte, a lekki nocny wiaterek poruszał firankami w oknach; czasami jego jęki denerwowały Ursulę, kiedy była sama. Ale teraz, kiedy miała u boku męża, wcale nie czuła się uspokojona. W jej sercu pojawił się inny strach. Zdecydowała się rozpocząć kłótnię, która dojrzewała w niej przez cały dzień. Zerknęła na Simona, usiłując odgadnąć, w jakim był humorze. Wydawał się beztroski w sposób rokujący pewne nadzieje. Drapał Shebę u nasady ogona, co spotykało się z pełnym uznania głośnym mrużeniem. Kotka próbowała wsadzić mu głowę pod pachę. Nie uległo wątpliwości: Simon umiał postępować z istotami płci żeńskiej.

Ursula układała w milczeniu kompozycję z suchych kwiatów, podczas gdy on szeleścił dokumentami i rzucał ogólnikowe uwagi o życiu w Londynie. W jego ujęciu wydawało się wesołe i interesujące, jedno wesołe przyjęcie za drugim, jeden skandal za drugim. Nie odpowiedziała. Wiatr znowu jęknął w firankach; podskoczyła nerwowo. Simon nie spytał o Rheę, a ona nie spieszyła się z opowiadaniem. Wreszcie westchnął i wyrzucił z siebie:

- Co znowu zrobiłem, na miłość boską? Powiedziałem, że przyjadę do Rhei i dotrzymałem słowa. Powiedziałem, że przywiozę jej prezent i dotrzyma-

lem słowa. Powiedziałem, że będę przesyłał pieniądze do banku i dotrzymałem słowa. Czego jeszcze chcesz? - Wydawał się tak rozsądny i zawiedziony jej zachowaniem, że wybuchnęła śmiechem, niezdolna powściągnąć goryczy. Czuli ją za każdym razem, kiedy się pojawiał, zadowolony z siebie i obojętny na jej los. Chciała męża, tylko tyle! Chyba nie była szalenie wymagająca? Ciężko pracowała, udawała się jej spłacać wszystkie rachunki ze szkoły Rhei oraz utrzymywać siebie za te nędzne grosze, które jej płacił. Para butów kosztowała tyle, co jedna trzecia jej miesięcznych wydatków. Ale to ona była tą niewdzięczną. Boże, czy to możliwe, żeby aż tak nienawidzić jednego człowieka? Nie, to nie nienawiść, to pogarda. Pogardzała nim. Wystarczy tylko porównać jego jałową urodę i wielkopańskość z krzepką męską siłą, którą promieniował Tim i na widok której odczuła jakiś bolesny żal. Przyjrzała się jego nowym eleganckim butom. Były wyszukane, podobnie jak skarpetki w romby. Spojrzała na niego zimno.

- Twoja córka chyba uważa, że to przeze mnie nie przyjeżdżasz do nas częściej. Może mógłbyś ją oświecić? Czyja mam to zrobić? Nie będę tego znosić wiecznie. Lepiej zacznij jej otwierać oczy na to, co się dzieje, boja to zrobić.

Powoli otworzył oczy, uniósł gładkie brwi i lekko je zmarszczył.

-Chcesz powiedzieć dziewięciolatce, że jej ojciec ma kochankę? Dajże spokój! Poza tym, Rhea uznałaby, że wziąłem sobie inną, ponieważ ty nie byłaś dla mnie odpowiednia, prawda? - Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby sprawdzając, czy dobrze go rozumiała. Potem znowu zasłonił się gazetą i pogrążył w lekturze. Boże, ile dałaby za możliwość wzięcia noża, który przed nią leżał i zakłucia Simona jak kwiczącego wieprza! Odetchnęła głęboko i mocno oparła dłonie na biodrach, żeby powstrzymać szalejące w niej uczucia.

- Chyba jednak będziesz musiał coś zrobić. Rhea staje się niemożliwa, a ty ją podjudzasz tymi prezentami i opowieściami o tym, że matka nie zasługuje na to, żeby jej coś dawać.

- A kiedyż to mówiłem jej coś podobnego? - zakrzyknął z desperacją i rzucił gazetę na podłogę. Sheba zeskoczyła mu z kolan i niespiesznie podążyła w stronę drzwi, prężąc ogon niczym wykrzyknik.

- Za każdym razem, kiedy przynosiłeś jej prezent, pomijałeś mnie. Nie mówię, że też chcę podarunków. Nie chcę. Ale w ten sposób właśnie dajesz jej to do zrozumienia, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. Twierdzisz, że nie zależy ci na mnie i dlatego nie przyjeżdżasz tu częściej. A ona obwinia mnie. Nie mogę zrobić już nic więcej, teraz twoja kolej. Nie mam pojęcia, co wymyślisz, ale zrób to! - Głos zaczął jej drżeć. Nagle rzuciła suche kwiaty na stół i wyszła. Simon nadal siedział jak osłupiały. Wyglądał, jak człowiek, któremu podstępnie podzuczono jakiś szczególnie trudny problem, korzystając z jego chwilowej nieuwagi. I tak rzeczywiście było. Podniósł gazetę z podłogi.

Ursula nie wróciła do salonu, a kiedy Simon wreszcie postanowił iść spać, drzwi sypialni okazały się zamknięte na klucz. Bezsilnie potrząsnął klamką, a potem wrócił do salonu i umościł się na sofie. Ugniótł poduszki do właściwego kształtu. Cholerna Ursula. Dlaczego ciągle rzucała mu kłody pod nogi.

Nabożeństwo odbywało się o jedenastej; już kwadrans po dziesiątej Ursula i Rhea były gotowe, śniadanie zjedzone, a talerze pozmywane. Ursula wysłała córkę, żeby narwała słoneczników na stół. Czekala na nią, krążąc niecierpliwie po kamiennych płytach posadzki, a minuty upływały nieubłagane. Simon wyłonił się z łazienki za kwadransjedenasta. Wyglądał idealnie, a pachniał cudownie, jak zawsze. Rhea uwielbiała jego wodę kolońską. Podbiegła do niego, żeby pocałować go na dzień dobry.

- Dzień dobry, tatusiu! Znalazłam perfumy! Śliczne pachną! A ja, pachnę ładnie? Tak, jak ty. - Posłała pogardliwe spojrzenie matce, która wcale nie używała perfum. Mama nie pachniała tak, jak tatuś. Czuć było od niej wodę i mydło. Perfumowała się tylko czasami, na specjalne okazje, a i wtedy tak delikatnie, że trzeba się było nad nią pochylić, żeby coś poczuć. Rhea uważała, że to ze skąpstwa. A teraz wcale nie patrzyła na tatusia i nie podziwiała go. Nakładała rękawiczki i ponaglała tatę. Zawsze była dla niego niedobra!

Przybyli po ostatnim dzwonku i zajęli bez słowa swoje miejsce w ławkach. Z przodu, po prawej, widać było kapelusz pani Chadwick i jasną głowę Tima. Ursula niemal natychmiast uciekła spojrzeniem i odszukała Lettice i Hugh'a. A, są, siedzą o dwie ławki od nich. Pan Bailey, miejscowy pastor, wyłonił się jak królik z kapelusza zza wielkiej kwiatowej kompozycji zasłaniającej boczne drzwi. Zajął swoje miejsce. Rozpoczęto pierwszy hymn; Ursula zauważyła, że Tim podał swój śpiewnik babce, a potem zabrał jej egzemplarz i zaczął szukać w nim odpowiedniego miejsca. To było ładne. Zdradzało troskę o podupadający wzrok starszej pani. Pewnie wcale nie potrzebowała śpiewnika, prawdopodobnie znała wszystkie hymny na pamięć. Ale gest był miły. Ursula uśmiechnęła się z aprobatą. Zaraz potem jej uwagę odciągnęła Rhea, kopiąca ławkę przed nimi. Kiedy kazała jej przestać, córka zachmurzyła się. Simon uśmiechnął się do niej ze współczuciem. Oboje jesteście w oczach matki nicponiami, mówiło jego spojrzenie. Ursula przełknęła twardą kulę, która utkwiała jej w gardle. Organy grzmiały pod energiczną ręką Jane Clow, a drżący głos lady Mary podjął refren.

Po nabożeństwie i powolnie przesuwającej się kolejce wiernych, którzy musieli zamienić parę słów z pastorem Baileyem, wszyscy zgromadzili się na trawniku obok kościoła i zaczęli się witać. Dzieci biegały dorosłym pod nogami i bawiły się w chowanego między grobami pobliskiego cmentarzyka. Sutanna pastora trzepotała na wietrze; kobiety przytrzymywały kapelusze jedną ręką, a suknie drugą. Rhea nie zwracała uwagi na zaciekawione spojrzenia wiejskich dzieciaków, otaczających jej ojca, który trzymał ją za rękę. Znała je tylko z widzenia. Ursula chciała, żeby Rhea bawiła się z nimi, ale Simon sprzeciwił się. Niby dlaczego jego córka miałaby chcieć się z nimi bawić? Nie należeli do klasy, z którą mogła się zadawać. Już on zadba o to, żeby Rhea miała odpowiednie towarzystwo, kiedy tylko dorosnie. Cóż sobie wyobrażała Ursula, zachęcając jego dziecko do czegoś podobnego! Ursula dała za wygraną, zwłaszcza że Rhea nie wykazywała ochoty do zawierania znajomości. Ma koleżanki w szkole, powiedziała. Nie potrzebuje innych.

Simon uściśnął Lettice i potrząsnął dłonią Hugh'a. Zaprosił ich oboje na obiad następnego dnia. Gawędził z nimi lekko, a od jego lśniących, gładkich włosów bił blask. Jaki to uroczy pan. Ursula niemal słyszała, co myśleli o nim otaczający ich ludzie. Jaki przystojny. Jaki z niego dobry ojciec. Lettice wykrzywiła się do Ursuli, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Simon zaprosił ich, nie konsultując się z kucharką.

- Ursulo, czy to ci odpowiada? Może przesuniemy to na inny dzień?

- Nie, tak będzie dobrze. Pójdę rano na zakupy. Zawsze cieszę się na wasz widok. Nie przejmuj się, on nie potrafi być inny.

- Raczej nie chce. Ten chłopiec chyba nigdy w życiu nie pomyślał o kimś prócz siebie! Chyba, że o Julii. Przepraszam, nie powinnam tego mówić, ale on mnie czasami tak wkurza! - Lettice i Ursula stały razem, a Simon i Hugh wiedli ozywioną rozmowę o nadchodzącym sezonie łowieckim. Ta scena utkwiła w pamięci Ursuli: kolorowe plamy na grządkach kwiatowych falujące na wietrze pod kamiennymi ścianami kościoła, jaskrawa czerwień, żółcień i róż, oraz szary tłum obnoszący się z godnością tak samo, jak Simon ze swoim snobizmem. Ursula poczuła nerwowe pulsowanie żołądka. Jej kostium był bladoszary, nie rzucający się w oczy, czego nauczyła się przez lata egzystencji w sztywnych regułach wioskowego życia. Tylko Simon mógł sobie pozwolić na styl. Ona była nikim, poślubionym komuś. Nie mogła go zaćmić. Ale dotąd jej to nie przeszkadzało. Aż do teraz. Lettice wyczuła jej roztargnienie i mrugnęła porozumiewawczo.

- Słyszałam, że wczoraj zemdlałaś. I ratował cię bardzo przystojny młodzieniec. No, gdybym cię nie znała, podejrzewałabym cię o kobiece sztuczki. Ale nie mam ci tego za złe. Sama uważam, że Tim jest łakomym kąskiem, a mogłabym być jego matką!

- Ajajestem zamężna, jeśli nie zauważyłaś!

Nie zamierzała tak ostro zareagować. Spojrzała na zegarek.

- Bzdura! Jesteś tak samo zamężna, jak Sally Jenkins, nasza uwodzicielka! Twoje życie nie skończyło się tylko dlatego, że masz obrączkę na palcu i dziesięcioletnią córkę. Simon się bawi, więc dlaczego nie ty? Hugh twierdzi, że Tim jest tobą zauroczony - dodała Lettice z uśmiechem. Ursula podniosła na nią oczy i się zarumieniła.

- Naprawdę? Och, nie zaczynaj znowu! Nie jestem flirciarą, choćby Tim był nie wiem jak przystojny. Poza tym nie wygląda mi na kogoś, kto lubi romansować z cudzymi żonami. Jest na to chyba zbyt... zdrowy.

- Oho. Zdrowy. Tak to nazywasz? No, jak wolisz. Powinni takie zdrowie sprzedawać w sklepach, przydałoby się innym pseudomężczyznom. - Wybuchnęła serdecznym, szczerym śmiechem, na dźwięk którego Ursula zawsze czuła radość życia. - Poza tym jesteście w tym samym wieku. Ile masz lat? Dwadzieścia osiem?

- Skończę dwadzieścia dziewięć w listopadzie. Stary rupieć już ze mnie i na pewno nie zacznę się zachowywać jak... O Boże, idzie tu. Tylko nie mów nic kłopotliwego. Pamiętaj, że Simon i Rhea słuchają.

Rhea uczepiła się już dłoni Tima i nieustępliwie ciągnęła go, wraz z babką, w stronę rodziców i Dunhamów. Lettice przejęła dowodzenie.

- Dzień dobry, jak się państwo mają? Właśnie zastanawialiśmy się, czy zechcą państwo do nas podejść, ale widzę, że Rhea już się tym zajęła. Znacnie Ursulę, prawda? Ajej męża, Simona? Simon? Simon! Chodź tutaj, okaż trochę wychowania i przestań już gadać o mordowaniu tych biednych bezbronnych ptaszek. Ty chyba nie polujesz, Tim?

- Nie na ptaki, jeśli sytuacja na to pozwala. Ale na dingo i czasami na boomer. Jestem człowiekiem buszu i czasami muszę to robić, żeby ocalić owcę. - Uśmiechnął się dobrodusznie i zerknął na Ursulę. Odwzajemniła uśmiech i skinęła głową.

- Wiem, co to dingo, ale na litość, jak wygląda boomer?

- To wielki kangur, samiec. Potrafią przewrócić ogrodzenie i zjeść całą karmę przeznaczoną dla owiec. Czasami ich stada tak się rozmnażają, że wychodzimy i odstrzelujemy parę sztuk.

- Strzelasz do kangurów! - Lettice była zgorszona, ale w tej samej chwili pojawił się Simon i Hugh. Simon zmierzył Tima spojrzeniem pełnym wyższości.

- Coś takiego! Co, na miłość boską, robi Australijczyk po tej stronie świąta? - roześmiał się wesoło. Wydawało mi się, że odrzuciliście cywilizację i wybraliście życie w buszu.

Tim uśmiechnął się obojętnie. Przyjrzał się stojącemu przed nim mężczyźnie i równie obojętnie spał go na straty. To miał być mąż pięknej Ursuli? Ładny z wierzchu, pusty w środku. W buszu nie wytrzymałby pięciu minut. Wyciągnął do niego rękę o kwadratowych, mocnych palcach i uściśnął jego długą, kształtną dłoń. Stał niczym bastion siły wobec uszczypliwości Simona. Ursula przyglądała się im z zainteresowaniem. Nie miała wątpliwości, kto wygrywa w tym pojedynku.

- Tak właśnie jest. Był pan u nas?

- Nigdy. I nie zamierzam. Bez obrazy, ale pogawędki z owcami nie należą do moich ulubionych rozrywek. Na imię mam Simon.

- Tim. Cóż, wielka szkoda. Można u nas zobaczyć szmat pięknego kraju i parę wielkich miast. Żałuję, że masz o nas tak kiepskie zdanie. - Ale Tim nie wyglądał na rozżalonego. Wydawał się obojętny. Ursula uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę.

- Jutro wieczorem wyprawiamy małe przyjęcie. Może zechciałbyś do nas zajrzeć razem z babcią? - Odprowadziła go na bok, korzystając z tego, że Simon rozmawia z panią Chadwick, przy czym dodatkowym plusem sytuacji był fakt, iż musiał zмагаć się z głuchotą starszej pani. Spojrzała na Tima i ze zdumieniem zauważyła jego pobłażliwe spojrzenie. - Chyba, że masz jakieś inne plany?

- Nie, przynajmniej nie takie, których nie mógłbym przesunąć, żeby skorzystać z zaproszenia. Ale to chyba za wiele dla Nan. Rozrywki już ją nie nęcą. Jej największe osiągnięcie to wyjście do kościoła. Muszę ją zaraz odwiedzić do domu.

- Och, ale... ale ty chyba możesz przyjść? Bez trudu znajdę dla ciebie partnerkę, jeśli o to się martwisz. - Czuła się idiotycznie nakłaniając go gorliwie do przyjścia. Ale może tego nie zauważy? Trudno było odgadnąć jego myśli; twarz miał nieprzeniknioną jak maska. Ale on uściśnął przyjaźnie jej rękę.

- Będzie mi bardzo miło. Dziękuję za zaproszenie. O której mam przyjść?

- Koło siódmej. I nie ubieraj się specjalnie wytwornie. Nie zamierzam występować w wieczorowej sukni!

- Nie? Czy obecność twojego męża nie wymaga włożenia garnituru? Droczył się z nią; uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiła się autentyczna sympatia. Odwzajemnił uśmiech, tak samo szczęśliwy.

- Nie, nie wymaga nawet krawata. Simon może go włożyć, ale to chyba nie w twoim stylu.

- Jesteś okrutna. A już myślałam, że uznałaś mnie za milionera. Znowu z niej żartował. - Simon przyjechał dziś rano?

- Nie, wczoraj wieczorem. Bardzo późnym wieczorem. A co?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Tylko się zastanawiałem. Oferta jest nadal aktualna; jeśli Simon zapomni o kufrze albo... - Urwał, widząc różowe plamy na jej policzkach.

- Simon sobie poradzi, ale dziękuję. - O co mu chodziło? Nie rozumiała.

- Byłaś kiedyś w Australii?

- Nie... nie byłam. Kiedyś wybieraliśmy się, byłam wtedy dzieckiem, ale... no, nigdy tam nie dotarłam. Szkoda. Chciałabym zobaczyć, jak tam jest.

- Hm. Pasowałabyś tam. Masz otwarty umysł. Twój mąż... hm, został skreślony jeszcze zanim go zobaczyłem. Zawsze jest taki? Potępia coś, o czym nie ma pojęcia?

Wyczuła, że tych dwóch mężczyzn nie da się ze sobą pogodzić. I była pewna, że Tim nie przejął się tym, co Simon powiedział o Australii.

- Na ogół nie. Podejrzewam, że mówi to, co myśli większość Europejczyków. Australia leży daleko stąd i wydaje się dość zgrzebna w porównaniu z Londynem czy Paryżem. Simon nie chciał cię obrazić.

- Nie mnie obraził. I nie mówiłem tylko o Australii. - Spojrzał na nią z wahaniem. - Chyba lepiej już pójdę. Nan robi się zmęczona. Nie może tak długo stać.

- Ach, tak. Przepraszam. Nie powinnam cię zatrzymywać. - Jego słowa i spojrzenie zastanowiły ją. Kiedy wrócili do pozostałych, okazało się, że tylko Rhea zauważyła ich nieobecność. Mierzyła matkę mrocznym spojrzeniem. Jakby uważała ją za swoją rywalkę. Tim musnął palcem jej policzek i dziewczynka rozpromieniła się.

- Co się stało, tygrysku? Jesteś jakaś ponura.

Rhea zerknęła na matkę, która rozmawiała z Hugh'em, a potem na Tima.

- Nic. Tylko mama gniewała się na mnie i na tatusia. Zawsze gdera. Nie wyobrażasz sobie, jaka potrafi być trudna! - Wzięła go za rękę. Zmierzył jej włosy.

- E, kiedy jest się dzieckiem, wszystkie mamy wydają się takie. Ale później dorastamy i zaczyna do nas docierać, o co im chodziło. I wtedy mamy dla nich trochę więcej współczucia. Według mnie twoja mama jest wyjątkowa.

- Ale tatuś też sądzi, że mama jest trudna. A on nie jest dzieckiem - uparła się Rhea. Znowu zaczęła kopać kamyk. Tim zastanowił się, co właściwie dzieje się w domu Pattersonów. Babka opowiadała mu o Simonie, ale nie rozumiał, dlaczego Rhea opowiada się przeciwko matce.

- Jak często tatuś do was przyjeżdża? Słyszałem, że zwykle bywa w Londynie.

- To wszystko przez nią! - wybuchnęła z pasją i parę osób obejrzało się w ich stronę. Zauważyła to i dalej ciągnęła zniżonym głosem. - Tatuś mnie kocha; nigdy o mnie nie zapomina i zawsze przynosi mi prezenty. Tylko jej nie może znieść i dlatego ciągle jeździ do Londynu. Poza tym powiedział mi, że musi bardzo ciężko pracować, żeby na nas zarobić, a ona nic nie robi, tylko ciągle wydaje pieniądze. A mnie zawsze mówi, że wcale nie ma pieniędzy i nic mi nie kupuje. Jest skąpa! - wyszczała patrząc sobie pod nogi. Tim znowu rozczochrał jej włosy.

- Życie nie zawsze jest takie proste. Jesteś już dość duża, żeby to wiedzieć. Może o czymś nie wiesz, nie możesz wiedzieć. Chyba powinnaś dać swojej mamie trochę większy kredyt zaufania. Ona bardzo cię kocha.

- Nieprawda. Znosi mnie, bo jestem jej córką i nie może nic na to poradzić. - Podniosła na niego spojrzenie, szukając w jego twarzy reakcji. Tim pokręcił głową. Jego szare oczy były przejrzyste i spokojne.

- Bardzo się mylisz, tygrysku. Ale dajmy spokój, lepiej się zbierajmy. - Powtórzył to tyle razy, a jednak ciągle zwlekał, ociągał się, by przekonać się, czy ci ludzie do siebie pasują. Sytuacja wyglądała jak prawdziwa zagadka. A Rhea może zacząć sprawiać kłopoty, jeśli nie wyjaśni się jej paru spraw. Westchnął i spojrzał na nią; trzymała go za rękę i huśtała nią.

O siódmej ciągle było jasno; długie letnie dni trwały prawie do dziewiątej wieczorem. Ursula wystawiła stół na zewnątrz, pod pnącza wistarii i wyniosła dwie długie drewniane ławy z ogrodu. Przykryła go białym haftowanym obrusem, przytrzymywanym przez miniaturowe drzewka bonzai, przyszczyżone jak pudle, według określenia Rhei. Dania były proste, sałata, sery, chleb, jagnięcina marynowana w ziołach i pieczona w piecu, aż do momentu, gdy nabierała w środku różowego koloru, a na brzegach stawała się jasnobeżowa, do tego małe cebulki i marchewka z jej ogrodu. Simon dbał, by nikomu nie zabrakło wina. Tego dnia wyszedł, żeby załatwić jakieś sprawy i wrócił dopiero o piątej. Ursula była zadowolona, że zszedł jej z oczu. Menu było ułożone tak, by musiała spędzić jak najmniej czasu w kuchni. Lubiła zabawiać gości i nie widziała powodu, dla którego miałyby się pozbawiać tej przyjemności.

Rhea zachowywała się uciążliwie. Bez przerwy pytała, co ma na sobie włożyć, aż wreszcie Ursula wyjaśniła jej, że to przyjęcie dla dorosłych, więc ona zje sama. Rhea nie zgodziła się z nią i zaproponowała, żeby spytały o zdanie tatusia.



Ale tatuś już sobie poszedł, więc Ursula udobruchała córkę mówiąc, że przyjdzie do niej po kolacji.

O szóstej wszystko było gotowe i Ursula mogła pozwolić sobie na kąpiel. Zamknęła głośno drzwi łazienki, nie zważając na Simona, domagającego się, żeby uprasowała mu koszulę, ponieważ postanowił włożyć inny krawat. Ta godzina należała do niej. Wanna była napełniona chłodną wodą, ponieważ cały zapas gorącej wykorzystali Simon i Rhea. Niespodziewanie dla samej siebie, kierowana jakimś nowym impulsem, wlała do niej odrobinę perfum. Świeży, cytrynowy zapach wypełnił całe pomieszczenie. Och, nie czuła się tak od lat, pełna zachwytu i niecierpliwości, z trudem opanowując niespokojne nerwy. Było to cudowne uczucie i po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, czego jej brakowało. Kąpiel i umycie włosów zajęły jej dziesięć minut. Wyszła z wanny czując się oczyszczona zarówno zewnętrznie, jak i wewnętrznie.

Problemy związane z Simonem i Rheą jakby zmalowały. Każdy ma kłopoty; w jej przypadku były one po prostu nieco bardziej skomplikowane. Starannie wybrała sukienkę i przyniosła sobie do łazienki, żeby się spokojnie ubrać. Była uszyta z bładokremowego płótna i miała koronkowy kołnierz, na tle którego jej skóra wydawała się mieć piękny, ciepły odcień, a włosy były jeszcze ciemniejsze, niż zwykle. Był to jej jedyny zakup w tym roku, nie mający nic wspólnego z walką o przetrwanie, ale kiedy ją zobaczyła, wiedziała, że jest warta swojej ceny. Wytarała włosy ręcznikiem i uczesała je w ciężki kok. Potem włożyła przez głowę jedwabną halkę w kolorze kości słoniowej i wygładziła ją na ciele. Miała ją na sobie na ślubie. Po halce przyszła kolej na sukienkę i wyjęła nieliczne kosmetyki, które posiadała. Zwykle w ogóle się nie malowała, nie używała nawet szminki, ale dziś postanowiła wyglądać pięknie.

Hugh i Lettice zjawili się w towarzystwie Sally Jenkins. To o niej wspominała Lettice. Sally była ładną dziewczyną o jasnobrązowych włosach wijących się wokół pulchnej, naburmuszonej buzi. Większość kawalerów i całkiem sporo żonatych mężczyzn starało się ojej względy, ale Sally nie spieszyła się zanadto. Za dobrze się czuła w roli miejscowej piękności, a miała dwadzieścia jeden lat. Mogła jeszcze trochę poczekać, zanim za jej plecami zaczną rozlegać się szepty i subtelne plotki. Ursula mogłaby się założyć, że Sally odczeka do ostatniej minuty i u szczytu swojej kariery wyjdzie za najlepszego z jej wielbicieli. Miło było zobaczyć dla odmiany kobietę, która na tym wygrywa. Ursula zdecydowała, że Sally będzie dobrą towarzyszką dla Tima. Nie będzie cierpieć, kiedy Tim spakuje się i wróci do tego swojego pięknego kraju, o którym tak lubił opowiadać. Zazdrościła im z całego serca.

Tim pojawił się parę minut później w zabytkowym jaguarze pani Chadwick. Wziął sobie słowa Ursuli do serca i wystąpił w rozpiętej pod szyją koszuli i wygodnych moleskinowych spodniach. Ursula zmusiła się do spokoju. Simon opowiadał mu jakiś dowcip; zaczęła się przysłuchiwać, uśmiechając się do Hugh'a, opowiadającego po raz trzeci o swojej wycieczce do Leicester.

- Więc ten pierwszy mówi: „Szczęściarz ze mnie, mam piękny dom, dobrą pracę i piękną żonę na wsi”. A jego kolega na to: „Kto nie byłby szczęśliwy, gdyby jego żona siedziała na wsi?”. He, he, he, he!

Odrobina radości uszła z niej jak powietrze z przedziurawionego balonika. Podniosła głowę i zauważyła, że Tim patrzy na nią.

- Nie przejmuj się Simonem. Zawsze opowiada cudze dowcipy. Wejdz, usiądź. To jest Sally Jenkins. Sally, to Tim Nowlton z Australii - gdzie mieszkasz, Tim?

Usiadł na ławie obok niej i uśmiechnął się do Sally i pozostałych.

- Teraz w Melbourne, ale urodziłem się koło Gisborne. To w głębi kraju, ale mają tam doskonałe tereny do hodowli owiec. Moi rodzice ciągle tam mieszkają.

- A co porabiasz w Melbourne? To w stanie Wiktorja, prawda?

- Tak. Pracuję jako prawnik w towarzystwie geologicznym. Nic ciekawego, niestety. Kiedyś chciałem zająć się polityką, ale kto wie?

- O, tu Simon miałby wiele do powiedzenia. Jego ojciec jest przedstawicielem Zachodniego Dorset w parlamencie i... Simonie, zamierzasz zająć się polityką czy nie? Mówisz o tym od lat. - Delikatne uklucie ze strony Lettice. Simon roześmiał się i klepnął Tima po ramieniu.

- Lepiej się w to nie mieszać, to grząski teren. A zanim spróbujesz, musisz znaleźć sobie wysoko postawionych przyjaciół. Wierz mi, wiem coś o tym. - Nalał sobie kolejny kieliszek wina i uniósł go w stronę Tima. - Za politykę! Niech nigdy nie miesza się do ludzkich spraw! - Wybuchnął tym swoim kaszlącym śmiechem, który niegdyś tak zachwycał Ursulę. Teraz tylko wzruszyła ramionami.

- Jak widzisz - odezwała się - Simon nie zamierza zasiąść w parlamencie. A zna niemal wszystkich wysoko postawionych. Nie rozumiem, jak to możliwe, że sam nie został premierem, jeśli to takie nieskomplikowane. A ty, Tim? Znasz kogoś, kto ci pomoże w karierze? Czy zamierzasz pójść szlachetną drogą i przekonać ludzi, że możesz coś dla nich zrobić. Pomyśl tylko, jaką lekcją byłoby to dla mojego starego męża. - Uśmiechała się i wszyscy wtórowali jej śmiechem, nawet Simon.

- Chyba wybiorę coś pośredku. Wiem, gdzie mogę zwrócić się o wsparcie... - Ale nie chciał kontynuować tego tematu. Urwał i rozejrzał się po ogrodzie. Nikt oprócz Ursuli nie zwrócił na to większej uwagi. A kiedy Tim znowu na nią spojrział, miał bardzo dziwny wyraz twarzy. Niemal wyzywający. Ursula odwróciła wzrok.

- Więc nie zamierzasz przyłączyć się do Evatta i jego komunistycznej bandy z Partii Pracy? - popisywał się Simon, dumny ze swojej znajomości polityki australijskiej. Tim spojrział na niego z rozbawieniem.

- Nie w tej chwili. Jestem za partią Country. Nie przepadam za tym taplaniem się w bagnie, które od paru lat ma miejsce w partii laburzystów.

- Nawet po ustawie o rozwiązaniu partii komunistycznej? Tak to się chyba nazywało. Menzies chyba jednak przeholował. Cholernie sprzeczne z konstytucją, prawda? - Simon uśmiechnął się szeroko, okazując pobłażliwość właściwą spadkobiercy oświeconej i starożytnej cywilizacji. Tim spokojnie popijał wino.

- Menzies jest liberałem. Referendum zostało rozstrzygnięte całkiem niedawno i pomysł upadł, więc śmiej się, że pomysł rozwiązania partii

komunistów nie miał zbyt wielu zwolenników. - Westchnął. - Sam nie byłem tym zachwycony, ale miałem pewne podejrzenia w związku ze sprawą Piętrowa. - Uśmiechnął się na widok przelotnego wyrazu zaskoczenia na twarzy Simona. - Ale chyba już o tym słyszałeś? Tak dobrze znasz się na naszej polityce.

- Nie mogę tego powiedzieć. Nie zawsze docierają do nas wieści o wszystkich prowincjonalnych aferkach. - Simon okazywał zdumienie i dawał do zrozumienia, że chętnie zmieni temat.

- Nonsens. Sprawa Piętrowa to wielka sensacja. Nawet my o niej słyszeliśmy. Pewnie pamiętasz? Trzeci sekretarz w Ambasadzie Radzieckiej w Canberze, który zdradził Sowietów, a jego żona została przez nich porwana! Nie wiem, jak to wpłynęło na politykę Partii Pracy, ale ta sprawa była bardzo głośna, zwłaszcza kiedy żona Piętrowa została uratowana w ostatniej chwili na lotnisku w Darwin. Jak w dobrej powieści! - Hugh włączył się z entuzjazmem do rozmowy.

- Co podejrzewałeś, Tim? chciała wiedzieć zaintrygowana Ursula. W tym szorstkim Australijczyku tkwiło więcej, niż początkowo przypuszczała. Na przykład przenikliwy umysł.

- No cóż, reakcja na to zajście zastopowała odrodzenie partii laburzystów, zwłaszcza prawego skrzydła. Dlatego Evatt dołączył do lewicy, i w gruncie rzeczy tylko z tego powodu przegrali w wyborach w pięćdziesiątym czwartym. Menzies wszedł do rządu koalicyjnego z ramienia partii Country, i zresztą wystąpił przeciwko Evattowi, oskarżając go o pobłażanie komunistom i bratanie się z lewicą. W każdym razie wielu z nas sądzi, że Menzies wiedział o całej aferze na długo przed jej ujawnieniem. Wykorzystał ją podczas wyborów, kiedy wydawało się, że laburzyści mają wygraną w kieszeni. Nie wiem na pewno, ponieważ zaprzeczył wszystkiemu, ale to mnie nieco zastanawia. Zły smak pozostał.

Tim pociągnął łyk wina, uspokojony i rozluźniony. Simon wycofał się z grąjącą dalszych politycznych dyskusji i zaczął łaskotać Sally Jenkins piórkiem. Sheba ocierała się o jego nogi, ale on znalazł sobie znacznie bardziej interesującą istotę płci żeńskiej. Tim obserwował go nieprzeniknionym wzrokiem. Świece migotały na wietrze; rozmowa zeszała na bardziej ogólne tematy - stan gospodarki i bezrobocie. Ursula przeprosiła gości i poszła zajrzeć do piecyka, w którym rumieniła się pieczeń. W tej samej chwili Rhea stanęła przed nią w sukience, której Ursula nigdy dotąd nie widziała. Była bladobłękitna i powiewna; dziewczynka wykonała piruet przed matką; jej srebrzyste włosy zawirowały wokół twarzy. Dopiero teraz Ursula zauważyła, że Rhea jest wierną kopią swojego ojca. Do ust napłynęła jej gorczyz.

- Nowa?

- Tatuś mi ją kupił w Londynie. Powiedział, że jest niebieska jak moje oczy. Ładnie wyglądam? Tim, podoba ci się moja sukienka? - Przebiegła obok matki i stanęła przed gośćmi. Ursula spojrzała na Simona.

- To tak rozwiązałeś problem?

Jej mąż uśmiechnął się głupio.

- Staram się wszystko załatwić, jak należy. To musi potrwać. Poza tym i tak powinna mieć nową sukienkę.

-Tak, jak perfumy. Dziewięcioletnia dziewczynka! Więc pomóż mi... och! - Wybiegła do kuchni, trzęsąc się z furii. Czowała napływające do oczu gryzące łzy. Dlaczego pozwoliła, żeby jej to zrobił? Dlaczego? Dzięki Bogu, że miała dość rozumu na to, by co miesiąc odkładać parę funtów z tej jałmużny, którą Simon przysyłał na jej konto. Z tego powodu zawsze żyli na granicy nędzy, a rachunki ze szkoły Rhei były po prostu przerażające, ale przynajmniej miała jakąś sumkę, o której nie wiedział nikt, z wyjątkiem jej. Czasami miała ochotę wyjść z domu i już nigdy nie oglądać żadnego z nich. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Nie chciała. To nie wina Rhei, tylko Simona. A on będzie z nimi jeszcze długo. Przez parę minut stała pochylona nad zlewem i odzyskiwała panowanie nad sobą. Potem podeszła do piecyka. Pieczeń była już niemal gotowa. Ursula przełożyła ją na dolną półkę, gdzie powinna dochodzić nieco wolniej. Wyprostowała się i wytarła dłonie w ścierkę, zaróżowiona od ognia.

- Mogę pomóc? Jestem całkiem przydatny w kuchni. Powiedz tylko słowo, a będę twój. - Tim trzymał dwa kieliszki wina i opierał się o drzwi. Ursula drgnęła. Czy wiedział, jak dwuznaczne jest to, co powiedział? Nie, chyba nie.

- Nie, już wszystko dobrze. Uporałam się ze wszystkim, a pieczeń jest już prawie gotowa. Chciałam już wyjść do was. O, dziękuję. - Wzięła kieliszek wina i pociągnęła łyk chłodnego płynu. Może po prostu się upije i narobi Simonowi wstydu? Westchnęła. Nie, to nie w jej stylu, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. - Miałam nadzieję, że przypadniecie sobie z Sally do gustu. Pewnie z ulgą powitasz kogoś młodszego. Niestety, w tej okolicy królujemy my, starsi. - Założyła za ucho pasnto włosów. Ten gest zaczynał wchodzić jej w nawyk, kiedy była zdenerwowana. Niepokoiło ją, że Tim stoi tak blisko. To ją krępowało. Nie uśmiechał się.

- Nie powiedziałbym, że jesteś ode mnie starsza. To ty wydajesz się nie na miejscu pomiędzy nimi.

- O, nie. Mam prawie dwadzieścia dziewięć lat. A oprócz Lettice i Hugh'a nie ma tu zbyt wielu osób, które mogłabym polubić.

- No właśnie. Ja mam dwadzieścia siedem lat i jakoś nie zależy mi na kimś młodszym. Wolałbym raczej towarzystwo kogoś, kogo lubię, jak ty. Bo lubię twoje towarzystwo. - Spojrzał ze skupieniem w swój kieliszek, jakby zastanawiał się nad czymś. - Zdaje się, że twój mąż psuje Rheę. Nabrała głupiego przekonania, że jej nie kochasz. Wiem, że to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że powinnaś o tym wiedzieć. Czasami trudno dostrzec coś, co jest zbyt blisko nas. Czy nie mogłabyś powiedzieć Simonowi, żeby wrzucił sobie na luz i przestał jej dawać prezenty? - Uśmiechnął się nieśmiało; chłód ustąpił z twarzy Ursuli.

- Żeby wrzucił na luz? Tak, już próbowałam. Nic z tego. Simon jest beznaoczny w sprawach dotyczących Rhei. W chwili, gdy staje w drzwiach z kolejnym prezentem, cały mój autorytet wali się w gruzy. I nie wiem, co mam powiedzieć Rhei. - Westchnęła z głębi serca. - Przykro mi, że Rhea cię zamęczała. Pewnie poczułaś się niezręcznie.

- Nie ma sprawy. Jeśli chcesz, mam grubą skórę. Mogę ci jakoś pomóc? - powtórzył, a ona zrozumiała, że nie chodzi mu o kuchnię. Uśmiechnęła się i dotknęła go lekko.

- Już mi pomogłeś. Nie wyobrażasz sobie, jak miło spotkać kogoś nowego. Czasami chce mi się krzyknąć, kiedy w kółko widzę te same twarze, na każdym przyjęciu, w każdym sklepie.

- I na każdym niedzielnym nabożeństwie? Tak, wiem. Tak jest tam, skąd pochodzę. To dlatego przeniosłem się do miasta. Musiałem uciec gdzieś, gdzie ludzie nie wiedzą o mnie wszystkiego i nawet nie chcą się dowiedzieć. - Przełknął łyk wina. Mimo woli spojrzęła na jego szyję, poruszające się jabłko Adama, jasne włosy lśniące w rozpięciu koszuli. Uciekła wzrokiem, szukając gorączkowo czegoś zwyczajnego, co mogłaby powiedzieć.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł być tematem plotek. Nie wydajesz się takim człowiekiem.

- O? A jak wygląda taki człowiek? - Znowu kąpił z niej. Zesztywniała.

- Może tak, jak Simon.

- Tak? To dlaczego nie pokonasz go jego własną bronią?

- Ja? Nie... chyba nie. Chodźmy, wszyscy będą się zastanawiać, co się z nami stało. - Minęła go i wyszła z kuchni na chłodne wieczorne powietrze. Tim po chwili poszedł w jej ślady.

Simon napelniał kieliszki; podszedł do niej z butelką w dłoni. Płomyki świec budziły blaski w jego jasnych włosach, twarz lśniła mu z gorąca i od nadmiaru alkoholu. Dolał jej wina i pocałował w policzek, rozmarzony trunkiem, nastrojem ogrodu i światłem świec, a także urodą Ursuli. Czasami zastanawiał się, dlaczego od tak dawna z nianie był. Potrafiła być zachwycająca. Gdyby tylko zechciała stać się tak namiętna, jak w pierwszym miesiącu ich małżeństwa. Chciała go zadowolić, a on pragnął jej za każdym razem, gdy na nią spojrzął. Tak, jak dziś. Ale dziś nie zamknie się w sypialni. Zachichotał i poklepał się po kieszeni. Ursula minęła go obojętnie.

- Co z tobą, Tim? Jeszcze wina? - Napelnił jego kieliszek, nie czekając na odpowiedź. Dziś wszyscy muszą się bawić - nawet ten wieśniak. A potem pokaże im drzwi i pójdzie do łóżka ze swoją piękną żoną, która tak ładnie dziś pachniała - co to za perfumy? Nie dał jej żadnych perfum. - Masz, chłopcze, pij do woli. Dziś jest święto.

- Jakie święto? - zawołała Lettice, poprawiająca kokardę Rhei. Simon roześmiał się cicho i przyłożył palec do ust.

- Ćśśś! Nie mogę powiedzieć! To by było niegrzeczne, prawda? - Uśmiechnęła się uroczo; Sally zachichotała. Ursula poczuła, że na twarz wypływa jej purpurowy rumieniec. Nie wiedziała, o co mu chodzi, ale znała ten śmiech i błady kolor oczu. Na samą myśl zrobiło się jej niedobrze.

- Czy wszyscy mają ochotę coś zjeść? A może wolicie pić? Mam wrażenie, że wszyscy pili na pusty żołądek - odezwała się wesoło i uchyliła się przed kolejnym zbyt czułym uściskiem męża. Lettice natychmiast wstała.

- Umieram z głodu, jeśli o mnie chodzi. Zjedzmy coś, wszystko jedno czy oni mają ochotę. Pomogę ci. Tim. posprzątajcie z Sally ze stołu, a Hugh niech pilnuje, żeby Simon nie plątał się wszystkim pod nogami. Rtheo, kochanie, pomożesz nam w kuchni?

Tatusź mówi, że mogę z wami zjeść. Tak, tatusiu? - odezwała się Rhea głośno. Ursula spojrzęła na Simona.

- Oczywiście, księźniczko. Po to kupiłem ci sukienkę. Żebyś pięknie wyglądała przy stole. Tylko nie pobrudź się w tej kuchni.

Ursula odwróciła się, zanim skończył mówić. Rhea rozpromieniła się w triumfującym uśmiechu.

\* \* \*

Kolacja okazała się bardzo udana. Pieczeń była idealna, a sałata, chleb i ser uzupełniły wszelkie braki. Kiedy skończyli, mężczyźni zasiedli przy kawie, a Ursula zaprowadziła Rheę do łóżka. Lettice poszła razem z nią. Sally została. I tak czuła się swobodniej w towarzystwie mężczyźn.

- Co za nudne stworzenie - mruknęła Lettice pod nosem, kiedy znalazły się na schodach. - Te trzepoty rżęсами...

- Te minki i „To zadziwiające. Jaki pan jest mądry!“. Jeszcze trochę, i wszyscy się pochorujemy. Owszem, zgadzam się, ale to wszystko przez ciebie. To ty o niej wspomniałaś, a musiałam kogoś zaprosić do pary. Choć okazuje się, że mogłam się nie trudzić, skoro Rhea z nami została.

- Niech ci się nie wydaje, że coś takiego ujdzie ci na sucho - zwróciła się do córki. - Nie wystarczy przymilać się do taty. Tym razem ci daruję, ponieważ nie życzę sobie sceny w środku przyjęcia, ale jeśli mówię, że ci czegoś nie wolno, to nie wolno. Zrozumiano? - W jej głosie nie było prawdziwego gniewu. Rhea rozśmiała się.

- Och, mamó! Cięgle jesteś taka sztywna. Czemu nie możesz się bawić jak tatuś?

- Ponieważ w każdej rodzinie musi być chociaż jedna osoba dorosła. Czyli ja. A teraz do łóżka, zanim przyjdzie mi do głowy, żebyś się umyła.

Rhea potraktowała tę groźbę poważnie; szybko zdjęła nową sukienkę i wskoczyła do łóżka. Nadstawiła do Lettice twarz do pocałunku i pocałowała matkę szybko i automatycznie. Ursula zgasiła światło i cicho zamknęła drzwi.

- I co ja mam z nią zrobić? - spytała, kiedy obie zeszyły na parter. - Z każdym dniem staje się coraz gorsza. Nawet Tim to zauważył.

- Nie wiem, dlaczego mówisz: nawet Tim. On widział wszystko przez cały wieczór. Rety, chciałabym, żeby i na mnie tak patrzył. Nie pozwól mu odejść, dziewczyno. Mówię poważnie. - Jej wesoła twarz rzeczywiście spowaźniała. Lettice spojrzęła na nią twardym wzrokiem. Takich jak on nieczęsto się spotyka. Co powiesz na to, żeby stąd prysnąć?

- Nie bądź niemądra. Przesadzasz. Tim jest bardzo miły i może uawet mu się podobam, ale nie zamierza nic z tym zrobić - podobnie, jak ja! Zauważyłaś, żeby Simon się niepokoił? Hm? Nie, więc nie oceniaj sytuacji przedwcześnie...

- Och, Simon! Nie zauważyłby nawet, gdybyś rozebrała się publicznie! Obchodzi go tylko on sam, numer jeden. I wiesz co, chyba ma o sobie tak znakomite

mniemanie, że nawet nie przychodzi mu do głowy, żeby uważać Tima za rywala. A to dopiero! - Roześmiała się rubasznie. Obie wyszły do gości.

Simon nastawiał płytę w adapterze stojącym na parapecie kuchni. Sally stała za nim i rzucała ciche intymne uwagi; spotykały się z jego milczącym uznaniem. Lettice popchnęła Ursulę w stronę Tima.

- Lettice! Na miłość boską, zachowuj się! - syknęła Ursula.

- Nonsens. Więc będziemy tańczyć! Znakomicie! Nie tańczyłam od wieków. Hugh, kochany, możesz mnie poprowadzić łagodnie w uwodzicielskim walcu. Nie życzę sobie żadnej szybkiej nowoczesnej muzyki! Zupełnie mi nie odpowiada, a poza tym wcale jej nie lubię. Poproszę coś wolnego i łagodnego. Co tam masz?

- Nie rządz się tak. Doskonale wiem, czego nam potrzeba. No! Jak wam się podoba? - Opuścił igłę w odpowiednie miejsce. Lettice roześmiała się z aprobatą.

- Doskonale! Hugh, kochanie? - Wyciągnęła ręce. Hugh wstał posłusznie i podążył w jej objęcia. Ruszyli powoli wokół stołu. Światło obrysowywało ich sylwetki niczym w teatrze cieni, a słowa piosenki głosiły: „Będę kochać cię przez wieczność całą”.

- Mogę prosić? - Tim uśmiechał się do niej, świadomy tego, że zabiegi Lettice onieśmieliły Ursulę, która nie odważy się do niego zbliżyć. Simon i Sally chichotali w kącie. Sally opierała się na nim ciężko. Ursula odwróciła się i spojrzała na Tima.

- Jeśli nie chcesz, nic nie...

- Ale zechcę. Lubię tańczyć i lubię ciebie. A więc?

Wyciągnął do niej rękę; przyjęła ją niepewnie. Czula, że porusza się sztywno i niezgrabnie. Tim przyciskał ją do siebie mocniej, niż chciała, ale wkrótce jego ciepło i muzyka powoli sprawiły, że zaczęła się rozluźniać. Nie odezwał się, kiedy westchnęła głęboko i przyłgnęła do niego.

- To właśnie w tobie lubię szepnęła tak, żeby nie usłyszał jej nikt oprócz niego.

- Co?

- Cierpliwość.

Zobaczyła w mroku jego uśmiech.

- Nie jestem aż tak cierpliwy. Tylko wtedy, kiedy to naprawdę ważne.

- Czekać, aż przestanę być sztywną marionetką? To jest ważne?

- Czekać, aż przestaniesz się mnie bać. I zaczniesz mi ufać. Tak, to jest ważne. Ty jesteś ważna.

Wybuch śmiechu Sally wdarł się pomiędzy nich. Ursula potrząsnęła głową.

- Nie powinieneś tak mówić, wiesz?

- Bo co? Myślisz, że go to obchodzi? Poza tym nie potrafię się powstrzymać, więc muszę być szczery. Przytulił policzek do jej twarzy. Jego palce mocniej przyłgnęły do jej pleców. Westchnęła.

- Prawie zapomniałam, jak to jest.

- Kiedy się tańczy?

- Kiedy komuś na mnie zależy.

Tulił ją tak mocno, że splotła się z nim niemal w jedną całość. Prawie dotykał jej ustami.

- Kiedy... kiedy Simon wyjeżdża? Jutro?

- Chyba. Nigdy nie mam pewności. Ale to na nic. Nie powinnam ci tego mówić.

- Nie? - Jego ruchy były spokojne i płynne jak muzyka. - No, przekonamy się. Może wpadnę jutro.

Nie odpowiedziała; poprowadził ją w tańcu poza krąg światła rzucanego przez lampy. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Tim tulił Ursulę tak, jakby to on miał nazajutrz wyjechać. A ona pozwoliła mu na to.



## Rozdział siedemnasty

**K**lucz zniknął. Była to pierwsza rzecz, jaką Ursula zauważyła po wejściu do pokoju. Simon nadal był na dole. Zamykał drzwi, gasił świece. Poszła pierwsza, myśląc o jego chichocie i bladych oczach. Chciała wejść do pokoju i zamknąć drzwi. Ale klucza nie było. Wpadła w panikę. Nie może się z nim kochać. Nie po tym, jak Tim trzymał ją w ramionach. Sama myśl o Simone przejmowała ją obrzydzeniem. Zadrzała, zdejmując suknię. Pewnie zabrał klucz wcześniej. Uprowadził ją. Włożyła koszulę i położyła się. Może będzie zbyt pijany?

Ale nie był zbyt pijany. Kiedy wreszcie się pojawił i stanął w drzwiach, zniechęciła udając sen. Wszedł na palcach do środka, zamknął drzwi, włożył klucz do zamka i przekręcił go. Zesztywniała i wstrzymała oddech. Może uda się jej go oszukać. Przecież jej nie zmusi, prawda?

Sapał przez nos, tak jak zawsze, kiedy był zmęczony i pijany. Ciężki, chrapliwy dźwięk z cichym świstem na końcu. Zadrzała.

- A, więc nie śpisz. Tak myślałem. Nie zajmę ci wiele czasu - zachichotał i jednym skokiem znalazł się na łóżku. Chwyił ją i przyciągnął ku sobie. Opierała mu się; z gardła wyrwał się jej nerwowy śmieszek.

- Przestań, nie chcę. Jest późno, jestem zmęczona. Na miłość boską czemu nie wrócisz do Julii, skoro tego ci trzeba. - Odepchnęła go tak mocno, że przewrócił się do tyłu. Podniósł się, dygocząc z wściekłości.

- Nie waż się mnie odpychać. Nie jestem facetem, z którego tylko mozesz wyciągać pieniądze. Jestem twoim mężem, do diabła, i mam prawo kochać się z żoną, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Więc... nie waż... się... mnie... odpychać! - Znów chwyił ją i akcentował każde słowo, potrząsając nią z całej

siły. Widziała pot na jego górnej wardze, czuła bijący z jego ust kwaśny odór wina. O Boże, nie pozwól mu na to. Nie zniosę tego.

Jedną ręką zerwał z niej kołdrę, drugą nadal mocno ją trzymając. Uśmiechał się. Upadł na nią, nie zważając na jej paniczne szarpnięcie się. Bez końca powtarzała: „Nie, proszę, nie”. Podarł na niej koszulę i sięgnął ku piersiom, brzuchowi, podbrzuszu. Poderwała gwałtownie kolano, usiłując wyplątać się z krępujących ją prześcieradeł. Uprzedził ją i złapał jej nogę, odsunął na bok. Lampa na nocnym stoliku spadła niespodziewanie. Odbiła się od ściany, zanim rozbiła się na podłodze. Simon zachichotał.

- Uspokój się. Nie zachowuj się tak, jakbyśmy nigdy tego nie robili. Jesteśmy małżeństwem.

Wyrwał spod niej podartą koszulę i wbił się pomiędzy jej nogi. Szarpnęła się panicznie.

- Nie! Nie! Do diabła, zabieraj... - Ale słowa zamartyjowanej w gardle, zdławione niespodziewanym bólem. Szarpnięcie, pchnięcie suchy, rozdzierający ból. Jęknęła i poczuła, że podnosi się i zadaje jej jeszcze mocniejsze pchnięcie, i jeszcze jedno, i jeszcze. Boli! Boże, boli!

Przechyliła się, a on przetoczył się nad nią i oboje spadli na podłogę; jego ciężar wgniół ją w zimne deski. Uderzyli ją w twarz. Mocny, dobrze wymierzony policzek. Jęknęła ze strachu, ale on rozkoszował się poczuciem absolutnej władzy. Popchnął ją na ziemię, brutalnie miażdżąc jej piersi. Mógł zrobić z nią, co chciał, należała do niego. Wino podeszło mu do gardła; przełknął je, chichocząc. Ursula leżała zupełnie nieruchomo. To psuło zabawę. Chciał, żeby znowu się wyrwała i szarpała. Tak było najlepiej. Ale ona nie reagowała. Uderzyli ją. Jęknęła, ale nie poruszyła się. Znieruchomiała na niej, łapiąc powietrze i zastanawiając się, co dalej.

Odgłos jakiegoś uderzenia w ścianę wyrwał Rheę ze snu. Usiadła i zaczęła nasłuchiwać, zdjeta przerażeniem, które znają jedynie dzieci, wierzące w duchy. Ale łoskot się nie powtórzył. Słyszała tylko jakieś szepty, ostre i świszczące. Dochodziły z pokoju rodziców. Lekko się uniosła. Serce nadal biło jej szybko, ale bolesna sztywność mięśni ustąpiła, kiedy dotarło do niej, że źródłem hałasu nie jest żadna nieludzka istota. To rodzice. Szepty umilkły. Dziewczynka leżała nieruchomo, zastanawiając się, czy wstać i sprawdzić, co się dzieje. Nie, lepiej nie. Mama pewnie znowu kłóci się z tatusiem o pieniądze. Nie miała pojęcia, co tak uderzyło w ścianę, ale może tatuś przewrócił stojak? Czasami zapominał o jego istnieniu i wpadał na niego w ciemnościach. Nie wiedziała, która może być godzina, ale słyszała tę martwą ciszę, jaka zapada podczas najgłębszej nocy. Nie znosiła budzić się o tej porze. Coś mogło się na nią zacząć. Była bezpieczna tylko we śnie. A jednak obudziła się, choć słońce wszędzie dopiero za parę godzin.

Szepty znowu rozległy się w ciszy domu. Usłyszała podniesiony głos matki, wyraźnie dobiegający zza drewnianej ściany.

- Nie! Nie! Do diabła, zabieraj... - Urwała w pół słowa. Łóżko zaczęło skrzypieć, tak jak wtedy, kiedy Rhea skakała na nim dla zabawy. Mama zabroniła jej to robić. Coś ciężkiego upadło na podłogę, a potem rozległ się taki dziwny dźwięk, prawie jak klaps. Rhea wstała i znieruchomiała, drżąc z zimna na nagiej podłodze. Usłyszała chichot ojca, cienki i urywany, ale jakoś nie poczuła się pewniej. Brzmiał jakoś... dziko. Mama nie odezwała się; Rhea stała nie wiedząc, co robić. Miała ochotę wrócić do łóżka i schować się pod kołdrę razem z głową. Nie chciała słyszeć, jak rodzice się kłócą. Ale jeśli się kłócą, to czemu tatuś się śmieje? To dziwne, dziwne i przerażające. Dzieje się coś złego, więc musi się przekonać, co. A jeśli mama pogniewa się na nią za to, że wstała? Rhea jęknęła cichutko, wahając się pomiędzy niepokojem i niezdecydowaniem. Potem usłyszała jęk i kolejne klaśnięcie. Otworzyła drzwi, przeszła cicho przez korytarz, omijając skrzypiącą deskę i zatrzymała się przed drzwiami rodziców, z ręką gotową do pukania. W pokoju panowała zupełna cisza. Zapukała.

- Tatusiu? Tatusiu? Mogę wejść? - Nagłe drapanie o deski podłogi, jakby przebiegały przez nie dziesiątki szczurów. Potem łóżko skrzypnęło pod jakimś ciężarem. Zawahała się z ręką na klamce. - Tatusiu? Proszę, boję się! - Prawie płakała. Mimo woli podniosła głos, ale tym razem nie miało to nic wspólnego ze zwykłymi kaprysami. Była to skarga dziecka stojącego w ciemności, przerażonego i na próżno oczekującego odpowiedzi rodziców. Zapukała jeszcze raz, już mocniej. - Tatusiu? Mamo?

Drzwi otworzyły się i na progu stanął ojciec, zupełnie ubrany, lecz z wypuszczoną koszulą i bez krawata. Spojrzała na niego niepewnie. Nie podobało się jej, że oddycha tak ciężko, a w pokoju za jego plecami panuje zupełna cisza. Gdzie jest mama? Tatuś miał lśniącą od potu twarz. Wytarł ją rękawem i uśmiechnął się do niej.

- Wracaj do łóżka. Nic się nie stało. Mamusia miała zły sen. Wracaj do siebie, kochanie, aja za chwilę do ciebie przyjdę. Nie martw się, księżniczko, tatuś jest przy tobie.

- Czy mama czuje się dobrze? Mogę się z nią zobaczyć? - Nie wiedziała, dlaczego, ale nagle desperacko zapagnęła spojrzeć na matkę. Tak dla pewności. Tatuś pokręcił głową, a do jego głosu zakradł się cień niecierpliwości.

- Mamusia nie czuje się dobrze. Uderzyła głową w stolik. Więc bądź grzeczną i...

- Już dobrze. Możesz wpuścić Rheę. Już mi lepiej - rozległ się głos Ursuli. Rhea prześliznęła się pod ramieniem ojca. Pościel piętrzyła się bezładnie na łóżku. Rhea początkowo nie zauważyła matki, leżącej z kołdrą podciągniętą pod brodę. Potem zobaczyła jej twarz.

- Mamo? Zrobiłaś sobie krzywdę? Masz wielki czerwony znak na policzku. Boli? - Wdrapała się na łóżko i spojrzała z przerażeniem na krwiał, zniekształcający twarz matki.

- Nie skacz po łóżku! Mamusia nie czuje się dobrze. - Simon pochylał się nad nimi, czarna sylwetka na tle okna. Ursula uśmiechnęła się do córki.

- Nic mi nie jest, kochanie. Przepraszam, jeśli... obudziliśmy cię. Miałam niemądry sen, wyskoczyłam z łóżka, no i się uderzyłam. Nie martw się. Nic mi

nie jest. A teraz niech tatuś zabierze cię do pokoju. Poczyta ci bajkę, jeśli zechcesz. - Matka mówiła łagodnie i czule. Rhea kiwnęła głową, uspokojona.

- Dobrze, jeśli nie mogę ci pomóc. Ale tatuś nie musi mi czytać. Jestem już za duża na bajki, wiesz?

Zeskoczyła z łóżka, a Simon wziął ją pod pachę i wyniósł z pokoju, piszcząc ze śmiechu.

Ursula zamknęła oczy; łzy wymknęły się jej spod rzęs i potoczyły się po skroniach. Uniósła rękę i dotknęła policzka. Zaczynał już puchnąć. Jej koszula leżała w strzępach wokół niej. Zadrżała pod uderzeniem fali mdłości. Przycisnęła palce do ust; nie mogła powstrzymać cichych, przerażonych jęków, wyrwających się z gardła przy każdym dreszczu. W głowie miała zupełną pustkę. Nie potrafiła nawet przywołać wspomnienia o Billym, które zawsze przynosiło jej pocieszenie. Potem wrócił Simon.

Przez długą chwilę stał w drzwiach. Nie spojrzała na niego. Zaciskała powieki; kostki jej palców pobieły. Słyszała jego oddech. Potem rozległy się kroki; Simon zawrócił i zaczął schodzić po schodach. Do jej uszu dotarł odgłos strzeżenia poduszek sofy. Wreszcie w domu znowu zapadła cisza.

Ursula leżała bezsennie przez wiele godzin i wpatrywała się w sufit. Nie poruszyła się ani razu. Kiedy pierwszy brzask zabarwił niebo bladym fioletem, a ptaki zaczęły się nieśmiało odzywać, odrzuciła kołdrę i wstała niezgrabnie z łóżka. Głowa pulsowała jej bólem, a plecy dolegały jej tak, jakby miała połamane żebra. Otuliła się mocno szlafrokiem i powlokła się do łazienki. Myślała, że zwymiotuje, ale mdłości przeszły jej, kiedy usiadła na brzegu wanny. Tak doczekała wschodu słońca, które ukazało się nad wierzchołkami drzew. Zanosilo się na kolejny ciepły dzień. Odkręciła wodę i szorowała się dopóty, dopóki jej skóra się nie zaczerwieniła.

Kiedy Rhea zeszła na śniadanie, Ursula była już ubrana. Przygotowywała śniadanie. Stół był nakryty na trzy osoby. Stały na nim grzanki i marmolada, masło, mleko i kawa w dzbanku. Simon siedział przy stole, ukryty za płachtą gazety. Rhea także usiadła. Czuli, że z serca spadł jej ciężar. A więc nic się nie stało. To tylko zły sen, tak jak powiedział tatuś. Wszystko inne tylko się jej przesyślało. Tatuś i mama nie pokłócili się. A tatuś nie mógłby uderzyć mamy. To po prostu niemożliwe.

- Cześć, ospaluszku. Nie chcieliśmy cię budzić po takiej zarwanej nocy. Napijesz się mleka? - spytał Simon. Rhea skinęła głową, całą uwagę skupiając na plecach matki. Ursula nie odwróciła się.

- Mamo, jak twoja twarz? Masz siniaka?

- Tak. Będę musiała przez parę dni kryć się przed ludźmi - Ursula roześmiała się niepewnie. Ciągle nie odwracała się do córki. Ze skupieniem przewracała kiełbaski na patelni. - Tatuś chciał cię zabrać do Londynu na parę tygodni. Co ty na to? - dodała po chwili milczenia.

Rhea zwróciła na ojca oczy pełne przejęcia i radości. Simon pokiwał głową.

- Pora, żebyś znowu zobaczyła miasto. Mamusia pomyślała, że to cię zabawi, a ja uważam, że przyda się jej wypoczynek. A więc odwiedzisz dziadka i Ju-

lię. Benjie i Lucy także przyjadą na wakacje, więc możemy razem pojechać nad morze. Jak ci się to podoba? - Wilgotne, różowe usta pod płowym wąsem wygięły się w uśmiechu. Simon pociągnął łyk kawy. Rhea się zawahała.

- Czy mamusia też jedzie?

- Nie, księżniczko, mamusia tu zostanie. Nie chce się nikomu pokazywać z takim wielkim, brzydkim siniakiem. Prawda? - Zabrał się do metodycznego rozsmarowywania marmolady na grzance.

- Ale czy potrzeba ci kogoś do pomocy, mamó? Nie będziesz się czuła samotna? - Rhea niczego bardziej nie pragnęła, jak wycieczki do Londynu, ale coś nie dawało jej spokoju. Niepokoiło ją, że matka ciągle się nie odwraca.

- Ależ skąd! Na pewno nie. Przecież i tak przeważnie nie mam cię przy sobie. Będę tęskniła, ale dam sobie radę. Uważam, że powinnaś pojechać. Tatus od dawna nigdzie cię nie zabierał. Będzie wam wesoło we dwoje. - W towarzystwie Julii i pozostałych dzieci Simona, dodała w myślach. Przełożyła kielbaski na talerz i zebrała z nich tłuszcz bibułą. - Kto ma ochotę na kielbaski?

Teraz wreszcie odwróciła się do nich i Rhea jęknęła. Siniak pokrywał niemal całą kość policzkową i sięgał do oka, nadając jej wygląd upiornej karykatury arlekina.

- Jak to się stało? Myślałam, że tylko uderzyłaś się o stolik? Ależ siniak! Czarny, brązowy i okropny. Wyglądasz jak Nessie.

Nessie była jej srokatym kucykiem. Ursula wybuchnęła przykrym, drżącym śmiechem i przyłożyła dłoń do policzka.

- Boli, kiedy się śmieję. A pamiętasz ten wiersz, który ci czytałam? Chwalmy Pana za łaciate stworzenia? W tym tygodniu jestem łaciata.

- Królewna Łaciatka. Niezbyt piękna, daję słowo - dodała Rhea i roześmiała się. Simon spojrział na nią nieruchomym, nieco zirytowanym wzrokiem. Co to miało znaczyć? Zawsze przerzucały się jakimiś wierszami, kiedy on oczekiwał zwykłej odpowiedzi. Rhea pojedzie z nim, czy nie? Widok Ursuli budził w nim nieokreślony niepokój. Sama się o to prosiła. Po co go odpychała? A jednak nie chciał wracać myślą do tego, co zrobił. Nawet pijany. Czy Rhea jedzie? Miał zamiar zabrać się stąd przed jedenastą. Lepiej niech się zdecyduje.

- Myślałam, że już zapomniałaś. Jeśli chcesz, po twoim powrocie możemy poczytać więcej wierszy. - Ursula położyła dwie kielbaski na talerzu córki. Resztę postawiła na środku stołu. Simon nałożył sobie sam.

- Można powiedzieć, że to plama na płatku róży, prawda? - odezwała się niespodziewanie Rhea. Ursula uśmiechnęła się i pocałowała ją. Może jeszcze nie wszystko stracone. Nie wszystko odziedziczyła po Simonie.

Ostatnie dwie kielbaski były przeznaczone dla niej, ale nie mogła zmusić się do jedzenia. Pokroiła je i postawiła talerz na podłodze obok krzesła. Sheba zeskoczyła z parapetu i ostrożnie obwąchała potrawę. Potem odwróciła się i wyszła przez kuchenne drzwi. Simon się uśmiechnął.

Godzinę później wyruszyli w drogę. Rhea niemal do ostatniej chwili nie potrafiła zdecydować, co powinna ze sobą zabrać. Lucy stała się bardzo elegancką szesnastoletnią damą, a Benjie, czternastolatek, był już na tyle duży, by zwracać

uwagę na dziewczęta. Rhea paplała w uniesieniu, jak dobrze będą się razem bawić. Ursula spokojnie pakowała jej bagaże. Nie odezwała się ani razu bezpośrednio do Simona. Jedyne, na co sobie pozwalała, to „tatusz sądzi” albo „tatusz będzie się niecierpliwić”, kiedy zwracała się do córki. Rhea była zbyt szczęśliwa, by to zauważyć. Wreszcie odjechali, a ona długo machała im na pożegnanie. Na słońcu opuchnięta twarz zaczęła ją palić. Wróciła do kuchni i włożyła stary kapelusz ze wstążką, zawiązywaną pod brodą. Włożyła go i od razu poczuła się lepiej. Zasłaniała jej twarz.

Zabrała się do pracy w ogrodzie. Szparagi zaczynały dziczeć. Wzięła sekator i zabrała się za nie z determinacją.

Zajęta szczególnie oporną łodygą, nie dosłyszała zbliżających się kroków. Jakiś cień padł na nią, więc odruchowo podniosła głowę. Tim.

- Co ci się stało, do diabła? - Przykląkł przy niej tak szybko, że cofnęła się, zaskoczona. Naciągnęła kapelusz na twarz.

- Wpadłam w nocy na stół.

- Bzdura! Coś takiego mogłoby ci się stać tylko wtedy, gdyby ten stół potrafił latać. Simon ci to zrobił? Bydlak! - Tim pobladł pod opalenizną. Ursula czuła jego gniew, napływający coraz silniejszymi falami. Wyprostowała się i odwróciła, by nie patrzył na jej twarz.

- Uderzyłam się o stół. A teraz odejdz, bardzo proszę. Nie chcę z nikim rozmawiać. - Głos jej drżał. Dlaczego akurat on musiał to zobaczyć? Dlaczego przyszedł niespodziewanie, nawet nie zadzwoniwszy? Niech go szlag!

- Gdzie Rhea?

- Po... pojechała na jakiś czas z Simonem do Londynu. W odwiedziny do dziadków i reszty rodziny. - No, teraz możesz już odejść. Ale on nie zamierzał odchodzić. Zagryzła wargę. - Nie... nie potrzebuję twojej pomocy, dziękuję. Wiem, że mi ją proponujesz, ale naprawdę niczego mi nie trzeba. Więc jeśli pozwolisz...

- Nie pozwolę. Kogo ty chcesz oszukać? Niech to diabli, nie jestem ślepy. Wiem, co się tu dzieje. Dlaczego nie odejdziesz? - Wziął ją za łokieć i przyciągnął ku sobie na tyle blisko, by przyjrzeć się jej twarzy. Nie opierała się. Czuła się śmiertelnie zmęczona i osłabiona. Miała dziwne uczucie wewnętrznej pustki. Tak, jakby wyrwano jej wnętrzości. Palcami łagodnie zsunął jej kapelusz na plecy, przesunął kciukiem po jej policzku. Dostrzegła biały błysk zębów pomiędzy jego rozchylonymi wargami i kropelki potu nad górną wargą. Jej twarz pobladła nagle. Tim podtrzymał ją.

- Nie powinnaś pracować na słońcu. Z takim siniakiem... możesz mieć wstrząs mózgu. Na miłość boską, odpocznij. Usiądź gdzieś w chłodzie.

Roześmiała się, kiedy prowadził ją w stronę domu.

- Zawsze zastajesz mnie w sytuacji, kiedy trzeba się mną opiekować jak kaleką. Przykro mi, naprawdę. Prawie nigdy nie choruję. Normalnie jestem okazem zdrowia.

- Byłabyś, gdyby ten bydlak zostawił cię w spokoju. Podejrzewam, że szczęście w ogóle dla ciebie się nie liczy? - Był naprawdę zły. Ursula pokręciła głową.

- Przestań, proszę cię. Potrafię sobie z tym poradzić, jeśli mnie zostawisz. Ale nie wiem, co się stanie, jeśli zaczniesz się wtrącać. Tak jest łatwiej. Proszę.

Posadził ją na trzcinowym fotelu tuż przed kuchennymi drzwiami i przysiadł na schodku obok niej. Słońce było po drugiej stronie domu, dzięki czemu w tym miejscu powstał wąski pasek cienia.

- Przepraszam. Nie mam prawa mówić ci, co masz robić ze swoim życiem. Tylko cholera mnie bierze, kiedy widzę cię w takim stanie. Jesteś zbyt... - przerwał gwałtownie i odetchnął głęboko. - Przepraszam. Będę się trzymał z daleka od ciebie.

- Musisz. Niedługo znowu wyjedziesz, a jeśli zacznę na ciebie liczyć, a ty mnie zostawisz, będzie jeszcze gorzej. Gorzej, niż teraz. Więc daj mi spokój, dobrze? - Patrzyła na wypalony słońcem ogród i suchą, spieczoną ziemię. Trzeba ją podlać, pomyślała. Tim poruszył się niespokojnie, ale nie odwróciła się do niego. Nie zniosłaby jego spojrzenia, dotyku...

Odezwał się po chwili.

- Mam parę spraw, którymi muszę się zająć w domu. Problemy, wymagające rozwikłania. Między innymi dlatego tu przyjechałem. Z oddali widzi się lepiej.

- To samo powiedziałeś o Rhei. Znalazłeś radę na swoje kłopoty?

- Tak. Ale nie mogę... muszę mieć trochę czasu, żeby się z nimi uporać. Ursulo...

- Tak?

- Zwykle się tak nie zachowuję. Musisz wiedzieć, że nie lubię wtrącać się do małżeńskich spraw. To nie mój interes. Ale ty właściwie nie jesteś mężatką. Simon z tobą nie mieszka. Pojawia się, kiedy ma na to ochotę. Wyjeżdża na polowanie, jeździ konno, spotyka się z córką, jeśli ją zastaje i wraca do Londynu. Wiem o tym.

- Kto ci powiedział?

- Nan. A resztę usłyszałem od Lettice i Hugh'a. Nie mówili tego dla samej przyjemności plotkowania. Oni naprawdę troszczą się o ciebie i się martwią. Teraz rozumiem już, dlaczego. Simon upił się wczoraj jak świnia. Powinienem zostać, żeby ci pomóc.

- No, proszę! Znowu zaczynasz. Nie chcę i nie potrzebuję twojej pomocy! Kto wybrał cię na wybawiciela? Bo tak się zachowujesz. I wiesz co? Naprawdę przerażające jest to, że zaczynam się przyzwyczajać do zajmowania się mną. A co się stanie, kiedy wyjedziesz? Wiesz? Zastanów się i nie mów mi, bardzo proszę, o swojej pomocy. Poza tym, co zamierzasz zrobić? Zresztą to pierwszy raz.

- A, czyli wszystko w porządku? Więc usiądę sobie i będę się przyglądać, jak cię siniaczy raz koło razu. A ty będziesz mówić, że to dopiero drugi raz, trzeci tak dalej! A co jeszcze ci zrobił, oprócz tego, że dał ci poznać siłę swojej pięści? No? - W jego głosie pojawiła się gryząca gorycz. Ursula nie odpowiedziała. Na grządce z selerami kura dziobała pędy młodych roślinek. Patrząc na nią, nagle zrozumiała, jak wygląda świat z jej perspektywy. Przez całe dni szukasz roba-

ków, znosisz jajka, które zabierając, zanim cokolwiek się z nich wykluje, a w końcu łądujesz w garnku z rosółem. To dopiero życie. Jej usta zadrgały.

Tim westchnął głęboko.

- No dobrze już, dobrze. - Wyciągnął do niej rękę, ale opuścił ją w pół gestu. - Ile masz kur?

- Dziesięć. Nie trzymam ich w kurniku. Składają więcej jajek i nie mam kłopotów z karmieniem. Ani z larwami.

- Kto szuka jajek?

Wzruszyła ramionami.

- Ja albo Rhea, jeśli tu jest. Dla niej to ciągle zabawa. Jest bardzo dobra w odnajdywaniu ich kryjówek. A ja po prostu patrzę na nie przez cały dzień, więc wiem, dokąd idą.

- Bardzo interesujące życie.

Żachnęła się.

- Zejdź ze mnie wreszcie! Kto dał ci prawo, żeby mnie osądzać? - Zmierzyła go płonącym spojrzeniem ciemnych oczu. Siedział, obejmując kolana rękami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podniósł głowę i przyjrzał się jej w milczeniu. Po paru minutach znów pochylił się z westchnieniem.

-Nikt. Nikt.

Zapadło ciężkie milczenie. Ursula znowu wróciła wzrokiem do ogrodu. Dlaczego nie powie, że ją kocha? Kochać! Jak mógłby ją pokochać w ciągu trzech dni? To idiotyczne. Więc dlaczego siedział obok niej i nie odzywał się ani słowem? I dlaczego tak chciał się wtrącać w jej życie, służyć pomocą, gdyby tylko mu pozwoliła? Nie robiły tego, gdyby mu na niej nie zależało. Nie powiedział, kiedy zamierza wrócić do Australii. Bez końca proponował jej pomoc. Ale nie o to chodziło. Chciała, żeby wyznał jej miłość i poprosił ją, żeby z nim wyjechała. Tego właśnie było jej trzeba. Ale on o tym nie wiedział. Nie mógł wiedzieć.

- Skąd pochodziła twoja macocha? Mówiłaś, że z Australii, tak?

- Z Perth. Albo raczej z jego okolic. Z jakiegoś miejsca nazywanego Gidgeganup. Po jej śmierci odziedziczyłam majątek. Nigdy go nie widziałam. Byłeś w Perth?

- Nie, jest za daleko. Ale słyszałem, że pięknie tam. Ładne plaże i duża rzecka w pobliżu, trochę jak w Melbourne, ale inaczej. Podobno bardziej nowoczesne i amerykańskie w stylu - wydawało się, że omija starannie wszystkie zbyt osobiste tematy. Ursula uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie uwierzysz, ale Simon zostawił dwie butelki białego wina. Napijesz się?

- Czemu nie? Urzniemy się w trupa. Nic więcej nam nie wolno - roześmiał się; musiała odpowiedzieć tym samym. Boże, jakie to życie czasami bywa trudne. Jedyne mężczyzna, którego, naprawdę pragnie, ma dokładnie takie same skrupuły, jak ona. Ale pewnie właśnie dlatego go pragnęła. Znowu roześmiała się i wstała.

- Chodź, spłądrujemy Simonowi piwniczkę. Przynajmniej tam jest chłodniej.



Było już prawie zupełnie ciemno, kiedy Ursula uniosła kieliszek i oznajmiła, że jest pijana. Tim uśmiechnął się do niej z sofy, na którą padł, kiedy osuszyli drugą butelkę. Teraz niszczyli żelazny zapas Simona, rozkoszując się winem tak samo, jak wściekłością jej męża, kiedy się o tym dowie. Tim chciał napełnić kieliszek Ursuli, ale pokręciła głową. Przy tym ruchu pokój zakołysał się przed jej oczami.

- O nie. Mam już zdecydowanie dosyć. Mój Boże, to jest najlepsze: na niczym mi nie zależy. Oszuszyliś... Oszuszyliśmy prawie cztery butelki, a mnie się tylko kręci w głowie. Ani nie jest mi źle, ani dobrze. Rozumiesz? - Ostrożnie przeszła przed pokój, żeby zaciągnąć zasłony, ale w powrotnej drodze nogi nagle ugięły się pod nią. Osunęła się na podłogę i wybuchnęła śmiechem. Tim również roześmiał się i wstał. Wypił lwią część wina, ale wydawał się o wiele mniej pijany od niej. Ale to dlatego, wyjaśnił Ursuli podnosząc ją z podłogi i przewieszając sobie przez ramię, że ma w tym bardzo dużą wprawę.

- Wy, au-australijskie moczymordy! Słyszałam o was niejedno. - Oznajmiła Ursula z godnością, zwisając głową w dół. Zaczął wchodzić z nią po schodach. Roześmiał się i przyznał jej rację.

- Niestety masz rację, ukochana. Jesteśmy barbarzyńcami o zakutych łbach. Ale teraz to chyba całkiem dobrze się składa, bo kto zaniósłby cię do łóżka? No?

- Nikt. Nie chcę, żeby ktoś inny zaniósł mnie do łóżka. Tylko ty. - Znowu roześmiała się. Tim delikatnie złożył ją na pościeli, ochraniając jej głowę swoją dużą ręką. Powiedział, że musi już iść, ale przyciągnęła go do siebie. - Do diabła ze skrupułami. Nikt się nimi nie przejmuje. Dlaczego my byśmy mieli?

Uśmiechnął się i pocałował ją delikatnie.

- Nie wiem. Naprawdę. Ale - mrugnął do niej znacząco - czy szanowałabyś mnie rano? - Roześmiała się i przytuliła się do niego. Pocałowała go w szyję, a potem w ucho. Czuły uśmiech powoli zniknął mu z ust. - Wiesz, że cię kocham, prawda?

Skinęła głową, równie poważna. Dotknął jednym palcem siniaka, ciągnącego się od brwi przez policzek. Dotknął jej brody i przysunął ją ku sobie.

- Nie będziesz tego żałować, ukochana. Obiecasz mi to?

- Żałuję tylko tego, że nie znałam cię, zanim spotkałam Simona. Chciałabym...

Pocałował ją, zanim zdołała mu powiedzieć, czego by chciała, a potem zapomniała o wszystkim z wyjątkiem jego muskularnego ciała, gładkich pleców pod koszulą, zapachu skóry. Przesunęła dłonią po jego łopatkach, zaczęła zataczać kręgi po jego plecach. Nie był taki, jak Simon, nie był niecierpliwy czy szorstki, nie szczypał jej piersi, lecz delikatnie obejmował i całował tak, że cały świat zniknął jej sprzed oczu i nie istniało już nic oprócz jego pieścizot. Później trzymał ją czule w ramionach i kołysał jak dziecko, mrużąc pieścizotliwe słowa. Byli spleceni ze sobą tak ściśle, jakby stanowili jedno ciało. Zasnęła z twarzą przytuloną do jego ramienia. Na policzku czuła jego oddech.

Rano obudziła się przeświadczona, że Tim leży obok niej, nagi wśród beładnie porzucanej pościeli, tak jak wczoraj. Ale łóżko było puste. Usiadła i ro-

zejrzała się. Ubrania zniknęły z podłogi. Nie było nawet jego butów. Jej szlafrok wisiał na wieszaku; włożyła go i ruszyła do drzwi, gnana cichym niepokojem. Musi tu być. Może bierze kąpiel? Ale łazienka była w takim samym stanie, w jakim ją wczoraj zostawiła, choć ręcznik nosił ślady używania. Wyszła na korytarz i stanęła u szczytu schodów.

- Tim? Tim, jesteś na dole? - Brak odpowiedzi. - Tim?

Zaczęła schodzić, spodziewając się, że lada chwila Tim stanie na progu kuchni. Nic takiego się nie stało. Kuchnia była pusta. Ursula przełknęła bolesną kulę, która zaczęła uwiierać ją w gardle i pospieszyła do frontowych drzwi. Samochód Tima zniknął.

Poczuła, że za chwilę wybuchnie histerycznym płaczem albo zemdleje. Powoli zamknęła drzwi i wróciła do kuchni. W głowie czuła tępe pulsowanie, było jej niedobrze. Usiadła przy stole i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w ścianę. Wyszedł, żeby coś kupić. Pojechał do babki. Albo... ale tu jej pomysłowość wyczerpała się. Wiedziała, że wróci. Taki mężczyzna, jak on nie wyznaje miłości, żeby potem zniknąć bez pożegnania. To niemożliwe. Nie on.

Poszła na górę, wykąpała się i ubrała. Zdjęła pościel z łóżka i zaniosła ją do prania. Zasłała łóżko świeżą zmianą pościeli i posprzątała stół w salonie. Przez otwarte okno wpadał wiatr, wydymający firanki. Usiadła i spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Gdzie on się podziewa? Spojrzała z wahaniem na telefon. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer pani Chadwick. Odebrał Tim; w jego głosie brzmiała dziwna ostrożna nutka.

- Tim? To ja, Ursula. Co się stało? Dlaczego wyjechałeś? Omal nie oszalałam ze zmartwienia.

- A... widzisz... właśnie zamierzałem do ciebie przyjechać. Zasnęłaś tak szybko, że myślałem, iż nie obudzisz się tak prędko. Zadzwoiłem dziś rano do Nan, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i powiedzieć jej, żeby się nie martwiła. Nie sypia już wiele. Powiedziała... był do mnie telegram. Muszę wracać do domu. Muszę... porozmawiać z tobą. Przyjadę za parę minut, dobrze?

- Nie stało się nic złego? Nie chodzi o twoją rodzinę?

- Nie, to ma coś wspólnego z problemem, o którym ci wspominałem. Słuchaj, za chwilę przyjadę. Muszę już iść, ukochana.

- Dobrze. Na razie. - Odłożyła słuchawkę. Fala radości, która przejęła ją na dźwięk słowa „ukochana”, rozplynęła się w tępych niepokojach. Tim miał dziwny głos. I dlaczego dowiedział się o telegramie akurat wtedy, kiedy zadzwonił do domu. Bardzo wygodne. Może jest taki sam, jak wszyscy? Ale w chwili, kiedy o tym pomyślała, wiedziała, że to nieprawda. Zaczęła krążyć niespokojnie po domu, nasłuchując warkotu samochodu.

Rozległ się pół godziny później. Zmusiła się, by spokojnie usiąść i poczekać, aż Tim do niej podejdzie. Nie może wyglądać na zanadto przerażoną. Drzwi samochodu trzasnęły; usłyszała jego kroki, zbliżające się po kamiennej podłodze korytarza. Jego widok wywołał w niej wstrząsające wrażenie. Był taki przystojny i drogi jej sercu. Wszystko w nim napępniało ją radością. Miała ochotę podejść, objąć go, pocałować, przytulić. Mimo to siedziała nieruchomo przy stole, a on

patrzył na nią, szukając właściwych słów. Widziała jego niepokój i znowu zdrząła z lęku. Przecież niczego mi nie obiecywał, powiedziała sobie. Czy zaraz powie jej, że było mu cudownie, ale to już koniec? Nie, szepnął w niej jakiś cichy głos, to nie tak. On cię kocha. Patrzyła na niego, oniemiała z bólu. Chciała, żeby już coś powiedział, cokolwiek, byle tylko przerwać tę ciszę. Tim przyłożył rękę do czoła, jakby go bolało.

- Kac? - Słowo samo wymknęło się z jej ust, równie nieświadome, jak oddech. Potrząsnął głową i usiadł naprzeciw niej.

- Muszę wracać do domu. Wszystko... ach, do cholery! Przepraszam cię, ukochana. Muszę... muszę na jakiś czas wyjechać. Uporządkować sprawy. - Odetchnął głęboko. A więc ją kochał. Wszystko będzie dobrze. Musi być! Ma problemy, ale je usunie. Patrzył na nią z taką troską, że musiała odwrócić wzrok.

- Nie rozumiem - odezwała się głosem zdławionym łzami. - Jaki to problem? Jesteś żonaty? No co?

Prychnął gorzkim śmiechem i ujął jej dłoń w obie ręce.

- Nie, ukochana. Zrozum, nie mogę... nie chcę ci tego teraz wyjaśniać. Muszę wracać tak szybko, jak to możliwe, a potem załatwić to wszystko. Jakoś dam sobie radę. Wiesz, że cię kocham. Nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej. Proszę. - Mocno uściśnięła jej rękę. Wzruszyła ramionami.

- Jeśli tak wolisz... Wiem, że nie należysz... Ufam ci. Napiszesz do mnie, kiedy dojedziesz na miejsce? Albo... - Nagle zdała sobie sprawę, że nie wspomniał o jej przyjeździe do Australii, nie napomknął o wspólnej przyszłości. Ale uśmiechał się do niej czule i ścisnął jej rękę tak, że nie mogła uwierzyć, iż nie zależy mu na niej. Skinął głową.

- Napiszę. Jak tylko będę mógł. Wytrzymasz jeszcze trochę. Możesz to dla mnie zrobić?

- Tak, ale co... - zacerpnęła powietrza. - Muszę tu skończyć z paroma sprawami. Co będzie, kiedy rozwiążesz swój problem? Czy będziemy mieć jakąś przyszłość? Muszę to wiedzieć.

Przez chwilę się nie odzywał.

- Tak! Tak! Musimy to sobie wyjaśnić. Nie zostawię cię. Nie mogę. O Boże! - Wydawało się, że toczy z sobą walkę. Ursula poczuła, że robi się jej zimno. Ale on spojrział na nią i nie odwrócił wzroku. - Przyślę ci pieniądze na podróż. Nie martw się, ukochana. Wszystko będzie dobrze.

- A Rhea? Musimy porozmawiać także o niej. Jesteś gotowy przyjąć córkę innego mężczyzny? - Zauważyła, że drgnął, jakby dotąd nie przyszło mu to do głowy.

- Przyjedź razem z nią. Będzie jej lepiej z nami, niż z Simonem. Lubię ją, a kiedy zabraknie przy niej Simona, stanie się o wiele lepsza. To dobre dziecko.

Ursula uśmiechnęła się spieczonymi wargami. Oblizwała je.

- A więc dobrze, kochanie. Będę czekać na twój list. - Pochyliła się i pocałowała jego dłoń.

Kiedy wyszedł, włożyła kapelusz i wróciła do pracy w ogrodzie. Wszystko wyglądało tak, jakby te dwadzieścia cztery godziny nie istniały. Czas zatrzymał

się w miejscu. Może tylko wyobraziła sobie to wszystko, może od uderzenia w głowę zaczęła mieć halucynacje. Dziś jej policzek mienił się wszystkimi barwami tęczy. Minie tydzień, zanim siniak zupełnie zniknie. Potem będzie mogła, dla samej przyjemności, pojechać do Londynu i zrobić wszystkim niespodziankę. Tak, to wyborny pomysł. Miała nadzieję, że Julia okaże się równie tolerancyjna, jak ona.

Uśmiechnęła się i spojrzała na swój ogród. Jest piękny, pomyślała z ukłuciem bólu. Warzywa rosły tak, żeby pasowały do siebie kolorem i kształtem; kapusta, brokuły, kapusta włoska, brukselka, kalafior, posadzone z równą pieczołowitością, jak obrzeża ziół, lawenda i mięta. Niskie żywopłoty chroniły rośliny przed wiatrem. Pomiędzy grządkami wiły się ścieżki wyłożone płytkami. Z dwóch spryskiwaczy tryskały łuki wody. W powietrzu unosił się zapach mokrych roślin. To ona uczyniła ten ogród pięknym, ona i nikt inny. I należał do niej. Czy zniesie zależność od mężczyzny? A gdyby im się nie udało? A jeśli okaże się, że będzie musiała zacząć utrzymywać siebie i Rheę bez męża, domu i pieniędzy? Czy Tim jest wart takiego ryzyka?

Reszta tygodnia upłynęła jej w męczarniach niezdecydowania. Tim zadzwonił, żeby powiedzieć, że wyjeżdża, ale nie przyszedł się z nią pożegnać. Prosił ją, żeby na niego czekała. I dokładnie tyle mogła zrobić. Stopniowo jej policzek pokrył się gładką opalenizną, a siniak stał się tylko wspomnieniem. Jak Tim.

W następnny poniedziałek włożyła kremową sukienkę, wielki słomkowy kapelus, rękawiczki i spokojnie poszła na stację. Pora odwiedzić Londyn. Zamierzała zostać tylko jeden dzień, żeby sprawdzić, jak czuje się Rhea w towarzystwie Julii i jej dzieci. Może lepiej będzie zostawić ją z nimi na pewien czas i nie narażać jej na wstrząsy do chwili, w której wszystko będzie absolutnie pewne. Nie zamierzała zostawić córki na zawsze, tylko do chwili, w której będzie mogła jej zapewnić prawdziwy dom. Oczywiście Simon będzie szaleć. Musi znaleźć na niego sposób.

Ale kiedy znalazła się na miejscu, okazało się, że sytuacja wygląda inaczej, niż sobie wyobrażała. W powietrzu odczuwało się napięcie, które nie miało z nią nic wspólnego. Jego powodem była Rhea.

Julia udała radość na jej widok i zaprosiła ją do salonu. Wysłała Ruth po dziewczynki. Było już po obiedzie; Julia wyjaśniła Ursuli, że nie może poświęcić jej wiele czasu, ponieważ za godzinę musi wyjść.

- Nic nie szkodzi. I tak cię nie uprzedziłam. Pomyślałam jedynie, że spędzę ten dzień z Rheą... i Lucy, jeśli będzie miała na to ochotę. Tak dawno jej nie widziałam. Prawie jej nie poznałam - Ursula usiadła w tym samym fotelu, który zajmowała, gdy Simon ogłosił ich zaręczyny. Przyjrzała się Julii. Czas obszedł się z nią łaskawie, pomyślała z odrobiną zawiści. Ciągle ma lekką nadwagę, ale dzięki temu nie groziły jej zmarszczki.

- Lucy powiedziała to samo o tobie. Co porabiasz na wsi? Ja umarłabym z nudów. A, są i dziewczynki. Rhea, kochanie, przyjechała twoja matka. - W głosie Julii dzwięczała nutka, której nie sposób było nie zauważyć.

- Mama! Co cię sprowadza? Twarz już w porządku? - rzuciła Rhea beztrasko, na samym wstępie zdradzając informację, którą Ursula zamierzała zachować w tajemnicy. Ale Julia nie zainteresowała się nią. Natomiast zaczęła delikatnie sugerować, że Rhea mogłaby wrócić na wieś z Ursulą.

- Może nie natychmiast, ale u nas jest dość ciasno, a ty masz dla siebie Rhee tylko na czas wakacji. To niedługo.

- Ale jest z wami zaledwie przez tydzień. Simon zamierzał pobyć z nią przynajmniej przez dwa tygodnie. Czy coś ci przeszkadza? A może moje niezapowiedziane przybycie nasunęło ci tę myśl? Wiesz, nie sądzę, żeby Simonowi się to spodobało. - W ten sposób przypomniała Julii, że przyjazd Rhei nie był jej pomysłem. Wręcz przeciwnie.

Julia roześmiała się dźwięcznie.

- Ależ cóż znowu. W gruncie rzeczy niemal mi ulżyło na twój widok. - Zerknęła na dziewczęta. - Może pójdziecie do kuchni i zapytacie kucharkę, czy nie zostało jej słynne cytrynowe ciasto. Chciałabym zamienić z Ursulą parę słów, jeśli pozwolicie.

Lucy wydawała się doskonale wiedzieć, co ma na myśli matka. Rhea była zakłopotana i zawstydzona. Natychmiast wyszły z pokoju. Julia odwróciła się do nastroszonej Ursuli i uniosła dłonie w geście bezradności.

- Rhea zachowuje się dość wyzywająco. Sprawia kłopoty, niestety - splótła smukłe palce i przyjrzała się z zadowoleniem pierścionkom. - Nie chciała spać z Lucy ani rozmawiać z Benjie'em. Bóg raczy wiedzieć, o co jej chodzi. Simon w ogóle nie dostrzega napiętej atmosfery - jak to mężczyzna. Ale moje życie zaczyna na tym cierpieć, a ja sama już się tym zmęczyłam. Nie robiłabym problemu, gdybym wiedziała, że Rhea ma powód, żeby się tak zachowywać. Ale i Lucy, i Benjie robią, co mogą, żeby poczuła się z nami jak w domu. Czy mogłabyś przemówić jej do rozumu? W końcu chyba nauczyłaś ją manier, a w tym domu jest gościem. Jestem zaskoczona jej zachowaniem. - Zerknęła z rozdrażnieniem na drzwi, za którymi zniknęła Rhea. Ursula, sztywno wyprostowana, uniosła niespiesznie brwi.

- Doprawdy?

Lucy zatrzymała się w korytarzu i spojrzała przez ramię na ociągającą się z tyłu dziewczynkę. Rhea miała ściągniętą twarz, irytująco podobną do twarzy Simona. O ileż bardziej, niż jej twarz, zauważyła to z ukłuciem rozdrażnienia. To niesprawiedliwe, skoro to jej matkę kocha nie Rhei.

- Mama opowie Ursuli, jak się zachowywałaś. Jest już tobą zmęczona. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz zdobyć się na trochę grzeczności, skoro cię gościmy. No, ale twoja matka była przecież nikim więcej, jak moją nianią, więc chyba nie możesz umieć pewnych rzeczy. Mama jest wstrząśnięta, a Benjie uważa, że jesteś nudna. Zgadzam się z nim. - Lucy zatrzymała się w pustym pokoju i spróbowała ciasta, które kucharka zostawiła dla niej do herbaty. Rhea spojrzała na nią spode łba. Chętnie powiedziałyby parę słów tej okropnej dziewczusze. Tej dziewczusze, która zawsze czepiała się Simona, jakby miała do niego większe prawo, niż jego własna córka. I Benjie! Zarazem nieznośny, niegrzeczny, arogancki,

nieustannie żądający zawołanymi przytykami, których Rhea nie pojmowała, ale które ją drażniły i niepokoiły.

- Niby co możesz o tym wiedzieć, panno mądralska? Moja mama była przed wojną dziesięć razy bogatsza od twojej. Miała dziesiątki służących i wielki dom, i konie, i... i została nianią tylko dlatego, że twoja mama chciała być jej przyjaciółką. Tatuś opowiedział mi o tym w obecności twojej mamy, więc gdyby to nie była prawda, Julia coś by powiedziała. A nie powiedziała. Zgodziła się ze wszystkim, co powiedział tatuś. A widzisz? - Minęła Lucy i weszła do kuchni. Kucharki już nie było. Lucy poszła za nią z twarzą ściągniętą irytacją.

- Zawsze opowiadasz o tym, co powiedział ten twój tatuś. Nawet nie wiesz, kim jest dla nas Simon, a ja wiem dobrze, co mówi o twojej matce. I nie jest to nie miłego. Więc nie zadzieraj nosa. Simon także należy do mojej rodziny i jest z nami o wiele szczęśliwszy, niż w tej waszej starej chałupie.

Rhea uniosła dumnie głowę, ale postanowiła, że nie powie niczego, co mogłoby zostać użyte przeciwko niej. Nie pozwoli się sprowokować.

- Ciągłe to powtarzasz. Nie przeszkadza mi, że tatuś tu przyjeżdża. Musi pracować. To ty się tym przejmujesz. Boli cię, że do nas przyjeżdża!

- Wcale nie! Prawie zawsze jest z nami. To tylko ty się go czepiasz. „Tatusiu, zrobimy to? Tatusiu, zrobimy tamto?”. Nie należy tylko do ciebie. Do nas też! - Lucy wsadziła długi palec do salaterki z kremem. Wiedziała, że zdenerwowała Rheę. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Ten uśmiech nie spodobał się Rhei. Było w nim zbyt wiele okrucieństwa. Krył w sobie jakiś mroczny sekret.

- Co to ma znaczyć? To mój ojciec! - powiedziała głośno. Subtelne aluzje i uwagi ze strony Lucy i Benjie przerażały ją.

Lucy nie przestawała się uśmiechać. Kusiło ją, by zapomnieć o przestroгах matki. Była już zmęczona tym udawaniem i tym dzieckiem, które rościło sobie jakieś prawa do Simona. Dlaczego jej prawa nie były tak samo ważne? Spojrzała na Rheę zwężonymi oczami.

- Nie denerwuj mnie, bo usłyszysz coś, co ci się nie spodoba. Nie powinnam ci tego mówić, ale zrobię to... jeśli nie będziesz uważać.

- Kłamiesz - słowo świsnęło jak bat. - Niczego nie wiesz. Chcesz mnie tylko zastraszyć jak wiedźma. To ty będziesz żałować, kiedy tatuś dowie się, co powiedziałaś. To mój tatuś i będzie stał po mojej stronie.

W tej samej chwili było już za późno; słowa gniewu i zazdrości padły, zanim Lucy zdążyła się zastanowić.

- To też mój ojciec! Był nim jeszcze zanim się urodziłaś! I mieszka z nami, bo kocha nas. Kocha moją mamę, nie twoją! Ożenił się z Ursula tylko po to, żeby ludzie przestali opowiadać, jak bardzo kocha moją mamę. To my jesteśmy rodziną, nie wy! - Cisnęła łyżkę w Rheę; dziewczynka uchyliła się.

- Wcale nie! Kłamiesz, ty podła małpo! Jesteś świnia, podła świnia i kłamczucha! To nieprawda, nieprawda! - krzyknęła Rhea z twarzą zalaną łzami. Rzuciła się na tę drwiącą, piękną dziewczynkę. Lucy zatoczyła się do tyłu i chwyciła Rheę za włosy. Szarpnęła z całej siły.

- A właśnie, że prawda! Jest mój, a was nienawidzi. Nienawidzi ciebie, bo musi cię odwiedzać. Nienawidzi cię! To nas kocha. Słyszysz? Nas! - Złapała salaterkę i uniosła ją wysoko.

- Nieprawda! Kłamiesz, ty wstrętna podła małpo! - Rhea zauważyła lecącą na nią salaterkę, ale nie mogła przed nią uskoczyć, przytrzymywana przez Lucy za włosy. Cios był ogłuszający; krem rozbryzwał się dookoła, mieszając się z krwią. Rhea krzyknęła przeraźliwie.

-Mamooo! Maaamooo!

Lucy nagle przestraszyła się; starała się uciszyć dziewczynkę, zatykając jej usta dłonią i ciągnąc w dół.

- Milcz! Zamknij się. Nic ci się nie stało. To tylko zadrapanie. Zamknij się, na miłość boską, bo cię naprawdę skrzywdzę!

Ale Rhea nadal krzyczała. Na korytarzu rozległ się tupot i po chwili do kuchni wpadła Ursula, a za nią Julia. Ursula odepchnęła Lucy od Rhei i chwyciła córkę w objęcia. Rhea zaczęła się tłumaczyć.

- To nie moja wina. Nagle zaczęła mnie bić i rzucać we mnie czym popadło. Ja się tylko broniłam. Mamo?

- Cicho bądź. Później to wyjaśnimy. Jak to wygląda? Coś poważnego?

Julia uniosła władczo rękę, uciszając dalsze lamenty córki. Ursula mocniej objęła Rheę i usiadła z nią na podłodze, kołysząc ją w objęciach i ocierając łzy gniewu. Widziała już, że ranka jest powierzchowna. Prawdziwe rany były niewidoczne. Spojrzała na Lucy, która w wieku szesnastu lat wyglądała jak delikatniejsza kopia swojej matki. Lucy, już spokojna, uśmiechnęła się do niej zimno.

- Rhea, moja malutka. Już dobrze. Jestem tutaj. Nie pozwolę Lucy cię tknąć. Cśś, kochanie, nie płacz tak. Rozboli cię głowa. Powiesz mi, o co poszło?

Julia roześmiała się cicho.

- Ach, dziewczęta nigdy się nie zmieniają. Ale Lucy tylko się broniła. Chyba teraz przyznasz mi rację. Właśnie o tym mówiłam. Rhea staje się niemożliwa. - Odgarnęła włosy z czoła córki - naturalnie jest jeszcze dzieckiem. Jestem skłonna o wszystkim zapomnieć. Lucy i Benjamin zawsze byli dojrzalsi. Przypuszczam, że to wiejskie wychowanie daje o sobie znać. Brak ogłady. Nie można jej za to winić.

- Winić za co? Za to, że pobiła ją dziewczynka prawie dwa razy od niej starsza? Za to, że to ona krwawi, a Lucy twierdzi, że tylko się broniła, choć nie ma ani jednego zadrapania? - Ursula odezwała się równie spokojnie, jak Julia. - Co się stało, kochanie? Dlaczego Lucy tak cię uderzyła? - Ale Rhea nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Ursula przytuliła ją do siebie. - Masz ochotę pojechać ze mną do domu?

Rhea skinęła gwałtownie głową i przywarła z całych sił do matki.

- Wściekła się, bo Simon spędza z nami więcej czasu, niż z nią. Ale, jak zauważyłam, my także jesteśmy dla niego rodziną. Prawda, mamo? - W głosie Lucy brzmiała jawna kpina. - Chciałam ją uspokoić, ale wpadła w szał. Zaczęła rzucać we mnie różnymi rzeczami i uderzyła mnie. Nie chciałam oddać jej tak mocno, ale musiałam ją powstrzymać. Jest zupełnie niemożliwa.

- Rzeczywiście, to nawet widać. Bardzo dużo tu porozrzucanych rzeczy, prawda? I bardzo dobrze wybrałaś sposób uspokojenia jej. Nie wpadłabym na to, że można w tym celu uderzyć kogoś salaterką. Nie sądzę, żebyś powiedziała nam, co tak zdenerwowało Rheę. Może na przykład powiedziałaś jej coś, czego nie wolno ci mówić? - Ursula mocno tuliła do siebie córkę i szeptała jej wszystkie kojące słowa, jakie przychodziły jej do głowy. Rhea klęczała, kryjąc głowę na jej kolanach. Od płaczu dostała czkawki.

- Byłam bezradna. Rhea chciała wiedzieć i zamęczała mnie. W końcu czyja także nie mam jakichś praw? Simon jest również moim ojcem i był nim na długo przed urodzeniem Rhei. Nie powinna mnie denerwować i bez przerwy mówić o nim „mój tatuś”. Prawda, mam? - Lucy wycisnęła z siebie parę łez. Julia osuszyła je chusteczką.

No, to stało się, pomyślała Ursula. Ale Rhea była jeszcze taka mała. I nie w taki sposób powinna się o tym dowiedzieć.

- Cśśś, kochanie, mamusia jest przy tobie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wszyscy zbierali siły, tylko Rhea ciągle łkała rozpaczliwie. Wreszcie Julia westchnęła.

- Ojej, to ci dopiero! Simon będzie zły. Jesteś bardzo niegrzeczna, Lucy. - Ale jej uśmiech zdradzał, że była zadowolona z występu córki. Ursula przyjrzała się im, a potem wróciła wzrokiem do małej dziewczynki, łkającej w jej ramionach. Zwróciła się do Julii z uśmiechem równie chłodnym, jak jej grymas.

- Świetna robota, Julio. Wychowałaś bardzo nowoczesną młodą damę. Jesteś szczęśliwa? Właśnie zrujnowałaś życie tego dziecka. Zostało nam jeszcze jedno. Proszę, nie zapomnij powiedzieć Simonowi, że zabrałam jego dziecko z prawego łóża do domu, ponieważ okazało się, że jego bękart nie ma odpowiednich manier. I powiedz mu także, że nie musi się już do nas fatygować. Podejrzewam, że to towarzystwo bardziej mu odpowiada.

Z tymi słowami Ursula i łkająca Rhea opuściły dom Julii na zawsze.

-1 co teraz? Decyzja należy do ciebie.

- Nie chcę go więcej widzieć! Już nie jest moim ojcem. Wypieram się go!

- Mimo, iż zależy mu na tobie? To, co zdarzyło się z Lucy i Benjie'em, miało miejsce na długo przed twoim narodzeniem. Jeszcze zanim tatuś mnie spotkał. Widzisz, on cię kocha. Wczoraj wieczorem i dzisiaj dzwonił bez przerwy.

Tak, dodała w myślach. Żeby mi nawymyślać za to, że Rhea spowodowała Lucy. O, Julia napracowała się nad nim.

- Chce tu przyjechać i wszystko wyjaśnić. Jest bardzo zły na Julię i Lucy. - I na mnie. Ursula siedziała przy długim stole w kuchni, pijąc kawę. Ciągle roztrzęsiona Rhea o kredowobiałej, opuchniętej od płaczu twarzy siedziała naprzeciw niej. Rozcięcie na lewej skroni wyglądało już jak cienka czerwona kreseczka. Co jeszcze mogły sobie powiedzieć?

- Nie ma prawa do... do niczego! Ani do mnie, ani do ciebie. Mamusiu, czemu mi nie powiedziałaś? Dlaczego godziłaś się, żebym myślała, że to ty spr-



wiasz kłopoty, kiedy od samego początku to była wina taty? - Spomiędzy mocno zaciśniętych powiek wysączyło się jeszcze parę łez. Dziewczynka wyglądała jak-  
by miała się rozchorować.

- Właśnie dlatego, że teraz jesteś bardzo nieszczęśliwa. Jak miałam ci to powiedzieć? Wolalabym, żebyś o niczym nie wiedziała. Lucy jest trochę... no, wrodziła się w matkę i tyle. Ale wiesz przecież, że nie powiedziała ci prawdy. To kłamstwo, że tatuś cię nie kocha. Kocha cię! Jesteś dla niego najważniejsza na świecie. - Zawahała się, niepewna, czy może to powiedzieć. - Ale teraz jest bardzo rozgniewany i nie myśli logicznie. Niestety, mam złe wieści. Twój tatuś mówi... - westchnęła i ujęła rękę córki. - Tatuś mówi, że jeśli się z nim nie spotkasz, nie będzie już płacił na twoje utrzymanie. Nie sądzę, żeby mówił poważnie, jest tylko wytrącony z równowagi. Poza tym zawsze mogę zwrócić się do twojego dziadka i poprosić go o pieniądze. Nie zginiemy, kochanie. Daję ci na to moje słowo! Wszystko będzie dobrze.

- Tim powiedział, że to wszystko wina taty i że sama się przekonam. Powiedział, że wiele zniosłaś. Przepraszam, mamu. Utrudniałam ci życie, prawda? A to tato przez cały czas był samolubny i niedobry. - Rhea uściśnęła rękę matki, nie dostrzegając nieśmiałej nadziei w jej oczach. Może jednak uda się nakłonić Rheę do wyjazdu do Australii. Może jednak wszystko wyjdzie im na dobre.

- Kochanie... lubisz Tima? Chcę powiedzieć... - Odgarnęła włosy i odetchnęła powoli, jak przed skokiem na głęboką wodę. - Co byś powiedziała, gdybyśmy pojechały do Australii i zamieszkały razem z nim? Nie będzie twoim prawdziwym tarusiem, ale przyjacielem i... i może, z czasem, moim mężem. To znaczy, jeśli zechcesz... - Policzki jej płonęły; bała się spojrzeć córce w oczy. A kiedy to zrobiła, wyraz twarzy Rhei zaskoczył ją. Mieszały się w nim uniesienie, nadzieja i odrobina goryczy. Rhea uważała Tima za doskonałość, uświadomiła sobie. Może teraz trochę stracił w jej oczach? A może to raczej ona utraciła część szacunku, jaką darzyła ją córka?

- Tak? Do Australii? Na zawsze? - spytała. Ursula przytaknęła. Jej córka zastanowiła się głęboko.

- Czy będę musiała spotykać się z tatą?

- Nie, kochanie. Jeśli sama nie zechcesz. Żaden sąd na świecie nie przyzna mu takiego prawa, jeśli ty tego nie zechcesz. A poza tym to tak daleko, że tatuś chyba nie znajdzie dość czasu, żeby nas odwiedzić... Chyba, że go o to poprosisz.

- Nie! Nigdy! Czy pójdę do dobrej szkoły i będę mogła mieć własnego konia, tak jak tutaj? Mogę zabrać Nessie? I Shebę?

- Nie, słonko. Nessie i Sheba muszą tu zostać. Lettice na pewno przygarnie kotkę, a pan Clow powiedział, że chętnie kupi Nessie, kiedy już z niej wyrośniesz. Nie martw się, będzie im dobrze. A w Australii będziesz mogła pójść do dobrej szkoły. Poza tym Tim pewnie pozwoli ci trzymać konia. W Australii wszyscy jeżdżą konno. To taki duży kraj i tyle tam przestrzeni. I jest tam znacznie cieplej. Prawie nie mają śniegu, wiesz? A na Gwiazdkę jest ciepło. Wtedy mają tam lato. Wszystko jest na odwrót. Możesz to znieść, słonko? Bo jeśli nie, to nie pojedziemy i tyle.

Dopilnuję, żeby dziadek dawał nam pieniądze i będziemy sobie tu mieszkać - tylko we dwie.

Zdawała sobie sprawę, jak przygnębiająco zabrzmiały jej ostatnie słowa. Rhea przyjrzała się jej.

- Czy ty i Tim macie romans jak tatuś i Julia?

Jest o wiele za mała na takie rozmowy, pomyślała Ursula, czerwona ze zmieszania.

- Nie, kochanie. Nie tak jak... oni. Ale Tim mnie kocha, a ja kocham jego. Mówi, że zabierze nas do Australii. Bardzo cię lubi i mówi, że lepiej ci będzie z nami. Ale nie pojedę, jeśli ci się to nie podoba. Nie myśl, że cię tu zostawię albo że zmuszę cię do wyjazdu. Nigdy nie zrobię czegoś podobnego. Wszystko zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

Rhea wstała od stołu i zaniósła filiżanki do zlewu. Postawiła je ostrożnie i spojrzała przez wychodzące na ogród okno. Na ścieżce Sheba tarzała się w piasku. Dziewczynka przez kilka minut nie odzywała się ani słowem.

- I nie będę musiała już widywać się z tatą? Możemy wyjechać, a on się nie dowie?

- Będę musiała zadzwonić w parę miejsc i dowiedzieć się, kiedy możemy dostać bilety. Nie znam się na tym. Chyba będę musiała poczekać, aż Tim się do mnie odezwie. I chyba powinnaś spotkać się jeszcze raz z tatą. Możesz się przekonać, że bardzo mu przykro i że mu przebaczysz. Tylko proszę, nie mów mu o Timie. - Ursula stanęła za córką i położyła jej ręce na ramionach. Obie wyjrzały przez okno.

- Nie, nie chcę się z nim spotykać. Zadzwon teraz, mam. Dowiedz się o te bilety. Chcę się stąd wydostać. Proszę! - Znowu zaczęła płakać. Ursula pocałowała ją w czubek głowy.

- Dobrze, kochanie. Postaram się.

## Rozdział osiemnasty

*Melbourne, listopad, rok 1956*

Położone przy Toorak Road senne przedmieście południowe Yarra, pławiło się w promieniach letniego słońca. Na ścianach pięły się bugenwille, ostre barwy na soczyście zielonych trawnikach. Detale z kutego metalu na werandach rzucały na ziemię koronkowe cienie, a zapach parującej wilgotnej ziemi przypomniał Ursuli Daleki Wschód. Poczula, że napięcie powoli ją opuszcza. Usiadła na niskim kamiennym murku przy sklepie i spojrzała na leżące na jej dłoni pieniądze.

- Proszę, kochanie. Kup nam coś do picia, a ja spróbuję jeszcze raz zatelefonować. Kiedy będę już wiedziała, czego się mamy spodziewać, zdecyduję, co zrobimy z walizkami.

Przyjechały na miejsce tego ranka. „Gwiazda Północy” przybiła do nabrzeża z ociężałą gracją, a ich bagaże czekały teraz w przechowalni. Tak jak i one, chwilowo nie miały się gdzie podziać. Ursula nie chciała pojawić się na miejscu bez zgody Tima. To wydawało się takie grubiańskie. Rhea uważała, że matka zachowuje się niemądrze. Teraz siedziały na przedmieściach Melbourne, tuż przy Ogrodzie Botanicznym.

Ursula wystawiła twarz do słońca i zmrużyła oczy. Te promienie miały w sobie żar, którego brakowało jej w Anglii. Niczym złote rozpalone włócznie. Pławiła się w ich ciepłe. W słońcu niczego się nie bała. Nawet ewentualny wstyd i skrzepowanie przed drzwiami Tima nie wydawały się jej takie straszne.

Początkowo nie wiedziała, jak go znaleźć. Potem uznała, że skorzysta z książki telefonicznej. Znalazła w niej wielu T. Nowltonów. I dodzwoniła się do tego właściwego za drugim razem. Jego głos przyjął ją ciepłem. Tak bardzo kochała ten głos! I nagle zaniemówiła. Odwiesiła słuchawkę, oblana rumieńcem. Nigdy nie

potrafiła rozmawiać przez telefon. Czułe słowa brzmiały wtedy szorstko, nie potrafiła wykrztusić nic istotnego. Nie, nie zadzwoni. To tylko pogorszy sytuację. Musi zobaczyć się z nim osobiście. Tak będzie najlepiej. Twarzą w twarz.

Rhea wróciła z dwiema lemoniadami; z butelek sterczyły dwie słomki.

- Zastałaś go? - Była absolutnie pewna, że Tim ucieszy się na ich widok. O wiele pewniejsza, niż sama Ursula. O, gdyby zaczekały na jego list. Ale Rhea tak ją ponaglała, żeby wyjechać i nigdy więcej nie widzieć już Simona. A potem Shaw Savil powiedział, że zwolniły się dwa miejsca i że jeśli się na nie nie zdecydują, będą musiały czekać parę miesięcy... po prostu nie mogły czekać na list z zaproszeniem. Tim powiedział, że chce, żeby z nim zamieszkały. Właściwie nie było powodu, żeby czekać.

A jednak Ursula żałowała, że nie zaczekała. Dźwięk jego głosu zdenerwował ją i wytrącił z równowagi. Rhea pociągnęła ją za rękę.

- Mamo, zastałaś go?

Ursula wzdrygnęła się.

- Nie, jeszcze nie. Ale to nie ma znaczenia. Wiemy, któryś z nich to on.

- Czy nie odebrał telefonu za pierwszym razem? Myślałam, że z nim rozmawiałaś.

- Hm... no, nie. Tylko eliminowałam ich. Tych dwóch to nie on, więc musi być tym trzecim. Zgadza się? - Pociągnęła napój przez słomkę, unikając oczu Rhei.

- Ale jak się z nim skontaktujemy, skoro go nie zastałaś? - Rhea jest bardzo logiczna, pomyślała Ursula. Ciekawe, skąd się jej to bierze. Bo przecież nie ma tego po rodzicach?

- Zostawimy mu liścik w drzwiach. Przyjedzie do nas do hotelu. Może nie będzie dla niego bardzo wygodne, jeśli od razu zechcemy się wprowadzić. Może przez jakiś czas zostaniemy w hotelu. - Wolałaby na pierwszym spotkaniu nie mieć przy sobie Rhei, ale córka stanowczo odmówiła zostania w hotelu. Gdzie jeszcze mogła zostawić dziewięcioletnie dziecko?

- Chcę zobaczyć Ogród Botaniczny. Ten pan w sklepie powiedział, że są tam jeziora, fontanny, łabędzie i wszystkie kwiaty świata. Pójdziemy tam? Możemy zadzwonić do Tima za godzinę. Lepiej się z nim spotkać. Tak będzie pewniej. Wiesz? - Mocno pociągnęła lemoniadę przez słomkę, zginając ją w środku. Ursula przyznała jej rację. Tak, pewniej.

- A może wstąpimy do niego na chwilę? Zostawię mu karteczkę i, jeśli ciągle nie będzie odpowiadać, wrzucimy kartkę do skrzynki na listy i pójdziemy do Ogrodu. Co ty na to?

- No, dobrze. Skoro tak wolisz. - Rhea wruszyła ramionami. Dlaczego mama zachowuje się tak dziwnie niepewnie. Czy nie chce się spotkać z Timem? Czasami matki bywają bardzo kłopotliwe. Rhea westchnęła. A potem pomaszerowały przez ulice przecinane szynami tramwajów, które dowiozły je daleko, przez piaszczyste dróżki z trawnikami porośniętymi ostrą trawą i przez wysokie żelazne ogrodzenie Ogrodu Botanicznego.

- Na pewno sobie poradzisz? Nie będziesz rozmawiać z obcymi i nie odejdziesz? - Ursula jakoś nie mogła się uspokoić. Rhea nie знаła tu nikogo. Nie wiedziała nawet, gdzie jest ich hotel. Czy mogła ją zostawić?

- Nic mi nie będzie! Idź i odszukaj Tima. Będę tutaj. Widzisz, tam siedzi miła pani i jeśli ktoś mnie zaczepi, usiądę przy niej. Dobrze? - Rhea była w rozpacz. Matka nigdy nie była tak idiotycznie nadopiekuńcza i przerażona. Miejmy nadzieję, że Tim nie zobaczy jej takiej. Jeszcze się zrazi!

Ursula roześmiała się.

- Tak, wiem, że sobie poradzisz. Tylko nie zgub adresu hotelu, dobrze. Zaraz wracam. - Pospiesznie zażegnała gestem bliski wybuch córki. - To na razie.

Szybko odeszła, zostawiając dziecko siedzące na trawie na brzegu jeziora.

Tim mieszkał przy ulicy Marne. Znajdowała się zaledwie o parę przecznic od wschodniej bramy Ogrodu Botanicznego. Ursula uznała, że wszystko potrwa nie dłużej, niż parę minut. Postanowiła, że tylko włoży list do skrzynki i nawet nie zapuka do drzwi. Nie miała nastroju na rozmowę z Timem. Lepiej, żeby to on do niej przyszedł. Tak będzie dużo lepiej. Przyspieszyła kroku.

A więc to tu. Dom z czerwonej cegły, czarne okiennice. Ach, jakże był piękny! Mały ogródek od frontu był okolony żywopłotem wawrzynów, koło czarnych drzwi wejściowych ozdobionych mosiężną kołatką rosły tulipany i bluszcz. Szczelina do wrzucania listów także znajdowała się w drzwiach. Prowadziła do nich brukowana ścieżka, otoczona schodkami z czerwonych cegieł, piętrzących się jedna nad drugą jak wyszczerbione zęby. Ursula spojrzała na to wszystko pustym wzrokiem. W głębi duszy zaczęły się w niej rodzić jakieś dziwne obawy. Zawahała się. W jednym z okien poruszył się jakiś kształt. Tim? Czy to naprawdę on? I widział ją stojącą na ścieżce, jak uboga krewna, niepewną dobrego przyjęcia. Ta myśl wyprowadziła ją z równowagi. Szybko podeszła do drzwi, żeby wrzucić list do szczeliny. Omal nie krzyknęła, kiedy drzwi otworzyły się niespodziewanie i wyrwały jej z palców list, który utknął w szczelinie niczym ogon kanarka sterczący z kociego pyszczka.

- Tak? W czym mogę pomóc? - Młoda kobieta, mocne rysy obsypane piegami, duże orzechowe oczy, jasne włosy i fartuszek, nie kryjący wydatnego brzuszka. Bardzo dużego brzuszka. Ursula przełknęła ślinę. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Ja... ja do Tima. - Jakoś nie potrafiła znaleźć innych słów.

- Mąż jest w domu. Za chwilę go... a, jesteś, kochanie. Właśnie po ciebie szłam. Ta pani chce się z tobą zobaczyć. - Teraz już nawet żona Tima zauważyła błąd jej twarzy. Ursula przeniosła spojrzenie na Tima. Nie odezwał się ani słowem. Stał tylko u boku swojej żony, ciężarnej żony, i patrzył na nią.

Przez jej głowę przebiegła pospieszna myśl. Nie, to niemożliwe, to tylko głupi sen, za chwilę się obudzę, a Tim powita mnie z otwartymi ramionami. Ale oboje stali tylko, a żona stopniowo zaczynała pojmować. Patrzyła na nich twardym, rozgniewanym wzrokiem. Tim wyglądał jak zdjęty z krzyża. Podobnie, jak Ursula. Odchrząknęła.

- Właśnie... przyniosłam list dla Tima. Ale to już nieważne. Cieszą się, że znowu się spotkaliśmy. - Odwróciła się machinalnie i wyszła z tego pięknego ogrodu, skręciła w ulicę, coraz szybciej, prawie biegiem. Musi się stąd wydostać. O Boże! Matko Przenajświętsza, jak to się mogło stać? Przecież powiedział, że ją kocha! Dał słowo, że nie jest żonaty! Dlaczego? Dlaczego? Po co skłamał? O co mu chodziło? Potem przypomniała sobie ich noc i zacisnęła usta z goryczą. Jak mogłeś? Te oczy promieniujące uczciwością i szlachetnością to pułapka dla bezbronnych. A ona była bezbronna. O Boże!

Wypadła zza rogu; jej przyspieszony oddech rwał się głośno, przypominając histeryczne łkanie. Właśnie wtedy Tim ją dogonił. Chwycił ją za ramiona i zatrzymał za rogiem ulicy, poza zasięgiem wzroku żony. Ursula wyszarpnęła się mu.

- Nie! Nie dotykaj mnie!

- Jezu, co się stało? Nie dostałaś listu? - Odczytał odpowiedź w jej przerażonych oczach, zanim jeszcze cokolwiek z siebie wykrztusiła. - O Boże, moje kochanie. Tak mi przykro. - Przeczesał włosy palcami, jakby zbierał z głowy ból, jakby w ten sposób mógł go odsunąć. Wreszcie westchnął. - Nie mogę uwierzyć, że musisz przez to przechodzić. Myślałem, że do tej pory wiesz już o najgorszym. Ani przez jedną chwilę nie spodziewałem się, że nie dostaniesz listu. Co mam teraz zrobić, na miłosierdzie pańskie? Widziałas Joannę? Musiałem się z nią ożenić - oparł się o mur i zamilkł na długą chwilę. Ursula nie przerywała milczenia. Bała się, że powie coś, czego nie można będzie cofnąć. Albo gorzej, że z jej ust popłynie fala żółci. Tim zaczął krążyć niespokojnie tam i z powrotem. W oczach miał taki sam wyraz zawodu i gniewu. - Napisałem do ciebie i opowiedziałem o wszystkim. Ani przez chwilę nie spodziewałem się, że nie zaczekasz... - Odwrócił ją ku sobie. - Ukochana, tak cię cholernie przepraszam. Co za parszywa sytuacja! Tym razem naprawdę zawałam sprawę.

Z zaskoczeniem zobaczył, że Ursula się śmieje.

- Oboje zawałiliśmy. Masz rację. Powinnaś poczekać na twój list. Wiedziałam, że tak będzie! Wiedziałam. Nic nie może być tak dobre, nic nie przychodzi tak łatwo. To moja wina, że myślałam inaczej. Że spodziewałam się, iż jesteś inny. - Roześmiała się pozbawionym radości śmiechem. - Rhea dowiedziała się o Simonie i Julii i życie stało się nie do zniesienia. Powiedziała, że nie chce go widzieć, a on powiedział, że nie będzie na nią płacić i... och, uznałam, że to rozwiązanie moich problemów. Więc to jest ten twój kłopot, tak? Ciężarna żona? Wzdrygnął się.

- Nie. Nie, wtedy... nie byłem żonaty. Przed przyjazdem do Anglii chodziłem z Joanną. Byliśmy ze sobą przez jakiś rok, a ona, ona... spodziewała się, że się z nią ożenię. Nie byłem zdecydowany - chociaż, mówiąc szczerze, jej rodzina posiada wpływy polityczne, które mnie kusily - ale postanowiłem na chwilę wyjechać i sprawdzić, co naprawdę do niej czuję. I spotkałem ciebie. Zakochałem się po raz pierwszy i pewnie ostatni w życiu. I postanowiłem, że muszę cię mieć. Więc wysłałem do Joanny telegram, w którym oznajmiałem, że z nami koniec. W odpowiedzi napisała, że jest w ciąży. Nie uwierzyłem. To dlatego powiedziałam

łem ci, że mogę rozwiązać ten problem. Naprawdę sądziłem, że to jakaś sztuczka Joanny. Bez przerwy mnie nimi karmi. Poza tym wydawało mi się, że jeśli ci o tym powiem, nie zechcesz mnie znać. Ale kiedy ty przyjechałem, ciąża Joanny stała się widoczna i jej rodzina nalegała, żebym zachował się jak należy. - Przesunął ręką po twarzy. - Prawdę mówiąc podejrzywam, że to nie moje dziecko. Ale ona twierdzi, że moje i nie potrafię udowodnić, że jest inaczej. Więc ożeniłem się z nią, a do ciebie wysłałem ten przeklęty list. Koniec historii.

Zatrzymał się wreszcie i oparł o mur. Ursula przyglądała mu się nieruchomym wzrokiem. Nie potrafiła wątpić w jego słowa. Za bardzo go kochała.

- Tim? - Otworzył oczy, kiedy poczuł na ramieniu jej dłoń. Chciał ją pocałować, ale zabrała mu ją.

- Przepraszam cię. Kocham cię bardziej, niż kogokolwiek na świecie. A skrzywdziłem cię bardziej, niż... - Głos mu się załamał, w oczach zalśniły łzy. Nadal wyglądał tak szczerze i prostolinijnie, jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, z oczami zmrużonymi od słońca, przed jej domkiem. Niemal obraziła się za to, że ciągle tak wygląda.

- Co mam zrobić, Tim? Przywiozłam tu Rheę. Gdzie się podziejemy? - Nie będę płakać, powiedziała sobie. Nie tym razem. Ale kiedy znowu przytulił ją do siebie i dotknął ciepłym policzkiem jej twarzy, kiedy znowu poczuła czysty zapach jego skóry i włosów, dotyk opiekuńczych ramion, musiała zdobyć się na najwyższy wysiłek. Cofnęła się i stanęła z założonymi rękami, broniąc do siebie dostępu. Tim spochmurniał.

- Rozwiąż ten problem. Nie martw się. Ściągnąłem cię tutaj, wywróciłem twoje życie do góry nogami. Jestem ci to winien.

Poruszyła się z irytacją, bijącą z każdego jej ruchu. W jej oczach pojawił się gniew i odraza.

- Nie życzę sobie być jakimś twoim zobowiązaniem. Zasluguję na coś więcej!

- Zaslugujesz na kogoś lepszego, niż ja - powiedział wyraźnie zmęczony. Nie miała dla niego współczucia.

- Naprawdę? Chcesz w ten sposób powiedzieć, że odchodzisz z mojego życia? Wielkie dzięki. Zdaje się, że naprawdę oplaca się być szlachetnym.

- Przestań! Na miłość boską, przestań. Obiecuję ci, że z tego wybrniemy. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Wszystko to zaskoczyło mnie, jeszcze teraz nie potrafię normalnie rozumować. Może po prostu... - Ale nie pozwoliła mu dokończyć, uderzona inną myślą.

- Twoja żona wie o mnie? Powiedziałeś jej, kiedy wróciłeś z Anglii?

- Tak. Rozpętało się piekło, jej ojciec darł się na mnie. Nazwał mnie bydlakiem i chłystkiem. Boże! - Znowu westchnął. - Powiedziałem Joannie o wszystkim, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby wyprzeć się dziecka. A potem siły mnie opuściły. Napisałem do ciebie o wszystkim i wyjaśniłem, że muszę ożenić się z Joanną. Pewnie domyśliła się, kim jesteś, bo kiedy odeszłaś, zaczęła krzyczeć, że przywiozłem cię ze sobą i że jestem najgorszym bydlakiem na świecie. Pewnie ma rację.

Wyglądał starszej, niż kiedykolwiek. Nie był już tym złotowłosym chłopcem, o którym Hugh wspominał z taką radością. Poczula żal za niego.

- No, to chyba nie całkiem twoja wina. Sprawy wymknęły się nam spod kontroli. Nie chciałam tak na ciebie naskoczyć. Ale boję się! Co mam robić w obcym kraju, bez pieniędzy i zawodu, z dziewięcioletnim dzieckiem, na które muszę zarobić? Nie mogę wrócić. Simon nie przyjąłby mnie, a Rhea i tak nie zgodziłaby się na to. Nie chce mieć z nim nic wspólnego. Więc co mam robić?

Objął ją, nie zważając na usztywnienie jej ramion, na odsunięcie się od niego.

- Chciałem zaproponować wam pieniądze na powrót do domu, ale skoro nastawienie Rhei jest właśnie takie, znajdę wam jakieś lokum. Może nie będzie takie, do jakiego jesteście przyzwyczajone. Dość krucho u mnie z pieniędzmi, bo dziecko... Ale nie będziecie głodne ani...

- Tim, takie życie mogłabym mieć w Anglii. Prawdę mówiąc, nawet lepsze. Domek był piękny, a w wiosce miałam przyjaciół. Nie mogę uwierzyć, że z tego zrezygnowałam, że odebrałam Rhei szkołę i kucyka, jej całą tożsamość, tylko po to, by zakopać się z nią w jakiejś zapadłej dziurze w Melbourne i ledwie utrzymywać się przy życiu. Pewnie twoja moralność wyklucza utrzymywanie z nami stosunków, prawda? - Nie mogła nic na to poradzić. Rozszalałe emocje rozszarpały ją na strzępy. Miała ochotę bić i gryźć. Wszystko było tak niewiarygodnie okropne. - No, wyklucza czy nie?

Nie odpowiedział.

- Jakoś wydaje mi się, że wyklucza. Niech Bóg broni, jeszcze ktoś by się dowiedział i zniszczył twoją polityczną karierę. Wielkie dzięki Tim, nie skorzystam. Nie potrzebuję od ciebie jałmużny.

Odwróciła się i ruszyła w stronę Ogrodu Botanicznego. Tim zaklął i pobiegł za nią.

- Nie bądź idiotką. Dokąd pójdziesz? Co zrobisz? Na litość, to nie żadna jałmużna. Kocham cię i chcę ci pomóc. Jestem za ciebie odpowiedzialny! - Złapał ją za łokieć i zmusił do zatrzymania się. Uniosła wysoko głowę i zmierzyła go surowym spojrzeniem.

- Nie, to ja jestem odpowiedzialna. Za siebie i Rheę. Właśnie sobie przypomniałam - mam się gdzie podziać i wystarczy mi pieniędzy, żeby tam dojechać. Więc nie zaprzątaj już sobie nami głowy. Nie chcę niszczyć twojego rodzinnego życia. Puść mnie.

Wyrwała mu się i odeszła. Tym razem nie pobiegł za nią.



## Rozdział dziewiętnasty

*Gidgeeganup, listopad, rok 1956.*

**W**idok budził rozczarowanie, ale w końcu nie przypuszczała, że może być inaczej. Wszystko, co słyszała o tym miejscu, kazało się jej tego spodziewać. A ostatnio całe życie sprawiało jej rozczarowanie, skoro Tim nie mógł go z nią dzielić. Usłyszała westchnienie Rhei.

- To tu? - spytała dziewczynka gorzko. Ursula nie ufała swojemu głosowi. Kiwnęła tylko głową. - Mamo, czy nie mogłybyśmy wrócić? Nie chcę tu zostać. Tu jest okropnie. I tak gorąco! - Odgoniła z twarzy kolejną muchę, która w obrzydliwy sposób przywarła do jej warg. Splunęła. Ursula spojrzała na wyschnięte pola, szare i brązowe, pełne kamieni. W oddali widać było budynek, lśniący bielą ścian i blaszanym dachem. Dom. Sama tak pomyślała kiedyś, dawno temu, kiedy mieszkała w kampongu. Czy nie mogłaby wrócić do domu? Splunęła, by odgonić muchę, która spijała wilgoć z kącików jej ust.

- Nie. To nasza ziemia. Przynajmniej dla mnie. Jeśli naprawdę nie możesz tu wytrzymać, znajdziemy jakiś sposób, żeby odesłać cię do ojca. Ale sądzę, że powinnaś chociaż spróbować. W końcu to wszystko należy do ciebie! •

Nie patrzyła na córkę. Mierzyła wzrokiem pola majątku... nie, nie majątku. Tutaj to nazywało się gospodarstwem.

- Nie! Nie wrócę do niego! Ani do reszty! Są ze sobą tacy szczęśliwi. Nie potrzebują nas. A Julia mnie nie chce. To niesprawiedliwe. Ja także jestem jego dzieckiem!

Gniew Rhei ciągle był bardzo świeży. Biedne dziecko. Była za mała na taką rzeczywistość. Lucy nie powinna jej była mówić. Ale dzieci potrafią być okrutne.

Ursula odetchnęła głęboko i jeszcze raz przyjrzała się swojej ziemi. Dziwne uczucie, wiedzieć, że należy do niej. Nigdy dotąd nie miała czegoś tylko dla sie-

bie, nawet chaty. A to jest tylko jej! I dostała to, jak na ironię, od Sally. Ciekawe, co by na to powiedziała.

Rhea zamilkła i Ursula wreszcie na nią spojrzała. Dziewczynka płakała; łzy bezgłośnie toczyły się po jej policzkach.

- O mój Boże. Kochanie, nie płacz. Wszystko się ułoży, obiecuję ci to. Nie płacz, kochanie, bo i ja się rozplaczę. - Przytuliła ją do siebie i zaczęła kołysać w objęciach. Słońce prażyło bezlitośnie, a nad wyschniętymi polami krążyło parę wron. Poza tym nie widać było żadnego ruchu.

- Mamo, dlaczego tu przyjechałyśmy? Tim... - nie mogła mówić dalej. Rozpłakała się jeszcze bardziej, jakby z gniewu.

- Cśś, malutka. Nie płacz. Tim nie mógł... nie mógł nam pomóc. Tak się złożyło. Ale nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Nic się nam nie stanie. Obiecuję.

- Mógł nam pomóc! Powiedział, że cię kocha, a poślubił inną! Dlaczego? Nienawidzę go! - Szarpnęła się w ramionach matki. Ursula przeknęła łzy.

- To nie jego wina. Musiał się z nią ożenić. Nie rozumiesz tego. Ona... o, Boże! - Zdławione, szarpiące emocje nagle wyrwały się z uwięzi. Ursula przycisnęła dłoń do ust. - Nie zrozumiesz tego.

Stały przy samochodzie, płacząc z powodu czegoś, czego nie mogły mieć. Nad ich głowami skrzeknęła kookaburra-zimorodek olbrzymi, głosem przypominającym drwiącym śmiech. Ursula otrząsnęła się.

- Córeczko, odetchnij głęboko i rozejrzyj się. Owszem, jest tu trochę dziko. Nie wiesz, jak wyglądała chata, kiedy się do niej wprowadziłam. Ogród był podobny do zarośniętego śmietnika, a dom oblaził z farby i ział pustką. Wyglądał strasznie. A przecież zostawiłyśmy go w dobrym, a nawet we wspaniałym stanie. Tutaj będzie tak samo. Miejsce jest prześliczne. Spójrz, tylko popatrz na tamte krzaki z czerwonymi kwiatami. Są śliczne. A jezioro? Jest nasze, wiesz? Nasze własne jezioro! No, a z domem można zrobić różne rzeczy. Ma ładne werandy, na pewno jest na nich chłodno. Dach możemy pomalować. Nie wiem, dlaczego miałby zostać czerwony. Zobaczysz, będziemy się dobrze bawić. - Łagodnie skłoniła córkę, by przyjrzała się majątkowi. - No i?

- Tu jest brzydko i dobrze o tym wiesz, mamo. Ale - Rhea uśmiechnęła się smutno - dla ciebie spróbuję. Naprawdę.

- Świetnie. Wiedziałam, że jesteś dzielna, tylko musisz dać sobie szansę. Zobaczysz, jak tu będzie pięknie. Obiecuję - Ursula pocałowała córkę w czubek głowy.

- Jak to zrobimy? Nie mamy już pieniędzy, prawda?

- No, prawie nie. Ale ten majątek musi się sam utrzymywać. Wszystko załatwimy. No, to idziemy.

Zatrzymały się przed wejściem na teren majątku. Droga wiała się szeroką wstęgą w stronę domu. Jeszcze nigdy nie widziały tak wielkiej posiadłości, będącej w posiadaniu jednej osoby, ale na australijskie standardy nie było to dużo. Miał zaledwie nieco ponad dwadzieścia hektarów. Ciekawe, jak sobie z tym poradzimy, pomyślała Ursula. Ale mieszkało tu małżeństwo, które miało pieczę nad tym wszystkim. Jakiś Jack Winby i jego żona Ellen. Tak twierdził prawnik w Perth.

Wszystko się ułoży. Otworzyła drzwi samochodu. Rhea skuliła się na siedzeniu. Ursula przysiadła obok niej.

Kiedy zatrzymały się w samym gospodarstwie, okazało się że nie jest to jeden budynek, lecz cały kompleks zabudowań. Od głównego budynku odchodziły przybudówki w kilku kierunkach, tak jakby budowano go na łapu capu, bez żadnego planu. Wznosił się na palach na wysokość metra dwudziestu. Ursula zatrzymała samochód na poboczu i podeszła piechotą do domu. Weszła po trzech drewnianych schodkach, które pod jej ciężarem zaskrzypiały niebezpiecznie. Jej kroki niosły się głuchym stukotem na drewnianej podłodze. Wejście zabezpieczono moskitierą. Odsunęła ją niezręcznie. Klamka u drzwi była nieruchoma i zardzewiała. Same drzwi miały w górnej połowie szklane tafle. Zapukała mocno.

- Halo? Jest tam kto? Halo! - Znowu zastukała i szarpnęła klamką, lecz drzwi były zamknięte na klucz. Spróbowała zajrzeć do środka przez szyby, ale były pokryte grubą warstwą kurzu. Poszła więc na zaplecze domu. Boczne drzwi także były chronione moskitierą. Wkrótce zrozumiała, dlaczego. W zapadającym zmierzchu komary pojawiły się całymi brzęczącymi chmarami. Były wszędzie; zawisły w powietrzu chmurą tak gęstą, że bała się, iż odetchnąwszy głębiej będzie miała ich pełne usta. Machnęła ręką i wróciła na front domu.

- Mamo! Maa - mo! - W głosie Rhei słychać było niepokój i niecierpliwość. Ursula przyspieszyła kroku. Kiedy wyłoniła się z za rogu domu, jej oczom ukazała się córka, stojąca sztywno przy samochodzie i chłopak z pneumatycznym karabinkiem. Nie mierzył w Rھے, ale nie wydawał się gościnnie usposobiony. Oboje stali w identycznej, nieufnej pozie. Wyglądali jak swoje lustrzane odbicie.

- Słucham? - rzuciła ostro Ursula.

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło chłopaka. Odwrócił ku niej ciemną głowę i otworzył usta. Jego język poruszał się, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi.

- Kim jesteś? - powtórzyła spokojniej. - Pracujesz tu?

Skinął nieufnie głową.

- Mój tata jest tu gospodarzem. A pani to kto?

- Jestem pani Paterson. To miejsce należy do mnie. Bo to własność Hendricksów, tak?

Skinął powoli głową, tak niechętnie, jakby potwierdzenie mogło mu zaszkodzić. Miał około piętnastu lat. Jego skóra była spalona na ciemny brąz, a zmierzwione włosy opadały mu na oczy. Jego ubranie - luźne spodnie khaki, zniszczone wysokie buty i gruba bawełniana koszula - a także włosy i skóra były przyprószone kurzem; w twarzy intensywnie świeciły błękitne oczy. Ursula zaczęła się zastanawiać, czy chłopak nie jest trochę opóźniony w rozwoju.

- Twoim ojcem jest Jack Winby?

- Aha. Nie spodziewaliśmy się pani. Czy tata wie, że pani miała przyjechać?

Nie, doszła do wniosku. Wcale nie jest opóźniony. Tylko ostrożny. Bardzo ostrożny. Uśmiechnęła się do niego.

-Nie. Dopiero przyjechałyśmy. To moja córka Rhea. A jak ty się nazywasz?

- Will. - To ponure stwierdzenie skierował do Ursuli, ale jego spojrzenie było zwrócone na dziewczynkę przy samochodzie. Zmarszczył brwi, pomię-

dzy którymi pojawiła się mała zmarszczka. - Ale nie chcecie tu chyba zamieszkać?

- Owszem, zamierzamy. Zadzwońabym do twojego taty albo zawiadomiłabym go telegraficznie, ale zdecydowałyśmy się dość nagle. No i jesteśmy. Możesz zawołać ojca? Robi się ciemno, a komary zaraz zagryzą nas na śmierć. Chciałybyśmy wejść do domu najszybciej, jak można.

Will miał zaskoczoną minę. Obliział wargi i spojrzał na Ursulę. Potem na Rheę. I znowu na Ursulę.

- Taki czas. Jeszcze będziecie żałować. Zawołam tatę. - Po chwili wahania rzucił niespodziewanie: - Trochę tu nieporządnie. Nie wiem, czy tu będziecie chciały spać. Nie wiem, może mama by wam posłała w moim pokoju. Ja mogę spać na werandzie. - Zaszurał buciorami i tylną nieufnie spod strzechy włosów. Trzeba by mu je obciąć, pomyślała Ursula.

- Jesteś bardzo miły. Może skorzystamy, ale najpierw porozmawiamy z twoimi rodzicami. Nie chcę cię wyrzucać z własnego łóżka.

- Ee tam, na werandzie i tak jest chłodniej. Mama i tato już to urządzają. Na werandzie będzie mi lepiej. Wracam za moment.

Popędził w stronę budynków stojących za domem. Luźne ubranie powiewało za nim. Ursula spojrzała na Rheę. Stała naburmuszona, z wysuniętą brodą, jakby stawiła w ten sposób odpór wszelkim przeciwnościom losu. Ursula uśmiechnęła się.

- Może wrócisz do samochodu, kochanie? Nie ma sensu, żebyśmy obie stały wśród komarów.

Otworzyła drzwiczki, ale Rhea pokręciła głową.

- Nic mi nie będzie. Zaczekam tu z tobą. - Spojrzała w stronę cysterny na wysokich palach, za którą zniknęła Will. - Więc takie będziemy mieć towarzystwo? A szkoła? Myślisz, że mają tu coś takiego?

- Ależ oczywiście! Nie wydawaj zbyt pochopnych sądów. Trzeba z tym trochę poczekać. Will musi chodzić gdzieś do szkoły. Możesz go zapytać.

- Dlaczego myślisz, że chodzi do szkoły? Jest jakiś głupi.

- Ależ skąd. Po prostu się zdziwił. Proszę cię, nie narzekaj, dopóki nie zobaczymy wszystkiego. A właśnie, zanim się pojawią, zdecydujemy się na jedną wersję, dobrze? Niestety, musimy powiedzieć, że twój ojciec umarł. Wiem, że to brzmi okropnie, ale to nam ułatwi życie. Poza tym raczej nie ma szans, żeby nas tu znalazł. Zwłaszcza, jeśli pozabawimy nazwisko jednego „t”. Paterson przez jedno t. Dobrze? - Rhea wruszyła ramionami i zrobiła jedną z najbardziej zgnębionych min. - No, idą. Oho, kawał kobiety z tej pani Winby, co?

- W ogóle nie wygląda jak kobieta. Nie chcę...

- Ćśśś! Nie bądź niegrzeczna., - Rodzina Winbych, z Willem na czele, zbliżyła się zdecydowanym krokiem do Ursuli. Wyglądali tak, jakby zamierzali ją stratować. Ursula mimo woli zrobiła krok do tyłu. Ale rodzina zatrzymała się gwałtownie tuż przed nią. Wszyscy troje mierzyli ją twardym spojrzeniem zmrużonych oczu.

Przedłużające się milczenie przerwał Will.

- To są moi rodzice, pani Paterson. - Odstąpił na bok, jakby uważał, że spełnił już swoją misję. Jack Winby wyciągnął do niej masywne ramię pokryte ciemnymi włosami i grubą warstwą kurzu. Rękawy miał podwinięte po łokcie, a ręce stwardniałe od pracy. Ursula uściśnęła mu dłoń i uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w nieprzeniknioną twarz.

- Bardzo mi miło. A to pani Winby? - Wyciągnęła rękę do grubokościstej kobiety w drucianych okularach, połyskujących w promieniach słońca. Stała o krok za mężem. Zignorowała wyciągniętą rękę, choć skinęła głową. Tak, była panią Winby. Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

- To moja córka Rhea. Przepraszam, że nie zawiadomiłyśmy państwa o naszym przyjeździe. Jak już powiedziałam państwa synowi, podjęłyśmy decyzję dość raptownie. Parę tygodni temu byłyśmy w Melbourne i w ostatniej chwili postanowiłam kontynuować podróż statkiem, który przywiózł nas z Anglii. Ledwie zdążyłyśmy się zabrać. Mam nadzieję, że nie sprawiamy kłopotu?

- Aha. Wolałbym wiedzieć, kiedy pani przyjedzie. Ale już pani przyjechała. Lepiej niech już pani wejdzie. Will przeniesie się, a panie mogą se wziąć jego pokój. Zgadzasz się, mamusiu? - Pan Winby nazywał swoją żonę mamusią. Ursula uznała, że to wyjątkowo dziwne. Skinęła głową z uśmiechem, którego pani Winby nie odwzajemniła. Stała z rękami założonymi na piersi. Wyraz twarzy Ursuli nieco ochłódl.

- Mam podjechać samochodem?

Wszyscy spojrzeli na nią ciężko.

- Po co?

- Żeby się wypakować. Mamy walizki w bagażniku.

- Pani z nami nie zamieszka. To tylko na dziś. Nie trzeba wyjmować walizek.

- Być może zostanę w pańskim domu tylko przez dzisiejszą noc, ale obie będziemy potrzebować ubrania na zmianę, że już nie wspomnę o przyborach do mycia. A jutro wprowadzamy się do tamtego domu. Zostajemy tu, rozumie mnie pan? To moja własność i zamierzam w niej zamieszkać. Czy chce mnie pan o coś zapytać? - Rzadko zdarzało się jej przemawiać z tak chłodnym spokojem. Jeśli te ponure buraki sądzą, że ją wystraszą, to bardzo się zawiodą. Zmierzyła ich płoną-cym wzrokiem, przed którym się ugięli.

- Dobrze, dobrze. Po co się tak denerwować. Niech pani przyprowadzi samochód. Za dużo tu przeklętych komarów, żeby się klócić na dworze. Will, pokaż pani, gdzie może zaparkować, a potem wynieś jej walizki. Zaraz przyjdziemy.

Ursula leżała bezsennie, mając u boku zwinioną w kłębuszek Rheę. Zdawała sobie sprawę, że być może popełniła potworny błąd. Powinna przyjąć od Tima pieniądze na powrót i jakoś przebłagać Simona. Co ją opętało, że wyjechała z Anglii bez porozumienia z Timem. Powinna najpierw wysłać telegram. Ależ z niej idiotka! Wydała niemal wszystkie oszczędności na miejsce na „Gwiazdzie Północy” tylko po to, żeby wysiąść na środku tego pustkowia. I żeby spotkać jakiegoś wrogo usposobionego wieśniaka, który nie ma ochoty oglądać jej na oczy! Nie mogła uwierzyć we własny brak szczęścia.

Nocne dźwięki wydawały się obce i odstręczające. Ursula zamknęła oczy, starając się wyprzeć z pamięci ból i wstyd. Jeszcze teraz oblewał ją ukrop na wspomnienie wyrazu twarzy żony Tima, jego bladości i napięcia.

Wszystko minęło zbyt szybko, te chwile, kiedy stojąc na chodniku rozliczali się ze swojego życia. Teraz żałowała, że była zbyt rozgoryczona i zraniona, zbyt zawstydzona, by przyjrzeć się mu po raz ostatni. Zostawiła go bez ostatniego uścisku, bez dobrego słowa. Wspomnienie tego bolało ją.

Przytuliła się mocniej do córki. O, dlaczego w ogóle poznała Tima, czemu przyjechała do Australii. Co za ohydne miejsce!

O świcie była już ubrana i gotowa do wyjścia. Humor wyraźnie się jej poprawił. Skoro miały tu zostać, muszą dobrze zaprezentować się tym ludziom i pokazać im swoje zdecydowanie. Zapięła ostatni guzik sukienki i podniosła but. Wczoraj zostały zaprowadzone do łazienki, blaszanej szopy z prysznicem, z którego za pociągnięciem łańcuszka leciała lodowata woda. Lustro było zupełnie obdrapanie, a jako umywalka służyło wiadro. „Wygódka” znajdowała się poza domem - mała szopa z drzwiami pomalowanymi na zielono i ozdobionymi wyciętym półksiężycem. Cuchnęło na odległość, w dodatku drzwi były wypaczone. Pani Winby ostrzegła je przed czerwionkami, które mogą kryć się pod deską klozetową.

- Czerwionki? Co to jest?

- Słowo daję, jesteście tu nowe, co? - Pani Winby roześmiała się bez większej sympatii. - Pająki. Mają czerwone plamki na korpusach, a poza tym są brązowawe. Nieduże, ale paskudnie boli, jak ukąszą. Fatalnie puchnie, może mi pani wierzyć. A dla małej może się źle skończyć. No, krótko mówiąc dokuczliwe. Więc sprawdzajcie, zanim usiądziecie. A jak wam wypadnie tu przyjść w nocy, na drzwiach wisi latarka. Ursula i Rhea, zdrętwiałe z przerażenia, potulnie pokiwwały głowami i z zainteresowaniem przyjrzały się, jak należy opróżnić wygódkę po użyciu. Spłukujemy tylko raz dziennie. Mamy tu problemy z wodą. Nie ma sensu jej marnować.

- A te zbiorniki z wodą? Nie są przeznaczone dla domu?

- Nie. Nie w styczniu i lutym. Ciągle jest dość chłodno, więc nie ma większego problemu. Kiedy zacznie się lato, będziecie musiały oszczędzać.

- Ale dziś jest tak gorąco! - wyrwało się Rhei. Miała zaczerwienioną twarz od potwornego smrodu panującego w wygódce, a w miejscach ukąszeń komarów zaczęła się tworzyć opuchlizna.

- Dziś? Gorąco? - Pani Winby roześmiała się znowu. - W życiu. Wcale nie. Jak będzie gorąco, to ci powiem!

Odwróciła się - na sukience pod pachami widać było ciemne półksiężycyce potu - i pomaszerowała zarośniętą ścieżką do domu. Rhea w milczeniu spojrzała na matkę i poszła za kobietą.

Herbatka okazała się kolejnym zaskoczeniem. Pod tym słowem rozumiano obiad, a na obiad podawano stek, ziemniaki, groszek i sos. Ursula pokręciła głową, zastanawiając się, jak można pozwolić sobie na codzienne serwowanie mię-

sa. Zwłaszcza steków. Rhea podejrzliwie przesuwiała po talerzu swój kawałek wołowiny. Will przyglądał się jej intensywnie.

- Dlaczego nie jesz? Nie lubisz?

Dziewczynka wzdygnęła się zaskoczona. Podniosła wzrok i przekonała się, że państwo Winby także na nią patrzą.

- Lubię. Tylko jeszcze nie jadłam czegoś takiego. - Na jej policzki wypełził rumieniec. Ursula szepnęła, pochylając się do jej ucha, że może nie jeść, jeśli jest zanadto zmęczona. Rodzina Winbych gapiała się na nie z otwartymi ustami.

- Nigdy nie jadłaś steku? No to co tam jecie? - spytał pan Winby. Ursula uśmiechnęła się.

- Dużo ryb, czasami jagnięcinę. Od wojny trudno dostać steki. - Nagle poczuła, że nie spełnia swoich obowiązków jako matka. Will spojrział z litością na Rheę, a potem nagle nadział swój stek na widelec i podał go jej. Miał poważną twarz, nieco obmytą z kurzu, który jednak pozostał na jego skroniach, uszach i brodzie.

- Nie! - przestraszyła się Rhea, po czym natychmiast się zreflektowała. - I tak mam już dość.

Państwo Winby obrzucili ją obrażonym spojrzeniem i zamilkli. Ursula spróbowała z innej strony.

- Co pan tutaj uprawia? Gospodarstwo samo się utrzymuje, prawda?

- Oliwki, cytryny. Mamy krowę i kurczaki, konie, takie tam. Ale nie jesteśmy samowystarczalni. Za zbiory kupujemy ubrania i żywność, której nie mamy: cukier, herbatę, mąkę. Poza tym naftę i benzynę, narzędzia i tak dalej. Niewiele z tego zostaje.

Ursula przetrawiła to, co usłyszała, podczas gdy państwo Winby zbierali nakrycia i odnosili je do zlewu. Rhea zaproponowała pomoc, którą szorstko odrzuciono.

- Macie tu innych pomocników? Ziemi jest bardzo dużo.

- W większości do niczego się nie nadaje. Zbyt kamienista albo za sucha. Stoney reperuje nam płoty i wykonuje różne naprawy, a w porze żniw angażujemy zbieraczy. Plony są małe.

- Stoney? Czy... chciałam powiedzieć, kto to?

- Palmerston Jones, Stoney. To asfalt. Mieszka w chacie, którą sobie sam zbudował. Dobry chłop jak na abo, ale ktoś musi od czasu do czasu dobrze mu nakopać. Wszyscy oni to leniwe łajzy, wybaczysz pani.

- Asfalt? Abo? Przepraszam, ale jeszcze nie oswoiłam się z australijskimi określeniami. - Ursula miała wrażenie, że brak zrozumienia stawia ją w jeszcze gorszym świetle. Coś jej mówiło, że pan Winby specjalnie w tym celu używa slangu. Uśmiechnęła się spokojnie.

- To to samo. Aborygen. Czarny. Rozumie pani?

- Jak najbardziej. Jestem pewna, że wkrótce przekona się pan, iż jestem pojętna.

Tak było wczoraj. A teraz nastał następny dzień i trzeba było stawić czoło temu przerażającemu światu pełnemu pajaków i węży. Will miał bardzo poważną

minę, kiedy powiedział im, żeby sprawdzały buty, zanim je rano włożą, i żeby bardzo ostrożnie chodziły w wysokiej trawie. Ursula wzdrygnęła się ze wstrętem. Zawiązała sznurowadła i wstała. Rhea nadal spała, więc nie chciała jej budzić. Kiedy tak leżała ze srebrzystymi włosami rozsypanymi na poduszce i policzkami zaróżowionymi od snu, trudno było nie zachwycić się jej urodą. Ale przecież jednym z niewielu - jeśli nie jedynym - atutem Simona była uroda. Rhea odziedziczyła **japo** nim. Ale nie przypominała go już z charakteru. Ursula uśmiechnęła się i bezgłośnie zamknęła drzwi.



## Rozdział dwudziesty

**D**zień dobry. Ranny ptaszek z pani. Tak trzeba. Główny dom ma piec na drewno, taki jak ten i daję słowo, rozpala się dopiero w środku dnia. Trzeba zaczynać bardzo wcześnie. Co pani zje na śniadanie? - Pani Winby stała przy stole z patelnią w jednej ręce i widelcem w drugiej. Przed panem Winby i Willem stały talerze z dwoma stekami i czterema jajkami. Ursula przełknęła ślinę z wysiłkiem.

- Znowu stek? Na śniadanie?

- Jeśli się ma przed sobą dzień pracy? Mamusia nie będzie gotować przez cały dzień, a do kolacji o szóstej kawał czasu - wybelkotał pan Winby z ustami pełnymi mięsa. Ursula pokręciła głową.

- Poproszę tylko kawę.

Usiadła przy stole. Will przyglądał się jej spod spuszczonej rzes. Była ciekawa, kim mu się wydawała, w lnianej sukience tak samo nie pasującej tutaj, jak jej blada skóra. Znowu przyszło jej do głowy, że trzeba mu obciąć włosy. Wyglądały tak, jakby nie znały nożyczek.

- Idziesz dziś do szkoły?

Widelec chłopca zawisł w powietrzu pomiędzy talerzem a ustami.

- Nie, już skończyłem. Mam piętnaście lat i jestem potrzebny tacie. - Włożył do ust ostatni kawałek steku z żółtkiem jajka. Potem wytarł talerz kawałkiem chleba. Ursula musiała odwrócić głowę. Co się z nią działo? Zwykle nie czuła się tak jak teraz. Nerwy miała napięte do niemożliwości, a żołądek burzył się jej na widok jedzenia. Wbiła wzrok w laminowany stół, tam gdzie spod pęknięcia wycierało brązowe drewno. Przeklęty Tim!

- Ale - zaczęła i odetchnęła głęboko - jest tu gdzieś szkoła, prawda? Rhea jest jeszcze dzieckiem i musi chodzić do szkoły.

Dorośli porozumieli się wzrokiem.

- O, nie - oznajmiła pani Winby, rozpromieniona na myśl, że pozbędą się wreszcie niechcianych gości. - Mamy szkołę korespondencyjną, no nie? Ale prawdziwa szkoła spaliła się ze dwa lata temu w pożarze buszu, zgadza się?

Will skinął głową.

- Jest przedszkole dla maluchów; ich mamy opiekują się nimi na zmianę. Ale bogate dzieci jeżdżą do Perth, do szkół z internatem, a inne uczą się przez radio albo wcale. Mają zbudować jakąś szkołę, ale nie sądzę, żeby rząd się spieszył. Po wojnie potrzeba tylu rzeczy... No, szkoły też będą, jak przyjdzie na nie pora. I tak nie ma tu wielu dzieci. - Pani Winby postawiła przed Ursulą kubek kawy i odwróciła się do piecyka.

- Jeszcze jajek, tatku?

- Nie, jestem pełny. No, to się zbieramy. - Siorbnął herbaty i wstał. - Will, idziemy. Już się najadłeś. Do widzenia pani. Jeśli zostanie pani na herbatce, porozmawiamy o wszystkim. Mamusia pokaże pani dom. - Włożył podniszczony filcowy kapelusz i wyszedł na werandę. Will poszedł w jego ślady, nieświadomie naśladowując krok ojca: ugięte kolana, przechył w lewo, ugięte kolana, przechył w prawo, ręce luźno wzdłuż boków. Krok mężczyzny bardziej przyzwyczajonego do siedzenia w siodle, niż posługiwania się własnymi nogami. Ursula w milczeniu piła kawę.

- A gdzie mała? Nie wstanie dzisiaj, czy co? - Kobieta skończyła zmywać i stała przy stole z rękami założonymi na fartuchu. Ursula nie zauważyła, czy pani Winby już jadła. Może tylko karmiła mężczyzn. Pod pachami już teraz zaczęły pojawiać się jej półkoliste ciemne zacieki potu. Drobne kropelki pojawiły się nad jej górną wargą.

- Rhea jest zmęczona. Miałyśmy długą podróż, a poza tym... ostatnio była dość zdenerwowana. Chcę, żeby się wyspała. Przykro mi, jeśli to koliduje z pani planami. - Obie kobiety zmierzyły się wyzywającym spojrzeniem. Pani Winby prychnęła nagle i odwróciła się. Ursula spokojnie popijała kawę.

- Klucz do głównego domu jest tam. Wisi przy drzwiach. Możecie wprowadzić się dzisiaj. Nie mamy dość miejsca. Will albo Stoney przeniosą wam rzeczy. Nie znamy się tu na uprzejmościach. Nie znajdzie tu pani służby. - Wyjęła ścierkę i powiesiła ją przed piecykiem. - Mąż także do pani przyjedzie? Tak pytam, żeby wiedzieć, czego się spodziewać.

Szeroka twarz pani Winby nosiła wyraz niemiłosiernej ciekawości.

- Nie. Mój mąż niedawno zmarł. To dlatego tu przyjechałam i dlatego zostałam. - Zawahała się na moment, starannie dobierając słowa. - Nie rozumiem, dlaczego moja obecność wydaje się pani takim kłopotem. W końcu ta ziemia należy do mnie. Mam nadzieję, że zgodzi się pani ze mną? - Zrobiła pauzę, ale kobieta nie zamierzała dać za wygraną i zmierzyła ją nieruchomym spojrzeniem. Ursula poczuła, że wzbiera w niej obudzony gniew, który zepchnęła gdzieś głęboko po rozmowie z Timem. - Obawiam się, że od tej chwili będą tu obowiązywać moje

zyczenia, nie pani. Oczywiście jeśli uznacie państwo, że nie możecie tolerować takiego stanu rzeczy, możecie znaleźć pracę gdzie indziej. Czy wyrażam się jasno? - Przez jedną lodowatą sekundę wytrzymała spojrzenie pani Winby. Wreszcie kobieta wzruszyła ramionami. - Doskonale. W takim razie obejrzą teraz dom. Bardzo dziękuję za okazaną uprzejmość. - Wstała i zdjęła klucz ręką, która nie drżała ani odrobinę. Zatrzasnęła drzwi z siłą, która wyzwoliła przynajmniej trochę nagromadzonego w niej gniewu.

Tyle się nasłuchiwała o tych serdecznych, gościnnych, przyjacielskich Australijczykach! Rodzina Winbych stanowiła znakomity przykład tej osławionej gościnności. Ruszyła przed siebie z zaciekłością. Każdy krok, każdy ruch potęgował jeszcze jej rozdrażnienie. Już ona im pokaże. Nie pozbędą się jej, na Boga!

Pograżona w gwałtownych rozmyślaniach, nie zauważyła niskiego ciemnoskórego człowieczka, na którego omal nie wpadła. Zatrzymała się gwałtownie z ustami otwartymi do krzyku; w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że to musi być Stoney, aborygen, o którym mówił pan Winby. Zamknęła usta i uśmiechnęła się. Skinęła głową. Czy rozumie po angielsku? Opierał się o balustradę werandy; jego opadające z bioder spodnie były jeszcze bardziej obszerne, niż odzienie Willa. Stał boso, ze stopami w kurzu i piachu. Były szerokie, a ich palce podkurczały się, jakby wczepiając się w ziemię. Miał niskie czoło, spod którego połyskiwały ciepłe, wilgotne brązowe oczy w głębokich oczodołach. Jego nos był tak szeroki, że początkowo sądziła, iż ktoś zdeformował mu go podczas bójki. Wargi unosiły się nad mocnymi, białymi zębami. Mocno skręcone brązowe włosy połyskiwały pomarańczowo i sięgały mu niemal do ramion. Rozpięta koszula wisiała luźno, a jej poły powiewały na wietrze. Ursula natychmiast poczuła do niego sympatię. Umiał się uśmiechać jak mało kto.

- Stoney? Jestem pani Paterson. Chyba tu pracujesz... dla Winbych.

- Tak. Pan Winby... podobno mogę ponosić graty. Mam wejść pierwszy? Mogą być węże. Wczoraj widziałem dugai. Pewnie są i pająki. Lubią ciepło i sucho. Pani nie wchodzi na razie. - Jego głos był miękki i rozlewny. Skinęła głową. Lniana sukienka zaczęła ją grzać. Odsunęła kołnierzyk od szyi. Nie wiedziała, jak wygląda dugai, ale pewnie jest jadowity. Wszystko tutaj wydawało się jadowite.

- Zawsze tu tak cicho? Można by pomyśleć, że oprócz nas nikt tu nie mieszka.

- Bo nie. - Znowu się uśmiechnął. Zaczęła wachlować się chusteczką.

Drzwi otworzyły się dopiero wtedy, gdy Stoney napał na nie ramieniem i mocno pchnął. Uchyliły się ze zgrzytem, trąc o deski podłogi. Wypaczyły się po ostatnich zimowych deszczach. Stoney uważnie przekroczył próg. Węże nie były dla niego niczym nowym, a jednak zachowywał ostrożność. Ursula patrzyła i notowała wszystko w pamięci. Jej towarzysz tupał mocno bosymi stopami tak, że z podłogi unosiły się duszące kłęby kurzu. Z kątów pokoju dobiegały niepokojące szurania. Ursula czekała bez tchu. Bała się poruszyć, żeby nie nastąpić na coś jadowitego. Dzięki Bogu, że był przy niej Stoney.

- Tylko goanna. Trochę syczą i gryzą, jak mogą. Ale nie najgorsze. To małeństwa. - Ursula spojrzała w kierunku, w który mierzył wyciągnięty palec chłopca. Ogromna jaszczurka czaiła się w rogu pokoju, powoli kręcąc łbem; z jej otwar-

tego pyska wydobywał się cichy świst. Jak syczenie węża. Jeśli to ma być małe... Dobry Boże!

- Wyniesiesz to? Chyba mnie nie lubi. A ja nie lubię jej - odsunęła się od drzwi, już nieco spokojniej. Przyjrzała się pokojowi. Był duży, w trzech ścianach miał wielkie okna, a na czwartej dwoje zamkniętych drzwi. Nie było tu ani jednego mebla, a na podłodze leżały zakurzone, pozołkłe gazety. Ursula stała nieruchomo, zapomniawszy na chwilę o jaszczurce. A więc to ma być jej dom. Słońce prażyło przez szyby od wschodniej strony pokoju, jeszcze zbyt nisko na niebie, by zasłaniał je dach werandy. W jego bezlitosnym świetle widać było każde pęknięcie tynku, każdą drzazgę na podłodze. I już teraz było tak gorąco, że powietrze staowało w gardle. Wyszła na werandę, oparła się o słupek i spojrzała na drogę, wijącą się w stronę głównej szosy. Powietrze drgało.

Po paru chwilach Stoney pojawił się obok niej. Jego twarz lśniła czekoladowym brązem.

- Poszedł. Może się pani wprowadzać.

- Dziękuję. A inne pokoje? Sprawdziłeś je? - Nie spojrzała na niego. Drogę ogradały kawałki kolczastego drutu, zardzewiałe i okręcone byle jak o drewniane słupki. W ostrym świetle wokół przedmiotów powstawała niemal mgiełka, widziała brzydkie szarozielone drzewka oplecione brązowymi gałązkami akacji, w tym stopniu wysuszonej, że wydawała się drzeć na wietrze. Miały jedną i tę samą barwę, jakby słońce prażyło je tak długo, aż przybrały jednolity maskujący kolor khaki. A więc to jest ten słynny busz. Tim wychował się w podobnym gospodarstwie, ale większym, takim z owcami. Odetchnęła powietrzem, suchym i kwaśnym, z lekkim zapachem eukaliptusa. Jak ma tu żyć? I za co? Czy naprawdę nie mają pieniędzy?

Zauważyła dwie ciemne sylwetki wiatraków na tle białego, rozpalonego nieba. Była w tym wszystkim jakaś uroda: spokój i celowość, która ani nie oczyszczała, ani nie dręczyła duszy. Teraz rozumiała, co znaczy fatalizm dla ludzi żyjących w buszu. Kto inny mógłby tu mieszkać? Wszystko wydawało się tak nieprzyjazne i prymitywne. Ogromny szmat ludzkich nieużytków, na których nie ma miejsca na słabość ani potrzeby udoskonaleń. Czuli się trochę dziwnie, kiedy tak opierała się o słupek i czuła „żar w trzewiach i światło w kościach”. Słowa niespodziewanie pojawiły się w jej głowie i dopiero teraz rozumiała je w pełni.

- Proszę pani? Słabo pani? Biała pani jak śmierć. Nie za gorąco dzisiaj, ale pani z Anglii i w ogóle. Może trzeba usiąść albo co? - Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, kiedy skinęła głową i usiadła na schodku. Ciągle czuła się trochę dziwnie. Stoney stanął obok niej. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej, ale bał się okazać natrętnym. Wreszcie zdobył się na odwagę. - Zostanie pani z małą na dobre? Przyjechałyście aż z Anglii, żeby tu zamieszkać? - Był zaskoczony. Uśmiechał się, by zatuszować zdenerwowanie, które budziła w nim ta nowa pani ze śmiesznym akcentem i białą, miękką skórą. Nie był przyzwyczajony do kobiet. Znał tylko panią Winby, a ona się nie liczyła.

Stoney miał prawie siedemnaście lat i mieszkał w majątku, odkąd został tam porzucony przez matkę. Zniknęła gdzieś, w pogoni za dorywczą pracą, dzięki

której mogła zarobić na jeszcze jedną butelkę piwa i coś na ząb. I tak go nie chciała; był dla niej tylko kłopotem. A więc kiedy ruszyła w dalszą drogę, po prostu została go bez ostrzeżenia. Ale majątek podobał mu się. I polubił Willa. Bawili się razem, kiedy chłopiec wracał ze szkoły, a kiedy dorośli, obaj zaczęli pracować dla taty Willa. Objeżdżali konno granice ziem, ścigali się do utraty tchu, co zawsze nieodmiennie kończyło się zwycięstwem Stoney'a. Miejsce startu i mety zawsze było takie samo: skrzynka na listy.

Ale teraz wszystko się zmieni. Pojawiła się dama i jej mała córeczka, a pan Winby prawie pochorował się z wściekłości. Obserwowali go razem z Willem, stojąc w bezpiecznej odległości, kiedy rzucił torby z karmą i nawozem na skrzynię ciężarówky i ruszył tak gwałtownie, że spod kół bryznęły mu fontanny żwiru. Potem Will zajął się dojeniem krów, a on przyszedł pomóc pani. Ale jakoś nie interesowała się domem. Nie rozumiał tego. Miejsce było fajne. Chciałby tu mieszkać. Czego jeszcze jej trzeba?

Ursula wreszcie zorientowała się, że Stoney nadal przy niej stoi i że pytają o coś.

- Słucham? Nie dosłyszałam. Zastanawiałam się...

- A, nie wiem. Tylko tak sobie myślałam, czy nie potrzeba pani czego. Jeśli zostajecie. Nie sądziłem, że zostanieie. Skoro pochodzicie z Anglii. - Znowu stracił pewność siebie i wepchnął pięści w kieszenie. Ursula spojrzała na niego.

- Zostanę tu, Stoney. Mój mąż... nie żyje, a ja nie mam z czego żyć. Nie mam wyboru. Moja córka może tu pozostać albo wrócić do domu... do Anglii. Jeszcze nie wiem, co robi. Ale co do mnie, postanowione. Więc... obejrzyjmy dom, dobrze? A potem porozmawiam z panem Winby. Wiesz, dokąd poszedł?

Pognała Stoney'a do salonu. Nagle, w ciągu jednej chwili, podjęła decyzję. Poradzi sobie, jak zawsze. Przynajmniej tym razem kiedy dostosuje dom do ludzkich potrzeb, będzie należał tylko do niej. To jej ziemia, jej własność, jej dom. Ta myśl natychmiast przyniosła jej ulgę.

Stoney spojrzał na nią żałośnie.

- Pan Winby wyjechał na daleki padok. Nie wróci aż do kolacji.

- A, rozumiem. Więc do tego czasu trochę się rozejrzymy. Kuchnia sprawdzona, tak? Nie ma dugai, goann ani czerwionek? - Zajrzała do pomieszczenia, wychylona daleko poza próg. Stoney uśmiechnął się z rozbawieniem i przekroczył próg.

- Niczego nie ma. Już patrzyłem. Można gotować i w ogóle. Mogę nanieść drewna. - Ursula poszła za nim. Masywne porcelanowe zlewy poznaczone brązowymi plamami, brązowe kredensy, brązowa podłoga, beżowe ściany. Nieco straciła dobry humor.

- Nie, na razie nie zajmuj się drewnem. Zdaje się, że przez jakiś czas będziemy musiały zostać u Winbych. Może nawet będziemy musiały u nich zamieszkać, dopóki nie zrobię tu większych napraw. A może jestem tylko głodna... - Chciała powiedzieć, że widzi wszystko w czarnych barwach, ponieważ nie zjadła śniadania. Ale Stoney wszystko traktował dosłownie. Wyszczerył do niej zęby.

- Chce pani jarzyną kanajpkę? Pani Winby czasami robi je dla Willa i mie. Mogę przynieść trochę. Ijle? - Zauważyła, że kiedy Stoney jest poruszony, jego wymowa zyskuje rozległość. Nie miała pojęcia, jak wygląda taka kanapka, ale i tak wydawała się lepsza, niż stek. Uśmiechnęła się z rozbawieniem i skinęła głową.

- Zrobisz to dla mnie? Chciałabym dwie, jeśli to nie sprawi kłopotu pani Winby. Muszę zajrzeć do innych pokoi. Są sprawdzone, tak? - Jej żołądek skurczył się gwałtownie, tak niespodziewanie, że musiała przytrzymać się stołu. Wszystko nagle rozmyło się jej przed oczami, a potem znowu się wyostriżyło. Znała to uczucie. Wspomnienie nieco się już zatarło, ale ciągle je pamiętała. O Boże! To chyba niemożliwe, prawda? Spróbowała sobie przypomnieć, kiedy miała ostatnią miesiaczkę. Jakoś nic nie przychodziło jej na myśl. Przez głowę przeleciał jej huragan myśli. Stoney zerknął na nią z ukosa. Zrobiła wysiłek, by wyglądać, jakby nic się nie stało.

- Tak. Sprawdzone. To fajne miejsce. Tylko trochę farby i gotowe. Ja i Will pomożemy. A gdzie to dziecko?

Spojrzała na niego.

- Wkrótce się zjawi. - Uśmiechnęła się, ale w jej oczach czaiło się strapienie i zamyślenie. „To dziecko”, powiedział Stoney. Powinien raczej powiedzieć te dzieci.

Tim zadzwonił w Boże Narodzenie. Nie miała pojęcia, jak się dowiedział, gdzie jej szukać ani jak zdobył numer. No i proszę, raptem w słuchawce rozległ się jego głos, niepewny i zawstydzony. Chciała przerwać połączenie. Coś nie pozwoliło jej na to. Nie dlatego, że uważała swoją miłość do niego za niedobrą, nie dlatego, że wstydziła się, iż przyjechała za nim do Australii. Owszem, popełniła błąd. Ale nie było w tym nic złego. Niedobre okazało się to, że miał żonę, a jego żona miała wkrótce urodzić ich pierwsze dziecko, a on dzwonił do niej, w dodatku w Boże Narodzenie, żeby powiedzieć jej... o czym? Właśnie dlatego nie odłożyła słuchawki. Chciała to usłyszeć.

- Jesteś tam? To ja, Tim. Słyszysz mnie? Ursulo?

- Tak, słyszę. O co chodzi?

- Chciałem... życzyć ci wesółych świąt. Dobrze ci tam? Myślałem, że wróciłaś do domu... Czy Rhea jest zdrowa?

- Tak, jak najbardziej. Nie, nie wróciłam do domu. Jakżeby mogła? Kto ci powiedział, gdzie mnie szukać? - Oczywiście Lettice. Znała odpowiedź jeszcze zanim ją usłyszała.

- Lettice. Omal nie urwała mi głowy w liście. Chyba nie jestem jej ulubieńcem. To zrozumiałe. Nie powinienem w ogóle... Czy naprawdę nic ci nie brakuje? Lettice sądzi, że masz kłopoty z pieniędzmi. - Zadał to pytanie niepewnie, jakby nie wiedział, jak wiele może powiedzieć. Ursula nie odpowiadała przez parę chwil.

- Dlaczego?

- Majątek trochę podupadł. Wiem, że rolnictwo przeżywa kryzys...  
- Co? Żartujesz? Rolnictwo kwitnie. Kto ci to powiedział?  
- Dzierżawca farmy, pan Winby. Hoduje oliwki i cytrusy i twierdzi, że ziemie są tu ubogie, nie ma popytu i... i... - Musiała głęboko odetchnąć. Drżenie jej głosu zwiastowało nadchodzące lzy.

- Kochanie? Chwileczkę. Uspokój się i opowiedz mi o tym panu. Przyznaję, nie znam się specjalnie na sadownictwie, ale mogę się dowiedzieć. Coś mi się zdaje, że nie jest ci z nim lekko. Tak?

- No, trochę. To dlatego, że nie znam się na niczym i wszystko wydaje mi się takie dziwne, a oni nas tu nie chcą. Ale musimy zostać. Rhea nie chce wrócić do Simona. Mówi, że nie chce go więcej widzieć, a ja... ja też nie chcę wracać do domu. Gdyby tylko ci Winby byli bardziej przyjaźni. No i nie ma tu szkoły. Co mam z tym zrobić? - Nie zamierzała zwierzać się mu ze swoich problemów. Na pewno nie w pierwszych minutach rozmowy. Ale było w nim coś, co zawsze zachęcało ją do otwartości. Tak bardzo o nią dbał, nawet teraz. Otarła oczy wierzchem dłoni.

- Ukochana moja, nie możesz jej posłać do Perth? Mają tam dobre szkoły dla panienek, a ona i tak przyzwyczała się do szkoły z internatem. Może dzięki temu zyskasz trochę czasu na uporządkowanie spraw.

- Ale to jest drogie! A majątek na to nie zarabia. O Boże, przepraszam. Nie chciałam zaczynać od czegoś takiego. Czemu dzwonicz. Po tym, co ci powiedziałam, nie spodziewałam się usłyszeć od ciebie ani słowa. Dlaczego akurat dzisiaj nie jesteś ze swoją żoną? - Nawet ona słyszała gorycz swojego głosu. A przecież jeszcze nie powiedziała mu najgorszego. Choć może to jednak nie jego. Może to ta noc z Simonem. Boże, nie! Niech to nie będzie dziecko Simona! Spojrzała w okno. Rhea bawiła się na dworze ze szczeniakiem, którego dostała od Willa. Z jakiegoś powodu nazwała go Mannie.

- Dzwonię, do cholery, bo za tobą tęsknię. Martwiłem się o ciebie i nie mogłem przestać o tobie myśleć. Nie wiem, czy mówiłaś to wszystko poważnie i czy naprawdę dajesz sobie radę. Przepraszam cię, ukochana, wiem że nie mam prawa cię to pytać. Musiałem usłyszeć twój głos. To, że się ożeniłem, nie znaczy jeszcze, że mogę przestać cię kochać. Może to głupie i bezsensowne, ale nie potrafię tego zmienić. Nie potrafię. A Joanna jest u rodziców, a ja mam do nich dzisiaj dołączyć. Ma termin w styczniu.

- W styczniu? Hm. Czy to nie za późno jak na twoje dziecko? O, do diabła, nie powinnam tego mówić. Ale...

- Ma rodzić na początku stycznia. Wyjechałem z Australii w początkach kwietnia. To całkiem możliwe. Dziękowałbym Bogu, gdyby było inaczej i nadal w to nie wierzę. Zawsze tak uważałem... No, ale jest jak jest.

- Jest jak jest. Tak, chyba masz rację. - Ursula dotknęła własnego brzucha. Ciekawe, dlaczego nie uważał, kiedy był z nią. - W lutym są urodziny Rhei. Będzie miała dziesięć lat! A ty masz swoje pierwsze. - Roześmiała się niepewnie. Była tak bliska załamania, że przez parę chwil nie odważyła się odezwać. Jak dobrze byłoby móc domagać się jego obecności, do czego Joanna najwy-

raźniej miała prawo. Mieć go przy sobie, powierzać mu swoje kłopoty. Żeby ją całował i mówił „no już, już, wszystko załatwię”. Ale to niemożliwe. Nigdy nie będzie go miała dla siebie. Jedyne człowiek, który był zawsze przy niej, nie żyje.

- Przepraszam, Tim. Ja także się nie zmieniłam. Źle zaczęliśmy i tyle. Jak się mają twoje sprawy z Joanną?

- Prawdę mówiąc, prawie się do siebie nie odzywamy. Ma to, czego chciała, męża z widokami na przyszłość. Ale nie ma mnie. Ma tylko pozory, które pokazujemy światu i to chyba jej wystarcza. Pewnie powinienem jej żałować, ale jakoś nie mogę. Za bardzo żałuję ciebie, ukochana, i mnie. Poza tym teraz, kiedy spędzamy ze sobą tyle czasu, okazało się, że wcale nie lubimy się aż tak. Nie wiem... może dziecko jakoś naprawi sytuację.

- Zdaje się, że ugrzązłeś dokładnie w takim bagnie, jak ja kiedyś, tylko od tej drugiej strony. To prawie zabawne. A ja utknęłam na tym pustkowiu...

- Nie, to jeszcze nie pustkowie, kochanie, tylko busz. Prawdziwe pustkowia są zupełnie inne. Tam zupełnie niczego nie ma.

- Tu też nie! O, do diabła! Czy nie możesz tu... nie. Nieważne. Zapomnij o tym. To na nic i im szybciej sobie z tego zdamy sprawę, tym lepiej dla nas obojga. Słyszałam, że w miastach ludzie zabierają kanapki z indykiem i idą na plażę? Tak?

- Czasami, niektórzy. Nie rodzina Jo. My musimy zachowywać się, jak przystało. Upał, czy nie. Powiedz mi, jak duży jest twój majątek i gdzie dokładnie leży. Spróbuję skontaktować się z kimś, kto powie ci, co powinnaś hodować i w jakich ilościach. Coś mi się zdaje, że ten cały Winby trochę cię kantuje.

- Dobrze, ale muszę ci to napisać. Rhea tu idzie, a nie chcę, żeby wiedziała...

- Napisz do mojego biura, nie do domu. - Szybko podyktował jej adres. - Do widzenia, ukochana i wesółych świąt.

- I wzajemnie, Tim... Na razie. - Odłożyła słuchawkę i ostrożnie wycofała się w stronę drzwi. Czy powinna mu powiedzieć? Może to nie jego? Od chwili, w której odkryła prawdę, minęło pięć miesięcy. Jeszcze prawie nie było widać. Na razie nikt nie zauważył zmiany figury, ukrytej pod luźnymi sukienkami, które nosiła dla ochrony przed upałem. Rhea weszła do domu ze szczeniakiem w objęciach.

- Mamo, mogę na chwilę posiedzieć tu z Mannie? Na dworze jest tak gorąco! Trudno odetchnąć.

- Oczywiście. I tak nie możecie niczego więcej zniszczyć. To miło, że Will dał ci pieska, prawda? On i Stoney to dobrzy chłopcy.

Rhea nie słuchała tego, co mówi matka. Przyglądała się jej ze zmarszczonymi brwiami.

- Co się stało? - spytała bez ogródek. Ursula wzdygnęła się i pogłaskała szczeniaka. Miała nadzieję, że córka nie zauważyła jej odruchu.

- Nic, kochanie. Chcesz zjeść obiad już teraz czy trochę zaczekamy? I tak jest na zimno. Nie wytrzymałabym gotowania w tym upale.

- Więc trochę poczekajmy. Chcę nauczyć Mannie siadać. Siad, Mannie! Siad!



Ursula spojrzała na jej wysiłki.

- Muszę się na chwilę położyć. Zawołaj mnie za godzinę, dobrze? - Wyszła z pokoju, zanim Rhea zdołała znowu zapytać, co się stało. Nie mogła jej odpowiedzieć.

Łóżko było żelazne, ze sprężynami i cienkim materacem. Chłopcy pomogli jej pomalować ściany na jasnokremowy kolor, a drewno na białe. Kuchnia wydawała się teraz zupełnie innym miejscem. A podłogi, wyszorowane i powleczone lakierem, jaśniały intensywnym blaskiem. Ale nadal nie miały prawie żadnych mebli. Pan Winby przywiózł im z targu dwa łóżka i parę innych sprzętów: stół, dwa fotele i sofę, która od dawna powinna przejść na emeryturę, oraz komodę. Powiedział, że tylko tyle zdołał znaleźć, a zresztą na nic innego ich nie stać. Był dokładnie taki, jak Simon. Czasami zastanawiała się, kto jest tu gospodarzem, ona czy on. Czasami zadawała mu to pytanie, ale nie słuchał. Była tylko kobietą. A ten kraj należał do mężczyzn.

Kupiła surowe płótno i zaczęła robić pokrowce na fotele i sofę. Rhea pomalowała stół i komodę srebrzystą zielenią i szarością. Mieszkanie wyglądało naprawdę ładnie. A wkrótce zaczyna malować ściany zewnętrzne, no i ten ohydny czerwony dach, wszystko na białe, żeby odbijało promienie słońca. Chłodne prześcieradła leciutko drapały jej skórę. Temperatura sięgała pewnie czterdziestu stopni. Ładna Gwiazdka.

Godzinę później do drzwi zapukała Rhea. Zerknęła w ciepły półmrok pokoju.

- Nie śpisz? Robię się głodna. Mam zacząć przygotowywać obiad?

Ursula z wysiłkiem uniosła powieki. Prześcieradło pod jej plecami rozgrzało się, a ona czuła się jak pijana. Nie mogła się ruszyć. Skinęła ręką w stronę córki, ruchoma biel w ciemnościach.

- Zacznij ty. Zaraz wstanę.

- Chcesz lemoniady? Stoney przyniósł od pani Winby. Jest zimna.

Ursula poruszyła zdrewniałym językiem w wyschniętych ustach.

- Tak, proszę. Za chwilę wstanę.

- Mamo... nic ci nie jest? Wyglądasz... dziwnie. Czy coś się stało?

Ursula roześmiała się i natychmiast podniosła się na łokciu.

- Co mogłoby się tutaj stać? Nic mi nie jest, kochanie. Przynieś mi lemoniadę, a ja się umyję.

W kącie pokoju stało ocynkowane wiadro. Wstała powoli; było duszno, w głowie jej dudniło z niezdrowego snu w gorące popołudnie. Wzięła wiadro, postawiła je na parapecie i zaczęła ochlapywać twarz i ramiona, nie przejmując się tym, że woda cieknie jej po karku i moczy sukienkę. Była chłodna i mocno zalatywała siarką; woda z pompy, niezdatna do picia, ale całkiem dobra do kąpieli. W wiadrze wydawała się brązowa. Ursula odstawiła wiadro na podłogę i otworzyła okno, by złapać choć tchnienie wiatru. Powietrze stało nieruchome. Wzgórza zatrzymywały wiatr od morza, a wschodni wiatr, wiejący przez dolinę Nullabor - sześćset kilometrów pustyni bez kropli wody i jednego drzewka - potrafił spalić skórę do kości. Nienawidziła tego wiatru. Dotknęła niewielkiego wzniesienia pod sukien-

ką i naciągnęła na nim materiał. Wkrótce będzie musiała powiedzieć o tym Rhei. Powie jej, że to dziecko Simona. Może tak jest.

- Proszę, mamó. Zostawiłam resztę na werandzie razem z mokrym ręcznikiem i wiadrem wody. To najchłodniejsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy. - Jeśli Rhea zauważyła, że matka gwałtownie opuściła ręce i odwróciła się od niej, nie dała po sobie niczego poznać. Trzymała spokojnie szklankę i czekała, aż matka weźmie ją od niej.

- Dobre dziecko. Musimy kupić lodówkę. Nie obchodzi mnie, co mówi pan Winby. Poza tym on ją ma. Mmm, muszę przyznać pani Winby, że umie robić lemoniadę. Oczywiście z naszych cytryn. - Mrugnęła do córki. - **1** musimy mieć przyzwoitą łazienkę. Nie zamierzam chodzić z latarką do tej głupiej wygódki. Bóg raczy wiedzieć, co tam znajdziemy. Musimy mieć prysznic i toaletę. Ten idiota, nasz prawnik, nie zamierza się przejmować podziałem zysków. To nie jego sprawa, jak twierdzi. To z panem Winbym powinienam porozmawiać, to jego działka. Bóg jeden wie, po co nam prawnik, skoro wszystko, włącznie z zyskami, znajduje się w rękach pana Winby. Od lat korzystał bezpłatnie z naszych gruntów. Zysk? A co to? Jeśli istnieją jakieś zyski, trafiają do kieszeni Winbych. A, dziękuję, kochanie. - Wzięła mokrą chusteczkę, którą podała jej Rhea i wytarła twarz i szyję. W ciągu paru sekund woda wyparowała, ale miłe uczucie pozostało. Spojrzała na córkę i uśmiechnęła się. Jaka ona dzielna. Wystarczyło tylko wspomnieć o powrocie do domu i Rhea natychmiast przestawała narzekać i zaczęła radzić sobie z każdym problemem, jaki przed nią stawał. Ale nie było jej łatwo; została bez szkoły i przyjaciół, a jako jedynych towarzyszy zabaw miała Willa i Stoney'a, którzy przeważnie nie zwracali na nią uwagi.

Jedyną atrakcją były tu konie i laguna. Pan Winby poprawił ją, kiedy nazwała ją jeziorem. Wyglądało na to, że w tych okolicach były same laguny. I rzeczki - nie potoki czy strumienie. Niedaleko laguny znajdowała się mała rzeczka, wątła strużka ciurkająca pomiędzy wysokimi ścianami czerwonej gliny, poznaczonej żółtymi smugami. Chłopcy czasami bawili się tam z Rhea; zjeżdżali po zboczach do wody tak długo, aż przybierali wygląd glinianych kukieł, po czym pędzili do laguny. Jej woda była tak ciemna, że nie sposób było dojrzeć przez nią dna. Ursula jeszcze nie kąpała się w niej.

- No, zobaczymy co da się upichcić. Przepraszam za ten nie bardzo gwiazdkowy nastrój i za to, że nie mam dla ciebie prezentu. Wynagrodzę ci to, obiecuję. - Przytuliła Rhea, odwracając się tak, żeby nie dotknąć jej brzuchem, i pocałowała ją w czubek głowy. Rhea objęła ją w pasie.

- Nic nie szkodzi. Ja też nie mam dla ciebie prezentu. I nic ci nie dałam na urodziny. Zresztą nie czujesz się najlepiej. I wiem, że... No, wiesz. Będziesz miała dziecko, prawda? Czy tatuś wie? - Poczula, że matka sztywnieje. - Nie, nie o to mi chodzi... chciałam spytać, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Mogłam ci pomóc zamiast uganiać się z chłopcami. Mogłaś mi powiedzieć.

- Och, kochanie! Tak się cieszę, że już wiesz. Nie miałam pojęcia, jak ci to powiedzieć. Sama niczego się nie domyślałam, dopóki tu nie przyjechałyśmy, a potem miałam nadzieję, że coś się wydarzy i sama się domyślisz. Nie wiem,

czemu okazałam się taka niemądra. Nie masz nic przeciwko małej siostrzyczce albo braciszкови? - Ursula mocno przytuliła do siebie córkę.

- Nie! Oczywiście, że nie! Nie sądziłam tylko, że ty i tatuś lubiliście się na tyle, żeby chcieć mieć więcej dzieci. - Rhea nieśmiało dotknęła brzucha matki i natychmiast cofnęła rękę.

- To nie było celowe. Czasami tak się po prostu zdarza. Poza tym on o niczym nie wie. I chyba mu o tym nie powiem, jeśli się zgodzisz.

- Dobrze. Nie chcę, żeby wiedział, gdzie jesteśmy. Mamo? - Rhea zawałała się. Ursula uniosła ku sobie jej twarz. Zobaczyła na niej bardzo zakłopotany wyraz.

-Co?

- To dziecko taty, prawda? Ty i Tim nie mieliście romansu?

Przez chwilę w pokoju zaległa martwa cisza. Ursula przyjrzała się Rhei, zaskoczona jej rzeczowym, spokojnym tonem. Jej dziecko odeszło, a na jego miejsce pojawiła się świadoma wszystkiego kobieta, patrząca na nią zbyt młodymi oczami. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło.

- Nie. To dziecko twojego ojca. Nie martw się o to. Oczywiście trzeba się zastanowić, jak wykarmić jeszcze jedną osobę, skąd zdobyć pieniądze na ubrania i szkołę... No, jakoś musimy sobie poradzić. Niedługo muszę zgłosić się do doktora.

- Właśnie nad tym się zastanawiałam. Może wkrótce pojedziemy do miasta? Powinnaś zobaczyć się z lekarzem, a dotąd jeszcze nie widziałyśmy Perth. A chciałabym. Will mówi, że są tam fajowe plaże.

- Ładne plaże. Nie mów do mnie takim językiem! Przepraszam, nie chciałam na ciebie podnosić głosu. - Odetchnęła głęboko. - Dobrze. Czemu nie. Pojedziemy w przyszłym tygodniu. Nie, zaraz, w przyszłym nie. Mają przywieźć materiał na zasłony. Ale w następnym. To będzie krótka wizyta. Tylko do doktora i może jeszcze do tego prawnika. A potem rozejrzemy się. Nie mamy pieniędzy na hotele i inne rzeczy. Ale i tak będzie wesoło, prawda? Może zorientujemy się, jakie tam są szkoły. Chciałabyś?

- Och, mamo! Naprawdę? Tylko się zorientujemy. Wiem, że nie możemy sobie na nie pozwolić. Ale zobaczymy normalnych ludzi!

Ursula roześmiała się i znowu uściśnęła córkę.

- Prawda, jakie to miłe?

Pan Winby przyjął z zadowoleniem informację o ich wyjeździe do miasta. Miał nadzieję, że w nim pozostaną. Ursula uśmiechnęła się do niego zimno i spytała, czy kupić coś potrzebnego w gospodarstwie. Pan Winby zdjął kapelusz i nasadził go mocniej na głowę.

- Nie. Nie trzeba nam niczego z miasta. Za drogo. Jedźcie i bawcie się.

Jego ton sugerował, że będą rozrzucać pieniądze garściami. Odwrócił się na pięcie i odszedł, arogancki i nieprzejednany, jak zawsze. Ursula zacisnęła usta i wróciła do domu. Tim nie odpowiedział jeszcze na jej list. Niepokoiła się, że

jego list nadejdzie pod ich nieobecność, ale na to nie było już rady. Skoro postanowiły pojechać do miasta, nie istniało nic, co mogłoby odwieść je od tego zamiaru. W ciągu ostatnich dwóch dni słabość i wymioty powracały tak regularnie, że nie wiedziały, jak wytrzymać podróż. A jednak i ona, i Rhea niecierpliwie jej wyczekiwały. Byłyby zbyt zawiedzione, gdyby nic z tego nie wyszło. Jakoś sobie poradzi.

Samochód stał zapakowany i gotowy do drogi. Walizka ze zmianą ubrań i przyborami do mycia leżała już na tylnym siedzeniu, a na tablicy rozdzielczej położyła rozpostartą mapę, chroniącą tablicę przed nagraniem. Will miał opiekować się Mannie pod ich nieobecność. Kręcił się obok nich, onieśmielony, uśmiechnięty i pomocny, a od czasu do czasu przypominał sobie, że jest chłopcem i nie powinien interesować się dziewczynami. Pani Winby w ogóle nie wyszła z kuchni. Uważała, że zachowują się idiotycznie. Żeby jechać do Perth w taki upał, zwłaszcza że miały problemy z pieniędzmi, a wkrótce przybędzie im jeszcze jedna gęba do wykarmienia. Ursula nie zaszczyciła jej uwagą.

- Na razie, Will. Niebawem wracamy. Pożegnaj od nas Stoney'a.

Wśliznęła się za kierownicę i omal nie krzyknęła; rozpalone winylowe pokrycie siedzenia sparzyło ją boleśnie. Rhea wdrapała się na siedzenie obok niej. Mówiła coś z ożywieniem do Willa, na wpół wychylona przez okno.

- Uważaj na Mannie i nie dawaj jej kangurzego mięsa. Jest jeszcze za mała i dostanie robaków. A, lubi spać w nogach łóżka z kocykiem, który zostawiłam w domu. Taki mały, szary, dałam go jej, żeby go sobie gryzła... - Ostatnie instrukcje urwały się w pół słowa, ponieważ Ursula wciągnęła ją do samochodu i powoli ruszyła przez pierwszą bramę. W posiadłości znajdowały się tylko trzy bramy, ponieważ nie hodowali bydła, więc nie potrzebowali zapór. Rhea otwierała je kolejno z wysiłkiem i zamykała za przejeżdżającą Ursulą. Dotarcie do głównej szosy zajęło im prawie dwadzieścia minut. Ruszyły szybciej, radośnie wyśpiewując: „Dwudziestu chłopca na umrzyka skrzyni” i „Hej tam, pod lasem”.

Perth okazało się piękne. Ursula jechała wzdłuż brzegu rzeki i patrzyła na migoczącą wodę oraz białe skrawki żagli na zatoce. Przez Swan River przerzucony był most, wygięty we wdzięczny łuk i lśniący w słońcu. Rhea klęczała na siedzeniu, rozglądając się na wszystkie strony. Tuż przed mostem cumowały dwa promy; znak na nabrzeżu nosił spłowiwały napis: „Barrack Street”, a pod spodem: „Południowe Perth”. Ursula powoli przejechała obok niego, zastanawiając się, czy nie pomyliła drogi. Wydawało się jej, że miasto powinno leżeć trochę bardziej na prawo, a jednak droga prowadziła ją wzdłuż rzeki, obok zalatujących piwem budynków z czerwonej cegły, a potem szerokim łukiem wyrzuciła ją znowu na szosę. Ursula zatrzymała się i zerknęła na mapę.

- Nie rozumiem. Chyba zabłądziłyśmy. To mi wygląda na przedmieścia. Jesteśmy mniej więcej tutaj, jak mi się zdaje. Gdzie chcesz jechać? W stronę oceanu? Czy do miasta?

- Nad ocean. Jak to pięknie brzmi: Ocean Indyjski. Od razu widzę palmy kokosowe, daktylowe i mnóstwo maharadzów. Możemy stanąć gdzieś na plaży? Mamo? - Kiedy Rhea o coś prosiła, trudno było jej odmówić. Ursula roześmiała się.

- Właściwie dlaczego nie. Jutro będziemy mieć mnóstwo czasu na obejrzenie miasta. Szklanka lemoniady i świeży wiaterek od morza to bardzo zachęcająca wizja. - Starła się nie myśleć o narastającym bólu w krzyżu. - Spróbujmy tutaj. Cottesloe. To niedaleko. Teraz jesteśmy gdzieś w okolicach Claremont, więc Cottesloe jest tuż obok.

Przejechały jeszcze parę kilometrów, nie mając pojęcia, czy nie zjechały z drogi. Przed nimi pojawiło się kolejne skrzyżowanie. Ursula zwolniła, skręciła w prawo i zatrzymała się przy krawężniku. Znalazły się na ulicy pełnej kobiet w kwiecistych sukienkach, kapeluszach i rękawiczkach. Ursula otworzyła drzwi, wysiadła i podeszła do drzwi od strony Rhei.

- Kochanie, masz ochotę wysiąść i trochę rozprostować nogi? Możemy kupić coś do picia.

Rhea wygramoliła się z wnętrza samochodu i stanęły przy nim, zastanawiając się, dokąd mają pójść. Na rogu znajdowały się delikatesy z lodami i lemoniadą. Podeszły do nich, z podziwem przyglądając się pierwszemu sklepowi, który zobaczyły od chwili przybycia do zachodniej Australii. Jakaś dziewczynka w wieku Rhei, ciemnowłosa i śliczna w letniej sukieneczce, przeszła obok nich, liżąc z apetytem loda. Rhea odprowadziła ją wzrokiem. Potem spojrzała na matkę.

- Może mają tu jakieś szkoły? Ładnie tutaj.

- Możliwe. Zapytamy w delikatesach. Na pewno się orientują. Jestem pewna, że przychodzą do nich wszystkie dzieci z okolicznych szkół. Dobrze się czujesz? Nie za gorąco? - Ursula z niepokojem przyjrzała się pobladłej i spoconej twarzy córki. Jej jasne włosy zwilgotniały i przylgnęły do czoła, a oczy zaczerwieniły się. Założyła jej pasmo włosów za ucho.

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. Jak się nazywa ta ulica? - spytała dziarsko Rhea, zdecydowana nie przyznać się do żadnej dolegliwości mniej poważnej, niż udar mózgu.

- Bourke Street. Zaraz spytamy, jak dojechać na plażę. Tak będzie łatwiej, niż gdybyśmy miały iść według mapy. Na co masz ochotę? Na lemoniadę? - otworzyła drzwi zabezpieczone siatką na muchy i weszła do ciemnego wnętrza, zalażącego pleśnią. Pod każdą ścianą, a także na środku piętrzyły się sterty towaru. Oprócz rzędów artykułów w sklepie znajdowały się dwie lady. Podeszła do jednej z nich, za którą stał mężczyzna w białym fartuchu z podwiniętymi rękawami.

- Dzień dobry. Poproszę dwie lemoniady i porcję lodów.

Uśmiechnęła się, kiedy mężczyzna mrugnął porozumiewawczo do Rhei.

- Jakie sobie panienka życzy? Kaczuszkę? Sopelki? No?

Rhea spojrzała do wielkiej zamrażarki, starając się zachować spokój.

- Poproszę te. - Podała paczuszkę mężczyźnie. Ursula wzięła jeszcze opakowanie biszkoptów.

- Zastanawialiśmy się, czy nie zna pan jakiejś dobrej szkoły dla dziewcząt? Takiej z internatem?

- Proszę pani, tutaj są same szkoły. Jest Żeński College Metodystów, tuż przy autostradzie Stirling, mamy Loretto, dla katoliczek, i Prezbiteriański Żeński College we View, Święta Hilda w Mosmans i tuż za rogiem Iona, ale to mała

szkółka. Jest też parę innych, jak St Mary, ale większość znajduje się tutaj. To dla tej młodej damy? - Uśmiechnął się do Rhei, która spłoszyła się i przywarła do matki.

- Tak. Mieszkamy niedaleko Gidgeeganup, ale tam w ogóle nie ma szkoły, więc chcieliśmy poszukać czegoś w Perth. Jak pan sądzi, która jest najlepsza? - Trudno uwierzyć, że pyta sklepikarza o opinię na temat szkoły, ale w końcu na pewno zna się na nich jak mało kto. Z pewnością widuje uczennice i wie, jak się zachowują. Mężczyzna poważnie zastanowił się nad jej pytaniem.

- Cóż, wszystkie są bardzo dobre. Najczęściej widzimy tu dziewczęta od Prezbiterian i ze Świętej Hildy - przychodzą po szkole na ciastka i wszystkie są bardzo grzeczne i dobrze ułożone. Jeśli jest pani prezbiterianką, nie mogła pani lepiej trafić. Jeśli jesteście katoliczkami, wybór nie jest duży - tylko Loretto. Nie, żeby nie było tam miłych dziewczynek - dodał sprawiedliwie. Rhea zaczęła słuchać z zainteresowaniem. Ursula wyjęła mapę i poprosiła, żeby sprzedawca zaznaczył na niej dwie protestanckie szkoły. Korzystając z okazji, zapytała go o drogę na plażę.

- Niech pani na końcu ulicy skręci w lewo, przejedzie wzdłuż torów do następnego skrzyżowania, skręci w prawo i dalej jak strzełił. Czyli prosto. Nie będzie nawet kilometra. Coś w tym rodzaju. Macie się gdzie zatrzymać? - Zaprzeczyła; zapisał jej na marginesie mapy nazwy paru hoteli. - Znajdziecie tam masę pensjonatów, no, rozumiecie, gdzie możecie zostać na noc. Bardzo tanie.

Ursula podziękowała mu i **zapłaciła** za zakupy. Znowu wyszły na ulicę. Było upalne popołudnie, a przechodni;, wyglądali tak, jakby nigdzie się nie spieszyli. Przechadzali się spokojnie lub przyglądali wystawom sklepów.

- Teraz na plażę, czy chcesz skorzystać z tego, że jesteśmy tak blisko i zajrzeć do szkoły?

- Do Świętej Hildy. Najpierw chcę tam pojechać. Możemy?

Ursula uśmiechnęła się mimo bólu, który zaciskał jej gardło. Rhea musi mieć coś dla siebie. Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? I tak pełno tu szkół.

- Och, mammo!

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Szkoła stała w pewnym oddaleniu od drogi. Prowadził do niej szeroki, pochły podjazd, położony pomiędzy ogrodami pełnymi ciemnych cyprysów. Ursula podjechała do kamiennego budynku o pustych, oświetlonych słońcem oknach, obrośniętych zwisającą wokół nich bujną masą bluszczu. Zatrzymała samochód przy drodze; Rhea wysiadła i zadarła wysoko głowę, by obejrzeć budynek w całej okazałości. Ursula nie mogła się nadziwić, jak wytrzymała i odważna potrafi być tak krucha dziewczynka. Rhea przyglądała się bacznie budynkowi z rękami założonymi na piersi i jasnymi włosami schludnie założonymi za uszy. Patrzyła na budynki z mocno zaciśniętymi ustami, jakby podjęła właśnie jakąś nieodwołalną decyzję. To szkoła, której można zaufać.

Zadbane grządki ogrodu, nieskazitelne trawniki i zamiecione ścieżki były wymownym świadectwem gospodarności. Trzeba wiedzieć, skąd się pochodzi; Rhea przypomniała to sobie z ukłuciem bólu. Strasznie chciała móc tu przynależeć, mieć prawo do tego miejsca i czasu. Odwróciła się raptownie i oparła o samochód. Znowu odezwało się w niej uczucie, które nie opuszczało jej od tamtej kłótni z Lucy. Ta wstrętna dziewczucha ukradła jej ojca, dom, tożsamość. Nigdy tego nie zapomni.

Ursula wyciągnęła do niej rękę.

- Zobaczmy, czy jest ktoś w środku? - Weszła po schodkach, nad którymi wisiała tarcza z napisem: „Domine Dirige Nos” i zapukała do drzwi. Maszywne drewno stłumiło odgłos. Nikt nie podszedł, żeby im otworzyć. Ursula obejrzała się na Rheę, stojącą za nią ze zdecydowanym wyrazem buzi. Czasami wydawało się jej, że to ona jest dzieckiem, a jej córka stała się dorosłą kobietą, gorzko świadomą życiowych prawd. Widziała to w jej opadających

powiekach, w skrzywieniu ust. Starła się jak mogła, żeby ten wyraz zniknął z twarzy Rhei.

- Przejdźmy się, skoro już tu jesteśmy. Podejrzewam, że w głębi dziedzińca są budynki administracji szkolnej. Może zastaniemy tam kogoś. - Zeszły po schodkach i okrążyły budynek. Ich kroki niosły się głośnie echem. Na tyłach terenu znajdowały się ogrody, wokół których stały betonowe domki z metalowymi dachami. Spryskiwacze na trawnikach obracały się miarowo, rozsiewając połyskujące w słońcu krople. Na ścieżkach widać było brązowe plamy po zanieczyszczonej wodzie. Ursula nacisnęła kolejno klamki wszystkich klas. Drzwi były zamknięte na klucz. Wszystkie pomieszczenia były dziwnie wymarłe i opuszczone, tak jak wszystkie klasy podczas wakacji. Ból pulsujący w plecach Ursuli zaczął wyciągać zimne macki ku jej brzuchowi. Gwałtownie złapała powietrze. Poczula, że Rhea ujmuje jej dłoń.

- Ładnie tu, prawda? - odezwała się po długiej chwili. Ból wycofał się na chwilę i przyczał tuż pod jej pępkiem. Czekał tam spokojnie, od czasu do czasu dając o sobie znać. - Trochę tak, jak w twojej starej szkole. Może można tu jeździć konno? I grać na fortepianie? Chciałabym, żebyś dalej się uczyła.

- Ale przecież nie mamy pieniędzy,, prawda? Choć ładnie tu. A w innych szkołach, państwowych, nie mają internatu. I tyle na ten temat - oznajmiła Rhea twardo, zakładając włosy za ucho. Na jej twarzy malowała się niezłomna determinacja. Ursula wzruszyła ramionami.

- Musisz się uczyć. Jakoś to załatwimy. Może tatuś zapłaci?

- Nie! Nie chcę, żeby wiedział, gdzie mieszkamy. Nie chcę go więcej widzieć. Przecież postanowiłyśmy to, mamo! Obiecałaś! Tak jak ja w związku z dzieckiem. - Miała usta różowe, spękane jak stara emalia od ciągłego oblizywania na słońcu. Teraz znowu przesunęła po nich językiem. Ursula spojrzała na główny budynek.

- Jakoś to załatwimy. Nie powiem nic tacie. Obiecuję.

W ciszy popołudnia cykady wydawały się niezwykle głośne. Słońce prażyło z potworną siłą. Ursula wodziła wzrokiem po okolicy, nie mogąc skupić go na czymś konkretnym.

Spojrzała na salę gimnastyczną, trawniki i główny budynek. A potem jej spojrzenie znieruchomiało. Zmrużyła oczy, usiłując dostrzec coś w oślepiającym blasku słońca. Z głębi terenu nadchodziła jakaś kobieta z naręczem zrolowanego papieru. Nie widziała jej. Szła szybko, małymi zdecydowanymi i niecierpliwymi kroczkami, tak mocnymi, że powinny robić dziury w chodniku. Ursula oderwała się od ściany o którą się opierała i pobiegła za kobietą z okrzykiem „przepraszam, przepraszam!”. Czuła się straszliwie głupio, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Nagle zerwał się wiatr, który zagłuszył jej wołanie. Wreszcie, kiedy kobieta miała już zniknąć w bocznych drzwiach, niemal niewidocznych pod nisko zwisającym dachem, Ursula zdołała ją dopaść.

- Przepraszam - wydyszała, zarumieniona od biegu po palącym słońcu. Ból powrócił triumfalnie; chwyciła się kurczowo za bok. Kobieta podskoczyła, a potem roześmiała się, przyciskając rękę do serca.



- Nie zauważyłam pani. W czym mogę pomóc? Niestety, szkoła jest zamknięta na czas wakacji. - Kobieta uspokoiła się, mogąc spokojnie przyjrzeć się Ursuli. Rhea podeszła do nich powoli. Kobieta obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Jej jasne włosy były poznaczone na skroniach błękitem, co Ursuli wydało się nad wyraz dziwne. Miała twarz przyjemnie pomarszczoną o okrągłych policzkach i małe, ciemne oczka połyskujące wilgocią. Poprawiła papiery pod pachą, nie spuszczać wzroku z Ursuli.

- Wiem, że szkoła jest zamknięta, ale przyjechałam wraz z córką na krótką wycieczkę do Perth i chciałyśmy zorientować się w ofercie okolicznych szkół. Przyпускаjąc, że nie ma tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać?

- Jest pani Angielką. Od niedawna w Australii? Tak sądzę, bo wygląda pani na nienawykłą do upałów. Proszę do mojego gabinetu. Można tam spokojnie usiąść, a sądzę, moja droga, że odpoczynek przyda się pani. W głównym budynku panuje przyjemny chłód - te grube kamienne mury! Kiedyś ludzie znali się na budownictwie. Nie to, co te betonowe pudła. Takie brzydkie! I to niezbyt trwałe, tylko na pewien czas. Jestem pani Murton, wicedyrektorka. Uścisnęłabym pani dłoń, ale papiery mi się rozsypią. Plany zajęć na następny semestr. Nikt nie potrafi ich opracować, a ja jestem już na emeryturze, ale ciągle wołają mnie do pomocy. Co za bałagan! - mówiła, prowadząc je szerokim korytarzem, lśniącym wypolerowanym drewnem i pełnym portretów na wyłożonych boazerią ścianach. Zegar wiszący nad głównym wejściem wydzwonił połowę godziny i zamilkł. Gabinet pani Murton znajdował się tuż obok, na piętrze. Weszła do niego i z ulgą rzuciła papiery na biurko.

- No, wreszcie. Dzień dobry, pani...

- Paterson. Ursula Paterson. A to moja córka, Rhea. - Młoda buzia uśmiechnęła się posłusznie, poważne oczy zmierzyły kobietę chłodnym spojrzeniem.

- Rhea? Ojej, jakie niezwykle imię. Miło spotkać się z czymś tak staromodnym, kiedy wszyscy silą się na nowoczesność i ulegają modom. Proszę usiąść i powiedzieć mi, jak mogę paniom pomóc. - Pani Murton wskazała pomarszczoną, zwiędłą dłońią wolne krzesła. Dopiero teraz Ursula zdała sobie sprawę, że kobieta jest o wiele starsza, niż się jej początkowo wydawało.

- Zastanawiałam się, czy mają państwo stypendia. Jak pani zauważyła, dopiero tu przyjechałyśmy, a w pobliżu naszego domu nie ma żadnej szkoły. Rhea jest przyzwyczajona do mieszkania w internacie, ale kiedy jej ojciec... zmarł... nie mogłam już sobie pozwolić na prywatną szkołę. Miałam nadzieję, że dysponują państwo stypendiami, które mogłyby nam pomóc. Rhea jest bardzo inteligentna. - Kiedy usiadła, ból nieco zelżał i wycofał się na stare miejsce. Rhea siedziała sztywno i nieufnie. Jej zwykle blade policzki były zabarwione brzydkim plamistym różem. Wokół ust skóra pobieląa jej jak papier. Oddychała głęboko, żeby się ochłodzić. Ale nie bała się, wiedziała, że sobie poradzi. Teraz umiała poradzić sobie ze wszystkim. Tak, jakby w ciągu ostatnich miesięcy opuściło ją dzieciństwo, a ochraniająca ją chmura pewności i bezpieczeństwa odsunęła się i odsłoniła świat taki, jaki jest naprawdę. Pozostała tylko czułość dla matki. Pani Murton przyjrzała się jej.

- Owszem. Mamy dwa stypendia dla dziewczynek, które zamierzają zdawać do szkoły wyższej. Ile masz lat?

- W lutym skończę dziesięć.

- Ach, tak. Cóż, jesteś troszkę za mała, ale system szkolnictwa w Anglii zawsze był bardziej zaawansowany. Mamy kilka dziewczynek z Anglii i wyprzedzają resztę niemal o rok. Czy ma pani ze sobą świadectwa Rhei? O stypendia toczy się zaciekle walka. - Uśmiechnęła się; jej twarz przecięła się drobnymi zmarszczkami, nadając jej wygląd zmiętej chusteczki. Ursula kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Nie przywiozłam ich ze sobą. To dość nierozsądne. Ale oczywiście wyślę je natychmiast, jak tylko wrócę do majątku. Rhea zawsze była najlepsza w klasie albo w ścisłej czołówce.

- A, to brzmi obiecująco. Proszę przysłać je do mnie, a także wypełnić ten formularz. Musimy wiedzieć o paru szczegółach. Jak pani znajduje Australię? O tej porze roku jest raczej upalna? - Zerknęła na twarz dziewczynki, na jej stonki spokojny, który nie pasował do jej wieku. Ale przecież dziecko straciło niedawno ojca. To wiele wyjaśnia. Zauważyła bolesny grymas matki, kiedy sięgnęła po formularz. Za młoda, żeby być matką. Sama jest prawie dzieckiem.

- Rhea ciężko to znosi. Zna tylko Anglię, a tam jest dość chłodno. Ale ja urodziłam się i wychowałam w Singapurze, a moja macocha pochodziła z Perth. Po jej śmierci odziedziczyłam majątek w okolicach Gidgeeganup. - Zajęta wypełnianiem formularzy, nie zauważyła nagłego poruszenia starszej pani.

- Jak nazywała się pani macocha?

- Hendricks. Sally Hendricks. - Podniosła zaskoczone spojrzenie, kiedy pani Murton wydała z siebie dziwny dźwięk. - Czy coś się stało?

Kobieta siedziała sztywno na krześle, przyciskając do piersi rękę poznaczoną błękitnymi żyłami. Trzymała się za gardło. Ursula zaczęła podnosić się z krzesła, ale pani Murton potrząsnęła głową.

- Tak, tak, to bardzo niemądre. To tylko wstrząs. Znałam Sally, oczywiście, znałam ją przez cały jej pobyt tutaj. Powinna mi pani powiedzieć, że miała pani krewną, która się tu uczyła. Zawsze była moją faworytką. Taka uroda! Słyszałam, że wyjechała do Singapuru i wyszła za jakiegoś pana Frasera, ale to było ostatnie, czego się o niej dowiedzieliśmy. A więc nie żyje? - starsza pani z trudem zachowywała spokój. Uczennice były jej dziećmi. Ursula zdenerwowała się.

- Tak mi przykro, nie miałam pojęcia, że Sally się tu uczyła. Nie powiedziałabym tego tak prosto z mostu, gdybym podejrzewała, że pani ją znała. - Pochyliła się, jakby miała ochotę wziąć kručie dłonie kobiety i tchnąć w nie nieco życia. Nie mogła; pani Murton była za daleko, a ona sama czuła się zbyt stara. Jakby oglądała całą scenę z innego miejsca i nie swoimi oczami. Jej brzuch na zmianę pulsował ciepłem i lodowaciał.

- Jak umarła? Czy podczas wojny? Tak się martwiłyśmy o nasze dziewczęta podczas wojny. Wiele z nich wyjechało z kraju, były w Europie lub Azji. Niektóre zginęły. Nawet tutaj baliśmy się o uczennice, które kopały rowy i o te wysłane do Bencubbin. Tyle młodych istnień zniszczonych. Co za potworna tragedia.

- Tak... wiem. Sally miała z moim ojcem dwoje dzieci: Emmę, która miała wtedy około pięciu lat i małego Toma. Miał tylko dwa lata i był moim ulubieńcem. - Uśmiechnęła się boleśnie. - Singapur miał się lada chwila poddać i Sally postanowiła uciec na jednym z ostatnich statków i nie ryzykować internowania. - Wzruszyła ramionami. Rozpacz nadal tkwiła w niej mocno, nie wykorzeniona przez tyle lat. - Statek zatonął. Nikt się nie uratował.

- Straszne! O, biedactwa! Moja biedna dziewczynka! Była pełna życia, taka zdecydowana! Zawsze musiała postawić na swoim, ale nie było w niej krzty złości. Miała piękne włosy, prawda? Taka piękna dziewczynka. - Pani Murton dotknęła twarzy koronkowym skrawkiem. Na jej upudrowaną skórę wystąpiły drobniutkie kropelki potu. Powoli podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Wiem, zachowuję się niemądrze, ale była mi bardzo droga. Wszystkie moje dziewczęta sami drogie, ale Sally była wyjątkowa. Tyle lat zastanawiałam się, co się z nią dzieje, miałam nadzieję, że dostanę od niej list, dowiem się czegoś i nawet nie przyszło mi do głowy... - Przy ruchu jej błękitne włosy zafałowały ze znużeniem wokół twarzy. - A pani jest jej pasierbicą. Więc Rhea to jej przyrodnia wnuczka. Mój Boże, można by się spodziewać, że Sally była stara, a to przecież nieprawda! Związki rodzinne są w naszych czasach zaskakujące, nieprawda? Ale to się doskonale składa. Mamy stypendium dla dzieci byłych uczennic. Jestem pewna, że Rhea się zakwalifikuje. Przyrodnia wnuczka Sally. - Roześmiała się, sucho jak szelest kruszonych w dłoni liści, i zaczęła bezładnie przesuwac rzeczy stojące na biurku. Przeniosła przybornik na kałamarz na jedną stronę biurka, po czym ustawiła go na dawnym miejscu.

Ursula zerknęła na córkę. Dziewczynka przyglądała się ze ściągniętymi brwiami chaotycznym ruchom starszej pani. Jak taka kobieta, która wydawała się, trochę niemądra, mogła mieć jakikolwiek głos przy przyznawaniu stypendiów? Ursula wyczuła jej zdziwienie i ożywienie. Ale na twarzy dziewczynki nie pojawił się żaden wyraz, a jej dłonie spoczywały spokojnie na podołku. Jeśli nikt jej nie zachęci, nie odezwie się.

- Kiedy Rhea miałyby złożyć egzamin? Mogłabym ją przywieźć razem ze świadectwami.

- Ojej, no tak. Nie jestem zupełnie pewna daty, ale wiem, że zawsze odbywają się tuż po powrocie dziewcząt na pierwszy semestr. Ósmego lutego dla dziewcząt mieszkających w internacie. Na razie po prostu zapiszemy Rheę - jeśli przyszłe mi pani jej świadectwa, a na tym formularzu znajdują się wszystkie potrzebne informacje. Na pewno możemy coś zrobić, żeby pomóc krewnym naszej absolwentki. Panna Mitchell, kierowniczką, lubi kiedy mamy tu krewnie naszych dziewczynek. Rheo, nie cieszysz się? Jak ci się podoba Australia? - Przechyliła głowę na bok, a jej wilgotne oczy zabłysły radością. Rhea spuściła wzrok na splecione ręce.

- Bardzo mi się podoba. Jestem pewna, że będę się tu dobrze czuła. - Ciągle nie ujawniała uniesienia, które omal jej nie rozerwało. Musiała zachować dystans. A potem Ursula wstała z uśmiechem i wyciągnęła rękę do wicedyrektorki, więc Rhea musiała pójść w jej ślady. Dłoń dziewczynki była ciepła i spocona.

Razem wyszły z gabinetu, przemierzyły korytarz o oknach podzielonych na małe kwadraciki, przeszły po deskach pachnących starą pastą do podłogi i kuzem. W ukośnych promieniach słońca leniwie wirowały drobinki kurzu. Rhea uśmiechnęła się swoim skrytym, nieśmiałym uśmiechem. A potem niespodziewanie odwróciła się i uściśnęła mocno matkę. Ursula przytuliła ją do siebie, starając się nie zwracać uwagi na nagły ostry ból. Wyszła na zalany palącym słońcem dziedziniec, który nagle zawirował w jej oczach. Rhea wołała do niej z oddali, głos płynął ku niej falami, w górę i w dół, aż wreszcie o jej policzek uderzył bruk, a do ust napłynęła żrąca wilgoć żółci.

Kiedy znowu otworzyła oczy, leżała na łóżku otoczonym zasłonami. Nikogo przy niej nie było. Nawet światło wydawało przyćmione i chłodne, przesiane przez płótno zasłon. Jakoś dziwnie nie było słyszeć żadnych głosów. Gdzie się znalazła? Była zmęczona. Nie знаła takiego zmęczenia, kiedy nie miała siły nawet na to, by podnieść rękę. Miała wrażenie, że jest uwięziona, przygnieciona fałdami prześcieradeł. W ustach czuła suchość; powoli oblizwała wargi. Ból zniknął. Na razie. Może z niej zrezygnował, uznał, że nie jest warta zachodu. Skąd się tu wzięła? Usiłowała sobie przypomnieć ostatnie wypadki i wreszcie napłynęły do niej strzępy wizji ... Rhea! Gdzie Rhea? Cisza szumiała wokół niej jak rój pszczoł, a ona nie miała siły, by ją zmącić. Nagle poczuła, że niczego nie musi. Przyjęła to do wiadomości bez emocji. Głowa ciężko zapadała się w poduszkę. Pozwoliła, by pochłonął ją sen.

Metaliczny szczepek kótek, na których była zawieszona zasłona, zmącił jej odpoczynek. Przetoczyła z wysiłkiem głowę na drugą stronę. Kto tam? U stóp jej łóżka stała pielęgniarka z tacą pełną chromowanych instrumentów. Zza jej pleców wyłonił się pospiesznie lekarz. Uniósł jej nadgarstek dwoma palcami i spojrział na zegarek. Potem znowu dotknął jej nadgarstka i uniósł jej jedną powiekę. Błysnęło jakieś światełko. Doktor odsunął się.

- Słyszysz mnie pani? - Powoli poruszyła głowę, do dołu, do góry. - Dobrze. Lepiej się pani czuje? Nie boli? - Skinięcie, zaprzeczenie. - Dobrze. - Uśmiechnął się i skinął na pielęgniarkę. - Zatrzymamy tu panią na jakiś czas. To pani dobrze zrobi. - Skinęła głową. Nie wiedziała, co jeszcze miałyby zrobić. Wyglądało na to, że jej głowa porusza się tylko w dwóch kierunkach. Prawie nie czuła ukłucia igły, zagłębiającej się w jej przedramieniu. - Kiedy poczuje się pani lepiej, będziemy musieli porozmawiać. Zgadza się pani?

Poruszyła opornym, zdrętwiałym jak kawał drewna językiem.

-Rhea? Gdzie...?

- Pani córka czuje się doskonale. Pani Murton zajmie się nią przez następny dzień. A potem, kiedy już pani wydobrzeje, będziecie mogli wrócić do domu.

- So... so hę sało?

Dziwne. Jej język wydawał się dwa razy większy, niż normalnie.

- Przez pewien czas było z panią krucho. Powinna pani bardziej o siebie dbać. Kobieta w pani stanie powinna na siebie uważać, więcej jeść. Zemdlała pani u Świętej Hildy i dopiero kiedy tu panią przywieziono okazało się, że jest pani w ciąży. Teraz musi pani uważać. Prawie straciła pani dziecko. Wiem, co

ono musi dla pani znaczyć po śmierci męża... Dlatego chciałbym, żeby została tu pani przez dzień lub dwa. Dla bezpieczeństwa. Proszę wypoczywać, a my zajmujemy się wszystkim. Pani córce niczego nie brakuje. Jest bardzo zaradną młodą osobką. Pozwolimy się jej z panią zobaczyć, kiedy znowu się pani obudzi. - Poklepał ją po ręce, spokojny i kompetentny. Znowu poczuła odrętwienie i pokój zaczął mrocznieć, zapadać się w ciemnościach. Zamknęła oczy i pogrążyła się we śnie.

Nie wiedziała, ile czasu minęło do chwili, kiedy znowu się obudziła, ale tym razem Rhea siedziała przy niej, a zasłony były częściowo rozsunięte. Widać było drugie puste łóżko i róg pokoju. Chciała uśmiechnąć się do córki; jej usta drżały w kącikach. Rhea siedziała bardzo spokojnie.

- Jak się czujesz, mamo? Lekarz powiedział, że już ci lepiej.

- Tak. Tak, jestem tylko zmęczona. Jak ci się żyje z panią Murton? - Dostrzegła malujące się na buzi córki poczucie odpowiedzialności. Rhea odezwała się kojącym, dorosłym tonem.

- Wszystko jest w porządku. Pani Murton chce mnie zatrzymać, dopóki stąd nie wyjdiesz, a potem pan Winby przywiezie nas z powrotem. Powiedział, że może złapać autobus do miasta. Bardzo im przykro, że zachorowałaś. Mnie też. Powinnam bardziej o ciebie dbać, to znaczy o dziecko. Pani Winby była bardzo podniecona na myśl o dziecku. - Przyglądała się jej niepewnie. Czy matka może już rozmawiać o takich sprawach? Ale Ursula tylko skinęła głową i uśmiechnęła się, tym razem nieco pewniej.

- To ładnie z ich strony. Szkoda, że pan Winby musi się fatygować, ale tak chyba będzie najlepiej. Może wreszcie się rozkrochmała i zaczną nas lubić? - Czy to dziecko ich pogodzi? Może to dziecko Simona, poczęte w bólu i strachu. Może to dlatego ma takie problemy? Wzdrygnęła się. Ale o ileż gorzej było myśleć, że ojcem dziecka, którego omal nie straciła, jest Tim. Ich dziecko. Będzie mogła na zawsze zatrzymać przy sobie coś, co jest jego częścią. Tak, to na pewno jego. Nie mogła uwierzyć, żeby było inaczej. Zamrugała powiekami i odchrząknęła.

- Chcę spotkać się z prawnikiem, skoro już tu jesteśmy. Możesz poprosić panią Murton, żeby do niego zadzwoniła? Znasz chyba jego numer? Jest w moim czarnym kalendarzyku. Pan Waters. Poproś go, żeby do mnie przyszedł. Musimy uzgodnić pewne sprawy, zanim pan Winby po nas przyjedzie.

- Zajmę się wszystkim, mamo. Nie martw się o nic. Wszystko będzie dobrze. - Rhea włożyła rękę do kieszeni i wyjęła z niej karteczkę. Położyła ją na stoliku przy łóżku matki. - To numer pani Murton. Na wypadek, gdybyś chciała się ze mną skontaktować. Ale i tak wróć tu rano. - Pocałowała matkę w policzek i zniknęła za zasłonami. Ursula długo patrzyła za nią.

Pan Waters okazał się niskim, krępy męczyzną w garniturze zbyt ciasnym na udach i zanadto obszernym na siedzeniu. Przez to wydawało się, że idąc kołysze się jak kaczka. Miał marynarkę przerzuconą przez ramię i koszulę z krótkim

rękawem, dziwacznie wyglądającą w zestawieniu z krawatem. Ursula zaczęła się już przyzwyczajać do tej mody. Przez chwilę przed oczami stanął jej Billy w kremowym garniturze, bez marynarki i z podwiniętymi rękawami koszuli. Taki elegancki. Uśmiechnęła się na widok kontrastu, jaki stanowił z nim pan Waters.

- Proszę usiąść. Mam nadzieję, że nie sprawiłam zbyt wiele kłopotu, ściągając tu pana. - Wskazała krzesło przy łóżku. Pan Waters usiadł posłusznie. Był sympatycznym mężczyzną o krótkich, szaro-brunatnych włosach, z przedwcześnieymi zmarszczkami wokół ust i oczu, które miały zwyczajny szary kolor. Takich mężczyzn mija się na ulicy nie przyjmując do wiadomości ich istnienia. Jego manieri były równie pospolite, jak barwa jego oczu.

- Przykro słyszeć, że jest pani chora. Przyjazd tutaj wcale nie sprawił mi kłopotu, ale na razie nie mogę pani powiedzieć nic nowego. Pan Winby zajmuje się księgowością majątku. To z nim musi pani o tym porozmawiać.

- A czym w takim razie zajmuje się pan? - zagadnęła go przyjaźnie Ursula.

- Ja... A raczej mój ojciec znalazł pana Winby, który zgodził się zająć majątkiem. Pilnujemy, żeby płacił podatki i raty oraz załatwiamy drobne formalności w pani imieniu. I tyle. - Był wyraźnie uspokojony, że Ursula zachowuje się tak rozsądnie. Na pewno nie zamierzał dać się wciągnąć w utarczki o pieniądze pomiędzy nią a jej zarządcą.

- Rozumiem. A kto płaci pańskie honoraria?

- No cóż, pani. A raczej pan Winby, z dochodów majątku.

- A zatem przynosi pan, że tak pan, jak i pan Winby pracujecie dla mnie? Prawnik znieruchomiął.

- Owszem, w ogólnym zarysie. Ale jestem pewien, że pan Winby wie, iż ma...

- Nie jestem ciekawa, czego jest pan pewien. Interesuje mnie głównie to, czy wywiązuje się pan ze swoich obowiązków, za które panu płacę. A to oznacza uporządkowanie wszystkich spraw tak, żebym miała jakieś dochody z mojego majątku. Na razie od trzynastu lat każdy grosz wyciśnięty z mojej ziemi trafiał do kieszeni pana Winby. Oraz pańskiej. Jakoś mi to nie wystarcza. Pora, żeby zaczął pan zarabiać na swoje honoraria. Oraz żeby pan Winby zaczął przysparzać mi zysków. Czy wyrażam się jasno? W przeciwnym razie sama znajdę sobie kogoś, kto lepiej poprowadzi gospodarstwo. A także innego prawnika.

- Czego właściwie spodziewa się pani po mnie? Mam pojechać do pani majątku i powiedzieć to osobiście panu Winby? Oznajmić mu, że nie pracuje dość ciężko? Czy o to chodzi? - Zaczął robić się napastliwy. Nie przywykł, by kobieta przejmowała nad nim kontrolę i wcale mu się to nie podobało.

- Pan Winby przyjedzie jutro do Perth. Mogę panów ze sobą umówić, a wtedy wyjaśni mu pan, że choć zdaje sobie sprawę z ogromu pracy, jaki wkłada w gospodarstwo, nie wydaje mi się na miejscu, żeby to on miał dostęp do finansów i prawo decydowania o podziale pieniędzy. Jak również uważam za niemożliwe do zaakceptowania, iż wszelkie zyski trafiają do jego kieszeni, zamiast do mojej. Nie mam nawet lodówki, a mogę pana zapewnić, że pan Winby ją posiada! Przejmę sprawy finansowe majątku, kiedy pan Winby nauczy mnie, w jaki sposób je

prowadzi. Chcę, żeby mu pan to powiedział. Wiem, że uważa pan, iż to ja powinienam go o tym powiadomić, ale wiem również, że ma pan świadomość - jako że to pan go wynajął - iż pan Winby nie ma zwyczaju słuchania kobiet. To pan go wybrał i pan z nim to załatwi. W przeciwnym razie będzie pan musiał znaleźć kogoś innego.

- Cóż, nie sądzę, żeby zgodził się na takie...

- To nie podlega dyskusji. I to z moim zdaniem powinien się pan liczyć. To ja jestem właścicielką tego majątku. To ja płacę panu Winby. Oraz panu. A jeśli nie zdoła pan załatwić wszystkiego po mojej myśli, zwolnię pana Winby oraz pana. Czy to jasne?

Pan Waters otarł chusteczką nagle spotniałą twarz. Przez parę lat wiódł miłą, spokojną egzystencję, za którą w dodatku otrzymywał zapłatę. Nie sądził, żeby ojciec i jego wspólnicy pochwalili go, gdyby pani Paterson odebrała im swoje sprawy. Przeklęta arystokratyczna suka! A wydawała się taka delikatna, łagodna i taka ładna. Zmierzyła ją spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

- Jak sobie pani życzy. Spotkam się z panem Winby jutro o pierwszej w moim biurze. Czy to wszystko?

- Na razie. Dziękuję panu. Jestem pewna, że zdoła pan wszystko załatwić po mojej myśli. Do widzenia.

Wyniósł się z godnością, nie podawszy jej ręki. Przyjęła to z ulgą. Gdyby chciał to zrobić, zauważyłby drzenie jej dłoni. Uśmiechnęła się do siebie, pełna uniesienia. Teraz im pokaże!

\* \* \*

Kiedy weszła do salonu, list już na nią czekał, związany w paczkę wraz z listami od Lettice i Tiffany. Ursula zauważyła je już od progu. Zrzuciła buty, położyła torebkę na krzesło i podeszła boso do stołu, na którym Will zostawił korespondencję. Deski podłogi były chłodne i gładkie pod jej rozpalonymi stopami. Rhea przypadła do Mannie. Przewróciła ją na grzbiet, zaczęła łaskotać w brzuszki i wykrzykiwać, jak bardzo urosła pod jej nieobecność. Dzielili się swoją radością z Willem, który wniósł ich walizkę. Bardzo się starał nie okazywać zainteresowania wiadomościami o szkole, ale Ursula zauważyła zmarszczkę, rysującą się pomiędzy jego brwiami; taka sama zmarszczka widniała na czole pana Winby, który nie odezwał się do nich przez całą drogę. Ale trzymał język za zębami i oddał jej prawo do prowadzenia finansów. Jedna walka była wygrana. Ursula wzięła listy, zabrała je do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

„Kochanie” pisał Tim. „Dostałem twój list przed tygodniem i odpowiedziałbym na niego wcześniej, ale całkiem niespodziewanie dziecko zdecydowało się pojawić o trzy tygodnie wcześniej, przez co wszyscy wpadli w panikę. Jest zdrowy, waży prawie cztery kilogramy, jest prawie лыsый i ma różowe dziąsła. Kiedy się uśmiecha, wygląda jak Budda. Może tak jest w przypadku wszystkich niemowląt. Spodziewałem się, że jako wcześniak będzie mniejszy. Joanna mówi, że to ostatecznie dowodzi, iż jest mój. Staram się o tym nie myśleć. Joanna miała łatwy

poród, a teraz jest u rodziców. Uzyskałem pozwolenie na zostanie w pracy, głównie po to, żeby nie wyjeżdżać. Tak za tobą tęsknię. Gdybyś wszystko się tak nie skomplikowało. Ale to tylko moja wina. Co mogę powiedzieć?

Rozmawiałem z moim przyjacielem o twoich kłopotach i obiecał, że przy pierwszym pobycie w Perth przyjeżdża do ciebie. Nastąpi to pod koniec lutego. Nazywa się John Balham. Będzie wiedział, co powinnaś zrobić o wiele lepiej, niż ja. Ja znam się tylko na owcach. Co do nauki Rhei: wiem, że odmówisz, ale i tak nalegam. Toja was tu sprowadziłem i jestem wam coś winien, więc proszę, pozwól mi zapłacić jej czesne. Mogę sobie na to pozwolić bez najmniejszego problemu, a Joanna nigdy się o tym nie dowie. Proszę, kochanie, nie sprzeczasz się ze mną. Znajdź tylko dobrą szkołę.

Pisanie listów nie idzie mi zbyt dobrze. Wolę powiedzieć ci osobiście, co do ciebie czuję. Ale może nie będę mieć już takiej okazji. Może to nawet lepiej. Zawsze będę żałować, że nasze sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny. To ty powinnaś być moją żoną, nie Joanna. A to dziecko powinno być nasze. Będę się bardzo starać pokochać syna Joanny, ale nie potrafię zrobić tego tak bez zastrzeżeń. Wcałe mnie nie przypomina. Ciemne włosy, podczas gdy rodzice są blondynami? Może pogodziłbym się z jego istnieniem, gdyby nie zniszczył naszego szczęścia. Przepraszam cię, kochanie. Wiem, że to cię rani. Zawszę będę cię kochać... ciebie i tylko ciebie. Napisz niezwłocznie, kiedy znajdziesz szkołę dla Rhei, albo w ogóle kiedy będę mógł wam w czymś pomóc. W czymkolwiek.

Kocham cię  
Tim".

Ursula odłożyła list na kolana i zamknęła oczy.

W tej pozycji zastała ją Rhea, kiedy pojawiła się w pokoju dwadzieścia minut później z wiadomością, że pan Winby pojechał do miasta, żeby kupić im łódzkę. W jej oczach lśnił rozbawiony podziw.

- Will mówi, że omal nie pękł ze złości po rozmowie z panem Watersem. Podobno jeszcze nigdy się tak nie wściekł. Ale będzie posłuszny. I dostaniemy łódzkę. Wyobrażasz sobie?

- A łazienka? Wspominał coś na ten temat?

- Och, mamo! Powoli, bo dostanie zawału. Poza tym Will mówi, że może przenieść pomieszczenie na werandzie na coś w rodzaju łazienki, jeśli zechcemy. Powiedziałam, że zechcemy. - Uśmiechnęła się, zadowolona, że znowu jest w domu.

- A kiedy biedny Will zacznie to robić? - zaciekawiała się Ursula. Rhea machnęła niedbale ręką.

- Już zaczął, kiedy tylko o tym wspomniałam. - Uśmiech zniknął nagle z jej ust. Spojrzała poważnie na matkę. - Bardzo się przejął, kiedy dowiedział się, że zaśląbłaś. Prosił, żebym ci to powiedziała. Sam jest zbyt nieśmiały. Mówi, że razem ze Stoney'em będą za ciebie nosili ciężkie rzeczy, żebyś znowu nie miała wypadku. Wszyscy będziemy ci pomagać. Zgadzasz się?



Ursula westchnęła ciężko. Wszyscy byli pełni skruchy, że pozwolili jej zaślubnąć. Wszyscy, tylko nie ona. Czy czegoś żałowała? Gdyby miała pewność, że to dziecko Simona, czy pragnęłaby go? Może, tak jak Tim, nie będzie w stanie go pokochać; może będzie go tylko tolerować, jak tego małego Buddę, który rośnie Timowi i Joannie. Łatwy poród, trzy tygodnie przed terminem. Więc pewnie jest jego, bez względu na ciemne włosy. Ale kto jest ojcem jej dziecka? Oczywiście Rhea była dzieckiem Simona, ale została poczęta w czasach, kiedy Simon był w niej zakochany. To wielka różnica. Jedno dziecko zrodzone z miłości, drugie... właściwie z czego? Gwałtu? Gniewu? Nic nie wydawało się ładne. Oczywiście, zdc:pokochać to dziecko, bez względu na wszystko. Ale fakt, iż nie wiedziała, kto jest jego ojcem to zupełnie coś innego. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby go nie donosiła. Spojrzała na Rheę.

- Co o tym sądzisz?

- O dziecku? - Dziewczynka wzruszyła ramionami. Zdradliwe oczy zasłoniły powieki. - Jestem szczęśliwa, jeśli i ty się cieszysz.

- A cieszę się?

- Nie... nie sądzę. Czy to dlatego, że między wami było skończone, zanim cię uderzył? Czy ze względu na pieniądze? - Westchnęła, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Zresztą wszystko jedno, czy zerwałaś z tą. To i tak będzie twój syn i mój brat. Nie mogę się doczekać! - Podniosła na nią zdziwione spojrzenie, zaskoczona własnym wyznaniem.

- Naprawdę? To cudownie, kochanie. Chyba jeszcze nie jestem niczego pewna, ale nie, nie chciałabym stracić tego dziecka. O, zresztą nie wiem. To śmieszne, ja też myślę, że to chłopiec. Poza tym tylko ciebie teraz potrzebuję, nikogo innego, kochanie. Chodź tutaj i pocałuj mnie. - I na chwilę Rhea zapomniała o tym, jak bardzo jest już dorosła i rzuciła się w objęcia matki jak każde dziesięcioletnie dziecko.

- No, już? - spytał niecierpliwie Will. Stoney mógł się pojawić w każdej chwili i zobaczyć go w tej idiotycznej pozycji. - Odbij się od moich ramion i podciągnij - pouczył Rheę. Zachwiała się na jego ramionach pomiędzy gałęziami drzewa.

- Nie sięgnę! Za daleko. Tylko mnie nie puść, dobrze? - Znowu zachybotała się i machnęła gwałtownie nogą. Will stłumił przekleństwo.

- Złap się czegoś na pniu. Nie możesz znaleźć jakiegoś oparcia? Rany boskie, ciężka się zrobiłaś.

- Nie umiem chodzić po drzewacii. Nigdy nie próbowałam. Możesz mnie trzymać trochę mocniej? - Stanęła pewniej i przywarła do drzewa. Powoli podniosła rękę i chwyciła się gałęzi, na którą polecił się jej wdrapać. Zaczęli wdrapywać się na drzewo dość dawno temu i już zaczęła czuć zmęczenie. Dreszczyk emocji na myśl o przejażdżce na linie uwiązanej do gałęzi nad laguną, jakoś stracił nieco na uroku. Ale chłopcy robili to bez przerwy, a ona nie zamierzała tylko się im przyglądać. Też się nauczy, a co.

- Dobrze! Teraz podciągnij się na nią! - Will nie mógł zrozumieć, jak można poruszać się tak niezgrabnie. Wydawało mu się, że jego sprawność jest czymś naturalnym. Rhea najwyraźniej była jakoś inaczej zbudowana. Obtarła sobie nogi, a jej kostium kąpielowy trochę się podarł, ale wreszcie znalazła się w odpowiedniej pozycji. Will usiadł obok niej na gałęzi.

- No dobrze, teraz trochę się przesuń, złap za linę i skacz. Kiedy będziesz na dole, lina wyciągnie cię z głębokiej wody. - Zerknął na nią, tknięty nagłym niepokojem. Nie powinien jej tu ciągnąć. A jeśli tylko narobi kłopotu i spadnie? Miała gładko splecione włosy, a na twarzy wyraz ponurej determinacji, który martwił go bardziej, niż panika.

- Dobrze. Tylko mnie nie poganiaj. Zrobię to. - Zauważyła, że Stoney już wrócił i patrzy na nich z dołu. Oj, wydawał się bardzo mały. To się jej nie podobało. Ostrożnie wciągnęła linę. Siedziała na gałęzi, dyndając nogami po jej obu stronach.

- Pamiętaj. Musisz trzymać się bardzo mocno i skakać łukiem, żeby lina cię pociągnęła. Nie puszczaj, aż do ostatka. Dobrze? - Opalona twarz Willa pobladła na myśl o Rhei, spadającej głową naprzód na ubitą ziemię. Otrząsnął się. Miał już krótkie włosy. Obcięła mu je matka Rhei, więc wszystko widział dużo lepiej. Ale teraz wolałby nie patrzeć. Zerknął na Stoney'a. Stał z założonymi rękami. Jego twarz nie wyrażała niczego.

- No dobrze. Skacze. O Boże. Oooooo! - Rhea zeskoczyła z przeciągłym okrzykiem przerażenia i pomknęła ku lśniącej tafli wody. Lina napięła się w jej rękach. Puściła ją i spadła głową naprzód w wodę. Wyłoniła się z niej w parę sekund później, parskając wodą i machając z uśmiechem do chłopców. Stoney wyszczerzył do niej zęby.

- Dobrze ci idzie, fajowo! - Zrzucił z siebie spodnie i skoczył szerokim łukiem do wody. Wylądował z pluskiem tuż obok dziewczynki. Will siedział na gałęzi jeszcze przez chwilę, nie mogąc ochłonąć ze strachu. Widział, jak niewiele brakowało, żeby puściła linę. Przez sekundę... Serce stopniowo przestało mu galopować; pomachał do Rhei.

- Dobra robota! O to chodziło. - Stanął na gałęzi, lekko się chwiejąc i wciągnął linę... - Uwaga, nadchodzę! - Zeskoczył z okrzykiem radości i pomknął ze świstem w dół, po czym wylądował zgrabnie z wodzie. Jeszcze pod wodą pociągnął za nogi Rheę i Stoney'a, co było sygnałem do rozpoczęcia hałaśliwej wodnej bójki. Zanim się zreflektowali, zdążyło minąć sporo czasu, o czym przypomniał im ojciec Willa.

- Przekłete gnojki, bawić się wam zachciało? Proszę mi wybaczyć, panno Paterson, ale skoro mam zająć się waszymi zbiorami... muszę mieć robotników, nie obiboków. Wkładać portki ra tyłki i jazda do stodoły, zanim się do was dobiorę. Ale już! - Pan Winby wyłonił się zza drzewa, zza którego ich obserwował. Siedział na koniu. Najwyraźniej doskonale wiedział, gdzie szukać chłopców, kiedy nigdzie nie było ich widać. Nie był naprawdę zły. Miał tylko dość zaganiania ich do pracy. To ta cholerna Rhea odrywa ich od zajęć. Nigdy się tak nie zachowywali, powiedział do siebie. Ta smarkuła i jej piekielna mamusia uprzykrzyły

mu życie. Dał kuksańca przechodzącemu Willowi, niezbyt mocno, otwartą ręką. Will odwrócił głowę bez słowa. Za sobą usłyszał protesty Rhei.

- Macie pięć minut albo po was przyjdę, a wtedy żarty się skończą. - Pan Winby zawrócił konia i oddalił się klusem. Rhea zrobiła paskudną minę za jego plecami.

- Przepraszam. To ja cię poprosiłam, żebyś nauczył mnie skakać.

- Nieważne. Nie rób tego beze mnie albo Stoney'a.

- Nie mogę. Nie sięgnę do gałęzi, jeśli mnie nie podsadziysz - wyjaśniła Rhea. Nie zauważyła uśmiechu Stoney'a. Will spiorunował go wzrokiem.

- I dobrze. Chodź, Stoney, bo ojciec nas stłucze - mruknął. Uśmiech Stoney'a zniknął jak zdmuchnięty.

- Nie mówisz tego poważnie? On by was chyba nie zbił? - Rhea pobiegła za chłopcami, wspinającymi się po zboczach do zostawionych koni. Przyjechała razem z Willem.

- Widziałeś blizny na naszych plecach? Jak ci się zdaje, skąd się wzięły? - prychnął Stoney. - Pan Winby ma ciężką rękę, jak się nie zrobi tego, co kazał. Albo jak ma wszystkiego dosyć, albo twoja mama go zdenerwuje.

- To straszne! Czy mama o tym wie?

- To nie jej interes i twój też nie. Bądź cicho, rozumiesz? Jedziemy. - Will wciągnął Rheę na siodło i ruszyli. Obaj chłopcy najwyraźniej stracili humor. Rhea objęła rękami goły brzuch Willa; czuła, jak jego mięśnie poruszają się pod jej dłońmi.

- Ale jutro wyjeżdżam do szkoły. Czy ojciec nie pozwoli ci pobawić się ze mną jeszcze przez godzinkę? Poproszę go - powiedziała nieśmiało. Will pokręcił głową.

- Nie teraz. Podczas zbiorów potrzebne są wszystkie ręce. Nie powinienem tracić czasu. Ty nie nadajesz się do pomocy, więc możesz sobie jechać do tej szkoły. - Wiedziała, że jest na nią obrażony za to, że go zostawia. Ale miał przecież Stoney'a. A ona będzie przyjeżdżać na ferie. Oparła policzek o jego plecy.

- Nie złość się na mnie. Muszę jechać.

- Wcale nie! Możesz uczyć się korespondencyjnie, tak jak ja. I jak Stoney.

- I co z tego macie? Umiesz czytać, pisać, i tyle. Ja chcę się uczyć o wszystkim - oznajmiła hardo. Odpowiedzią było tylko zimne milczenie. Spojrzała na plecy Willa i ciemne ślady po uderzeniach na opalonej, zgrubiałej skórze. Jak to możliwe, że do tej pory nie domyśliła się, skąd się wzięły?

- Napiszę do ciebie - rzuciła, kiedy milczenie zanadto się przedłużało. Byli już prawie przy stodole. Stoney wyprzedził ich o parę metrów.

- A ja do ciebie nie. Nie mam ci niczego mądrego do powiedzenia. Zgadza się? - Will zszedł ją na ziemię i zeskoczył. Poprowadził konia do stodoły. Pan Winby stał przy drzwiach i spoglądał na zegarek.

- Worki są tam. Rękawice i sekatory. Panienska pomaga? Mamusia jest tam. - powiedział to w taki sposób, że nie mogła odmówić. Skinęła głową.

- Chciałabym, żeby mówił mi pan po imieniu. Czuję się głupio.

- Wtedy mamusia panienski pomyślałaby, że zapomniałem, kto jest tu właścicielem, prawda? - wycedził pan Winby. Rhea poczuła się niezręcznie wobec sar-

kazmu, brzmiącego w jego słowach - do roboty! Na co czekacie? Drabiny są już na dworze.

O tej porze roku zbierali przede wszystkim pomarańcze, które stawały się zielone, kiedy wysoka temperatura sprawiała, że chlorofil znowu przenikał do skórki. W porównaniu z wcześniejszymi zbiorami, owoce wydawały się brzydkie, ale mięszk miały równie dojrzały i soczysty, jak wszystkie inne. Rhea zarzuciła sobie na ramię płócienną torbę. Jej dno otwierało się, dzięki czemu można było bez trudu przesywać pomarańcze do skrzyń. Włożyła parę miękkich rękawiczek, zapobiegających zadrażnieniu skórki owoców i wzięła sekator, którym miała odcinać je od gałęzi. Praca w tym upale była zabójczym wysiłkiem.

Po dwóch godzinach Rhea poczuła, że nie zdoła ani chwili dłużej wspinać się po przystawionych do drzew drabinach i wróciła do matki. Ursula zbierała owoce od kilku godzin. Ramiona zaczęły pulsować jej bólem, a od oślepiającego słońca kręciło się jej w głowie. Trudno było zrozumieć, jak pan Winby i chłopcy mogli nadal pracować. Oprócz nich nie mieli żadnych zbieraczy, ponieważ późne letnie zbiory były dość skąpe. Pani Winby wypełniała pozostałe obowiązki: doila krowy i karmiła kurczaki, a mężczyźni zbierali owoce. Kiedy ich obserwowała, rozebranych do pasa i lśniących od potu, poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Pan Winby pracował naprawdę ciężko. Wiedziała o tym. Gdyby tylko mogli nawiązać choćby poprawne stosunki. Postanowiła, że zrobi im lemoniadę, a Rhea ją zanieśie. Wyglądali na zmęczonych.

- Niezbyt zabawne, co? Powinnaś uważać, bo się przeciążysz. Pan Winby nie chce, żebyś pracowała w ciąży - odezwała się Rhea. Wycierała się ręcznikiem zamoczonym w zimnej wodzie. Zerknęła na widoczną w oddali sylwetkę Willa, wspinającego się po kolejnej drabinie. Z ramienia zwisała mu obciążona torba. - Mamo, wiedziałaś, że pan Winby bije chłopców? Mają blizny na całych plecach. Will kazał mi nic nie mówić, ale uważam, że tak nie wolno. Prawda?

- O Boże. Oczywiście, że nie, kochanie, ale chyba nie możemy nic na to poradzić? Pan Winby już i tak mnie nie lubi za wtrącanie się w jego sprawy. Nie mogę go uczyć, jak ma wychowywać syna. - Ursula umyła twarz i ręce nad zlewem. Nie miała ochoty usłyszeć tego, co powiedziała jej Rhea i czuła do siebie za to niechęć. - Pomyślałam, że może zrobimy im lemoniadę. Pomożesz mi, kochanie?

- Dobrze. - Przez pewien czas w milczeniu rozciąły i wyciskały cytryny. Rhea dodała do nich cukru, lodu z lodówki i zamieszała napój. Ujęła naczynie i ruszyła do wyjścia.

- Zaraz, zapomniałaś kubków. - Ursula wrzuciła trzy metalowe kubki, które zaczęły się kołysać na powierzchni płynu. - No! Biegnij, bo umrą z wycieńczenia. Na słońcu jest pewnie ze czterdzieści stopni. Powiedz, że przyjdę za pół godzinki. Muszę tylko trochę odpapnąć.

- Dobrze, dobrze. Ale nie wolno ci się przemęczać. Lekarz powiedział, żebyś się oszczędzała, a masz już za duży brzuch na chodzenie po drabinach.

- Nic mi nie jest. I nie umieram, tylko jestem w ciąży, więc nie rozumiem, czemu niby miałabym się nie wysilać. Ci mężczyźni się nie oszczędzają! A to

przecież nasze owoce. Powiedz, że zaraz idę. - Wypchnęła córkę za drzwi, nie słuchając dalszych protestów.

Miała nadzieję, że John Balham wkrótce się pojawi. Czuła się dziwnie, ponieważ nie miała pojęcia o pomarańczach i musiała korzystać z uwag pana Winby, obficie zaprawionych żółcią. Nienawidził jej z całej duszy; nie mógł znieść jej obecności, wtrącania się, nawet pomocy. Chciał, żeby zeszała mu z oczu. Ale przecież nie miała dokąd pójść. Niemal czuła do niego współczucie, które zniknęło natychmiast, kiedy Rhea opowiedziała jej, jak pan Winby traktował psy, chłopców, panią Winby i konie. Od tego momentu nabrała ochoty, by wziąć dobry kij i wbić mu trochę rozumu w jego zakutą głowę. W przypadku Willa mógł przeciągnąć strunę. Chłopak miał piętnaście lat, a wyglądał na więcej. Wkrótce będzie się buntować. Już teraz było to widać w jego oczach. Niedługo zaczną się kłopoty. Westchnęła. To będzie długi rok.

- Proszę pana! Will, Stoney! Mama zrobiła lemoniadę. Zimną! - Rhea postawiła metalowe naczynie w cieniu drzewa, wyjęła kubki pełne lemoniady i podała je mężczyznom, którzy zrzucili z ramion torby i przystanęli ze znużeniem.

- Dobrze to! - Pan Winby wychylił zawartość kubka jednym haustem i natychmiast zaczerpnął następną porcję płynu. - Podziękowania dla mamusi - dodał niechętnie, kiedy zaspokoił już pierwsze pragnienie. Will i Stoney przysiedli pod drzewami, mrużąc oczy przed palącymi promieniami. Ziemia wyschła na popiół, unoszący się przy każdym stągnięciu. Cali byli nim obsypani. Nad ich głowami szeleściły lśniące liście; wyglądały tak, jakby pociły się w niemiłosiernym upale. Powietrze było ciężkie od zapachu pomarańczy.

- Mama mówi, że przyjdzie za pół godziny. Przeprasza, ale musi trochę odpocząć. Ale potem przyjdzie i znowu będzie pracować. I ja też - dodała Rhea mężnie. Spodziewała się protestów albo kpin. Ale tym razem jej oczekiwania nie sprawdziły się. Mężczyźni witali z wdzięcznością każdą pomoc. Czuła, że po ciele spływają jej strużki potu. Gdzieś za płotem jakiś ptak klócił się zajadle z innym, mniejszym. Tego dnia wiatr zupełnie ustał. Wokół słońca drgały kręgi rozpalonego powietrza. Rhea spojrzała na nie, mrużąc oczy przed jego zabójczymi promieniami.

- Jest jeszcze coś? - Stoney wyciągnął ku niej kubek. Napełniła go znowu.

- Will? Chcesz jeszcze? - Zerknęła z ukosem na przykucniętego w cieniu chłopca. Potrzaśnął głową. W sposobie, w jaki odwracał twarz od ojca, było coś niepokojącego. Rhea popatrzyła na Stoney'a. Spojrzał na nią ostrzegawczo i lekko pokręcił głową. Jego usta wymówiły bezgłośnie - nie.

Pozbierała powoli kubki i wzięła niemal puste naczynie. Pan Winby wrócił już do pracy. Stoney także wkładał torbę na ramię. Podeszła do Willa.

- Na pewno nie chce ci się już pić? Jeszcze trochę zostało.

Ale Will wstał i oddał jej kubek. Wargi miał prawie zupełnie białe. Jakby zaciskał je przez długi czas albo miał zemdleć. Nie spojrzał na nią. Kiedy odwrócił się i odszedł do pracy, zobaczyła jego plecy. Płonęły na nich dwie czerwone

pręgi, inne od zostawianych przez pasy torby. Ślady po uderzeniach pasa. Wróciła do domu w milczeniu.

Było już późno, kiedy Will zapukał cicho do okna Rhei i wśliznął się przez nie do pokoju. Rhea usiadła na łóżku.

- Will? To ty? Co się stało?

- Ćśś! Nie chcę, żeby twoja mama się obudziła. Wściekłaby się. - Dotarł po omacku do łóżka i przysiadł na nim. Jego twarz zdradzała, że płakał, rozmazując łzy po policzkach. Wyciągnęła do niego rękę, którą uściśnęła.

- Tata znowu cię pobił? Za co? Co zrobiłeś?

- Powiedział, że pyskuję. Powiedziałem tylko, że jestem zmęczony i chcę się wcześniej położyć. Wtedy mnie sprął. Ale później, wieczorem, zaczął wrzeszczeć za coś na mamę. Psiakość, nawet nie pamiętam, dlaczego. Powiedziałem mu, żeby przestał. Nie, nie wziął na mnie pasa. Walnął mnie pięścią. Jeszcze nigdy tego nie zrobił. - Widziała, że jego szczeka puchnie i zmienia kolor. Dotknęła jej delikatnie palcami. Wzdrygnął się. - Mówię ci, mam tego dość. Czasami mam ochotę mu oddać. Może po prostu prysnąć z domu. Pójdę gdzieś, gdzie będą mi płacić za pracę i gdzie będę swoim własnym szefem... Ale mama nie da rady sama, a Stoney będzie musiał przejąć moje obowiązki. To nie w porządku.

- Nie uciekaj! Proszę cię. Bo wiesz... nie uciekaj, bardzo cię proszę! - Rhea zaczęła płakać. Rozpacz w głosie Willa i jego drżące ręce przeraziły ją bardziej, niż to, co mówił. Nie zniosłaby tego. Zaczęła mieć nadzieję, że Will wypełni puste miejsce w jej sercu, które powstało po odejściu ojca. Mama zawsze będzie przy niej, nie miała co do tego wątpliwości, ale potrzebowała kogoś jeszcze, kogoś ważnego. A Will dawał jej do zrozumienia, że chciałby być kimś takim. Jeśli teraz odejdzie... Przytulił ją do siebie; on także płakał już całkiem otwarcie. Jej włosy ocierały się o jego policzek.

- Dobrze. Dobrze. Nigdzie nie odejdę. Jestem za młody. Złapałoby mnie i odesłali do domu, a wtedy dopiero ojciec by mi pokazał. Nie płacz - szeptał. Po długiej chwili milczenia odezwał się znowu. - Jeśli będziesz przyjeżdżać na ferie, może nie będzie tak źle. Stoney jest teraz ciągle zajęty. Ma jakąś dziewczynę w Gidgeeganup. Pracuje w hotelu. Chyba się w niej zabujał i jeździ do niej, kiedy tylko może. A ja mam siedzieć w kącie i liczyć okna. Tyle mi pozostało.

- Nie możesz czasami wybrać się razem z nim do miasta? - spytała Rhea, żeby go jakoś rozweselić.

- Bez pieniędzy? Tata zgarnia moją wypłatę dla siebie. Mówi, że nie potrzebuję pieniędzy, bo daje mi jedzenie i ubranie. I miejsce do spania. Chyba tylko tyle mogę mieć. Jak jakiś koń! Boże, czasami go nienawidzę!

Rhea przytuliła go do siebie, przerażona jego gniewem tak samo, jak wcześniej rozpaczą.

- Nie możesz poprosić mamę, żeby dawała ci pieniądze? Nie wolno ci uderzyć ojca. Pewnie by cię zabił. Jest od ciebie większy i niedobry. Proszę, nie oddawaj mu. Poproś mamę, żeby płaciła ci bezpośrednio.

Ale Will pokręcił głową.

- Nie zgodzi się. Jestem nieletni. Poza tym to nie ma znaczenia. Muszę się chyba wygadać. Jestem zły. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Upadł na łóżko i podłożył ręce pod głowę.

- Wróć na Wielkanoc. To już za dwa miesiące. A wtedy nie będzie już tak dużo pracy. Może będziemy mogli się wybrać na biwak?

- Biwak? - Will podniósł się i spojrzął na nią ze zdumieniem. Potem wybuchnął śmiechem. - Biwak to ja mam tutaj. Ale chyba masz rację. Dwa miesiące można wytrzymać. Poza tym będziecie mieli zdaje się jakieś dni wolne. Chyba jestem tym zmęczony. - Znowu opadł na łóżko. Rhea położyła się obok niego. Objął ją i mocno przytulił. Pachniał ciepłą skórą, potem i pomarańczami. Dziwny zapach, pomyślała Rhea i przysunęła się bliżej. Dziwny, lecz ładny. Leżeli w zgodnym milczeniu tak długo, że Will zapadł w drzemkę. Rhea wsunęła mu poduszkę pod głowę i zasnęła obok niego.

I tak znalazła ich Ursula, kiedy o świcie zjawiła się w pokoju, żeby obudzić córkę. Twarz Willa, wciśnięta w poduszkę, nosiła na sobie ślady pobicia i rozmazanych łez. Jaki on młody, pomyślała ze ściśniętym sercem. Może jednak powinna porozmawiać z panem Winby? Rhea leżała obok niego zwinięta w kłębuszek. Włosy opadały jej na twarz. Ursula zamknęła cicho drzwi.

Stała w kuchni i przygotowywała kanapki na drogę, kiedy weszła Rhea. Była ubrana w nowy szkolny mundur, który bez przerwy obciągała na sobie. Ursula uśmiechnęła się.

- Dobrze spałaś?

Rhea skrzywiła się. Ma zaspane oczy, pomyślała Ursula. Miała nadzieję, że córka prześpi się jeszcze w drodze do Perth.

- Mamo, Will spał ze mną tej nocy. Ojciec go pobił. To niesprawiedliwe! Nie możesz czegoś zrobić? Powiedziałam, że ci nie powiem, bo martwił się, że się zdenerwujesz... Wiesz, że wszedł przez okno. Więc może gdybyś mogła udawać, że nic nie wiesz... no, każdy widzi, że jest pobity! Wygląda tak, jak ty kiedyś, tylko ma to tu, niżej. - Rhea pokazała umiejscowienie siniaka na własnej szczęce. Ursula westchnęła.

- O Boże. Opowiedz mi o tym - powiedziała z ociąganiem. Rhea przytuliła ją i rozpoczęła długi monolog. Ursula słuchała, gładząc ją z roztargnieniem po głowie. I co teraz? Nie mogła pozwolić, żeby chłopiec był maltretowany tylko dlatego, że ojciec musi odreagować gniew, który czuł do kogo innego. Do niej.

- Porozmawiam z panem Winby. Tak nie może być dalej - powiedziała wreszcie z cichą determinacją. Rhea znowu chwyciła ją w objęcia.

- Dziękuję! Wiem, że cię posłucha. I wiesz, co? Will nie dostaje pieniędzy. Ojciec zabiera mu pensję i nie daje mu ani grosza. Uważam, że powinien dostawać przynajmniej kieszonkowe, prawda?

- Na to naprawdę nie mogę poradzić. Pan Winby jest obrzydliwym skąpcem. Nie wydaje pieniędzy, tylko składa je w banku. Nie mogę patrzeć spokojnie na to, jak maltretuje dziecko, ale nie mam prawa decydować, co jego rodzice robią pie-

niędzmi. Wiesz, Will ciągle jest niepełnoletni. Ale nic nie szkodzi. Coś wymyślę. W końcu to ja trzymam kasę, prawda?

Rhea była już od dwóch tygodni w szkole, kiedy wreszcie pojawił się John Balham. Okazał się wysokim ciemnowłosym mężczyzną o wydurnym nosie, z dwiema głębokimi zmarszczkami pomiędzy brwiami. Miał na sobie moleskinowe spodnie, białą koszulę, buty do konnej jazdy i pilśniowy kapelusz; kwintesencja Australijczyka. Ursula zauważyła go, kiedy wysiadał z samochodu i zastanowiła się, czy we wschodnich stanach mężczyźni bardziej zwracają uwagę na swój strój, czy też po prostu ona nie ma szczęścia. I na Boga, kto prał te wszystkie jasne ubiory? Pani Winby podniosła głowę i prychnęła pogardliwie. Obie ustawiwały wybieg dla kurcząt; na ramie, którą zbił Stoney, napinały siatkę i wbijały całość w ziemię. Samochód zatrzymał się przed głównym budynkiem i obcy zaczął iść w ich stronę. Ursula zerknęła na swoją splotowała od słońca sukienkę i westchnęła.

- Dzień dobry! Pani Paterson? - Ursula skinęła głową, zakładając za ucho pasmo włosów, leżące gładko na swoim miejscu i nie wymagające poprawek. John Balham uśmiechnął się. Zmiana, jaka zaszła w jego twarzy, była uderzająca. Nagle jego rysy zaczęły promieniować nieodpartym urokiem. Nawet pani Winby musiała się uśmiechnąć. - A, pani Winby, jak sądzę? Witam miłe panie. Ciepło dzisiaj, nieprawda? Proszę pozwolić, pomogę. Jestem John Balham. Pracuję dla CSIRO\*).

- Puścił oko do Ursuli. - Prowadzimy kontrolę gospodarstw w tym rejonie. Staramy się wprowadzać udoskonalenia. Wygląda na to, że ten majątek jest całkiem dobrze zarządzany.

- Ach. Cóż, przypuszczam, że to prawda. Jestem tu nowa i jeszcze nie orientuję się we wszystkim. Musi pan porozmawiać z moim zarządcą, panem Winby. Pojechał z Willem i Stoney'em do zbiornika z wodą. Prawda, pani Winby? Zaczęła przeciekać, a w środku zaczął się ślimaczyć.

- Ślimaczyć? - John Balham potrafił się uśmiechać samymi oczami. Wbił ostatni palik wybiegu z niedbałą wprawą, zdradzającą wieloletnią praktykę. - Proszę. Gotowe. Cóż, jeśli nie sprawię kłopotu, chętnie zajmę nieco czasu panu Winby. Bardzo nam zależy na zwiększaniu produktywności, zwłaszcza jeśli chodzi o cytrusy. Zechce pani powiedzieć mężowi, że przyjechałem? - Znowu uśmiechnął się i Ursula zagryzła wargę. Zgorzkniała, ponura pani Winby niemal się roześmiała.

- Proszę wejść do domu i zaczekać z panią Paterson, a ja sprowadzę męża. Za chwilę wracam. - Z tymi słowami pani Winby ruszyła do domu po kluczyki do samochodu.

- Proszę, niech pan...

- John. Oczywiście wie pani, że jestem przyjacielem Tima. Naprawdę pracuję dla CSIRO, ale zjawilem się tutaj w ramach specjalnej przysługi dla Tima. - Wziął ją pod ramię i razem poszli do domu. - Mówił mi, że jest pani piękna, a nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedział coś podobnego o jakiejś kobiecie. Te-

\* Organizacja Wspólnoty Brytyjskiej do badań Naukowych i Przemysłowych.



raz widzę, że rzeczywiście nie przesadził. Jesteśmy sobie bliscy. Można powiedzieć, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Więc opowiedział mi o wszystkim. Cholerna szkoda. Nigdy nie lubiłem tej Joanny. Za bardzo zadziera nosa. Wie pani, że jej dziadek przyjechał z Włoch i prowadził w Melbourne delikatesy? Dziadek ze strony ojca. Trzymają to w ścisłej tajemnicy. - Wyszczrzył zęby. - Strona matki chodzi z nosem w chmurach. Tim ma z nimi ciężkie życie. Ale czasami odgrywa się na tych głupich gnojkach. - Obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty. Ursula poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Och, nie. To, co się stało, to nie jego wina. Zrobił wszystko, co mógł, ale Joanna przechytrzyła nas. Cóż, z tym i tak już koniec. Jesteś bardzo miły, że przyjechałeś taki kawał drogi. I jestem bardzo wdzięczna za ten delikatny wybieg. Ci Winby potrafią być uciążliwi, a nie są szczęśliwi, że wchodzę im w paradę. No, to niezupełnie prawda. Pani Winby da się znieść, kiedy jest w dobrym humorze. Pewnie także utrudniam im życie. Ale nie tak, jak oni mnie. Mam już kontrolę nad rachunkami, ale wszystkim innym rządzi pan Winby. Byłabym nieskończenie wdzięczna, gdybyś jakoś zdołał się zorientować, czy gospodarstwo może przynosić większe zyski, ale tak, żeby pan Winby nie pomyślał, że się wtrącam. - Uśmiechnęła się do niego. Sofa w nowym pokrowcu wyglądała przyjemnie i zachęcająco. Usiadła na niej obok niego. - Zdaje się, że cię zamęczam, ale moja córka dwa tygodnie temu wyjechała do szkoły i nie miałam z kim porozmawiać. Pani Winby odezwała się do ciebie więcej razy niż do mnie od chwili, w której się tu pojawiłam. Masz ochotę na coś do picia?

- Tak, chętnie. Mogę prosić o piwo?

- Oczywiście. Chwileczkę. - Ursula wstała i poszła do kuchni, nieświadoma wzburzenia swojego gościa. Dobry Boże, pomyślał, tym razem Tim pokazał, co potrafi. Co za mała ślicznotka! A jaka czarująca. Szkoda, że Tim jest jego przyjacielem. Cóż, przynajmniej może ją uwolnić z łap tego bydlaka zarządcy. Kiedy wróciła, zauważył że jest bardzo szczupła, choć jej figurę maskowała luźna sukienka. A jeśli oko go nie myliło, pod fałdami materiału rysowało się małe wybrzuszenie, które mogło oznaczać tylko jedno. Może to dlatego mimo opalenizny wydaje się taka biała i zmęczona. Ciekawe, kto jest ojcem. Tim? No, skoro nie może jej pocieszyć, przynajmniej ulży jej losowi. Wstał i rozejrzał się, podczas gdy ona zajęła miejsce na sofie.

- Ładnie tu. Chyba w większości to dzieło pani rąk? Podobają mi się te jasne kolory, a rolety to znakomity pomysł.

- Okazało się, że nie starczy mi materiału na zasłony, wobec tego wymyśliłam to. Nie mogę sobie pozwolić na dywany, więc podłoga musi wyglądać, jak wygląda. Zresztą tak jest chłodniej. A Will, syn pana Winby, zasadził w doniczkach parę mniejszych pomarańczowych drzewek i przyniósł je tutaj. Wyglądają całkiem przyjemnie. Will to taki miły chłopiec, podobnie jak Stoney. I obaj mi pomagają. Obawiam się, że sama trochę przyczyniam się do ich kłopotów. Pan Winby gniewa się na nich za to, że ze mną przebywają. Biję ich, zwłaszcza Willa. Powiedziałam mu, że ma przestać, bo złożę na niego skargę na policji. Od tej pory nie odezwał się do mnie ani słowem, a minęły już dwa tygodnie. - Westchnęła zmartwiona. John Balham skrzywił się.

- A to bydlak. Pytałem o niego w Gidgeeganup, żeby zorientować się w sytuacji. Większość osób opowiada się za panią. Zdaje się, że prawie całe miasto przejmuje się pani losem. Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, może pani zawsze zwrócić się do Cona Carstairsa. To właściciel hotelu. Uważa, że Jack Winby to skurczybyk jakich mało, proszę mi wybaczyć. Oczywiście nie powie tego wprost; najpierw musicie się zaprzyjaźnić. Ale ludzie chcą panią poznać. Proszę przejechać się do miasta po cokolwiek, nawet po lemoniadę. Niech pani porozmawia z paroma osobami. Co do tego Winby, zrobię co będę mógł. Naskoczę na niego z góry i oficjalnie. Na takich jak on to zawsze działa. Zastanawiała się pani nad zmianą zarządcy?

- Oczywiście i zrobiłabym to, ale miałam nadzieję, że pan Winby przekona się do mnie i zostaniemy przyjaciółmi. Ha, ha. A teraz już za późno. Jeśli każe się mu wynosić, zabierze z sobą Willa i Bóg jeden wie, jak go będzie traktować, kiedy przestanę patrzeć mu na ręce. Chętnie odesłałabym starych Winbych, gdybym mogła zatrzymać Willa i Stoney'a. Poza tym sądzę, że mogę uczyć Willa, kiedy przychodzi mi pomagać w domu. Dzięki temu dostaje ode mnie kieszonkowe i coś w rodzaju kursów dokształcających. Moja córka bardzo się z nim zaprzyjaźniła. Nie chcę ich rozdzielać. - Urwała, przestraszona, że wyda się mu narzekającą słabą kobietką. Ale John Balham uśmiechał się swoim wymuszonym uśmiechem i wcale nie wydawał się ją źle oceniać. Skinął głową.

- Tak. To mi wygląda na nieodwołalną decyzję. Dobrze, zrobię co w mojej mocy. I jeszcze... nie chciałbym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale... kiedy rozwiązanie? Chyba nie chce pani rodzić w domu. W okolicy jest tylko jeden lekarz. Może być gdzieś daleko, kiedy mały zdecyduje się pojawić na świecie.

Ursula zeszywniała. Nie chciała, żeby John zorientował się w jej stanie.

- Zdaje się... pod koniec kwietnia.

Nie powiedziała nic więcej; zeszywnienie jej ciała nie pozwoliło Johnowi Balhamowi zapytać o nic więcej. W pokoju zapadło niezręczne milczenie. Oboje z ulgą usłyszeli warkot samochodu Winbych.

- A, prawda. Tim przesyła pani pozdrowienia. Poprosił mnie, żebym to przekazał. - Wyjął z kieszeni małą paczuszkę i rzucił ją Ursuli. - Będę tu przez trzy lub cztery dni. Zatrzymam się w mieście. W ten sposób będę budził większy szacunek. Porozmawiamy później, chce pani?

- Na imię mi Ursula. Tak, bardzo chcę. - Ursula ściskająca mocno paczuszkę, wyglądała jak dziewczyna czekająca na swój pierwszy taniec. John Balham uśmiechnął się i wziął kapelusz.

- Zbliży się Attyla. Do dzieła. - Mrugnął łobuzersko i wyszedł, by przywitać się z panem Winby. Ursula poszła za nim. Paczkę schowała do kieszeni.

Kiedy pan Winby zabrał Johna Balhama na objazd posiadłości, Ursula schroniła się w sypialni i rozwinęła paczuszkę drżącymi palcami. W środku znajdował się list i małe pudełeczko.

„Kochanie,

John pewnie już dojechał na miejsce i wszystko załatwił. Świetny z niego facet, wiem, że go polubisz. Jeśli ktokolwiek potrafi uporządkować sprawy two-

jego majątku, to tylko on. Skorzystałem z okazji i posyłam to przez niego, ponieważ nie ufam poczcie, a nie wiem, kiedy będę mógł przyjechać do Perth. Ale kiedyś na pewno przyjadę. Długo zastanawiałem się nad tym i choć może nie chcesz mnie widzieć, uważam, że to nasze rozstanie na ulicy niczego nie ułatwiło. Muszę cię znowu zobaczyć.

Przesyłam ci coś, co chcę ci podarować. Dostałem to od nan - czyli babci - dla mojej narzeczonej. Cóż, pewnie powinienem dać to Joannie, ale nie czuję się jej mężem. Zabawne, ją znam od kilku lat, z tobą przebywałem parę dni, a jednak czuję się poślubiony tobie i żadnej innej. Chciałbym, żebyś to nosiła, jeśli się zgodzisz.

Spiesz się, ponieważ John musi złapać samolot. Strasznie mu zazdrościsz. Nie zapominaj, że cię kocham.

Tim".

W pudełeczku znajdował się sznurek perełek ze srebrnym zapięciem wysadzonym diamentami. Zapięcie miało kształt kokardki. Naszyjnik nie był szczególnie kosztowny; Ursula zdawała sobie z tego sprawę. Ale był bardzo piękny i został podarowany z miłością. Przymierzyła go przed lustrem. W oczach stanęły jej łzy. Powoli zapięła go na szyi. Zapięcie pasowało idealnie do zagłębienia pomiędzy kręgami, a sznur pereł leżał płasko na jej piersi. Przez długą chwilę stała nieruchomo, pieszcząc go dłonią.

John Balham dotrzymał słowa. Kiedy opuścił majątek, pan Winby odprowadził go pełen uniesienia i entuzjazmu, niczym młody farmer, dopiero zaczynający wspaniałą przygodę z rolnictwem. Rozmawiali o plonach, nowych odmianach, hybrydach, nawozach, nawodnieniu, rządowym stypendium i mnóstwie innych spraw. Sama plantacja, powiedział Ursuli John Balham, mogła z łatwością podwoić produkcję. Nie wymagała cięższej pracy, tylko większej rozważności. A on mógł im pomóc.

Pan Winby zgodził się, żeby posiadłość została poddana testom. Ktoś z CSIRO miał zjawiać się co miesiąc, by odnotowywać postępy, doradzać wprowadzenie innowacji i ogólnie doglądać wszystkiego. Ursula uśmiechnęła się ironicznie, kiedy pan Winby poinformował ją z arogancją pewnością siebie, że wybrano go, ponieważ jest znakomitym pracownikiem i można mu powierzyć tak odpowiedzialne zadanie. Pogratulowała mu tego wyróżnienia i oznajmiła, że zgodzi się na wszystko, co zadecyduje w kwestii upraw. I nadal będzie prowadzić rachunki. W ten sposób zawarli niechętnie przymierze.

Pod koniec marca prawie nie mogła już pracować. Była w ósmym miesiącu i potrzebowała pomocy nawet przy sprzątnięciu domu. Will i Stoney krążyli koło niej niczym wiernie psy, przynosząc wszystko, czego potrzebowała, jeszcze zanim wyraziła takie życzenie. Pani Winby gotowała i nawet pan Winby podtrzymywał ją przy wysiadaniu z samochodu lub wchodzeniu na schodki werandy. Doktor

zalecił jej - wzorem Johna Balhama - poród w Perth. Jej zaślubnięcie wszystkich napędzało niepokojem. A ona zgadzała się na wszystko.

- Pilnuj, żeby Mannie nie weszła mi pod nogi, dobrze? - zwróciła się do Stoney'a, ostrożnie wychodząc na werandę. Zapadł późny wieczór i na tylnej werandzie, chronionej moskitierą przed dokuczliwymi owadami, było całkiem znośnie. Ta pora należała do jej ulubionych. Byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby miała przy sobie Rheę, albo chociaż radio, którego mogłaby posłuchać. Na przykład dziennik BBC. Ale na razie nie mogła sobie pozwolić na takie luksusy. Uśmiechnęła się do Stoney'a. Jaki to dobry chłopiec.

- Wyścieliłem krzesło poduszkami, a Mannie siedzi spokojnie. Nie przewróci się pani, prawda? - Przyjrzał się jej z niepokojem.

- Ależ skąd! Nie jestem inwalidką. Jesteś kochany, że tak się mną przejmujesz, ale niczego mi nie brakuje. Widzisz? Mam dzwonek. - W ten sposób mogła ich zaalarmować. - A jeśli będę czegoś potrzebować, użyję go bez wahania. Więc biegnij już na kolację. Pewnie umierasz z głodu.

Umościła się wygodnie i otworzyła książkę, „Sierpniowe szaleństwo” Angeli Thikell. Pani Winby kupiła ją na wyprzedazy. Nie jest taka zła, pomyślała Ursula z uśmiechem, jeśli tylko na horyzoncie nie pojawia się pan Winby. Tylko wtedy jego żona zachowuje się tak szorstko i złośliwie. Kiedy go nie ma, potrafi być całkiem znośna, zwłaszcza odkąd dowiedziała się o dziecku. Cieszy się na nie prawie tak samo jak Ursula. Prawdę mówiąc, znacznie bardziej. Ursula pogłaskała brzuch, zastanawiając się, czyje dziecko w nim nosi. Proszę, pomyślała z mocno zaciśniętymi powiekami. Niech to będzie dziecko Tima.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi; pewnie Stoney czegoś zapomniał. Albo pani Winby przysłała jej biszkopty. Te ostatnie były pyszne. Odwróciła się ostrożnie, przygotowana na widok chłopca. Ale zamiast niego zobaczyła Tima.

Stał i przyglądał się jej. Jego jasne włosy mżyły przytłumionym blaskiem, na twarzy zalegały cienie, rzucane przez pęłgający płomyk świecy. W wieczornej ciszy słyszała tylko jego przyspieszony oddech.

- Tim? - Jakoś tylko to przyszło jej do głowy.

- John mi powiedział. O dziecku. - Podeszedł bliżej i zatrzymał się przy niej. Jego jasnozielone oczy, które tak ją zachwyciły przy pierwszym spotkaniu, miały teraz kolor rtęci. Białka były pokryte czerwoną siateczką żyłek. Przez chwilę na zmianę patrzył na jej twarz i brzuch. Spróbował się uśmiechnąć.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, ukochana? Czy to moje? Czy Simona? - Położył rękę na jej brzuchu i zaraz ją cofnął. Zawahała się; nie miała pojęcia, co zrobić. Miał ciepłą rękę, a kiedy ją cofnął i poczuła chłód, miała wrażenie, że znowu ją opuścił. Poczuła ten sam ból.

- Myślałam, że nie chcesz wiedzieć. Skoro masz własną rodzinę... A co do tego, kto jest ojcem... Nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi strasznie, ale tamtej nocy, po kolacji... Simon mnie zmusił... Stąd ten siniak. A później, zaraz następnego dnia... Nie chce mi się wierzyć, że nie pomyśleliśmy o zabezpieczeniu, ale chyba byliśmy zbyt pijani...

- Zbyt w sobie zakochani? Zbyt wielka namiętność i za mało zdrowego rozsądku - sprostował i wzruszył ramionami. - W tej chwili to chyba bez znaczenia. Równie dobrze może być moje, więc uznajmy je za takie. Nie powiedziałaś mi o nim, żeby nie szantażować mnie tak, jak ta przeklęta Joanna. Nie powiedziałaś mi o niczym! Chciałaś poradzić sobie sama, prawda? Jak zawsze? - Pochylił się nad jej ustami. Pachniał i smakował papierosami. Zaciśnęła palce na poręczu krzesła; znowu poczuła to znajome pragnienie. Zdławiła je i odwróciła głowę.

- Każdy, łącznie z Rhea, sądzi, że to dziecko Simona. Powiedziałam im, że Simon nie żyje, więc litują się nade mną i w ogóle. Czasami czuję się jak podła oszustka, ale muszę dbać o reputację, albo mnie zbojkotują. Wiesz, jak jest w tych małych społecznościach.

- Oczywiście. Nie martw się o nic. I tak wiem. Naprawdę sądzę, że to moje, a ty? - Spojrzała z napięciem w jego twarz, skórę miał mocno napiętą na kościach policzkowych, zjrzała w jasne oczy, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Odwróciła głowę. Zabawne, taka rozmowa pomiędzy ludźmi, którzy widzieli się może cztery razy w życiu. Co za krępująca bliskość.

- Może. Nie wiem. Może kiedy się urodzi...

- On? To też już wiesz, co? - Drażnił się z nią; zmarszczyła brwi i odwróciła twarz, kiedy starał się jej dotknąć. Tak, jak kiedyś pozwoliła sobie na zbyt wiele, kiedy pojawiła się bez zapowiedzi u jego drzwi, tak teraz on nadużył swoich praw, spodziewając się, że może tak po prostu wrócić do jej życia.

- Nie wiem, dlaczego sądzę, że to musi być chłopiec, ale rzeczywiście mam takie wrażenie. Tak samo Rhea... Tim, zdaje się, że coś sobie po tym obiecujesz. Potrafię sobie poradzić bez ciebie. Dokonałeś wyboru i masz już swoje życie. Ja mam swoje. Tutaj. - Spojrzała w mrok nocy.

- Miałem nadzieję, że mi przebaczyłaś. Wydawało mi się, że... ucieszyłaś się, kiedy zadzwoniłem w Boże Narodzenie. John powiedział, że broniłaś mnie, choć według niego jestem wyjątkowym durniem - i przynajmniej mu rację! Niech to szlag! Skoro miałem poślubić kogoś, kto nosi moje dziecko, dlaczego nie wybrałem ciebie?

- Prawdopodobnie nie wiedziałaś. Dziecko jest dość kłopotliwe, prawda? - mimo wysiłków nie potrafiła stłumić brzęczącej w głosie goryczy. - Mam już zarezerwowane łóżko w szpitalu w Perth. Lekarz spodziewa się kłopotów.

- Jak to? Jakich kłopotów? - Jego twarz znowu się napięła; natychmiast przestała użalać się nad sobą. Więc opowiedziała mu z pewnym wahaniem o tym, jak zemdląca i jak martwił się o nią doktor. Tim siedział na krześle obok niej, złożony dłońmi tak, że stykały się ze sobą palcami. Wyglądał, jakby się modlił. Ursula skończyła i wzruszyła ramionami.

- Nie możesz mi pomóc. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie martw się aż tak.

- A, i dzięki temu mam się poczuć lepiej? Taką rolę mi wyznaczyłaś? Uwodzę cię, zachodzisz w ciążę, dla mnie porzucasz męża i dom, a potem poślubiam inną kobietę, zostawiając cię na pastwę losu? A teraz mówisz, że możesz mieć

problemy przy porodzie, a ja mam potraktować to jako miłą pogawędkę na proznej herbatce i powędrować beztrudnie do Melbourne. Tak o mnie teraz myślisz? Sądzisz, że tak właśnie zareaguję? Rzeczywiście, musiałem zrobić na tobie fantastyczne wrażenie. Dobra robota, Tim! - Wstał, omal nie wywracając krzesła, odsunął je z rozmachem i zaczął krążyć po werandzie. W nocnej ciszy echo jego kroków niesło się daleko.

- A czy nie to się wydarzyło? Albo może czegoś nie zauważyłam? - warknęła Ursula.

- Tak! Nie zauważyłaś! Umknęła ci ta drobnostka, że cię kocham! I nikogo poza tobą. Ciebie! Niech Bóg nam wybaczy.

Spojrzeni na siebie w nocnej ciszy, tak głębokiej, że dzwoniła im w uszach. Minuty uciekały. Muszę coś powiedzieć, pomyślała Ursula, teraz, bo za chwilę będzie za późno. Czuła, że czasu jest coraz mniej, a jednak nie potrafiła zdobyć się na żadne działanie. Była jakby zaczarowana i patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Wreszcie to on przerwał milczenie.

- Kochanie...

- Tak?

- Nie mogę zawrócić czasu. Chciałbym, Bóg mi świadkiem. Chciałbym, żebyśmy wrócili do tamtego wieczoru w ogrodzie przed twoim domem. Wszystko... wszystko zrobiłbym inaczej. Ale to dziecinne marzenia. To się już nie odstanie. Ale możemy żyć dalej i tym razem zachowam się lepiej. Obiecuję. Tylko mi pozwól.

- Zabawne. To ja ci chciałam to powiedzieć. Myślałam, że to moja kwestia. - Głos jej zadrżał. - Och, dlaczego nie można cofnąć czasu! Dlaczego wszystko jest takie nieodwracalne, jakby było wykute w kamieniu! Niedobrze mi się robi! Mam dość tych potwornych rzeczy, które się bez przerwy wydarzają, mam dość, że nie mogę wrócić do dobrych czasów, bo się już skończyły i nie wrócą, i dobrze, że nie wrócą, bo... - Urwała gwałtownie i spojrzała na niego.

- Bo? - spytał łagodnie.

- Bo... - westchnęła głęboko. - Ojej, bo cię nie ma. Bez ciebie to bez sensu.

Tym razem nie cofnęła się przed dotknięciem jego ręki. Nie umknęła mu, kiedy ją pocałował. Nie miała już siły walczyć, a poza tym to było zbyt przyjemne. Jak powrót do domu. Objął ją i zaczął kołysać w ramionach.

- Tym razem cię nie zawiodę - szepnął. - Obiecuję.

Jaka to cudowna zmiana, pomyślała z zadowolonym westchnieniem, kiedy ktoś taki, jak Tim trzyma mnie w objęciach i martwi się o mnie. Miała nadzieję, że będzie przy niej do końca świata. No, może...

- Jak długo zostaniesz? - Poglądziła go po włosach, przesunęła dłoń na jego kark.

- Parę dni. Powiedziałem Joannie o tobie. Powiedziałem, że nie rozwiódę się i nie zostawię dziecka, ale że kocham cię i chcę się z tobą regularnie widywać. Wiesz, że wcale ją to nie obchodzi? Dopóki ludzie się nie domyśla, będzie zupełnie zadowolona z takiego stanu rzeczy. Zdaje się, że też ma kogoś. A ja jestem coraz bardziej przeświadczony, że Josh nie jest mój.

- Josh? Tak go nazwaliście? Ładnie. Podoba mi się. Twój wybór czyjej?

- Jej. Dla mnie było obojętne, jakie będzie nosił imię. Wtedy mamusia Jo podniosła straszny krzyk, że Joshua to imię żydowskie, a Jo oznajmiła, że guzik ją to obchodzi, jej się podoba, więc poparłem ją, żeby przytrzeć nosa tej starej jędry. No i biedny bąbel nazywa się Josh. Ale imię nie jest najgorsze. - Znowu był rozbawiony; widok jego zmrużonych oczu i uśmiechu odsłaniającego dziąsła obudził w niej znajome słodkie ukłucie tęsknoty za tymi śmiesznymi, niemądrymi drobiazgami, które dla niej znaczyły tak wiele. Pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa.

- Kanalia!

- No, tak, ostatnio niewiele trzeba, żeby mnie rozśmieszyć. Muszę się z czego śmiać. Nazwanie naszego sprawi mi o wiele więcej radości. Masz jakiś pomysł? - Przez chwilę pomyślała z poczuciem winy, że Tim nie zachowuje się sprawiedliwie w stosunku do swojej rodziny. Ta myśl zmaćla na chwilę jej radość - **n'**;zy(**n** wąłta smużka przysłaniająca słońce. Ale dlaczego Tim miałby zachowywać się szlachetnie wobec tej kobiety? Manipulowała nim i zmusiła do małżeństwa, które zniszczyło mu życie? Albo że dała mu dziecko, które być może nie jest jego? Nie był jej nic winien, a jednak nie opuścił ich i nie pozwolił im głodować. Zawsze będzie przy nich. To więcej, niż może się spodziewać dla siebie.

- Tak, parę. Kiedyś miałam małego braciszka... kiedyś, przed wojną. Miał na imię Tom. - Zamilkła z wahaniem. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy będziesz przy porodzie.

Zagryzł wargę.

- Za jakiś miesiąc, tak? Dobrze, powinienem się wyrobić. Skoro istnieje niebezpieczeństwo, że możesz mieć problemy, będę przy tobie. Mogę się obyć bez tego politycznego kołowrotu.

- Jak to?

Zauważył jej niepokój i uspokoił ją gestem.

- Będę się starał o mandat. Poseł okręgu Gisburne idzie na emeryturę i zostawia bardzo dobre miejsce w partii Country, więc zostałem na nie wyznaczony. Wszyscy mnie już znają. Jeśli dowiedzą się o tobie albo o małym - pogłaskał jej brzuch - właściwie od razu mogę przenieść się do ciebie. Nie będę tam mile widziany. - Wzruszył ramionami, jakby naprawdę wcale się to dla niego nie liczyło. Moze tak było naprawdę.

- Nie ryzykuj. Nie chcę, żeby twoje marzenia runęły w gruzy tylko dlatego, że będziesz przy mnie. - Nie powiedziała: Bądź przy mnie, kiedy zaryzykuję wszystko, nawet życie, żeby urodzić dziecko, które może być twoje. Tak pomyślała. A potem przyszło jej do głowy, że to zbyt melodramatyczne. Ale nie poczuła się lepiej. Spojrzała uważnie na jego twarz, zmarszczki wokół oczu i ust, kiedy się uśmiechał, skórę, która zaczynała już blednąć i nabierać szarego odcienia właściwego ludziom, którzy po latach przebywania na słońcu zmieniają raptownie tryb życia. Te zewnętrzne szczegóły nie przesłoniły jej faktu, że nadal był mężczyzną o uśmiechu, który uświadomił jej, iż ciągle jest młoda i atrakcyjna - tro-

skliwym, krzepkim, odpowiedzialnym Timem, w którym się zakochała; teraz jednak dostrzegą w nim jakiś niepokój, nie ustępujący ani na chwilę. To pewnie przez Joannę. A może taki był, tylko dotąd nie zwróciła na to uwagi. Może to cecha polityka. Tim spostrzegł jej roztargnienie i odezwał się, żeby ściągnąć na siebie jej uwagę...

- Jesteś moim marzeniem. Mam tylko dwa. Drugim jest, tak, polityka. Chciałbym, żeby oba te marzenia się spełniły, ale to chyba niemożliwe. Musimy zdobyć się na jakiś kompromis. Ale jesteś warta ryzyka, a czasami zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby się o nas dowiedzieli. Nie jestem jeszcze w tym stopniu ważny, żeby spowodować zbyt wielkie zamieszanie, ale i tak będę musiał zniknąć przynajmniej na parę lat. Potem będziemy mogli być razem już na zawsze. To mi się podoba. - Pocałował ją. - Jeśli ten twój cholerny Winby dowie się o mnie... wiesz, i zacznie cię zmuszać do odejścia... powiedz mu, żeby się wynosił do wszystkich diabłów. Wtedy zajmę się gospodarstwem, a oni niech żyją z zasiłku. To powinno im zamknąć usta. - Uśmiechnął się z rozbawieniem, ale Ur=;!3 miała dziwne wrażenie, że już to przemyślał. To nawet do niego pasowało. Politycy powinni rozpatrywać każde posunięcie na dwadzieścia kroków przed wszystkimi innymi, a Tim nigdy nie wydawał się głupi. Wprost przeciwnie. Miał w sobie tyle tajemnic, których być może nigdy nie pozna. Westchnęła.

- Spotkasz się z nimi już jutro. Kim chcesz zostać? Moim bratem? Dalekim kuzynem? Przyjacielem rodziny?

- Całujący się kuzyni? Nie, lepiej nie. Zbyt łatwo będzie mnie można sprawdzić, kiedy stanę się bardziej znany. Wielu Anglików ma australijskich przyjaciół. Możesz powiedzieć, że byliśmy w sobie zakochani, kiedy jeszcze byliśmy słodkimi dzieciakami, a teraz postanowiłem do ciebie przyjeżdżać, żeby sprawdzić, jak ci się żyje. Wtedy opłacanie szkoły także nie będzie wyglądać podejrzanie.

- A, nie mówiłam ci? Rhea dostała stypendium. Ale dziękuję, Tim. Potrzebowałabym tych pieniędzy, gdyby się nam nie powiodło. - W głębi duszy była zadowolona, że nie musi prosić go o pomoc. Niech do niej przyjeżdża w odwiedziny, jak mąż, który musi wyjeżdżać w interesach, ale regularnie wraca. Lecz niech nie staje się tak potrzebny, żeby każdą myśl kierowała do niego, by nie musiała się zastanawiać, co teraz porabia albo jak ona sobie bez niego poradzi. Nie, tym razem chciała być niezależna.

- Wiesz, mówisz do mnie Tim tylko wtedy, kiedy chcesz mi zakomunikować coś nieprzyjemnego albo poważnego. Zawsze nazywasz mnie kochaniem. Wiem, że coś się stanie, kiedy słyszę Tim. O co chodzi? Nie chcesz, żebym wtrącał się do twojego życia? Mam się pojawiać i zachowywać miło, ale nie starać się zdobyć zbyt wielkiego znaczenia? O to chodzi? - Tim zawsze potrafił zorientować się w jej zamierzeniach. Podniosła na niego oczy, nieprzeniknione i nie zdradzające żadnych emocji. Simon zawsze krytykował ją za zbytnią uczuciowość. Teraz nauczyła się trzymać uczucia na wodzy. Uśmiechnęła się.

- Nie uda ci się zdobyć wielkiego znaczenia. Nigdy nie będziesz przy mnie tak długo. - Przez chwilę zastanawiała się, czy ból, który pojawił się na jego



twarży jest autentyczny. Potem otrząsnęła się z tego paraliżującego chłodu i wyciągnęła rękę. - Och, Tim! Nie chciałam tego powiedzieć. Nie wiem, czemu to zrobiłam. Cieszę się, że w ogóle przy mnie jesteś, choćby na chwilę. - Zaskoczyło ją, jak mogła go skrzywdzić; nie gniewem, lecz lodowatym dystansem. Uściśnięła ją żarliwie.

- Nie muszę tu przyjeżdżać, jeśli nie chcesz. Mogę wspierać cię finansowo i nie wtrącać się do twojego życia. Nie potrafię ci niczego wynagrodzić. Mogę tylko dopilnować, żebyś nie musiała przechodzić przez koszmar. Powiedz mi, co mam zrobić, a dostosuję się. - Zamilkł, jakby zbierał w sobie siły. - Kocham cię. Nie mogę tego nie powiedzieć. Wiem, że straci to swoje znaczenie, jeśli co pięć minut będę ci to szeptał do uszka. Ale taka jest prawda. I muszę ci to powiedzieć bardzo wyraźnie, raz na zawsze, bo czuję się głupio, mówiąc ci to zbyt często. Nie chcę tego robić. Ale pragnę, żebyś wiedziała.

Pogłaskała go po włosach; niemal nie rozumiała tych chaotycznych, gorączkowych r-ł'

- Tak, wiem. Ja też cię kocham. -I była to prawda.

Pani Winby przyszła wieczorem, żeby sprawdzić, co się dzieje z Ursulą. Ciekawe, że choć znały się tak dobrze, ciągle mówiły do siebie per pani. Ursula zaczęła podejrzewać, że tak będzie już zawsze.

- Proszę wejść. Przedstawiam pani dawnego przyjaciela rodziny, Tima Nowltona. Tim, to pani Winby, żona zarządcy.

- Miło mi. - Pani Winby była zaskoczona nagłym pojawieniem się jakiegoś przyjaciela. Zaskoczona i nieco nieufna. - Zostanie pan u nas? - spytała, spodziewając się najgorszego. No, chłopak nie wyglądał najgorzej, ale jednak. Co innego maleństwo, które rozwesela wszystko dokoła, co innego pani Paterson, która w końcu okazała się nie taka znów najgorsza, ale mężczyzna? Tatko by tego nie zniósł.

- Nie, nie. Mieszkam w Melbourne. Przyjechałem, żeby sprawdzić, jak się miewa Ursula. Będę przyjeżdżać co jakieś dwa miesiące. Nie jest jej łatwo po śmierci Simona, bez pieniędzy, a za to z dzieckiem - dodał poufałym tonem, na który pani Winby zareagowała w mgnieniu oka. Zauważył jej zmianę nastawienia. Spodziewała się, że jest przedstawicielem jakiejś organizacji, jednym z tych, którzy mogą sprawić, że życie stanie się znośniejsze. Ludzie zawsze chcą należeć do jakiejś organizacji.

- Tak, to okropne. Ale będziemy się zajmować panią Paterson. Widzi pan, przyniosłam biszkopty. Lubi moje biszkopty, nie chwaląc się. - Pani Winby podała talerz Ursuli, która uśmiechnęła się, bardziej na widok występu Tima, niż ciastek. Pani Winby promieniała zadowoleniem.

W porównaniu z nią Ursula, nawet w ósmym miesiącu ciąży, wydawała się eteryczna niczym elf. Na jej ramionach rysowały się podłużne mięśnie, nie przykryte ani żdźbłem tłuszczu. Może jednak nie objadała się biszkoptami tak, jak przypuszczała pani Winby. Tim zauważył, że pod jej oczami rysują się ciemne podkowy, a policzki są zapadnięte. Nie taką ją pamiętał z Anglii. Był doskonale

świadomy tego, że Ursula wygląda tak wskutek jego beztroski i przysiągł sobie, że nigdy więcej jej nie skrzywdzi. Pani Winby nie zauważyła jego roztargnienia. Ursula spostrzegła je, ale nie wiedziała, co ono oznacza.

- No, przy panu Nowltonie niczego pani nie zabraknie. Jak długo pan zostanie? Do porodu, czy musi pan wracać wcześniej? - Pani Winby przekonała się do Ursuli ze względu na dwie sprawy: jej ciążę i to, że występowała w obronie Willa. Ona nie potrafiła powstrzymać męża od bicia syna. A potem pojawiła się Ursula i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mąż przestał tłuc Willa. Na jakiś czas. Już to samo wystarczyło, by zaczęła troszczyć się o Ursulę. A jeszcze większą atrakcją była myśl o dziecku. Życie pani Winby płynęło spokojnie i monotonicznie. W buszu nie nosiło się modnych strojów, nie chodziło na przyjęcia ani na damskie ploteczki. Nic, tylko ciężka praca, a teraz dziecko! Pani Winby uwielbiała dzieci! Uśmiechnęła się promiennie do Tima i Ursuli.

- Tym razem będę tu parę dni. Potem wrócę w terminie rozwiązania. I tak mam tutaj interesy.

- A no tak, wszyscy czekamy niecierpliwie na pojawienie się dziecka, nieprawda? A Rhea już w ogóle nie może się doczekać. Żna pan Rheę, prawda? Spotkają pan, kiedy przyjedzie na długi weekend. Zresztą pewnie tak to pan zaplanował. Will nie może się doczekać przyjazdu Rhei. Niecierpliw się tak, że aż serce się ścisza. Ale przy pani pomocy lepiej mu się żyje. Tylko tatko nie może się o tym dowiedzieć, bo będzie piekło. Jutro przyjdę z samego rana i przygotuję śniadanko. Co pani na to?

- Och, nie! Nie śmiem pani fatygować. - Ursula z przerażeniem pomyślała o poranku w towarzystwie niespodziewanie rozmownej pani Winby. Wcale nie była taka pewna, czy jej poprzednie ponure milczenie nie odpowiadało jej bardziej. Pokręciła głową. - Zdecydowanie nie. I tak już za wiele pani dla mnie zrobiła. Poza tym Tim może mi pomóc, prawda, kochanie? - To „kochanie” wymknęło się jej zupełnie nieświadomie. Pani Winby chyba nie zauważyła. Ursula nagle zdała sobie sprawę, że ukrywanie ich prawdziwych stosunków przed wszystkimi jest znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. Ale Tim już spieszył z pomocą.

- Nie rozpieszczaj mnie tak tymi „kochaniami”. Zostałem zaproszony, a skończy się na tym, że będę musiał sam sobie gotować. Ładne rzeczy! - Ale jednocześnie śmiał się, a potem zapewnił panią Winby, że sobie poradzą. Wreszcie dała się odprowadzić do drzwi, aczkolwiek bardzo niechętnie.

- Poszła? - szepnęła Ursula, kiedy Tim wrócił wreszcie z głębi domu. Skinął głową i objął ją. Złożył na jej ustach niespieszny pocałunek.

- Chwała Bogu - szepnął. Zachichotała.

- Nigdy dotąd taka nie była. Widzisz, jakie wrażenie robisz na kobietach? Od razu miękna - wyszeptała mu wprost do ucha. Jej gorący oddech poślaskotał wrażliwą małżowinę; Tim zadrżał.

- Tak, jak ty? Miękka jak marmur? - Jeszcze nie wybaczył jej, że poradziła sobie bez niego. Pocałowała go w szyję.

- Rozpuszczony marmur.

- Na początek dobre i to - roześmiał się. - A co z główną atrakcją?
- Nie liczyłabym na główną atrakcję, która jest wielka jak krowa morska - wyznała speszona. Tim uśmiechnął się.
- Brak ci fantazji, moja dziewczyno. W każdym związku musi być przynajmniej jedna osoba, która nią dysponuje. Całe szczęście, że mogę się tym pochwalić.
- Tak? A jakie to dzikie fantazje cię nachodzą? - Nie miała pojęcia, dlaczego zawsze w jego towarzystwie jest jej tak dobrze i spokojnie, dlaczego zawsze jest pewna, że wszystko pójdzie po ich myśli. Przy Simonie nigdy nie czuła takiego spokoju czy ufności. Nawet kiedy była już bardziej doświadczona. Ale dla Tima jej rozmiary nie miały znaczenia; była w ciąży, ale dla niego ciągle była pociągająca. Nagle zorientowała się, że z nim flirtuje, trzepocze rzęsami, pokazuje dołeczki w policzkach. Przez chwilę zrobiło się jej głupio. Ale potem Tim pocałował ją i zapomniała o wszystkim.
- Nie martw się o dziecko. Nie jestem głupi. Ale... och, troszeczkę pieśz-czot i całusków... albo... sama zobaczysz. - Przesunął palcem po jej piersiach; roześmiała się z zaskoczeniem.
- Aha. A co z tą obiecaną kolacją?
- Później.

## Rozdział dwudziesty drugi

Rhea boczyła się. Tylko tak Ursula mogła opisać to ciężkie milczenie i ściągniętą, zamkniętą twarz. Jakie to martwe, nieodpowiednie słowo, nie oddające bólu, który czuła jej córka, bólu nie zabliźnionej rany. To Tim był powodem ich wyjazdu z Anglii, odrzucenia ich przez Simona i jego dzieci. Wszystko to było zbyt świeże i bolesne, żeby o tym myśleć. Ursula doskonale rozumiała Rheę.

- Nie chcesz kielbaski? Później będziesz głodna. - Przyniosła talerz córce, siedzącej razem z Willem. Razem wyjechali na piknik, nawet państwo Winby skorzystali z okazji; na wzgórzu wznoszącym się na tyłach majątku, wśród granitowych skał, mogli rozpalić ognisko bez ryzyka zaproszenia ognia. Niebezpieczeństwo zaproszenia ognia było ich stałą zmurą, o której nie mogli zapominać. Tim spojrział na nie zmartwiony. Jeśli Rhea go nie zaakceptuje, Ursula nie pozwoli mu więcej przyjeżdżać. I tyle.

- Na razie nie chcę - warknęła Rhea. Will poruszył się niespokojnie obok niej. Nie rozumiał, dlaczego dziewczynka zachowuje się tak okropnie. To chyba ma coś wspólnego z tym Nowltonem, który objawił się tak niespodziewanie. Jakich przyjaciół rodziny. Zerknął na Ursulę; w jej oczach malowało się cierpienie i niepewność. Rhea nie patrzyła na matkę.

- Dobrze, jak wolisz. Will, masz ochotę na kielbasę? - Ursula podała talerz chłopcu, który przyjął go ochoczo, głównie po to, żeby zrobić jej przyjemność. Był tak najedzony, że omal nie pękł.

- Bardzo dziękuję. Już pani powinna usiąść. Chyba nie chce pani zemdleć. Ursula pokręciła przecząco głową i zostawiła ich samych. Pomyślał, że pani Paterson nie chce prześlagać Rhei, która udaje obrażoną księżniczkę. Odczekał chwilę, zanim oddaliła się na odpowiednią odległość.

Lubisz dręczyć mamę? Dobrze się bawisz? - spytał bez odrobiny sarkazmu, z czystej ciekawości. Zajała z apetytem kielbaskę. Rhea odwróciła się do niego zaskoczona.

- Nie bądź głupi, jasne, że nie lubię.

- Tak? To czemu to robisz? Przez parę dni, odkąd pojawił się pan Nowlton, wydawała się taka szczęśliwa. Tak się cieszyła, że wkrótce wrócisz do domu. Ja też. Ale teraz można z tobą zwariować. Sprawiasz jej przykrość. I jemu też. A ja nie jestem tym zachwycony. Chyba jednak poszukam Stoney'a i jego dziewczynę. Nie odzywają się do mnie, ale przynajmniej nie są niegrzeczni. Jeśli tego uczą w tej twojej szkole, to chyba jednak się bez tego obejdu. - Wstał i zaczął się otrzępywać ze żwiru i kamyków. Rhea pociągnęła go i zmusiła, żeby usiadł obok niej.

- Przestań! Nie jestem niegrzeczna. To przez niego mama była nieszczęśliwa. A on znowu pojawia się w naszym życiu i chce ją skrzywdzić. Akurat teraz, kiedy ma się urodzić dziecko. Zabiję go! - Zatrzęsała się z gniewu. Will przyjrzał się jej bacznie.

- Tak? A co się stało? Opowiedz mi, jak to wygląda według ciebie. A potem ja ci powiem, co o tym myślę. - Położył się na ziemi z ręką podłożoną pod głowę i zamkniętymi oczami. Jego swobodna poza jakoś pozbawiła Rheę wigoru. Nie chciała przesadzać, ponieważ Will znosił o wiele gorsze rzeczy i potrafił się z nich śmiać. Kiedy skończyła, przez dłuższy czas nie odzywał się do niej.

- No i? Co o tym sądzisz?

Wydał usta, ciągle nie otwierając oczu.

- Sądzę, że to jego dziecko.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potem ciągnął dalej.

- A on stara się jak może, żeby twoja mama była szczęśliwa. Chciał nawet zapłacić za twoją szkołę, wiesz? Słyszałem, jak mówił o tym twojej mamie, a ona powiedziała, że już rozmawiali na ten temat i że nie potrzebujesz niczego, bo masz stypendium. A on na to, że może coś innego, fortepian, ubranie albo co. Nie wiem, na czym stanęło, ale widzi mi się, że on by dla twojej mamy zrobił wszystko. Powiedział nawet, że przyleci tutaj, kiedy dziecko będzie się miało urodzić. To go nieźle trzepnie po kieszeni! No, nie wiem. Dla mnie to tak wygląda, że on jest zakochany w twojej mamie, a ona w nim. Nie psuj im tego. Oboje na to zasługują. A twój tata... no, z nim już skończyłaś. Rany, a ja myślałam, że to mój jest najgorszy. Wolałbym, żeby mi spuszczał baty codziennie, niż gdyby miał tak zostawić moją mamę. Co za bydlę. - Ciągle nie otwierał oczu, ale kiedy Rhea żałośnie pociągnęła nosem, wziął ją za rękę. Nie chciała jego pocieszenia, ale on nie zwracał uwagi na jej protesty i nie pozwolił jej się wyrwać. Wreszcie przestała się szarpać i dopiero wtedy ją puścił.

- No, mała, wszystko zależy od ciebie. Naprawdę. Powiedz, że nie lubisz Tima i twoja mama każe mu odejść. Zobaczysz. A potem będzie nieszczęśliwa i samotna. On też. Tylko dlatego, że zachowujesz się jak samolubne dziecko i nie

chcesz mu zapomnieć tego, co i tak nie było jego winą. Rany boskie! - Wstał i odszedł, a ona została sama.

Ze swojego miejsca widziała mamę w wielkim słomkowym kapeluszu, siedzącą na poduszkach, które Tim rozłożył tak, by miała podpórkę pod plecami. Odpoczywała. Tim patrzył gdzieś w dal. Siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę. Wyglądał żałośnie.

Państwo Winby siedzieli tuż przy ognisku. Pan Winby wyciągnął się na słońcu z kapeluszem nasuniętym na twarz i rozłożonymi rękami. Od czasu do czasu pochrapywał. Pani Winby robiła na drutach. Stoney i jego dziewczyna, Kim, siedzieli razem. Kwiecista sukienka Kim jaskrawo odcinała się od ciemnego kamienia. Oboje drażnili goannę, zmuszając ją do wydawania syku. Will leżał obok nich, zasłaniając twarz ramieniem. Nie poruszył się, kiedy Rhea przeszła koło niego.

Tim? - Przykucnęła obok mężczyzny, obejmując ramionami długie, szczupłe nogi. Spojrzała na nią ze smutkiem.

- Tak?

Wokół jego ust pojawiły się zmarszczki, których przedtem tam nie widziała. Przelknęła ślinę.

- Tak sobie myślałam... o tobie i mamie. I chyba Will ma rację. To nie twoja wina, ze musiałeś ożenić się z tamtą. Więc jeżeli nie zapomnisz o mamie i nie zechcesz jej... skrzywdzić, a wiem, że nie chcesz, ale różne rzeczy mogą się zdarzyć... Tak jak ostatnio. Nie chciałeś jej zrobić krzywdy, ale zrobiłeś. Więc nie wolno ci tego zrobić drugi raz, rozumiesz? Ponieważ wtedy się rozchorowała i prawie straciła dziecko. - Zamilkła na chwilę i zastanowiła się. - Tim? To twoje dziecko, czy taty? Bo wiesz... - Zarumieniła się i uciekła wzrokiem gdzieś w bok. - Will powiedział, że według niego to twoje. Powiedziałam mu o was, ale on nikomu nie powie. Umie dotrzymać tajemnicy, nie obawiaj się.

Tim nie spieszył się ze zbyt serdecznymi gestami. To się jej podobało. Miał swój honor i wiedział, jak postępować, żeby jej nie zawstydzić. Uśmiechnął się, ale nie bardzo, raczej ze smutkiem. Nagle poczuła się mała i podła. Czowała do siebie niesmak za to, co o nim myślała.

- Byłabyś zła, gdyby to dziecko okazało się moje? - spytał. Coś dziwnie ścisnęło ją w żołądku.

- A jest?

- Może. Nieważne, i tak będę go uważał za własnego syna. To dziecko twojej matki i tylko to się liczy. - Znowu na nią spojrzeł i nagle zrozumiała, jakie szczęście ma jej matka, że wzbudziła w kimś taką miłość. Miała nadzieję, że jej też się to kiedyś przydarzy. Wiatr wzburzył włosy Tima i narzucił muje na czoło. Wydał się jej bardzo młody, a kiedy spojrzeł jej w oczy, sięgnął nimi aż do jej serca. Poczuła, że będzie wobec niej ucziwy i to ucieszyło ją bardziej, niż cokolwiek innego. Skinęła głową.

- Dobrze. To było najważniejsze, prawda? Będziesz do nas często przyjeżdżał? Nie tylko ot tak, byle kiedy? - Kiedy potwierdził, uśmiechnęła się nieśmiało i wyciągnęła rękę. - Więc znowu możemy być przyjaciółmi. Zgoda?

Zerknęła ku matce, która podniosła się i patrzyła na nich uważnie. Tim wyciągnął do niej dłoń.

- Zgoda

Tego wieczoru Tim zabrał ich na tańce do Gidge, które odbywały się w hotelu przy głównej ulicy. Właściwie w Gidgeeganup była tylko jedna ulica, wzdłuż której we wszystkich kierunkach wznosiły się większe i mniejsze domy. Na poboczach ulicy można było znaleźć kłęby drutu kolczastego, puszki i sterty śmieci. Tim skrzywił się na ten widok.

- Nie jest to najpiękniejsze miejsce, jakie znam, ale przynajmniej mają tu pub. Co byśmy bez niego poczęli? - Państwo Winby nie wyrazili ochoty towarzyszenia im na tańcach. Te rozrywki nie miały już dla nich uroku. Obejdą się, jak powiedział pan Winby. Jego żona ze wszystkich sił starała się nie wyglądać żalostnie. Długo machała za nimi, kiedy odjeżdżali w stronę miasta. Will, Rhea, Stoney i Kim siedzieli z tyłu, podskakując na wybojach i opowiadając sobie nawzajem niestworzone historie. Z niewielkim powodzeniem. Nie wierzyli w ani jedno swoje słowo.

- Wieziemy przygnębiającą grupkę cyników - zauważył Tim, kiedy pomagał Ursuli wydobyć się z szoferki. Uśmiechnęła się.

- To wasz sport narodowy. Prawda?

- Ależ skąd. Tylko trudno nam zaimponować. Poza tym jesteśmy łagodni jak owieczki.

- Owieczki, akurat. Nie uwierzylibyście własnej matce. Will, uważaj! Kim zaczepiła się spódnica!

Ale Kim uwolniła się i zeskoczyła z gracją żrebaczka, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować. Will spojrzał na nią z pretensją.

- To jak mam ci pomóc, skoro skaczesz jak małpa?

Kim uśmiechnęła się szyderczo.

- Za wolno się ruszasz, chłopcze. Musisz bardziej się starać, jeśli chcesz mnie złapać.

Lubiła mówić do niego chłopcze, ponieważ go to denerwowało. Zacerwieśnił się i spiorunował ją wściekłym wzrokiem.

- Nie chcę cię wcale złapać, więc się tak nie wymądrzaj. Niech cię Stoney łapie.

Po tych słowach oddalił się z godnością, starając się nie słyszeć jej śmiechu.

Rhea stała już pod drzwiami hotelu i zaglądała przez szparę do środka. Will zawołał ją.

- Nie, głuptasie, nie od tej strony. Tu jest bar. Nie wolno ci tu wchodzić. Chodź, sala jest tutaj.

Popchnął ją we właściwym kierunku. Tim zerknął na Ursulę i uniósł brwi. Wzruszyła ramionami.

- Jeszcze mają przed sobą dużo czasu, zanim zrozumieją pewne rzeczy. To dlatego postanowiłam podkształcić Willa zanim zacznie się czuć przy Rhei głupi albo opóźniony.

- No, nie wiem, czy aż tak dużo. Uważaj na nich. Will ma piętnaście lat, prawda?

- Ale Rhea jedenaście. To jeszcze dziecko. Nie zwracaj głowy. Ufam Rhei w każdej sprawie, bez względu na jej wiek.

Nie spodobał się jej jego śmiech.

- Moja mała nowicjuszka. Chodź, poszukajmy tej zabawy.

Na tyłach hotelu, na miejscu jadalni, znajdowała się pusta przestrzeń. Tylko pod ścianą stały rzędem krzesła. Pomieszczenie było rzęsiście oświetlone. Ursula z zaskoczeniem zauważyła, że kobiety siedzą po jednej stronie, a mężczyźni po drugiej. Tylko dzieci nie przejmowały się podziałami, zbyt małe, by zdawać sobie sprawę z ich istnienia. Will podał Rhei ramię, łypiąc spode łba na kolegów, którzy zaczęli wykrzykiwać na jego widok rozmaite nieprzyzwoitości. Uspokoił się dopiero, kiedy z przeciwległej strony sali nadbiegły matki i kuksańcami przywróciły porządek. Will zarumienił się i zniknął, żeby odszukać Stoney'a.

Ursula zatrzymała się i spojrzała na Tima.

- A, zdaje się, że to pani Paterson. - Ron Carstairs, jeśli oczywiście właściwie odgadła, wyłonił się zza zorganizowanego naprędce baru. Tim podszedł bliżej.

- Miło mi panią poznać. - Mężczyzna nie przedstawił się. Miał siwe wełniste włosy, sterczące bezładnie nad ogorzałą twarzą, zaskakująco zgrabny, mały nos i oczy syjamskiego kota. W jego twarzy nic nie pasowało do siebie, nawet zęby, które mogłyby należeć do jakiegoś małego gryzonia, może fretki, ale nie do kogoś o tak potężnej posturze. Mierzył pewnie ze dwa metry, dlatego wszyscy w jego towarzystwie wyglądali jak krasnale. Ursula wyciągnęła rękę.

- Pan Carstairs? - Kiedy potwierdził skinieniem głowy, przedstawiła mu resztę gromadki.

- Cieszę się, że panią poznałem. I ciebie, młoda damo. Jeszcze tu nie byłaś, co? - Rhea pokręciła głową. Potem mężczyzna spojrzał na Stoney'a i Kim, kryjących się niepewnie za Willem. Pokręcił głową i wskazał drzwi.

- O nie. Wy dwoje. Doskonale wiecie, że nie wolno. Wynocha, ale już. Takich tu nie gościmy.

Młoda para odwróciła się bez słowa sprzeciwu i zniknęła. Tim wziął Ursulę za rękę, ale zignorowała go.

- Jakich „takich” nie chce pan gościć? - Jej jasny głos z angielskim akcentem przebił się przez muzykę i przyciągnął uwagę zgromadzonych. Wiele osób odwróciło się w ich stronę.

- Aborygenów. Wiedzą, że nie wolno im tu wchodzić. Kim pracuje u mnie w hotelu, ale tutaj nie życzę ich sobie. Banda pijanych brudasów - oznajmił twardo. Ursula stała przed nim przyglądając mu się spokojnie. Potem skinęła na Rھےę i Willa.

- Rozumiem. Cóż, dziękuję panu. Dobranoc.

I wyszła, nie okazując niczego, prócz uprzejmości. Tim uśmiechnął się ponuro.



- A cóż ja takiego powiedziałem? - zdumiał się urażony Carstairs. Tim spojrział na niego.

- Zdaje się, że towarzystwo jednak się jej nie spodobało. Zbyt ograniczone - oznajmił spokojnie. Carstairs wytrzeszczył oczy.

- Słucham? Jakże?

- Tutaj mówicie na to chyba bigoteryjne. Nawet nie masz telewizora, żeby ci się czarne nie mieszało z białym. - Uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było rozbawienia. - A tak dla twojej wiadomości, Kim i Stoney nie piją. Dobranoc, Carstairs. - I wyszedł w ślad za Ursulą.

Stoney i Kim stali oparci o płot. Stoney grzebał nogą w piachu. Podnieśli głowy z zaskoczeniem, kiedy Ursula zbliżyła się do nich.

- Chodźcie, dzieci. Wracamy do domu. Wyprawimy własne tańce tam, gdzie nasze miejsce. - Wyciągnęła do nich rękę, ale oni spojrzeli na nią niepewnie.

- Nic nie szkodzi, myśmy i tak nie myśleli, że nas wpuści. Nie musi pani wychodzić z naszego powodu. - Kim była inteligentną dziewczyną i nie lubiła niczyjej opieki. Ursula pokręciła głową.

- Owszem, szkodzi, i to bardzo. Nie sądzę, żebym się tam dobrze bawiła. Wydaje mi się, że podział między osobami odmiennej płci jest tam tak samo rygorystyczny, jak między rasami. Chodźcie, jedziemy do domu i tam się wreszcie zabawimy. Will, kupisz nam skrzynkę lemoniady?

I tak, ku rozbawieniu i bezgranicznemu podziwowi Tima, Ursula zapoczątkowała tradycję domowych tańców. Wyciągnęła państwa Winbych od ich wieczornych rutynowych zajęć i postawiła ich radio w salonie. Odsunęli meble pod ściany i delikatnie zachęceni, pokazali Willowi i Stoney'owi, jak prowadzi się partnerkę w walcu.

Po paru piwach pani Winby wyznała Timowi, że nigdy nie lubiła tego Carstairsa, odkąd przyłapała go na biciu matki Stoney'a.

- Swoją drogą, żadna z niej była matka, ale Ron nie miał powodu tego robić. Nic nie zrobiła, usiadła tylko na werandzie. Ale on już taki jest. Słyszałam, że był zarządcą jakiegoś majątku na północy, ale stracił robotę, bo był zbyt brutalny wobec aborygenów. Nie chcę myśleć, co będzie, kiedy Kim wróci do hotelu po tym, co mu powiedziałeś. Odegra się na niej. - Zerknęła na dziewczynę, wirującą w kwiecistej sukience. Tim także na nią spojrział.

Walc wkrótce zmienił się w zwykłe podskoki, ale przynajmniej, pomyślała Ursula, dzieci bawią się tak, jak powinny. Wyglupiają się, i dobrze. Pan Winby zaskoczył wszystkich, a zwłaszcza Willa, który patrzył z szeroko otwartymi ustami na ojca, wywijającego na parkiecie z wprawą zawołanego tancmistrza. A potem Tim poprosił Ursulę do powolnego i raczej pełnego dystansu tańca.

Długo oczekiwane dziecko pojawiło się na świecie dwudziestego szóstego kwietnia i Tim asystował przy jego narodzinach. Właściwie nie było go na sali porodowej, ale trwał niezłomnie tuż przy drzwiach, przez które mógł co chwila

zaglądać. Rhea siedziała cierpliwie przy kranie z wodą, na wpół rozbawiona wyrazem twarzy Tima, na wpół zaciekawiona perspektywą poznania nowego braciszka. Nikomu nawet przez chwilę nie przyszło na myśl, że dziecko mogłoby okazać się dziewczynką. Nie zwracano sobie głowy wyszukiwaniem dziewczęcych imion. Wszystko zostało postanowione na wiele dni naprzód. Miał być Thomasem Henrym Timothy Patersonem. Tomem.

- Rhea? Chodź tutaj. Mama już chyba urodziła - zawołał Tim. Znowu podkraść się do drzwi, zdecydowany wdrzeć się do środka przy pierwszej wychodzącej osobie. Jakaś pielęgniarka odsunęła go uprzejmię, lecz zdecydowanie.

- Zobaczysz go pan za parę minut w tamtym pokoju. Pańskie dziecko, jest tam. - Wskazała mu drzwi na korytarzu. Tim spojrzął na nią nieustraszenie.

- A Ursula? Mogę się z nią zobaczyć?

- Pańska żona wkrótce zostanie przewieziona do swojego pokoju. Pani Paterson, proszę się wreszcie odsunąć od tych drzwi. Tu nie wolno stać. - Zniknęła za wahadłowymi drzwiami, ale Tim nie zrezygnował; z determinacją zaczął czekać na następną pielęgniarkę.

- Chodźmy, panie Paterson - zachichotała Rhea. - Zobaczymy Toma.

Tim pokręcił uparcie głową; chciał wiedzieć, jak się czuje Ursula. Zatrzymał następną pielęgniarkę.

- Pani Paterson? Właśnie urodziła chłopca. Jak się czuje? Doktor mówił, że mogą wystąpić komplikacje.

Chcę tylko usłyszeć, że wszystko poszło dobrze i nic jej nie grozi. Ani dziecku.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, najwyraźniej przyzwyczajona do szaleństw świeżo upieczonych ojców. Błysk w oku Tima świadczył, że nie pozbędzie się go, dopóki nie poinformuje o wszystkim.

- Świetnie. Czuje się świetnie. Mieliśmy trochę kłopotów, ponieważ nagle spadło jej ciśnienie krwi, ale już sobie z tym poradziliśmy, więc nie ma powodów do zmartwienia. Pani Paterson zostanie odwieziona do pokoju i jak tylko zbadają lekarz, będzie mógł się pan z nią zobaczyć. A na razie może pan zobaczyć swojego syna... - zaczęła wskazywać im znany już kierunek, ale Tim chwycił ją za rękę.

- Ciśnienie? Jakie ciśnienie? Ale nic jej nie jest, prawda? Ani dziecku? - Był prawie nieprzytomny ze strachu. Rhea także podniosła się ze swojego miejsca.

- Nie, nie. Są w jak najlepszym stanie. To tylko jeden spadek, który natychmiast zauważyliśmy. Ale dobrze, że pańska żona rodziła w szpitalu, a nie w domu.

Tim podziękował jej serdecznie i delikatnie pociągnął za sobą Rheę.

- Chwała Bogu. Chodźmy, zobaczymy twojego braciszka.

Rhea wiedziała, o co mu chodzi. Czy Tom będzie podobny do niego? Czy do Simona? Miała nadzieję, że będzie to widać już teraz.

Minęło trochę czasu, zanim pielęgniarka pokazała im przez szklaną szybę białe zawiniątko. Powitała ich różowa pomarszczona twarzyczka, łysa głowa,

bezzębne usta i bladobłękitne oczy. Dokładnie przyjrzeni się dziecku, starając się dojrzeć w nim choć odrobinę podobieństwa do kogokolwiek. Pielęgniarka delikatnie zakolysała Toma, który ziewnął i wysunął zaciśniętą piąstkę.

- Trudno powiedzieć, prawda? - powiedziała wreszcie Rhea. Tim zawałał się.

- Rzeczywiście. Pewnie nie dowiemy się, dopóki nie podrośnie. Może kiedyś mnie przerosnie, wreszcie zaczniemy coś podejrzewać.

- A grupa krwi? Mama ma grupę A. Wiem, bo widziałam na jej karcie. A tata ma grupę zero. Jest z tego bardzo dumny, bo podczas wojny oddawał krew jakiemś panu, który był ranny i tylko krew taty się nadawała. To się nazywa „uniwersalny dawca”, albo jakoś podobnie. A jaką ty masz grupę? - Rhea zmierzyła Tima szacującym spojrzeniem, jakby miała przed sobą byka, którego zamierza kupić. Tim wytrzeszczył oczy.

- Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. A ty? - Ale pielęgniarka już się zmęczyła trzymaniem dziecka i zabrała go, zakłócając tok ich rozumowania. Powoli wrócili do poczekalni.

- Chyba A - powiedziała Rhea po chwili zastanowienia.

- Co?

- Grupa A. Mama powinna wiedzieć. Może spytamy pielęgniarkę, jaką grupę ma Tom? - Pobieгла do pokoju pielęgniarek, zadowolona, że może przeprowadzić nowe i interesujące dochodzenie. Tim nie chciał psuć jej zabawy, ale wszystko wydawało się oczywiste. Jeśli ona miała grupę A, najprawdopodobniej Tom będzie miał taką samą. A wtedy nie będą już mogli się dowiedzieć. Pożałował, że nigdy nie zwracał uwagi na swoją grupę krwi. Pewnie kiedyś mu to powiedzieli?

Rhea pojawiła się po paru chwilach.

- A. No, to nie wiemy za dużo, co? - Wydawała się rozczarowana. Zmierzył żartobliwie jej włosy.

- Nic nie szkodzi. I tak to nie ma znaczenia. Jest nasz, a Simon nie ma o nim pojęcia. - To znowu ją rozweseliło; zaczęła planować, jak urządzi chrzciny. Tim starał się okazywać zainteresowanie. Ale tak naprawdę chciał już tylko zobaczyć Ursulę.

Kiedy wreszcie pozwolono im wejść, leżała na łóżku, bardzo zmęczona i niemal pogrążona w letargu, jakby od dawna była chora, a teraz wracała do zdrowia. Usiadł obok niej, wziął ją za rękę, a Rhea stanęła za nim z niepokojem, czekając aż matka otworzy oczy i uśmiechnie się. Wreszcie dzwignęła powieki. Zrobiła to z wyraźnym wysiłkiem.

- Widzieliście już Toma?

Tim skinął głową.

- Tak. Wygląda jak różowe pomarszczone coś z wielką bezzębną paszczą. Zupełnie nas zlekceważył, prawda? - Uśmiechnął się dumnie. - Jak się czujesz?

- Trochę lepiej. Ale jestem zmęczona.

Tim pochylił się nad nią i pocałował jej włosy. Starał się nie dotykać jej zbyt mocno. Pachniał mydłem cusson i tytoniem, jak zawsze. Pomyślała z zadowole-

niem, że dobrze jest mieć go przy sobie. Nie tak, jak Simona, który pojawił się trzeciego dnia po narodzinach Rhei.

- A wy? Poradźcie sobie?

- Oczywiście. Wszystko jest załatwione, prawda? Z samego rana spakowaliśmy samochód, wzięliśmy koce, poduszki, jak tam to nazwać. To będzie takie podróżne łóżko - zapewnił ją Tim. Mieli zostać w hotelu przez noc, a następnego ranka wrócić do domu razem z Ursulą i małym Tomem. Jeśli oczywiście nie będzie komplikacji.

Państwo Winby zostali na straży domu, i nawet pani Winby przyznała, że nie ma sensu, żeby wszyscy jechali do Perth tylko po to, żeby czekać na korytarzu. Tim martwił się o Ursulę i jej zdrowie. Rhea wzięła go za rękę. Zobaczyła, że powieki matki opadają jakby wbrew jej woli.

- Chodź, Tim. Mama jest zmęczona i musi się wyspać. Wrócimy tu rano. Mamo, Tom jest śliczny. Na razie wygląda właściwie jak żaba, ale do jutra będzie najpiękniejszy w szpitalu. - Wyprowadziła Tima za rękę, jakby to on był dzieckiem, a ona dorosłą osobą. Tim miał rozbawioną minę, a Ursula uśmiechnęła się na pożegnanie i natychmiast zapadła w głęboki sen.

Kim zamieszkała na stałe w majątku, kiedy Tom został przywieziony ze szpitala. Stoney i tak chciał, żeby z nim zamieszkała, a pani Winby, Tim i Ursula uznali, że należy Kim zabrać z hotelu w Gidgeeganup. Mogła sprzątać mieszkanie, gotować i prać - czyli to wszystko, czym się zajmowała w mieście. Ursula sama zajmowała się Tomem - kiedy tylko zdołała go wyrwać pani Winby. Wszyscy byli szczęśliwi jak nigdy w życiu.

Tim wrócił do Melbourne parę dni po narodzeniu dziecka. Musiał zacząć przygotowywać się do wyborów, powiedział z rezygnacją. Zawsze chce być tam, gdzie go nie ma, pomyślała Ursula z ukłuciem bólu. Ciągnie go w zbyt wiele stron, do zbyt wielu osób. Przeważnie chciał być z nią i dzieckiem, o tym wiedziała. Ale nawet wtedy czuł się winien, że nie ma go gdzie indziej. Ursula właściwie powinna się tym denerwować. Powinna, ale była w nim bardzo zakochana, a poza tym zdawała sobie sprawę, że nie miał większego wyboru. Tak został stworzony.

Jej własne poczucie odpowiedzialności było znacznie bardziej zawężone. Skupiało się wokół dzieci, domu i Tima. Wszystko i wszyscy mogli iść do diabła, pomyślała, trzymając Toma w objęciach w środku nocy i karmiąc go. Lubiła to uczucie, małe różowe usteczka przyspane do jej piersi. Był o wiele miłszy, niż Rhea. Przez większość czasu spał i nie budził się zbyt często, a uśmiechał się zawsze, kiedy brała go na ręce. W takie noce jak ta, kiedy wiatr jęczał wokół domu, a deszcz miarowo stukał o szyby, lubiła zabierać Toma do własnego łóżka. Rhea wyjechała, Tima nie było i dom wydawał się bez nich osamotniony. Trzymała Toma przy piersi i śpiewała do niego cichutko: „Śpij śpij, moje kochanie, tatuś poszedł na polowanie, żeby łapać króliki dla ciebie na buciki”. Ale tym razem to nie polowanie na króliki, pomyślała ze strapieniem. To polowanie na mandat. I nie daje się nim ogrzać stóp.

Gdzieś w oddali uderzały miarowo drzwi z moskitierą, choć wiatr właściwie nie wiał. Ursula nasłuchiwała niespokojnie każdego następnego uderzenia. Wreszcie zawołała Kim. Nie spodziewała się, że dziewczyna odpowie. Bardzo często bywała u Stoney'a. Może niedługo się pobiorą. Drzwi uderzyły ponownie i Ursula westchnęła.

- Sami musimy je zamknąć, co, malutki? - Okręciła się kocem, zarzucając go również na synka i wygramoliła się z łóżka. Nie było aż tak późno. Pewnie nie wybiła nawet dziesiąta. Ale kiedy wstaje się wcześniej i nie ma się nic do roboty, rozsądnie jest położyć się i spać. Tak bardzo chciała czasami zostać na parę dni w Perth. Tylko na parę dni.

- Cholerna Kim. Znowu zostawiła otwarte drzwi. Szkoda, szkoda. - Zachowywała się głupio; lamentowała z powodu głupich drzwi. W domu nie było niczego, co można by ukraść, a w okolicy nie było nikogo. A jednak czuła się jakoś dziwnie, sama z dzieckiem w otwartym domu. Posadziła sobie Toma na lewym biodrze i przymknęła na haczyk drzwi z siatką. Potem zamknęła drzwi wewnętrzne, zaopatrzone w znacznie poważniejszy zamek. Kątem oka uchwyciła jakiś ruch, coś w głębi werandy. Odwróciła się gwałtownie, z mocno bijącym sercem. Chyba nie... nie, w porządku. To tylko poruszające się prześcieradło, które Kim zapomniała wnieść do domu przed wieczornym deszczem. Teraz nie ma po co go wnosić, ponieważ ocieka wodą. Zabawne, jak przerażone oczy potrafią wypatrzyć potwory w gałęziach drzew, morderców w cieniach... męża w ruchu prześcieradła. Ponieważ właśnie on na chwilę stanął jej przed oczami. Simon, wyłoniiony z nicości, w mroku, tak jak zawsze krył się w najciemniejszych kątach jej umysłu, zawsze gotów, by znowu się pojawić.

Otrząsnęła się i wybuchnęła słabym śmiechem. Simon już nie pojawi się w jej życiu. Dopilnuje tego.

- Uważaj, co mówisz, bo już ja sprawię, żebyś więcej niczego nie powiedział. - Kim była tak oburzona, jak potrafią tylko bardzo silne młode kobiety. Pogroziła Stoney'owi pięścią. Stali w promieniach palącego słońca przed pastorem. Po twarzy Stoney'a spływały strużki potu; biała sukienka Kim zwilgotniała pomiędzy łopatkami. Pastor bez przekonania próbował ich pogodzić za pomocą wypowiedzi w rodzaju: „Co znowu, po co to wszystko”. Ale Kim nie przyjmowała niczego do wiadomości. Stuknęła palcem w pierś Stoney'a.

- Nie i koniec. Słyszysz? Posłuszeństwo! Też coś. Nie ma mowy.

- To tylko formułka. Nikt się nie spodziewa, że będziesz mi posłuszna. I tak nie jesteś - oznajmił Stoney z goryczą. Chciał wydać się jej skrzywdzony i smutny. Przyszła żona nie dała się nabrać.

- Skoro to takie nieważne, to ominiemy ten kawałek. Dobrze, możemy kontynuować.

Pastor nie był tego taki pewien. Był zwyczajnym duchownym wyznaczonym na okręg buszu i nie podobało mu się, że Kim ma już teraz wyraźny brzuszec. Ursula usiłowała zamaskować to rodzajem baskinki na spódnicy, ale wszyscy

doskonale widzieli, w jakim stanie jest narzeczona. Prawdę powiedziawszy, oprócz pastora nikt się tym nie przejmował. Kim i Stoney i tak żyli ze sobą jak małżeństwo i czekali tylko na przybycie pastora, który objeżdża busz. Sam pastor czuł się tu wręcz zbędny. A teraz nagle państwo młodzi pokłócili się o słowa przysięgi. Tego jeszcze nie było. Odetchnął głęboko i otarł pot z twarzy.

- Czy jesteście pewni, że chcecie wstąpić w ten uświęcony związek, moje dzieci? Małżeństwo to poważna decyzja. - Rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie każdy frazes, jakiego go nauczono. Kim przerwała mu bezceremonialnie.

- Tak samo jak dziecko. Proszę mówić, tylko bez tego kawałka o posłuszeństwie. Nie będę mu posłuszna, żeby nie wiem co. - Wysunęła uparcie szczękę i stanęła na rozstawionych nogach. Biała sukienka z falbankami wydawała się nieodpowiednia przy tej bojowej postawie. Stoney i pastor westchnęli jednym głosem.

- O co chodzi? Proszę dalej, pastorze - mruknął pan Winby i przestąpił z zakłopotaniem z nogi na nogę. I tak nie brali ślubu w kościele. Żadne z nich tego nie chciało. Pod niebem, tak określili to Stoney. Lubił niebo. Czasami wydawało mu się, że może w nie wskoczyć, niczym w wielką niebieską misę.

Pastor powtórzył z udręką pytanie, starannie omijając fragment, który wywołał awanturę. Kim przez chwilę nie odpowiadała. Patrzyła na niego płomiennym wzrokiem, na widok którego dostawał gęsiej skórki. Potem skinęła głową.

- Tak, w porządku.

Pastor skrzywił się boleśnie.

Ursula i Rhea uśmiechały się zachęcająco, potakując przy każdym słowie. Pani Winby opędzała się od much, a pan Winby zaczął kaszleć. Otarł spocone czoło i nasadził na głowę kapelusz, po czym natychmiast go zdjął, spiorunowany wzrokiem pastora. Tylko Will poświęcał ceremonii należytą uwagę. Był drużbą.

- W porządku, może być - mruknął Stoney, kiedy pastor powiedział, że może pocałować żonę. Nie miał ochoty jej całować. Ciągle go łajała i zawstydziała przed panią Paterson. W końcu poszedł na ustępstwo i pocałował skromnie policzek Kim. Wybuchnęła śmiechem.

- Bardzo dobrze. Teraz lepiej się staraj, bo jesteśmy małżeństwem! - Błysnęła zębami w mrocznym uśmiechu i mimo woli odpowiedział jej tym samym. Ładna z niej kobieta, nie ma co.

Goście zaczęli się do nich cisnąć z gratulacjami i przez chwilę Stoney miał ochotę sprawdzić, czy jego teoria na temat nieba jest słuszna. Było takie błękitne i tak nisko zawieszony... Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na nie. Poczul, że stopy zaczynają mu się odrywać od ziemi, a pierś wypełnia się powietrzem. Ale Kim złapała go za ramię i potrząsnęła; jego ciało znowu nabrało wagi i przygniotło go do ziemi. Pokręcił głową. Will dał mu kuksańca w ramię.

- Już po wszystkim. Skończyły się dni twojej swobody. - Wiedział o jego sekretnej pragnieniu skoku w niebo. Rozmawiali o tym w dzieciństwie. Teraz patrzył na Stoney'a ze smutkiem, który zdradzał, iż odczytał myśli przyjaciela. Na to już za późno. Kim przywiązała go do ziemi.

- Lepiej uciekaj, dopóki możesz. Teraz już mnie przy tobie nie będzie. - Stoney odpowiedział takim samym kuksańcem. - Kim nie wypuści mnie z gar-

ści. - Roześmiał się, ale w jego szerokim uśmiechu kryła się panika. Will pokiwał głową.

- Racja. Wcale nie zamierzał się uwiązać.

Kłamstwo, pomyślał i zerknął ukradkiem na Rheę. Nie, to bez sensu. Ciągle jest za młoda. Ale ostatnio, kiedy patrzył na Stoney'a i Kim, zaczęło go gnębić dziwne, niespokojne uczucie. Miał wrażenie, że jest niepotrzebny, nie pasuje do niczego i nikogo. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Spojrzał na swoje ręce. Były śniade i brudne, z połamanymi paznokciami. Brzydkie ręce, jak powiedziała kpiąco jedna dziewczyna w Gidge. Brzydkie ręce, a do kompletu brzydka twarz. Poczul, że na policzki wypełza mu rumieniec. Ona też nie była taka piękna. I brzydko pachniała, kiedy pozwoliła mu się pocałować. Papierosami, tanimi perfumami, potem... Jej ciało było miękkie w miejscach, w których się tego nie spodziewał i zbyt ściśnięte ubraniami. Wzdrygnął się na tamto wspomnienie. Drwiący głos powrócił echem w jego myślach. Nie jesteś prawdziwym mężczyzną, bo ci nie staje. Zarumienił się po same uszy. Nie miał pojęcia, dlaczego ciało zawiodło go akurat wtedy. Zwykle musiał powściągać te nieopanowane drgnienia w spodniach. Bez przerwy musiał się odwracać od Kim, żeby nie zauważyła. A ta głupia, tłusta dziewczucha powiedziała, że... Zgrzytnął zębami.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś miał kogoś zabić. - Rhea stała obok niego, mrużąc oczy przed słońcem. Jasne włosy otaczały bezładnie jej twarz. Nie miała pojęcia, co czuł w jej obecności. Nie wiedziała nawet, że jest ładna. Matka nigdy nie zachęcała jej do zachwywania się sobą, a ona wcale o sobie nie myślała. Spoglądała w lustro, kiedy myła twarz albo czesała włosy, a czasami po to, żeby przekonać się, czy zobaczy poprzez swoje rysy twarz ojca. Ale nigdy z próżności. Will żałował, że nie jest starsza, albo chociaż brzydsza. Jakie to niesprawiedliwe, że jest zarazem młoda i śliczna, kiedy on jest duży i brzydki. Szesnaście lat, czarny jak diabeł, mnóstwo blizn i odcisków, wielkie stopy... Przyglądał się jej oczami lśnięcymi od skrytych łez. Wzięła go za rękę.

- O co chodzi? Czemu jesteś taki smutny? Stoney i Kim nie wyjadą stąd. Nic się nie zmieni. A ja zostanę z tobą na całe trzy cudowne miesiące. Och, tak się cieszę, że wróciłam! Będziemy się świetnie bawić! - Zakołysała jego ręką.

- Tak, pewnie. Gdzie Tom? Twoja mama zostawiła go samego? - spytał, gwałtownie zmieniając temat.

- Leży w wózku na werandzie. Widać go stąd. Poza tym Mannie go pilnuje. Nie pozwoli nikomu do niego podejść. - Była to szczerza prawda. Mannie zaadoptowała Toma, uznawszy go za własnego szczeniaka i żarliwie występowała w jego obronie przy każdej okazji. Rhea namówiła matkę, żeby zostawiła na krótko Toma pod opieką Mannie. Dzięki temu Ursula mogła spędzać nieco więcej czasu z Timem. Rhea zdawała sobie sprawę, że to i tak za krótko.

- Tim staje się bardzo popularny. Jest młody jak na polityka, a przy tym przystojny. Naprawdę, wszyscy byli zaskoczeni, kiedy tak łatwo przejął miejsce Ginsburne'a. A po przemówieniach na temat wiejskich społeczeństw stał się ulubieńcem zwolenników partii Country. Parę uczennic zakochało się w nim. Wszy-

szy tak nam zazdroszczą, że jest przyjacielem rodziny. Boże, gdyby znali prawdę... Pewnie by umarli. Połowa Australii dostałaby zawału.

- Tak, musi bardzo uważać. Zbyt wielu jest wścibskich plotkarzy, którzy udają, że wiedzą więcej, niż mogą. - Will czasami całkiem poważnie martwił się o to. Plotkarzy w rodzaju Rona z hotelu. Kto wie, co może powiedzieć? Will lubił panią Paterson. Była naprawdę miła. Miał nadzieję, że nie spotka ją nic złego.

Myśli Rhei biegły tymi samymi torami.

- To dlatego Tim nie odwiedza nas tak często. Powiedział, że na początek będzie u nas bywać raz na dwa miesiące. Teraz zrobiło się z tego trzy do czterech. Wiem, że chce być z mamą, ale za bardzo boi się skandalu w razie, gdyby się wszystko wydało. Wiesz, czasami strasznie chcę, żeby właśnie tak się stało! - rzuciła żarliwie. - Wtedy mógłby przestać się tak krycić i udawać. Byłoby mu z nami dobrze. Przecież wychował się na farmie.

- Tak, i wyjechał z niej. No, nie wiem. Może uważa, że musiałby zbyt wiele poświęcić, gdyby zamieszkał z twoją mamą. Wiesz, Tim jest taki, że nie znosi być uwiązany. A jeśli zostanie do tego zmuszony, to zacznie umierać. Jak dzięki zwierzę w zoo. - Will zdawał sobie sprawę, że nie jest specjalnie oryginalny, ale wiedział też, że ma rację. Rhea przytaknęła.

- Jak malowane ptaki mamy - szepnęła. Will spojrzał na nią, nie rozumiejąc. - Nie, nic. Mama powiedziała mi kiedyś o czymś takim. Nieważne. Chodź, wzniesiemy toast na cześć Stoney'a i Kim.

\* \* \*

Tim nie przyjechał na Boże Narodzenie. Drugie, pomyślała Ursula ponuro. Ale wszystko wyglądało już lepiej. Majątek prosperował, państwo Winby odzywali się do niej, czasem nawet przyjaźnie, Kim - rozgadana i hałaśliwa - wydawała się prawdziwym darem niebios, a Tom i Rhea byli zdrowi i szczęśliwi. Chyba nie można prosić o nic więcej. Jej własne szczęście i tak wydawało się nietrwale. Pojawiało się, kiedy Tim dzwonił albo zjawiał się w domu i znikало, kiedy pakował walizki. Podobnie czuła się też wówczas, gdy Rhea zaczynała przygotowywać się do wyjazdu. A nawet gorzej. Rhea zawsze wróci, a on? Wydawało się jej, że z czasem się do tego przyzwyczai. Niestety.

Gdyby tylko potrafiła nauczyć się dystansu, zobaczyłaby wszystko we właściwej perspektywie. Tim nie był najważniejszy w jej życiu. Najważniejsze były dzieci i tak pozostanie na zawsze. Musi o tym pamiętać. Ale gdyby częściej okazywał jej miłość, gdyby mówił jej, że ją kocha częściej, niż raz w roku, może mogłaby się uspokoić i zaakceptować fakt, iż naprawdę była mu droższa, niż żona. Jeżeli tylko zapewniłby ją, że tak naprawdę, nie jest mężem Joanny... Ale nie zrobił tego i nie było sensu prosić go o to. Uprowadził ją, że nie umie okazywać uczuć ani o nich mówić. To musi jej wystarczyć.

Dziwne, że coś odpychało ją od niego; bała się dotknąć jego ciała, które pragnęła pieścić, całować ... bała się, że powie jej, żeby się do niego tak nie przywiązywała i stanęła wreszcie na własnych nogach. Dawne, bolesne słowa Si-



mona wróciły do niej i nie pozwalały się jej czasem do niego zbliżyć. A wtedy Tim odpowiadał na jej chłód podobnym chłodem. Za każdym razem lękała się coraz bardziej, i w końcu zaczęła się obawiać, iż Tim już się nie pojawi. Ich związek nigdy nie ustabilizował się tak, jak związki innych ludzi. Nie znali spokojnego szczęścia powszednich dni, nie mówili do siebie - witaj, kochanie, jak było w pracy? Zaraz podaję obiad. Może gdyby tak było, gorycz ich stosunków zniknęłaby? Nie wiedziała.

Tom poruszył się w jej ramionach. Poprawiła go sobie na biodrze. Uśmiechnęła się boleśnie. Gazy. Tom beknął; wytarła mu usta flanelką. Miała nadzieję, że inni nie mają im tego za złe. Ale wszyscy byli zanadto zainteresowani świątecznym obiadem. Kim i pani Winby były na nogach od świtu, przygotowując ogromne ilości jedzenia na uroczystość. A mieli co świętować.

- Moje kochanie - pocałowała Toma w czubek głowy. Miał szare oczy z zielonymi i bursztynowymi plamkami. Tim twierdził, że takie oczy miał jego ojciec. Może i tak. Oczy Simona miały odcień idealnego błękitu, tak jak oczy jego ojca. Rhea także je odziedziczyła, ale migotała w nich iskierka, której próżno by szukać u Simona. Na razie było widać tylko tyle. Na resztę będą musieli poczekać, kiedy Tom urośnie i zaczną mu się kształtować rysy twarzy.

Był krzepkim, dobrodusznym chłopcem, zupełnie innym od niespokojnej Rhei. Czy to oznaczało, że nie jest dzieckiem Simona? Och! Tak strasznie chciała wiedzieć! Rhea podchwyciła niepewne spojrzenie matki. Znowu usiłuje zgadnąć. Westchnęła. Czy to takie ważne? Czy matka ma do niej żal, że jest córką Simona? Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Oczywiście, że nie! Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

- Mogę przez chwilę potrzymać Toma? - spytała z poczuciem winy.

- Tak. Muszę chwilę odpocząć. - Otóż to, pomyślała Ursula. Odpocząć od tego wszystkiego, od zmartwienia i niepewności. Położyć się na jakiejś plaży i nie myśleć o niczym innym, niż na przykład o tym, skąd wziąć następnego drinka. A może, może... Czasami bardzo ją to kusiło. Może mogłaby pojechać razem z Timem do Singapuru? Z Perth nie było do niego aż tak daleko. Na pewno bliżej, niż z Melbourne. Mogłaby spotkać Fatimę i Yahyah. Odwiedzić bungalow. Nie, nie. W ogrodzie pogrzebano Billy'ego. Nie mogła o tym myśleć. Czy ktoś składa kwiaty na jego grobie?

- Mamo? Podoba ci się mój prezent? Zrobiłam go na lekcji szycia. - Rhea podarowała jej fartuszek, starannie wyszywany na karczku w kwiatki. Poświęciła mu wiele trudnych pracowych godzin.

- Jest przepiękny. I był mi potrzebny. Lękam się tylko, czy go czymś nie pobrudzę. Chyba będę go wkładać wyłącznie na specjalne okazje. Na przykład na Boże Narodzenie i twoje urodziny. - Nie mogła jej powiedzieć, że tasiemka do zakładania na szyję jest za krótka. Poprawi ją w nocy.

- Co pani przysłał Tim? - spytał niespodziewanie Will. Ursula się zarumieniła.

- Książkę. O kwiatkach. Wie, że chcę założyć ogród wokół domu. - Nie wspomniała o pierścionku z prostokątnym brylantem, który miała nosić zamiast tego od Simona. Ale o tym wiedziała tylko Rhea. Nie odezwała się ani słowem, kiedy

matka zamieniła pierścionki. Will skinął głową z satysfakcją. Tim nie zapomniał o pani Paterson. Tylko to się liczyło.

Po kolacji wszyscy usiedli w fotelach, słuchając radia i udając, że czytają gazety. Ursula zapadła w krótką drzemkę. Było gorąco i bezwietrznie, a poza tym i tak nie mieli co robić. Stoney i Kim zniknęli w swoim domku, niedawno wzniesionym przy pomocy Willa i pana Winby, a Rhea położyła Toma do wóczeczka i wymknęła się razem z Willem. Byli zbyt pełni życia, żeby spać w biały dzień.

Kiedy znaleźli się na tyłach stodół, Will podskoczył w górę jak z procy. Zawsze czuł, że rozpiera go radość i energia, kiedy przebywał sam z Rhea. Skoczył i sięgnął ku liściom eukaliptusa. Chybił o niespełna metr.

- Ojciec chyba nie każe ci jutro pracować? - spytała Rhea. Will wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może. Bo co? - Dotarli do wąwozu, na dnie którego ciurkał wąły strumyczek. Rhea zawahała się, czy ześliznąć się po tłustej czerwonej glinie. Zwykle nie zastanawiała się, ale dziś miała na sobie sukienkę.

- Miałam nadzieję, że moglibyśmy pojechać na piknik. Tak, jak ostatnio. Słuchaj, zniszczę sukienkę, jeśli tędy zjadę. Może obejdzimy dookoła?

Will zniecierpliwił się.

- Zdejmij ją. Nigdy w życiu nie dojdziemy do laguny, jeśli będziemy się ciągle zatrzymywać. Poza tym to ty nie chciałaś jechać konno, przez tę głupią sukienkę. Dlaczego się nie przebrałaś?

- No dobrze. Ale nie mogę dosięgnąć tych górnych guzików. Musisz je rozpiąć. - Powiedziała to zupełnie zwyczajnie. Will odwrócił gwałtownie wzrok. Jej ciało zaczęło się zmieniać. Jej biodra nie były już kościste i wystające. Nabierały kształtów, które, aczkolwiek nadal niedojrzałe, zaczynały przykuwać jego uwagę. Sutki sterczały jej przez materiał sukienki. Rhea chyba niczego nie dostrzegала. Zaczęła brnąć przez błoto; jej majtki pobrudziły się grubą warstwą gliny. Will poszedł ostrożnie za nią.

Kiedy dotarli na dno wąwozu, gdzie strumyk stawał się głębszy i płynął szybciej, sukienka pofrunęła na ziemię, a oni z krzykiem rzucili się do wody i zaczęli się ochłapywać nawzajem. Po drodze zdążyli się zgrzać i teraz gwałtownie pragnęli się ochłodzić. Rhea usiadła na dnie i odchyliła głowę; włosy unosiły się za nią na falach.

Will wygramolił się na brzeg i wyjął koszulę, którą rozłożył na kamieniach do wysuszenia. To samo zrobił ze spodniami. Zdjął jeszcze buty i znowu wskoczył do wody. Pod wpływem palących promieni słońca wkrótce wszystko wyschnie na pieprz.

Rhea zachichotała, kiedy w zimnych falach Will musiał nagle odwrócić się na brzuch. Zachmurzył się.

- Cicho bądź. No, przestań.

- Czemu tak siadasz? No, czemu? - Nie zwrócił na nią uwagi. - Will? Mówię poważnie, dlaczego?

- Pewnie z tego samego powodu, z którego tobie robią się takie te z przodu. Nie wiem.

Rhea przyjrzała się własnej klatce piersiowej, z zaskoczeniem dostrzegając wystające zaczątki piersi. Dotknęła jednej brodawki palcem. Will przyglądał się jej, niezdolny odwrócić oczu. Potem dotknął drugiej. Rhea nie zareagowała.

- Głupio wyglądają. - Zadrzała. - Chodźmy, zimno mi. Muszę się trochę poprzyżyć na słońcu.

Wyszła na brzeg i położyła się na kamieniach, nieświadoma jego zmieszania. Leżała nieruchomo, wystawiona na promienie słońca, trochę krzywiąc się od parzącego dotyku kamieni. Will w końcu dołączył do niej.

- Opadło ci już? - spytała po paru minutach niezręcznego milczenia. Will westchnął.

- Tak. Ale już nie gadaj o tym, dobrze? Nie wiem na ten temat więcej, niż ty.

- Dobrze, dobrze. Skoro masz się tak wściekać. I tak nie rozumiem, o co ten krzyk. To jakaś część ciała, prawda? Równie dobrze mogłaby to być ręka czy stopa. Dlaczego wszyscy się tym tak przejmują? - Położyła się znowu, obrażona. Will siedział w milczeniu. Jeszcze nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Może rzeczywiście miała rację, że to tylko jeszcze jedna część jego ciała. Dlaczego tata mówił, że jest nieczysta? Nie rozumiał. Po prostu przyjął, że to prawda.

- Czy twoja mama mówi, że jakieś części twojego ciała są nieczyste i nie wolno ich pokazywać? - spytał z wahaniem. Rhea podniosła się i spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Nie, skąd. A twoja mówi?

- Nie. O tym nigdy. Ale tata tak powiedział. I że nie wolno o tym myśleć ani tego dotykać i nigdy, przenigdy nikomu pokazywać. Ale czasami to bardzo trudne.

- To głupie. Po co by ci to było, skoro nie jest do niczego potrzebne. I dlaczego nie mam na to spojrzeć, skoro chcę? Co się wtedy stanie? Widziałeś moje piersi. I nic się nie stało.

- Nie... ale kiedy dorośniesz i zrobią się większe, no wiesz...

- Piersi, Will. To się nazywa piersi - zniecierpliwiła się. - I nawet, kiedy dorosnę, będę pływać bez stanika. Ty i Stoney już mnie widzieliście, więc co za różnica? Tak jest wygodniej. W szkole musimy nosić jednoczęściowe kostiumy i to wcale nie jest przyjemne.

- Nie wolno. Tak się po prostu nie robi. A twój mąż by się wściekł, gdybyś nie miała stanika i inni mężczyźni by na ciebie patrzyli - wytknęła jej Will. Rhea rozważyła jego słowa.

- A to dopiero głupota. Ale wyjdę za ciebie, a wtedy będę mogła robić, co mi się spodoba. Tobie jest wszystko jedno, a Stoney jest żonaty, więc się nie liczy. Czy Kim pływa bez stanika?

Will zamilkł na długą chwilę.

- Nie, kiedy ją widzę.

Na tym poprzestał. Zastanawiał się nad tym, co powiedziała Rhea. Byłoby dobrze, gdyby za niego wyszła. Nie musiałby wyjeżdżać i pracowałby dla siebie, nie dla ojca. Ta myśl sprawiła mu wielką przyjemność.

- Ale i tak będę robiła to, co chcę, nie to, co mówi twój tata czy Kim. A jeśli zechcę pływać bez majtek, to też to zrobię. Patrz.

I jednym zgrabnym ruchem zdjęła figi i siedziała spokojnie pod przerażonym spojrzeniem Willa. Na jego policzkach wystąpiły rumieńce.

- Nie waż się... - zaczął, ale ona roześmiała się i wstała, po czym ruszyła beztroško do strumyka. Jej białe pośladki skurczyły się pod uderzeniami zimnej wody. Położyła się w wodzie i przez chwilę pluskała się w niej, a potem wróciła do Willa. Odwrócił oczy.

- Tak jest jeszcze milej. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy kąpią się w ubraaniu. To bez sensu. Spróbuj.

Nie rozumiała jego skrępowania. Czemu zachowywał się tak głupio? Will wzdrygnął się, kiedy wyżeła włosy na jego pierś.

- Zostaw mnie. Jesteś za mała, żeby wiedzieć, co mówisz, ale zakładam się, że twoja mama by się zdenerwowała, gdyby wiedziała, co zrobiłaś. Nie wolno chodzić na golasa. Przede wszystkim, to niegrzeczne.

- Niegrzeczne? Dlaczego? Jestem brzydka czy cię obraziłam? - Położyła się obok niego. Rhei podobało się, że miała nad nim tę dziwną władzę. Była zadowolona, że tak się jej przyglądał.

- Nieee. To tylko niesprawiedliwe. Przez ciebie czuję coś, czego nie powinienem czuć do ciebie, przynajmniej dopóki się nie pobierzemy. No, nie wiem. Jakoś to jest niesprawiedliwe. -1 z nową determinacją, płynącą z uświadomienia sobie tej prawdy, wstał, ubrał się i zaczął wspinać po zboczu. Rhea obejrzała się za nim.

- Will, poczekaj! Ja też idę! - Włożyła majtki i pospiesznie złapała sukienkę i buty.

Will czekał, aż zdoła się wygramolić po stromym zboczu na drogę, którą tu przyszli. Już się z nim nie droczyła i wyglądała na przygaszoną, więc zapiął jej sukienkę z tyłu i kiwnął głową

- Tak jest lepiej - powiedział. - A następnym razem włoż stanik.

I odszedł, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

Kiedy Tim pojawił się znowu, był już prawie marzec. Pogoda zaczęła się zmieniać; słońce powlekło się cienką mgiełką, a pojawiający się czasami chłodny wietrzyk zwiastował nadejście jesieni. Ursula była w ogrodzie, w którym zamierzała posadzić warzywa. Kim znajdowała się w kuchni. Oba maluchy - Tom w jednym wózku, a pierwsza pociecha Kim, Percival, w drugim - leżały na werandzie pod czujną opieką Mannie. Razem stanowiły dziwny kontrast, jeden bardzo jasny, drugi ciemny. Ale dla Kim i Ursuli nie różnili się niczym, a i pani Winby zdecydowanie zbyt wiele czasu spędzała na rozplływaniu się nad nimi, według określenia jej męża. Wyglądało na to, że dzieci nie są pewne, kto właściwie jest ich matkami.

Kim wypadła na werandę, głośno wykrzykując: „On tu jest, proszę pani, on tu jest!”. Zza jej pleców wyłonił się Tim i spojrzał w jej stronę, oceniając

oczy dłonią. Och, dlaczego, dlaczego jej nigdy nie uprzedzał? Dlaczego uparcie pojawiał się akurat wtedy, gdy wyglądała jak nieboskie stworzenie, w starych przepoconych ubraniach, cała w piegach od słońca, bez odrobiny makijażu i z surowo ściągniętymi włosami? Machnęła do niego ręką, umazaną w świeżej ziemi.

- Co ty tam robisz, na miłość boską? - Zszedł po schodkach werandy; jego moleskinowe spodnie lśniły w słońcu, a Ursula poczuła niemal fizyczny cios, jakby ktoś dał jej mocnego kuksańca w żebra. Wciągnęła powietrze w płuca i wypuściła je, a w piersi znów rozgościł się dobrze znany słodki ból.

- Kopię, a czego się spodziewałeś? Może włożysz jakieś robocze spodnie i trochę mi pomożesz? - Ze względu na Kim nie okazywała żadnego uczucia poza niedbałą sympatią. Tim uśmiechnął się.

- Dobrze. Przyda mi się trochę pracy. Ostatnio za bardzo przyzwyczałem się do siedzenia za biurkiem. Nie przypuszczałem, że z polityką wiąże się tyle biurokracji! - Podeszedł do niej, oparł się o motykę i pocałował Rheę w policzek. Kim pomachała im gwałtownymi, dzikimi ruchami i zniknęła w domu.

- Widziałeś już Percy'ego? - Ursula uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy, w których malował się niepokój i pożądanie.

- Tak. Kim pochwaliła się nim od razu. Przyjemny drobiazg. Będzie dobrym towarzyszem zabaw dla Toma. A Tom jest piękny. Coraz bardziej podobny do mnie - dodał z dumą i Ursula nie mogła się z nim nie zgodzić. Dziecko rzeczywiście przypominało bardziej Toma, niż Simona. Może się jej zdawało, a może nie. Pokręciła głową.

- Ponoś cię wyobraźnia, kochanie. To przecież ciągle niemowlę. Na razie nie jest podobny do nikogo. - Nie wiedziała, dlaczego nie chce mu przyznać prawa do Toma, ale coś kazało jej stanowczo zaprzeczać za każdym razem, gdy powracała sprawa ojcostwa. Wyjęła z kieszeni list i pomachała nim przed nosem Tima.

- Od Lettice. Przeczytaj.

Zmarszczył brwi, ale posłusznie wyjął kartkę z koperty.

„Droga Ursulo" zaczynał się list, dość - trzeba przyznać - konwencjonalnie. „Właśnie usłyszałam zadziwiające wieści. Cały Londyn trzęsie się od nich, a my, biedni wieśniacy, dowiadujemy się o wszystkim ze stosownym opóźnieniem. Ale stopniowo informacje docierają nawet tutaj. Humphrey wyrzucił Simona z domu! Julia mogła opuścić go wraz Simonem, ale - jako rozsądna kobietka, czego nikt nigdy nie mógł jej odmówić - postanowiła zostać tam, gdzie jej miejsce, przy dzieciach. Humphrey zrezygnował z kariery i zamierza zabrać się do pisania pamiętników! Nie potrafię sobie wyobrazić, jak też będą wyglądać!”. Lettice była gorącą zwolenniczką wykrzykników. „Humphrey ogłosił wszem i wobec, że nie odpowiada za długi syna i że wykluczył go z testamentu. W ogóle zrobił wszystko to, na co powinien zdobyć się już dawno temu. Może gdyby wtedy zachowywał się jak mężczyzna, byłabyś nadal w Elsing, a nie w jakiejś dżicy. Co u Tima? Przekaż mu moje wyrazy pogardy.

Simon oczywiście narobił sobie długów i obecnie kryje się przed wierzycielami. Przez całe lata liczył na spadek po Humphrey'u i teraz miałby poważne kłopoty nawet ze spłatami odsetek od długów. Podejrzewam, że jest w Cotters i zamierzam wybrać się tam dziś po południu. Oczywiście jeśli Hugh nie będzie czuł się gorzej. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale jest jakiś inny. Zasłabł w ogrodzie i musiał usiąść. I miewa jakieś niedobre bóle w brzuchu, a jeśli mnie oko nie myli, ostatnio mu się pogorszyło. Nie wiem, co zrobić, jeśli naprawdę się rozchoruje. Próbowałam, bez szczególnego powodzenia, zmusić go do zasięgnięcia fachowej porady. Cullen nic tu nie poradzi, za stary, ale jest u nas taki nowy młodzieniec, który akurat mógłby się na coś przydać. Chciałabym, żebyś napisała do nas i powiedziała to Hughowi, bo mnie nie chce słuchać".

Tim spojrział pytająco na Ursulę.

- Lettice chyba nie przepada za robieniem akapitów, a te jej skłonności ujawniły się teraz w pełni. Czytałaś to o Hughu?

Przytaknęła; Tim wzruszył ramionami i czytał dalej.

„Rhea napisała wiersz o tym waszym buszu. Uważam, że ma talent, a ty? Opisujesz wszystko tak plastycznie. Dla mnie brzmi to strasznie! Jak ty tam wytrzymujesz? Naprawdę nie rozumiem. W dodatku ten Tim, który pojawia się tylko wtedy, kiedy to mu pasuje! Nie będę pisać dalej, bo wiem, że cię to denerwuje, ale czasami mam dość tych chłopów - z wyjątkiem Hugh'a, oczywiście, który jest absolutnym wyjątkiem i najwspanialszym człowiekiem na świecie. Skoro zaś mówimy o mężczyznach w ogólności i samym diable w szczególności, proszę, kogóż to diabli wnieśli do mojego ogrodu. Ni mniej, ni więcej, tylko twojego marnotrawnego męża. Piszę ten list w salonie. Oho, zaraz zapuka. Lepiej już pójść i otworzę temu opuszczonemu biedactwu. Uwolnię go od ciężaru plotek. Ach, jego wersja wypadków będzie smakowitym kąskiem! Skończę później.

W listach najlepsze jest to, że nie trzeba czekać, aż piszący się wysłowi. Minęło parę godzin od przyjścia i wyjścia Simona. Wygląda jak ostatnia sierota, moja droga, i nie będę tego ukrywać. Zszargany i zarośnięty! Zupełnie niepodobny do siebie! Bez pieniędzy i bez kobiety, która by się nim zajmowała. Mówi, że chce wyjechać do Indii albo na Daleki Wschód. Powiedziałam mu, że wszystko jedno gdzie się uda; skoro zawalił wszystko tutaj, gdzie indziej nie będzie inaczej. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Nigdy nie przepadał za moimi ludowymi mądrościami. Dałam mu jednak herbaty, a on powiedział, że chata jest okropnie ciasna i w ogóle ohydna. Tam się w ogóle nie da mieszkać. Wytknęłam, że spodziewał się, że tobie będzie odpowiadać. Wtedy obraził się i wyszedł. Chyba nie złoży mi następnej wizyty. Martwi mnie tylko jedno, kochanie. Przyłapałam go na myszkowaniu po moim biurku, kiedy wyszłam przygotować herbatę. Powiedział, że szukał jakiejś czystej kartki, bo chce zrobić sobie spis spraw do załatwienia. Nie wierzę mu i sądzę, że szukał listu od ciebie oraz twojego adresu.

Dobrze, muszę już kończyć. Proszę, napisz wkrótce. Twoje listy są dla mnie wytnieniem. Pozdrawiam, Lettice.

PS Minął miesiąc, odkąd to napisałam. Wiem, że powinnam wysłać to szybko, ale jakoś zwlekałam w obawie, że jednak znalazł ten list. Przepraszam, ale skąd miałam wiedzieć, że okaże się takim wścibskim padalcem!"

Tim złożył list i wsunął go powoli do koperty. Oddał go Ursuli.

- Ciągłe ma mi za złe, co? Miałem nadzieję, że już mi przebaczyła. Biedny Hugh. Nie wiem, ale dla mnie wygląda to na raka. Odpisałaś już? - Ursula przytaknęła. - No tak, i ten Simon. Chyba nie sądzisz, że tu przyjedzie?

- Może to zrobić. Musi gdzieś zamieszkać, i to z dala od wierzycieli. Myślę, że nie powinnam wykluczać takiej możliwości. Poza tym może mu się wydawać, że to wielka posiadłość, a wiesz, jaki to snob; pewnie chciałby się stać panem na włościach. - Uśmiechnęła się ponuro i pokazała mu brudne ręce, pokryte odgnieniami i bliznami. Tim ujął jedną z nich i pocałował ją.

- Może powinnaś się z nim rozwieść?

- Jak? Po pierwsze, to ja go zostawiłam, więc to raczej on powinien wnieść sprawę o rozwód, a nie sądzę, żeby się na to zdecydował. Poza tym dowiedziałby się, gdzie mnie szukać... i gdzie jest Rhea. Wiesz, jak bardzo sprzeciwia się spotkaniu z ojcem. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nagle się tu pojawił i powiedział, że się wprowadza. I co z Tomem? Bóg jeden wie, jak strasznie nie chcę, żeby się o nim dowiedział... albo o tobie.

- Myślisz, że będzie chciał się zemścić na dziecku albo na mnie? - upewnił się Tim bez przekonania.

- Nie fizycznie. To nie w jego stylu, chyba że w stosunku do słabszych. Ale bez chwili wahania zniszczyłby twoją karierę. Nie możemy tego zaryzykować. Ten kawałek papieru, na którym będzie napisane, że nie jestem już jego żoną, nie jest tego wart. Poza tym, po co mi on? I tak mnie nie poślubisz. - Przy tych słowach odwróciła głowę. Tim westchnął.

- Tak, masz rację. No dobrze. Zaraz się przebiorę i przyjdę ci pomóc.

Przez całe popołudnie pracowali ręką w rękę i do wieczora osiągnęli zadowalające rezultaty. Kim zawałała ich do domu; kiedy wreszcie przyszli, trzeba było zapalić światło, a chmary komarów kłębiły się za moskitierami. Ursula pierwsza weszła pod prysznic, zostawiając Tima na bujanym fotelu, z Tomem na ramieniu i piwem w drugiej ręce. Obaj wydawali się zadowoleni.

Kim wkrótce potem poszła do Winbych, gdzie wszyscy jedli wspólną kolację. Wzięła ze sobą Percy'ego. Ursula usiadła na ganku, otulona obszernym szlafrokiem; mokre włosy okręciła ręcznikiem i wzięła Toma na ręce. Kiedy Tim pluśkał się pod prysznicem, ona karmiła dziecko i śpiewała mu kołysankę. Potem położyła go do wózka w pokoju Rhei.

- Rhea dobrze czuje się w szkole? - spytał Tim, kiedy zgasili światło i przykneśli drzwi pokoju, w którym spało dziecko. Ursula uśmiechnęła się.

- Uwielbiają. Zawsze lubiła szkoły z internatem. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale Rhea jest bardzo niezależna. Will jest bez niej zupełnie zagubiony. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Mmm... Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam i jak strasznie chciałam wysłać dziś Kim do Timbaktu.

Zacisnął dłonie na jej talii tak mocno, jakby chciał ją złamać w pół.

- A Winnych i resztę na koniec świata. Tak, wiem! - Pocałował ją. - Nie jestem głodny, a ty? Chodź do łóżka.

Później, kiedy odgłosy nocy ucichły i przeszły w cichy szmer, a sypialnia ochłodziła po skwarze dnia, Ursula położyła głowę na piersi Tima, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w mrok za oknem. Przypomniała sobie tamto łopoczące prześciera-dło i wzdrygnęła się. Może Simon naprawdę wkrótce wyłoni się z mroku.

Uśpiony Tim oddychał powoli i równo. Ursula pocałowała jego pierś. Nawet nie drgnął.



## Rozdział dwudziesty trzeci

Zaczęło się bardzo zwyczajnie. W liście znajdowała się kartka, na której jakaś niewprawna ręka nagryzmoła: „Wiem, kim jesteś”. I tyle. Żadnych gróźb, żadnych żądań. Nie było nawet podpisu. Ursula dostała trzy takie listy w ciągu tygodnia. W milczeniu schowała je do biurka. Tylko zmarszczka wokół zaciśniętych ust zdradzała jej strach. Tim był już od roku w parlamencie. Na tyle długo, by wszyscy go poznawali. Wiedziała, że autor anonimów nie przestanie na tym.

Do jej urodzin, które wypadają w listopadzie, listy nabrały bardziej konkretnego charakteru.

„Wiem, kim jesteś i wiem, kim jest on. Jeśli nie chcesz, żeby świat się o tym dowiedział, lepiej zacznij myśleć”.

Myśleć! Nie robiła nic innego od chwili otrzymania pierwszego listu. Miała trzydzieści jeden lat i była zdecydowana nie dać sobą pomiatać. Wiedziała, że za listami kryje się Simon. Jakoś dowiedział się o niej i Timie. A teraz wydawało mu się, że szantażem zmusi ich, żeby go utrzymywali. Zgniotła list w ręce.

No, więc niech mówi. Niech powie wszystkim, że ten wspaniały, młody, troskliwy pan Nowlton ma kochankę i dziecko z nieprawego łoża, które chowa na odległej farmie przed młodą żoną i synem. Taki skandal złamałby jego karierę. I skompromitowałby go w towarzystwie. Wtedy musiałyby schronić się w Gidgeganup. Ursula uśmiechnęła się niewesoło na myśl, jakby to się spodobało Simonowi.

Na razie nie powiedziała o niczym Timowi. Nie było sensu go denerwować, dopóki sama panuje nad sytuacją. Na razie ma on na głowie zbyt wiele różnych spraw. Nie chciała go jeszcze tym obciążać. Kogo Simon poprosił o napisanie

tych listów? To nie jego charakter pisma, a stempel na znaczku świadczył, że list został wysłany z Subiaco, przedmieścia Perth. Czy to znaczyło, że Simon także przyjechał do Perth? I siedzi na głowie następnej nieszczęsnej kobiecie, która oknie się, kiedy będzie już za późno. A może nadal mieszka w chacie i wykorzystuje kogoś mieszkającego w Perth?

- Nie tym razem, chłopcze - mruknęła. Rozprostowała pomiętą kartkę i włożyła ją wraz z innymi do szufladki w biurku. - Teraz nie obchodzi mnie, co ze sobą zrobisz. Nie będziesz mi się kręcił po moim życiu, ani jako mąż, ani jako szantażysta.

W Nowy Rok 1959 Simon przeszedł do rzeczy. Oczywiście chodziło o pieniądze. Cóż innego mogło go obchodzić, pomyślała gorzko Ursula. Ale taka suma? Chyba oszalał, jeśli naprawdę się spodziewał, że będzie od niej dostawał tyle co miesiąc do końca życia. Chciał z niej wycisnąć wszystkie soki. Usiadła przy biurku i zaczęła obmyślać odpowiedź. Tom i Percy raczkowali po podłodze i ciągnęli Mannie za ogon, ogólnie bardzo zadowoleni z życia. Ursula zaczęła się zastanawiać, czy Simon mógł się dowiedzieć o Tomie. Serce zamarło jej na chwilę. Może wiedział. Może... ale nie, nawet jeśli wiedział o dziecku, pewnie uzna, że należy do Tima. Co było najbardziej prawdopodobne. Nie, z tym nie będzie kłopotów.

„Drogi Simonie zaczęła. Kogo chcesz nabrać? Nie mam takich pieniędzy, a gdybym miała, nie dałabym ci z tego ani grosza. Szantaż działa wtedy, jeśli utrzymanie czegoś w tajemnicy warte jest każdej sumy - powinieneś wziąć ten drobiazg pod uwagę przed rozpoczęciem tego rodzaju kariery. Jest mi absolutnie obojętne, czy świat dowie się o wszystkim dzięki tobie, ponieważ o nic innego mi nie chodzi. Powodzenia.

Twoja rozczarowana eks  
U”.

Umyślnie nie podpisała się imieniem na wypadek, gdyby chciał wykorzystać ten list przeciwko niej. Zakleiła kopertę i wrzuciła ją do skrzynki, niezwykle zadowolona z siebie. I wcale się nie zdziwiła, kiedy listy przestały przychodzić, a w prasie nie pojawiło się ani słowo na temat jej romansu. Doprawdy, Simon okazał się zbyt łatwy do pokonania.

Tom skończył w kwietniu dwa lata i wyrósł na dobroduszne, ładne dziecko o jasnych włosach i dużych szarych oczach. Był tak podobny do Tima, że wszyscy zwracali na to uwagę i pytali, czy Tim nie jest jakoś z nią spokrewniony. Ursula odpowiadała niedbale, że chyba tak, że strony matki. W cichości ducha liczyła na to, że Tom nagle zacznie przypominać kogoś zupełnie innego. Tim promieniał cichym szczęściem.

Przyjęcie urodzinowe odbyło się nad laguną. Wyprawili piknik na kocu, rozłożonym na trawie. Wszyscy zrobili sobie parę godzin przerwy dla uczenia

uroczystości, a Tim specjalnie z tej okazji przyleciał z miasta. Nie był na pierwszych urodzinach Toma.

Tom siedział na honorowym miejscu na samym środku koca. Ursula włożyła mu na głowę papierową czapkę i pomogła zdmuchnąć dwie świece na tortcie. Był bardzo podniecony i szczebiotał jakieś oderwane słowa. W przerwach nadymał policzki i przyciskał je dłońmi. Nauczył się tego całkiem niedawno i efekty, jakie osiągał, zachwycały go w najwyższym stopniu. Buzię miał wysmarowaną czekoladą i keczupem z kiełbasek, które piekli w ognisku. Wydawał się bardzo szczęśliwy.

Znad wody uniosła się ważka, zawisa nad kocem i na ułamek chwili przysiadła na główce chłopca. Drgnął, a usta mu się wykrzywiły w płaczącą podkówkę, ale Rhea roześmiała się.

- Patrz, Tom, ważka! - Wskazała ją palcem. - Masz szczęście, że zechciała na tobie usiąść. Widzisz, jaka ładna?

Tom wyciągnął rączkę i ważka przeniosła się na nią, a potem poszybowała w stronę lasu. Tom odprowadził ją wzrokiem i mruknął z namysłem „aka”. Potem wrócił do leżących przed nim prezentów.

Tim podarował synowi między innymi wiaderko i łopatkę, które Tom postanowił natychmiast wypróbować. Polegało to na uporczywym bębnieniu łopatką o wiaderko, od czego wszyscy obecni dostali bólu głowy. Will i Rhea zaproponowali, że zaprowadzą Toma do gliniastego wąwozu, gdzie będzie mógł stawiać bakki. Ursula oddała im synka z uśmiechem pełnym ulgi.

W wąwozie było gorąco i duszno; gliniaste ściany blokowały przepływ powietrza, a ostatnie deszcze rozmiękczyły glinę na grząskie bagno. Tom roześmiał się z niepokojem, brnąc i zapadając się w mazi. Will zanurzył palec w glinie i namalował dwie czerwone kreski na policzkach Toma.

- Teraz jesteś Indianinem. A gdzie masz łuk i strzałę? Rhea podniosła z ziemi patyk i wręczyła go Tomowi.

- A, to jest strzała. Teraz tylko musimy znaleźć ci łuk. Posiedź tu spokojnie, a my go poszukamy. Widzisz? Możesz kopać w błocie. - Pogłaskała go po głowie i ruszyła w głąb wąwozu, rozglądając się za jakimś pnączem, które mogłoby posłużyć za cięciwę. Zerkła spod opuszczonych rzęs na Willa. Wyrósł na wysokiego młodzieńca o spłowiałych od słońca brązowych włosach i śniadej cerze. Ostatnio jakoś ciągle musiała na niego patrzeć. Inne dziewczynki w szkole bez przerwy paplały o chłopcach, choć tylko niektóre jakichś znały, a ci mogli się pochwalić głównie trądzikiem i przetłuszczonymi włosami. Podobało się jej, że Will jest zupełnie obojętny na to, jak wygląda, i że dobrze wie, co jest dobre i złe. Kiedyś będzie z niego dobry mąż.

Will przeszedł przez strumyk i zbliżał się do przeciwległego brzegu. Nie obejrzał się na Rheę, choć czuł na sobie jej spojrzenie.

- Hej! To jest dobre! - zawołała Rhea; Will podszedł do niej i przyjrzał się krytycznie długiemu pędowi. Nagiął go w dłoń i przeciął nim ze świstem powietrze.

- Tak, bardzo dobre. Nadaje się. Teraz jeszcze tylko cięciwa. - Podniosła głowę i napotkał jej uważne spojrzenie. - Co jest? Czemu się tak na mnie ga-

pisz? - warknął zaczerwieniony z rozdrażnienia. Rhea odwróciła się i wzruszyła ramionami.

- Bez powodu. Chodź, wracajmy. - Ruszyła w powrotną drogę.

Nie było ich tylko parę minut. Tylko tyle. Ale gdzieś z oddali rozległ się cienki, przerażony krzyk Toma. Rzucili się pędem ku niemu. Serca były im niespokojnie. Kiedy nie znaleźli go w miejscu, w którym go zostawili, spojrzeli na siebie z bezradnym przerażeniem. Will zauważył go pierwszy.

- O Jezu, nie. Proszę, nie! - wyszeptał.

Tom znalazł rozpadlinę na ścianie wąwozu i wspiął się na nią. Rozpadlina, wyżłobiona przez deszcz, miała cienkie ściany i nagle się zawałiła, grzebiąc pod zwalami gliny chłopczyka, który miał tylko tyle czasu, żeby wydać z siebie krzyk przerażenia.

- Rhea! Biegnij po pomoc! Ja go spróbuję wygrzebać. - Will zareagował szybciej, niż dziewczynka. Rzucił się na stertę błota i zaczął rozszarpywać ją gołymi rękami. Rhea stała przez chwilę niepewnie, a potem rzuciła się do biegu.

- O Boże, nie pozwól na to, nie pozwól! - mruczał Will, gorączkowo odwalając zwaly błota. Widział, że w miejscu, gdzie nawis spadł na chłopca, pozostała szczelina. Wcisnął się w nią i zaczął kopać jeszcze szybciej. Niemal zaraz potem trafił na buzię Toma, leżącego pomiędzy dwoma warstwami gliny jak kielbaska w hot dogu. Ich ciężar wyciskał z niego powietrze. Will oczyścił nos i usta chłopca, i kopał dalej, napierając ramieniem na ścianę błota.

Do chwili, w której nadbiegli Tim i Stoney, zdołał wydobyć głowę i klatkę piersiową Toma. Zatrzymali się nad nim, ale nie mogli mu pomóc. Nie mieli dość miejsca. Will pociągnął Toma i wreszcie udało mu się ruszyć bezwładne ciało dziecka spod przygniatającego go ciężaru. Tim sięgnął ponad rozpadlinę i chwycił rączki chłopca. Tom był ciągle przytomny, jego śmiertelnie pobladła spocona buzia umazana błotem, a z ust wyrwały się ciche piski przerażonego zwierzątka. Will przekazał go Timowi, który mocno choć delikatnie pociągnął go ku sobie. Błoto wypuściło chłopca z przeciągłym mokrym cmoknięciem. Tim podał dziecko Stoney'owi i oparł się o ścianę wąwozu. Otarł spocone czoło ramieniem.

- Dzięki Bogu! Już myślałam... - Skrzywił się i przykucnął przy Willu. - Długo zamierzasz tu leżeć? Trochę niezdrowa okolica. - Całe zbocze napierało na występ, który uratował życie chłopca. A Will znajdował się w miejscu, w które powinny za chwilę runąć zwaly gliny. Tim wyciągnął do niego rękę. Twarz Willa pobladła ze strachu i nagłej ulgi.

- Chodź, bracie. Daj rękę - ponaglił go Tim. I w tej samej chwili zbocze ruszyło.

- Will, daj rękę! - wrzasnął Tim i chwycił chłopaka. Czuł, że błoto osuwa się z góry, a miejsce, na którym oparł stopę zaczyna się chwiać. Will patrzył na niego ze zgrozą. Gdyby występ się obsunął, czekałaby go pewna śmierć. Pogrzebany żywcem w gliniastym grobie. Wczepił się w dłoń Tima, który pociągnął go ku sobie i obaj runęli w dół, koziółkując jeden przez drugiego. Za nimi sunęły gęste fale błota i kamieni. Czekający z boku Stoney odciągnął ich na bok, usuwając z drogi. W chwilę potem zwaly gęstego błota dotarły do przeciwległej ściany.

Ursula tuliła do siebie Toma i sprawdzała, czy nie ma czegoś złamanego, kiedy usłyszała odgłos osuwającej się ściany wąwozu. Krzyknęła i chwyciła dziecko. Tim i Will wydobywali się właśnie z błota, wspomagani przez Stoney'a. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie zdążyła się porządnie przestraszyć. W ułamku sekundy błoto zalało cały jar, włącznie ze strumykiem, a mężczyźni leżeli, dysząc, na brzegu. Will miał na twarzy głęboką ranę, z której lała się krew. Tim był pokaleczony i posiniaczony. Obaj leżeli dygocząc i nie mogli oderwać wzroku od czerwonej gliny, która utworzyła tamę. Gdyby zwlekali choć chwilę dłużej, stałaby się ich grobem.

Potem zaczęli się uśmiechać. Wszyscy trzej, także Stoney, wydali dziki okrzyk radości, a może przerażenia albo wdzięczności. Rhea oderwała się od matki i rzuciła się w stronę Willa. Objęła go chudymi ramionami i przywarła do niego z całej siły. Poklepała ją z zakłopotaniem po plecach. Stoney zbliżył się do Kim. Wymierzyła mu żartobliwy policzek i objęła. Wyszczrzył zęby z zadowoleniem. A Tim powlókł się chwiejnie do Ursuli i Toma i przycisnął ich mocno do siebie. Państwo Winby stali na miejscu niedoszłej katastrofy i patrzyli na nie tępo. Przez parę chwil panowało absolutne milczenie. Nawet ptaki przerwały śpiew. Pan Winby przestąpił z nogi na nogę. Starał się wyrazić jakoś swoje uczucia. Wreszcie oznajmił dobitnie:

- Koniec. - Splótł ramiona na piersi. - Koniec zabaw w wąwozie.

Nie miał pojęcia, dlaczego wszyscy zaczęli się śmiać. I śmiali się przez całą drogę do domu. Nie słyszał piskliwego tonu hysterii w ich głosach. Wobec tego się obraził. Przecież to właśnie należało powiedzieć w takiej sytuacji. Żona nie odezwała się. Jak zawsze.

Will i Tim zostali odesłani do łazienki, gdzie mieli zmyć z siebie skorupę zaschniętego błota, żeby można było opatrzyć im rany. Ursula zaniósła Toma do wielkiego kuchennego zlewu, który napełniła ciepłą wodą. Chłopczyk ciągle szlochał; miał oczy ogromne ze strachu i podbite ciemnymi sińcami. Pod warstwą czerwonej gliny widać było poobijane ciało, ale nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Ursula pocałowała go i pozwoliła mu bawić się mydłem. Dziś mógł wymydlić go nawet tonę. Rhea stała nieopodal z ręcznikami dla wszystkich.

Rozpalili ogień w kominku i usiedli wokół niego, popijając kawę z odrobiną brandy. Rhea uważała, że smakuje okropnie, ale w żaden inny sposób nie mogła pozbyć się dygotu. Podobnie jak Will. Siedział teraz przed kominkiem z twarzą obandażowaną przez matkę. Wszyscy śmiali się nerwowo i ściskali Toma. Mimo przeżytego strachu, najwyraźniej zaczęli już dochodzić do siebie i zamierzali pobawić się pozostałymi zabawkami. Ale dla wszelkiej pewności jedną ręką trzymał się swetra Ursuli. Rhea mocno ścisnęła dłoń Willa. Na myśl o tym, że mógł zostać pogrzebany żywcem, przechodził ją dreszcz. Wreszcie zasnęła przy nim, a on objął ją ramieniem.

Ogień syczał i pryskał iskrami z palącej się żywicy; po przeżytym wstrząsie jego widok działał hipnotyzująco. Wszyscy czuli, że powieki zaczynają im opadać, usta otwierają się mimo woli, a pan Winby cicho zachrapał.

- Pora spać - powiedział Tim, z wysiłkiem podnosząc się z sofy. Pochylił się nad Rheą, wyłuskał ją z objęć Willa i zaniósł do pokoju. Tom miał tej nocy spać z matką. Ursula podała go na chwilę pani Winby, a sama powiedziała dobranoc chłopcu. Chwiała się ze zmęczenia. Przytuliła go mocno do siebie.

- Dziękuję, Will. Nie potrafię wyrazić... - zamilkła, bliska łez. - Chyba nigdy ci się nie zdołam odwdziżyć za to, co zrobiłeś. Nie zapomnę tego. Obiecuję. - Pocałowała go w zdrowy policzek i wzięła Toma na ręce. Tim odczekał dyskretnie parę chwil, zamknął dom i wyłączył światło, zanim poszedł za nią do sypialni i położył się u jej boku. Przez całą noc leżeli w uścisku.

Rano Tim jakoś przygasł. Siedział przy biurku Ursuli, zatopiony w myślach. Ursula i Rhea chodziły dokoła niego i w przelocie rzucały sobie pytające spojrzenia. Każda kręciła głową. Nie, nie wiedziały, co mu się stało. Ursula przyniosła mu filiżankę kawy, za którą podziękował z roztargnieniem. Pukał piórem o czystą kartkę papieru. Ursula położyła mu rękę na ramieniu i pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po dłoni. Potem znowu pogrążył się w rozmyślaniach.

Tom był na ganku, gdzie klócił się z Percym, kto teraz powinien bębnić w bębnek. Wyglądało na to, że nie pamięta wczorajszego dnia. Uśmiechnął się promiennie do matki, kiedy przyszła go zabrać. Wzięła Percy'ego pod pachę, przyniosła ich obu na obiad i usadowiła w podwójnym bujanym fotelu, który pan Winby znalazł w Gidge. Wyglądali jak dwa różnokolorowe ziarnka grochu w strączku. Tom, który był kapryśny w jedzeniu, nauczył się głośno domagać swojej porcji na widok Percy'ego, posłusznie otwierającego buzię na przyjęcie rozmaitych pociągów i autobusików zjedzeniem. Rhea kolejno niosła im do ust łyżki. Ursula zostawiła ich i poszła do salonu, w którym Tim ciągle tkwił przy biurku.

Wyglądał przez okno w stronę sadów. Miał boleśnie ściągniętą twarz. Ursula usiadła przy nim.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytała łagodnie. Nie odpowiedział. Potem powoli odwrócił do niej głowę.

-Znalazłem to, kiedy szukałem papieru. Rozpoznałem je natychmiast. - Pokazał jej anonimy od Simona, które trzymała w szufladzie. - Ty też mu płacisz?

Serce ścisnęło się jej boleśnie. Spojrzała na niego oczami pełnymi przerażenia.

- Ty? Pozwoliłeś, żeby Simon przez cały czas cię szantażował?

- A co miałem zrobić? Pozwolić, żeby skandal złamał wam życie? Rhea musiałaby odejść ze szkoły. Wszyscy, łącznie z Winbymi, odwróciliby się od was. Jezu, co niby miałem zrobić? Myślałem, że ty również mu płacisz.

- Ile... ile od ciebie zażądał?

- Tyle, ile od ciebie. Z trudem nadązałem. Myślałem, że nie powinienem ci mówić. Nie chcę dodawać ci kłopotów. - Potarł czoło w miejscu, gdzie ściągnięte brwi tworzyły zmarszczkę. Ursula poczuła, że kocha go dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek. Dotknęła tej zmarszczki i wygładziła ją.

- Nie wolno mu płacić, kochanie. On cię chce zastraszyć, to wszystko. Nie zrealizuje swoich grózb. Już do niego napisałam, że nie mógłby mi wyświadczyć większej przysługi. Wtedy miałabym cię dla siebie. - Roześmiała się gorzko. -

Ostatnie, czego życzy sobie Simon, to moje szczęście. Nie zrobi nic, co mogłoby mi sprawić przyjemność. Nic ci nie zrobi, daję ci na to słowo.

Objął ją i położył policzek na jej chłodnym karku.

- Ależ ze mnie głupiec. Powinienem być ci o tym powiedzieć. Ale nie mogłem znieść myśli, że... - przerwał i westchnął. Ursula pogładziła go po głowie, przeczesała jego włosy palcami.

- Wiem, kochanie, wiem.

- Jak możesz być taka pewna? Nie martwisz się, że możesz go źle oceniać. Nie sądzisz, że mógłby to jednak zrobić? - spytał jeszcze. Poczula nerwowe drgnienie. Tim sądził, że blefuje. Co by powiedział, gdyby dowiedział się, że Ursula naprawdę pragnie, żeby wszystko się wydało. Wahala się bardzo krótko.

- Znam Simona. I wiem, jak rozumuje. Jest łajdakiem, który zastrasza słabszych od siebie, a jeśli ktokolwiek mu się przeciwstawi, natychmiast się wycofuje. Wykorzystuje ludzkie lęki. Nie zamierzam mu na to znowu pozwolić. Poza tym - wzruszyła ramionami - i tak nie mam takich pieniędzy. Nie miałam wyboru.

Poczula, że Tim rozluźnia mięśnie. A więc upewniał się co do jej motywów. Zadrzała.

- Chodź, napiszemy do niego coś obrzydliwego. Wścieknie się, ale nie zrobi nic, co według niego mnie uszczęśliwi. Za bardzo mnie nienawidzi.

- Dlaczego miałby cię nienawidzić? - spytał Tim. Ursula uśmiechnęła się krzywo.

- Ponieważ mnie się udało przeżyć - a jemu nie.

## Rozdział dwudziesty czwarty

**R**hea miała spotkać się z Ursulą na frontowym trawniku. Był trzeci grudnia 1963 roku, dzień rozdania dyplomów i ostatnie godziny Rhei w szkole wydawały się jej krótsze, niż mgnienie oka. Przez całe lata tęskniła za domem, nienawidziła dziewcząt, które wychodziły ze szkoły o wpół do czwartej, żeby spotkać się z matkami. Tak mocno pragnęła mieć własny pokój, zamiast ciasnego dormitorium, tak bardzo nienawidziła potwornych pułapek algebry. A nagle już teraz zaczęła za tym wszystkim tęsknić. Brakowało jej nawet sali gimnastycznej, cuchnącej kurzem i potem, drabinek pełnych drzazg, kryjówki, w której spotykała się z Jennie i Libby. Niegdyś mieściła się w niej stajnia i jeszcze teraz pachniała końmi.

Nie chciała odjeżdżać ze Świętej Hildy, nie chciała opuszczać przyjaciółek, nauczycielek, cieplej, przyjaznej atmosfery szkoły, w której dziewczynki wiedziały, kim są i były z tego dumne. Teraz za parę godzin stanie się absolwentką. Tak trudno było jej stąd wyjeżdżać ze świadomością że z większością z nich straci kontakt. Rozejrzała się po cienistych ogrodach, drzewach pieprzowych i oleandrach splecionych razem w bezwietrznym mroku wieczoru. Jej sukienka majaczyła w nocy, niczym pancerzyk świetlika poszukującego sobie pary. Ale ona nie miała nikogo do pary, nawet wielbiiciela. Nie tak, jak inne dziewczyny, które szukały sobie partnerów na zabawę absolwentek i szeptem zwierzały się sobie z tego, kto z kim pójdzie. Tylko Will przysyłał jej kwiaty na walentynki i pisał listy, jeśli nie zapomniał. Tylko jemu na niej zależało. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że znowu go zobaczy. Już jutro.

Matka się spóźniała. Wszędzie wokoło przechadzały się rodziny, dziewczynki w swoich białych galowych sukienkach fruwały niemal nad ścieżkami, niczym



motyle, pokazywały, gdzie miały lekcje muzyki i gimnastyki, gdzie co rano zbierały się i śpiewały hymny i gdzie odbywały kary. Była to wędrówka sentymentalna, ostatnie spojrzenie na ulubione miejsca. Niektóre koleżanki płakały już od rana, a podczas popołudniowego nabożeństwa popłakali się już wszyscy. Wystarczyło, że rozległy się pierwsze nuty hymnu, a Rhea poczuła w gardle twardą kulę i pod powiekami zapiekły ją łzy. Spojrzała w dal, zastanawiając się, gdzie podziewa się matka.

Tuż obok jej koleżanka Jennie z dumą prowadziła pod rękę swojego brata Charlesa, przechodząc pomiędzy dziewczętami zgromadzonymi na schodach. Chłopak był wysoki i długonogi, o pociągłej twarzy z cieniem błękitnawego zarostu na podbródku, która nosiła już cechy wieku męskiego. Charles skończył w zeszłym roku uniwersytet i pracował u swojego ojca w banku będącym własnością rodziny. Jennie uśmiechała się i odpowiadała życzliwie na rozmaite pełne nadziei okrzyki powitania, ale niezłomnie prowadziła brata poza zasięg koleżanek. Rhea obserwowała ją z rozbawieniem.

- Rhea! Jesteś! Myślałam, że mamy się spotkać na południowym trawniku. Przepraszam cię, kochanie. Kręciłam się tu i tam i nie mogłam cię znaleźć. Bałaś się, że nie przyjadę? - Ursula ucałowała córkę i nieśmiało podała jej rękę. Wskazała na stojącego obok Tima. Była zdenerwowana; zerknęła na ludzi i zastanawiała się, co sobie pomyślał. Tim zbliżył się i ujął dłoń Rhei. Pocałował ją z uśmiechem w policzek.

- Witaj, piękna. Czy można było przypuszczać, że wyrośnie z ciebie taka ślicznotka? Niedługo zaczniemy witać konkurentów. Nie przeszkadza ci, że się przyłączyłem? Twoja mama trochę się gniewała, ale chciałem przyjechać.

- Nie bądź niemądry, chciałam żebyś przyjechał. Tylko nie sądziłam, że znajdziesz czas - oznajmiła Rhea, rewanżując się podobnym pocałunkiem.

Ursula zaciekała się, czy Rhea czuje to samo, co ona, kiedy przed trzydziestu laty Sally powiedziała o niej, że będzie najlepszą partią w okolicy. Ale różnica polegała na tym, że Tim kochał Rheę jak rodzony ojciec. Był z niej dumny. A Rhea naprawdę była piękna: wysoka i smukła, z gracją na poły dziecięcą, na poły kobiecą, o jasnych włosach związanych w leżący nisko na karku kok, o wysokim czole i czystych, jasnobłękitnych oczach. Jednocześnie przypominała Simona i wcale nie była do niego podobna. Była lepsza, niż on kiedykolwiek mógłby się stać.

Wokół słyszała szept; młodzi ludzie przechodzili obok niej, by się im przyrzec. Ursula czuła w piersiach słodki ból, kiedy widziała tych dwoje najdroższych jej na świecie ludzi. Śmiali się z jakiegoś swojego dowcipu, którego pewnie by nie rozumiała i to cieszyło ją bardziej, niż gdyby uczestniczyła w ich rozmowie. Pokochali się poprzez nią. O co jeszcze mogłaby prosić? Och, gdybyż mogła zatrzymać ich oboje na zawsze przy sobie. Zawsze żyła w lęku przed rozstaniem z Timem i skandalem. Już teraz wzdrygała się przy każdym głośniejszym śmiechu i nawet najniewinniejszym spojrzeniu. Zaczęła się cicho modlić i natychmiast skarciła się za taką naiwność. Tim i tak nie należy do niej; to tylko pożyczka. Inaczej być nie może.

Zostaniesz z nami jeszcze przez kilka dni? Już teraz jest gorąco, ale lato jest zawsze najpiękniejsze. Szkoda, że Joanna nie mogła przyjechać - powiedziała głośno i wyraźnie. W oczach Tima widać było rozbawienie. To tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś miał ich podsłuchać. Rhea zauważyła napięcie matki, kiedy ktoś obok nich powiedział coś na temat Tima. O tak, teraz był już znany. Pomyślała z gniewem, że zawsze zachowuje się w ten niesprawiedliwy sposób. Tim ma wszystko, czego chce, a matka może cieszyć się jego obecnością tylko w tych krótkich chwilach, które jej wydzielał. Chciał mieć wszystko. Władzę, poważanie, rozgłos... i jej matkę. Nie, to niesprawiedliwe. Pragnie mamy bardziej, niż całej reszty razem wziętej, pomyślała nagle. Matki, Toma i nawet jej. Nasza mała rodzina, wykradająca losowi kolejne chwile, aż do dnia, w którym ktoś się wreszcie dowie. Nie, Tim ryzykował zbyt wiele, przyjeżdżając tutaj dla niej.

Poczuła do siebie pogardę za to, co chciała powiedzieć, choć z jej ust nie padło ani jedno słowo. Wystarczyło, że to powiedziała. Matka mówiła coś, że czuje się jak stare pudło, że ma dorosłą córkę i w ogóle. Rhea wpadła jej w słowo.

- Wcale nie! - pocałowała ją w policzek. - Jesteś tak samo piękna, jak zawsze i musisz o tym wiedzieć, bo nie mogłabyś mieć przy sobie kogoś takiego, jak Tim. - Zniżyła głos i szepnęła jej do ucha. - A on przyciąga i tak dość uwagi. - Roześmiała się głośno; jej radosny głos przebił się przez szczebiotanie dziewcząt. - Diablica z ciebie, mamo. Pozwoliłaś Timowi przebłągać się, żeby się tu pokazał. Ciągłe mnie zaskakujesz. Akurat wtedy, gdy zaczynam sądzić, że jesteś staromodna i konserwatywna, udowadniasz mi, że nie ma wspanialszej od ciebie kobiety! - Nie zauważyła podejrzliwego spojrzenia Ursuli. Wspanialszej? O co chodzi? Jej jedynym zmartwieniem było to, co sobie pomyślą ludzie. Ale Rhea nie zwracała uwagi na jej rozmyślania. - Chodźcie, musicie zająć dobre miejsca. Tim, to jak? Zostaniesz na weekend? Will obiecał, że pojedziemy na przylądek Leeuwin. Będzie wesoło, jeśli pojedziecie z mamą. Możesz?

Tim uśmiechnął się do niej.

- Czemu nie?

Naprawdę jest olśniewający, pomyślała Rhea. Właściwie, dlaczego mama nie może się zabawić i pochwalić się nim przed tymi starymi ciotkami. Chyba ma prawo do odrobiny radości, prawda?

- Dobrze, tak będzie jeszcze lepiej. Gdyby was nie było, Will znowu by mi się oświadczył, a to już mi się zaczyna nudzić. Prawie. - Rhea miała zwyczaj wypowiadać się w sposób znamionujący zmęczenie światem, a potem kwitowania tego jedną sarkastyczną uwagą, zadającą kłam wszystkiemu. Trzeba było czasu, żeby się do tego przyzwyczaić, ponieważ reagowała w ten sposób wtedy, kiedy nikt się niczego nie spodziewał. Bardzo bawił ją efekt, jaki w ten sposób wywoływała. Znowu poczuła, że matka sztywnieje. Martwiła się tym, co się dzieje pomiędzy jej córką i Willem. Rhea uśmiechnęła się tajemniczo.

- Proszę, oto wasze miejsca. Możecie stąd widzieć wszystko i wszystkich, a jesteście uprzywilejowani, ponieważ w tym roku to ja jestem w szóstce najlepszych. Inni rodzice muszą pokornie czekać na swoją kolej. Dzień dobry pani, zna

pani moją mamę, prawda? A to jest Tim Nowlton, stary znajomy z Melbourne. Czy Jennie już jest?

Pani Peel, ciemnowłosa dama w eleganckiej sukni i wielkim kapeluszu, już siedziała w rzędzie, który wybrała Rhea. Wymieniła uściski z Ursulą i Timem.

- Nie, kochanie, ale za chwilę przyjdzie. Musi pochwalić się Charlesem przed wszystkimi. Ma nadzieję, że popękają z zazdrości. - pani Peel wybuchnęła bez-troskim śmiechem. Ursula dołączyła do niej. - Szkoda, że jest za stary dla ciebie. Jennie wspomniała mu o tobie parę razy. Wiem, że jest zainteresowany. - Była szczerą kobietą o hałaśliwym śmiechu, dziwnie kontrastującym z jej nobliwym wyglądem. Ale Ursula słuchała jej z ulgą, zmęczona wiecznym milczeniem Win-bych. Rhea zacerwieniła się i rozejrzała ukradkiem.

- Chyba lepiej zacznę się zbierać. Spotkamy się później, dobrze? - Rhea uściśnęła rękę matki i uciekła. Jej spódniczka zatrzepotała na wieczornym wie-trze. Ursula usiadła obok pani Peel. Tim zajął miejsce po jej lewej stronie.

- Miła z niej dziewczyna. Musicie być z niej bardzo dumni. Dostała Nagrodę M.F. Parnella! To ci dopiero. Moja Jennie nigdy w życiu nie zdołałaby tego dokonać. Jest za bardzo roztrzępana, a jej charakter pisma... no, czasami naprawdę żal mi szczerze jej nauczycielki. Nie potrafię odcyfrować ani jednego słowa. No, ale nie zdaje na uniwersytet. A Rhea?

- Cóż, jeszcze nie zdecydowaliśmy. Wiem, że chce zostać w Perth i wcale się jej nie dziwię. Wieś jest dla takiej młodej dziewczyny okropnie nudna! Ale Rhea jest jeszcze dzieckiem. Ma dopiero szesnaście lat. Nie mogłabym jej pozwolić mieszkać tu samej.

- Tak? A co pani robiła w jej wieku? - Pani Peel podniosła jedną brew, cienką czarną kreskę. Ursula roześmiała się.

- No cóż, złapała mnie pani. Podejrzewam, że Rhea opowiedziała pani o tym. Jako szesnastolatka mieszkałam w kampongu w Singapurze i starałam się unikać Japończyków. Zadziwiająco, jak dobrze adaptujemy się do najrozmaitszych warunków, jeśli jesteśmy do tego zmuszeni, prawda? Ale opiekowała się mną moja amah. A Perth jest takie duże. Bóg raczy wiedzieć, co się w nim może stać.

- Grzech, dekadencja i zdziczenie obyczajów, to miała pani na myśli? Na-prawdę wyobraża pani sobie Rheę, jak się im oddaje? O, witamy! Już myśleliśmy, że nigdy do nas nie dotrzecie. Jennie, leć natychmiast do reszty. Charlie, znasz matkę Rhei? Pani Paterson i pan... Nowlton, czy tak?

- Tak jest. Tim Nowlton. Witam cię. Przesunąć się? Tak, tak będzie lepiej. Słyszałam, że przez ostatnią godzinę byłeś bożyszczem tutejszych pań. Masz już dość? - Tim przepuścił Charlesa, który usiadł obok niego, żeby Ursula i pani Peel mogły dalej spokojnie gawędzić. Podobał mu się ten chłopiec o smętnym uśmiechu.

- Nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić. A mam jeszcze trzy siostry! Rany boskie, Jennie mogłabyś właściwie wsadzić mi kółko w nos i oprowadzać na sznurku. Wyszłoby na to samo. To z gruntu nieprzyzwoite. Czasami zastana-wiam się nad tym. W przypadku szkół koedukacyjnych nie ma tego problemu. Nie mogą tak naprawdę winić dziewczyn. Jedynymi mężczyznami, jakich widują,

to ogrodnik, sześćdziesięcioletni zabytek, oraz listonosz, który przejeżdża tędy z taką szybkością, jakby goniło go całe piekło. Ma twarz czerwoną jak bekon, ale Jennie mówi, że połowa dziewcząt i tak się w nim zakochała. Za gorąco tu jak dla mnie! - Skrzywił się i poprawił krawat. Tim roześmiał się.

- Zgadza się. Chodziłem w Melbourne do podstawówki. To samo, tylko w drugą stronę. Wszyscy kochaliśmy się w intendencie i pomywaczkach. To głupie. A ty gdzie się uczyłeś? W Christchurch?

- Tak. Tak się zastanawiam... a może by skoczyć nad rzekę, kiedy Jennie wróci do nas po zakończeniu tej całej uroczystości? I tak będą paplać godzinami o tym, jak to Libby źle dygnęła i co tam której powiedział biskup. Mam brać udział w nocnych wyścigach. Jak pan sądzi, może będę mógł prysnąć tuż po rozdaniu nagród?

Tim pokręcił głową.

- Matka obdarłaby cię żywcem ze skóry, a Jennie byłaby bardzo smutna. Zakładam się, że ona była na twojej uroczystości, co?

Chłopak westchnął i oparł się wygodnie na krześle.

- Tak. Była. No dobrze, nie ruszę się ani na krok. Ale to cholernie przykre, kiedy się miało być w obsadzie „Starfire”. Zresztą po raz pierwszy. Pewnie już mnie o to nie poproszą.

- Chyba okażą wyrozumiałość. Też mają młodsze siostry. Poza tym słyszałem, że jeszcze nie poznałeś Rhei. Chyba szkoda byłoby jej nie zobaczyć w ostatniej chwili przed wyjazdem do Gidgeeganup?

W oczach młodego człowieka zapaliło się światelko zainteresowania.

- Blondynka, taka szczupła, stał pan razem z nią. Tak, jest przyjaciółką Jennie. Ale nigdy jej nie spotkałem, ponieważ zawsze byłem na uniwerku w Sidney, a ona wyjeżdżała na ferie do swojego majątku. Zdaje się, że jest o rok młodsza. Dobrze jej idzie, skoro zdobyła Parnella. Pan jest jej krewnym?

- Przyjacielem rodziny. Na stałe mieszkam w Melbourne. Przyleciałem tylko na weekend.

- Nieźle pan prosperuje, skoro może pan przyjechać taki kawał drogi tylko na weekend.

Tim nie odpowiedział, ponieważ kierowniczka szkoły poprawiła znacząco siwe, zaczesane do góry włosy, co było sygnałem do zamknięcia. Chwost u jej czapki zakołysał się miarowo. Kierowniczka obdarzyła zebranych majestatycznym uśmiechem i ceremonia się rozpoczęła.

Dwie i pół godziny wypełnione przemówieniami, prezentacjami, występami chóru i inscenizacją krótkiej sztuki minęło w mgnieniu oka. Dziewczęta popisały się zaskakującym profesjonalizmem. Ursula ze wzruszeniem wysłuchiwała małej grupki dziewcząt, śpiewających wiersz Dorothei Mackellar. Ich głosy stopniowo załamywały się ze wzruszenia. Większość osób na widowni znała wiersz na pamięć; kiedy przeszły do zwrotki opisującej brązowe połacie kraju, Tim zauważył wyraz twarzy Ursuli. Dobrze wiedział, o czym teraz myśli jego ukochana. Australia jest trudnym krajem, pustym, przerażającym i czasami dzikim. Ale to jego kraj, a teraz stał się również i jej krajem. Uśmiechnęła się do niego ukradkiem.

Rhea wyszła na scenę, dygnęła przed biskupem i gubernatorem i zamieniła parę słów z dyrektorką. Poruszała się spokojnie i pewnie; wymieniała uściski dłoni z dostojnikami, jakby знаła ich przez całe życie. Charles przyglądał się jej pilnie, a pani Peel pochyliła się do Ursuli i powiedziała na tyle głośno, by trafiło to do uszu jej syna:

- Jennie od dawna naprzykrzała mi się, żebym pozwoliła jej pobyć u Rhei w pani majątku. Co pani na to, żeby zrobić zamianę? Rhea mogłaby zostać u nas przez jakieś dwa tygodnie, a potem Jennie przyjechałaby do pani.

Ursula skinęła głową, nie odrywając oczu od sceny.

- Czemu nie? A jeśli Charles będzie miał ochotę przyjechać, powitamy go z otwartymi ramionami. - Uśmiechnęła się, ponieważ Rhea zeszła bez potknięcia ze sceny z książką i dyplomem. Rozległy się oklaski, a pani Peel biła brawo najgłośniej ze wszystkich.

- Świetnie! Czemu mi to nie wpadło do głowy? Wie pani, może dziewczęta mogłyby w przyszłym roku wynająć wspólnie mieszkanie w Perth. Rhea mogłaby pójść na uniwersytet, a Jennie do pracy. Przynajmniej nie zakopią się w buszu. Szkoda by było zmarnować taką urodę. - Obie kobiety spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem. Tim zauważył, że Charles nie spuszcza wzroku ze zbliżającej się Rhei. Wyraz jego twarzy świadczył o głębokim skupieniu.

- Ciągłe masz ochotę na wyścigi? - spytał. Charles nawet go nie usłyszał.

Ursula oparła się i uspokoiła. Ceremonia przebiegała pomyślnie, a skoro występ Rhei już się skończył, mogła nie zwracać uwagi na resztę. Pozwoliła sobie na zamyślenie; przed oczami stanęły jej wspomnienia ostatnich lat. Bywało, że chciała się poddać. Była pewna, że nigdy nie zdoła nauczyć się tu żyć i cieszyć tym, co Australia miała do zaoferowania. Gdyby Tim do niej nie wrócił, pewnie by tu nie przeżyła. A gdyby jednak udało się jej przetrwać, przypominałaby malowane ptaki Billy'ego. Tim zrekomensował jej wszystko, co straciła i z czego zrezygnowała. Obiecał jej to. I dotrzymał słowa, pomyślała i przechyliła się do tyłu, by spojrzeć na niego za plecami Charlesa. Dzięki niemu wszystko znowu nabrało sensu. Uśmiechnęła się; poczuł na sobie jej wzrok i odwrócił się do niej. Może jest jej tylko pożyczony parę razy do roku, kiedy znajduje dla niej czas. Ale kiedy jest z nią, ma pewność, że jest jedyną kobietą w jego życiu. I to rekompensuje wszystko inne.

## Rozdział dwudziesty piąty

Rhea siedziała trzymając nogi w wodzie, która była zimna i przyjemnie chłodziła rozpaloną skórę. Obok niej leżał Will. Miał nogi również zanurzone w zielonkawych falach; na skutek załamywania się promieni świetlnych wydawało się, że jego nogi nagle kończą się i zaczynają pod innym kątem. To zjawisko fascynowało Rheę, która ciągle podnosiła nogi i z chłupotem zanurzała je na powrót. Mokra skóra schła natychmiast w kontakcie z gorącym powietrzem i ostrym, suchym wiatrem. Oboje milczeli. Will zamknął oczy. Miał na sobie tylko stare, spłowiałe szorty. Kiedy się poruszał, poniżej pasa widać było białą skórę. Rhea także nosiła szorty i bluzkę związaną pod biustem. Ich ponton kołysał się swobodnie na lagunie, nie przywiązany do niczego. Dzień był spokojny. Pan Winby poszedł do miasta, więc Will wyrwał się na parę godzin, żeby pobyć z Rheą. Jest nie do zniesienia, pomyślał. Bez końca gada o Perth i o tym, jak to w nim zamieszka z koleżanką. To mu się zupełnie nie podobało. Nie chciał słyszeć, jak mówi o ponownym odjeździe. Zwłaszcza, że dopiero co pojawiła się w domu. A teraz zabrakło im wspólnych tematów.

Rhea przewróciła się na brzuch i oparła głowę o ponton. Przyglądała się jakiemuś zielono-brązowemu wodnemu żuczkwowi, który przepłynął parę centymetrów, po czym zrobił się ciemny i mokry i zniknął pod taflą wody. Na powierzchni migotał oślepiający blask, od którego przed oczami pojawiały się czerwone plamki. Szkoda, że nie wzięła kostiumu. Woda była pewnie cudowna, zielona, chłodna i połyskliwa jak lustro. Przysunęła się bliżej krańca pontonu; zanurzył się w fale pod jej ciężarem, a jego drugi koniec unióśł się wysoko, jak huśtawka-równoważnia. Siedzący na środku Will zjechał w dół, a wtedy ponton do reszty stracił równowagę i przewrócił się. Oboje runęli do wody, a ich „statek” wystrzelił w górę

niczym delfin. Rhea zanurzyła się i wypłynęła na powierzchnię parę metrów dalej. Wybuchnęła śmiechem; Will przewrócił się na brzuch i zaczął dryfować na falach, udając topielca. Woda na powierzchni była prawie gorąca. Włosy Willa unosiły się wokół jego głowy. Pociągnęła go za nogę, a on poderwał się i odrzucił do tyłu mokrą czuprynę.

- Zrobiłaś to naumyślnie, co?

- Trochę. Nie sądziłam, że aż tak bryknie. To ty go przeważyles. Nie uderzyłeś się?

- Nie, tylko omal nie umarłem ze strachu. Mogłaś mnie uprzedzić. Prawie zasnąłem.

- Właśnie dlatego to zrobiłam. Stajesz się nudny.

- Bardzo przepraszam. Może jestem mniej wyspany od ciebie, a poza tym to twoja wina. Bez przerwy mówisz o Perth, o którym nie mam nic do powiedzenia. Może nie? Byłem tam najwyżej parę razy. A twoja koleżanka wydaje mi się snobką, ot co. Same przyjęcia, jachty i kluby tenisowe. Co ja mam o tym wiedzieć, do stu diabłów? - rzucił z pretensją. Rhea chlapnęła na niego wodą i znowu wybuchnęła śmiechem.

- Biedaczek. Utkwiłeś tu i nie masz z kim pogadać, jeśli nie liczyć krów i koni. Może powinieneś się ożenić, tak jak Stoney. Wygląda na to, że jest dość szczęśliwy. - Przedrzeźniała jego kwaśną minę. Will przycisnął jej głowę i wepchnął nogi pod wodę. Wystrzeliła na powierzchnię jak korek. Śmiała się tak, że omal się nie udusiła. - Już się nie uzalasz nad sobą?

- Nie. Proszę bardzo, śmieć się. Tylko pamiętaj, że to ja wypruвам z siebie żyły, za co nie dostaję ani grosza. Mam nadzieję, że to też jest śmieszne. - Odwrócił się i popłynął szybkim, choć niezgrabnym kraulem w stronę pontonu. Rhea ruszyła za nim, zagarniając wodę mocnymi ruchami ramion. Dogoniła go przy pontonie.

- Hej, chyba się nie gniewasz, co? Polubisz Jennie, zobaczysz. Wcale nie zadziera nosa. To nie jej wina, że ma bogatych rodziców. - Przez chwilę łapała oddech. Oboje unosili się obok pontonu; woda cicho chlupała pod pokładem. Will nie patrzył na nią, uciekał wzrokiem w dół. Nieśmiało dotknęła jego ramienia. - Will? O co chodzi? Zrobiłam ci jakąś przykrość?

Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Był taki cichy, milczący. Wreszcie podniósł na nią oczy.

- No dobrze, dajmy sobie spokój, dobrze? - Zauważył jej zdziwienie i nagle rozszłościł się. Mam dwadzieścia lat i czego dokonałem? Pracuję tutaj, słucham rozkazów taty, płacą mi marne grosze za dwanaście godzin pracy na dzień, a ty mi mówisz, że przeprowadzasz się do Perth. A to naprawdę cholernie cudowne. Tego właśnie było mi potrzeba. Twoja mama jest jedyną osobą, z którą można tu porozmawiać. Wiesz, jacy są moi rodzice. A Tim jest w porządku, ale pojawia się parę razy do roku. Jak ci się zdaje, co mam z sobą zrobić? Siedzieć tutaj i zmarnować całe życie, tak? Odkąd byliśmy dziećmi mówiliśmy, że, no wiesz, że się pobierzemy, a ty mi teraz mówisz, że to wszystko bajki i nie wiedzieliśmy, co to znaczy. No i wyjeżdżasz do Perth i bawisz się jak

nie wiem. Oczywiście ja zawsze będę tutaj, więc w razie czego zawsze możesz się rozmyślić. Boże, nawet nie mogę posiedzieć wieczorem ze Stoney'em, bo Kim zabroniła mu chodzić do pubu. Szlag! - wypluł to słowo z taką wściekłością, że Rhea wzdrygnęła się.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? Myślałam, że lubisz tu być. Wiem, że tu jest nudno i w ogóle, tylko wydawało mi się, że chcesz tu pracować. Skoro nie chcesz, to czemu sam nie pojedziesz do Perth?

- I co tam będę robił? Nie mam żadnego wykształcenia, nie mam dyplomów. Znam się tylko na buszu. Poza tym nie lubię miasta. Podoba mi się tutaj, ale nie chcę być sam! Ty też lubiłaś tu być, aż do zeszłego roku. Nie wiem, kto ci miesza w głowie, ale kiedyś zrozumiesz, że byłaś tu szczęśliwa, ale wtedy będzie już za późno. I przypomnisz sobie, co ci powiedziałem. - Odwrócił się do niej plecami, wsparł się na łokciach i zaczął poruszać nogami w wodzie. Znowu przypomniał sobie, jak niecierpliwie czekał na powrót Rhei. Czyste kpiny, nic więcej.

Niebo było rozpalone i jasne, niemal białe. Jedna jedyna wrona jeszcze bardziej podkreślała jego kolor. Rhea wspięła się na ponton i położyła na plecach. Jej nogi znowu znalazły się w wodzie. Na szortach nad pępkiem zebrała się mała kałuża wody, migoczącej w słońcu. Will wsadził w nią palec; była to stara zabawa, którą wymyślili jako dzieci. Nie spodziewał się, że Rhea podskoczy nagle i odsunie się od niego.

- Przestań!

- Co ja takiego zrobiłem? Nie rzucaj się tak. Nie znoszę tego. - Odwrócił się, urażony. Rhea zacisnęła powieki. Dlaczego wszystko nie może znowu być takie, jak niegdyś? Nie rozumiała, dlaczego czuje się taka rozdrażniona i nieszczęśliwa. Może dlatego, że Will był nieszczęśliwy, a ona nie wiedziała, jak może temu zaradzić? Gdyby się nie dowiedziała, wyjechałaby bez chwili zastanowienia, wiedząc że zawsze go zastanie, kiedy wróci. To, co powiedział obudziło w niej wyrzuty sumienia, które kłuły ją niczym ostry kolec. Więc to jej wina? Dlaczego? I dlaczego czuje się tak źle?

- Will, zastanawiałeś się czasami, czy naprawdę żyjemy w tym samym świecie? Wiesz, bo może jesteś w moim życiu tylko rekwizytem, albo ja jestem rekwizytem w twoim? Albo w ogóle nie żyjemy? Może zasnąłam parę lat temu i jesteś moim snem? Może całe moje życie w Australii jest tylko snem? I ty też? Zastanawiałeś się nad tym? - Trochę zdziwiła się, że powiedziała to na głos. Ale do kogo miała to powiedzieć, jeśli nie do Willa?

- Nie.

Znowu zapadło milczenie.

- A na przykład w nocy, kiedy naprawdę śnisz. Nie masz snów, które są tak realne i piękne, że kiedy się budzisz, szukasz wzrokiem książki, którą czytałeś, ale nie znajdujesz jej?

- Dziwna jesteś. Dlaczego miałabyś myśleć, że coś czytałaś? A nie, na przykład, oglądałaś film? Ale tutaj i tak nie puszczają filmów. Poza tym nie mam na nie pieniędzy. - Był zdecydowany nie okazywać zrozumienia. Rhea spojrzała w niebo. Od silnego blasku do oczu napłynęły jej łzy.



- Możesz pójść do innego gospodarstwa, gdzie będą ci płacić. I będziesz miał towarzystwo.

- Tego chcesz? Żebym sobie poszedł?

- Nie! Ale skoro jesteś tu nieszczęśliwy, a nie chcesz zamieszkać w Perth, co innego ci pozostaje?

- Więc nie ma szansy, żebyś tu została?

- Nie, Will. Razem z panią Peel i Jennie namawiałyśmy mamę godzinami, zanim się zgodziła. Tim też uważa, że to dobry pomysł. Nie lubię buszu, przykro mi.

- Tak? Od kiedy? To twoje miejsce! A zresztą, rób co chcesz. - Oslonił twarz ręką przed promieniami słońca. Rhea ciężko westchnęła i usiadła.

- Kiedy pojedę z Jennie, przyjedzie także jej brat Charles. Jest mniej więcej w twoim wieku, może nieco starszy i będziesz mógł z nim porozmawiać o pracy. Jest bardzo inteligentny i wie mnóstwo rzeczy. Polubisz go.

- Kto tak powiedział? - Will także poderwał się i usiadł. - Ty go lubisz?

- Tak, chyba tak. Nie znam go właściwie. Ale wydaje się miły. - Nie wiedziała, dlaczego jest tak niepewna siebie. Dlaczego Will nie chciał poznać jej przyjaciół? Nie chodziło tylko o Charlesa. To by jeszcze mogła zrozumieć. Ale miał także coś przeciwko Jennie. Nie chciał przyjść na rozdanie dyplomów. Powiedział, że nie pasuje do tego towarzystwa. Czy zawsze będzie stronił od wszystkich? Przypomniała sobie spokój i pewność siebie Charlesa, o tyle bardziej atrakcyjne w porównaniu z zachowaniem Willa. Spojrzała na niego, osłaniając oczy dłonią.

- Nie zostanę tutaj. Zrozum to. Może ciebie bierze ta „wspaniałość rozległych równin”, aleja się na to nie nabiorę. Lubię Perth, lubię wychodzić wieczorami, nie raz na miesiąc na tańce w Gidge! Poza tym czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Oboje zmierzyl się gniewnym wzrokiem. Rhea poczuła dziwne napięcie, pragnienie, żeby stało się coś, co wszystko zmieni na lepsze. Ale nie spodziewała się, że Will zrobi to, co zrobił. Przyciągnął ją do siebie, żeby ją pocałować. Zaczęła się wrywać. Ponton zakolysał się i oboje znowu znaleźli się w wodzie. Rhea zaczęła się śmiać, tak bardzo, że omal nie utonęła. Ale Will nie widział w tym nic śmiesznego. Musiał zebrać w sobie wszystkie siły, których dodawał mu gniew, a ona znowu się z niego śmiała. Myślał, że wystarczy, że ją pocałuje, a ona od razu zrozumie, że chce zostać razem z nim. Przyparł ją do pontonu i spróbował jeszcze raz. Przez chwilę szamotała się w jego uścisku. Potem jego pocałunek zaczął mniej przypominać atak, a bardziej czułe poznawanie. Rhea poczuła ciepły, stony smak jego ust i delikatny dotyk skóry. Było to dziwne, ale bardzo przyjemne uczucie. Pachniał bardzo ładnie. Objęła go, zapominając, że unoszą się na głębokiej wodzie. Wyśliznęła się mu z ramion i zniknęła pod wodą. Zimny dotyk fał podziałał jak uderzenie.

Wyłynęła po drugiej stronie pontonu, gwałtownie dysząc. Czuła dziwne drżenie, rozchodzące się jakby z dołu brzucha.

- Przestań! Nie lubię, jak się mnie całuje.

- Akurat! Ciekawe, kto cię całował? - Will także trząśnięty się z gniewu i zazdrości. Dlaczego zaczęła reagować? I co właściwie zamierzał zrobić? Nie odważył się do niej podpłynąć.

- Taki chłopak z Guilford. Bez przerwy się do mnie kleił. Nie lubię całowania. Nie rozumiem, o co ten cały krzyk - oznajmiła Rhea niechętnie. Nie chciała obrazić Willa, ale nie chciała też do niego wrócić. Zerwał się wiatr, od którego tafla lag any zmarszczyła się i pociemniała. Rhea zdrząła.

- Tak, to samo mówiłaś o kostiumie kąpielowym. Zdaje się, że zmieniłaś zdanie. Muszę już iść, mam robotę. Zrobisz, co zechcesz. Jak zwykle. - Popłynął w stronę brzegu; Rhea spojrzała za nim z ciężkim sercem. To twoja wina, Will, do cholery, pomyślała, ale ciężar w piersi nie zelżał. Nie wiadomo dlaczego, czuła się za to odpowiedzialna. Niech to szlag, pomyślała i wdrapała się na ponton. Kiedy Will odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, leżała i wygrzewała się na słońcu. Nie pomachała do niego.

Przez resztę dnia widziała go tylko z daleka. Pracował przy drzewach, ciemna sylwetka na tle rozpalonego do białości nieba, niezmordowanie uwijający się mimo wściekłego upału. Rhea usiadła na tylnej werandzie i z irytacją mieszała napój z lodem; usiłowała zmusić Willa siłą woli, żeby odwrócił się i spojrzął na nią. Nie zrobił tego.

Ursula i Tim prawie cały weekend spędzili tylko ze sobą. Zaprośili Rheę na przejażdżkę do Gidgeeganup, za co im podziękowała i nie skorzystała. Dobrze by było mieć kogoś takiego, jak Tim, pomyślała. Kogoś, kto by mnie chronił i rozśmieszał, i kochał, tak jak Tim kochał jej matkę. Kogoś, kto by nie stawiał głupich wymagań i nie uważał, że reszta świata ma przewrócone w głowie. Przypomniała sobie, jak wyglądała dzisiaj matka, w moleskinowych spodniach i wielkiej męskiej koszuli, z ciemnymi włosami związanymi w leżący na karku węzeł. To właśnie było w niej najpiękniejsze; na swój spokojny sposób łamała wszystkie zasady. Jeśli miała ochotę nosić męskie ubrania, robiła to - i wyglądała lepiej, niż w jakiegokolwiek sukience. Jeśli chciała mieć romans z żonatą mężczyzną, miała go - i wszystkie kobiety zieleniały z zazdrości. Wyglądali razem tak ładnie, młodzi, piękni i bezgranicznie szczęśliwi. To dlatego nie chciała z nimi pojechać. Chciała zostawić ich samym dla siebie. Poza tym miała nadzieję, że spędzi ten dzień z Willem. Mieli przecież wybrać się na przylądek Leeuwin. Ale Will nie miał ochoty. Powiedział, że ma pracę.

Percy i Tom bawili się w cieniu pod stodołą. Przywiązywali kółko do jakiegoś patyka. Rhea rozważyła możliwość podejścia do nich, ale wydało się jej to zbyt wielkim wysiłkiem. Więc siedziała dalej i oglądała świat przez filtr drzwi obciążniętych siatką na owady.

Cienie wydłużyły się; długie kształty, niczym strażnicy domu, a Will nadal pracował.

- No, nie przysłała góra do Mahometa... - mruknęła do siebie. - Trzeba do niego pójść. - Wstała i zeszała zdecydowanie po schodkach, zatrząskując za sobą drzwi. Will nie zauważył jej nadejścia aż do chwili, kiedy stanęła tuż obok. A i wtedy tylko podniósł głowę i znowu ją opuścił.

- Co cię tak ciekawi w tym wiadrze? I dlaczego harujesz na tym upale? Twój tata jest jeszcze w mieście i pewnie nie wróci, dopóki nie zamkną pubu. - Nie mogła się powstrzymać. Coś pchała ją, żeby sprokocować go do reakcji. I sprokocowała.

- Odczep się od mojego ojca! Wydaje ci się, że jesteś taka świetna, bo idziesz na uniwersytet. Tutaj się to nie liczy, więc może wrócisz tam, gdzie twoje miejsce?

- Ach, tak? Nagle twój tata stał się najwspanialszą osobą na świecie? A ja jestem podła, bo mówię, że nie musisz pracować, kiedy go tu nie ma. Bardzo przepraszam. Więcej mnie nie zobaczysz. O to ci chodzi?

- Nie potrzebuję ciebie ani tego sarkazmu. - Spojrzał na nią znad wiadra z wapnem, którym malował pnie drzew. Kucnęła przy nim na ciepłej, twardej ziemi. Gniew i złość nagle ją opuściły.

- Ale może ja potrzebuję ciebie. Nie pomyślałeś o tym? Jesteś dla mnie jak... no, jak brat, a właściwie czymś więcej. Ponieważ nie jesteś moim bratem. A, do diabła. Nie wiem, dlaczego wszystko nagle się poplątało. Co się z nami dzieje? Zwykle nigdy się nie kłócimy, nie na poważnie. - Dotknęła zadrapania na jego twarzy. Słońce wysuszyło je i zostawiło tylko brązową kreskę zaschniętej krwi. Wszystko było tu brązowe, różniło się tylko odcieniami. Will zamknął oczy, kiedy jej palce przesunęły się po jego policzku. Zatrzymał jej dłoń i przytulił sobie do twarzy.

- Chcę, żebyś ze mną została. To wszystko. Wiem, że moje życie wydaje ci się nudne, ale jest moje. Nie wiem czemu, ale spodziewałam się, że kiedy skończysz szkołę wrócisz tutaj, żeby być z mamą, Tomem i... ze mną. Samemu nie jest dobrze, ale razem moglibyśmy się dobrze bawić. - Musiała pochylić się, żeby usłyszeć jego słowa. Mówił z mocno zaciśniętymi powiekami, jakby chciał się w ten sposób obronić przed wszystkim, co w jego życiu było złe. Przed jej odmową.

- Och, Will. Tak cię przepraszam za to, co powiedziałam. Oczywiście, że lubię tu być. To mój dom. I ty się do niego zaliczasz. Ale muszę wyjechać na jakiś czas, zaznać wolności.

- Już wyjechałaś. - Uniósł powieki. Miał brązowe oczy, jak wszystko tutaj.

- Ale nie mieszkałam sama. Szkoła to co innego. Tam nie ma się wolności. Nawet nie poznałam dobrze Perth. Ale gdybym poszła na uniwersytet, wreszcie stałabym się sobą. Nie rozumiesz?

- Nie. Tutaj także jesteś sobą. I co mam robić przez następne trzy lata? Tu nic się nie zmienia. Po uniwerku tak przywykniesz do tej wolności, że nie będziesz chciała z niej zrezygnować i mieszkać z nami. Równie dobrze możemy się już pożegnać, ponieważ nigdy do mnie nie wrócisz. - Wstał i poszedł w stronę samochodu. Rhea pospieszyła za nim.

- Aleja wróć, naprawdę! Proszę cię, nie możesz na mnie jeszcze troszeczkę poczekać? - Dogoniła go i szarpnęła za ramię.

- Wiesz co? Kiedyś powiedziałeś mi coś takiego. Dawno temu. Byliśmy wtedy dziećmi, a ty wyjeżdżałeś do szkoły. Chciałem się stąd wyrwać, a ty mnie

blagałaś, żebym nie odchodził. I zostałem. Może dlatego, że byłem mały, ale także ze względu na to, że czekałem na ciebie. Ale tym razem to nie przejdzie. Nie jestem już dzieckiem i nie będę czekać. - Oparł się o samochód. Może jeszcze się boczył, może mówił to tylko po to, żeby się na niej odegrać, ale poczuła, że otwiera się przed nią przepaść. Przytrzymała się gorących metalowych drzwiczek.

- Will... - Brakowało jej powietrza w płucach, tak bardzo, że zaczęła się bać. W głowie zakręciło się jej. - Nie mów tak. - Dotknęła jego ramienia i cofnęła się na widok wstrząsu malującego się na jego twarzy, paniki, która błysnęła w jego oczach.

- Boże, nie widzisz, co ze mną robisz? Jezu! - Ale w jego głosie nie słyszała gniewu. Odwrócił się ku niej i przygarnął ją do siebie. Jej ręce same objęły go za szyję. Przywarła do niego żarliwie i zaczęła całować. Oddał jej pocałunek, i tym razem nie broniła się. Chciała zatrzymać go przy sobie, nie pozwolić mu odejść. Jęknął głucho.

- Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie. Nie wytrzymam tu sam. O Boże, nie zostawiaj mnie. - Zanurzył twarz w jej włosach, pocałował jej szyję i znowu usta. Przycisnął ją mocno do samochodu.

- Tylko na chwileczkę. Potem wrócę do ciebie. Obiecuję. - Ale Will nie puścił jej. Trzymał ją z rozdrażnieniem, ściskając tak, że czuła coraz większy ból.

- Nie, ani na chwilę. Pragnę cię. Nie widzisz tego? Nie czujesz? - Przycisnął ją do siebie. Nagle dziwnie zakręciło się jej w głowie.

- Proszę cię. Wkrótce wrócę. Może po paru miesiącach wszystko to mi się znudzi. Ale ten czas jest mi potrzebny. I pojadę.

- Ach, tak? Tak brzmi twoja odpowiedź? - Cofnął się i spojrzał w stronę domu. Ze wschodu nadjeżdżali dwaj jeźdźcy, widoczni w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które zalewały całą okolicę krwawą czerwienią. Puścił dziewczynę i odsunął się od niej. - Nie zaczekam na ciebie.

Otworzył furgonetkę i usiadł za kierownicą. - Zostajesz tutaj, czy jedziesz ze mną?

Rhea wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Och, jedź beze mnie. Wszystko mi jedno.

Odwróciła się i odeszła, wyprostowana jak struna. Za jej plecami warknęła silnik, ale nie obejrzała się.

Tego wieczoru Tim leżał u boku Ursuli i czytał.

- Wiesz, Will nie zamierza zostać. Kiedy tylko Rhea wyjedzie na uniwersytet, pakuje się i wyjeżdża. Tak mi powiedział - odezwała się.

- Kiedy?

- Co kiedy? Kiedy mi powiedział? - Tim skinął głową i odłożył książkę. Ursula westchnęła. - Przed naszym wyjazdem na rozdanie dyplomów. Namawiałam go, żeby z nami pojechał. Rhea też go prosiła. Ale nie zgodził się. Powiedział, że nie pasuje do tego towarzystwa. Spytał, czy według mnie Rhea wróci tu

na stałe. Powiedziałam, że nie wiem. I właśnie wtedy oznajmił, że jeśli nie wróci, to on wyjedzie. Och, Tim? Jak sądzisz, mam prawo się wtrącać? Są tacy młodzi, a Rhea nie zna nikogo poza nim, ale wszystko mi mówi, że nie pozna nikogo lepszego. Jestem pewna, że go uwielbia. Ale czy go kocha?

- Jest jeszcze za młoda, żeby wiedzieć, co czuje. Może Willowi wydaje się, że on wie, ale nie zna świata, nie poznał nikogo, nie przeżył igraszek z dziewczyną. Tego mu potrzeba, kochanie, nie prawdziwego, dorosłego romansu czy małżeństwa z dzieckiem. Wyjazd dobrze mu zrobi. Jeśli naprawdę kocha Rheę, poczeka na nią. Jestem tego pewien. - Pocałował ją z uśmiechem i sięgnął do wyłącznika lampki. Ursula objęła go.

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie chcę, żeby Will tylko dlatego stracił dziewczynę, którą kocha, że w oczach świata nie jest dla niego odpowiednia.

Poczuła, że Tim drgnął w jej ramionach.

- Zdaje się, że przemawia przez ciebie doświadczenie.

Ursula milczała przez parę minut.

- Może. Trochę tak. Nie sądziłam... - urwała w pół słowa. Zza okna dobiegły jakieś hałasy, jakby ktoś przewracał metalowe naczynia. Tim wyskoczył z łóżka i pobiegł do okna. Księżyc w pełni oświetlał wszystko niczym reflektor.

- Jezu Chryste! Ubierz się, kochanie. To Will i jego ojciec. Biją się. Muszę ich rozdzielić.

Włożył spodnie i był w połowie drogi do drzwi, kiedy Rhea wpadła do pokoju z twarzą ściągniętą strachem.

- O, dzięki Bogu! Szybciej, oni się pozabijają! - Wybiegła boso na dwór, w nocnej koszuli płaczącej sięjej pod nogami. Ursula narzuciła na siebie szlafrok i z niepokojem podążyła za nimi.

Dwaj mężczyźni tarzali się po ziemi, wczepieni w siebie z milczącą zaciętością, szczerząc zęby i walcząc o coś, czego nie mogli dostać. Tim niemal widział napis nad ich głowami: posłuszeństwo kontra wolność. To wszystko było właściwie nieuniknione. Pan Winby wyszarpnął rękę i uderzył syna tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu i wpadł na klatki z kurami. Pan Winby wstał, zataczając się i dysząc. Rhea rzuciła się ku Willowi, przykucniętemu tuż przy ziemi, niczym zwierzę spinające się do skoku. Bili się już od jakiegoś czasu niezauważeni, dopóki Will nie wpadł na bańki od mleka. Otarł krew sączącą się mu z ust. Rhea przyklekła przy nim.

- Przestań, Will! Na miłość boską! Jest pijany, nie widzisz? - krzyknęła Rhea, odciągając go od pana Winby. Odepechnął ją szorstko w chwili, gdy ojciec znowu rzucił się na niego; uniósł ręce, by powstrzymać spadające na niego zaciekle ciosy. Jeden z nich, szczególnie mocny, cisnął nim o kolumnę werandy. Ojciec pochylił się nad nim i zaczął okładać go kułakami. Tim chwycił pana Winby i zaczęli się szamotać niczym dwa niedźwiedzie, aż raptem ojciec Willa zawisł bezwładnie w ramionach Tima. Osunął się na ziemię, a Tim wziął go za przegub i zbadał mu puls. Oddech zarządcy cuchnął piwem.

- Nic mu nie jest. Zalany w trupa. Co z Willem?

- Boże! On mu coś zrobił. Will, co się stało? Mamo, chodź tutaj! - Rhea płakała i trzymała chłopca w objęciach w miejscu, gdzie upadł na ganek. Miał twarz zalaną krwią i nie odzywał się ani słowem. Dyszał ciężko. Pani Winby wyszła na dwór w szlafroku i stanęła spokojnie nad mężem. Przyjrzała się mu, odwróciła się i podeszła do syna.

- W porządku? - spytała głosem wypranym w uczuć. Will skinął głową. - Pozbieraj się i pomóż mi z ojcem. Nie muszą się już państwo kłopotać. Razem z Willem zajmujemy się wszystkim. Dobranoc. - Stanęła twardo obok syna. Ursula uklękła przy nim.

- Nic ci nie jest? On cię strasznie pobił. Co się stało?

Odpowiedzi udzieliła pani Winby.

- Sprowokował ojca głupim gadaniem o odejściu. Wiedziałeś, że tata jest pijany, szczeniaku. I nieźle za to oberwałeś. - Przyjrzała się twarzy Willa. - Oj, nieźle.

- Nie rozumiem. Jesteś silniejszy od ojca. A on nie bił cię od lat. Dlaczego mu na to pozwoliłeś?

Will splunął krwią. Nie odpowiedział.

- Nie chciał uderzyć ojca. Wiedział, że jest pijany, więc tylko chciał go uspokoić. Przez to tylko ucierpiał. Następnym razem musisz mu przyłożyć. Żeby po pamiętał.

- Nie będzie następnego razu - odezwał się wreszcie chłopak. Usta miał tak spuchnięte, że z trudem nimi poruszał. Rana pod okiem krwawiła obficie. Ursula pomogła Rhei, która starała się go podnieść. Will oparł się ciężko na szczupłym ramieniu Rhei. Czuł jej nagie ciało pod cienką koszulą. Jej skóra była chłodna i pachniała talkiem. Wyprostował się z trudem i dotknął twarzy.

- Przepraszam. Nic mi nie jest. Możecie już wracać do domu. - Uwolnił się z objęć Rhei.

- Właśnie, że coś ci jest. Mamo, powiedz mu. Trzeba mu obmyć rany i...

- Ja to zrobię. To mój syn. - Pani Winby wyciągnęła rękę, którą Will ujął. Oderwał się od Rhei i podszedł do niej. Poruszał się jak starzec.

- Wniosę pani męża do domu. Will ledwie się trzyma na nogach - zaferował się Tim; dźwignął z ziemi bezwładne ciało mężczyzny i zarzucił je sobie na plecy w strażackim chwycie. Zachwiał się pod jego ciężarem, ale utrzymał równowagę i wszedł do domu. Pani Winby i Will poszli za nim. Trzasnęły zamykane drzwi.

Ursula i Rhea zostały nagle zupełnie same. Cykady podjęły zbyt głośną nocną pieśń. Niemał przed ich nosem pojawił się robaczek świętojański, tańczący w ciepłym powietrzu. Ursula skrzywiła się i spojrzała na córkę.

- Nic więcej nie możemy zrobić. Chodź, kochanie, wracajmy. Chętnie napiję się herbaty. A ty?

- Janie. Chcę tylko...

- Co?... Willa? - spytnała Ursula, kiedy Rhea zamilkła na dłużej. Córka nie odpowiedziała, odwróciła się i pobiegła do domu. Ursula westchnęła i zaczęła na Tima.

- Nic mu nie jest. Nie martw się, ukochana. Tylko trochę krwi i siniaków. Do jutra będzie jak nowy.

- Nie. Will wdał się w tę bójkę umyślnie. Tak, jakby... nie wiem. Może chciał, żeby mu się coś stało. Albo szukał powodu, żeby odejść. Och, myślisz, że to...?

- No, może. A może spodziewał się, że Rhea zacznie mu współczuć, jeśli to zobaczy. Stary numer Tomka Sawyera. - Uśmiechnął się; Ursula uspokoiła się na chwilę. Objął ją ramieniem i zaprowadził do łóżka.

Rhea zapukała do okna Willa, kiedy światła w domu pogasły i wszyscy poszli spać. Wszyscy oprócz niej. Nie mogła znieść czekania, patrzenia w sufit, zastanawiania się, co się dzieje z Willem. Nie mogła tego znieść ani chwili dłużej. Podkasła nocną koszulę i wyszła ostrożnie przez okno, starając się nie zbudzić śpiącego twardo Toma. Jego miarowy oddech uspokoił ją.

Przejście na bosaka nie było niczym przyjemnym, ale nie odważyła się założyć butów. Musiała poruszać się bezszelestnie. Właściwie nie wiedziała, skąd się u niej wzięła ta nagła potrzeba zachowania tajemnicy. Odkąd pamiętała, ona i Will składali sobie wzajemne wizyty o północy. Wiedziała, że matka słyszała ich szepety, ale nigdy o nich nie wspominała. Ale dziś wszystko wyglądało inaczej. Nagle rzeczy przybrały okropnie poważny obrót, a ona bała się tak, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Musiała porozmawiać z Willem.

Usłyszał jej pukanie. Kiedy nie zrezygnowała, westchnął i ostrożnie podniósł się z łóżka. Bolało.

- Tak? O co chodzi?

- Mogę wejść? - Miała biedny, drżący głosik. Will milczał przez długą chwilę. - Mogą?

- Tak. Okno jest otwarte. Wejdz. - Szept tchnął do niej z mroku pokoju, tak cichy, że prawie go nie usłyszała. Dziwny ma głos, pomyślała. Martwy. Zimny. Wśliznęła się do pokoju i zamknęła okno z moskitierą.

- Will? Jak się czujesz? - W ciemnościach nie widziała jego twarzy. Tylko zarys leżącego na łóżku ciała. Usiadła obok niego i wyciągnęła rękę. Poczula, że krzywi się z bólu.

- O Jezuu, uważaj. Boli.

Cofnęła dłoń.

- Przepraszam. Nic nie widzę, więc nie wiem, gdzie cię boli.

- Więc w ogóle mnie nie dotykaj - warknęła. W ciemnościach zapanowało milczenie, tak długie, że poczuł niepokój. Rhea siedziała bez ruchu na łóżku. Wyciągnęła rękę ku jej twarzy, ale odwróciła się od niego. W świetle księżycy zalśniły łzy. Wtedy przyciągnęła ją ku sobie; poczuł dygotanie jej ciała, stłumione łkanie.

- Nie płacz, na Boga. No, nie płacz. Co mam ci powiedzieć? Przeprasić? Dobrze, dobrze. - Przytulił ją mocno. - Przepraszam. Już ci lepiej? Skoro mówię, że już wszystko w porządku, będziesz mogła pojechać do Perth i zapomnieć o mnie. Dobry stary Will będzie tutaj, kiedy wrócisz. Jeśli wrócisz. - Nadal trzymał ją w objęciach, choć szarpnęła się, urażona gorzkimi słowami. Czuł na swo-

ich policzkach jej lzy. Jeszcze przez chwilę wrywała mu się, a potem dała za wygraną. Znieruchomieli w milczeniu.

- Nie chcę cię stracić - powiedziała z takim zmęczeniem, że prawie nie rozumiał. Puścił ją.

- Tak. Dobrze wiesz, jaki masz wybór. Przynajmniej jakiś masz. - Odwrócił się, wstrzymując oddech z bólu, który szarpnął jego żebrami. Rhea wyciągnęła rękę i położyła mu ją na plecach.

- Proszę cię. Dlaczego wszystko jest dla ciebie czarne albo białe? Albo zostanę teraz, albo stracę cię na zawsze? Dlaczego nie możemy pójść na kompromis? - Przesunęła dłońią pod jego koszulą, w miejscu w którym zwisała nad spodniami. Poczowała, że jej dotyk budzi w nim dreszcz. Odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Co robisz? Chcesz mnie namówić na coś, na co masz ochotę, jak zawsze? „Proszę” - przedrzeźnił jej głos - „malutki kompromis”. Tylko, że mam już dość kompromisów. Dlaczego dla odmiany ty z czegoś nie zrezygnujesz? Może przekonasz się, jak to smakuje? - Złapał ją za przegub i przyłożył sobie jej dłoń do piersi. Teraz ona zadrzała.

Wiedziała, czego pragnie. Nie miała doświadczenia, podobnie jak on. Ale to nie wydawało się jej ważne. Wystarczyło tylko, że się dotknęli, by odezwał się w nich ten dziwny trzepot, nagle pragnienie. Will mógł być dobrym kochankiem. Już jej tego dowiódł. A jeśli teraz to zrobią, zostanie. To takie proste. Przedsmak tego, co będzie później, kiedy Rhea wróci z Perth. Pochyliła się i pocałowała jego spuchnięte usta. Nie zwrócił uwagi na ból. Zobaczył ją w świetle księżyca, dostrzegł to, co malowało się w jej oczach; jej nogi oplotły go, a miękkie piersi wparły się w jego klatkę piersiową. W uszach zaczęło mu szumieć. Jęknął i odepchnął ją.

- Nie chcę cię w ten sposób. Chcę cię na zawsze, nie jako czasową propozycję, którą wycofasz, jeśli trafi ci się ktoś lepszy. Zaproponuj ją swojemu cennemu Charlesowi. Może on nie będzie tak wybredny.

Prawie nie poczuł policzka ani nagłego gradu ciosów pięści, bębniących po jego i tak posiniaczonych żebrach. Ból, który czuł znacznie głębiej, zagłuszał wszystko inne. Po chwili już jej nie było. Wymknęła się przez okno tak, jak robiła to od wielu lat. Położył się na łóżku i długo patrzył w ciemność szeroko otwartymi oczami. Łzy ciekły mu po policzkach i spływały na skronie. Ona nie wróci. Był tego zupełnie pewien.

Kiedy Rhea obudziła się następnego dnia, Willa już nie było. Nikt nie wiedział, gdzie się mógł podziać. Spakował parę rzeczy, które należały do niego i odszedł. Rhea podejrzewała, że Stoney ma coś wspólnego z jego zniknięciem; prawdopodobnie podwiózł go do Gidge, albo gdzieś indziej, skąd mógłby złapać transport w głąb kraju. Ale Stoney tylko potrząsnął głową i powiedział, że nie Hia o niczym pojęcia. Rhea czuła się oszukana i zawiedziona jak jeszcze nigdy w życiu. Nagle zdawało się jej, że cały świat poszarzał. Jakby pokryła go brudna szara



blona. Ale była bezradna; nie wiedziała, gdzie mogłaby Willa szukać. Odszedł. To wszystko.

Charles i Jennie zrobili wszystko, co było w ich mocy, żeby ją rozweselić i odciągnąć od smutnych myśli. Ich towarzystwo bardzo ją cieszyło, ale za każdym razem, kiedy szli pływać w lagunie, kiedy objeżdżali konno majątek albo organizowali sobie pikniki na płaskich skałach, jej wzrok sam szukał Willa. W każdym miejscu czekały na nią wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Nie mogła uwierzyć, że zniknął z jej życia, być może na zawsze. Charles twierdził, że zapomni o wszystkim, kiedy pojedzie do Perth i rozpocznie studia, ale to także jej nie przekonało. Tak, jakby wszystko to mogło ją cieszyć wyłącznie wtedy, kiedy Will na nią czekał. Teraz z ogromnej radości pozostał tylko obowiązek. Ursula obiecała, że pojedzie z nimi do miasta i pomoże zainstalować się w nowym mieszkaniu. A Charles powiedział, że kupi jej innego psa. Will zabrał Mannie ze sobą. Rhea zgadzała się na wszystko. Na niczym jej już nie zależało.

Kiedy zamieszkała razem z Jennie w mieszkanku w Cottesloe, życie zaczęło wyglądać lepiej. Całymi tygodniami malowały ściany i pastowały drewniane podłogi, zbijały z desek półki na książki Rhei i jedzenie, którego Jennie nie brała do ust, ponieważ stale była na diecie, a na które się rzucała w nocy, kiedy Rhea już spała. Jennie dostała pracę w butik „Ma Casita” na Stirling Highway. Sprzedawano tam absurdalnie drogie ubrania dla kobiet z nadwagą, które nie miały na co wydawać pieniędzy. Sama Jennie stosowała dietę odchudzającą, która polegała na przyglądaniu się sobie w lustrach.

Rhea zaczęła studia na uniwersytecie na wydziale literatury angielskiej. Charles bywał u nich częstym gościem. Zabrał je na wyścigi wioślarskie pomiędzy różnymi szkołami. Zwyciężyła Aquinas, jak zwykle. Chodziły na zabawy i przyjęcia, popołudniowe herbatki w „Steve” i mecze tenisowe w klubie w Peppermint Grove, w którym Jennie spędzała dużo wolnego czasu, czelując bekhendy. Uczęszczały na rozmaite pikniki i nocne wyścigi klubu jachtowego. Rhea zadomowiła się w mieście jeszcze lepiej, niż w Świętej Hildzie. Stypendium wystarczało na spłacenie czesnego, a matka powiedziała, że majątek prosperuje na tyle dobrze, by pokrywać jej wydatki i czynsz. Oczywiście nie płaciła zbyt wiele, Charles tego dopilnował. Jaki on kochany - ta myśl powracała do niej przynajmniej dwa razy dziennie. A potem przed oczami stawał jej Will. I wszystko znowu szarzało.

Ursula regularnie przyjeżdżała do niej z wizytą. Tom miał już sześć lat i z największym zadowoleniem zostawał z Percym, Kim i panią Winby. Ta ostatnia tęskniła za Willem i Tom był dla niej jego substytutem. Ursula nie starała się wtrącać. Musiała czasami uciec przed monotonią gospodarstwa, a Rhea potrzebowała jej obecności. Obie czuły się osamotnione i obie udawały, że cieszą się swoją obecnością, choć tak naprawdę chciały być z mężczyznami, których kochały. Rhea rozumiała teraz matkę lepiej, niż kiedykolwiek. Wreszcie i ona poczuła ból rozstania. Ale Tim był bardzo zajęty; kandydował na wysokie stanowisko w partii Country. Nie mógł sobie pozwolić nawet na cień podejrzenia. Więc nie pokazał się od kilku miesięcy. Ursula wszędzie natykała się na jego

zdjęcia w gazetach. Joanna uśmiechała się u jego boku. I wyglądała o kilka lat młodziej od Ursuli.

To właśnie wtedy Ursula przyjeżdżała do Perth i mieszkała u Rhei. Razem chodziły na zakupy lub siedziały w ładnym ogródku i rozmawiały. Rhea nie jest już tylko moją córką, zauważyła Ursula z dumą. Jest także moją najlepszą przyjaciółką. Charles wpadał czasami po pracy i zabierał je do restauracji, a one bardzo się starały zapomnieć, że jest im smutno.

- A, właśnie. Tim cię pozdrawia - powiedziała Ursula, zajmując miejsce na ławeczce. Rhea siedziała na kamiennej ścieżce i opalała sobie nogi. Były bardzo długie i szczupłe, ku irytacji Jennie, katującej się ciągłymi dietami.

- Co u niego? I jego kochanej Joanny? - Rhea nie potrafiła powściągnąć sarkazmu. Nie mogła się na to zdobyć, kiedy widziała nieszczęśliwe oczy matki i lekkie przygarbienie ramion. Powinna spotykać się z innymi mężczyznami, pomyślała Rhea. Nie jest stara. W tym roku skończyła trzydzieści sześć lat. I wcale nie wyglądała na tyle. Ursula spojrzała chłodno na córką.

- Nie mów tym tonem. Wiesz, że to nie jego wina. Joanna jest jego żoną, a polityk musi mieć żonę u boku. Poza tym jest do tego stworzona i wychowana. Bardzo mu pomaga.

- Tak, wiem - westchnęła Rhea. - A co u jego syna? Przeszedł już tę grypę? To pewnie strasznie kłopotliwe, że łapie wszystkie możliwe choroby. I w dodatku ma astmę. Porównaj go tylko z Tomem - nic mu nie szkodzi.

Tim przysłał im fotografię Josha z dnia jego siódmych urodzin - kościste, poważne ciemnowłose dziecko o przezroczystej skórze kogoś nieustannie chorującego. Ktoś trzymał go mocno za rękę, ale zdjęcie zostało ucięte i została tylko ręka o starannie wypielęgnowanych czerwonych paznokciach. Ursula odłożyła fotografię bez słowa, ale Rhea zauważyła, że od tej pory matka zaczęła bardziej dbać o dłonie. Moczyła je w wodzie z mydłem, a czasami nawet malowała paznokcie białym różowym lakierem. Skrzywiła się; wiedziała, jaki ból odczuwa Ursula.

Dziwne, że matka nigdy nie mówiła o Timie w sposób zdradzający jej uczucia. To byłoby zbyt ryzykowne; mogłoby ściągnąć na ich głowę potworną tragedię. Matka nie zamierzała ryzykować. Pogodziła się z tym, co mogła mieć i dostosowała do tego resztę życia. Kiedyś powiedziała coś o tym, że potknęła się o miłość i wpadła w nią. Rhea zastanawiała się, czy tak można powiedzieć o niej i Willu. Oni także potknęli się o miłość, ale z braku doświadczenia czy może z czystej głupoty pozwolili jej odejść. Spojrzała na zdjęcie, które zrobił niegdyś Tim. Stała na nim z Willem i oboje śmieli się w obiektyw. Przynajmniej nie musi być o niego zazdrosna. Nawet nie wiedziała, gdzie go znaleźć.

List od Willa przyszedł drugiej zimy, w 1964 roku Ursula przysłała go jej z majątku. Rhea otworzyła go drżącymi palcami. Z niecierpliwości nie zrozumiała ani słowa. Po pierwszym zdaniu do oczu napłynęły jej łzy. Powstrzymała je z wysiłkiem i usiadła przy stole. Odetchnęła parę razy. Dopiero wtedy znowu zaczęła czytać.

„Droga Rhea. Trudno było mi żyć bez ciebie, ale wiem, że to mi wyszło na dobre. Nie chcę, żebyś myślała, że dalej jestem na ciebie zły albo że się gniewam. Wiem teraz, że musisz zrobić to, co uważasz za najlepsze dla siebie i nie zamierzam wywierać na ciebie nacisku. Więc, mając to na uwadze i wiedząc, co sądzisz o życiu na wsi, postanowiłem zapomnieć o tym, że moglibyśmy wspólnie spędzić życie. Dziesiątego sierpnia ożeniłem się z Susan, córką zarządcy gospodarstwa, w którym pracuję. Jest prawdziwą wiejską dziewczyną i naprawdę mnie pokochała. Nie jest to samo, co z tobą gdybyś zechciała mnie poślubić, ale chyba nie będę nieszczęśliwy. Susan bardzo się stara. Mam nadzieję, że ty i Charles(?) także będziecie szczęśliwi i że czasami do mnie napiszesz i opowiesz mi, co u ciebie. Tęsknię za tobą jak zawsze. Całuję. Will”.

Rhea znieruchomiała, wpatrzona tępo w podłogę. Jennie weszła do pokoju i zatrzymała się przy niej z niepokojem. A więc to tak. Dzisiaj był siedemnasty. A więc naprawdę do niej nie wróci. Wiejska dziewczyna.

Jennie położyła jej rękę na ramieniu.

- Co się stało? Wyglądasz jak...

- Will się ożenił. - Odsunęła Jennie i wstała. Zachwiała się i musiała przytrzymać się stołu, żeby nie upaść. Wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Złożyła list i włożyła go do koperty, uśmiechnęła się do Jennie i wyszła z salonu, stukając cicho obcasikami po drewnianej podłodze. Jej kroki zatrzymały się w sypialni. Zamknęła drzwi, cicho i zdecydowanie, stanowczo odsuwając wszystkich, którzy chcieliby dzielić z nią smutek. Jennie zostawiła ją samą.

## Rozdział dwudziesty szósty

Ursula martwiła się. Kilka razy przeczytała od nowa list Lettice, ale większość nie była dla niej jasna. Żałowała, że Lettice nie jest nieco bardziej szczerza i nie mówi jej wszystkiego. Ale co jeszcze mogła napisać? Ojciec Simona zmarł parę tygodni temu i pogrzeb odbył się w Opactwie Westminster-skim. Prawdziwym szokiem było nie to, że umarł, ale że zapisał wszystkie pieniądze na dobroczynność, a Julia ani dzieci nie dostali z tego ani grosza. Simon oczywiście szalał z wściekłości. Zawsze liczył, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że ojciec jednak zapisze mu pieniądze, a jeśli nie jemu, to chociaż Julii i dzieciom. Biedny Humphrey; nikt nie opłakiwał go po śmierci. Wszyscy rzucili się sobie do oczu o pieniądze.

Ursula zastanawiała się, czy Simon jednak będzie się trzymał Julii i poślubi ją. Ale najpierw musiałby się rozwieść. Lettice napisała, że jego miłość do Julii nieco ostygła, zwłaszcza kiedy jego ukochana zdecydowała się zostać z Humphrey'em. Lettice uważała, że zostawi Julię i dzieci własnemu losowi i ucieknie, zanim znajdą go jego wierzyciele. Ursula zacisnęła usta. To bardzo przypominało Simona.

Ale dopiero drugi list zmartwił ją naprawdę. Był datowany tydzień później, dziewiątego lutego 1964 roku, i najwyraźniej został wysłany w wielkim pośpiechu. Julia rozstała się z Simonem! Znalazła sobie kogoś, kogo stać na jej zachcianki i nie chciała mieć nic wspólnego z byłym ukochanym. Zamknęła mu drzwi przed nosem i nie ruszy palcem, żeby mu pomóc w spłaceniu długów. A więc w końcu się nim znudziła. Simon wpadł w rozpacz, napisała Lettice, i zamieszkał na wsi, żeby uciec przed wierzycielami.

Ursula nie miała wątpliwości, że znowu zacznie ją szantażować, choć za pierwszym razem nie odniósł na tym polu wielkiego sukcesu. Nie był głupi. Jeśli

naprawdę się do tego przyłoży, zdoła wydusić z niej pieniądze. Może i nie podobało mu się w Australii, ale wcześniej czy później znajdzie się w tak rozpaczliwym stanie, że uzna jej posiadłość za godną siebie, prawem męża i pana.

Zgniotła list w dłoni i zaczęła krążyć niespokojnie po werandzie. Zapadł już zmierzch i wielkie ómy obijały się o lampy. Usiadła na bujanym fotelu, żeby nie wpadały jej na twarz. Niech to diabli! Właśnie teraz, kiedy wszystko idzie tak dobrze, kiedy posiadłość wygląda tak pięknie, pełna schludnych rzędów pomarańczowych drzew i bielonych budynków na zielonych płachetkach późnej zimowej trawy... Utrzymywała się i jeszcze przynosiła dochody. Do wszystkich diabłów! Skończyła trzydzieści sześć lat i ciągle obawia się mężczyzny, który przez dziesięć lat małżeństwa nie zdołał się do niej zbliżyć, ani fizycznie, ani psychicznie. Czy nigdy nie zniknie z jej życia? Zakotyła się gwałtowniej, wbijając ponury wzrok w grządki z ziołami.

Czy ma powiadomić Tima? Przecież jej nie pomoże. A politycznie moment jest bardzo delikatny. Poza tym, musiała to przyznać, to tylko wymówka, która jej pozwoli znowu z nim porozmawiać. Ostatnim razem miał taki niecierpliwy, zły głos. Ale skąd miała wiedzieć, że trafi akurat na chwilę, kiedy będzie u niego dziennikarz. Poza tym sądziła, że chce usłyszeć, iż Tom zdobył stypendium do Christchurch, tak jak jego siostra. Ale Tim jeszcze nie otrząsnął się z szoku po spotkaniu z agentką handlu nieruchomościami i nie chciał ryzykować. Śmieszne, jak bardzo się to dla niej wtedy liczyło - mieć dom w mieście. Pamiętała, jak pokazała Timowi budynek i tak długo się nim zachwycała, aż nagle pojawiła się ta agentka, która natychmiast go rozpoznała. Ach, te jasne brwi, tak wysoko uniesione! Tim natychmiast wyjechał i oczywiście całe spotkanie mieli zepsute. A to wszystko wydarzyło się jeszcze przed tym, jak zaczął kandydować. I zanim Simon zaczął im znowu zagrażać.

O nie, pomyślała z ponurym uśmiechem. Dom w Perth zdecydowanie nie wchodzi w rachubę. Podobnie, jak przyjęcia - na pewno nie z Timem u szczytu stołu. Zresztą będzie mogła zapomnieć o wszystkich rozrywkach, jeśli Simon zatriumfuje. Ale to się nie wydarzy. Już ona tego dopilnuje. Potrząsnęła głową i jeszcze raz przeczytała list. Będzie musiała zająć się tym sama.

Charles i Rhea pobrali się w marcu następnego roku. Ich ślub odbył się w katedrze Świętego Jerzego, a przyjęcie w klubie jachtowym. Rhea życzyła sobie, żeby zorganizować je na dworze. W marcu było zwykle chłodniej; na cyplu, wystającym nad wodami jak łeb wieloryba, znajdowały się zielone i wonne ogrody. Tego dnia znad zatoki wiał rześki wietrzyk, który usunął z powietrza wszelki zaduch. Gośćmi na przyjęciu weselnym byli Tiffany, Christopher, Lettice i Hugh, który wyznał, że bał się, iż jeśli nie przyjedzie teraz, nigdy więcej nie zobaczy swojej chrzestnej córki. Wygląda staro, pomyślała Ursula z niepokojem. Zbyt staro.

Lettice miała przez pewien czas nadzieję, że nie było to nic więcej, niż chwilowa niedyspozycja. Hugh czuje się dobrze już od roku, napisała w ostatnim li-

ście. Ale Ursula zorientowała się od pierwszego spojrzenia na niego, że to tylko kwestia czasu. Jego skóra przypominała siatkę moskitiery; była szara i pełna wielkich porów. Starła się nie okazywać, jakiego wstrząsu doznała na jego widok, ale on wiedział. Jego zrezygnowana mina była tego najlepszym dowodem. Nawet ten subtelny humor, który tak w nim lubiła, przygasł i wydawał się pozbawiony radości.

Zjawili się w majątku na parę dni przed weselem. Lettice zamierzała sprawdzić, czy poetyka w listach Rhei wiernie odzwierciedla rzeczywistość. Hugh chciał już tylko odpocząć. Tiffany i Christopher pragnęli rozejrzeć się, zanim podejmą jakieś kroki. Oznajmili, że Anglia robi się bardzo przygnębiająca. Ursula powitała ich w drzwiach domu, kiedy John Dempsey, pomocnik którego najęła po odejściu Willa, przywiózł ich z lotniska. Pojechałaby sama, jak wyjaśniła, objąwszy ich ramionami, ale Tom dostał jakiejś dziwnej wysypki i modliła się, żeby nie była to wietrzna ospa. Nie przed weselem! Wszyscy czworo stali przed nią z uśmiechem. Każde z nich wyglądało odrobinę inaczej, niż ostatnio.

- Och! Szmata czasu, kochanie! Nie powinniśmy cię wypuszczać. Nie masz pojęcia, jakie nudne zrobiło się Elsing po waszym wyjeździe. A w waszym domu rezyduje Simon, który zapija się na śmierć. Boże! Jak Julia mogła mu to zrobić! - Lettice znowu rzuciła się w objęcia Ursuli. Wszyscy przybyli z Singapuru, bardzo rozsądnie podzieliwszy sobie podróż na znośne etapy. Mimo to wyglądali na zmęczonych. Ursula odwzajemniła jej uścisk.

- Simon zasługuje na wszystko, co go spotyka. Nie mam dla niego krzty współczucia. Poza tym, jeśli Julia męczyła się z nim przez prawie dwadzieścia lat, zasługuje na odpoczynek. - Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Weszli na werandę, narzekając na upał, suchość powietrza i potwornie rozległe połacie kraju, na których nie było widać żywej duszy. Ursula zagoniła ich do dwóch nowych pokojów, które dobudowała przed rokiem, usytuowanych od strony wiejących wiatrów. Normalnie jeden z nich należał do Toma, a drugi służył za pokój gościnny. Teraz Tom zajmował pokój Rhei, która jeszcze nie wróciła z Perth, gdzie przygotowywała się na wielki dzień. Kiedy wszyscy odpoczęli i rozpakowali się po podróży, zasiedli w salonie. Kim wniosła tacę z kieliszkami i butelką szampana.

- Proszę bardzo. Zmrożony aż miło. Stoney powiedział, że dziś odbierze ze szkoły Percy'ego i inne dzieciaki, więc żeby się pani nie martwiła. - Uśmiechnęła się wesoło do czterech obcych twarzy. Ursula zastanawiała się, jak wyglądają w jej oczach.

Tiffany i Charles robili dobre wrażenie; ona nadrabiała wagą to, co on tracił. Ale byli najwyraźniej szczęśliwi i ciągle w sobie zakochani. A Tiffany była jak zwykle niesamowita. Przeraziła biednego Johna Dempsey'a już na lotnisku, kiedy powiedziała mu, co sądzi o wygódkach na zewnątrz domu. Christopher opowiedział o tym z uciechą, a Ursula omal nie oblała się szampanem. Niech ją to nie martwi, pospieszyła z zapewnieniem. Już od dawna mają w domu skanalizowane toalety.

Tiffany miała na sobie obcisły kostium z czarnej wełenki, który pasował do Gidgeeganup tak samo, jak bawełniana sukienka Ursuli do zimowego Londynu. Jej włosy miały jaśniejszy odcień, niż poprzednio, w czym bez wątplenia pomogła sobie gotowymi preparatami. Ale nadal była obezwładniająco piękna; miała wydęte usta prosto z obrazów Botticellego i przejrzyste oczy z nowym dojrzałym spojrzeniem, które wiedziało już, że ludzie są zawodni. Kim przyglądała się jej z tęskną zazdrością.

Christopher zaczął siwieć, ale jego sylwetka cechowała się tym rodzajem szczupłości, który pozwoli mu wyglądać młodo przez całe życie. Wydawał się rozluźniony, spokojny i pogodzony z życiem. Ursula usiłowała sobie przypomnieć, jak to możliwe, że się jej podobał. Jego uśmiech, tak, nadal jest urzekający, i poczucie humoru. Ono też się nie zmieniło. Ale pociąg fizyczny? Pomyślała o Timie, który miał przyjechać za parę dni. A potem wróciła spojrzeniem do Christophera. Nie, to zupełnie nie jej typ. Uśmiechnęła się.

Lettrice była niespokojna, choć uśmiechała się i gestykułowała z teatralną przesadą. Wyglądało to nie na miejscu u kobiety w jej wieku. Jej siwe włosy opływały głowę eleganckimi falami - wspomnienie owcy definitywnie odeszło w zapomnienie - a strój stanowiła piękna suknia w bładozieloną i kremową szachownicę oraz naszyjnik z pereł. Wyglądała na osobę, która powinna odzywać się z rzadka i wytwornie modulowanym głosem, wypowiadając się na temat teatru, wnuków i rodziny królewskiej. Na pewno nie o dorosłości i wierzytelach, przy czym każdą uwagę kończył dziki wybuch śmiechu. Hugh uśmiechał się posłusznie. Jego niegdyś różowe policzki miały teraz barwę ołowiu.

Kim ponownie napełniła kieliszki i wzięła jeden dla siebie, usilnie zachęcona przez Ursulę. Wszyscy kieliszki sobie o różnościach. Po pewnym czasie z sypialni wyłonił się Tom z rozczochną jasną czuprynką i zarumienioną, poznaną cętkami buzią. Ursula wzięła go na rękę.

- Za bardzo hałasujemy? Jak się czujesz? - Pocałowała go w czoło i posadziła sobie na kolanie, odruchowo sprawdzając mu temperaturę. Ziewnął i rozparł się wygodnie w jej objęciach. Przyjrzał się kolejno wszystkim obcym, którzy nagle pojawili się w jego domu. Oni z kolei przyglądali mu się z równym zainteresowaniem.

- Ojej, cały ojciec, prawda? - zauważyła Lettrice. W oczach migotały jej łobuzerskie iskierki. - Cześć, Tom. Nie znasz mnie, ale jestem twoją ciocią. Ciocia Lettrice. Właśnie przyjechałam aż z Anglii z wujkiem Hugłfem na wesele Rhei. Jesteśmy jej rodzicami chrzestnymi, wiesz? - Wyciągnęła do niego rękę, a Ursula podała go jej.

- Wszyscy mieliście wietrzną ospę? Kim? Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Nie chcę, żeby Percy zaraził się od ciebie.

- Nie ma strachu. To nie żadna ospa wietrzna, tylko normalna wysypka. Na wesele będzie zdrow jak ryba, no nie? - Wyszczrzyła olśniewająco białe zęby, kiedy Tom skinął głową z przejęciem. Tarł oczy, ziewnął i usiłował dojść do tego, kim są chrzestni rodzice.

- Ludzie nie mówią, że wyglądam jak tata. Mówią, że wyglądam jak wujek Tim. To przyjaciel mamusi - oznajmił wreszcie. Lettice opanowała się w sposób godny najwyższego podziwu. Pozostali udali, że nie słyszą.

- Naprawdę? No, tak się spodziewam. Nie widziałam Tima od dawna.

- Jutro przyjedzie, prawda? Mamusiu? - Tom nagle ożywił się na tę myśl. Jego szare oczy zrobiły się ogromne, a pasmo jasnych włosów opadło mu na jedno oko. Hugh przyjrzał mu się z namysłem,

- To pewnie duży kłopot - zauważył. Ursula wiedziała, że ma na myśli podobieństwo do Tima.

- Nie aż tak. Ludzie na razie zadowolają się naszym wyjaśnieniem. Ale kto wie. Zmierzymy się z tym problemem, kiedy przed nim staniemy.

- Więc jeszcze nie wie? - Hugh wskazał chłopczyka.

- Nie. Nie wiemy, jak mu to powiedzieć i czy w ogóle mówić. Może lepiej zostawić to tak, jak jest.

- Hm. Ryzykowne. Powiedziałbym mu, kiedy dorośnie. Tak jest zawsze lepiej. Nic gorszego, niż gdyby miał się dowiedzieć z cudzych ust jako dorosły mężczyzna. To go postawi w niezręcznej sytuacji. Cześć, Tom. Przyjdiesz przywitać się z wujkiem Hugh'em? - Pochylił się i wyciągnął ramiona. Tom posłusznie zeskoczył z kolan Lettice i podreptał do niego.

- Jaki ojciec, taki syn - zauważyła cicho Lettice. - Tim zawsze był kontaktowy. W jej głosie brzmiało sporo ironii.

Później, kiedy Hugh musiał odpocząć, a Tiffany i Christopher zwiedzali okolicę, podziwiając rzędy pomarańczowych drzewek i dobrze utrzymane stodoły, Lettice usiadła ciężko na werandzie i westchnęła.

- Hugh ma raka. Umiera.

Ursula skinęła głową.

- Wiedziałam, że coś z nim jest nie w porządku. Tak się postarzał, wygląda jakby... był chory. Mogę wam pomóc?

Lettice pokręciła głową.

- Nie. On oczywiście wie o wszystkim. Ale nie chce, żeby robić wokół niego za wiele hałasu. Miałam nadzieję, że podróż go rozerwie, ale chyba jest już późno na wszystko. Stracę go... ale przynajmniej znowu zobaczył Rheę i ciebie. To dla niego bardzo ważne. - Zapadła chwila bolesnej ciszy. Ursula mocno ścisnęła jej rękę.

- A co zrobisz, kiedy go już nie będzie? Zostaniesz w Elsing? A może przyjedziesz tutaj. Mamy mnóstwo pokoi, Rhea wychodzi za męża, a Tom będzie w szkole, no a Tim jest tak pochłonięty polityką, że... - Ale Lettice tylko pokręciła głową.

- Jesteś kochana, ale nie mogłabym opuścić domu i wioski. Mogę sobie narzekać, że się nudzę, ale to mój dom. A Hugh będzie tuż obok mnie, przy kościele. Chcę być pochowana koło niego, nie tutaj, w tym brązowym piachu. Wiem, że jesteś tu szczęśliwa, ale to nie dla mnie. Strasznie tu surowo.

Taka właśnie była. Mówiła wprost, nie owijając prawdy w bawełnę. Ursula uśmiechnęła się niewesoło.



- Tak, jest surowo, a jednak pięknie i przestronnie, ale ja wychowałam się wśród tropikalnych zarośli. Trzeba czasu, żeby się przyzwyczaić.

Kiedy zjawili się na przyjęciu w ogrodach klubu jachtowego, ciągle myślała o ich rozmowie: było tu schludnie i porządnie, ale niebogato, barwnie i zielono ponad wszelkie wyobrażenie - tak jak w ogrodach w Singapurze. Przez chwilę zadumała się nad tym, czy kiedyś je zobaczy. Potem zjawiała się Bettina Peel i podała jej kieliszek szampana. Peelowie zorganizowali wszystko, od kwiatów i jedzenia po samochód, którym mieli odjechać państwo młodzi. Ursula była zachwycona. Sama nie dałaby sobie rady i, prawdę mówiąc, nie miała odpowiedniej sumy, której wymagała taka uroczystość. Peelowie na szczęście lubili imponować.

Martwiło ją, że Rhea była dziś taka milcząca. Nie okazywała ani trochę ozywienia, którego spodziewała się Ursula. Żadnych wyznań, żartów, nawet obaw przed tym, co miało się stać dzisiejszej nocy. Rhea stała sztywno jak lalka i pozwalała się ubierać. Ograniczała się do grzecznych odpowiedzi na pytania Jennie i jej siostr. Nie odzywała się nawet do matki. Biło z niej jakieś napięcie, które bardzo nie podobało się Ursuli. Bettina składała to na karb przedślubnego zdenierowania i nie zwracała na to uwagi. Ale Ursula nie dała się oszukać. I martwiła się. Może ślub jest przedwczesny, może nastąpił zbyt szybko po tym okropnym liście Willa? Chciała o tym porozmawiać, ale Rhea przerwała jej w pół słowa i wypadła z pokoju w poszukiwaniu broszki, która gdzieś zginęła. Ursula dała za wygraną.

Peelowie byli dużą, hałaśliwą rodziną z pięciorgiem dzieci, niezliczoną liczbą kuzynów i krewnych. Ursula rychło straciła rozeznanie w ich skomplikowanych stosunkach i nieustannie pilnowała się, żeby nie poczynić jakiejś niewczesnej uwagi o kimś, kto mógłby się okazać dalekim kuzynem. Wyglądało na to, że całe Perth jest spokrewnione z Peelami.

Wreszcie rozpoczęło się przyjęcie, które wkrótce nabrało rozmachu, a kiedy Charles i Rhea ukroili pierwszy kawałek tortu, rozległy się głośne okrzyki i wystrzały korków od szampana. Rhea jaśniała chłodną urodą w sukni z kremowego jedwabiu, ozdobionej na ramionach wielkimi pękami róż. Włosy lśniły jej w promieniach słońca, a welon spływał spod opaski z drobniutkich różanych pączków. Wyglądała jak ideał panny młodej i to przekonanie widniało wyraźnie na twarzy Charlesa. Bettina Peel i Ursula siedziały na kamiennej ławeczce przy schodach, które prowadziły przez ogrody do doków i bardzo cicho wznosiły między sobą toasty. Tim miał prowadzić Rheę do ołtarza, ale postanowiono, że ten obowiązek przypadnie Hughowi, ponieważ był jej chrzestnym ojcem, a jego obecność nie budziła podejrzeń, w przeciwieństwie do Tima. A teraz Hugh wygłaszał przemówienie, którego nikt nie słuchał, a Tim usiłował go uciszyć, oferując mu kieliszek szampana. Pan Peel pospieszył z pomocą i obaj zdołali ukrócić jego zapędy.

Bettina roześmiała się.

- Upiera się przy swoim, co? Ale cieszę się, że wszystko idzie tak dobrze. Martwiłam się, że Greenowie będą sprawiać kłopoty - a dokładnie mówiąc, Lucinda. Ciągłe jest z Jeffem w stanie wojny, a kiedy postanowił pojawić się z Julie, myśleliśmy że awantura gotowa! - Zauważyła zdziwione spojrzenie Ursuli. - Ojejku, więc nic nie wiesz? Mój Boże, w Peppermint Grove i Mosmans od paru miesięcy plotkuje się głównie o tym. Zdaje się, że Jeff Green ma romans z Julie Sumner. Lucinda wyprowadziła się, żeby zamieszkać z Jackiem i Libby, po czym uwiodła Jacka, a Libby została z dzieckiem, a raczej z trojgiem dzieci. Uroczę miasteczko, prawda? Naprawdę uważasz, że jesteś tak pokrzywdzona przez los, że mieszkasz w buszu? - Obie roześmiały się.

- Owszem, właśnie tak uważam. Nie miałam pojęcia, że rozwód i skandal to teraz takie akceptowane zjawiska. Zdaje się, że nikt nie czyni wyrzutów i nie stwarza problemów Greenom ani Sumnerom? - zauważyła z namysłem. Bettina wzruszyła ramionami.

- Nie, niby dlaczego. To wszystko starzy znajomi i, powiedzmy sobie otwarcie, każde małżeństwo ma swoje problemy. Masz szczęście; jak wygodnie, owdowiałaś, masz dwoje ślicznych dzieci i tyle pieniędzy, że możesz nie prosić nikogo o wsparcie. Czasami ci zazdrosczę.

- Nie powinnaś. Nie dlatego, że nie jestem szczęśliwa, albo że majątek nie przynosi zysków, ale wierz mi, bardzo brakuje mi moich dzieci. Tom jest przez cały dzień w szkole - wybudowano nową, wiesz? - a w następnym roku pójdzie do Christchurch, więc w ogóle nie będzie go w domu, a Rhea... - spojrzała na swoje dzieci. Tom bawił się z jednym z małych Peelów, którego ganiał dookoła nóg zastawionych stołów. Tak, jak przepowiedziała Kim, wysypka zniknęła następnego dnia i teraz był zupełnie zdrow. Rhea uśmiechała się u boku męża.

- Ach, wszystko wygląda lepiej - ciągnęła Ursula. - Także finanse. W tym roku mieliśmy dobre zbiory. Zaczęłam się zastanawiać nad sprowadzeniem się tutaj i kupieniem domku na tyłach Świętej Hildy. Jest tam parę ślicznych budyneczków, za grosze. - Nie wspomniała, że Tim powiedział jej, że po tym pojawieniu się na weselu Rhei może się z nią widywać tylko w majątku. Założyła pasmo włosów za ucho. Wiatr szarpał jej kapeluszem, jakby uparł się, że akurat jej zerwie go z głowy i zdmuchnie w dół, pomiędzy łodzie, kołyszące się na falach zatoki. Bettina Peel przyjrzała się jej i po raz kolejny pomyślała, że taka młoda kobieta nie może mieć dorosłej córki. Ciekawe, ile prawdy było w plotkach o niej i Timie Nowltonie. Razem stanowili piękną parę.

Tymczasem na parkiecie Tiffany zmusiła Charlesa do puszczenia się z nią w tany i teraz razem wykonywali tango, siejąc spustoszenie wśród innych tancerzy. Czarne frędzle szala wirowały wokół Tiffany. Ursula uśmiechnęła się. Na razie wszystko idzie dobrze. Tu był jej dom, jej córka była piękna i wyszła za wspaniałego młodzieńca, Tom był wesoły i silny, i samo patrzenie na niego dawało jej radość, ponieważ widziała w nim jego ojca. A Tim? Cóż, Tim zazwyczaj był przy niej, kiedy go potrzebowała. Miała wokół siebie przyjaciół. Przez cały

czas czekała, aż ktoś jej to odbierze. Niebezpiecznie jest być zbyt szczęśliwym. Pomachała tancerzom, którzy zachęcali ją do przyłączenia się do nich. Wtedy podszedł do niej Tim. Z wdziękiem popłynęli w tańcu, starannie wymijając szalejącą Tiffany.

- Szczęśliwa? - spytał Tim.

- Bardzo. Cały czas skupiam się na czarnych stronach życia, żeby przygotować się na wszelki wypadek. Jak Lettice i Hugh.

- Chyba już wykorzystałaś swój limit.

- O, myślisz, że ludzie mają przydzieloną porcję dobra i zła? A ja zużyłam całe zło, więc teraz czekają mnie same dobre wydarzenia?

- O to chodzi. Moja ukochana teoria. - Nagle poczuł, że Ursula sztywnieje w jego ramionach. Obejrzał się i rzucił okiem w kierunku, w którym patrzyła.

- Zdaje się, że trochę się pospieszyłeś. Will przyszedł. - Obejrzała się na córkę. - Jeszcze go nie zauważyła. Boże, dlaczego się zdecydował? Nie dość, że nie zachował się zbyt ładnie, kiedy tak sobie poszedł i złamał jej serce, to jeszcze zjawia się na weselu. - Tim odprowadził ją troskliwie na miejsce, czuły i uważny.

- Nie martw się, ukochana. Will nie pojawił się w złej wierze. Zbyt dobry z niego chłopiec. Oho, Rhea go zobaczyła. Zaczyna się. Mam interweniuować?

- Nie. Niech to sami załatwią. I tak nie możemy nic zrobić. Chodź, mój miły. Jak często trafia mi się taniec z mężczyzną życia?

- Jak często? - podchwycił i przygarnął ją do siebie. Pachniała ulotnie i lekko. Jej zapach jest podobny do niej, pomyślał. Podobała mu się sukienka, którą miała na sobie, jasnożółta jedwab z dużym dekoltem, ukazującym jej gładką brązową skórę. Miała na szyi perły od niego. Wszyscy byli już pijani i zaczął się zastanawiać, czy nie zapomnieć o wszystkim i pocałować ją na ich oczach. Ale Ursula przewidziała jego zamiar i w porę odwróciła głowę.

- Wolnego. Minie jeszcze parę godzin, zanim wrócimy do domu. Tańczmy, dobrze? Nie chcesz chyba, żeby obecny tu redaktor plotkarskiej rubryki miał najlepszy dzień swojego życia?

- Masz rację. Ale kiedyś, ukochana, już wkrótce... - Spojrzał na nią z rozmarzeniem, lekko uśmiechnięty. Roześmiała się.

- Obiecanki cacanki.

Rhea stała nieruchomo. Tak sztywna i wyprostowana, jak posąg. Will uśmiechnął się do niej krzywo.

- Wszystkiego najlepszego. Chyba mogę pocałować pannę młodą na szczęście? Nie masz nic przeciwko temu? - Był ubrany niedbale i wyglądał rażąco na tle eleganckich gości. Spojrzał na jej róże i jedwabie, jasne włosy zwinięte w kok i odsunięty z twarzy welon. On nie mógłby jej dać czegoś takiego. Ta myśl zabolęła go. Rhea skinęła sztywno głową, a on musnął ustami jej policzek.

Poczula zapach jego skóry, ciepły i zdrowy, jak woń świeżego chleba i raptownie cofnęła się.

- Dzięki. I wzajemnie. Jak się dowiedziałeś?

- Na pewno nie od ciebie. - Dawna opryskliwość dała o sobie znać. Ale starał się nad sobą panować. - No tak, więc jednak stary dobry Charles. Tak myślałem. A jak ci się podoba Perth? Ciągłe takie ładne? - Trzymał ręce wbite głęboko w kieszenie i przestępował z nogi na nogę. Nie podobało mu się to wszystko. - To on? Ten, co stoi z twoją mamą?

Rhea spojrzała w kierunku, który wskazywał.

- Nie, to kuzyn mamy, Christopher. Trochę za stary dla mnie, nie sądzisz? Czy żartujesz? - Czula się nieswojo, kiedy tak oceniał jej przyjaciół. - Charlie jest tam, przy torcie. Ten, co teraz pije.

- Bardzo piękny i wymowny, trzeba przyznać. - W dzieciństwie mianem „piękny i wymowny” obdarzali osoby zbyt wymuskane. Ten powrót do dawnych czasów nie spodobał się Rhei, która niezwłocznie dała temu wyraz.

- Po co przyszedłeś? Żebyś mógł cierpieć i obnosić się ze swoim bólem? Piękne dzięki, nie trzeba. To ma być mój najszczęśliwszy dzień w życiu i nie zepsujesz mi go. Nie zapraszałam cię, sam rozumiesz.

- Tak, rozumiem. A ja wpakowałam się gdzieś, gdzie nigdy by mnie nie wpuszcili. Czy to naprawdę ty? Ta mała snobka? To całe przedstawienie? Nigdy bym nie przypuszczała. Sądziłem, że jesteście tacy sami, ulepieni z tej samej gliny. No proszę, a ty wybrałaś to. - Odwrócił się i odszedł główną drogą. Zatrzymał się w miejscu, w którym widział zatokę z jachtami; metalowe wanty obijały się ze szczykiem o aluminiowe maszty. Słony wiatr targał mu włosy. Rhea podeszła do niego. Przyglądała mu się tak, jakby chciała go zapamiętać na zawsze, zanim będzie za późno.

- Jak mogłeś nas tak zostawić? Mnie? Nie wiedziałam, gdzie cię diabli ponieśli. Ja... ja cię kochałam, a ty twierdziłeś, że mnie kochasz! - Głos jej zachrypl. - Miałeś poczekać tylko parę miesięcy, parę miesięcy! Will! Ani słowa przez dwa lata, a potem list, w którym powiadamiasz mnie, że się ożeniłeś. Dzięki, łaskawco. - Nie patrzyła na niego. Wbijała nieustępliwe spojrzenie w osłepiająco migoczące lustro wody. Will wzruszył ramionami.

- Musiałem odejść. I tak cię nie obchodziłem. Miłość to tylko słowo, którym szastasz zależnie od potrzeb. Sue to miła dziewczyna. Lubi busz i mnie. Nie zamierzałem przychodzić, ale przyszło mi do głowy, że... no, że sprawdzę, czy jesteś szczęśliwa w tym swoim Perth. Masz tu wszystko, czego zapragniesz, правда? - Spojrzał na nią, kiedy nie odpowiedziała. - Mam rację?

- Tak. - Patrzyła na niego przez chwilę ze znużeniem i rozczarowaniem, rażącym w tak młodej twarzy. - Tak, teraz chyba mam wszystko, czego pragnę. Wydaje ci się, że możesz mnie pouczać, czym jest miłość, ale to nieprawda. Nie jestem tak perfidna... nie manipuluję ludźmi, bez względu na to, co ci się wydaje. I wiem, co było między nami. Gdybyś na mnie zaczekał... Wróciłabym do ciebie. Ale nie ufałeś mi. Zabrałeś się i poślubiłeś pierwszą dziewczynę, która okazała się chętna, tylko po to, żeby pokazać mi: widzisz, ona mnie chciała!

Możesz mi wierzyć albo nie, ale zawsze wiedziałam, że jesteś wart dziesięciu innych. Nie ma takiego drugiego, jak ty. Nawet teraz nie zmieniałam o tobie zdania. To powinno cię zadowolić. - Odwróciła się. - Dopiero po twoim liście zdecydowałam się tu zostać. Nie ma sensu wracać na wieś, skoro nie zastanę tam ciebie, prawda? - Wyprostowała się i zaczęła się wspinać po zboczu w stronę przyjęcia. Charles podszedł do niej i objął ją, rozbawiony, ponieważ Tiffany robiła tancerzom prysznic z szampana. Kiedy Rhea odwróciła się, Willa już nie było.

## Rozdział dwudziesty siódmy

**T**elefon nad głową Ursuli zadzwonił przeraźliwie. Podniosła słuchawkę, strącając po drodze budzik i klnąc.

**JL** Halo? Halo? Tim? Która godzina?... Piąta? Co się stało? - Usiadła gwałtownie, zrzuciła z siebie kołdrę i zaczęła szukać po omacku wyłącznika lampy. - To dlaczego, na miłość boską, dzwonisz w środku nocy? Przestraszyłeś mnie!... Kto? Kopalnie Western? Nie znam... A, poznam, tak? Akcje niklu? Słuchaj, może zadzwonisz później, kiedy się obudzę? Nie mam pojęcia o giełdzie ani o kopalniach niklu... Na pewno? Coś ty!... A, nie wiem. Wszystko, co odłożyłam na domek w Perth i to, co potrzebuję na szkołę Toma. Chyba jest za mały na inter... Nie, słucham cię, ale tyle trzeba kupić, żeby odpow... Dobrze, jeśli jesteś pewien na sto procent. Kto ci powiedział?... Aha, rzeczywiście, to brzmi całkiem obiecująco. Mam nadzieję, że to nie jest... Tak, ufam ci. Dobrze, kochanie, zadzwonię do twojego gabinetu jak tylko zbiorę pieniądze. Cztery dolary za udział? Dobrze... Tak, też cię kocham. Pa, kochanie. - Położyła słuchawkę i wstała. Poszła do łazienki, boso, lunatycznym krokiem. Nawet teraz, wczesnym rankiem, panował nieznośny upał. Ale styczeń był najgorszy. Włączyła światło i spojrzała na swoje odbicie.

Od ślubu Rhei minęło dziesięć miesięcy. Dziesięć miesięcy od wyjazdu Lettice, Hugh'a, Tiffany i Christophera. Od tego czasu prawie nie widziała Tima - spotkali się tylko raz, podczas długiego weekendu. Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną tak jak przesłuchuje się nagranie. Tylko po to, żeby usłyszeć znów jego głos. Do diabła, miała już dość samotności. Ochlapała twarz wodą i wytarła ją.

Ojciec Christophera powinien wiedzieć, do kogo zadzwonić i jak może kupić akcje. Może powinna mu powiedzieć? Nie, Tim powiedział, żeby nie ważyła

się nikomu pisać ani słowa. Zresztą, co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? Piętnaście tysięcy wyrzucone przez okno. Nie zaryzykuje cudzych pieniędzy. A jednak wiadomość wydawała się pewna. „Potężne złoża siarczku niklu, przeciętnie 8,3 procent zawartości”, powiedział Tim. Robi wrażenie, cokolwiek by miało znaczyć.

Ziewnęła i powędrowała do kuchni, odnalazła mleko w lodówce i postawiła czajnik. Niebo za oknem zaczęło się już nieśmiało rozwidniać. Lubiła tę porę dnia. Szkoda, że nie wstawiała częściej o świcie, dla samej przyjemności popatrzenia na niego. I dlaczego nie kupiła domu, który oglądała. Teraz nie będzie już pieniędzy. Pan Winby i tak sądził, że ich nie ma. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, co z nimi zrobi. Oczywiście o tyle, o ile może być wściekły od czasu odejścia Willa. Ale w końcu, to jej pieniądze. A Tim był taki pewny siebie! Och, a jeśli ma rację, złoża są duże i cena akcji wystartuje jak rakieta? Stanie się bogata! I będzie mogła zrobić wszystko, co się jej podoba. Roześmiała się cicho. Z dziubka czajnika wydobyła się wątła smużka, która niemal natychmiast zmieniła się w gęste kłęby pary. Ursula wstała i zaparzyła herbatę w imbryku. Postawiła go na tacy z filiżanką i wyniosła na werandę. Wonna, klarowna herbata w filiżance z cienkiej porcelany; oto jej rada na wszystkie smutki.

W ciągu następnych kilku tygodni przyglądała się, zdziwiona, jak jej udziały rosną do dziewięćdziesięciu dolarów za akcję, spadają i wnoszą się ponownie do sześćdziesięciu. Nie wiedziała, gdzie się podziać; co parę dni dzwoniła do Rhei, by poinformować ją z wielkim podnieceniem o kolejnym wzroście cen. Pan Peel był urażony, że nie poinformowała go o wszystkim, ale uspokoiła go mówiąc, że Charlie i Rhea i tak to odziedziczą. Jej broker doradził sprzedaż, kiedy cena spadła znowu do pięćdziesięciu ośmiu, więc zgodziła się bez chwili wahania. Była tak szczęśliwa, że nie ośmieliła się prowokować szczęścia. Tim wyszedł na tym jeszcze lepiej, ponieważ jego wkład był pięciokrotnie większy.

Uczcili nowo zdobytą fortunę wycieczką na rafy. Chodzili w ciemnych okularach i idiotycznych słomkowych kapeluszach w nadziei, że nikt ich nie rozpozna, a w głowach kręciło się im na samą myśl o własnym bogactwie. Niemał czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla Ursuli; majątek Toma przechodził wszelkie wyobrażenia. Nie mieli dość doświadczenia, by wiedzieć, w co zainwestować; Tim nigdy nie interesował się giełdą, a Ursula nie miała powodu, by to robić. Ale ojciec Charliego doskonale orientował się, jak skłonić pieniądze, by dla nich pracowały. I w ten sposób wszystko zostało w rodzinie. Ursula zaczęła podejrzewać, że rok 1966 będzie dla niej dobry.

Tim spotkał się z nią w Brisbane i wynajętym samochodem pojechali na północ, przez Deception Bay i Nambour do plaży Coolum. Spędzili tam pierwszą noc. Zameldowali się w motelu tuż obok niej. Tim wpisał ich jako państwo Pater-son. Nie martwił się, że zostanie rozpoznany w tej prowincjonalnej miejscinie, ale nie chciał ryzykować.

Ursula przywiozła bardzo niewiele ubrań; szorty, parę koszul i kostium kąpielowy. Była opalona i wygimnastykowana dzięki ciężkiej pracy w gospodarstwie. Joanna byłaby szczęśliwa, gdyby mogła się stać choćby w połowie tak szcu-

pła i sprawna, pomyślał Tim z obojętnością kogoś nie zaangażowanego emocjonalnie. Joanna miała swój romans i może jej mężczyźni lubili te okrągłości. Nic go to nie obchodziło.

Leżąc na łóżku z rękami pod głową, podziwiał ciało Ursuli, zajętej przebieżaniem. Jaka ona piękna, pomyślał z ukłuciem bólu, którego nie chciał zauważyć. Piękna, inteligentna i kochająca... Ursula zakłóciła tok jego myśli, kładąc się obok niego. Jej ciemne włosy, zwisające z ramion, połaskotały mu pierś.

- I co, będziesz tu tak leżał i gapił się w sufit? - Pocałowała go w szyję. - A może coś ci chodzi po głowie? - Zmierzył ją spojrzeniem, pod wpływem którego rozeźmiała się gardłowo. Uśmiechnął się.

- Później, ładaczno. Teraz proponuję, żebyśmy wyszli i wydali trochę tych ciężko zarobionych pieniędzy.

- Czyżby? Na co? Zakładam, że miałeś otwarte oczy, kiedy wjeżdżaliśmy do miasta?

Wzruszył ramionami.

- Trochę ruchu, trochę jedzenia, a potem tu wrócimy. Robisz się zbyt wymagająca, moja pani. - Dał jej klapsa w pośladek. Zbyt wymagająca. A to dopiero śmieszne, pomyślał. Akurat wymagająca nie była nigdy w życiu. To wyglądało jeszcze gorzej. Starał się uspokoić wizją pieniędzy, które miała na zabezpieczenie sobie bytu.

Postanowili, że popływają przed kolacją. Tim zapewniał Ursulę, że tutejsze wody są bezpieczne nawet w ciemnościach. Poza tym nie było aż tak ciemno. W świetle księżycy fale wydawały się fosforyzować; blask, który od nich bił, rzucał na niebo perłową poświatę. Szli plażę tak długo, aż dotarli do osłoniętej zatoczki. Skały wokół niej były czarne i połyskliwe; Ursula z drżeniem zaczęła się domyślać, co może czaić się za nimi. Płynęła powoli i spokojnie; Tim wyprzedził ją i rychło zniknął za skałami, na których zatrzymywały się z sykiem spienione fale. Po paru minutach wrócił i razem ruszyli na dalszy spacer. Ich kostiumy kąpielowe wyschły w ciepłym nocnym powietrzu, zatrzymali się więc, żeby włożyć szorty, koszule i sandały. Potem wyszli na szosę i w przydrożnym sklepie kupili rybę z frytkami. Prosilili o solę, ale Tim powiedział później, że dostali rekina. Jak zawsze.

A potem wrócili do motelu.

- Niezbyt zachęcające miejsce na miesiąc miodowy? - spytał Tim. Pokój był umeblowany skąpo: łóżko, krzesło, komoda i miniaturowa łazieneczka. Ursula uśmiechnęła się i pogłaskała go po plecach.

- Bo to nie jest miesiąc miodowy. Nie wiem, jak ty, aleja potrzebuję tylko łóżka. A tak naprawdę nawet tego nie... - Odwrócił się do niej i wziął ją w ramiona. Pocałował ją za uchem, przesunął ustami wzdłuż brody, po wklęsłych skroniach. Była tak samo młoda i śliczna jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Tak często kochała się z nim, ale ta noc wydała się im szczególnie ważna. Po raz pierwszy nie musieli martwić się o to, co pomyślą inni. Ursula wsunęła chłodną dłoń pod koszulę Tima. Zadrżał.

- Szczęśliwa? - spytał ponownie. Uśmiechnęła się.



- Dopóki cię mam tak, jak dzisiaj, zawsze będę szczęśliwa.

Chwycił ją w objęcia tak mocno, jakby bał się, że ją utraci. Kilka razy otwierał usta, zanim znalazł właściwe słowa.

- Może to już nie będzie możliwe. Jeśli zostanę zastępcą przewodniczącego naszej partii, a wszyscy sądzą, że tak się stanie, nie odważę się z tobą pokazywać. Wiesz, jacy są dziennikarze. Natychmiast biorą cię na celownik. Te dziwne wycieczki do Perth wprost proszą się o to, żeby je odkryć. Nie wiem, czy już czegoś nie podejrzewają, ale nie zrobią niczego, zanim nie wystawię się im na żer. Nie muszę ci mówić, co by się stało ze mną albo z partią, gdyby wybuchł skandal. Jeśli moja organizacja zamierza na mnie postawić, muszę się starać zachować nieskazitelny wizerunek. Poza tym teraz, kiedy Rhea jest młodą szanowaną mężatką, a Tom dopiero zaczyna naukę w Christchurch, nigdy nie ośmieliłbym się narazić ich na coś takiego. - Poczul jej drżenie, jeszcze niewyraźne i słabe. - Posłuchaj: ty i dzieci jesteście dla mnie najważniejsi na świecie, ale nie mogę z wami być. Przepraszam cię, ukochana. Tak trzeba. To dlatego chciałem, żebyś ze mną wyjechała - wyszeptał w jej włosy. Jakby to mogło złagodzić cios.

Starła się otrząsnąć z tego odrętwienia, które na nią opadło. Mówił już takie rzeczy i zawsze wracał. Ale nie potrafiła zatuszować drżenia ust. Pocałował ją zarliwie.

Czekał, aż Ursula coś powie, ale odwróciła się od niego, wyśliznęła z jego objęć i wstała. Zatrzymała się przed komodą. Milczenie przedłużało się w nieskończoność. Żadne z nich nie odważyło się go przerwać. Ursula wbiła wzrok w mebel i usiłowała zmusić umysł do działania. Tim przeczesał palcami swoje krótkie włosy i położył ramię na czole i nosie; znała ten gest, powracający w chwilach frustracji. Ale nie odwróciła się. Wreszcie odezwał się spokojnie. Musiał jej to wytłumaczyć, skłonić do zrozumienia.

- Wiesz, że nie mogę zostawić Joanny. To by zagroziło wyborom. Właściwie nie zależy mi na zostaniu zastępcą. W zasadzie zaczyna mi być wszystko jedno. Mam dość naszego rozdzielenia. Ale nie mogę pozwolić, żeby skandal zaprzepścił szanse partii.

Przez długą chwilę przyglądali się sobie bacznie.

- Chyba miałam nadzieję, że jednak coś dla ciebie znacę. Ale zawsze znajdziesz jakąś wymówkę, prawda? Najpierw dziecko, potem wewnętrzne wybory, teraz znowu funkcja i ogólnokrajowe wybory. Następnie spróbujesz zostać przewodniczącym partii. Anthony jest w twoim wieku. A jeśli jednak wybieraję? Znają go od dawna.

- Zastanawiam się nad opuszczeniem partii Country po wyborach. Rozmawiałem już z Billem McMahonem. Uważa, że liberałowie znajdą dla mnie miejsce u siebie, jeśli Anthony wygra. Rodzina Joanny chce mi zabezpieczyć tyły. - Usiadł na łóżku, podpierając brodę pięścią.

- Rozumiem. - Roześmiała się drżąco. - Więc lepiej nie oglądaj się do tyłu. Nie wiem, czy ufałabym bezgranicznie staremu Billowi. Nie wyraził tego wprost, ale nie lubi mieć w swoim otoczeniu młodych Cezarów. Przyszło ci to do głowy?

- Nie jestem głupi. Będę tylko musiał poczekać dłużej, niż się spodziewałem. I tyle. Ale co mogę osiągnąć w Country, jeśli Anthony ciągle będzie u steru? Nie zamierzam grać drugich skrzypiec do końca życia.

- Ani ja.

W pokoju na parę minut zapadło głucho milczenie.

- Co to miało znaczyć?

- Och, Tim! Nie jesteśmy już młodzi. Nie czuję się młoda. Nie rozumiesz, że życie przecieka nam między palcami? Zostawiłeś mnie już raz i wytrzymałam tylko dlatego, że miałam Rheę. A teraz Rhea jest mężatką, a Tom poszedł do szkoły. Potrzebuję cię. Nie zniosę ciągłej konkurencji z tą twoją wspaniałą polityką.

Stanął za nią i objął ją. Oparła się o niego.

- Ja też cię potrzebuję. Ale jeszcze mamy czas. Masz dopiero trzydzieści osiem lat - przesunął pieszczotliwie dłonią po jej biodrze - czego zupełnie nie widać. - Kiedyś, zaledwie parę miesięcy temu, zadrzałyby pod tym dotykiem i zapomniała o wszystkim. Teraz słuchała go w milczeniu, zmuszając ciało do zimnego spokoju. - W końcu nie zmarnowaliśmy tych lat, ukochana. Byliśmy razem w najważniejszych momentach.

- W najważniejszych momentach? Tim, gdyby dodać te chwile, które spędziliśmy razem przez ostatnie sześć, siedem lat, nie dałyby nawet jednego roku. Może parę miesięcy. I tak wygląda nasz związek. Mam dość. Nie mogę czekać w nieskończoność. I nie będę! Chciałam tylko jednego: żeby ktoś mnie pokochał tak, jak... jak ktoś, dla kogo zawsze byłam najważniejsza, bez względu na okoliczności. Ponieważ ja kocham właśnie w taki sposób. Mówiłam ci, że przedtem mogłam wytrzymać, ponieważ miałam dzieci, które odpłacały mi właśnie taką miłością. Ale nie teraz. Rhea wyszła za mąż i ma własny dom, a Tom jest daleko ode mnie, w szkole. Zasluguję na coś więcej, niż czekanie przez następne pięćdziesiąt lat w nadziei, że raz na jakiś czas mi się objawisz. Jeśli chcesz stanąć na czele swojej partii i spędzić życie z kimś, kogo nie kochasz i kto nie kocha ciebie, nie mogę ci w tym przeszkodzić, prawda? Dawałam ci wszystko, co mam, ale to dla ciebie za mało. Więc odchodzę, Tim. Tym razem to ja od ciebie odchodzę.

Tim wypuścił ją z objęć i cofnął się.

- Więc to tak? Mam zrezygnować ze wszystkiego, w co wierzę, zaprzepaścić karierę? I co dalej? Żeby do końca życia siedzieć na wsi? Kocham cię, ale nie znoszę takiego nacisku i wiesz o tym. Muszę to zrobić w odpowiedniej chwili, kiedy polityka przestanie się dla mnie liczyć. W przeciwnym razie do końca naszych dni będę ci niesprawiedliwie zarzucać, że jesteś winna moim niepowodzeniom. - Jego ton złagodniał. - Proszę, spróbuj zrozumieć.

- Co? Co mam zrozumieć? Kiedyś powiedziałeś, że byłbyś szczęśliwy, gdybyś mógł mieszkać ze mną w majątku. Jak to się stało, że aż tak zmieniłeś poglądy? Tak bardzo zasmakowałeś w tym blichtrze i zaszczytach, że nie widzisz już, co naprawdę liczy się w życiu? Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Dlaczego postępujemy zgodnie z twoimi warunkami? Dlaczego nie liczysz się ze mną? - Zamilkła na chwilę. - Lepiej uznajmy ten wyjazd za niebyły. Idź sobie, Tim. Znasz drogę do wyj-

ścia - to przecież coś, co znałeś zawsze. - Wzięła jakiś przedmiot leżący na blacie komody i mocno zacisnęła go w pięści. - Masz, to też sobie zabierz.

Perłowy naszyjnik i pierścionek upadły na łóżko.

Tim stał niezdecydowany. Czekał, aż Ursula się odwróci, ale nie zrobiła tego. Pozostała przy komodzie, mocno trzymając się jej blatu. W jej głosie nie było wściekłości czy gniewu; tylko bezkresny smutek. Właściwie nie wierzył, żeby naprawdę chciała rozstania. Ale czy po takich słowach można było jednak walczyć o powrót? Zostawił błyskotki na łóżku i zaczął się pakować. Wpychał ubrania byle jak, nie patrząc.

- Dobrze. A zatem to koniec. Chcę... cię przeprosić. Zawsze będę cię kochać. W moim życiu już nigdy nie będzie nikogo innego, wiesz o tym.

Odwróciła się; jej twarz, gładka i chłodna, nie wyrażała żadnej emocji. Tylko po obu stronach ust pojawiła się zdradliwa zmarszczka. Ursula założyła za ucho pasmo włosów, które i tak leżało gładko na swoim miejscu.

- Tak, wiem - powiedziała. - W moim też.

Odwróciła się i wyjrzała przez uchylone żaluzje.

Will czekał przy pompie. Zapadł już zmierzch; długie cienie kładły się na ziemi, a chmary komarów brzęczały nad jego głową. Oganiał się od nich w milczeniu. Miał nadzieję, że ojcu nie przyjdzie do głowy, żeby tu zajrzeć. Stoney miał go zatrzymać, ale ryzyko i tak było duże. Miał nadzieję, że Rhea ma mu do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Zjawiła się tak cicho, że nie usłyszał, jak wychodzi spomiędzy zbiorników z wodą. Miała na nogach tenisówki i poruszała się równie bezszelestnie, jak on. W takie wieczory wszystkie odgłosy niosły się daleko.

Dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam za spóźnienie. Trudno było mi się wyrwać. Musiałam powiedzieć, że przyjeżdżam w odwiedziny do Toma.

- Komu? A, mężowi. Nie ufa ci do tego stopnia, że ciągle musisz się mu opowiadać?

- Martwiłyby się, gdybym nie pojawiła się na kolacji. Najlepiej jest, kiedy wie, gdzie poszłam, bo wtedy już się nad tym nie zastanawia. Położyłam Toma do łóżka, a Kim nad nim czuwa. - Skuliła się i przygarbiła. Will spojrział na jej jasną sylwetkę w wieczornym zmierzchu.

- Mówisz tak, jakby ci coś chodziło po głowie. Ściągnęłaś mnie tutaj z jakiegoś konkretnego powodu? Przebyłem dość daleką drogę, żeby z tobą pogawędzić. - Jej niepokój zastanawiał go. Zwykle była bardzo powściągliwa w ruchach. Ale dziś krążyła jak zaniepokojone zwierzę, co chwila obejmując się ramionami, jakby było jej zimno. Zatrzymała się i spojrzała na niego; wtedy przypomniał sobie, jak bardzo kocha tę twarz, nawet z tą nieszczęśliwą miną i podkrążonymi oczami. Z wysiłkiem odwrócił wzrok.

- Chcę... chcę, żebyś zostawił żonę i... i... i żebyśmy uciekli, nie wiem dokąd, nieważne. Razem - wyrzuciła z siebie gwałtownie. Stała obok niego;

wciągnął w nozdrza zapach jej ciepłej skóry. Chwyliła go mocno. - Proszę cię, nie zniosę tego dłużej! Proszę! - Przytuliła się do niego, a jemu nie pozostało nic innego, jak tylko wziąć ją w ramiona. Schowała twarz na jego piersi; machinalnie pogłaskał ją po głowie.

- Nie mogę - powiedział tak lekko, jakby rozmawiali o pogodzie. Rhea zakrzuszyła się; ból ścisnął jej krtań. Ból tłumionego łkania.

- Możesz! Nieważne, co ludzie o nas pomyślą. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Nie oddam cię komuś, kogo poznałeś parę miesięcy temu, kogo w ogóle nie kochasz! - Podniosła ku niemu ściągniętą, zdesperowaną twarz, oświetloną ostatnimi promieniami słońca. Will spojrzął na niebo, wieczorny błękit zmacony ciemną chmurą. Zacisnął powieki i mocno przytulił Rھے.

- Sue jest w ciąży.

Rhea drgnęła, jakby uderzona, i wyrwała się mu z objęć.

- Nie! Nie! To niemożliwe! Nie! - Krzyk poniósł się daleko w nieruchomym powietrzu. Will przygarnął ją do siebie.

- Cicho, już cicho! Ktoś cię usłyszy.

Zamarli w bezruchu, nasłuchując. Nikt nie zareagował. Will spojrzął na dziewczynę, tak bezwładnie spoczywającą w jego ramionach.

- Przepraszam. Nic się nie da zrobić. Powiedziała mi przed miesiącem. Gdybyś przyszła wcześniej, jeszcze moglibyśmy uciec. Ale teraz nie mogę. Chyba to rozumiesz. Nie porzucę żony i dziecka. - Pocałował ją wreszcie, po raz pierwszy od tylu lat. Rhea roześmiała się niespodziewanie.

- Niewiarygodne. Po prostu w to nie wierzę. Znowu stary błąd mamy. Och, Will! Nie obchodzi mnie ta twoja żona ani dziecko. Pragnę cię!

Zaczęła płakać, a potem żadne z nich nie miało pojęcia, jak do tego doszło. Zaczęło się od pocałunków, potem pojawiła się namiętność, ciche szepty... a kiedy było już po wszystkim, oboje legli na ziemi, spleceni z sobą tak, jakby chcieli się zrosnąć w jedną całość. Will osłaniał Rھے przed całym światem, leżąc nad nią niczym tarcza. Pocałował czule jej piersi.

- To się chyba musiało stać. - Był zadowolony, a nawet szczęśliwy. Rhea skinęła leniwie głową.

- Tak. - Powiodła palcami po jego plecach. - Jesteśmy dla siebie stworzeni. Zrobiono nas z tej samej gliny, tylko nigdy się do tego nie przyznaliśmy. Nie powinniśmy byli czekać z tym tak długo. - Musnęła wargami jego czoło i włosy. Nie wypuszczała go z ramion.

- I co teraz? - Will spojrzął w jej spokojne oczy.

- Chyba nic. Powiedziałeś, że nie zostawisz Sue. To chyba załatwia sprawę. Ale chcę się z tobą spotykać. Nie daruję ci następnych dwóch lat.

- Nie. Ja też ci ich nie daruję.

Leżeli w milczeniu obok siebie; niebo nad nimi do reszty pokryło się mrokiem. Cykady rozpoczęły wieczorną pieśń.

## Rozdział dwudziesty ósmy

**R**hea przywitała Ursulą wieścią o ciąży. Wszyscy odchodzili od zmysłów ze szczęścia - z wyjątkiem samej Rhei. Była dziwnie milcząca i niespokojna, rumieniła się słysząc aluzje i żarciki i ogólnie zachowywała się tak, jakby się czegoś wstydziła.

Wobec tego Ursula zaniepokoiła się również, choć Charlie śmiał się i twierdził, że jego dziewczynka jest jeszcze bardzo młoda i musi przywyknąć. Czy Ursula była zażenowana przez pierwsze miesiące, kiedy robiono aluzje do jej stanu? Przypomniła sobie z rozbawieniem swoją wściekłość na widok niezręcznej reakcji Christophera. Tak dawno temu... Dwadzieścia lat! A teraz ma zostać babką. To straszne. Wcale nie chciała być „babunią”. Rhea dobiła ją przypomnieniem, że w Australii na babcie mówi się „nan”. Zbolała Ursula uśmiechnęła się krzywo, pocałowała ją i zażyczyła sobie w myślach, żeby i Tim został dziadziusem. Wtedy zobaczy, jak to miło. Nagle poczuła się stara i niegodna niczyjego zainteresowania. Oczywiście to już i tak nie miało znaczenia. Ten etap życia ma już za sobą. Tim wyraził się w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Już od pewnego czasu wyczuwała jego roztargnienie i oddalenie. Zastanawiała się, czy pewnego razu zjawi się i oznajmi, że Tom robi się męczący, że stał się dla niego raczej nudnym obowiązkiem, niż radością i pociechą. Miał piękną młodą żonę i syna; po co mu jeszcze ona. Trzydziestoosmioletnia kobieta, która już wkrótce zostanie babką. Josh miał dopiero dziewięć lat. Minie wiele czasu, zanim Tim zacznie przeżywać burzliwe wejście w wiek dojrzały. Zanim poczuje strach, że nikt go już nie pokocha.

Wyprostowała się; po długim locie ciągle była trochę zeszywniała. Powoli poszła do kuchni. Nikomu nie powiedziała o zerwaniu z Timem. Nawet Rhei. Zwłaszcza jej. Wyglądało na to, że córka ma własne problemy. Przyjrzała się jej

uważnie, udając że szuka serwetek i talerzy. Rhea robiła kanapki, a Charles smażył steki na ceglany grillu, który wystawili na zewnątrz. Ursula spojrzała na niego. Fachowo odwracał kawałki mięsa na ruszcie, jednocześnie stając tak, żeby unikać dymu. Był zadowolony i szczęśliwy, jak to tylko możliwe.

Wróciła wzrokiem do córki. Rhea nie przypominała już tej dawnej radosnej dziewczynki. Wydawała się starsza o dziesięć lat. Jakby przybyło jej ciężaru. Nie fizycznego. Była zaledwie w pierwszym miesiącu ciąży i nadal była smukła i strzelista. Ale małżeństwo stało z jej policzków rumieniec, zgasiło iskierki w oczach. Rhea niecierpliwie odepchnęła zawadzające jej kromki chleba. Osunęły się na szklanki, które ze szczękiem przejechały przez blat stołu, a dwie z nich spadły i rozprysnęły się po podłodze. Rhea spojrzała na nie nieprzytomnie, rzuciła z pasją nóż i zaczęła zbierać szklane skorupy. Ostre okruchy powbijały się w miąższ chleba. Rhea upuściła szkło na stół, a jej usta wygięły się w podkówkę. Wyglądała jak dziecko, które właśnie straciło poczucie bezpieczeństwa. Po policzkach pociekły jej ciemne od tuszu łzy, ale do uszu Ursuli nie dobiegło ani jedno chlipnięcie. To opanowanie i bezlitosna kontrola nad sobą były o wiele bardziej alarmujące, niż łzy. Ursula podeszła pospiesznie i wzięła córkę w ramiona. Kołysała ją łagodnie, tak jak kiedyś, przed laty.

- Kochanie! Och, kochanie, co się stało? Óóóó, już nie płacz, jestem przy tobie. - Rhea przywarła gwałtownie do matki, a potem cofnęła się. Ursula nie wypuściła jej ręki. - Opowiedz mi o tym? Czy ty i Charles macie kłopoty?

Rhea zesztyniała i cofnęła rękę.

- Nie! Jest nam bardzo dobrze. Charles jest taki dobry i miły! Tylko... nie chciałam dziecka tak szybko. Nie czuję się jeszcze tak dorosła, żeby sobie z nim dać radę. Bo chyba tak jest, prawda? Potem już nie ma... I wszystko jest takie ohydne. Te żarciki, dowcipy! Wstrętne! Dziecko to coś bardzo prywatnego. Nie chcę, żeby moje życie seksualne było na ustach całego Perth! Niech mnie zostawią w spokoju!

Odwróciła się, wzięła szarą papierową torbę i wrzuciła do niej chleb i szkło. Włosy zasłoniły jej twarz.

- Czy Will wie?

- Nie!... O Boże, nie! Nie mogłabym mu powiedzieć. I nie dowie się, prawda? Nie ode mnie i od ciebie też nie. - Zmierzyła matkę płonącym spojrzeniem. Ursula uniosła rękę.

- Spotkałaś się z nim od ślubu?

Zawsze potrafiła poznać, kiedy Rhea kłamie. Teraz wyczuła wahanie i szybkie myśli, przepływające przez głowę córki, niczym chmurki na wietrze; ledwie widoczne, lecz zauważalne.

- Nie. Nie wrócił. Muszę jednak zrobić te kanapki. Przynies jakies inne szklanki i zajmij się nimi, bo wszystkie wytłukę. - Starła się roześmiać. Otarła oczy wierzchem dłoni. Pociągnęła nosem i sprzątnęła ze stołu ostatnie ślady katastrofy. Potem umyła ręce i wróciła do przerwanej czynności.

Ursula nie nalegała. Wzięła szklanki i wyniosła je ostrożnie na stolik przy basenie. Znajdowali się w nowym domu, zbudowanym na tyłach starego. Dawna

działka, która niegdyś stanowiła całość, została podzielona na cztery mniejsze. Wkrótce całe Peppermint Grove będzie tak wyglądać, uświadomiła sobie. Smutne, ale ziemia w Perth bardzo zdrożała. Zwłaszcza tuż przy rzece i nad morzem. Mimo upału ogród wyglądał bardzo ładnie. Oczywiście posadzili ostrą, wytrzymałą trawę buffalo zamiast delikatniejszej queensland blue. To dobrze, buffalo jest tu bardziej na miejscu i lepiej się utrzyma. Może nigdy nie będzie to wyglądać jak w angielskich ogrodach z pasami murawy i róż, ale na swój sposób jest tu także bardzo pięknie.

Na płocie usiadło parę zimorodków olbrzymich. Strzępywały skrzydła i ocierały dzioby o sztachety. Jeden z nich nagle pofrunął nad zielone oczko basenu, zanurzył się w wodę, po czym wrócił do kolegów. Otrząsnął się i rozwarł dziób, z którego wyrwał się zwykły jęk, coraz głośniejszy, niczym płacz. Ursula niemal go nie słyszała, tak bardzo przywykła do tego porannego chóru, który nieodmiennie rozlegał się w ogrodzie. Zimorodki były szkodnikami: hałaśliwe, nachalne i ciągle trzeba je było ratować z basenu, kiedy zanurkowały zbyt głęboko. Nie miała dla nich czasu.

- Proszę bardzo, jeden wysmażony, jeden średni i jeden prawie surowy. Gdzie Rhea? - Charles położył steki na talerzu i przykrył je, automatycznie odganiając krążące wokół muchy. Ursula skinęła głową w stronę kuchni.

- Ciągle robi kanapki. Zaraz tu będzie. Szkoda, że Tim jednak nie zdołał się wyrwać, ale musiał dopilnować, czy wszystko gotowe na konferencję w Melbourne.

Dostrzegła jego zdziwienie, ale był zbyt uprzejmy, by dalej ciągnąć ten temat. Uśmiechnęła się z niejakim wysiłkiem. Taka reakcja zawsze budziła jej rozbawienie, choć teraz chciałaby raczej powiedzieć: „Nie mów tego nikomu, nawet rodzinie, ale Tim jest z żoną tylko dla zachowania pozorów. Jest kandydatem na deputowanego w następnych dodatkowych wyborach, a za parę miesięcy będzie kandydował na zastępcę lidera partii, ale tak naprawdę kocha tylko mnie”. A Charles powinien pokiwać głową i pomyśleć, że tak rzeczywiście musi być, ponieważ Australijczycy są purytanami w stosunku do swoich polityków. Ale nie powiedziała ani słowa, bo to już nie byłoby prawdą. Tim jej nie kochał. Wrócił na stałe do żony.

Charles nie zauważył zamyślenia Ursuli. Rhea wyszła z domu z wielką tacą kanapek, dzbankiem lemoniady i dwoma butelkami piwa.

- Pozwól, ja to wezmę. Nie wolno ci nosić takich ciężkich rzeczy.

Rhea uśmiechnęła się z wysiłkiem i spojrzała znacząco na matkę. Ursula odpowiedziała porozumiewawczym uśmiechem. Charles nie zauważył niczego.

- No, gotowe! Rhea, kochanie, usiądź tutaj, a Ursula naprzeciw mnie. Bardzo dobrze. Może wzniesiemy toast? Za niespodziewany majątek Ursuli i moje dziecko! Oby przyniosły nam szczęście!

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

**T**im zamknął drzwi za ostatnim gościem i przeciągnął się, by choć na chwilę pozbyć się bólu napiętych mięśni. A więc udało się. Został zastępcą lidera partii Country. Jakoś nie potrafił się tym cieszyć. Uśmiechnął się machinalnie do żony, która pojawiła się w drzwiach salonu z tacą pełną kieliszków.

- Zostaw to. Jutro przychodzi gosposia, prawda? - Dochodziła druga w nocy i był już zmęczony. Joanna zatrzymała się przy nim.

- Tak, ale i tak posprzątam. Niech wszystko będzie na swoim miejscu. - Na widok jej uśmiechu poczuł, że robi mu się zimno. Joanna miała bardzo dziwny wyraz twarzy. Nigdy dotąd nie widział takiego.

- Jeszcze nie pogratulowałam ci sukcesu. - Odstawiła tacę, objęła go i przysunęła się, by go pocałować. Jej złożone w dziubek usta były płomiennie czerwone, jakby umazane krwią podobnie jak paznokcie, długie i ostre niczym szpony. Od lat nie dochodziło między nimi do zbliżeń większych, niż przyjacielski pocałunek w policzek. Poczuł nagłą potrzebę, by wyrwać się z jej uścisku. Wydała mu się podobna do harpii, która zwietrzyła świeże mięso. Dobry Boże, co on narobił? Do czego doprowadził? Te uśmiechy, poklepywanie po plecach, uściski. Za to? Za to oddał Ursulę i Toma? Joanna zauważyła wyraz jego oczu i odsunęła się. Wzięła odłożoną tacę.

- Skoro znalazłeś stałe miejsce, które będziesz zajmować przez wiele lat - uśmiechnęła się słodko - chyba powinieneś coś wiedzieć. Nie chciałam ci tego mówić, dopóki nie dostaniesz tej funkcji, ale teraz jest już zaklepane. I za późno, żebyś odszedł do tej swojej kochanej Ursuli i jej syna. Zwykły poseł mógłby jeszcze się rozwieść, byle dyskretnie. Drugi po Bogu - nigdy. Tato powiedział, że



teraz masz związane ręce. - Uśmiechnęła się znowu. Tim wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Doskonale wiesz, że nigdzie się nie wybieram. Powiedziałem ci to, kiedy wróciłem. Pomędzy mną i Ursulą wszystko skończone. Więc po co się fatygujesz?

- Ponieważ od dawna chciałam powiedzieć, że kiedy wysłałam ci ten telegram... no wiesz, ten o ciąży... troszeczkę minęłam się z prawdą. Josh nie jest twoim synem - oznajmiła z taką satysfakcją, jakby spodziewała się, że to go załamie. Kiedy nie zmienił wyrazu twarzy, nadała się, jak zwykle.

- Po co mi to mówisz? Po tylu latach?

- Bo chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie będziesz miał tego, czego pragniesz. Szczęśliwej rodziny, poczciwej Ursuli i uroczego synka, Toma. Dałeś mi dobrą szkołę. Kiedyś cię kochałam. Ale kiedy zacząłeś się odsuwać i zawsze tak cholernie uważałeś, kiedy się kochaliśmy, zrozumiałam, że w ten sposób nigdy cię nie będę miała. A więc... - odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się szeroko, jak prawdziwa żona polityka. Ursula uśmiecha się inaczej. Ten jej skryty, niełatwy uśmiech, który naprawdę coś oznacza i nie jest tylko innym układem ust. - Słuchasz mnie? Bo chyba nie chcesz tego usłyszeć. Przespałam się z innym mężczyzną. - Uprzedziła jego pytanie i dodała szybko - Nie, nie znasz go i nic by ci nie dało, gdybyś go poznał. Kiedyś, dawno temu, był we mnie zakochany, w przeciwieństwie do ciebie. A potem... potem... kiedy wyjechałeś do Anglii, wiedziałam, że będę mogła cię sprowadzić, kiedy tylko mi się spodoba. I zrobiłam to. - Postawiła na tacy ostatni kieliszek. - Nie przewidywałam, żebyś miał się zachować niehonorowo. Nie dobry stary Tom, pan Ideał. A jednak mnie zdradziłeś. Nie wyobrażasz sobie, jak to bolało. Nigdy ci tego naprawdę nie wybaczyłam. Za to, że pokochałeś ją, a nie mnie. W każdym razie, nie zamierzałam cię wypuścić z ręki. Nie po tym, jak się napracowałam, żeby cię zdobyć. - Roześmiała się. - Bóg jeden wie, dlaczego chciało mi się wysilać. Lepiej bym na tym wyszła, gdybym została z ojcem Josha. On także do czegoś doszedł. Dostrzegasz tę ironię, prawda? Mógłbyś mieć Ursulę, Toma i karierę, gdybyś tylko wiedział, że Josh nie jest twój. Chciałam, żebyś to wiedział, z całą pewnością i bez wątpienia. Żebyś miał się czym pocieszyć, kiedy będziesz się bawił w pana polityka. Co za strata, doprawdy. - Uśmiechnęła się jeszcze raz i zniknęła razem z tacą. Tim spojrzął na nią. Krew powoli odplynęła mu z twarzy.

Jeszcze długo po tym, jak Joanna poszła do łóżka, siedział samotnie w ciemnościach. I tak mieli osobne łóżka. Nie mógł ścierpieć jej dotyku, odkąd poznał Ursulę. I to nigdy się nie zmieniło. Zawsze pragnął tylko Ursuli. Od pierwszej chwili, w której ją zobaczył. A teraz wszystko skończone. Zamknięte.

Spojrzął na telefon przy krześle. Czy odważy się zadzwonić? Ale Ursula powiedziała, że odchodzi. Powoli odłożył słuchawkę. Zamknął oczy, przywołując obraz Ursuli idącej ku niemu przez pastwisko. Albo wychodzącej z fal, jak ostatnim razem. Nie potrafił. Wizja była zamazana, niewyraźna - może zatarta przez czas i odległość. A może przez zbyt wiele miłości. Zawsze dokładnie przypominał sobie mało ważnych ludzi, znajomych, kolegów, ale nigdy tych, których

kochał. A twarz Ursuli nie chciała mu się pojawić. Wszystko, co powiedziała Joanna, nie zabolalo go nawet w połowie tak, jak to. Dopiero teraz zaczął płakać.

Ursula w milczeniu przeczytała doniesienia o wyborze zastępcy lidera partii. Strzepnęła gazetę, by lepiej przyjrzeć się zdjęciu. Tim patrzył wprost na nią, a u jego boku stała Joanna. Oboje machali do wyborców. Zdjęcie zamazało się na chwilę przez jej oczami, pełnymi niechcianych łez. Wstała gniewnie i podeszła do balustrady werandy, wychodzącej na sady.

- Przeklęty! O, niech go diabli! - Szybko i zdecydowanie otarła oczy i znowu wzięła gazetę. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie.

Tim wyglądał dobrze. Nie było co do tego wątpliwości. A więc nie usłyszał z tęsknoty. Stał wyprostowany, wysoki i przystojny, z uśmiechem pełnym radoznego zaskoczenia. Udaje, pomyślała Ursula gorzko. Musiał wiedzieć, że dostanie tę funkcję. A te szczere oczy ze spojrzeniem pod tytułem „jestem jednym z was” lśniły autentyczną szczerością. Akurat. Uderzyła dłonią zdjęcie i odwróciła wzrok, by zwalczyć nieposłuszne łzy, które ciągle cisnęły się jej pod powieki. Potem przyjrzała się Joannie. Przeklęta baba! Wyglądała równie dobrze, jak Tim. Dopiero minęła trzydziestkę i pyszniła się nową szczupłą sylwetką, wymownym świadectwem drakońskich diet, którymi się katowała przez ostatnie miesiące. Jasne włosy otaczały piękną aureolą fachowo umalowaną twarz, umiejącą uśmiechać się w obiektywy aparatów. I trzymała Tima pod rękę.

- Piękna para, co? - rzuciła Kim lekceważąco, zaglądając jej przez ramię. Ursula podskoczyła. Nie słyszała jej kroków.

- Tak - przyznała z wymuszonym śmiechem. - Tim jednak został tym zastępcą. Świetnie, prawda? - Jakoś nie potrafiła spojrzeć dziewczynie w oczy. Wstała pospiesznie, bardzo wyprostowana. - Och, nie miałam pojęcia, że to już tak późno. Muszę pojechać po dzieci.

I czym prędzej wybiegła z domu.

- Tak, świetnie jak cholera - mruknęła Kim i wyrzuciła gazetę do śmieci.

W lipcu przyjechała Rhea, żeby spędzić z matką parę dni. Powiedziała, że ma dość Perth, plotek i plotkarzy. Ursula pomyślała, że jej córka w ogóle wygląda na bardzo zmęczoną. Była już w siódmym miesiącu i wydawała się zbyt krucha na dźwiganie takiego ciężaru. Jej zwykle jasna cera i lśniące włosy wydawały się zmatowiały. Szła tak, jakby z trudem powłóczyła nogami. Ursula posadziła ją przy kominku i otuliła kocem. Na dworze oczywiście padało.

Deszcze zaczynały się w kwietniu i kończyły w okolicach sierpnia. Nie przypominało to singapurskiej pory deszczowej, ale i tak robiło wrażenie. Monotonny, nieustępliwy deszczyk padał całymi dniami, napełniał lagunę i każdą rzeczkę, które w końcu występowały z brzegów i rozlewały się po nisko położonych ziemiach jak płynne srebro. Sypka ziemia i drzewa zaczynały lśnić czernią, ochłodziło się. Australijskie domy były budowane tak, by latem zachowywać chłód,

więc w zimie nie dawały ochrony przez zimnem. Ursula zamierzała zainstalować w domu przyzwoite ogrzewanie, zwłaszcza że wreszcie miała na to pieniądze. Ale zanim podjęła decyzję, zrobiło się zimno. W tym tygodniu wiatr stał się tak lodowaty, że w nocy chwytały przymrozki. Nadeszły wyjątkowo wcześniej jak na tę porę roku. Coś jej mówiło, że zima będzie bardzo surowa.

- Herbaty, kochanie? Właśnie miałam zaparzyć.

Rhea skinęła głową. W ciągu ostatnich kilku miesięcy stała się bardzo milcząca, prawie tak, jakby nie miała sił, żeby się odezwać. Myślała o zbyt skomplikowanych i bolesnych rzeczach, żeby mogła je wyjaśnić, a zresztą nie miała na to dość energii. Więc tylko kiwała głową, wzruszała ramionami albo w ogóle nie reagowała. Charles zaczął się martwić. Pomysł wyjazdu Rhei pochodził również od niego. Może wiejskie powietrze dobrze jej zrobi. Droczył się z nią i twierdził, że w głębi serca jest wieśniaczką, choć postanowiła mieszkać w Perth. A Rhea zwracała na niego swoje wielkie jasne oczy wypełnione takim bólem, że Charles nie mógł powściągnąć zdumienia - i zmartwienia. Jak to możliwe, że jego zona jest tak smutna? I dlaczego?

Ursula wniosła tacę i postawiła ją na niskim stoliku obok kominka. Rhea nawet nie odwróciła głowy. Wpatrywała się nieruchomo w ogień.

- Upiekłam twoje ulubione biszkopty. Z migdałami. Spróbujesz? Tylko jednego? - Ursula wyciągnęła ku niej talerz; Rhea dokonała ogromnego wysiłku, jakby siłą wracała skądś, gdzie przebywała do rzeczywistości. Uśmiechnęła się blade i ugryzła maleńki kawałek ciastka. Przez parę minut przeżuwała go z trudem, a wreszcie jej gardło ścisnęło się konwulsyjnie, kiedy przełknęła. Bardzo zeszczupiała, stała się wręcz chuda.

- Tak dalej być nie może. Musisz myśleć o dziecku, skoro nie chcesz dbać o siebie. Spójrz w lustro! Skóra i kości! Proszę cię, powiedz mi, co się stało!

Ale Rhea tylko potrząsnęła głową i znów zapatrzyła się w ogień.

- Czy to przez Willa? Tak za nim tęsknisz? Wiem... wiem, co się z tobą dzieje, córeczko. Tęsknię za Timem, jak jeszcze nigdy w życiu. Ale musisz sobie z tym poradzić. W życiu są jeszcze inne rzeczy. Nie tylko mężczyzna, którego kochasz. - Znowu zapadło milczenie tak długie, że Ursula zaczęła się zastanawiać, czy córka w ogóle ją usłyszała, a jeśli tak, to czy zamierza odpowiedzieć.

- Tak. Zawsze będę za nim tęsknić. Miał rację, wiesz? Powiedział, że będę mieć dosyć Perth i tamtych snobów. Powiedział, że wcale nie jest tam tak wspaniale i że tam nie pasuję. I wiesz - odwróciła się i spojrzała na matkę z tak osobliwym wyrazem twarzy, że Ursula zmartwiała - miał rację. Czy to nie śmieszne. Myślałam, że jestem od niego mądrzejsza. Że jestem taką uświadomioną, wykształconą panią, a jego uważałam za zwyczajnego wieśniaka. Boże, jak mogłam się tak pomylić? I nie mogę już tego odwrócić. Nie da się cofnąć czasu. Myślałam, że uda mi się wszystko naprawić, ale nie wiedziałam o dziecku. Teraz to już koniec, prawda? On nie zostawi żony - słyszałam, że parę miesięcy temu urodziła syna. A ja nie mogę odejść od Charlesa. To koniec!

Wydawało się, że teraz, kiedy przełamała barierę milczenia, nie będzie mogła przestać mówić. Ursula zadrżała, słysząc rozpacz i ból brzmiące w głosie swo-

jego dziecka. Zrobiłaby wszystko, aby jej tego oszczędzić. Nie mogła. Rhea musiała je przeżyć sama.

- Czy Will o tym wie? Widziałaś się z nim po ślubie, prawda?

Nastąpiła kolejna chwila milczenia. Długa chwila.

- Tak. Tak. Widziałam się z nim dwa razy i... rozmawialiśmy. Musiałam spotkać się z nim w tajemnicy, ponieważ Charles go nie lubi, a żona Willa dostaje szału na sam dźwięk mojego imienia. Nie mogliśmy pytać ich o zgodę. O zgodę! Kim oni w ogóle są, że mam ich pytać o zgodę? Jest mój! A ja należę do niego! Raz... wyjechaliśmy na weekend. Powiedziałam Charlesowi, że jestem tutaj i nie chcę z nim rozmawiać przez parę dni. Byłam wtedy bliska odejścia od niego i wiedział o tym, więc się zgodził. A Will... nie wiem, jak się wymknął. Nie pytałam. Nie obchodziło mnie to. Mieliśmy dla siebie trochę czasu i tylko to się liczyło. Pojechaliśmy do Mandurah i zamieszkaliśmy w chatce należącej do jakiegoś znajomego. Och, mamo! Gdybyś wiedziała, jak go kocham... Myślałam, że może opuści dla mnie żonę. Wiedziałam, że była w ciąży, ale i tak liczyłam na to, że go odzyskam. - Urwała; nagle zabrakło jej tchu. Musiała odpocząć, zanim zaczęła mówić dalej. - Ale Will nie wie o dziecku. Nie zniósłabym tego. To zbyt okropne, zbyt... krępujące. Jeszcze pomyśli... bo może tak pomyśleć, prawda? O Boże, dlaczego powiedziałam, że wyjeżdżam do Jennie? To wszystko by się nie wydarzyło, byłabym teraz jego żoną i tak byśmy się cieszyli z... Napisałam do niego. Poprosiłam go, żeby przyjechał. Nie gniewasz się? Musiałam się z nim zobaczyć, a Charles dostałby zawału, gdyby wiedział. Przyjedzie na krótko.

- Kiedy, teraz? Dzisiaj?

- Tak. Powiedział, że powinien przyjechać wieczorem. Przepraszam cię, powinnam cię poprosić o zgodę, ale nie mogłam, dopóki nie wyjaśniłam ci wszystkiego. I nie mogłam nic powiedzieć przez telefon. Rozumiesz?

Ursula westchnęła; ciekawe, czy ten brak kontroli nad życiem to ich wada genetyczna. Pokiwała smętnie głową.

- Tak, rozumiem. Nic nie szkodzi. Będę stać przy tobie bez względu na wszystko. Niezależnie od tego, co postanowisz. Nie chcę, żeby Charles cierpiał - jest na to zbyt dobrym człowiekiem. Ale naprawdę rozumiem, przez co przechodzisz. Kto cię zrozumie lepiej, jeśli nie ja? - Roześmiała się smutno. - I zawsze będę z tobą. Ty pomogłaś mi przetrwać złe chwile. A ja zawsze będę ci pomagać. Nie martw się, kochanie. Kłopoty mają ten zwyczaj, że wychodzą nam na dobre.

- Naprawdę tak sądzisz? Naprawdę sądzisz, że wszystko, co ci się przytrafiło, wyszło ci na dobre? To, że twój ojciec i reszta rodziny zginęli, i ten twój nauczyciel, Billy? To ci wyszło na dobre? A Tim, to że się ożenił po tym, jak prosił cię, żebyś przyjechała do Australii, i że teraz porzucił cię i Toma dla sławy i chwały? Nie powiesz chyba, że to ci wyszło na dobre? - zrobiła pauzę czekając na odpowiedź matki. Kiedy ta nie odezwała się, ciągnęła dalej: - A tatuś? No, to na pewno wyszło nam wszystkim na dobre! - Spłótła ramiona na brzuchu, tak wydatnym, że musiała się niemal położyć, żeby wypić herbatę.

- Nie miałabym ciebie, gdybym nie wyszła za twojego ojca. Nie spotkałabym Tima, gdybym nie mieszkała na tym pustkowiu w Essex, a Tim jest w moim

zyciu kimś wyjątkowym, bez względu na to, co o nim sądzisz. Tom jest owocem naszego związku i nigdy tego nie żałowałam. Sama się przekonasz, kochanie. Czas płynie naprzód, bez względu na to, co robisz, a to, co wydaje ci się z początku nieznośne, nagle staje się całkiem łatwe. Sama zobaczysz. - Modliła się, żeby Rhea nie zauważyła kłamstw ukrytych za tymi półprawdami. Tim, który nie zadzwonił do niej ani razu po tym, jak mu powiedziała, że nie będzie czekać. Pewnie nie zadzwoni już nigdy w życiu. Simon, który próbował ich szantażować. I ból, który nie opuszczał jej ani na jeden dzień od czasu, kiedy straciła Billy'ego i rodzinę. Nie, to jej nie wyszło na dobre i nigdy nie wyjdzie. O, nie.

- Aleja nie chcę się przekonać! Nie mogę do końca życia mieszkać z Charlesem w tym przeklętym akwarium, czekając aż ktoś mi opowie o następnym synu Willa albo o tym, że kupił kolejne przedsiębiorstwo. Wiesz, że tym właśnie zajmuje się teraz razem z teściem? Nasz prostaczek Will wyrósł na przemysłowca. A ona go ma na własność: jego, jego dziecko i nową ambicję, by stać się znaną postacią i zapisać się w historii Australii. Dla mnie by tego nie zrobił. Ale dla kogoś, kto o niego nie dba, kto z radością siedziałby w buszu do końca życia - o, to tak! To niesprawiedliwe! Ja mam siedzieć w domu i być idealną żoną, młodą panią Peel, o nazwisku, któremu trzeba sprostać, z absolutnie uroczym mężem, którego wszyscy uwielbiają! Za późno już na cokolwiek, ale nie mogę prowadzić tak głupiego życia. To nie jest tego warte! Chcę wrócić do domu, mam. Chcę znowu z tobą zamieszkać. - W jej głosie słychać było zarówno płacz dziecka, które nie może mieć tego, czego chce i rozpacz kobiety, która wie, że nigdy tego nie zdobędzie.

Rhea zaczęła histerycznie płakać; Ursula pomogła się jej podnieść i zaprowadziła do sypialni. Lepiej, żeby zasnęła, pomyślała. Uciszyła dzikie łkanie córki, powstrzymując się od łez i otuliła ją kocami. Dobrze, że Tom tego nie widzi. Nie rozumiałaby tego. Przynajmniej jego problemy wydawały się łatwiejsze do rozwiązania. I nie widziała w jego rysach twarzy Tima za każdym razem, kiedy przed nią stawał. Odczekała, aż Rhea zaśnie i poszła do kuchni, zastanawiając się, czy córka rzeczywiście nie powinna z nią zamieszkać. Mogłyby tu razem mieszkać, dzieląc się obowiązkami przy dziecku i Tomie, kiedy wróciłby na wakacje ze szkoły. Co za piękna myśl. A może to czysty egoizm? Może chce, żeby Rhea wypełniła jej puste miejsce, które pozostawił po sobie Tim? Poczula nieprzyjemne ukłucie w sercu i spojrzała niecierpliwie na zegarek. Gdzie ten Will?

Suche trzaśnięcie drzwi wejściowych powiadomiło Ursulę, że nie jest już sama.

- Will, to ty? - zawołała w stronę salonu. Ale odpowiedzi nie było. Wytarła ręce w ścierkę, zamknęła piekarnik, w którym rumieniła się ostatnia partia migdałowych ciasteczek i poszła przywitać gościa.

Simon stał przy oknie i patrzył na padający deszcz. Był przemoczony i wyglądał o wiele starzej, niż powinien. Starzej i trochę niechlujnie. Jego wąsy nie były już tak pięknie przystrzyżone, włosy miał dłuższe i bardziej przyzlane, a za-

padnięte policzki nadawały nieprzyjemnie bladej twarzy niezdrowy wygląd. Odwrócił się, kiedy Ursula weszła do salonu; ostatnie promienie zachodzącego słońca za deszczowymi chmurami rzucały na podłogę blade cienie. Ursula zamarła bez ruchu.

- Ach, moja piękna i kochająca żona przyszła mnie powitać. No, minęło trochę czasu, co? - Poruszał się ciągle z tym samym niewymuszonym wdziękiem, który niegdyś ją tak zachwycał. Ale teraz w sposobie, w jaki trzymał głowę była jakaś nieuchwytna nuta arogancji, a w bladych oczach malował się jawny gniew. Ursula miała wrażenie, że ktoś nagle otworzył drzwi do najciemniejszego zakamarka jej duszy i uwolnił jej najgorsze lęki. Była w pułapce. Simon stał przed nią i uśmiechał się. Czuła na twarzy jego przesycony alkoholem oddech.

- Co widzę, nieźle ci się powodzi, moja miła. Ładny kawałek ziemi, prawda? I jakie to szczęście z tymi akcjami. To miło z twojej strony, że powiadomiłaś Lettice, jacy jesteśmy teraz bogaci. Nigdy bym się nie dowiedział, gdybym nie przeczytał tego listu, który zostawiła na biurku. A jak się miewa nasza córeczka? Pewnie duża już z niej dziewczyna? Jest tutaj? A ten twój bękart? O, chętnie bym się mu przyjrzał. - Rozejrzał się po pokoju. Ursula miała straszliwą ochotę, żeby pobiec do pokoju Rhei i zabarykadować się w nim. Ale uśmiechnęła się ze spokojem.

- Nie ma ich tu. Ale miło, że się nimi interesujesz po tylu latach. Tom jest w szkole, a Rhea wyszła za miłego młodego człowieka i nie chce cię nigdy więcej widzieć. Podobnie, jak ja. Wynoś się!

Simon wybuchnął przykrym, hałaśliwym śmiechem.

- Nic z tego. Poczulem silne przywiązanie do Australii. Poza tym nadal jesteśmy małżeństwem. Zdaje się, że jestem bogaty, zgadza się? - Poglaskał ją po policzku. Wzdrygnęła się.

- O nie! Nie jestem już małą sierotką, zależną od twoich kaprysów. Sama stworzyłam ten dom, własnymi rękami. Jestem tu znana, szanowana i mam bardzo wpływowych przyjaciół. Tym razem ci się nie uda, tak samo jak wtedy, z szantażem. Więc wracaj do swoich eleganckich przyjaciół w Anglii i poproś ich, żeby cię nie wsadzili do więzienia za długi. A może Julia ci pomoże? W końcu obsługiwałaś ją dość długo, żeby poczuła jakąś wdzięczność, nie sądzisz? Ale słyszałam, że znalazła kogoś młodszego i mniej krępującego.

Nie zauważyła, kiedy się zamachnęła; dostrzegła tylko, że jego oczy nagle bieleją, a miękkie usta zaciskają się. Cios cisnął nią jak szmacianą lalką. Zatoczyła się w stronę drzwi. Uderzył ją jeszcze raz, ale tym razem nie straciła równowagi i rzuciła się do ucieczki ku tylnym drzwiom. Musi zawołać kogoś na pomoc, może Winbych, albo Stoney'a. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak dyszącego wściekłością. O Boże! Złapał ją na werandzie, szarpnął brutalnie i schwycił za szyję.

- Jes - teś - mo - ja - żo - ną! - Za każdą sylabą potrząsał nią z furią. - Ro - zu - miesz?

Czuła tętnienie krwi w skroniach i dziwnie mocny szum w uszach. Wzepiła się paznokciami w jego twarz, ale jakby tego nie poczuł. Przed oczami pojawiły

siejcej migoczące iskry otoczone czerwienią i czernią, która powoli zawężyła się, tworząc ciemny tunel. Rozpaczliwie szarpnęła go za rękę, uderzyła w pierś. A potem, zupełnie niespodziewanie, była wolna. Opadła na podłogę, zakurzona i gniożącej kolana. Jakby z wielkiej odległości dobiegły jakiegoś szurania i jęk, a potem ostry krzyk. Podniosła oczy dokładnie w tej samej chwili, w której Simon, z krwawiącą raną na czole, odepchnął wczepioną w niego Rheę. Dziewczyna zachwiała się, przez chwilę wydawało się, że odzyskała równowagę, a potem ciężko runęła po schodkach prowadzących na werandę. Upadła na ziemię i znieruchomiała.

- Rhea! - wrzasnęła Ursula dziko, tym samym cienkim głosem, którym wzywała na pomoc Billy'ego. Simon przykląkł na jedno kolano i otarł zalewającą mu oczy krew, która lała mu się z rany obfitym strumieniem. Przewrócił się i znieruchomiał. Ursula zapomniała o nim w tej samej chwili, w której straciła go z oczu. Wstała, podtrzymując się balustrady na werandzie i, nie zważając na ciągle osłabiony wzrok i uginające się pod nią nogi, pospieszyła do Rhei. Nie upadła z wysoka. To najwyższe trzy metry. Nic jej nie będzie. Tyle razy spadała z tych schodów i płakała, bo rozbiła sobie kolano albo nabiła guza. Ale teraz nie była już dzieckiem. Sama miała mieć dziecko.

- Rhea? Rhea, kochanie, słyszysz mnie? - Delikatnie odgarnęła włosy z twarzy córki. Bała się ją poruszyć. Rhea miała zamknięte oczy; jasne rzęsy spoczywały na jeszcze jaśniejszych policzkach. Drobny deszczyk padał miarowo na jej uniesioną ku górze twarz. Dopiero po chwili Ursula zobaczyła na jej spódnicy krew.

- Boże, nie! Proszę cię, Boże... - Zerwała się, niezgrabna i nagle postarzała, i popędziła w stronę domu Winbych, dysząc ze śmiertelnego przerażenia.

- Panie Winby! Panie Winby! Szybko! Zadzwońcie do lekarza! Panie Winby!

Jej niespodziewane wołanie zaskoczyło państwa Winbych, którzy nie spieszyli się z reakcją. Wołała bez końca, by dzwonili po lekarza, a oni stali i gapili się na jej spuchniętą i posiniaczoną szyję i ubłocone ubranie.

Wreszcie pani Winby oprzytomniała i zrozumiała o co chodzi. Pchnęła męża w stronę Ursuli, nakazując mu pomóc. Sama wróciła do domu, żeby zadzwonić do najbliższego doktora. Mieszkał w Gidgeeganup, ale równie dobrze mógł być z wizytą w jakimkolwiek miejscu w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Ale była zdecydowana dokonać cudu. Ursula powlokła za sobą pana Winby; kiedy zobaczył leżącą w błocie Rheę, zaczął biec. Ursula nie miała pojęcia, że jest zdolny do takiego pędu.

Wziął Rheę na rękę i zaniósł ją do domu. Położył ją delikatnie na łóżku. Ciągle była nieprzytomna, ale zaczęła jęczeć. Ursula pobiegła do łazienki i przyniosła ręczniki. Rhea krwawiła bardzo obficie; na białym prześcieradle powstawały ciemne, niemal czarne plamy pełne jakichś strasznych skrzepów. Ursula usiłowała powstrzymać krwotok ręcznikami, uniosła nogi córki, ale nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić. Gdzie zakłada się opaskę uciskową? A co z dzieckiem? Czy jeszcze żyje? Poderwała się i zaczęła krążyć niespokojnie przy łóżku. Co chwila zatrzymywała się, by zmierzyć córce puls. Jej twarz pobieleła jak ściana. O Boże, gdzie ten doktor?

Na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno; deszcz rozpadał się z całą mocą. Pojawili się Kim i Stoney. Czekali razem z panem Winbym w salonie, na zmianę krążąc niespokojnie po salonie i przysiadając na brzeżku swoich krzeseł. Ursula przypomniała sobie nagle, że Simon miał rozciętą głowę. Czy to Rhea mu zrobiła? Pobiegła na tylną werandę, żeby zobaczyć, co mu się stało. Simon zniknął. Na podłodze leżała łopata, którą zostawiła opartą o boczne drzwi. Miała zakrwawione ostrze. Ale Simon na pewno żyje, niestety. Rozejrzała się pospiesznie i wróciła do córki.

- Mamo! Mamo! - Rhea otworzyła wielkie, przerażone oczy. Chwyciła kurczowo dłoń matki.

- Jestem tu, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Doktor już jedzie. Nic nie rób, leż spokojnie.

- Mamo, czy Will już przyjechał? Powiedz mu. Bo nie wie. Nikt nie wie. Powiedz mu, dobrze? Powinien się dowiedzieć.

- Co mam mu powiedzieć, córeczko? Sam zobaczy, że jesteś w ciąży. Nie muszę mu tego mówić. Zaraz do ciebie przyjedzie. Nie martw się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie! On nic nie wie! Musisz mu powiedzieć. Niech tata się nie dowie. Nie chcę, nie... - głos jej zamarł, powieki opadły. Ursula siedziała obok, trzymając ją za rękę.

Pani Winby pojawiła się z komunikatem, iż lekarz jest nieuchwytny. Wyjechał do pacjenta i nikt nie wie, gdzie go szukać. Ursula zaklęła i zebrała ręcznikiem ciągle napływającą krew.

- Więc musimy zabrać ją do Perth. Niech pan przygotowuje samochód. Proszę położyć ko... - Rhea jęknęła głośno. Ursula zrozumiała, że sprawdziły się jej najgorsze obawy. Poród rozpoczął się. Nie mogli nigdzie jechać.

- Nieważne. Niech pan połączy się przez radiostację ze szpitalem albo kimkolwiek, kto może pomóc. Musimy powstrzymać ten krwotok.

W głębi domu trzasnęły drzwi. Potem w salonie rozległy się podniesione głosy, pełne gniewu i strachu. Aż wreszcie na progu pokoju stanęła jakaś sylwetka.

- Co tu się dzieje, do diabła? Mamo? Dlaczego... Rhea! Jezu Chryste! - Will podbiegł do grupki przerażonych ludzi, skupionych wokół zakrwawionego łóżka. Drgnęli, jakby przyłapał ich na jakimś brzydkim występku.

- Will! Dzięki Bogu - zawołała Ursula. - Rhea spadła ze schodów i dostała krwotoku. Lekarza nie ma w domu. I właśnie zaczął się poród! Co robimy?

- Poród! Jaki poród? Rhea jest w ciąży? - Will wydawał się równie oszołomiony, jak jego rodzice. Ursula miała ochotę go uderzyć. Rzucił okiem na białą kreda dziewczynę. - A pani Cluny? Jest dyplomowaną pielęgniarką. Będzie wiedziała, co robić. Mamo, zadzwoń do niej. Powiedz jej, że jeśli nie może przyjechać, zaraz u niej będę. Na razie spytaj, co mamy zrobić. - Stanął przy Rhei. Otworzyła oczy, kiedy tylko ujął jej dłoń. Ukląkł obok niej. Na ich twarzach malował się lęk, ale widać było, że łączy ich mocna więź. Ursula poczuła, że jest pomiędzy nimi intruzem.



- Przyniosę więcej ręczników. Pan niech zrobi jakiejś lemoniady, albo herbaty. Wszystkim się przyda - wypchnęła ich z pokoju i zostawiła Willa i Rheę samym sobie.

- O Jezu. Rhea. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Mógłbym, rany, nie wiem. Trzymaj się, najdroższa. Wyleczymy cię. - Przytulił policzek do jej białej jak papier twarzy. Załkała niemo, bez łez. A potem krzyknęła. Złapała go rozpaczliwie za rękę i przeczekwała następne skurcze. Will pomagał jej oddychać, uspokajał. Kiedy minęły, Rhea znieruchomiała i odwróciła do niego głowę.

- Nie mogłam. Nie chciałam, żebyś myślał, że to dziecko Charlesa.

- Jest moje? - A więc to przez niego Rhea tak cierpi. Zasepił się, ale ona spojrzała na niego z uśmiechem. Miłość do niego kazała jej na chwilę zapomnieć o strachu.

- Tak. Ten pierwszy raz, przy pompie. O Boże, tak cię kocham, Will... Chciałabym, żebyśmy byli małżeństwem i... - jej słowa zniknęły w kolejnym jęku. Ból rozdzierał ją bezlitośnie.

- Trzymaj się mnie. Ścisnij, ile możesz. Zaraz przyjedzie pani Cluny, nie martw się, ona wie, co robić. Cicho, maleńka, nic ci nie będzie - szeptał chłopak. Powiedział wszystko, co mogłoby uspokoić tę dziewczynę, rzucającą się w męce i krzyczącą. Odgarnął jej włosy z czoła; pot przemoczył jej ubranie na wylot. Po chwili odprężyła się i znieruchomiała, wyczerpana, tuląc policzek do jego ręki.

Drzwi otworzyły się i na progu stanęła matka Willa.

- Pani Cluny mówi, że przyjdzie, ale musisz ją przywieść jeepem. Drogi są zalane i jej samochód przez nie nie przejedzie. Tato pojedzie z tobą, na wypadek, gdybyś ugrzązł gdzieś w błocie. Staram się znaleźć kogoś w Perth. Tuż za nią weszła Ursula, która wytarła twarz córki mokrą szmatką. Will zawahał się, niepewny, czy może zostawić Rheę, ale uśmiechnęła się do niego i samymi oczami nakazała odejść. Pocałował ją w usta.

- Będę z powrotem za pół godziny. Nie martw się, nie pozwolę, żeby ci się coś stało. - Wyszedł i popędził do drzwi wyjściowych.

- Wypij to, dobrze? Musisz przyjmować dużo płynów, żeby zastąpić krew, którą straciłaś. Tak mówi pani Cluny. O tak. Grzeczna dziewczynka. - Ursula uniosła córce głowę i wlała jej do ust nieco lemoniady. Rhea zrobiła słaby wysiłek, żeby ją przełknąć, ale i tak większość płynu wyciekło jej spomiędzy warg i wsiąkło w poduszkę. Ursula wytarła plamę i usiadła obok córki, mocno ściskając jej rękę i gładząc po włosach.

- Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka. A ty? Byłoby miło, gdybyś miała córeczkę. Jak ją nazwiesz? - Chciała, żeby Rhea choć na chwilę zapomniała o strachu.

- Nie... wiem... Może... - Rhea robiła przerwę po każdym słowie, usiłując opanować zmęczone myśli. - Może Candida? Zawsze podobało mi... ach! - Skurcze znowu powróciły, silniejsze niż dotychczas. Ursula trzymała mocno dłoń Rhei, co chwila spoglądając na zegar. Miała nadzieję, że Will wkrótce przyjedzie.

Czas mijał nieubłaganie; wydawało się, że z każdą minutą życie wycieka z Rhei. Jej twarz stała się jeszcze bielsza, usta sine, a oczy zapadły się. Skurcze

prawie nie poruszały jej ciałem; szamotały się gdzieś w głębi, nie popychając dziecka naprzód. A plama krwi wokół jej ciała powiększała się coraz bardziej.

Wreszcie Ursula zrozumiała, że nie ma nadziei. Rhea nie spuszczała z niej oczu. Niewiele już widziała, ale ciągle na nią patrzyła, wierząc, że matka może jej pomóc. A potem nagle w tych oczach nie było już niczego, a bezwładna ręka wyśliznęła się z dłoni Ursuli.

- Rhea! Rhea, kochanie! Proszę... proszę... - Ale Ursula wiedziała, że jej córka nie żyje. Pochyliła się nad nią. Nie myślała o niczym. Gdzieś w oddali słyszała jakieś poruszenie, jacyś ludzie odsuwali ją od łóżka, ale nie poznawała nikogo. Poczowała czyjeś ramiona, ktoś wyprowadził ją w pokoju i posadził gdzieś blisko. Usłyszała krzyk Willa.

- Dziecko jeszcze ma szansę - powiedziała pani Winby. Ursula podniosła na nią oczy i drgnęła na widok łez spływających strumieniem po twarzy starej kobiety. Ona też była stara. Postarzała się o wiele lat w ciągu tej jednej godziny. Skinęła głową.

- Tak, ratujcie dziecko.

Ale ono ją nie interesowało. Liczyła się tylko Rhea. A Rhea umarła.

*Perth, lipiec, roku 1966*

Dziecko zostało ochrzczone jako Candida Margaret Peel u Świętego Łukasza w Mosman Park. Jennie i Tim byli rodzicami chrzestnymi. Charles wciąż jakby nie rozumiał, że ma córkę. Wypowiadał odpowiednie formułki, uczestniczył w uroczystości, ale nadal nie mógł się otrząsnąć po śmierci żony. Ursula także miała wrażenie, że coś w niej umarło. Gdyby nie to słabe, bezbronne dziecko, które dała jej córka, pewnie spoczęłaby obok niej w grobie na terenie posiadłości. Rhea zawsze mówiła, że nie chciałaby być pochowana na cmentarzu Karakatta, pomiędzy rzędami niekończących się nagrobków. Więc spoczęła na małym wzniesieniu nad laguną. Ursula obiecała jej, że ona także każe się tam pochować. Żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Will nie zjawił się na pogrzebie i chrzcie. Ursula doskonale rozumiała jego rozpacz. W tej chwili nie istniało nic, co mogłoby ją złagodzić. Wiedziała to z własnego, gorzkiego doświadczenia. Tylko czas zdoła zabliźnić ranę. Taki wyświechtany frazes. Każdy cierpiący ma ochotę rzucić się na nieczułą, gruboskórną osobę, która pociesza go za jego pomocą. Ale jak większość wyświechtanych frazesów, i ten był prawdziwy. Na ogół.

Tim przyjechał na pogrzeb. Był poszarzały z cierpienia i smutku, a jego stan jeszcze się pogłębił na widok dziennikarzy, czatujących wokół posiadłości w nadziei uwiecznienia jego rozpacz. Nie potrafił zdobyć się na nic więcej, niż trzymanie Ursuli za rękę podczas całej ceremonii.

Ursula zabrała dziecko do domu Peelów. Charley i Will zostali sami z upiorami przeszłości.

Tim towarzyszył Ursuli. Zamierzał naprawić to, co się pomiędzy nimi zepsuło. Peelowie uśmiechnęli się na jego widok, grzecznie i z zakłopotaniem, i dys-

kretnie zostawili ich samych. Ale zanim Tim zdołał znaleźć słowa, których szukał przez cały dzień, Ursula powiedziała, że zamierza wrócić do Singapuru. Obruszył się na ten dziwny pomysł i zaczął przekonywać ją z gorąco, że nie powinna tego robić. Nie wolno jej! Nie pamiętał, kiedy ostatnio protestował tak przeciwko czemuś. Ale ona go nie słuchała.

- Nic mi nie będzie, obiecuję. Muszę tylko uciec od wszystkiego. Wiesz - uśmiechnęła się blado, samym skrzywieniem ust - żeby „odnaleźć siebie”. Ostatnio to bardzo modne. Poza tym powinieneś się ucieszyć. Nie powinieneś się tu pokazywać. Właściwie dlaczego przyjechałeś? - W jej głosie pobrzmiwał jakiś śmiertelnie lodowaty ton, który zadawał kłam jej opanowaniu. Była grzeczna, uprzejma i godna, przyjmowała kondolencje i dziękowała za nie półgłosem, jak należy. Tim pomyślał, że sama wygląda, jakby nie żyła.

Pominał milczeniem jej pytanie.

- Ale skąd ten Singapur? Dlaczego teraz, po śmierci Rhei? Co zamierzasz zrobić, pograć się w rozpacz? Złożyć wszystkich swoich zmarłych do wspólnego... - urwał, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. - Chcę być przy tobie, wiesz o tym, ale mnie odsuwasz. Dobrze, wiem, ci przekłęci reporterzy. Ale jestem przecież przyjacielem rodziny, a ty przechodzisz w tej chwili przez piekło. Proszę, nie odwracaj się ode mnie. Chcę ci pomóc. Jezu! - Nie rozumiał, jak może być tak twarda i odległa od niego. Przyglądała mu się zimno, a on przecież chciał wziąć ją w ramiona i nigdy, nigdy nie wypuścić, nie pozwolić, by ktoś mu ją zabrał, żeby ją skrzywdził. Wiedział, że mu na to nie pozwoli. Nigdy mu już nie uwierzy.

- Pomóc? A co to jest? Coś takiego, co robisz w blasku fleszy? Jak możesz mi pomóc? Rhea nie żyje. - Oplotła się ramionami, jakby chciała ogrzać zlodowaciałe serce. Kiedy cię potrzebowałam, nie było cię przy mnie. Kariera zawsze była najważniejsza. Dlaczego mam się spodziewać, że pomożesz mi akurat teraz?

Nie rozumiała, dlaczego patrzy na nią z takim bólem, skoro wiedziała, że nie dla niego nie znaczyła. Był zmęczony wszystkim, co zdarzyło się między nimi, a na pogrzebie i chrzcie pojawił się z poczucia obowiązku. Żeby nie obrazić Pelów. Pomyśleliby, że to doprawdy dziwne, skoro jest takim wielkim przyjacielem rodziny, nie pojawić się w tej chwili. Z pewnością nie przyjechał ze względu na nią. Ale nawet teraz coś jej podpowiadało, że jest w błędzie. Znaczyła coś dla niego. Tylko nie dość dużo.

- Jestem zaskoczona, że nie przywozłeś ze sobą Joanny. To by dopiero doskonale wyglądało na zdjęciach w gazetach. „Polityk o złotym sercu wraz z Żoną trzymają za rękę Nieważne Małe Nic, które oplakuje zmarłą córkę”. A może wydawało się, że wszystko będzie wyglądać równie dobrze, jeśli zjawisz się sam. A może Joanna z różnych względów nie chciała się pojawić. - Nie miała dla niego żadnej litości. - A nasz syn, pamiętasz Toma? On także potrzebuje pomocy. Może dasz się sfotografować, jak głaszczesz go po głowie?

- Na miłość boską, Ursulo! Nie rób sobie tego! - Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią. - Proszę, kochanie. To ja. Kochałem Rheę tak, jak kocham ciebie i Toma. Jestem tu tylko dla was, z żadnego innego powodu. Nie rozumiesz, jaką krzywdę sobie robisz?

Zorientował się, że jego słowa nie trafiają do niej.

- Powiedz to temu reporterowi, który siedzi za drzwiami od kilku godzin. Słowo w słowo to samo, co mnie. A może to za wiele? - Zamknął oczy. O Boże, co by dał, żeby móc to zrobić. Powiedzieć całemu światu: „Nie zależy mi na niczym oprócz tej kobiety i tego chłopca, mojego syna”. Ale to niemożliwe.

- Bądź rozsądna. Nie mogę tego zrobić. Nie w tej chwili. Wybory za pasem. Pomyśl o skandalu. Mnóstwo ludzi na mnie liczy. Nie mogę ich zawieść. Proszę, uwierz, że cię kocham i jeszcze trochę wytrzymaj.

- Dość, Tim. Wystarczy. - Uniosła ostrzegawczo rękę. - Słyszałam to tysiące razy i nie zależy mi już na niczym. Rhea nie żyje. Tylko to się liczy. A teraz wyjdź stąd.

Wyszła z pokoju, nie obejrząwszy się nawet na niego. Tym razem zniknęła z mojego życia na zawsze, pomyślał Tim. Teraz, kiedy nikt go nie widział, mógł sobie pozwolić na rozpacz. Rozejrzał się w oszołomieniu; potknął się o krzesło. A potem odetchnął głęboko i znowu stał się poważnym, opanowanym gościem żalobnym, który umie się znaleźć w każdej sytuacji. Pożegnał się z Peelami i stanął w drzwiach, gdzie stawił czoło czekającym reporterom.

Krzyk niemowlęcia wyrwał Ursulę z zamyślenia. Spojrzała na zegarek. Prawie godzina. Odszedł przed niespełną godziną. Pospieszyła do pokoju i pochyliła się nad kołyską. Dziecko krzyczało nieprzerwanie. Ciemne włosy przylgnęły do jego główki. Wzięła je w ramiona i zaczęła z nim chodzić powoli po drewnianej deskach podłódze, na której zachodzące słońce malowało złociste, stopniowo blednące pasy.

## Rozdział trzydziesty

Ursula wróciła do domu z Didee, leżącą w nosidełku pomiędzy nią i Tomem. Samochód podskakiwał na wybojach, a ona krzywiła się za każdym razem, kiedy w nie wpadał. Tim powiedział, żeby kupiła nowy, z napędem na cztery koła, ale samochody nie interesowały jej. Były tylko narzędziem, dzięki któremu przenosiła się z punktu A do punktu B. Po co jej nowe? O wiele lepiej będzie wyrównać drogę. Była bogata, mogła robić, co się jej podoba. Rozmawiała z Tomem o planach związanych z rozbudową domu i gospodarstwa. Zamierzała wreszcie wyposażyć mieszkanie w centralne ogrzewanie i wentylatory pod sufitem i może, może... basen? Tom powtarzał grzecznie „super!” i „bomba!”, ale nie ciągnął tematu. On także rozpaczał po Rhei.

Zerknęła na jego twarz, ściągniętą i zdeterminowaną. Tak samo wyglądał Tim, kiedy cierpiał, lecz nie chciał się do tego przyznać. Pod oczami nadal miał podkowy, a jego opalenizna jakby poszarzała. Nawet włosy mu pociemniały. Tak, jakby przygasło wewnętrzne światło, które go rozjaśniało od środka. Pogłaskała go po głowie. Ona i Didee będą mu musiały wypełnić puste miejsce w sercu.

Zatrzymała samochód przed werandą i pomachała do pani Winby. Kobieta wieszała pranie na obrotowej suszarce, wprawnie przesuwając jej kolejne ramiona. Na ich widok porzuciła prześcieradła i podbiegła, z krzykiem chwytając Toma w objęcia.

- Och! Myślałam, że wróciście dopiero za kilka dni! Tom, mój chłopczyku! Tęskniłeś za mną? - Pocałowała go głośno i roześmiała się, kiedy wyrwał się z jej ramion. Pobiegł do domu Kim i Stoney'a, żeby spotkać się z Percym. Pani Winby pomogła Ursuli wnieść Didee i walizki do domu.

- Szybko pani wróciła. Czy coś się stało? Myślałam, że chrzest odbędzie się trochę później, a pani zostanie u Peelów jeszcze przez parę dni. - Starsza kobieta zasapała się pod ciężarem nosidełka Didee. Ursula uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie. Nic się nie stało. Chciałam tylko wyjechać na jakiś czas. Wrócić do domu... do Singapuru. Tom pojedzie do kolegi, Neila, który mieszka w Mandurah. Przynajmniej do końca wakacji. Potem razem z nim wróci do szkoły. A Peelowie zajmą się Didee. - Wyjęła małą z nosidełka. - Tak, kochanie? - Przytuliła do niej twarz. Didee ziewnęła. - A to ci powitanie.

Pani Winby przyjrzała się ukradkiem jej przerażająco bladej twarzy. Wyglądała tak od śmierci Rhei. Co za tragedia. Jak to jednak życie potrafi niszczyć takie biedne kobiety. Potem przypomniała sobie o własnych nowinach.

- Will był tutaj dwa dni temu. Żeby odwiedzić tatkę i mnie. Powiedział, że chce się pogodzić i że nas przeprasza. Tatko omal się nie udławił, tak strasznie udawał, że mu nie zależy. - W jej rozpromienionych oczach malowała się ogromna ulga. Ursula otworzyła usta ze zdumienia.

- Dzięki Bogu. Jak wygląda? Pogodził się już z tym, co zaszło?

- Nie z Rheą. Ale chce widzieć Didee. To już przełom. Powiedział, że chce ją uznać za swoje dziecko, ale kazałam mu poczekać, aż rozmówi się z panią. To by chyba było zbyt wiele dla biednego młodego pana Peela. Tego by już chyba nie zniósł.

- Tak. Dlaczego wszystko bez przerwy się tak komplikuje? Nieważne, pora napić się herbaty. Prawda? Proszę, niech pani trzyma Didee, a ja poniosę walizkę. Kim jest w domu? Wysłała panią Winby przodem i rozejrzała się za Tomem. Zauważyła go w rogu, przy wybiegu dla kur, jak przyglądał się czemuś razem z Percym.

- Chłopcy! Herbata i ciastka, jeśli za dwie minuty będziecie umyć! - zawołała i nie zdziwiła się specjalnie, kiedy pomachali do niej i dalej ze skupieniem wpatrywali się w ziemię. Ruszyła po schodkach do domu.

Na stole przy drzwiach wejściowych czekała na nią sterta listów. Głównie rachunki, list od Lettice, na widok którego natychmiast pomyślała o Hughu, parę listów z kondolencjami od koleżanek Rhei mieszkających w bardziej oddalonych gospodarstwach oraz dość wyświechtana koperta z plamą na samym środku. Nic więcej.

Odłożyła czytanie listów do czasu, kiedy nakarmiła już Didee i położyła ją spać. Pani Winby przygotowała herbatę, a Ursula dopilnowała, żeby chłopcy się umyli. Obaj najwyraźniej mieli jakieś tajemnicze sprawy i ze wszystkich sił powstrzymywali wybuchy śmiechu. Ursula uśmiechnęła się tylko, zadowolona, że z buzi Toma zniknął ten straszny wyraz, a Percy znowu uśmiecha się po swojemu, jak mały łobuziak. Obaj są teraz dla siebie ratunkiem, pomyślała, pocałowała ich obu i wysłała na podwórko do dalszej zabawy. Pani Winby usiadła wygodnie z filiżanką herbaty, a ona zabrała się za czytanie listów.

Lettice nie miała dla niej dobrych wiadomości. Hugh ma przed sobą parę tygodni życia. Lettice żywiła nadzieję, że koniec nadejdzie szybko. Wszystko ciągnęło się tak długo, że Ursula czuła już tylko smutek. Podejrzewała, że tak

samo jest w przypadku Lettice. Westchnęła i postanowiła, że dziś napisze do starej przyjaciółki.

Wreszcie otworzyła wygniecioną kopertę, zastanawiając się, dlaczego widniejące na niej pismo wydaje się jej znajome. Z nagłym wstrząsem zdała sobie sprawę, że list jest od Simona.

\*

„Najdroższa żono,

Razem z moją kochaną córeczką zgotowałyście mi piękne powitanie. Na pamiątkę naszego spotkania do końca życia będę nosił bliznę, którą od was dostałem. Być może, znając już nasze temperamenty, łatwiej będzie nam porozumiewać się drogą korespondencyjną. W ten sposób nikt nie odniesie dalszych obrażeń, a ty być może ucieszysz się, że pozbędziesz się mnie tak niewielkim kosztem. Jestem chętny rozwieść się z tobą za doprawdy nieznaczną część tego, co mi się należy. Jak już zaznaczyłaś z wielkim przekonaniem, żadna z was nie życzy sobie mojego powrotu, a podejrzewam, że nagle zmartwychwstały mąż mógłby wydać ci się nieco krępujący. Więc mówmy otwarcie. Dasz mi zaledwie czwartą część tego, co zarobiłaś na akcjach, a ja podpiszę wszystkie stosowne dokumenty, które uwolnią cię ode mnie do końca życia. Pieniądze wystarczą mi na początek nowej egzystencji gdzieś daleko stąd i jeszcze dalej od ciebie. Czy to uczciwa propozycja? Czekam na rychłą odpowiedź na załączony numer skrytki pocztowej. Twój jeszcze bardziej rozczarowany eks. S”.

Ursula siedziała nieruchomo i patrzyła z niedowierzaniem na wymięty świstek. Simon o niczym nie wiedział. Naprawdę nie wiedział, co się stało z Rheą. Odetchnęła głęboko. Ten bolesny ciężar na piersiach powiększał się z każdą chwilą. Odwróciła się do pani Winby.

- Muszę pomówić z Willem. Czy może go pani zawiadomić?

Spotkali się w kancelarii. Z początku, kiedy Will poradził jej zapłacić Simonowi żadaną sumę, Ursula wpadła w furję. Ale wyjaśnił jej cierpliwie, że to jedyny sposób, żeby się go pozbyć. W ten sposób zostanie zawarta prawna umowa, zobowiązująca obie strony. Simon dostanie pieniądze, Ursula rozwód. Nie zobaczy go już nigdy więcej i nigdy więcej nie będzie mógł jej bezkarnie skrzywdzić. Tak twierdził Will, a ona po namyśle zgodziła się z nim.

Will nie chciał, żeby spotkała się z Simonem osobiście, ale się uparła. On sam zobaczył się z Simonem, żeby dokładnie wytłumaczyć mu warunki umowy. Nie powiedział jej, jak mu poszło, ale po powrocie wyglądał na zadowolonego, nawet za bardzo, jak mu wytknęła. Will uśmiechnął się chytrze i powiedział, żeby się nie martwiła.

Ale kiedy Simon pojawił się w gabinecie, arogancki i niechlujny, z oczami zaczerwienionymi od alkoholu i w wymiętym ubraniu, Ursula znowu poczuła smagnięcie gniewu i strachu. Odwróciła wzrok.

- Ach, Ursula, moja najdroższa. Jak zwykle chodząca doskonałość. Idealna na każdą okazję: rozdanie nagród, popołudniową herbatkę, przyjęcie, rozwód! Jak miło, że się zjawiłaś.

Pochylił się nad nią, zionąc alkoholem. Will złapał go za ramię.

- Proszę usiąść. Jesteśmy tu po to, żeby załatwić interes, nie obrzucać się obelgami. Mam nadzieję, że pamięta pan, o czym rozmawialiśmy?

Simon obrzucił go spojrzeniem spode łba. Potem posłusznie usiadł.

Prawnik wodził między nimi niepewnym wzrokiem. Podał im dokumenty.

- Jeśli chce pani przeczytać kontrakt, zorientuje się pani, że jest sformułowany dokładnie według wskazówek pana Winby. Oto pański egzemplarz. W ten sposób skończymy z tym szybciej ku ogólnemu zadowoleniu.

W gabinecie zapadło milczenie.

- Dziękuję, wszystko jest zgodnie z moimi oczekiwaniami. - Ursula podpisała dokument i przekazała go notariuszowi. Oczywiście nie był to jej osobisty prawnik, pan Waters. Pan Bryce podał dokument Simonowi.

- Zechce pan?

- Nie tak szybko. Gdzie pieniądze? Nie podpiszę niczego, dopóki nie zobaczę pieniędzy.

Pan Bryce bardzo się zmieszał.

- Mam je tutaj. Więc zechce pan podpisać się pod nazwiskiem żony. Wręczę panu pieniądze i będziemy mogli rozejść się każdy w swoją stronę.

Simon zawahał się. Nie był pewien, czy dobrze postępuje. Ale ten bydlak, Winby, bardzo jasno powiedział mu, że to ostatnia oferta. A potem... na czoło wystąpił mu pot. Wypadek, powiedział ten bandyta. Ale nie potrafił mu niczego udowodnić. I coś w oczach tego młodego mężczyzny przejmowało go prawdziwym przerażeniem. Umiał rozpoznać, kiedy ktoś grozi mu poważnie. A ten typ wyglądał tak, jakby zrealizowanie groźby miało sprawić mu prawdziwą rozkosz. Osobiste wykonanie. Własnymi rękami. Poza tym, czy mógł pójść z tym na policję? I co im powie? Panowie, ten tutaj człowiek grozi mi, że mnie zabije, ponieważ szantażuję moją żonę! Swoją drogą ciekawe, co łączy Ursulę z tym gościem. Czy nie jest trochę dla niej za młody? Ta myśl znowu go rozwścieczyła. Zmierzył żonę nienawistnym spojrzeniem. Suka! Wreszcie złożył swój podpis pod dokumentem.

Ursula odetchnęła z ulgą, kiedy Simon wziął kopertę, rozciął ją i przeliczył pieniądze. Prawnik oglądał uważnie swoje paznokcie. Tylko Will przyglądał się Simonowi. Na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie.

- Dobrze. A więc załatwione. Gratulacje z okazji rozvodu. Mam nadzieję, że ci przyniesie... wszystko, na co zasługujesz - skrzywił się w parodii uśmiechu. - Pozdrów Rheę ode mnie, dobrze? I powiedz jej, że twoje upodobania seksualne pchają cię prosto do rysztołka. Niech ma to na uwadze - dodał lekko.

Ursula poderwała głowę. Spojrzała na Simona niemal z zadowoleniem.

- Ciągłe nie wiesz, co? - Nie zwróciła uwagi na rękę Willa na swoim ramieniu. Wstała i stanęła oko w oko z mężem. - Naprawdę o niczym nie wiesz.

Prawnik szybko podszedł do drzwi. Nie chciał brać udziału w awanturze.

- Niby o czym? - Simon śmiał się. Myślał, że trafił w bolesne miejsce.

- Nie wiesz, że Rhea nie żyje. - Jego usta otworzyły się, a w oczach pojawiło się przerażenie. Krew powoli odpłynęła mu z twarzy, która nabrała wyglądu



pośmiertnej maski. -1 to ty ją zabiłeś. Niech ta myśl towarzyszy ci w długie, zimowe wieczory. - Simon wzdrygnął się. Widziała, że coś wali się w nim w gruzy. Podniosła głos. - Zepchnąłeś ją ze schodów. Wykrwawiła się na śmierć. Zabiłeś własną córkę i uciekłeś! Wiedz, że zламаłeś życie nie tylko mnie, ale również Willowi. Więc nie zapominaj o tym, jeśli zaczniesz cię kusić, żeby znowu zacząć nam wchodzić w drogę. Musiałam przekonać Willa, że nie warto cię zabić. Ale może kiedyś zmienić zdanie. - Will wyprowadził ją w gabinetu. Wyszli razem na świeże wieczorne powietrze.

Tim nadal nie odzywał się i nie dawał znaku życia. Ursula nie chciała go mieszać do zajścia z Simonem. Nie po tym, jak się rozstali, kiedy obrzucała go oskarżeniami, a on przyglądał się jej spokojnie i zimno. Nie, na pewno nie poprosi go o pomoc. Może i tak nie chciałby się w to mieszać. Miał swoją śliczną młodą żonę i karierę. Co mógłby dostać od niej? Tylko miłość. A tej już nie chciał.

Położyła dłoń na ramieniu Willa.

- Dziękuję, Will. Wiem, że to musiało być dla ciebie straszne. Ale nie miałam się do kogo zwrócić.

Zerknął na nią z tym swoim niemal idiotycznym wyrazem twarzy, który miał jako chłopiec; zadowolony z pochwały, ale nie mający pojęcia, jak ją przyjąć. Odpowiedziała mu uśmiechem.

\* \* \*

Zorganizowanie podróży do Singapuru okazało się bardzo łatwe. Peelowie obiecali zająć się Didee na czas jej nieobecności, a miała ona potrawić zaledwie parę tygodni. Tylko tyle, żeby trochę odpocząć. Zaopiekują się nią tak, jak zajęli się Charlesem. Ktoś musiał to zrobić.

Kiedy opuściła klimatyzowaną halę w Changi, było już prawie południe. Poszła w stronę postoju taksówek. Tuż za progiem uderzyła w nią ściana upału, która ją oblepiała ze wszystkich stron i przygniotła. Żar tropików, Daleki Wschód. Ale dominujący był zapach: ta niemal zapomniana mieszanka woni zgnilizny i przypraw, ciepłego powietrza o zapachu frangipani i orzechów, kminku, psujących się warzyw i błota. Wciągnęła go głęboko w płuca; sukienka natychmiast przylepiła się jej do złanej potem skóry. To był niegdyś jej dom. Teraz czuła się tu obco.

Wszyscy nalegali, żeby zatrzymała się w jakimś nowocześniejszym hotelu przy Orchard Road. Ale ona uparła się przy Raffles. Może rzeczywiście nie był w dobrym stanie, nie znajdował się też w odpowiedniej dzielnicy, ale wybrała się z pielgrzymką - w swój prywatny *haj*. Mogła się zatrzymywać, gdzie się jej podobało.

Jej pokój miał okno wychodzące na główny dziedziniec z palmami i basenem wypełnionym nagrzaną wodą. Nikt nie spacerował po ogrodach. Na słońcu

było zbyt gorąco, a w cieniu werand zbyt chłodno, ale wygodnie. Ursula siedziała i poruszała szklanką, w której grzechotały kostki lodu.

Tak wybrała. Miała tego świadomość. Ale dotychczasowa determinacja, by się tu znaleźć, rozplynęła się w tutejszym biernym upale. Czy naprawdę chce zaryzykować? Czy chce odwiedzić kampong? Wcześniej wydawało się jej to takie oczywiste; pragnęła zobaczyć Fatimę, schować głowę na tej pełnej piersi i wypłakać się, tak jak to robiła wcześniej. Ale będąc już tu, nagle przestraszyła się i zaczęła odwlekać tę chwilę, jak mogła: rozpakowywała się, myła, przebiebrała. A teraz, siedząc w chłodnym cieniu werandy, zaczynała ją ogarniać panika. To na nic. Nie powinna była przyjeżdżać. Za wiele tu upiorów przeszłości. Przycisnęła do ust cienkie, lodowate szkło. Miała ochotę je ugryźć, żeby trzasnęło sucho w jej zębach. Jeśli nie pojedzie dzisiaj, nie zrobi tego nigdy. Nie musi oglądać bungalowu. Pójdzie przez Klub Polo do kampongu. Zobaczy się z tymi, którzy przeżyli.

Z determinacją odstawiła szklankę i wstała. Przeszła przez zielony cień murów prosto w rozpalony żar ulicy. Taksówka podjechała natychmiast na strzelenie palcami i ostry gwizdek. Ursula wcisnęła monetę w usługę nadstawioną rękę.

- Thomson Road - powiedziała nerwowo. - Klub Polo. Szybko szybko,  
*can lal*

Chłopiec pomógł jej wsiąść do samochodu, przyglądając się z podziwem pięknej memsahib; jej wysokie, smukłe ciało kołysało się wdzięcznie, a spódnica khaki i lniana bluzka były świeże i pachnące. Zastanowił go tylko wyraz napięcia na jej twarzy. Zamknął drzwi i samochód ruszył.

Czuła się dziwnie, przyglądając się znanym, a jednak nieznanym ulicom. Tak dużo nowych budynków. Tak wiele dziwnych widoków. A jednak rozpoznawała wszystko, a wspomnienia co chwila zadawały jej nowy bolesny cios.

Za Newton Circus poczuła nerwowe mrowienie w żołądku. Teraz już niedługo. Niedaleko. Ale miasto wdierało się zuchwale w dżunglę, pomiędzy zielone pnącza. Ursula zaczerpnęła oddechu. Może kampongu już nie ma? Może wzdłuż rzeki ciągną się szeregowe domki z żelaznymi ogrodzeniami lub wielki dom... ale nie pozwoliła sobie na dalsze rozmyślenia.

Taksówka skręciła na lewo, tak gwałtownie, że Ursula ześliznęła się na drugi kraniec siedzenia. Chwyciła klamkę drzwi. Już jest na miejscu. Padang Klubu Polo, czarno-białe żaluzje na werandzie, stajnie. Są tutaj, drzemią spokojnie w słońcu. Uśmiechnęła się, a potem skrzywiła, usiłując ukryć łzy.

Taksówkarz zatrzymał się przed budynkiem klubu i bez większej ciekawości pozbył się tej dziwnej pasażerki, strojącej dziwne miny. Był sikhem i nie interesowali go Europejczycy. Miał ochotę przespać się gdzieś w cieniu. Było zbyt gorąco.

Ursula zapłaciła mu i przez chwilę stała nieruchomo, podczas gdy taksówkarz zwracał na betonowym podjeździe. Właściwie powinna go poprosić, żeby zaczekał. Zresztą nieważne. Później znajdzie inną taksówkę. Rozejrzała się wokół. Absolutny bezruch.

Dalej trawa były wyschnięta, a błoto spękane i stwardniałe. Ursula ruszyła w tamtym kierunku. Instynkt i wspomnienia podpowiadały jej, że mieszkańcy wioski śpią teraz w chłodnych chatach i unikają żaru słonecznych promieni, jakby mogły wyssać z nich życie. Przeszła przez drewniany mostek i zawahała się. Chaty były nowe, miały dachy z blachy falistej... Ale ciągle poznawała chatę Ibrahima, bladobłękitną w słonecznym świetle.

Drzwi otworzył jej jakiś chłopczyk, który na jej widok oniemiał z szeroko otwartymi ustami. W głębi mrocznego wnętrza rozległ się szelest suchych palmowych liści i pojawiła się kolejna twarz; starsza, poważna, o ciemnych surowych oczach.

- Tak?

Ursula znowu zawahała się; nagle poczuła się obca i bardzo biała, zupełnie nie pasująca do otoczenia. Myśl była dziecinna i niemądra. Mimo woli uśmiechnęła się, a mężczyzna naprzeciw niej powtórzył jej uśmiech, jeszcze niepewny.

- Ooosalah?

Skinęła głową, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła.

- Yahyah? To ty?

W głębi mrocznej chaty rozległ się radosny krzyk, ochrypli i dziki, i przez drzwi wytoczyła się wielka kobieta o szpakowatych włosach z wyciągniętymi tłustymi ramionami, zawodząca czule powitania. Ursula znalazła się w objęciach Fatimy.

Minęło wiele godzin, zanim opowiedzieli sobie, co się wydarzyło przez te lata. Fatima jeszcze teraz nie wierzyła, że Ursula jest już babką. Trzymała swoją panienkę w objęciach, by choć odrobinę złagodzić jej dorosły ból; razem z nią opłakiwała stratę córki, której nawet nie widziała. A Ursula słuchała o wszystkich wydarzeniach: małżeństwie Yahyah i Hamili, ich dawnej koleżanki; śmierci Ibrahima i wyborze Yahyaha na nowego lembagę; smutkach i rozpaczy po śmierci jego pierworodnego; i o obecnych radościach. Chłopiec, który otworzył jej drzwi, przeczekał cierpliwie wszystkie opowieści, obgryzając palec. Był najmłodszą pociechą Yahyaha. Ursula podarowała mu puderniczkę z lusterkiem i mały krzyknął z radości. Uśmiechnęła się i powiedziała Yahyah, że jego syn jest brzydką małpką. Roześmiał się i spojrzał na nią z uznaniem. Nie zapomniała o ich zwyczajach. Teraz zazdrosny Bóg nie zabierze im dziecka. Spaścił głowę.

Wreszcie Fatima odprowadziła Ursulę ścieżką, którą tu przyszła. W zapadającym zmierzchu długie cienie wydawały się ostre jak szpikulce. Od strony stajni dobiegały wieczorne hałasy. Fatima uśmiechnęła się swoim sennym, skrytym uśmiechem.

- Byłaś w dużym domu?

Ursula pokręciła głową.

- Nie, nie mogłabym. Jeszcze nie.

- Wiesz, że mieszkają tam nowi właściciele? Oprowadziliby cię. - W głosie Fatimy dźwięczał optymizm.

- Nie. Nie wiedziałam. Kto? Zresztą nieważne. Nie mogę tam iść.

- Chodź. - Fatima wyciągnęła do niej rękę. - Chodź, zaprowadzę cię, mała. Powinnaś tam wrócić. Odeślesz swoje upiory tam, skąd przyszły, kiedy spojrzysz im w twarz. Chodź, weź Fatimę za rękę. - Ile razy mówiła to do Ursuli, małej dziewczynki?

Ursula stała przez chwilę nieruchomo. Ale w uśmiechu Fatimy było ciepło; wypaliło ono drogę w lodowatym strachu, który nadal trzymał ją w okowach. Czy naprawdę może tam pójść i spojrzeć w twarz swoim upiorom? Czy zdoła przypomnieć je sobie i pozostać żywa? Powoli rozprostowała zaciśnięte palce i położyła je w dłoni Fatimy. Minęły w milczeniu stajnie, w których niegdyś trzymano Bintanga i Jambang. Ursula przypomniała sobie, jak niegdyś w jedno ciche popołudnie lkała i przeklinała z rozpaczą silniejszą, niż jakakolwiek wściekłość. Nie odzywając się ani słowem weszły na wzgórze i stanęły razem przy pagórku porośniętym murawą.

Ursula zatrzymała się. Tak. Pagórek - grób Billy'ego. Przelknęła ślinę. Ból utkwiał w niej jak twarde ziarenko. Fatima puściła jej rękę.

- Porozmawiam z właścicielami - powiedziała odchodząc. Ursula nie usłyszała jej słów. Nie zauważyła odejścia. Na wpół zapomniany strach rzucił się jej do gardła, jakby chciał wyrwać się na zewnątrz.

- Billy? O Boże, Billy! Jak mogłam cię zostawić? Billy... - zacisnęła powieki i odetchnęła powoli zapachem śmierci i strachu. - Dlaczego musiałeś umrzeć? Ty i Rhea. Wytłumacz mi, na Boga! Dlaczego? - Ostami krzyk wyrwał się jej z taką siłą, że ptaki poderwały się z drzew całymi stadami i zaczęły kołować z niepokojem po niebie. Po jej twarzy spływały łzy, których nie zauważała. Bezgłośnie rozmawiała ze swoimi zmarłymi: Billym i Rheą. Wreszcie odwróciła się, nie mogąc znieść wspomnień.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać i zaczęła zbliżać się do niej. Właściciel, pomyślała w odrętwieniu. Nie wolno mi płakać. Nie wolno. Nabrała powietrza i znowu spojrzała. Mężczyzna był wysoki i szedł niespiesznym krokiem, który zwrócił na siebie jej uwagę. Dom i ogrody były teraz w jakiś nieuchwytny sposób inne, stały się własnością ludzi, którzy nie znali jej i nie wiedzieli, co tu się wydarzyło. Ta myśl uspokoiła ją. Sylwetka mężczyzny była oświetlona od tyłu, czarna postać, która przypominała jej kogoś niegdyś znanego. Stała nieruchomo i czekała, aż do niej podejdzie. Przez chwilę... ale nie, miała przed sobą grzecznie uśmiechniętego obcego człowieka.

- Ursula Fraser? To naprawdę ty? - spytał. Ursula przyjrzała mu się w półmroku, zastanawiając się, kogo przypomina jej ta twarz. Miał siwiejące kędzierzawe włosy i szczupłą poważną twarz.

- Tak... przepraszam... czyja cię znam? - Uśmiechnął się nieśmiało, niemal z bólem i nagle go rozpoznała. Stephen Hendricks, kuzyn Sally. Jego starszy brat Rodney bił japo nogach pnączem na weselu Sally i częstował szampanem na ostatnich wspólnych świętach. Rodney, który zginął obok jej ojca w walce o kraj.

- Stephen! Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że jeszcze jesteś w Singapurze.  
- No, tak. Ja też prawie cię nie poznałem; jesteś już dorosła. Fatima powiedziała, że przyjechałaś. Wejź do domu na drinka. Chcę ci przedstawić moją żonę. - Uśmiechał się z ulgą, że został rozpoznany i nie musi się wdawać w długie tłumaczenia. Zawsze był słaby, pomyślała. Rodney zgarnął dla siebie całą energię. Stephen miał tylko zdolność trzymania się z dala od kłopotów. Przynajmniej żył.

- Tak, bardzo chętnie ją poznam.

Poszła za nim, przystając co chwila na widok nowych mebli i zmian, które zupełnie zmieniły charakter domu. Żona Stephena, cicha kobieta w średnim wieku, Victoria, w skrócie Vicky, zaprowadziła ich do gabinetu. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć komuś, kto niegdyś mieszkał w tym domu.

- Dżin z tonikiem, czy tylko sok z limony? - Ursula odwróciła się, próbując ukryć wstrząs.

- Cokolwiek... naprawdę wszystko jedno, byle nie sok z limony. Nie mogę go pić. - Uśmiechnęła się i skrępowana zaczęła siadać w miejscu, gdzie nie było krzesła. Stephen zaprowadził ją delikatnie do krzesła przy otwartym oknie. Wraz z ciepłym wietrzykiem napływały nocne odgłosy. Opanowała się i rozejrzała po pokoju, który niegdyś był gabinetem papy. Teraz wyglądał inaczej. Tak bardzo, jak różni byli ci dwaj mężczyźni. Gabinet Stephena był umeblowany po spartańsku: ciemne indonezyjskie meble na tle białych ścian, żadnych zasłon, a na kamiennej podłodze prosta słomiana mata. Zniknęły fotografie z polowań i z rozgrywek krykieta i polo. Żadnych trofeów. Puste ściany.

Zauważył, że się im przygląda.

- Nie mieszkaliśmy tutaj dość długo. I nie chcę tu zbyt wiele zmieniać. Za dużo w tym domu wspomnień, choć Japończycy zostawili same ściany. I każdą musiałem załatać i pomalować.

- Ale kupiłeś ten dom? Dla swojej rodziny? - Wbiła wzrok w rysę na biurku.

- Tak jakby. Pomyślałem, że miło będzie tu zamieszkać. Tanglin jest teraz strasznie ciasny, a chciałem, żeby moja rodzina miała przestrzeń życiową. Tak, jak ty. - Odstawił szklankę i wyjrzał przez okno. - Ale nie kupiłem domu. Wynałamałem go od rządu, to nowe obyczaje. Przedtem stał pusty przez wiele lat. Od wojny.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Ile masz dzieci? - Czuła się tu zupełnie nie na miejscu, obca, która chce udawać kogoś z rodziny. Nawet pytania były wymuszone.

- Dwoje. Chłopca i dziewczynkę. Są w szkole w Anglii. A ty? Wysłaś za mąż, masz dzieci?

- Tak wysłałam za mąż. Kiedy wróciłam do Anglii. I miałam dwoje dzieci... moja córka niedawno zmarła. To chyba dlatego tu przyjechałam. Żeby na chwilę uciec od wszystkiego. Mój syn chodzi do szkoły w Australii.

Pociągnęła łyk wina. Chłodziło ją od środka.

- Ach, tak. Bardzo mi przykro. Czy to jakiś wypadek? - odetchnął głęboko, boleśnie.

- Zmarła podczas porodu w majątku. Wiesz, tym w którym mieszkali rodzice Sally. Odziedziczyłam go i teraz tam mieszkam. Rhea spadła ze schodów i umarła, zanim lekarz zdążył do niej dojechać.

- Straszne. Ale tak to jest w Australii, jeśli nie mieszka się w mieście. A twój mąż?

- U.. .umarł dawno temu. - Nie chciała mu tego tłumaczyć, udawać smutku po rzekomej stracie Simona i ukrywać prawdziwej rozpacz po Rhei. Pociągnęła łyk wina. Stephen patrzył na nią z zażenowaniem, a jego żona uśmiechała się szeroko, jakby to mogło wynagrodzić Ursuli wszystko, co się stało.

- Cieszę się, że ktoś się tobą zaopiekował. Sprawdziłem to raz, parę miesięcy po twoim powrocie do Anglii. Powiedzieli mi, że wyszłaś za mąż. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Chciałem mieć pewność, że jesteś szczęśliwa. A po wojnie mieliśmy tak niewiele. I tak nie mielibyśmy ci czego zaproponować. - Usiadł przy biurku, unikając jej spojrzenia. Ursula z zaskoczeniem poczuła, że jej ból częściowo znika. Teraz cieszyła się, że przyjechała, choćby tylko po to, żeby przekonać się, iż nie ma dla niej powrotu. Nie tu było teraz jej życie. Nikt tu nie należał do jej rodziny. Nie tak, jak w Australii.

W milczeniu dopiła wino i zaczęła zbierać się do wyjścia. Stephen protestował bez większego przekonania, zapraszał ją na kolację albo nawet na kilkudniowy pobyt, ale wiedziała, że nie chce jej u siebie. Przypominała mu o zbyt wielu wydarzeniach, podobnie jak on jej, o których nie potrafił myśleć bez bólu. Pokiwała głową i odjechała.

Następnego ranka siedziała przy śniadaniu na tarasie Raffles. Nie zamierzała zostać dłużej. Nie w Singapurze; to by nie miało sensu. Tim miał rację. Starła się pogrzebać wszystkich we wspólnym grobie. Odeszli. Ukochani, oplakani i straceni na zawsze. Ale może zatrzymać się w Penang, gdzie nikogo nie знаła i żadne wspomnienie nie szarpało jej boleśnie na każdym kroku. Potem wróci do domu. Dobrze będzie zobaczyć Toma, Didee i... nie, Tima nie zobaczy. Musi nauczyć się żyć bez niego.

Kiedy telefon Tima przedarł się wreszcie przez labirynt sekretariatów, którymi obwarował się Charles Peel, jego głos wydał się Charlesowi zupełnie zmieniony. Jakby podjął wreszcie decyzję, do której dojrzał, a nie został zmuszony przez okoliczności. Może wreszcie dotarło do niego, jak bardzo kocha Ursulę? Charles liczył na taki obrót wypadków.

- Tim! Nie spodziewałem się cię usłyszeć. Mam nadzieję, że nic się nie stało?

- Właściwie nie wiem. Zadzwoiłem do Ursuli, a pani Winby powiedziała, że wyjechała. Wróciła do Singapuru. Powiedziała, że nie wie, gdzie się zatrzymała, ale chyba chciała ją chronić przede mną. Dzwoniłem do paru hoteli w Singapurze, ale nie mają jej w rejestrze gości. Wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

- Chyba w Raffles. Tak, zdecydowanie. Uparła się, że tam się zatrzyma.

- Ale dzwoniłem i do Raffles. Prawdą mówiąc, w pierwszej kolejności. Nie ma jej w rejestrze.

Obaj mężczyźni zamilkli i pograżyli się w zastanowieniu.

- Więc nie wiem. Przykro mi. Didee jest na razie u nas, a Tom pojechał do Mandurah do jakiegoś szkolnego przyjaciela. Jeśli Ursuli tam nie ma, pewnie się z nami skontaktuje. Coś jej przekazać?

Znowu zapadła chwila ciszy. Tim siedział przy swoim biurku i zaciskał pięści tak, że kostki pobielaly mu jak kreda.

- Nie, dziękuję. Dziękuję ci. Wkrótce się do ciebie odezwę. - Przerwał połączenie, zanim Charles zdążył usłyszeć zmianę w jego głosie. A więc odeszła i ten koszmarny ostatni tydzień, wypełniony ciągłymi dyskusjami z doradcami, poszedł na marne. Nagle zobaczył ją taką, jak musiała wyglądać przed odjazdem: stała pewnie przy biurku, miała na sobie dzinsy i wysokie buty, oraz wielką męską koszulkę, układającą się luźno wokół jej szczupłej sylwetki. Zamknął oczy, uderzony nagłą falą pragnienia. Łzy, które zapiekły go pod powiekami, były palące jak kwas. Dowiedział się, jak wiele znaczy dla niego, ona i Tom, dopiero kiedy zrozumiał, że naprawdę odejdzie na zawsze. Pomyślał o ofercie, którą wczoraj odrzucił - o propozycji dołączenia do partii liberałów. I pamiętał zmęczenie, wyczerpanie, które wtedy poczuł. Niegdyś oddałby za to wszystko. Teraz wiedział, że oddał zbyt wiele. Tak bardzo pragnął zatrzymać ten kołowrót i wysiąść z niego. Wyjść i znowu pojawić się w życiu Ursuli. Ale na to było już za późno.

Kątem oka zauważył jakiś błysk; sekretarz machał do niego jakimiś papierami. Podpisy. Starał się słuchać, zmusić oporny umysł do pracy. Usiadł przy biurku i łypnął spode łba na sekretarza.

- Bardzo przepraszam, ale musimy to podpisać bezzwłocznie, aby rozprzewadzić egzemplarze przed trzecią. Handel z Chinami jest głównym założeniem naszej partii. - Sekretarz zerknął na pana Nowltona i doszedł do wniosku, że wygląda zaskakująco ponuro jak na kogoś, kto osiągnął w życiu chyba wszystko. Zrobił karierę polityczną, był bogaty, miał syna, podobno bardzo inteligentnego i żonę pochodzącą z bardzo ustosunkowanej rodziny. Ciekawe, jak to jest, kiedy ma się takie szczęście. Kiedy wszystko układa się dokładnie tak, jak powinno i nie trzeba martwić się o pieniądze, żonę i to, jak się zabawia, kiedy on haruje po nocach, żeby zarobić trochę grosza. Został przywołany do rzeczywistości uwagą o literówce w tekście.

- Przyniesiemy poprawione. Wtedy podpiszę. - Tim odprowadził sekretarza i zasiadł nad stertą papierzyśk, z którymi musiał się zapoznać przed konferencją prasową o trzeciej. Westchnął ciężko.

Reporterzy zajmujący się polityką nie przysparzali mu kłopotów. Stale chcieli wiedzieć to samo. Czy Ameryka będzie wspierać Australię i Nową Zelandię, jeśli będą one utrzymywać stosunki handlowe z komunistycznymi Chinami? Czy eksport pszenicy zwiększy się po podpisaniu umowy z Chinami? Co sądzą wiejskie społeczeństwa na temat wysyłania naszego ziarna złotkom? Tim niecierpliwie kręcił się na krześle i starał się tak formułować odpowiedzi, żeby były jak najmniej obraźliwe dla obu stron. Spojrzał na zegarek.

- Jak według pana partia Country powinna się przygotować do następnych wyborów? - To Rawlings, mały zapalczywy człowieczek z „The Age”. Tim zdobył się na wysiłek, by odpowiedzieć w możliwie wymijający sposób.

- Będziemy zdobywać sobie poparcie dla naszego programu zarówno na terenach wiejskich, jak i w wielkich miastach, zadbamy, by przeciętny obywatel zrozumiał dokładnie wszystkie nasze założenia i przygotował się do zagłosowania na nie. Przygotowanie i wytrwałość; to moje osobiste dewizy. Spróbujemy...

Rawlings bezceremonialnie przerwał jego monolog.

- Skoro jest pan tak dobrze przygotowany, może zechce nam pan opowiedzieć o swoim związku z panią Ursulą Paterson. Sądzę, że australijscy wyborcy będą chcieli się o tym dowiedzieć i zapewniam, że wszyscy tu obecni będą bardzo wytrwali w zadawaniu tego pytania. A więc, sir? Jaki jest pański komentarz?

W sali rozległy się gorączkowe szepty. Tim miał wrażenie, że powietrze wokół niego drży i dziwnie faluje. Stał nieruchomo jak posąg i przyglądał się Rawlingsowi, a krew powoli odpływała mu z twarzy. Nie starał się zaprzeczać ani rozładowywać sytuacji głupimi żartami. Wyraz oczu Rawlingsa świadczył, że te wybiegi na nic mu się zdadzą. Westchnął i zmusił się do uśmiechu; napięcie nieco zelzało.

- Rozumiem, że temat naszej rozmowy uległ radykalnej zmianie. Jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu, wołałbym przekazać mój... - zerknął na Rawlingsa - ... „komentarz” niewielkiemu gronu, które następnie przekaże go dalej. Rawlings, pan powinien być przy tym obecny, John, ty też pozwól... chciałbym mieć przy sobie kogoś, kto mnie lubi. - Na widowni rozległ się słaby śmiech. - Douglas Furber, pan dopełni tej grupy. Proszę do mojego gabinetu. Reszcie panów dziękuję za uwagę i uczestnictwo w dzisiejszym spotkaniu. - Odwrócił się i zszedł z podium prosto w nagle oszalały tłum, błyskający mu przed nosem fleszami, machający mikrofonami i notesami. Schronił się przed nimi w przedpokoju prowadzącym do jego gabinetu. Wrzawa za drzwiami wydała mu się jazgotem sfory, pragnącej rozerwać go na kawałki.

Sekretarz stał obok niego, z wyrazem przerażenia na młodej twarzy. Tim położył mu rękę na ramieniu.

- No, to stało się. Przyślij mi tych trzech najszybciej jak można. I nie łącz żadnych telefonów. - Pochylił się nad biurkiem, gromadząc w sobie siły; potrzebował ich w obliczu skandalu, który właśnie zniszczył jego dotychczasowe życie.

Kiedy drzwi się otworzyły, spojrzał na reporterów z zupełnie opanowanym wyrazem twarzy. Wiedział, że to już koniec i myśl ta napelniła go słodkim uczuciem ulgi. Podjął już decyzję odejścia i miał nadzieję, że uda mu się przeprowadzić wszystko dyskretnie. Podejrzewał, że prasa wkrótce dowie się o Ursuli. Postanowił, że najpierw będzie wszystkiemu zaprzeczać, a potem, jeśli mu się nie uda... cóż, trzeba będzie to przeżyć.

- Proszę wejść. Napiją się panowie kawy?

Wszyscy pokręcili głowami. Westchnął z rezygnacją.



- Więc zacznijmy, żeby mieć to już z głowy. Oto prawdziwa wersja wypadków, nie przeinaczona. Rawlings, pozwoli pan, że spytam, skąd ma pan tę informację? - Spojrzał na dziennikarza spokojnie; nie czuł do niego specjalnej wrogości. Rawlings odwzajemnił spojrzenie.

- Powiedzmy, że to poufna informacja. Od kogoś w Perth, kto twierdzi, że jest byłym mężem pani Paterson. Opowiedział mi o wszystkim, więc wysłałem kogoś do Perth, żeby przekonać się o autentyczności tej informacji. Rozumiem, że zna pan tego człowieka?

- Tak, niestety. Już przedtem starał się nas szantażować. Ursula wyjechała z Anglii, ponieważ znęcał się nad nią. Ale trochę się pospieszyłem. A panowie? Wiecie coś o tym? - Rzucili mu poirytowane spojrzenie. Przepraszam, wiem, że zabieram wam czas, ale muszę wiedzieć, na czym stoję. John, wiedziałeś coś o tym?

- Oczywiście. Większość z nas wiedziała co nieco, a od czasu do czasu pojawiały się nowe plotki, ale uznaliśmy, że nie warto wywoływać skandalu, dopóki nie jesteś liderem partii. Wtedy pewnie przystąpilibyśmy do prania brudów. Oczywiście, skoro tenjej były mąż wygadał wszystko, nie możemy udawać, że nic się nie stało. Prawda? - Uśmiechnął się gorzko, ze zmęczeniem. Jego oczy mówiły, że przyjaźń się tu nie liczy. Temat to temat.

- Rozumiem. A co właściwie powiedział ów mąż? Ursula jest dawną przyjaciółką naszej rodziny. Znam ją od lat. Pochodzi z tej samej wioski w Anglii, w której mieszka moja babka. Kiedy postanowiła opuścić męża - który, jak się pan pewnie już zdążył zorientować, Rawlings, nie jest najszlachetniejszą osobą na świecie - pojawiła się u mnie, ponieważ byłam jedyną znaną jej osobą w Australii. A ona ze względu na dobro swoje i córki postanowiła uciec od niego jak najdalej. Simon bił Ursulę po pijanemu i Rhea stała się świadkiem jednego takiego zajścia. Poza tym Ursula była w ciąży. Nie czuła się bezpieczna ze swoim mężem. Doradziłem jej, żeby zamieszkała w posiadłości w zachodniej Australii. Odziedziczyła ją po swojej macosze. Przez ostatnie dziesięć lat odwiedzałem ją parę razy do roku, żeby dopilnować, czy nie dzieje się jej nic złego i pokazać ludziom, że nie jest na świecie sama. W ostatnich latach Simon starał się wykorzystać tę sytuację, szantażując nas oboje. On naprawdę wierzy, że między nami coś jest. Oboje powiedzieliśmy mu - każde z osobna - żeby się nie krępował i ujawnił swoje rewelacje. To mu zamknęło usta, aż do teraz. Pewnie wiecie, że niedawno byłem w Perth na pogrzebie. Był to pogrzeb córki Ursuli. I nie wydaje mi się, żeby ta kobieta zasługiwała w tej chwili na takie przeżycia. - Rozłożył ręce. - Oto wasza historia, panowie. Raczej nie zwiększy obrotów waszych gazet, prawda? Nie pomoże ani wam, ani mnie.

- Czy to pańskie ostatnie słowo w tej sprawie? - spytał Douglas Furber, postukując ołówkiem w notes. Miał zaskakująco surową minę.

- Tak jest. Jakież pytania? - odczekał chwilę, a kiedy nikt się nie odezwał, ciągnął dalej. - Będę panom zobowiązany, jeśli zechcecie opublikować moje opowiadanie, zanim rozpoczną się spekulacje na ten temat. Nie chcę, żeby moja żona i syn ucierpieli, tak jak nie chcę stawiać Ursuli w niezręcznej sytuacji. Jak wiecie,

wybory są zbyt blisko jak na takie niestworzone historie. - Wstał i kolejno uściśnął im ręce. Zastanawiało go, że Douglas nadal ma tę swoją nieprzejednaną, ponurą minę, a na jego wargach nie widać nawet cienia uśmiechu, wykrzywającego usta kolegów. Czyżby o czymś wiedział?

Wrzawa, jaka podniosła się w gazetach, była gorsza, niż przewidywał. Jego zaprzeczenie nie odniosło spodziewanego rezultatu. Douglas opublikował jadowity artykuł, w którym ośmieszał argumenty Tima, nie zarzucając mu jednak kłamstwa. Stara sztuczka, pomyślał Tim. Dokładnie tego należało się po nim spodziewać. Ale może jeszcze da się załagodzić to zadrażnienie, jeśli na jaw nie wyjdą nowe informacje. Znowu przeklął się za to, że już wcześniej nie podjął decyzji o odejściu. Choćby parę miesięcy temu. A teraz było już za późno na wszystko.

Tylko państwo Winby, Kim i Stoney mogliby zdradzić prawdę, a ani przez chwilę nie sądził, żeby byli do tego zdolni. Za bardzo zależało im na Ursuli i Tomie. Więc kto jeszcze mógł o czymś wiedzieć? Może powoli hałas zmaleje, a on będzie mógł po cichu zrezygnować z funkcji i wrócić do Ursuli. Jeśli zechce go przyjąć. Ta myśl budziła w nim śmiertelne przerażenie. Czy powie mu „nawarzyłeś piwa, więc je teraz wypij”? Nie uwierzy, że i tak chciał zrezygnować. Pomyśli, że przyszedł do niej, bo nie miał się gdzie podziać.

A Joanna? Czy da mu rozwód? A chłopcy? Josh uwierzy w to, co powie mu matka. Przyjmie za dobrą monetę jej gorycz, półprawdy, niedopowiedzenia i kłamstwa. Nigdy mu nie wybaczy. A jeśli Tom dowie się o wszystkim i nie zechce wybaczyć jemu ani Ursuli? Jezu Chryste! Dlaczego nie mógł się skontaktować z Ursulą, żeby ją ostrzec? Starał się dodzwonić do Peelów, ale nie podnosili słuchawki. Wciąż bezskutecznie próbował.

Jak się okazało, jego najgorsze przewidywania się spełniły. Teraz żałował, że nie wykorzystał szansy, by opowiedzieć dziennikarzom prawdę. Ale kiedy skontaktował się z doradcami i oznajmił, że chce zrezygnować, stwierdzili z najwyższym przekonaniem, że wyborcy odczytają to jako przyznanie się do winy. Miał zobowiązania wobec partii. Nie mógł ryzykować. Zgodził się niechętnie i dał się wciągnąć w tę farsę. Ale skąd miał wiedzieć, że Joanna zrobiła to, co zrobiła? Kto mógłby przypuszczać, że coś takiego jest w ogóle możliwe?

Oczywiście zorganizowano zebranie, na którym rozwścieczone kierownictwo rozpatrywało skandal pod wszystkimi możliwymi kątami. Tim opowiedział im o wszystkim, niczego nie ukrywał. Uwierzyli mu i uznali, że sytuację da się uratować. To było najgorsze. Całymi dniami zastanawiali się, jak zminimalizować szkody - a Joanna bez przerwy rozsyłała swoje opowieści do gazet. Zwłaszcza do Douglasa Furbera, czy to nie zabawne? Nie brała pod uwagę uczuć Josha ani rodziny, nie zwracała uwagi na szkody, jakie poniesie partia. Nie liczyło się dla niej nic z wyjątkiem własnego złamanego życia. Winą za to obciążała Tima. A teraz nadarzyła się jej okazja zemsty.

Tim złożył rezygnację natychmiast po ukazaniu się jej wypowiedzi. Ze wszystkich stron krzyczały obsceniczne nagłówki brukowców, a radio i telewizja podawały informacje na ten temat z morderczą zaciekłością. Gniew partii

nie miał sobie równych. A partia liberałów, która tak o niego zabiegała, nagle straciła zainteresowanie jego osobą. McMahon nie zadzwonił ani razu. Polityczna kariera Tima załamała się z trzaskiem i nieodwołalnie. Podobnie, jak jego małżeństwo.

Joanna wyrzuciła go z domu przy Marne Street, robiąc przedstawienie obliczone na uwagę prasy. Zabroniła mu kontaktów z Joshem. To rozwścieczyło go bardziej, niż cokolwiek innego. Nie miała litości dla syna, kiedy rozpięta tę awanturę, a teraz jeszcze odsuwała go od niego. Nie wierzył własnym uszom. Pokłócili się straszliwie. Tim oznajmił, że będzie walczył o możliwość odwiedzania Josha, a Joanna wytknęła mu zjadliwie, że to nie jego dziecko, więc o co ten krzyk? O co ten krzyk? Tim spojrział na chłopca i zobaczył w jego oczach ból i przerażenie. Wiedział, że Josh nigdy tego nie zapomni.

- Ponieważ dla mnie jest synem. Byłem przy nim, kiedy dorastał i kocham go. A jeśli wydaje ci się, że mnie powstrzymasz przed widywaniem się z nim, to bardzo się pomyliłaś. Zawlokę cię do każdego sądu w tym kraju, zdemaskuję wszystkie twoje romanse i zamienię ci życie w piekło. Rozumiemy się? - wycedził zimno, odmierzonym tonem, który nadawał jego słowom o wiele większą wagę, niż jakiegokolwiek pogroźki. Joanna uderzyła go. Jeden siarczasty policzek, po którym na twarzy został mu różowy znak. Zrozumiał, że wygrał przynajmniej tę walkę. Pocałował Josha na do widzenia, powiedział, że wkrótce go odwiedzi i wyszedł.

Gwałtowna kłótnia wstrząsnęła chłopcem i jego szczęśliwym, bezpiecznym światem. Pod oczami wystąpiły mu głębokie sińce, sięgające niemal połowy bledziutkich policzków. Przez następne dwadzieścia cztery godziny Josh nie spojrział na nikogo. Siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę, rzucając ukradkowe przerażone spojrzenia na falujące morze głów, błyskające flesze i nie kończące się pytania, pytania, pytania. Słuchawka telefonu leżała zdjęta z widełek, a matka paliła papierosa za papierosem i zgniatała niedopałki mściwymi, gwałtownymi gestami. Josh tęsknił straszliwie za ojcem.

Tim opublikował zwięzłe przeprosiny i zniknął w nieznanym miejscu. Wobec braku nowych informacji prasa straciła zainteresowanie historią. A Joanna wniosła sprawę o rozwód.

Ursula przybyła z Penangu, via Singapur, kiedy najgorsza wrzawa już przebrzmiała. Zapukała do drzwi Peelów i z najwyższym zdumieniem znalazła się nagle w oku cyklonu. Bettina wykrzykiwała, że są przy niej i zostaną razem aż do końca, pan Peel powtarzał, że trzeba wnieść sprawę o zniesławienie, a Jennie przytakiwała z wigorem każdemu słowu matki. Dopiero Charles przyszedł jej z pomocą.

- Nie przejmuj się. I tak jesteś już przebrzmiała sensacją. Wybuchł skandal związany z jakimś delegatem z bloku wschodniego i prostytutką. Ty i Tim już nie ciekawicie nikogo - zapewnił ją, wciągając do środka, bo ciągle stała na progu i wpatrywała się w nich w oszołomieniu. Didee przybyła w ramionach młodszej siostry Jennie, otoczonej bandą małych Peelów, ale Ursula w ogóle jej nie zauwa-

żyła. Ze wszystkich sił starała się zorientować, co się właściwie stało. Spodziewała się, że spędzi u Peelów parę miłych dni, nie martwiąc się o pory karmienia i zmiany pieluszek. A tu proszę, wszyscy naraz wykrzykiwali coś o skandalu i o tym, że jej nie opuszczą. Jaki skandal? Ona i Tim?

Na szczęście był przy niej Charles, znękanym i nieszczęśliwym Charles; Nie dostrzegła nawet swojej małej córeczki, która wprowadziła tyle zamętu w jego życie. Objął Ursulę, przegonił rodzinę i powiedział, że dzwonił Tim. Nie zauważył jej rumieńca, kiedy prowadził ją do salonu. Zamknął drzwi przed nosem rodziny i odgrodził się od śmiechu dzieci i głośnych zapewnień o wiecznej lojalności.

- O co tu chodzi? Jennie i Bettina mówiły o jakimś skandalu, ale ja nic o tym nie wiem. Od trzech tygodni nie miałam w rękę gazety. I nie słuchałam radia. Byłam w Penang - dodała dla wyjaśnienia. Charles nigdy nie zaniedbywał wysłuchania dziennika.

- Aha - mruknął i z roztargnieniem włożył do ust cukierek, zostawiony na stole przez któreś z dzieci. - No, niestety. Wszystko wyszło na jaw. I tak wiedziałem o wszystkim od Rhei. Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Jak mówiłem, dzwonił Tim, jeszcze przez skandalem. Mniej więcej trzy lub cztery dni po tym, jak wyjechałaś do Singapuru. Powiedział, że szukał cię w różnych hotelach, ale nigdzie cię nie było. Poinformowałem go, gdzie się zatrzymałaś, ale oznajmił, że już wyjechałaś... nie wiedziałem, czy mam mu odpowiedzieć, gdzie cię znajdzie. Nie chciał zostawić wiadomości. Ale wydawał się bardzo przygnębiony. Tak jakby zamierzał ze wszystkiego zrezygnować, a nie mógł cię znaleźć. Bardzo gwałtownie przerwał rozmowę. - Spojrzał na nią znacząco. - A potem, mniej więcej po tygodniu, bach! I wszystko pojawiło się w gazetach. Jego żona im opowiedziała. Masz pojęcie? Tim właśnie zrezygnował ze stanowiska i od tej pory słuch o nim zaginął.

Usiadł wygodnie na krześle i pozwolił jej przetrawić wiadomości.

- A Tom?

- Jest poza wszystkim, prawda? W Mandurah? Na twoim miejscu w tym semestrze zatrzymałbym go w domu. Dzieci potrafią zachowywać się jak małe potwory. Zabierz go ze sobą i odczekaj, aż wszystko ucichnie. I Didee. Ją też zabierz. - Podniósł na nią oczy. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Jeszcze nie przeboleł straty, a widok Didee był dla niego nie do zniesienia. To ona musi poradzić sobie ze wszystkim, bo jemu nie zostało już ani odrobiny siły. Przez najbliższe godziny, kiedy pakowała rzeczy Didee i odsuwała od siebie kielkującą nadzieję na powrót Tima, zrozumiała decyzję Charlesa.

Nie odsuwał od siebie Didee; myślami ciągle przebywał gdzie indziej i zapominał o dziecku, leżącym w jego ramionach. Kiedy zaś na nie spoglądał, w jego oczach pojawiała się zaskoczenie i strach, i oddawał córeczkę komuś innemu - tak szybko, jak tylko mógł. Cała rodzina Peelów kręciła się koło niego jak stadko zaniepokojonych kwok. Trzeba było opiekować się Charlesem. Ursula musi jeszcze zatrzymać Didee.

To jej odpowiadało. Dziecko wydawało się jej bliższe, niż Rhea w jego wieku. Jakie to miłe - być starszą i mniej przerażoną, że popełni się jakiś błąd. Tym

razem niespodziewane macierzyństwo sprawiło jej o wiele większą radość. Nawet przy Tomie nie była tak szczęśliwa. Uśmiechnęła się do siebie, bawiąc się paluszkami Didee. Rhea by to zrozumiała, bo nie pragnęła tego dziecka bardziej niż Ursula jej czy Toma. Może w ich rodzinie uczucia macierzyńskie muszą dojrzewać przez jedno pokolenie? Przynajmniej uczucia do niemowlaków.

Odjechała spod domostwa Peelów, pomachawszy im ręką i skierowała się do Mandurah. Didee spała spokojnie obok niej.

### *Mandurah*

Tom leżał na brzuchu w wysokiej trawie. Wstrzymywał oddech za każdym razem, kiedy nad jego głową rozlegał się krzyk kołującego ptaka. Na skalnej półeczce w dole znajdowało się gniazdo z piskletami, do których matka przylatywała bez przerwy z kolejnymi porcjami pożywienia. Samiec nie pojawił się od dłuższego czasu. Może nie żył.

Wiatr rozdmuchiwał jasne włosy chłopca, które łagodnie falowały wokół jego głowy. W kwietniu skończył dziewięć lat, ale był wysoki jak na swój wiek. Jego długie, chude nogi ogorzały na słońcu i wietrze. Żuł powoli żdźbło trawy i usiłował dojść, o co chodziło w tym zamieszaniu. Ziemia pod jego ciałem była ciepła i miękka, a on czuł ogarniającą go senność. Napięcie opuszczało go powoli, a siniaki jeszcze nie zaczęły boleć.

Co wstąpiło w Neila i innych chłopaków. Zawsze go lubili, byli najlepszymi kumplami. Dlaczego zaczęli się z nim tak drażnić? Dlaczego mówili to o mamie i Timie. Wcale go to nie śmieszyło, bo wszyscy wydawali się tacy zdenerwowani, a ojciec Neila powiedział, że spuści mu lanie, jeśli nie przestanie tak gadać. Nie wiadomo, dlaczego wymyślili takie niestworzone historie. A jeśli nie wymyślili ich, czy to znaczy, że były prawdziwe? Czy Tim i mama naprawdę byli kochankami? Czy Tim był jego ojcem? Dziwne, ale wcale nie poczuł się tym zraniony. Ale nie mógł pozwolić, żeby chłopcy tak mówili. Jeszcze teraz czuł gniew, zaślepiający i gorący. Miał ochotę bez końca bić pięściami w twarz Neila, z drwiącym uśmiechem. Uderzył pięścią w ziemię.

Oczy miał zaczerwienione i spuchnięte od długiego płaczu; czasami przechodził go dreszcz. Nie rozumiał tego, ale wiedział, że ma to coś wspólnego z lanem, który wyglądał na tak zadowolonego, kiedy szeptał do ucha Neila. Tom wypluł resztkę żdźbła i spojrzał w niebo, osłaniając oczy ramieniem. Westchnął ostro; w nozdrza połaskotał go ciepły, nagrany słońcem wiatr. Z początku zaczęła go otaczać dziwna atmosfera napięcia, co go tylko dziwiło. A potem chłopaki, a zwłaszcza Neil, który do tej pory był jego najlepszym kumplem, obstąpili go i zaczęli się naśmiewać. I nie tylko oni wiedzieli o tym czymś, o czym on nie miał pojęcia. Także rodzina i znajomi. Tylko jemu nikt niczego nie powiedział. Przyglądali mu się jak jakimś zwierzakowi w klatce. To, że nie wiedział niczego, nie było dziwne. Przy takiej pogodzie przez większość dnia biegał po dworze. Ale Neil powinien mu to wyjaśnić. Bał się spytać jego rodziców. Zresztą pewnie i tak by mu nie powiedzieli, choć mama Neila starała się być dla

niego miła. Pocieszała go nawet wtedy, kiedy rzucił się na jej syna i zaczął go okładać pięściami. Ale on nie potrzebował wyjaśnień. Chciał znać prawdę. Dlatego uciekł w swoje ulubione miejsce i schował się w trawie, żeby Neil nie mógł go znaleźć.

Znowu westchnął i podparł się na łokciu, by móc wygodnie spoglądać na morze, migoczące i płaskie jak lustro. Linia horyzontu zlała się z niebem niewyraźną mgiełką. Do jego uszu dochodził pomruk fal, uderzających o brzeg plaży w dole. Mewy krzyczały ostro, zeskakiwały z gniazd i łukiem leciały w stronę tafli wody, by wpaść w nią jak kamień, z pluskiem i bez wdzięku, a potem znowu wystrzeliły w powietrze, z bezczelnym wrzaskiem. Przebywał tu od wielu godzin. Właściwie przez cały dzień. Ale nie miał ochoty wracać do domu. Jeszcze nie. Zamknął na chwilę oczy; jego długie ciemne rzęsy położyły mu się na policzkach jak czarne wachlarzyki. Słońce schowało się za chmurą, która rzuciła cień na morze. Nagły chłód przejął go dreszczem. Wiatr szarpnął jego mokrą od łez koszulę. Wyprostował się gwałtownie.

- Too - oom! To - om! - Znajome wołanie, załamujące się w środku śpiewnego słowa, przyleciało ku niemu z wiatrem. Odwrócił się i zmrużył oczy. Pomiędzy wydmami chodziła matka. Ledwie ją widział. Pomachała mu, więc z ociąganiem podniósł rękę. Wiatr zatrzepotał w jego rękawie i wydał go jak żagiel. Tom zaczął cierpliwie, aż matka do niego dołączy. Nie spodziewał się jej tak szybko. Pewnie dowiedziała się o bójce z chłopakami, pomyślał z rezygnacją. Wiedział, że go to nie minie.

Znalazła się przy nim, zdyszana, rozczochrana, z policzkami zaczerwienionymi z wysiłku. Miała wyraz twarzy, który świadczył, że jej nie oszuka. Tak, jak po śmierci Rhei. Ale patrzyła na niego z zakłopotaniem i... tak, z lękiem.

- Nie mogłam cię znaleźć - zaczęła dość spokojnym głosem. Wzruszył ramionami.

- Byłem tutaj. Jak Singapur?

- Dobrze, dobrze. Spędziłam miło czas. Co u ciebie?

- Chyba dobrze. Co się dzieje?

- Wyjeżdżamy. Wracamy do domu. - Uśmiechnęła się do niego, ale nie odwzajemnił się tym samym. Patrzył na nią oskarżycielsko. A więc po chwili odezwała się z wahaniem: - Pewnie słyszałeś, co mówią ludzie. No wiesz, że Tim i ja... — Nie chciało jej to przejść przez usta. Głos ugrzązł jej w gardle, a oczy zalśniły od łez. Na jej blade policzki wystąpiły jaskrawe plamy. Tom patrzył na nią wyczekująco. Chciał zrozumieć, dlaczego ma wyjechać przed wyznaczonym terminem.

- Rodzice Neila nie chcą, żebym tu został? - spytał z lękiem.

- Ależ chcą. Ale pomyślałam, że może zechcesz spędzić ze mną parę dni. Chętnie bym z tobą pobyła, a poza tym możesz spotkać się z Percym przed rozpoczęciem semestru. - Poglaskała go po głowie i odwróciła spojrzenie w stronę wydm. Coś utkwilo jej w gardle i nie pozwoliło dalej mówić. Tom zaczął cicho płakać. Wiatr chwycił jego łzy i rozmazywał mu je po policzkach.

- To dlatego przyjechałaś? - rzucił gwałtownie po chwili. - Przyjechałaś, żeby mnie zabrać z powodu tych plotek? Więc Tim jest moim tatą? Tak powie-

dział Neil. I jeszcze mówił, że ty i Tim byliście... no wiesz, przez wiele lat, i że Tim jest moim ojcem, i wszyscy się dowiedzieli, i Tim odszedł z pracy, i żona go opuściła. Nie był u nas tak długo, myślałem, że coś się stało. Więc to prawda? - spytał natarczywie. Nie chciał znać tej odpowiedzi, ale musiał ją usłyszeć. Rzucił kamień do wody; uderzył głośno w spokojne lustro.

- Przepraszam cię, kochanie. Miałam zamiar ci powiedzieć, kiedy będziesz starszy i lepiej mnie zrozumiesz. Nie chciałam, żebyś dowiedział się w ten sposób. - Ursula wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać syna, ale zawiesiła ją w powietrzu nad jego głową i opuściła bezwładnie. Wiedziała, że i tak by się uchylił przed niechcianą pieśczętą. - To bardzo długa historia. Nawet nie wiem, skąd zacząć, ale Rhea wiedziała o wszystkim i nie miała nic przeciwko temu. A wiesz, jaka była sprawiedliwa. Nie pokochałaby Tima, gdyby uważała, że ma mu coś do zarzucenia. Prawda?

Tim zerknął na matkę i zauważył ból, malujący się w jej oczach. Chciał ją pocieszyć, ale coś zakazywało mu okazać cieplejsze uczucia. Wzruszył ramionami.

- Może. Nie wiem. Nigdy nie musiała się bić z kolegami, którzy się z niej śmieją... Ale chyba na to nie mogę nic poradzić, prawda?

Ile gorczy w głosie tego dziecka.

- Tak, to prawda. Możesz wrócić ze mną do domu i tam się uczyć, jeżeli nie jesteś w stanie wrócić do szkoły w Perth. Mogę wynająć ci gubernera.

- Nie! Lubię moją szkołę. I nie będę się przed nikim krył, jakbym zrobił coś złego. To ty jesteś winna! I Tim!

- To nieprawda, Tom! I nie życzę sobie, żebyś tak mówił. Nie znasz prawdy. Nigdy nie sądziłam, że będziesz osądzał ludzi, zwłaszcza ludzi, których kochasz, nie dowiedziawszy się najpierw, jak wygląda prawda.

- A jak wygląda prawda?

Spojrzała na niego; z każdego rysu jego twarzy patrzył na nią Tim, jego przejrzyste szare oczy, mocne usta. Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Dobrze. Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz to usłyszeć.

- Tak. Chcę.

I tak usiedli razem na piasku i Ursula opowiedziała mu o wszystkim od samego początku, nie kryjąc przed nim niczego, nie oszczędzając siebie ani nikogo. Pozwoliła, żeby sam ją osądził. I żałowała, że nie zrobiła tego wcześniej.

- I mówisz, że Tim wrócił do nas tuż przed tym, jak wszystko się wydało? Naprawdę chciał dla nas zrezygnować? - Ta myśl sprawiła Tomowi ogromną radość. Zawsze uważał, że jego ojcem jest jakaś mglista postać z Anglii, ktoś kto umarł przed jego narodzeniem. A teraz okazuje się, że to Tim jest jego ojcem i że zdobył się na poświęcenie dla nich całej kariery! Ha! To zupełnie co innego. Uśmiechnęła się\*

- Kiedy Tim przyjedzie? Niedługo?

- O, nie wiem, kochanie. Mam nadzieję, ale to zależy od tego, jaki rozgłos zyska ten skandal. - Odwróciła wzrok, modląc się, żeby nie popełnić błędu. Ale Tom musiał uwierzyć, że ojciec go kocha, chce go i pragnie z nimi zamieszkać.

Jeśli nie tak wyglądały plany Tima, cóż... może uda się jej jakoś z tego wybrnąć. Ale o tym potem. - Naprawdę chcesz wrócić do szkoły już w tym semestrze?

Tom skinął zdecydowanie głową wojowniczo wysuwając szczękę. Ursula wzruszyła ramionami.

- Dobrze. A co powiesz na to, żebyśmy teraz wrócili do domu i troszkę po-  
byli ze sobą? Ty, ja i Didee. A potem, za pewien czas, także Tim.

Na tę myśl oboje uśmiechnęli się radośnie.

Ursula zatrzymała samochód na poboczu. Tom wysiadł, żeby otworzyć pierwszą bramę. To z tego miejsca kiedyś, dawno temu, po raz pierwszy zobaczyła swój dom. Teraz spojrzała na niego i pomyślała: to piękne. Nie, nawet lepiej. To mój dom. Mój, moich dzieci i ich dzieci. I nikt nam go nie odbierze.

Ruszyła powoli w jego stronę; już stąd widziała, że przez ostatnie tygodnie rośliny w ogrodzie urosły znacznie, a trawnik był pięknie przystrzyżony. Zaparkowała przed schodami. Tom wygramolił się czym prędzej, rozejrzał się, czy nic się nie zmieniło i pobiegł na poszukiwanie Percy'ego. Tuż przy werandzie rosły dziewanny. Tom ścisnął jeden mięsisty kielich, z którego wyciekło trochę soku, słodko pachnącego deszczem i ziemią.

Tom krzyknął radośnie. Podobny krzyk rozległ się od strony domu Winbych; Percy wygramolił się spod schodów i popędził w stronę stodoły. Znowu ucieka od odrabiania lekcji, pomyślała Ursula z rozbawieniem. Tom uśmiechnął się do niej i pobiegł za przyjacielem.

Ursula podniosła Didee i, podśpiewując pod nosem, sięgnęła po torbę. Jak dobrze wrócić do domu! Zostawiła bagaże pod schodami i zaniósła Didee do domu. Świeżo zapastowane podłogi pachniały, lekki wietrzyk wpadał przez okno. Kim musiała się nieźle przyłożyć do pracy, pomyślała Ursula z zadowoleniem. Położyła Didee do łóżeczka i wróciła po torby.

- Pozwolisz, że ci pomogę? - Za jej plecami rozległ się znajomy głos. Zaskoczona odwróciła się gwałtownie. Tim stał za nią w starych roboczych spodniach i flanelowej koszuli. Jego twarz i głos zdradzały, jak bardzo był niepewny jej reakcji. Ursula powściągnęła ogromną ochotę, by rzucić się biegiem w jego ramiona. Uśmiechnęła się spokojnie i skinęła głową.

- Proszę. - Potem zatrzymała się i obejrzała na niego przez ramię. - Ale zanim to zrobisz, powiedz mi jedno. Kiedy zadzwoniłeś do Charlesa, żeby o mnie spytać. Zanim wybuchł skandal. Co chciałeś mi powiedzieć?

Przełknął z trudem ślinę i wzruszył ramionami. Starał się zachować normalny ton, jakby nic się nie stało. Jakby od tej odpowiedzi nie zależało jego życie.

- Możesz nie wierzyć, ale... chciałem cię spytać, czy pozwolisz mi wrócić do domu.

- Do domu? Tutaj? - upewniła się. Tim skinął głową. Uśmiechnęła się, choć zeszywniałe usta stawały jej opór. - Na zawsze czy tylko na chwilę? I co z twoją karierą?



- Już złożyłem rezygnację. Typowe, że dowiedzieli się o nas, zanim zdołałem ci o tym powiedzieć.

- A więc wracasz na zawsze? - Musiała się upewnić.

- Na zawsze. - Dotknął jej policzka. - Jeśli mnie zechcesz.

I natychmiast uśmiechnął się z ogromną ulgą, bo w tej samej chwili zrozumiał, że Ursula go zechce.

- Zawołam Toma. Powiem mu, że wróciłeś do domu - oznajmiła i podeszła do okna. Świeży wiatr owiał jej twarz.